



Penny Vincenzi

Wystarczy chwila

PROLOG

CAŁKIEM NIEDAWNO

To zdarzyło się tuż przed czwartą po południu, zaraz po krótkiej burzy, połączonej z oberwaniem chmury. Piątkowy korek zatkał M4 w obu kierunkach - wystarczająco skutecznie, by samochody na pasie do szybkiej jazdy zmieściły się w granicach dozwolonej prędkości i jednocześnie na wszystkich trzech pasach utrzymywał się stały, powolny ruch. Na kamerach nadzoru wszystko wyglądało zwyczajnie i wydawało się całkowicie pod kontrolą.

Minutę przed czwartą jakaś jadąca na wschód ciężarówka skręciła nagle w bok i pomknęła w stronę rozdzielającej autostradę bariery, przecinając ją z morderczą siłą; potem zwinęła się do środka, okręcając przy tym kilkakrotnie naczepę, która prawie stanęła dęba, zanim przewróciła się na bok, ślizgając się po jezdni prosto pod nadjeżdżające auta, aż w końcu znieruchomiała tuż przed początkiem pasa postojowego. Potworna siła rozerwała ją na kawałki - nie tylko drzwi, lecz także boki i dach, wyrzucając na jezdnię ładunek zamrażarek, lodówek, zmywarek, suszarek, z których niektóre z ogromną prędkością poszybowały w powietrzu, inne zaś sunęły po autostradzie jak wielka, śmiertelnie niebezpieczna fala szczątków rozbitego okrętu, która bezlitośnie zalewa znajdujące się na jej drodze auta i autobusy.

Zmierzający na zachód po pasie do szybkiej jazdy minibus został trafiony przez podwozie ciężarówki; jadący tuż za nim golf GTI zakolysał się na boki, wbijając się w jedno z kół naczepy. Ogromna, nieustępliwa tama hamujących, skręcających i ślizgających się pojazdów momentalnie wypiętrzyła się do niepojętych rozmiarów.

Na prowadzącym na wschód pasie autostrady znajdujące się tuż za ciężarówką samochody rozbijały się o nią i o siebie nawzajem; jeden uderzył w rozdzielającą jezdnie barierę z taką siłą, że utkwiał w niej na dobre, tuzin albo więcej następnych, wykorzystując cenne dwie lub trzy sekundy przewagi, nieuchronnie acz względnie bezboleśnie hamowały jedne na drugich, jak autka-zderzaki w wesołym miasteczku.

Poruszające się z ogromnym impetem zamrażarki i lodówki nadal kontynuowały swoją morderczą podróż; jeden z samochodów, uderzony czołowo, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, i zwarł się z nadjeżdżającym motocyklem; inny wystrzelił na bok i rozbił się o znajdującą się na środku barierę.

Wreszcie ruch w obu kierunkach zamarł i nad autostradą zapadła względna cisza; zamilkły silniki, uciszyły się klaksony, ale niebawem ich miejsce zajęły inne, równie okropne dźwięki - potworny ludzki wrzask i przeraźliwe szczekanie psów, zmieszane z absolutnie niepasującą do owej chwili muzyką z samochodowych odbiorników.

A potem rozdzwoniły się setki komórek, ściskane w dłoniach tych, którzy jeszcze mogli utrzymać je w ręku; dzwoniło na policję, po ambulansy albo do domu. Ale nawet gdy wszyscy już zostali powiadomieni, chaos nadal rozpościerał swe żarłoczne macki, sięgając daleko, daleko w głąb drogi i unieruchamiając setki kolejnych kierowców, którzy nie byli już w stanie uciec z pułapki.

W ciągu trzydziestu lub czterdziestu sekund przypadek - ta absolutnie nieprzewidywalna siła - wziął w swe kapryśne władanie miejsce i czas. Zniszczył teraźniejszość, wypaczył przyszłość, zastąpił porządek chaosem, pewność niepewnością, władzę nieudolnością. Dla niektórych życie dobiegło końca, dla innych na zawsze uległo zmianie, a wszechpotężna gra konsekwencji właśnie się zaczęła.

TLR

CZEŚĆ PIERWSZA

WCZEŚNIEJ

ROZDZIAŁ 1

Laura Gilliatt często mówiła - jednocześnie przymilając się o odrobinę pieszczot - że jej życie jest po prostu zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe. Doprawdy, nawet przypadkowy obserwator - i to z tych bardziej podejrzliwych - nie mógłby się z nią nie zgodzić. Wyszła za męża za człowieka, który ją uwielbiał, Jonathana Gilliatta, znanego ginekologa i położnika, urodziła troje wyjątkowo uroczych dzieci, a poza tym rozwijała własną karierę jako dekorator wnętrz. Ta praca wymagała akurat tyle czasu, by uchronić ją przed nudą, ale nie była aż tak wymagająca, żeby nie mogła odłożyć jej na bok, kiedy zaszła taka potrzeba, to znaczy, gdy w życiu zdarzyło się jakieś małe lub większe zakłócenie, na przykład trzeba było pójść na ważną kolację z mężem albo pielęgnować nowo narodzone dziecko.

Rodzina miała dwa prześliczne domy, jeden nad Tamizą w Chiswick, drugi zaś w Dordogne; oprócz tego państwo Gilliatt byli współwłaścicielami domu letniskowego w narciarskiej miejscowości Meribel. Jonathan zarabiał mnóstwo pieniędzy na prowadzeniu prywatnej praktyki w St. Anne, ekstremalnie drogim szpitalu tuż przy Harley Street, oprócz tego był także cenionym konsultantem w Narodowym Departamencie Zdrowia i kierował oddziałem położniczym w szpitalu Świętego Andrzeja, w Bayswater. Namiętnie sprzeciwiał się współczesnym trendom do stosowania cięcia cesarskiego na życzenie, i to zarówno wśród prywatnych pacjentek, jak i w państwowym szpitalu; jego zdaniem był to bezpośredni rezultat kultury kompensacyjnej. Niemowlęta powinny przychodzić na świat delikatnie wypychane z łona matek, twierdził, a nie za pomocą gwałtownego szarpnięcia. Oczywiście taka postawa nieuchronnie spotykała się ze sporą dawką krytycyzmu ze strony feministycznie nastawionej części mediów.

Krytyczny obserwator musiałby także zwrócić uwagę, że Jonathan był bardzo zakochany w swojej żonie, jednocześnie ciesząc się uwielbieniem swoich pacjentek, i że jego dzieci: syn Charlie oraz córeczki, Daisy i Lily - dwa małe kwiatuszki, jak je nazywał - także uważały ojca za kogoś nadzwyczajnego.

W swojej żonie znalazł wyjątkowy skarb, jak często powtarzał nie tylko jej, ale przed całym światem; Laura była piękna, obdarzona pogodnym usposobieniem i miłym charakterem, więc doprawdy, ten sam obserwator, który wnikliwie przyglądałby się jej całymi dniami, z trudem mógłby uchwycić moment, kiedy była w gorszym humorze niż lekkie poirytowanie, albo przyłapać ją na czymś więcej niż zwykłe podniesienie głosu. Jeśli coś takiego w ogóle się wydarzyło, zwykle spowodowane było złym zachowaniem jednego z dzieci, na przykład Charliego, który właśnie skończył jedenaście lat i próbował zakraść się do ubikacji ze swoim Nintendo, choć wykorzystał już przeznaczoną na ten dzień godzinę na gry, albo Lily i Daisy, wówczas dziewięcio- i siedmioletniej, kiedy usiłowały przekonać opiekunkę, że mama pozwoliła im oglądać po raz kolejny High School Musical, choć o tej porze już dawno powinny leżeć w łóżkach.

Państwo Gilliatts byli małżeństwem od trzynastu lat.

- Od trzynastu bardzo, bardzo szczęśliwych lat - oświadczył Jonathan, rankiem w dzień ich rocznicy, dając Laurze z prezencie pierścionek od Tiffany'ego. - Wiem, skarbie, że to nie jest okrągła rocznica, ale zaśłużyłaś sobie, więc daję ci go z całą moją miłością.

Laura poczuła się tak przygnieciona nadmiarem uczuć, że wybuchnęła płaczem, a potem uśmiechnęła się przez łzy, spoglądając na uroczy drobiazg na swoim palcu; chwilę później, rzuciwszy okiem na zegar stojący w sypialni nad kominkiem, zdecydowała, że należy w praktyce okazać mężowi odrobinę wdzięczności - nie tylko za pierścionek, ale za całych trzynaście szczęśliwych lat. W efekcie poważnie opóźniła się w stosunku do rozkładu zajęć i wyglądało na to, że również cała trójka dzieci spóźni się do szkoły.

Laura skończyła dziewiętnaście lat i wciąż była dziewicą, kiedy poznała Jonathana. „Pewnie ostatnią dziewicą w Londynie”, jak mawiała. Stało się tak nie z powodu jakiejś szczególnie restrykcyjnej moralności, ale dlatego, że przedtem nikt nie spodobał się jej na tyle, żeby miała ochotę pójść z nim do łóżka. Jonathan od razu wzbudził w niej sympatię i dopiero wtedy przekonała się, że współżycie jest „absolutnie fantastycznym doświadczeniem”, jak oznajmiła zaraz po fakcie. Rok później zostali małżeństwem.

- Mam nadzieję, że poradzę sobie z rolą pani Gilliatt, bo to dość ważna rola - powiedziała z lekkim niepokojem na parę dni przed ceremonią.

- Oczywiście że tak - zapewnił ją Jonathan. - Znakomicie pasujesz do rysopisu osoby, poszukiwanej na to stanowisko. Przekonasz się, że stopniowo świetnie zaczniesz sobie radzić.

I rzeczywiście tak się stało, może dlatego, że Laura poważnie podchodziła do swoich obowiązków; uwielbiała gotować i przyjmować gości i odkryła, że ma pewien talent do projektowania wnętrz. Kiedy od ślubu minął rok, a ich własny, uroczy dom był już urządzony zgodnie z upodobaniami obydwójga, spytała Jonathana, czy miałby coś przeciwko temu, gdyby zapisała się na kurs, a potem spróbowała zająć się tym zawodowo.

- Ależ skąd, kochanie. To wspaniały pomysł - odpowiedział. - Oczywiście, dopóki nie postawisz mnie na drugim miejscu, tuż za jakimiś wymagającymi klientami.

Laura obiecała, że nie znajdzie się na drugim miejscu i nigdy się nie znalazł. Podobnie jak żadne z dzieci, które zjawiały się na świecie w porządnym, dwuletnim odstępach; przez lata, dopóki Daisy nie poszła do szkoły, Laura po prostu poświęciła się im całkowicie i było jej z tym zupełnie dobrze. Musiała bardzo się starać, żeby rozproszyc wątpliwości Jonathana i upewnić go, że jest nadal absolutnie najważniejszą osobą w jej życiu, z niejakim zdziwieniem obserwując jego niecierpliwość i prawie zazdrość, kiedy gorliwie starała się zaspokoić potrzeby dzieci. Najwyraźniej jej matka miała rację - każdy mężczyzna w głębi duszy pozostaje dzieckiem. Dlatego więc przez pierwsze parę lat zatrudniała w pełnym wymiarze czasu nianię; wymagania, jakie stawiało przed nią zawodowe życie Jonathana, były duże, a on lubił wiedzieć, że może całkowicie rozporządzać jej osobą.

Jednak gdy Daisy poszła do szkoły, Laura niezobowiązująco zaczęła rozglądać się za pracą. Miała szczególny zmysł do koloru, do dobierania zaskakujących zestawień, i po niedługim czasie zaczęła nawet cieszyć się pewnym uznaniem klientów. Ostatecznie jednak ta aktywność pozostała czymś niewiele więcej niż zwykłym hobby, za które dostawała całkiem przyzwoite pieniądze, ale ponieważ zazwyczaj mogła zajmować się nim jedynie w wolnym czasie, nie było co liczyć, że przyniesie jej ono szczególnie wysokie dochody.

To jednak odpowiadało Jonathanowi, więc bez oporu zgodziła się na takie rozwiązanie.

Wiosna tego roku była szczególnie przyjemna; zjawiała się wcześniej i została długo, wypełniając dni zielenią i złotem, więc już w początkach kwietnia Laura w każdą sobotę i niedzielę nakrywała stół do lunchu na świeżym powietrzu, a gdy nadszedł maj, razem z Jonathanem jedli tam również kolacje, przyglądając się, jak zmierzch łagodnie osiada nad ogrodem, przysłuchując się szumowi rzeki, gwizdowi holowników, hałasom dobiegającym z łódek spacerowych i przenikliwym krzykom mew.

- Ależ my jesteśmy szczęśliwi - powtarzała setki razy, uśmiechając się do siedzącego po drugiej stronie stołu Jonathana. On wznosił toast za ich pomyślność, a potem brał ją za rękę i mówił, jak bardzo ją kocha.

Nadszedł środek lata i zaczęły się deszcze; dzień po dniu strumienie wody nieubłaganie lały się z poszarzałego nieba. Spotkania przy grillu i letnie imprezy na wolnym powietrzu zostały odwołane, zwiewne, cienkie sukienki trafiły z powrotem do szaf, sklepy wstrzymywały to, co nazywano „wyprzedazą końca sezonu”, i wszyscy w popłochu rzucili się po bilety lotnicze w kierunku Majorki i Ibizy, żeby tam w słońcu spędzić długi weekend.

Gilliattowie nie odczuwali takiej potrzeby; jak co roku o tej porze Laura pakowała rzeczy na ich roczną pielgrzymkę do uroczego, wiejskiego domu w Dordogne, gdzie słońce szczerze obdarzało ich swym blaskiem, ogrzewając wodę w basenie, przyspieszając dojrzewanie soczystych winogron na winorośli pnącej się dookoła werandy i ocieplając kamienie na tarasie, żeby jaszczurki do spółki z właścicielami posiadłości mogły tam zażywać popołudniowej sjeisty.

- Dzięki Bogu za to wszystko - powiedziała Laura. - Biedna Serena tak strasznie boi się wakacji, że będzie musiała zabawiać chłopców przez te wszystkie tygodnie, no cóż, właściwie miesiące...

Jonathan odparł dość obcesowo, że przecież Edwardsowie wyjeżdżają podobno do jakiegoś dziesięciogwiazdkowego hotelu w Nicei, no a potem mają spędzić tydzień u nich; Laura odpowiedziała, że owszem, to prawda, ale nadal w sumie daje to niewiele ponad trzy tygodnie, czyli zostaje jeszcze sześć albo nawet siedem, które trzeba jakoś przeżyć w Londynie.

Jonathan zauważył, że większość jego pacjentek z państwowego szpitala nie uważałyby za dopust Boży tego, że przez trzy i pół tygodnia mogą pławić się w luksusie południowego słońca; darzył Marka i Serenę Edwardsów o wiele mniejszą sympatią niż jego żona. Mark był przesadnie przymilnym i uroczym w sposobie bycia mężczyzną, który pracował jako konsultant public relations w jednej z tych wielkich, znajdujących się w mieście firm, Serena zaś należała do grona najlepszych przyjaciółek Laury i, zdaniem Jonathana, czyniła ją powierniczką zbyt wielu tajemnic i sekretów.

Oczywiście Jonathan nie mógł pozwolić sobie na spędzenie w Dordogne aż dziewięciu tygodni; wziął tyle dni z rocznego urlopu, ile było można, a przez pozostały czas zamierzał w każde piątkowe popołudnie przylatywać do Tuluzy i wracać do Londynu w poniedziałek.

Tak więc, czytając prognozy pogody, zapowiadające w Anglii niemal ciągłe opady deszczu, i słuchając swoich przyjaciółek, które skarżyły się na aurę i powtarzały jej, jak bardzo jest szczęśliwa, że nie musi tutaj przebywać, Laura bardziej niż zwykle rozkoszowała się długimi, złotymi dniami i częściej niż dotąd liczyła boskie łaski, którymi tak hojnie została obdarzona.

Linda Di Marcello zdawała sobie sprawę, że ona także ma w życiu sporo szczęścia, co znaczyło - biorąc pod uwagę rodzaj wykonywanej pracy - że radziła sobie naprawdę znakomicie. Linda prowadziła agencję aktorską, i jak często powtarzała, jej rola należała do dość skomplikowanych. Nieraz musiała być - i to w niemal w takich samych proporcjach - niańką, terapeutką i bezwzględną kobietą interesu; było to wyczerpujące i zarazem stresujące, więc niekiedy groziła, że rzuci ten interes i zajmie się czymś zupełnie innym.

- Czymś, co nie wymaga wysiłku, na przykład operacjami mózgu - mówiła z uśmiechem.

Ale świetnie wiedziała, że nigdy się na to nie zdobędzie. Za bardzo kochała swoją pracę.

Tak naprawdę agencja nazywała się Di Marcello i Carr; Francis Carr był jej platonicznym partnerem, jak sam siebie określał - bankierem homoseksualistą, który podziwiał Lindę, obdarzał ją zaufaniem i dawał pieniądze na działalność w zamian za „brak jakiegokolwiek zaangażowania i marne czterdzieści procent od dochodu”.

Jak dotąd ich układ sprawdzał się znakomicie.

Linda miała trzydzieści sześć lat i była uznaną piękną o ciemnokasztanowych włosach, piwnych oczach i głębokim, seksownym głosem w stylu Marleny Dietrich; niegdyś chodziła do szkoły aktorskiej, ale szybko doszła do wniosku, że nie ma zamiaru harować jak niewolnica, żeby po długim, długim czasie dostać się do grona drugorzędnych aktorek, i że praca w charakterze agentki w zupełności jej odpowiada. Prowadziła własną firmę od pięciu lat, ale zanim rozpoczęła pracę na własny rachunek, przez pewien czas pracowała w kilku organizacjach o ustalonej reputacji. Szybko dowiodła, że ma do tego talent; wystarczył jej jeden rzut oka na pozornie zwykłą, skromną dziewczynę, żeby ujrzeć ją w pełnym blasku na ekranie, albo na niezgrabnego, pozbawionego wdzięku prostaka, żeby wiedzieć, że bez problemu może zagrać Noela Cowarda.

Nie miała w swoich rejestrach zbyt wielu gwiazd - jak dotąd. Była wśród nich Thea Campbell, niedawno wyróżniona nagrodą BAFTY za rolę Jo w nowej wersji BBC *Little Women*, a także Dougal Marriott, który właśnie wystąpił jako dorosły Billy w sequele filmu *Billy Elliot*, oraz jeszcze troje lub czworo odnoszących prawie takie same sukcesy, lecz oprócz nich mogła pochwalić się ogromną rzeszą średniaków, wyłowionych osobiście przez nią z różnych aktorskich szkół; prawie wszyscy z nich byli na najlepszej drodze do wyrobienia sobie niezłej pozycji zawodowej. Ale zwłaszcza jej młodszy klienci ze szczególnym trudem stawiali czoło rzeczywistości; nieuchronnie bywali rozczarowani zbyt wolnymi postępami w karierze i gdy większość pracowała w niepełnym wymiarze godzin w rozmaitych barach i restauracjach, albo jako gońcy w spółkach telewizyjnych, zawsze pozostawała garstka emocjonalnie rozchwianych, niecierpliwych, a w najgorszym wypadku lekceważących odnoszących się do pracy, którą Linda mogła im załatwić.

- Wiesz co? - mówiła z irytacją do Francisca Carre'a. - Marzę o tym, żeby wreszcie powiedzieć tym gnojkom, że są tysiące młodych ludzi, którzy mogą robić to samo co oni, i to wręcz znakomicie, i że trzeba mieć cholerne szczęście i naprawdę gwiazdorskie kwalifikacje, aby coś zdziałać w tym zawodzie. A większość z nich nie posiada żadnej z tych cech. Te dzieciaki to po prostu banda niewdzięczników; nigdy nic nie jest dla nich dość dobre.

Francis odparł, że to samo mógłby powiedzieć o swoich klientach, którzy zawsze uważali, że ich pieniądze nie zostały wystarczająco dobrze zainwestowane albo że on poświęca im nie dość czasu i uwagi.

- No cóż, Lindo, taka już jest ludzka natura. To część naszego życia zawodowego.

- Też tak sędzę. Najwyraźniej robię wiele hałasu o nic. Zresztą, kiedy komuś udaje się wystartować, a ty wiesz, że odegrałeś w tym ważną rolę, to czujesz się naprawdę wspaniale.

- No właśnie. Tak przy okazji, czy ostatnio komuś udało się wystartować?

- Właściwie nie. Tego lata wszystko układa się zaledwie przeciętnie. Jeśli w ogóle można to nazwać la-tem... Pewnie właśnie dlatego jestem w tak podłym nastroju.

- Wcale tak nie uważam - odparł z szerokim uśmiechem. - Zawsze narzekasz tak samo.

- Naprawdę? Boże, jak to cię musi przygnębiać! Wybacz, Francis. W przyszłości postaram się być pogodniejsza.

Linda mieszkała w apartamencie w domu czynszowym tuż przy Baker Street; jej mieszkanie było przestronne, luksusowe - urządzone pół na pół antykami i współczesnymi meblami - i absolutnie nieskazitelne. Biuro agencji - lśniące, nowoczesne pomieszczenia w pobliżu Charlotte Street - wyglądało dokładnie tak samo. Linda była perfekcjonistką w każdym aspekcie życia i według ogólnie przyjętych standardów należała do kobiet, które odniosły niesamowity sukces. Mimo to sama dość często czuła, że jej życie tak naprawdę jest jedną wielką klęską.

Była osobą samotną i jakkolwiek wiele razy powtarzała sobie, że ma mnóstwo szczęścia i że teraz prowadzi o wiele lepsze życie - będąc zadowoloną ze swojego losu singielką zamiast sfrustrowaną mężatką - to jednak sama za nic nie mogła w to uwierzyć. Nieważne, ile razy patrzyła na rzędy markowych ubrań od najlepszych projektantów, na które mogła sobie pozwolić, na swoje kolekcje figurek art déco i lamp, na stale powiększającą się galerię współczesnego malarstwa, która miała wynagrodzić jej brak kogoś bliskiego... Bez wahania oddałaby to wszystko - no, może prawie wszystko - żeby nie być sama, nie być samotna.

Utrzymywała oczywiście kontakty towarzyskie - i to według powszechnych ocen naprawdę wspaniale i godne pozazdroszczenia. Ale nie tego pragnęła. Na szczęście *Seks w wielkim mieście* sprawił, że życie w pojedynkę stało się modne, co znacznie pomagało. Nikt nie czuł się już zmuszony, żeby siedzieć w domu i gapić się na kota; wystarczyło podnieść słuchawkę, zadzwonić do którejś z przyjaciółek albo do kolegów i zaproponować wypad na miasto. Jednym słowem, człowiek mógł robić to, na co miał ochotę i kiedy miał ochotę. W tygodniu sprawy układały się całkiem nieźle, bo Linda pracowała do późna, a potem szła do teatru albo na wybrany wcześniej film; za to jeśli chodzi o weekendy, to starała się już parę tygodni albo nawet miesięcy wcześniej wypełnić je sobie aż do ostatniej chwili. Często urządzała krótkie wypady - „błyski”, jak je nazywała - do Paryża, Mediolanu albo Rzymu, zwykle w towarzystwie jednej z samotnych przyjaciółek, żeby tam odwiedzić galerie albo pójść na zakupy; należała do grona „Friends of Covent Garden”, „Sadler's Wells” i „Royal Society of Canada”. Z pewnością musiałyby spotkać nadzwyczaj godnego uwagi mężczyznę, żeby mógł zapewnić jej podobny poziom i styl życia.

Ale... to nie było to, na czym naprawdę jej zależało. Jej życie było chłodne i wymagające, a ona tęskniła za ciepłem i wygodą. Nieraz zastanawiała się, czy powinna była dać panu Di Marcello drugą szansę, zamiast wyrzucać go z domu natychmiast, gdy tylko dowiedziała się o jego pierwszym romansie.

Jednak w głębi duszy była pewna, że zrobiła dobrze; to byłaby tylko pierwsza z jego wielu przygód. Jej mąż wykazywał takie same skłonności do monogamii jak zwykły kocur. I chociaż rozwód straszliwie ją bolał, wkrótce potem uwikłała się w kolejny fatalny związek, z następnym bawidamkiem, który zaczął spotykać się z

inną dziewczyną niemal w tym samym czasie, kiedy wprowadził się do apartamentu Lindy. Widocznie należała do kobiet, którym wpadają w oko sami dranie, jak nieraz ponuro myślała.

W zasadzie nie brakowało jej domowej atmosfery, nie tęskniła za dziećmi, a już z pewnością nie chciała wiązać się z mężczyzną, który ma dzieci z poprzedniego związku, jak zdaje się chciało zrobić sporo jej koleżanek. Pragnęła jedynie mieć kogoś, z kim mogłaby dzielić sprawy zwykłego dnia, przyjemności i niepokoje; z kim mogłaby pożartować i porozmawiać i, oczywiście, z kim mogłaby dzielić łóżko.

Ponadto nie miała zbyt wielu okazji, żeby spotykać mężczyzn, którzy by się jej podobali; świątek, w jakim się obracała, obfitował w niespotykaną liczbę homoseksualistów i jeszcze większą liczbę ofiar takiego bądź innego nałogu. „Londyński oddział Anonimowych Alkoholików jest niewiarygodnie jednostronny, jeśli chodzi o preferencje seksualne”, jak zauważyła wnikliwie jedna z młodych aktorek. I rzeczywiście, ich spotkania były uważane za świetną okazję do nawiązywania nowych kontaktów.

- Chcę jakiegoś prawnika - zaliła się przed przyjaciółkami. - Chcę menedżera z banku; chcę księgowego!

Na co one zapewniały ją, że wcale nie chce nikogo takiego, i tylko częściowo miały rację. Bo kimże byli księgowi, menedżerowie banku i prawnicy jak nie synonimem kogoś niezawodnego, sensownego i lojalnego?

Fakty przedstawiały się tak, że Linda już nie uważała się za kobietę wolną, ale za samotną; nie była już samowystarczalna, lecz niepewna. Co było z nią nie tak? Czy rzeczywiście wymagała aż tak wiele? Chciała nie tylko się zakochać, ale i obdarzyć kogoś miłością. Całym sercem, cudownie, burzliwie, ekstatycznie... Choć naprawdę nie przypuszczała, żeby jeszcze kiedyś mogło się to jej przydarzyć.

- Czy wiesz, że do ślubu zostało tylko pięć tygodni? Nie mogę w to uwierzyć.

Barney Fraser popatrzył na swoją narzeczoną, na jej niewiarygodnie subtelną urodę i słodycz, i westchnął głęboko.

- Mam wrażenie, że ja tak - odparł.

- Barney! To nie zabrzmiało... pozytywnie. Czyżbyś wcale na to nie czekał?

- Ależ tak - pospieszył z zapewnieniami. - Oczywiście, że tak!

- Tylko tak mówisz, prawda? Ale zobaczysz, że świetnie ci pójdzie. Wiem, że tak. Wszystko będzie cudownie, oczywiście jeśli w końcu przestanie padać. Szkoda, że to nie wrzesień. Pogoda jest wtedy zwykle o wiele lepsza, bardziej niezawodna niż latem, prawda? Co tym sądzisz?

- Co? Myślę, że nie. Myślę...

- Barney! Ty wcale mnie nie słuchałeś, mam rację?

- Przepraszam, Amando. Ja... No cóż, po prostu myślałem o czymś innym. Bardzo mi przykro.

Tak naprawdę wcale nie myślał o czymś innym. Myślał o weselu; prawdę mówiąc, coraz częściej zdarzało mu się o tym rozmyślać. No dobrze, może nie tyle o weselu, ile raczej o tym, co będzie później. O małżeństwie.

- O czym?

- Och, po prostu o pracy. Przepraszam. Dolać ci wina?

- Tak, proszę.

Uśmiechnął się szeroko, napełniając jej kieliszek. Właściwie nie mógłby powiedzieć nic konkretnego o swoich złych przeczuciach co do tego małżeństwa. Ale było już za późno i nic nie można było na to poradzić. Zresztą, na litość boską, złe przeczucia nie dotyczyły jego własnego wesela, lecz ślubu Toby'ego, a Toby był wystarczająco dorosły, żeby zatroszczyć się o siebie.

Amanda była zachwycona, że zostanie druhną, panna młoda była jedną z jej najlepszych przyjaciółek. A kiedy ona i Barney pobiorą się następnej wiosny, Tamara będzie jej druhną, Toby zaś drużbą Barneya.

Toby nie należał do grona najlepszych przyjaciół Barneya; on po prostu był jego absolutnie najlepszym przyjacielem. Był nim od czasów pobytu w prywatnej szkole podstawowej, kiedy pierwszej nocy leżeli w swoich małych łóżeczkach, ramię w ramię, i dzielnie się uśmiechali, za nic nie chcąc się przyznać, jak strasznie dokucza im tęsknota za domem. Ta przyjaźń nigdy się nie zachwiała; jeszcze bardziej się umocniła, dzięki temu, że obaj byli dziećmi i że wkrótce mieli spędzać z sobą mnóstwo czasu zarówno w wakacje, jak i w roku szkolnym. Razem przebrnęli przez szkołę podstawową i Harrow; potem po rozłące w czasie studiów - Toby był w Durham, Barney w Bristolu - okazało się, że obaj starają się o pracę w City. Co prawda, nie skończyło się to uzyskaniem posad w tym samym banku inwestycyjnym - co byłoby wręcz banalne - ale obaj wylądowali w sąsiadujących ze sobą przedsiębiorstwach po obu stronach Bishopsgate.

Toby był najlepszym kumplem na świecie: mądry, zabawny, fajny i w staroświecki sposób zwyczajnie miły. Barney nie lubił myśleć o ich przyjaźni w kategoriach miłości - w dzisiejszych czasach wystarczyło powiedzieć komuś, że strasznie lubi się drugiego chłopaka, żeby od razu zostać posądzonym o to, że jest się gejem. Tak naprawdę jednak kochał Toby'ego, podziwiał go i lubił przebywać w jego towarzystwie bardziej niż z kimkolwiek innym, oczywiście poza Amandą. Nie znaczyło to, bynajmniej, że próbował porównywać uczucie do przyjaciela i do narzeczonej; to było coś całkiem odmiennego. Ale wspaniałe było to, że choć obaj się zaręczyli, zakładali własne domy i byli zajęci wszystkim, co się z tym wiąże, to wciąż znajdowali czas i siły, by się nawzajem wspierać.

Obie dziewczyny także były najlepszymi przyjaciółkami; obie też pracowały w City. Trzeba przyznać, że ułożyło się całkiem niezłe: Amanda pracowała w dziale personalnym w banku Toby'ego, Tamara w firmie Barneya, w zespole zajmującym się klientami francuskojęzycznymi. Nic nie wskazywało na to, że nie mieliby pozostać najbliższymi przyjaciółmi aż do końca swoich dni.

Barney nie zakładał też, że Tamara nie jest dość dobra dla Toby'ego - on zwyczajnie o tym wiedział. Owszem, była cudowna, seksowna i mądra, a ich mieszkanie w Limehouse było czymś absolutnie nadzwyczajnym - bardziej w jego guście, przyznawał uczciwie, niż dom w Clapham, który kupili razem z Amandą. Ich dom był trochę... Trochę zbyt wyszukany, za bardzo przeładowany ozdobami; za dużo w nim było pomysłów, które Amanda zaczerpnęła z magazynów o wystroju wnętrz i wprowadziła w życie, nie zastanawiając się, czy sprawdzą się w praktyce. Mimo wszystko jednak Amanda była wspaniałą dziewczyną, a on oczywiście bardzo ją kochał, a ponieważ sam nie miał zmysłu do urządzania czegokolwiek, po prostu zaakceptował to, co proponowała. Ostatecznie w życiu były ważniejsze sprawy niż dekorowanie pomieszczeń.

Amanda miała duszę ze szczerego złota, o tym był przekonany, natomiast Tamara, tak to czuł, pod swoją uroczą powierzchownością była stworzona raczej z wątpliwej jakości niklu. Była samolubna, nieco rozpieszczona - najpierw przez uwielbiających córeczkę rodziców, a potem przez Toby'ego - i wyjątkowo zabor-

cza; kiedy jej to odpowiadało, odrzucała uczucia Toby'ego albo potrafiła bezlitośnie go poniżyć. A Toby naprawdę kochał Tamare; często powtarzał to Barneyowi, nawet zbyt często, zdaniem Barneya. Zachowywał anielską cierpliwość w czasie przygotowań do wesela i zgadzał się na wszystko, czego życzyła sobie Tamara, nawet na miesiąc miodowy na Malediwach, choć Barney wiedział, że Toby uważa tego typu miejsca za strasznie nudne.

- To jej wesele - mawiał lekko, najwyraźniej nieświadomy ironii swoich słów, bo ostatecznie to także było jego wesele.

Podczas wieczoru kawalerskiego - w czasie długiego weekendu w Nowym Jorku - zaledwie dwa tygodnie przed ceremonią, było już stanowczo za późno, żeby cokolwiek mówić na ten temat.

Tak więc Barney pozostał z nieczystym sumieniem i, co gorsza, nie mógł z nikim o tym dyskutować. Nawet z Amandą, a prawdę mówiąc, szczególnie z nią. To także trochę go martwiło.

ROZDZIAŁ 2

No cóż, właśnie to zrobiła i teraz już nie było odwrotu. Mary wzięła głęboki oddech, odwróciła się plecami do skrzynki pocztowej i w strugach lejącego się z nieba deszczu powędrowała z powrotem do domu, modląc się z nadzieją, że jej decyzja okaże się słuszna. Za cztery albo pięć dni list dotrze do Nowego Jorku, do niewątpliwie okazałego apartamentu Russella Mackenziego, przynosząc wieść, że owszem, byłoby miło, gdyby przyjechał do Anglii, żeby spotkać się z nią po tych wszystkich długich, długich latach.

Upłynęło już ponad sześćdziesiąt lat od chwili, gdy ona i Russell powiedzieli sobie „do widzenia”. Stała na stacji Liverpool Street, wtulona w jego ramiona, a dookoła nich stały tuziny takich samych par jak oni; dziewczęta zalewały się łzami, chłopcy w mundurach koloru khaki trzymali je jak najbliżej siebie. To było prawie nie do zniesienia i kiedy wreszcie pozwoliła Russellowi, by wysunął się z jej objęć, miała wrażenie, jakby ktoś wyrwał z niej kawałek serca. Zastygła w bezruchu, patrząc jak idzie wzdłuż peronu, jak wdrapuje się do wagonu i jak po raz ostatni macha jej na pożegnanie, a potem wróciła do domu i od razu pobiegła do swojego pokoju, żeby tam przeplakać całą noc, życząc sobie śmierci. Dosłownie. Tak bardzo go kochała i on także ją kochał. Wiedziała, że kochał, i bynajmniej nie tylko dlatego, że zwyczajnie jej o tym powiedział - na litość boską, przecież poprosił ją nawet, żeby wyszła za niego za mąż. Ale ta perspektywa wydała jej się zbyt przerażająca; nie potrafiła sobie wyobrazić, że oto wyjeżdża tak daleko od tych, których znała i kochała. Tak czy owak, wówczas była już zajęta; zaręczona, choć nie nosiła na palcu pierścionka. Zaręczona z Donaldem, z kochanym, delikatnym Donaldem, który wracał do domu, by uczynić ją swoją żoną.

Była niesamowicie zaskoczona, kiedy Russell nadal do niej pisywał; zaczął to robić prawie natychmiast po powrocie do Stanów.

- Chciałbym, Mary, żebyśmy pozostali przyjaciółmi - oświadczył. - Nie mogę żyć zupełnie bez ciebie, nawet jeśli nie możemy być razem.

Oczywiście zgodziła się na takie rozwiązanie: czy listy kogoś krzywdzą? Nikt nie mógł niczego jej zarzucić ani pomyśleć, że postępuje niewłaściwie. Tak więc od tamtej pory ich listy podróżowały przez Atlantyk.

Czasami wysyłał jej zdjęcia: najpierw własne oraz swoich wspaniale prezentujących się rodziców, jak również ich okazałej rezydencji. Potem, kiedy rany się zagoiły, a życie nieuchronnie posuwało się naprzód, przysłał fotografię narzeczonej Nancy; odwdzięczyła mu się, wysyłając wiadomość o ślubie z Donaldem, parę zdjęć z wesela oraz fotografię małego domku, który kupili w Croydon. W późniejszych latach nadal krążyły listy i zdjęcia dzieci - jej dwojga i trójki Russella - oraz kartki z okazji świąt Bożego Narodzenia albo urodzin. Donald nigdy się o tym nie dowiedział; nie widziała powodu, żeby mu mówić. Mógłby nie uwierzyć, że Russell był tylko przyjacielem i, co gorsza, miałby rację, nie chcąc w to uwierzyć.

Listy nadchodziły raz w miesiącu, przeważnie wtedy, kiedy Donald wychodził do pracy. Gdyby przypadkiem nadeszły w sobotę i on je zobaczył, wytłumaczyłaby, że to od przyjaciela z Ameryki, z którym łączy ją korespondencyjna przyjaźń. Zresztą, to była prawda, mówiła sobie. W pewnym sensie prawda.

Opowieści Russella o wspaniałych domach, cadillacach i basenach najwyraźniej miały wiele wspólnego z rzeczywistością; jego rodzice byli bogaci, posiadali apartament w Nowym Jorku, dom w miejscowości zwanej Southampton, gdzie było mnóstwo okazałych domów, gdzie ludzie grali w polo i pływali po oceanie własnymi jachtami. Russell i Nancy spędzali każdy weekend w owym Southampton.

Byli szczęśliwym małżeństwem, o ile Mary zdołała się zorientować - podobnie jak ona z Donaldem - ale Nancy umarła na raka w wieku zaledwie pięćdziesięciu dwóch lat, a Russell ożenił się ponownie z kobietą o imieniu Margaret. Mary czuła się niedorzecznie podniesiona na duchu, kiedy oświadczył jej, że zrobił tak wyłącznie dlatego, żeby jego dzieci miały namiastkę matki.

Donald odszedł dokładnie w swoje siedemdziesiąte piąte urodziny; dostał ataku serca, kiedy cały dom wypełniał tłum złożony z członków jego ukochanej rodziny. Jako mąż sprawdził się doskonale, choć nigdy nie udało mu się zarobić wielkich pieniędzy; był całkiem zadowolony ze skromnej posady w towarzystwie ubezpieczeniowym i nie miał ambicji, by to zmieniać. Dopóki może co wieczór wracać do Mary i dzieci i wie, że jego pensja starczy na zapłacenie wszystkich rachunków, czuje się całkiem szczęśliwy, mówił.

Mary trzymała wszystkie listy Russella i jego fotografie bezpiecznie ukryte na samym dnie szuflady ze swoją bielizną, wciśnięte w puste opakowanie po podpaskach; Donald zaglądał tam mniej więcej tak samo często jak latał na księżyc. Przy każdej nadarzającej się okazji Mary sięgała do schowka, żeby wyjąć swoje skarby i na nowo przeżywać tamten cudowny, ognisty romans, który zaowocował trwającym przez całe życie sekretnym szczęściem.

I nagle w zeszłym roku Russell przysłał list z wiadomością, że Margaret umarła. „Była oddaną, kochającą żoną i matką, i mam nadzieję, że uczyniłem ją szczęśliwą. Teraz oboje zostaliśmy sami i zastanawiam się, jak byś się czuła, gdybyśmy w końcu odnaleźli się na nowo? Myślę o podróży do Anglii, więc moglibyśmy się spotkać” - napisał.

Bywał tu od czasu do czasu w sprawach biznesowych - wiedziała o tym - ale oczywiście nigdy się nie widzieli.

Pierwszą reakcją Mary była panika; co on sobie pomyśli, kiedy stanie twarzą w twarz z zupełnie zwykłą starszą panią, którą się stała? Wydawało się oczywiste, że Russell jest przyzwyczajony do pewnego wyrafinowania, do wielkich pieniędzy i pięknych ptaków strojnych w błyszczące piórka, gdy tymczasem ona była jego „Małym Wróbelkiem z Londynu”, jak czule nazywał ją przed laty. W porządku, mieszkała w bardzo przy-

tulnym domku na obrzeżach Bristolu, dokąd przeprowadzili się, kiedy Donald odszedł na emeryturę, żeby być blisko ich ukochanej córki Christine i jej rodziny; miała trochę ładnych ubrań i na szczęście udało się jej zachować dawną figurę - była szczupła, więc jeśli ubrała się porządnie, potrafiła całkiem nieźle wyglądać... Ale jej najlepsze stroje pochodziły z Debenhams, a te noszone na co dzień od Marksa&Spencera; włosy od dawna oczywiście były siwe, ale nabrały odcienia dość nieciekawej szarości, a nie oszałamiającej bieli, jaką miała nadzieję odziedziczyć po matce. Poza tym czuła, że bardzo niewiele ma do powiedzenia; jej najbardziej ekscytującymi wypadami były wyprawy do kina albo wizyty u przyjaciół, z którymi grywała w wista albo kanastę. A Russell spędził znaczną część życia na rzeczach określanych mianem „benefis”, co, jak się zdaje, obejmowało różne rodzaje niesamowitych zdarzeń - teatralnych, muzycznych, a nawet sportowych. Więc o czymże mogliby ze sobą rozmawiać?

Ale on odrzucił wszelkie argumenty, że wszystko może się zepsuć, jeśli znów się spotkają. „Co tu jest do popsucia? Tylko wspomnienia, a ich nikt nie może zniszczyć”. W ten sposób stopniowo przekonał ją, że randka w najgorszym wypadku będzie bardzo interesująca, a radość i przyjaźń „w najwyższym stopniu cudowne”.

- Bardzo chciałbym znów cię zobaczyć, mój ukochany mały wróbelku. Los na długo nas rozdzielił; przekonajmy się, czy potrafimy go oszukać, dopóki wciąż mamy czas.

To wcale nie był los, przynajmniej tak uważała Mary. To była jej własna, nieubłagana stanowczość. Lecz powoli dochodziła do wniosku, że jeśli odmówi spotkania, to ogromnie będzie tego żałować przez tę niewielką część życia, jaka jeszcze jej pozostała.

Napisała więc do Russella, żeby robił dalej to, co uważa za stosowne, i poczynił przygotowania do swojej wizyty „najlepiej przy końcu sierpnia”.

Co oznaczało, że od tej chwili dzieli ją tylko kilka krótkich tygodni.

Tego samego ranka Linda odebrała telefon od pewnej niezależnej firmy producenckiej; organizowali casting do nowego, sześcioodcinkowego serialu dla Channel Four; miał to być psychologiczny thriller, oparty na wydarzeniach rozgrywających się w kręgu pewnej rodziny.

- Będzie bardzo treściwie i bardzo krwawo. Potrzebujemy młodej, czarnoskórej dziewczyny. Oczywiście musi być ładna, ale oprócz tego fajna i obdarzona mądrością życiową. Jeśli masz kogoś takiego, wyślij mailem CV i parę fotek.

Linda miała taką osobę wśród swoich podopiecznych, więc natychmiast wysłała szczegółowe informacje.

Georgia Linley znajdowała się w jej rejestrach od przeszło roku, ale Linda powoli zaczynała myśleć, że to o rok za długo. Owszem, dziewczyna była prześliczna i bardzo, ale to bardzo utalentowana; Linda wyłowiała ją z ogromnej obsady spektaklu, który wystawiano w szkole aktorskiej na zakończenie roku, poddała paru próbom i wzięła do siebie. Od tamtej pory ich współpraca przypominała coraz ostrzejszą szarpaninę. Georgia nie tylko była w szkole kimś w rodzaju gwiazdy, a w związku z tym nienawidziła samej myśli, że mogłaby się zniżyć do udziału w jakichś reklamówkach, ale do tego miała niezwykle gwałtowny i zmienny charakter. Po każdym nieudanym przesłuchaniu zjawiała się w agencji i płakała rzewnymi łzami, lamentując nad swoim brakiem talentu, który w jej mniemaniu połączony był z wyjątkowym pechem, oraz niezdolnością Lindy, żeby jej,

Georgii, pomóc albo przynajmniej wyrazić zrozumienie, że kierownik właśnie zakończonego castingu okazał się ślepym idiotą. Początkowo Linda starała się być cierpliwa, bo bardzo lubiła Georgię, ale z biegiem czasu naprawdę zaczęła bać się telefonów od niej.

Naturalnie Georgia miała swoje problemy - „wrzody na żołądku”, jak w okropny sposób określało się tego typu przypadłości - związane z kolorem skóry, faktem, że została adoptowana oraz ze swoim olśniewającym i odnoszącym sukcesy bratem. Ale, jak Linda usiłowała jej tłumaczyć w nieskończoność, żadna z tych rzeczy tak naprawdę nie była wadą, jeśli chodzi o sprawy zawodowe.

- W obecnych czasach jest mnóstwo czarnych aktorów, którzy odnoszą sukcesy...

- Och, naprawdę? Na przykład kto?

I oczywiście zaraz wychodziło na jaw, że wcale tak nie jest. Był Adrian Lester, a potem Sophie Okonedo i Chiwete Ejiofor... Ale potem lista nagle się urywała. Tak, byli czarni tancerze, wokaliści, ale nie aktorzy. Linda próbowała przemówić Georgii do rozsądku i namówić ją, żeby wystąpiła w chórkach w musicalach, ale ona nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Tańczę ohydnie, Linda, przecież o tym wiesz.

- Wcale nie! Może faktycznie nie na poziomie Covent Garden, ale jesteś znakomitą tancerką, poza tym masz świetny głos i wielkie doświadczenie; prawie na pewno dostaniesz rolę w *Chicago* albo we wznowieniu *Hair*, albo...

- Którą oddam najdalej po trzech dniach. Tak czy owak, nie chcę być tancerką. Chcę grać, rozumiesz?

Georgia wciąż jeszcze mieszkała w Cardiff, w domu przybranych rodziców. Ojciec był wykładowcą na Cardiff University, matka pracownicą socjalną; obydwójce należeli do uroczych, sympatyzujących z hipisami przedstawicieli klasy średniej i dość niepewnie odnosili się do ambicji ślicznych i utalentowanych kukulek, które znalazły się w ich gnieździe. Ich drugie dziecko Michael, także czarny i do tego czarniejszy niż Georgia, która tak naprawdę była mieszanej rasy - co także stało się przyczyną jej nerwic - był pięć lat starszy od siostry i prowadził praktykę adwokacką, świetnie radząc sobie na londyńskich salonach. Studiował w Cambridge, gdzie zyskał opinię nadzwyczaj mądrego.

No cóż, może ta produkcja okaże się wielką szansą Georgii, rozmyślała Linda, choć o wiele bardziej prawdopodobne było, że jednak nie. Postanowiła na razie o niczym Georgii nie mówić; biedaczka chyba nie zniosłaby kolejnego rozczarowania, gdyby tamci ludzie z firmy producenckiej nawet nie chcieli się z nią spotkać.

Ludzie - przynajmniej ci niezwiązani z branżą medyczną - zawsze reagowali w ten sam sposób, gdy słyszeli, czym Emma się zajmuje. „Pani nie wygląda na lekarza” - mówili lekko oskarżycielskim tonem, a wówczas uprzejmie pytała, jak ich zdaniem powinien wyglądać lekarz, choć oczywiście wiadomo było, co mieli na myśli. Większość doktorów prezentowała się całkiem inaczej niż Emma - błękitnooka, złotowłosa i nieodzownie piękna ze swoimi długimi i nadzwyczaj zgrabnymi nogami. Dość wcześnie zorientowała się, że ludzie mogliby traktować ją znacznie bardziej serio, gdyby wyglądała... no cóż, trochę poważniej. Teraz, jako że właśnie odbywała praktykę w szpitalu, nosiła dłuższe spódnice, no, przynajmniej do kolan, wiązała włosy w skromny kucyk i oczywiście nie przesadzała z makijażem, jednak wciąż bardziej przypominała pielęgniarkę w filmach z serii *Carry On* niż lekarza położnika, którym zamierzała w przyszłości zostać.

Obecnie była już starszą stażystką i pracowała w St. Marks Swindon, nowym i niezwykle nowoczesnym szpitalu, który Departament Zdrowia oddał do użytku na początku roku. Wiedziała, że ma sporo szczęścia, że ją tam przyjęto; ten szpital był nie tylko znakomicie zaprojektowany i wielooddziałowy, z doborową i wysoko wyspecjalizowaną kadrą lekarską, lecz także znajdował się niedaleko od Londynu, gdzie wcześniej się uczyła i gdzie miała mnóstwo przyjaciół.

Praca na oddziale pomocy doraźnej sprawiała jej prawdziwą przyjemność; jak dotąd był to jej ulubiony oddział, poza położnictwem naturalnie. Codziennie był inny, bo zawsze coś się działo. Owszem, od czasu do czasu człowiek musiał borykać się z czymś nieprzyjemnym - poważnym wypadkiem samochodowym, atakami serca i okropnymi wypadkami domowymi, na przykład poparzeniami - ale przez większość czasu wszystko układało się całkiem zwyczajnie. Takie doświadczenia bardzo łączyły ludzi; dzień po dniu dzielili ze sobą tak wiele, czasem pracując pod wielką presją, ale dzięki temu na oddziale wytworzyła się własna kultura i własny język, a przyjaźnie tam zawarte należały do tych dobrych i długotrwałych. Poza tym człowiek czuł, że robi coś ważnego, uzdrawiając ludzi, naprawiając ich tu i tam, co może brzmieć głupio i trochę sentymentalnie, jeśli chce się tę myśl ubrać w słowa, ale na litość boską, właśnie taki był powód, dla którego wybrała medycynę. To wydawało się o wiele bardziej satysfakcjonujące niż na przykład ortopedia, gdzie patrzyło się na ludzi ze straszliwie obolałymi biodrami i kręgosłupami, i wiadomo było, że upłyną całe miesiące, zanim ktoś będzie mógł w ogóle coś dla nich zrobić, i że z pewnością to nie będziesz ty.

Minęły już trzy z czterech ustawowych miesięcy, które spędziła na oddziale pomocy doraźnej jako starszy stażysta, i czuła, że myśl o przeniesieniu budzi w niej przerażenie. Zwłaszcza że następnym oddziałem miała być dermatologia, co wcale nie przemawiało jej do wyobraźni. Nawet przelotnie zastanawiała się, czy nie zostać lekarzem oddziału pomocy doraźnej, jak Alex Pritchard, jej obecny szef, ale on szybko ją przekonał, że to zabawa dla frajerów i że tu nigdy nie dorobi się prawdziwych pieniędzy.

- Niewielu prywatnych pacjentów przychodzi na ten oddział, a wszyscy wiemy, gdzie się zarabia pieniądze.

- Ale pieniądze to nie wszystko, prawda?

- Może spróbujesz powiedzieć to mojej żonie - zaproponował, marszcząc brwi, choć nigdy nie była pewna, czy on właśnie marszczy brwi, czy się do niej uśmiecha.

Należał do tych wielkich, niedźwiedziowatych facetów, z burzą ciemnych włosów i krzaczastymi brwiami, z osadzonymi głęboko piwnymi oczyma, które ponuro patrzyły na świat. Emma go uwielbiała, choć w owym czasie częściej marszczył brwi, niż się uśmiechał - podobno właśnie był w trakcie bardzo nieprzyjemnego rozwodu. Jednak dla niej stanowił ogromne wsparcie, chwalił ją za dobrą pracę i nie wahał się krytykować złej, a kiedy niepotrzebnie wycięła jednej z pacjentek zdrowy wyrostek, biorąc objawy IBS za ostre zapalenie, powiedział jej, że kiedyś, gdy jeszcze był młodszym chirurgiem, zrobił dokładnie to samo.

- Musisz pamiętać, że wszyscy popełniają błędy; jedyna różnica to ta, że lekarze swoje błędy chowają na cmentarzu - oświadczył pogodnie, gdy zastał ją szlochającą w łazience. - A ta kobieta jest daleka od tego, żeby ją pochować. Choć, biorąc pod uwagę jej wagę i dietę, jaką stosuje, to ta przyjemność niedługo ją spotka. Teraz wytrzymaj oczęta i idź porozmawiać z nią i jej przerażającym mężulkiem...

Jednak pierwszą i najważniejszą fascynacją Emmy nadal pozostało położnictwo. Postanowiła, że następnego lata zacznie się starać o wpisanie jej na listę lekarzy przygotowujących się do specjalizacji.

Emma miała dwadzieścia osiem lat i poza wyjątkową urodą cechowała ją nadzwyczaj radosna, otwarta osobowość. Wychowała się w Colchester, gdzie jej ojciec pracował w biurze finansowym, a matka była sekretarką w szkole podstawowej, do której uczęszczała Emma, jak również jej brat oraz siostra, zanim trafili do miejscowej szkoły średniej. Ich dzieciństwo należało do wyjątkowo szczęśliwych, jak często sama mówiła, wspominając zabawy, przyjęcia i przyjaciół. „Ale tata był bardzo ambitny, jeśli chodzi o nas, niemal staroświecki; zachęcał nas, żebyśmy ciężko pracowali i wysoko mierzyli”, dodawała.

Emma, najmądrzejsza z całej trójki, z pewnością spełniła ojcowskie marzenia. Najpierw zdobyła miejsce w Cambridge, potem ukończyła studia z pierwszą lokatą. W medycynie, uważanej za wyjątkowo ciężki kierunek, osiągnęła mniej więcej tyle, ile od niej oczekiwano. Nigdy nie zdarzyło się jej zastanawiać dłużej niż pięć minut, że może wolałaby zająć się czymś innym. Kochała medycynę i w związku z tym wszystko wydawało się proste. Każdy dzień - no, prawie każdy - sprawiał jej przyjemność, uważała swoje życie za wyjątkowo satysfakcjonujące i wciąż była bardzo ambitna.

Emma zerknęła na zegarek; dochodziła trzecia. Był piątek i czas zdawał się wlec w nieskończoność. Dziś pracowała na zmianie od ósmej rano do osiemnastej, a ten dzień upływał jakoś wyjątkowo powoli. Jutro pojedzie do Londynu i razem ze swoim chłopakiem wypuści się gdzieś na miasto. Spotykali się zaledwie od trzech miesięcy; był jej pierwszym partnerem, który nie miał nic wspólnego z medycyną. Poznała go w jednym z londyńskich barów; przysłała tam z grupą przyjaciół z uniwersytetu i wtedy okazało się, że jeden z nich, prawnik, zauważył swojego znajomego, z którym przez krótki czas pracował w tej samej firmie.

Nazywał się Luke Spencer i był zatrudniony w instytucji o nazwie Pulmann, zajmującej się doбором kadr zarządzających. Zarabiał sumy, które jej wydawały się niebotycznie wysokie, ale w pracy spędzał zatrważająco dużo czasu - niemal tak dużo jak ona, ale podczas gdy ona wracała zmęczona do domu, żeby zwinąć się przed telewizorem, Luke i jego koledzy chodzili na kolacje do ekstremalnie drogich restauracji, jak Gordon Ramsay i Petrus, albo modnych klubów, na przykład Bungalow 8, i Boujis, i Mahiki. Od czasu do czasu Emma i inne „ogony” - jak ku irytacji Emmy wyrażał się o nich Luke - również były zapraszane. Za pierwszym razem, gdy Luke zabrał ją do Boujis, Emma niemal płonęła z podekscytowania, prawie się spodziewając, że gdy tylko się odwróci, ujrzy przy jednym ze stolików księcia Harry'ego. Trudno było sobie wyobrazić, jakim cudem Luke i jego kumple znaleźli się na liście gości, którzy mieli wstęp do takiego lokalu.

Musiała przyznać, że ten związek całkiem jej odpowiada; Luke był fajny, dowcipny i zabawny, i rozrzucał garściami pieniądze, co według niej było całkiem miłe, bo rzadko kiedy oczekiwał, że ona zapłaci za siebie. Poza tym nosił ekstraciuchy, ciemne garnitury, różowe koszule i jedwabne krawaty, wiązane luźno w wielki węzeł. Sprawy wyglądu traktował bardzo poważnie. Dziś nie będzie miał na sobie garnituru, zreflektowała się, ponieważ był piątek, czyli dzień swobodnego stroju, i wtedy wszyscy wkładali drelichowe spodnie albo nawet zwykłe dzinsy. Oczywiście nie żadne stare dzinsy, ani nie żadne Gapa albo Levisa, lecz przynajmniej Ralph Lauren albo Dolce&Gabbana, a do tego wycięte pod szyję koszulki i buty z niewyprawionej skóry. Dla Emmy sprawa ubioru w taki czy inny dzień nie była czymś, co odgrywało wielką rolę w jej życiu.

Nie była pewna, czy naprawdę jest zakochana w Luke'u - choć zdecydowała, że raczej wolałaby być - a jeszcze mniej była przekonana, czy on jest zakochany w niej. Ich związek był dość świeży, jednak, jak dotąd, dobrze czuli się w swoim towarzystwie i Emma zwykle nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy. Uważała, że zachowuje się wspaniałomyślnie, bo zawsze starał się zabierać ją w naprawdę sympatyczne miejsca. Poza tym było jej przyjemnie, gdy dawał do zrozumienia, jak wielkim szacunkiem darzy jej pracę.

- To musi być absolutnie przerażające, mieć w swoich rękach życie i śmierć - mówił. - A chirurgia? Czy nie uważasz, że to straszne, ciąć żywe ciało?

Wyjaśniła, że wcale nie.

- Nawet za pierwszym razem? - dopytywał się, a ona tłumaczyła, że wtedy wszystko toczyło się tak wolno i pod tak dokładnym nadzorem, że ledwie sobie uświadamiała, że robi to pierwszy raz.

Tak, zdecydowanie czekała na spotkanie z Luke'em. Tym razem spędzą razem trochę więcej czasu, nie tylko sobotni wieczór, lecz także całą niedzielę, jak również niedzielną noc, ponieważ w szpitalu musiała pojawić się dopiero w poniedziałek, i to o dziesiątej rano. Mogła więc zostać u niego przez całe dwie noce - w apartamencie, który właściwie był nowoczesnym studio - co oznaczało, że będą uprawiać seks i że temu zajęciu poświęcą sporo czasu. Luke był całkiem niezły, jeśli chodzi o seks; miał inwencję i dużo, bardzo dużo energii, lecz jednocześnie był zaskakująco uważny i chętny, by zaspokajać jej potrzeby, myślała, uśmiechając się do siebie. Spojrzała na tekst SMS-a, którego przysłał jej dziś rano: „Cześć, skarbie! Czekam niecierpliwie na te wspólne dwie noce. Naprawdę! Poza tym mam dla ciebie nowinę. Uważaj na siebie. Luke xxx.”.

Zastanowiła się przelotnie, czego może dotyczyć ta nowina; prawdopodobnie chodzi o coś związanego z pracą. Zwykle tak właśnie było. Tak czy owak, jeszcze tylko siedem godzin... Jak dotąd na oddział trafiło parę dzieciaków ze złamanymi kośćmi, kilka wstrząsów, oraz chłopak w wieku siedemnastu lat, który uskarżał się na straszny ból brzucha. Okazało się, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wypił dwie butelki wódki, trzy wina i olbrzymią ilość piw, świętując w ten sposób zdane szczęśliwie egzaminy na zakończenie szkoły średniej, i wydawał się dość zaskoczony, że może to mieć jakiś związek ze stanem jego zdrowia. Poza tym, jak zwykle zjawilo się paru stałych klientów. Wszystkie oddziały pomocy doraźnej mają takich gości, jak wyjaśnił Alex Pritchard już pierwszego dnia, kiedy Emma zgłosiła się do pracy. Upierdliwi Nudziarze, jak ich nazywano, przychodzili setki razy, skarżąc się na te same dolegliwości rąk i nóg, te same kłopoty z oddychaniem, te same mordercze bóle głowy. Większość z nich przyjmował lekarz dyżurny, który znał ich przypadłości i zawsze traktował w dość uprzejmy sposób. Emma początkowo czuła, że sama mogłaby potraktować ich bardziej obsesowo, ponieważ, jej zdaniem, marnowali czas i środki finansowe publicznej służby zdrowia, ale zaraz poinformowano ją, że nie na tym polega medycyna.

- Zwłaszcza w dzisiejszych czasach - powiedział Pritchard. - Ludzie od razu wnoszą skargę do sądu, a wtedy nasze szanse są pół na pół. Cholerny absurd! - zachnął się, bo akurat wypadał jeden z tych dni, kiedy na wszystkich patrzył wilkiem.

No dobrze, może nie wyglądam na lekarza, myślała Emma, ale z pewnością zaczynam tak się czuć. I nawet mądrzę się jak lekarz, jak oświadczył pewnego razu Luke, kiedy zmagął się ze szczególnie uporczywym kacem, a ona dziarsko rozprawiała się z jego osobistymi sposobami kuracji tej przypadłości, co mniej więcej sprowadzało się do teorii, że klina należy wybić klinem.

- Luke, ty zwyczajnie się zatrujesz, a łykając więcej trucizny w niczym sobie nie pomożesz. To kompletny nonsens. Jediną kuracją jest czas i mnóstwo wody, żeby przeciwdziałać odwodnieniu.

To wcale mu się nie spodobało; wiedza na różne tematy oraz podejmowanie decyzji to jego specjalność.

- Jeśli przyjdzie mi ochota zasięgnąć opinii lekarza, to sam wiem, gdzie się po nią zwrócić - burknął, demonstrując rzadki w jego wypadku napad złego humoru. - Nie potrzebuję, żeby ktoś truł mi o tym w moim własnym domu. Wielkie dzięki, Emmo.

Potem nalał sobie sporą szklankę Krwawej Mary, żeby wypić ją przy śniadaniu, składającym się z jajeczniczy na bekonie.

Alex Pritchard, który uwielbiał Emmę i nigdy nie miał okazji poznać Luke'a, ale słyszał o nim więcej, niżby sobie życzył i w głębi ducha uważał go za strasznego prostaka, mógłby potraktować to jako dowód - zupełnie jakby trzeba mu było dowodu - jego nadzwyczaj niskiej inteligencji.

ROZDZIAŁ 3

Sprawą, która najmocniej zajmowała Laurę, kiedy długie, słoneczne wakacje powoli zmierzały ku końcowi, było przyjęcie niespodzianka, jakim zamierzała uczcić urodziny Jonathana. Na początku października kończył czterdzieści lat i kilka razy napomknął, że nie zamierza urządzać z tej okazji żadnych specjalnych uroczystości.

- Po pierwsze, bardziej mi z tego powodu do płaczu niż do śmiechu, a po drugie uważam, że takie wielkie obchody okrągłych urodzin są strasznie krępujące. Nie, kochanie, lepiej spędźmy ten dzień w rodzinnym gronie. Tobie też będzie łatwiej, bo oszczędzisz sobie stresu, prawda?

Laura skinęła głową, za plecami na wszelki wypadek krzyżując dwa palce, ponieważ to, co zaplanowała, nieco różniło się od rodzinnego grona. Zaprosiła najbliższych przyjaciół, mniej więcej dwanaście par albo coś koło tego, oczywiście razem z dziećmi. Była pewna, że Jonathan doceni dobrą zabawę i że w głębi ducha na pewno by żałował, gdyby rzeczywiście nie odbyło się żadne przyjęcie. Jak dotąd, przygotowania przebiegały raczej pomyślnie. Catering załatwiła jeszcze przed ich powrotem z Francji; Serena Edwards została zwerbowana w charakterze pomocnika do spraw kwiatów i dekoracji (na szczęście urodziny wypadły w sobotę, kiedy Jonathan dyżurował pod telefonem), a Mark, mąż Sereny, układał listę przebojów oraz załatwiał i przechowywał zapasy wina. Na szczęście każdy z zaproszonych mógł przyjść; Serena i Mark zostali wykorzystani także w charakterze pułapki - zaprosili ich oboje do siebie na drinka, żeby potem w odpowiednim momencie wysłać ich do domu na rzekomo rodzinną kolację. Wszystkie dzieci zostały dopuszczone do sekretu i uważały całą imprezę za niezwykle ekscytującą.

Czy go pozna? Oczywiście, że tak! Na podstawie zdjęć. Tyle tylko, że ludzie w rzeczywistości wyglądają inaczej niż na fotografiach, a przez te wszystkie lata Russell z pewnością przysyłał jej te najbardziej udane.

Wielki dzień był już całkiem blisko; musi minąć jeszcze tylko dwa i pół tygodnia. Kiedy już spotkają się na Heathrow - z pewnych powodów uparła się, żeby spotkanie nastąpiło właśnie tam, na neutralnym gruncie - pojedą we dwoje do Londynu, gdzie on zarezerwował pokoje w Dorchester („Dwa pokoje, moja najdroższa

Mary, nic się nie bój. Wiem przecież, że jesteś porządną dziewczynką".) i gdzie zostaną przez dwa dni, żeby na nowo się poznać. „A później, jeśli naprawdę ci się nie spodoba, wrócisz do siebie, do Bristolu, a ja pojedę do Nowego Jorku i nikomu nie stanie się krzywda”.

Co prawda, ona wciąż uważała, że komuś może stać się krzywda, i to całkiem poważna, ale była zbyt podekscytowana, żeby zawracać tym sobie głowę.

Nikomu nie mówiła o swoich planach. Nie chciała, żeby ktoś jej dokuczał ani uważał ją za zwariowaną starszą panią. Jedyne jej ukochana córka Christine i garstka przyjaciół wiedziały, że wybiera się do Londynu na spotkanie z przyjacielem jeszcze z czasów wojny, co zresztą było szczerą prawdą.

Na wszelki wypadek sprawiła sobie kilka nowych, eleganckich strojów od Jaegera - od Jaegera, ona! - gdzie usłużna sprzedawczyni pomogła wybrać dzierganą garsonkę w granatowym kolorze z wykończeniem z białej lamówki, oraz bardzo prostą, czarną sukienkę z długimi rękawami; potem zdobyła się na odwagę i spytała Karen, jedyną młodą stylistkę w swoim salonie fryzjerskim, czy cokolwiek da się zrobić z jej włosami, żeby wyglądały odrobinę lepiej.

- No cóż, skarbie, jeśli chodzi o kolor, to raczej niewiele - odparła Karen, z uwagą przyglądając się odbiciu Mary w lustrze, podczas gdy jej własna karmazynowo-biała grzywka uparcie opadała jej na oczy. - Choć możemy spróbować płukanki, to powinno je nieco rozjaśnić. A może wolisz balejaż? - dodała, bez wahania podejmując niewątpliwe wyzwanie. - Poza tym, sądzę, że powinnaś nosić je gładko zaczesane. O, tak jak tu - dorzuciła i podsunęła Mary przed oczy najnowsze wydanie „HELLO!” z fotografią Honor Blackman.

Mary ze zdumieniem słuchała samej siebie, jak wyraża zgodę na zmiany; ostatecznie Honor Blackman była prawie w tym samym wieku, co ona.

- Rozumiem, że szykujesz się do spotkania z kimś wyjątkowym... Chcę tylko wiedzieć, kiedy? - spytała Karen, przerzucając kolorowe kartki w poszukiwaniu inspiracji.

- Ależ nie, skąd! - zawołała prędko Mary. - To tylko przyjaciółka z dawnych czasów. Chodzi o to, że ona jest taką... taką dość elegancką kobietą.

- Mary, ty też będziesz elegancka, kiedy z tobą skończę - obiecała Karen. - A teraz pozwól, że narzucę ci pelerynę i zaczniemy od koloru. Na początku bardzo delikatnie, a jeśli ci się spodoba, spróbujemy trochę mocniej. Więc kiedy planujesz tę podróż?

- Och, na pewno nie podczas najbliższych dwóch tygodni - odparła Mary.

- Doskonale. W takim razie jest dość czasu, żeby coś wybrać, zobaczyć, jak ci się to spodoba, a potem ewentualnie poprawić.

- A jeśli mi się nie spodoba?

- Zawsze możesz wrócić do dawnego stylu. To nie problem.

- A niech ją! - zawołała Karen, uśmiechając się od ucha do ucha, kiedy Mary wyszła z salonu po pierwszej sesji. - To wymagało sporej odwagi, ale tylko popatrzcie na nią. Od razu wygląda o pięć lat młodziej.

Mary i Russell poznali się w autobusie; on był na czterdziestoosmiodzinnej przepustce i koniecznie chciał zwiedzić opactwo Westminster - „gdzie spoczywają królowie i najwięksi obywatele Anglii”, jak przeczytał w swojej broszurce.

Broszurka nosiła tytuł *Instrukcje dla żołnierzy amerykańskich, stacjonujących w Wielkiej Brytanii w 1942* i otrzymywali ją wszyscy żołnierze, którzy wyjeżdżali do Europy. Zawierała mnóstwo cynicznych komentarzy dotyczących transportów, łącznie z ostrzeżeniami, że hitlerowscy spece od propagandy uważają za swój główny obowiązek „poróżnienie Amerykanów i Brytyjczyków i zasianie nieufności pomiędzy nimi”. „Jeśli ten zamysł się powiedzie, może się okazać, że Hitler ma jeszcze całkiem spore szanse na zwycięstwo”, głosiła surowo broszurka.

Na końcu zamieszczono mnóstwo różnego rodzaju ostrzeżeń: nie wolno używać amerykańskiego slangu, żeby nikogo nie obrazić - „*shit* to jedno z ich najgorszych przekleństw”; nie wolno się popisywać ani przechwalać, ponieważ „i pensje Amerykanów, i żołd amerykańskich żołnierzy należą do najwyższych na świecie i brytyjscy «tommy's» są szczególnie przeczuleni na punkcie różnic pomiędzy naszymi a ich zarobkami”. I jeszcze, że Brytyjczycy chlubią się raczej wiekiem niż rozmiarem - nie posiadają „największych rzeczy na świecie”, tak jak my.

Autorzy uprzedzali jeszcze, żeby nie pić ciepłego piwa, nie stroić sobie żartów z akcentu Brytyjczyków i - co zdaniem Russella było szczególnie istotne - mieć na uwadze ich wyjątkową rezerwę w sposobie bycia. Żołnierze w żadnym wypadku nie powinni naruszać prywatności Brytyjczyków, którą tamci niezwykle sobie cenią; naturalnie również nie powinni oczekiwać, że jakaś przypadkowa osoba w autobusie czy w pociągu pozwoli wciągnąć się do rozmowy...

Autobus, do którego wsiadł, jechał właśnie wzdłuż Regent Street i zatrzymał się w połowie ulicy. Na przystanku do środka weszło kilka osób i po chwili Russell zorientował się, że tuż obok niego stoi jakaś dziewczyna; niezgrabnie podniósł się z miejsca i zdjął czapkę.

- Proszę usiąść, madam - powiedział z uszanowaniem.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego - była bardzo ładną, drobniutką i schludnie ubraną osóbką z kręconymi włosami w brązowym kolorze, o wielkich, niebieskich oczach - podziękowała i bezzwłocznie zagłębiła się w lekturze listu, który wyjęła z kieszeni.

Autobus zatrzymał się na Piccadilly Circus.

- Widzisz? - Jakiś starszy mężczyzna trącił łokciem swojego sąsiada, pokazując coś za oknem. - Zabrali Erosa. Pewnie żeby żaden Szwab przypadkiem w niego nie trafił.

- No i diabli z nim, jeśli o mnie chodzi - odezwała się siedząca z tyłu kobieta i wszyscy zarechotali.

Autobus kontynuował rundę dookoła Trafalgar Square i Russell wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na Kolumnę Nelsona, zastanawiając się jednocześnie, czy ona także może stać się ofiarą niemieckich ataków. Autobus właśnie dotarł do Whitehall; mniej więcej w połowie drogi stała ściana worków z piaskiem, zasłaniając wjazd na Downing Street, o czym uprzejmie poinformował wszystkich pasażerów jeden ze starszków.

- Niech dobry Bóg ochrania mister Churchilla - powiedział na cały głos i zaraz rozległ się szmer ogólnej aprobaty.

Wszyscy, jak się wydawało, byli w pogodnych nastrojach. Russell, przyglądając się nie tylko współtowarzyszom podróży, lecz także ludziom na ulicy - mężczyznom idącym sprężystym krokiem, dziewczętom z tlenionymi włosami - był zdumiony, że miasto wygląda tak normalnie, choć na tej wojnie zginęły już tysiące brytyjskich cywilów, a Londyn nocami nękany jest przez naloty bombowców. Zgoda, było trochę zniszczeń,

przechodnie na wszelki wypadek nosili ze sobą wszechobecne maski gazowe, ale w tym uroczym, wiosennym dniu w powietrzu wyczuwało się niemal namacalny optymizm. Nagle autobus znów się zatrzymał.

- Opactwo Westminster! - krzyknęła konduktorka.

Russell zdążył postawić nogę na chodniku, zanim uświadomił sobie, że ta dziewczyna, której ustąpił miejsca, również wysiadła i teraz z wyraźnym rozbawieniem przygląda mu się błękitnymi oczyma.

- Czy idzie pan do opactwa? - spytała.

- Tak, madam.

- Wie pan co? My rozmawiamy z cudzoziemcami. Od czasu do czasu. Na przykład wtedy, kiedy są uprzejmi i ustąpią nam miejsca w autobusie. Założę się, że powiedziano panu, że my nigdy z nikim nie rozmawiamy.

- Owszem, madam.

- No cóż, otóż rozmawiamy, jak pan widzi albo raczej słyszy. Opactwo jest po lewej pana stronie, widzi pan? A za pańskimi plecami znajduje się budynek Parlamentu. Opactwo jest naprawdę prześliczne. Życzę miłego dnia, panie... Panie...

- Mackenzie. Dziękuję, madam. Bardzo pani dziękuję.

Jej rozbawienie, gdy potwierdził to, co mu powiedziano na temat jej rodaków, obudziło między nimi szczególnego rodzaju sympatię; teraz już nie wydawało mu się zbytnią impertynencją zapytać ją, czy bardzo się spieszy; a kiedy odparła, że nie, bo nie ma nic konkretnego do załatwienia, poprosił, by zechciała poświęcić mu parę minut, weszła z nim do opactwa i pokazała mu rzeczy naprawdę warte zapamiętania, na przykład, gdzie koronowano królów i królowe Anglii.

Odpowiedziała, że ma parę minut - „ale nie więcej niż dziesięć” - i we dwoje wkroczyli w ogromną przestrzeń.

Zaprowadziła go tam, gdzie znajduje się Kącik Poetów; wskazała słynny kamień koronacyjny pod krzesłem koronacyjnym, a następnie skierowała go do podziemnych krypt, gdzie mógł zobaczyć nagrobki sławnych osobistości, począwszy od roku tysiąc sześćdziesiątego szóstego.

- Sama nigdy nie byłam tam na dole, chociaż bardzo chciałabym pójść. Wie pan, tam leży Szekspir, i Samuel Johnson, i Chaucer...

- Chaucer? Chyba chce mnie pani nabrać.

Znów zachichotała, a w błękitnych oczach pojawił się psotny chochlik.

- Nigdy nie przypuszczałam, że naprawdę ktoś tak mówi.

- Jak?

- „Chce mnie pani nabrać”. Podobno mówicie także „cholernie dobre przedstawienie” i „no to lu, stary”.

Osobiście nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak się wyrażał, ale może to prawda.

- Może - odparł.

Nagle poczuł się nieco zdezorientowany jej zachowaniem, niemal oczarowany.

- Niech pan posłucha, teraz naprawdę muszę już wracać do pracy. Pracuję w banku, niedaleko stąd, przy tej samej ulicy, ale wygląda na to, że się spóźnię.

- O której...

Czy mógł zadać jej to pytanie? Może będzie uważała, że próbuje się jej narzucać, ale... No cóż, to chyba żadna obraza...

- ...pani kończy?

Zaryzykował i chyba się udało. Nie sprawiała wrażenia osoby, która ma coś przeciwko temu.

- O piątej. Ale potem muszę iść prosto do domu, ponieważ obowiązuje zaciemnienie, no i mogą spaść bomby, i tak dalej...

- Tak, naturalnie... W takim wypadku może innym razem, panno... Panno...

- Jennings. Mary Jennings. Tak. Innym razem.

A potem, ponieważ wiedział, że teraz albo nigdy, bo dużo czasu minie, zanim dostanie następną przepustkę na czterdzieści osiem godzin, znów zebrał się na odwagę.

- Jeśli zechce pani oprowadzić mnie po tych grobach przez pół godziny albo trochę dłużej, potem mógłbym... Mógłbym odprowadzić panią do domu. Pomimo zaciemnienia. Jeśli to pomoże...

- Nie mógłby pan, panie Mackenzie. Mieszkam spory kawał drogi od Londynu, w miejscowości zwanej Ealing. W życiu nie trafiłby pan z powrotem.

- Owszem - odparł, bo jej słowa go ubodły. - Oczywiście, że bym trafił. Ostatecznie trafiłem tutaj aż ze Stanów Zjednoczonych, prawda?

- Pomyślałabym, że to raczej Armia Stanów Zjednoczonych wykonała za pana to zadanie. Proszę mi wybaczyć, nie chciałam być nieuprzejma. Gdzie stacjonuje pańska jednostka?

- Och, w Middlesex.

Rozdzielił to słowo na pół, co nadało mu nieco egzotyczne zabarwienie.

- W Northold - dodał.

- Prawdę powiedziawszy, to całkiem niedaleko od Ealing. Kilka przystanków dalej metrem.

- Tak? Co pani powie?

- Boże, znowu pan to zrobił - zachichotała.

- Czyli co?

- To powiedzenie: „Co pani powie”. To strasznie... Strasznie zabawne, kiedy się tego słucha. Brzmi jak wyświechtany frazes... Przepraszam, nie chciałam, żeby to wypadło tak niegrzecznie. Nie miałam zamiaru pana urazić.

- W porządku, nie ma sprawy. Ale może w ramach cementowania przyjaźni angielsko-amerykańskiej jednak zgodzi się pani spotkać ze mną? Najwyżej na pół godziny.

- Może się zgodzę. Oczywiście w imię przyjaźni angielsko-amerykańskiej. - Znów się uśmiechnęła. - No cóż... W takim razie spotkajmy się tutaj dziesięć po piątej. A teraz muszę pędzić. To do zobaczenia.

I odeszła, na wpół biegnąc, na pożegnanie obrzucając go przelotnym, pełnym słodczy uśmiechem, a jej brązowe loki powiewały za nią w lekkich podmuchach wiosennego wietrzyka.

Tak to się zaczęło - ich romans. Romans, który, co wydawało się najcudowniejsze, może jeszcze wcale nie dobiegł końca...

Patrick Connell był zmęczony i miał wszystkiego dość. Zatrzymał się na krótki postój w knajpcie przy autostradzie, gdzie właśnie popijał wyjątkowo paskudną kawę. Dlaczego nikt nie pomyśli o tym, że można dostarczać trochę lepszy towar kierowcom ciężarówek? Ktoś mógłby zbić na tym fortunę.

W obecnych dniach życie na drodze nie należało do przyjemności, natomiast do przeszłości należały czasy, gdy w tym fachu można się było dorobić. Teraz zezwalano pracować jedynie przez czterdzieści osiem godzin w tygodniu, włączając w to przerwy na odpoczynek oraz przymusowe postoje w korkach, a korki robiły się coraz gorsze i gorsze...

Poza tym pojawił się problem ze snaniem.

Powoli jego życie zaczynało przypominać koszmar na jawie. Ta przypadłość codziennie dopadała go coraz wcześniej - przerażająca, ociążała senność, która, jak dobrze wiedział, czyniła go niebezpiecznym dla innych użytkowników dróg. Nawet gdy przespał dobrze noc i wcześniej wyruszał w trasę, potrafiła dopaść go już w połowie poranka; czuł, że nadchodzą nieubłagane zawroty głowy, więc zmuszał się do koncentracji, podkręcał radio i jadł słodczy - nic nie pomagało.

Przed tygodniem nawet wybrał się do lekarza - oczywiście o niczym nie mówiąc Maeve, bo wiedział, że ona uwielbia zamartwiać się byle czym - żeby przekonać się, czy dostanie na to jakieś lekarstwo. Doktor okazał się życzliwy i ze zrozumieniem odniósł się do problemu, ale niczego nie przepisał.

- Panie Connell, jeśli dam panu proszki na pobudzenie organizmu, to ich działanie przypadnie na późniejsze godziny i w konsekwencji nie będzie mógł pan spać następnej nocy, a to raczej panu nie pomoże, prawda? Mam wrażenie, że powinien pan zmienić pracę, robić coś całkiem innego. Czy zastanawiał się pan nad tym?

I odprawił Patricka z tą całkiem nieprzydatną poradą; skończyło się na tym, że Connell nadal musiał łykać swoje pro plus, żłopać red bulla, wsuwać słodczy i walczyć, żeby jakoś przetrwać.

Wszyscy uważają, że kierowcy ciężarówek mogą popyłać z taką prędkością, na jaką akurat mają ochotę... wszyscy są w błędzie. Ciężarówka sama tego pilnuje; regulator w pompie paliwowej przepuszcza dokładnie taką ilość paliwa, żeby umożliwić jazdę z przepisową prędkością i ani odrobiny więcej. Niektórzy zagraniczni kierowcy usuwają bezpiecznik albo przystosowują pompę, ale Patrick nawet nie marzył o takim rozwiązaniu. Nie warto. Bo jeśli złapią, natychmiast traci się licencję. Poza tym w kabinie jest zamontowany tachograf, a on mówi wszystko: ile godzin się przejechało, jak długie były postoje, czy w ogóle dodawało się gazu. Tak więc często kończyło się na tym, że człowiek tkwił w jakimś zakazanym miejscu i nie mógł się ruszyć, bo właśnie wyrobił przepisowe godziny, choć mógł je stracić na zwykłym staniu w korkach, a nie dlatego, że przejechał dłuższy odcinek.

W tej chwili Patrick bardziej niż za czymkolwiek tęsknił za prysznicem, goleniem i możliwością zmiany ciuchów. Życie na drodze nie zostawia miejsca na przesadną higienę osobistą. W każdym razie nie na terenie Anglii; w Europie było z tym o niebo lepiej. Podobnie jak z jedzeniem, nie wspominając o kawie...

ROZDZIAŁ 4

- Cóż to było za przepiękne lato. - Jonathan uśmiechnął się do Laury, wznosząc toast kieliszkiem sauvignon.

- Tak - odpowiedziała. - Rzeczywiście. Ale tutaj też jest miło. Akurat na nasz powrót.

- Myślałem, że może w przyszłości zaczniemy spędzać we Francji także Wielkanoc.

- No cóż... To byłoby uroczo, tyle że...

- Że co?

- Widzisz Jonathan, chodzi o to, że dzieci dorastają tak szybko, mają swoje życie i w pewnej chwili może się okazać, że wolą zostać tutaj, ze swoimi przyjaciółmi.

- Mogą być z nimi przez całą resztę roku - odparł tonem, który świadczył o lekkiej irytacji.

- Wiem, ale...

Stopniowo zamilkła. Jak wytłumaczyć, że kilkutygodniowy pobyt na położonej na odludziu, choć niewątpliwie uroczej farmie nie jest tym, czego potrzebuje dorastająca młodzież? Miała nadzieję, że Jonathan sam dojdzie do takiego wniosku, ale najwyraźniej nie zanosilo się na to.

Należał do ludzi obdarzonych silną potrzebą kontrolowania: wszystko musiało być tak, jak sobie wymyślił. Ale Laura zdążyła zauważyć, że Charlie zaczyna się buntować przeciwko ojcowskiej dominacji. Oczywiście dziewczęta, choć na razie słodkie i posłuszne, w końcu nieuchronnie osiągną ten sam punkt... Na razie jednak nie doszło do żadnego spięcia, a Laura zawsze wykazywała skłonność do ignorowania trudnych sytuacji. Zastanawiała się nawet nad urodzeniem jeszcze jednego dziecka, żeby mieć pewność, że przynajmniej część rodziny będzie skłonna do ustępstw, lecz niemowlęta należały do raczej mało uległych stworzeń, a Jonathan uważał je za dość wymagające i trudne we współżyciu. Pewnie najlepszym rozwiązaniem jest cieszyć się obecną sytuacją, która wydawała się niemal bliska doskonałości.

- Och, mam nadzieję, że to się jakoś ułoży, skarbie - powiedział. - Wygląda na to, że w czwartek w nocy będę poza domem. W Birmingham ma się odbyć wielki zjazd: jeden ze starych kumpli z medycyny przechodzi do biznesu farmaceutycznego. Chyba wydaje mu się, że będzie mógł liczyć na lepszą frekwencję, jeśli akurat to ja wygłoszę przemówienie.

- I ma rację - odparła, uśmiechając się do niego. - Jesteś prawdziwym wabikiem, jeśli chodzi o te sprawy. Wyrobiłeś sobie nazwisko. Muszę przyznać, że byłam bardzo dumna z ciebie na konferencji w Bostonie. Świetnie się tam czułam z tobą. Może i tym razem będę mogła pojechać...

- Kochanie, nie sądzę, żeby Birmingham można było porównać z Bostonem. Nie warto nawet tracić czasu na pakowanie torby...

- Ależ to nie kłopot - przerwała mu. - Oczywiście, jeśli chcesz, żebym pojechała.

- Skarbie, nawet się nad tym nie zastanawiałem. Wydawało mi się, że masz dość roboty, żeby przygotować dzieci do szkoły i spotkać się z tą wariatką z Wiltshire w sprawie udekorowania jej domu na Boże Narodzenie. Co za idiotyczny pomysł! Płacić komuś, żeby zawiesił parę łańcuchów i kolorowe światełka.

- Jonathanie! - Laura poczuła się niemal urażona. - Nie każdy ma czas, żeby osobiście się tym zająć. A jeśli chodzi o projekty... Właśnie od tego jestem.

- Oczywiście, najdroższa. Bardzo przepraszam, to było głupie z mojej strony. Na pewno wszystko wyjdzie pięknie, jeśli ty się tym zajmiesz. Czy masz już jakieś pomysły? Chętnie je poznam, wiesz przecież.

Czasami właśnie tak robił - okazywał zainteresowanie tym, co robiła. Jasne, że było udawane, tak naprawdę guzik go obchodziło, czy dom w Wiltshire jest opleciony drutem kolczastym, czy nie, ale takie zainteresowanie wydało się jej naprawdę słodkie. W ogóle Jonathan był słodki... Mogła uważać się za bardzo, ale to bardzo szczęśliwą kobietę.

* * *

Georgia знаła już na pamięć niemal każde słowo każdej postaci. Linda miała rację: to była fantastyczna rola. Serial okazał się thrillerem opowiadającym historię pewnej babci, która pewnego dnia znika z rodzinnego domu, nie pozostawiając żadnych śladów. Mogła po prostu odejść, ulec wypadkowi albo zostać zamordowana. Dla Georgii była przewidziana rola wnuczki Rose, szczególnie blisko związanej z zaginioną babcią, wściekłej na ojca, który nie doceniał starszej pani i próbował ją terroryzować, i przekonanej, że on na pewno ma coś wspólnego z jej zniknięciem. Im dłużej Georgia czytała scenariusz, tym większe podekscytowanie ją ogarniało. Naprawdę czuła, że grając tę postać, mogłaby stworzyć prawdziwą kreację, i po prostu nie potrafiła już myśleć o niczym innym.

Pierwsze przesłuchanie przewidziano w piątek za tydzień, w biurze kierownika castingu. Z pewnością przyjadą tłumy dziewczyn, wszystkie między dwudziestką a trzydziestką. Choć było trudno, to Georgia mniej przejmowała się pierwszym etapem niż kolejnymi: kosztował ją mniej nerwów, szansa otrzymania roli wydawała się naprawdę odległą i w sumie można było podejść do sprawy na luzie.

Najpierw uderzało ją, jak wiele dziewczyn tam czeka, a wszystkie wyglądają prawie tak jak ona. Mimo że to było logiczne, zawsze czuła się zaskoczona. Zaraz potem była niezmiennie przekonana, że wszystkie są o wiele ładniejsze od niej.

Potem następowała seria niezręcznych pogawędek, przy czym najdłuższa z dziewczyną stojącą najbliżej: „Cześć, co słyhać, czym się zajmujesz, jaka ładna sukienka/buty/fryzura”. Później było długie oczekiwanie, gdy tamta grała swój kawałek, i w końcu wychodziła - z uśmiechem na ustach, albo niemożliwie spięta. Wreszcie wzywano cię do środka i wtedy się zaczynało. Na tym etapie na scenie zwykle byłeś tylko ty i kierownik castingu, który razem z tobą czytał wybraną scenę, naturalnie przy włączonej kamerze. Później czekało się i czekało... Telefon odzywał się zwykle w ciągu najdalej dwóch dni; jeśli nie, można było zapomnieć o całej sprawie. A jeśli tak, to drugie przesłuchanie było o wiele bardziej stresujące: wiedziałas, że twoja osoba wzbudziła zainteresowanie, więc napięcie od razu rosło. A oprócz ciebie nadal było tam pięć albo siedem, albo nawet osiem kandydatek. Wydawało się, że wszystkie są znacznie lepsze od ciebie. Robiło ci się niedobrze ze zdenerwowania, kiedy całymi dniami czekałaś na telefon. Dość często, gdy w grę wchodziła duża rola - taka właśnie, jak ta - był jeszcze trzeci telefon, z zaproszeniem na przesłuchanie, gdzie wybór został ograniczony do dwóch kandydatek. I to była prawdziwa męka.

Ale... Georgia czuła, że wszystko będzie bez znaczenia, jeśli tylko dostanie tę rolę. Wreszcie znajdzie się na najlepszej drodze do zrobienia kariery. A Linda najwyraźniej naprawdę uważała, że ona ma całkiem spore szanse.

- Potrafisz grać. Znakomicie wyglądasz. I z pewnością masz takie predyspozycje, jakich właśnie szukają. Czy chcesz przyjechać dzień wcześniej i zanocować u mnie?

- Nie - odpowiedziała prędko Georgia. - To bardzo miłe z twojej strony, ale z samego rana złapię autobus z Cardiff.

Nie chciała zatrzymywać się u Lindy; Linda była bardzo uprzejma i naprawdę ją lubiła, ale jej mieszkanie było zbyt perfekcyjnie urządzone i Georgia dosłownie bała się tam ruszyć, żeby nie nabałaganić albo czegoś nie przewrócić. Przesłuchanie powinno rozpocząć się o trzeciej trzydzieści; miała mnóstwo czasu, żeby spokojnie dotrzeć do Londynu.

- W porządku - oświadczyła Linda. - Oczywiście, jeśli się nie spóźnisz.

- Linda! Czy naprawdę myślisz, że mogłabym się spóźnić, przegapić taką okazję?! Jeśli faktycznie uważasz, że mam jakieś szanse...

- Tak, Georgia, tak właśnie uważam. Ale pamiętaj, że przyjedzie mnóstwo innych dziewczyn. Co sądzisz o scenariuszu?

- Moim zdaniem jest wspaniały.

- Moim też. Reżyserować będzie Bryn Merrick. Powinien wyjść z tego doskonały film.

To było absolutnie zdumiewające, naprawdę. Rzeczywiście miała szansę dostać rolę w znakomitym, wysoce artystycznym serialu Channel Four, w dodatku reżyserowanym przez jednego z najbardziej nagradzanych ludzi z branży. Miała szansę...

Georgia wróciła do swojej roli.

- To już całkiem niedługo, Toby - powiedział Barney.

- Tak, całkiem niedługo...

Zapadła cisza. Kawalerski weekend udał się nadzwyczaj dobrze; zaliczyli wszystkie turystyczne atrakcje Nowego Jorku, Barney zdołał nawet zorganizować Toby'emu wejście na stripogram Marilyn Monroe, gdzie dostali parę jej naprawdę fajnych fotek. Toby nieźle się nad nimi napocił i potem kazał im wszystkim przysiąc, że Tamara nigdy się o tym nie dowie ani nie zobaczy żadnego ze zdjęć.

Zdaje się, że panieński wyjazd Tamary nie okazał się wielkim sukcesem; Amanda lojalnie unikała rozmów na ten temat, ale nawet ona przyznała, że weekend bez alkoholu w jednym z ustronnych spa w pobliżu Madrytu, choć doskonały, jeśli chodzi o zabiegi i spędzony w niezłym towarzystwie znakomitej klienteli, miał jednak niewiele wspólnego z radosną, beztruską zabawą.

Kilka dziewczyn sugerowało, żeby wyrwać się na wycieczkę do miasta, coś zjeść albo powłóczyć się po klubach, ale Tamara nieco oschłym tonem zauważyła, że oczywiście mogą robić to, na co mają ochotę, jednak dla niej ten weekend miał być czymś w rodzaju odbywanego w luksusowych warunkach detoksu, więc nie chce zmarnować jego dobroczynnych skutków, spędzając noc na rozrywkach, którym ostatecznie oddają się w Londynie przez okrągły rok.

W miarę jak zbliżała się data ślubu, Tamara stawała się coraz bardziej zazdrosna o Toby'ego, odbierając mu wszelkie namiastki wolności osobistej; ciągłymi telefonami przerywała mu kolacje z klientami, niestrudzenie przysyłała nieskończoną ilość maili z pytaniami o absurdalnie nieistotne detale dotyczące przygotowań do wesela, a nawet zdarzało się, że w samym środku poranka zjawiała się przy jego biurku, dzierżąc w garści kilka krawatów, żeby się zastanowił, który powinien wybrać. Amanda niestrudzenie starała się znaleźć jakieś wytłumaczenie i przedstawić je Barneyowi.

- Kochanie, wiem, że ona trochę przesadza, ale chociaż wygląda na taką oziębłą i pozbieraną, to w głębi duszy cała jest kłębkim nerwów. Przeraza ją sama myśl, że coś mogłoby się nie udać i czuje się lepiej tylko wtedy, kiedy Toby jest w pobliżu.

Barney nie ufał sobie na tyle, żeby coś odpowiedzieć.

Właściwie Emma nie była pewna, z jakimi uczuciami przyjęła nowiny Luke'a, które sprowadzały się do tego, że jej luby wyjeżdża na sześć miesięcy do Mediolanu - tymczasowo, tak brzmiało to słowo - żeby pracować w jakiejś fabryce samochodów o nazwie Becella.

- To najlepsze auta na świecie, wiesz przecież. Dopóki tam będę, dostanę jedno do dyspozycji.

- To cudownie.

- Tak, Emmo, trafia mi się naprawdę fantastyczna okazja. Pękam z dumy, że wybrali akurat mnie.

Znów powiedziała, że to wspaniale, tak, naprawdę super, gratuluje mu, choć w głębi duszy się zastanawiała, czy on aby nie zamierza jej powiedzieć, że jego zdaniem powinni przestać się widywać jeszcze zanim wyjedzie, a wtedy on odparł, że od początku wiedział, że ona się ucieszy, i że oczywiście będzie mnóstwo razy przyjeżdżał do domu. „Nawet co drugi weekend, poza tym oni dość wyrozumiale odnoszą się do opłacania podróży samolotem, więc będziesz mogła przylecieć do mnie, kiedy tylko zechcesz”.

Czyli to jeszcze nie koniec, więc łatwiej było uśmiechać się i udawać zadowolenie, ale, na litość boską, jak często trafiał się jej wolny weekend, żeby mogła polecieć do Mediolanu? Ostatnimi czasy myślała, że znalazła sobie doskonałego chłopaka, który mieszka w Londynie i zawsze jest pod ręką, a teraz się okazuje, że wyjeżdża na co najmniej sześć miesięcy. To... No cóż, to niezbyt miłe, pomyślała.

Ale jednak nie czuła się szczególnie przygnębiona, co zapewne oznaczało, że tak naprawdę wcale go nie kocha. Sama nie była pewna, co o tym myśleć.

Ten weekend zaliczał się do szczególnie udanych. Jonathan wydawał się odprężony i nie musiał dyżurować pod telefonem, więc wyglądało na to, że Laura także może się odprężyć. Przy śniadaniu zaproponował dzieciom, żeby pomyślały, w jaki sposób mają ochotę się zabawić. Od czasu do czasu tak właśnie robił - uwielbiał rzucające się w oczy rozpieszczanie i rolę wzorowego ojca.

- Tylko pamiętajcie, że to musi być w Londynie; nie ma sensu przebijać się przez korki, żeby wyjechać z miasta. W sierpniu Londyn jest naprawdę świetnym miejscem. Ja osobiście wybieram...

- Ty nie jesteś dzieckiem - przerwała mu Daisy.

- Ale też mogę wybrać sobie jakąś zabawę. A więc wybieram przejażdżkę na London Eye, żebyśmy mogli popatrzeć sobie na wszystko z góry. Od wieków tego nie robiliśmy. Jakies sprzeciwy?

- W życiu nie uda się nam tam dostać - mruknęła Laura.

- Wręcz przeciwnie. Już kupiłem bilety.

- Och, Jonathan, jak miło! Na kiedy?

- Na jutro rano, na jedenastą. To bilety dla VIP-ów, więc absolutnie nie będzie żadnego stania w kolejce. A teraz słucham, na co ma ochotę nasza mamusia?

- Hmm... Może na piknik. Na taki, którego nie będę musiała przygotowywać. Czekaj, niech pomyślę...
W Kew Gardens.

- To nic trudnego. Więc jak, dzieciaki, robimy piknik? Dziś w porze lunchu, Laura, może być?

- Tak, proszę.

Tak więc urządzili piknik; potem Lily zażyczyła sobie przejażdżki łódką po rzece, a później wszyscy pojechali, żeby zjeść kolację na tarasie „Browns” w Richmond, i przy okazji popatrzeć na zapadające w wodę słońce.

- Jak tu uroczo - zauważyła Daisy. - Dziś wszystko było takie urocze. Czuję się tak szczęśliwa, że, prawdę mówiąc, wcale nie potrzebuję żadnej niespodzianki.

- To bardzo miło z twojej strony, kochanie - powiedziała Laura. - I bardzo dojrzałe. Może jednak pójdziesz ze mną jutro w Covent Garden na jakieś małe zakupy, tylko na chwileczkę, zaraz jak wysiadziemy z London Eye? Mogłybyśmy kupić jeden z tych medalioników, które tak ci się podobały na stoisku z biżuterią. Ty, Lily, też możesz z nami pójść, jeśli masz ochotę. Jeśli nie, tata zabierze ciebie i Charliego, żebyście obejrzeli uliczny teatrzyk. Albo może wolisz pójść na karuzelę?

- Pójdę z wami - odpowiedziała prędko Lily.

Charlie zapragnął zeskoczyć na bungee tuż obok London Eye, więc po swojej przejażdżce patrzyli, jak szybuje ku ziemi, śmiejąc się jak szalony, gdy oni popijali gorącą czekoladę z bitą śmietaną.

Później, po powrocie z zakupów, pojechali do domu na późny lunch w ogrodzie, składający się z sałatki z kurczaka na zimno i truskawkowych bezów. Pod sam koniec dnia wybrali się na długi spacer wzdłuż rzeki, trzymając się za ręce.

Jestem taka szczęśliwa, myślała Laura. Szczęśliwa i zadowolona z życia. Chciałabym, aby te lata mogły trwać wiecznie.

ROZDZIAŁ 5

Patrick pomyślał, że wszystko ułożyło się jeszcze gorzej niż tydzień temu. Wyjechał z Londynu w środę o świcie, a teraz był czwartek po południu i plany nocnej jazdy, dzięki której mógłby dotrzeć do domu już w piątek rano, zostały zniweczone przez pięciogodzinne oczekiwanie pod magazynem na załadunek towaru i opryskliwego kierownika, witającego go słowami, których wszyscy się obawiali: „Sorry, stary. Już zamykamy”.

Patrick próbował się z nim targować, że jest dopiero czwarta trzydzieści i do zamknięcia magazynu zostało pół godziny, ale tamten był niewzruszony.

- Nie dam rady wrzucić ci tego na pakę przez pół godziny. Przyjedź jutro rano.

No i nie było rady, musiał jakoś to ścierpieć; zadzwonił do Maeve, a potem poszedł coś przekąsić i rozejrzeć się za noclegiem.

W dodatku - jak łatwo było przewidzieć - upał robił się coraz bardziej nieznośny.

Jutro o tej porze będę już z Russellem, myślała Mary. Na zmianę czuła się niesamowicie podekscytowana i potwornie zdenerwowana, jednak, prawdę powiedziawszy, podekscytowanie zdecydowanie zwyciężało. Największa obawa - że okażą się dla siebie obcymi ludźmi, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia - właściwie zniknęła. To przecież nie tak, że przez te wszystkie lata nie mieli ze sobą kontaktu. Jakże to dziwne, myślała, zważywszy na to, że ich styl życia i środowiska tak kompletnie się różniły. Ale łączyły ich przeżycia okresu wojny. Wojna zawsze mocno łączyła ludzi poprzez wspólne ideały i nadzieje, niebezpieczeństwo i strach. Ona i Russell, choć od urodzenia dzieliły ich tysiące kilometrów i oboje wychowali się w całkiem odmiennej kulturze, odnaleźli drogę do siebie właśnie dzięki wojnie; dzięki niej spotkali się i pokochali. W żadnym innym czasie czy miejscu takie spotkanie nie byłoby możliwe ani nie zaowocowałyby tak długotrwałym związkiem. Właśnie z tego powodu Mary łatwo przekonała samą siebie, że wspólne życie jej i Russella nie ma najmniejszych szans powodzenia, bo razem z końcem wojny ich układ właściwie przestawał mieć rację bytu, różnice między nimi zaś zwiększały się tysiąckrotnie.

Ale teraz... No cóż, teraz mieli swoją przeszłość, która ich łączyła - wspaniały most pomiędzy dwojgiem ludzi, jakkolwiek całkiem różnych, którzy wychowali dzieci, ujrzeli narodziny wnuków i pochowali swoich partnerów; którzy dawno już utracili siły oraz urok młodych lat i teraz zmagali się z własną starością i osamotnieniem; którzy nieuchronnie wyznawali te same, szeroko pojęte ideały miłości, lojalności i rodzinnej wspólnoty i chcieli istotę tych ideałów przekazać następnym pokoleniom jako swój mały wkład w nieśmiertelność.

W nocy Mary rozmyślała o wszystkich tych sprawach; nie mogła spać i tylko z lekkim niepokojem oczekiwała jutra.

- Chryste, co ja tu robię? - zastanawiała się Georgia.

Musiała być kompletnie i beznadziejnie szalona, włączając się po klubach z Esme i tym jej zarozumiałym chłopakiem i pijąc koktajle, na które absolutnie nie powinna sobie pozwalać, zamiast o tej porze leżeć w łóżku w swoim własnym domu w Cardiff, z budzikiem nastawionym na godzinę siódmą, co dawało jej mnóstwo czasu, żeby dotrzeć na dworzec i wsiąść do autobusu, który o dziesiątej wyrusza do Londynu. Cholera, cholera

i jeszcze raz cholera! W pewnej chwili wydawało się, że to świetny pomysł, żeby spędzić wieczór z Esme u jej rodziców. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie przerobić z Esme kilku kluczowych scen - co z pewnością pomogłoby jej następnego dnia opanować nerwy - a potem pojechać autobusem wyruszającym rano z Bath. Matka nie próbowała jej powstrzymać, tylko przykazała, żeby była rozsądna i nie spóźniła się na autobus - zupełnie jakby było to możliwe. Potem Georgia przyjechała do Esme, która była strasznie podekscytowana, ponieważ jej chłopak, o którym myślała, że zamierza ją rzucić, właśnie zadzwonił i zaproponował spotkanie na mieście. Esme zachowywała się tak, jakby ten gnojek był samym Panem Bogiem, i upierała się, żeby Georgia pojechała razem z nią.

- Przysięgam z ręką na sercu, Georgia, jedziemy najwyżej na godzinę albo coś koło tego. Potem możemy wracać i od razu pójdziesz do łóżka. Nie mogę jechać sama, po prostu nie mogę!

Tak więc Georgia dała się namówić i oczywiście szybko się okazało, jak głupio postąpiła. Teraz dochodziła druga w nocy i nic nie wskazywało na to, że niebawem wrócą do domu. W dodatku Georgia nie miała pieniędzy na taksówkę, a chłopak Esme z uporem powtarzał, że je odwiezie.

Co powiedziałyby Linda, gdyby zobaczyła, co się tu wyrabia? Dla Georgii to była życiowa szansa, a teraz ryzykowała, że wszystko diabli wezmą... No cóż, jutro rano będzie musiała zerwać się z łóżka skoro świt, wyciągnąć pieniądze z dziury w ścianie, a potem przespać się w autobusie. Od teraz będzie piła samą wodę - zresztą i tak, dzięki Bogu, żadne z nich nie miało już kasy na koktajle - i zażąda, że chce już wyjść. Tylko, na litość boską, gdzie się podziała Esme? Przed chwilą szalała na parkiecie z ozorem wywieszonym do pasa, a teraz znikła. Pewnie wyszła na zewnątrz? Boże, Boże, co ja tu robię, myślała Georgia. Dlaczego w ogóle przyszłam?

- Rany gościa, ale gorąco. - Toby odgarnął z czoła kosmyk mokrych od potu włosów. - Chyba dam nura do basenu. Co o tym myślisz, Barney?

- Brzmi całkiem nieźle.

Siedzieli w ogrodzie przy domu rodziców Toby'ego; Toby poprosił Barneya, żeby został z nim w tę ostatnią noc przed ślubem. „No, wiesz, żebyś mnie zatrzymał, jak będę chciał uciec”, powiedział z szerokim uśmiechem. Ale w jego głosie pojawiło się coś dziwnego, jakiś ślad napięcia. Zresztą, prawdę mówiąc, przez cały wieczór Toby wydawał się nieswój - był milczący, rozdrażniony i podskakiwał nerwowo przy każdym dzwonku telefonu. Dwa razy musiał zostawić kumpla, żeby odebrać komórkę.

- Tamara - wyjaśnił w obu przypadkach.

Carol Weston przygotowała dla całej ich czwórki wyśmienitą kolację - gotowanego na parze łososia, a na deser maliny ze śmietaną - którą zjedli na zewnątrz, otoczeni mnóstwem zapachowych świec, odstrasżających owady. Ray Weston podał dobrze schłodzony muscadet i zaproponował toast za „doskonale dobraną parę - to znaczy za Toby'ego i za ciebie, Barney”, jak oświadczył z uśmiechem. Siedzieli przy stole, snując wspomnienia i gawędząc o tym i o owym, aż zapadła ciemność. Wtedy Toby zrobił się jeszcze bardziej milczący, niemal przygnębiony; wreszcie Carol i Ray poszli do łóżka, zostawiając chłopców z surowymi napomnieniami Carol, żeby nie siedzieli za długo.

- Nie chcemy jutro żadnych komplikacji, nie mówiąc o skacowanych świadkach.

- Och, na litość boską! - zachnął się Toby, a potem szybko dorzucił pełnym skruchy tonem: - Wybacz, mamusiu. Spróbuj mi zaufać. Jeszcze wypijemy po parę piw i idziemy spać, prawda, Barney?

- Oczywiście.

Wygramolili się z basenu i usiedli na tarasie.

- No to co, napijemy się czegoś? - spytał Toby.

- Chętnie - odparł Barney.

Spodziewał się, że Toby przyniesie trochę wina i szczerze się zaniepokoił, gdy ujrzał przyjaciela wychodzącego z domu z butelką whisky i dwiema szklaneczkami.

- Stary, chyba słyszałeś, co mówiła twoja mama!

- Przestań marudzić! Na ostatek dnia nie ma nic lepszego od whisky. Dobrej whisky. Chcesz?

Barney skinął głową.

- Tak jest lepiej. - Toby pociągnął spory łyk, a potem odchylił się do tyłu i z uwagą patrzył na swoją szklankę.

- Lepiej? Chyba nie jesteś zdenerwowany, co?

- No cóż... Może troszeczkę. Wiem przecież, że to nieuniknione. Bardziej strachliwi ode mnie uciekają, gdzie ich oczy poniosą.

- Tobes. Nie zrobiłbyś tego.

- Jasne że nie. Coś ty, od dziewczyny takiej jak Tamara? Boże, jaki ze mnie szczęściarz. Cholerny szczęściarz.

Po pierwszej kolejce nastąpiła druga, a potem na pewien czas zapadła cisza, którą zniecka przerwał Toby.

- Wiesz co, Barney, ja... Ja mam pewien problem. Naprawdę. Trochę głupio się zachowałem.

- Jak? O co chodzi?

- Ja... Cholera, powinienem był ci powiedzieć całe wieki temu! No, przynajmniej parę tygodni temu!

Gapił się w ciemność, nerwowo wykręcając dłonie.

- Toby, o co chodzi?! Coś ty wymyślił?!

- No bo ja... No cóż, zrobiłem z siebie ostatniego idiotę. Z pewną dziewczyną.

Przez chwilę Barney wpatrywał się w niego w zupełnym milczeniu.

- Psiakrew! - rzucił w końcu.

- No właśnie! Wiesz, któregoś wieczora wypuściłem się z paroma kumplami na miasto i wlałem w siebie stanowczo za dużo... W każdym razie wylądowaliśmy w jakimś klubie w pobliżu Cirencester i tam poznałem tę dziewczynę. Była na wieczorze panińskim. Zresztą mieszka w sąsiedniej wiosce... Zabójczo seksowna, pracuje u jakiegoś miejscowego przedsiębiorcy budowlanego; sam wiesz, jak to bywa...

- Tak sędzę - odparł Barney. Czuł, że robi mu się niedobrze.

- Tak czy owak, ja... Ja przeleciałem tę dziewczynę... Najpierw zaproponowałem, że ją odwiozę do domu, oczywiście taksówką. Wtedy wydawało mi się, że to całkiem niezły pomysł. Kiedy już byliśmy pod jej domem, zaprosiła mnie, żeby wpadł na drinka, bo jej starzy wyjechali na całą noc, a potem... Jedna sprawa pociąga za sobą drugą.

- Toby, ty chyba zwariowałeś!

- Wiem, wiem! Rano czułem się paskudnie, to oczywiste, miałem nadzieję, że ona potraktuje to wyłącznie jako krótkotrwałe szaleństwo. Niestety, uważała inaczej.

- Och, Tobes...

- Wiedziała, gdzie mieszkam, a raczej gdzie mieszkają moi rodzice, więc zaczęła zatruwać mi życie. Wyzwaniała bez przerwy, do pracy, na komórkę, raz czy dwa nawet tu przyjechała... Wiesz, starałem się jakoś ją spławić, ale mi się nie udawało. Wreszcie zaczęła być nieprzyjemna i oskarżać mnie, że potraktowałem ją jak jakąś dziwkę...

- No cóż...

- Tak, tak, wiem! Boże, ile bym dał, żeby móc jeszcze raz przeżyć tamten wieczór, oczywiście całkiem inaczej! W każdym razie zadzwoniła w zeszłym tygodniu, żeby poinformować mnie, że jest w ciąży. Próbowałem wyśmiać ją, że stara się mnie nabrać, ale... Tak się nieszczęśliwie złożyło, że... że sprawy zabezpieczenia pozostawiłem całkowicie w jej rękach... Mówiła, że bierze pigułkę...

- Ty idioto... Ty cholerny idioto.

- Wiem. Wiem! Nie potrafię tego wytłumaczyć! Nigdy dotąd nie zrobiłem czegoś podobnego! Nigdy! Zresztą wiedziałbyś, gdybym zrobił. Nie miałem przed tobą tajemnic, Barney... Wydaje mi się, że zadziałało tu połączenie dwóch rzeczy: myśli, że to ostatnia okazja, żeby zaszaść, oraz pewnego zdenerwowania... No wiesz, samym faktem, że będę żonaty.

- Chodzi o to, że będziesz żonaty z Tamarą? - spytał cicho Barney.

- Tak. To tkwi gdzieś w podświadomości. Bardzo ją kocham, ale sam wiesz, że ona ma dość wysokie wymagania. Przyznasz, że to trochę przerażająca perspektywa. Tyle że to żadne wytłumaczenie. To, co zrobiłem, było obrzydliwe i dobrze o tym wiem.

- A więc... Co się wydarzyło?

Wydawało się, że najlepszym wyjściem z sytuacji jest ściśle trzymać się faktów.

- Powiedziałem jej, żeby zrobiła test i tak dalej, co się robi w takich sytuacjach. Potem przestała się odzywać, więc myślałem, że wszystko jest okay, ale... Zadzwoniła dziś wieczorem. To właśnie od niej były te telefony. Chce dostać forszę, żeby przeprowadzić zabieg. W przyzwoitych warunkach i we właściwy sposób, jak się wyraziła. To znaczy, w prywatnym szpitalu.

- To powiedz jej, że nie ma mowy.

- Barney, znalazłem się w sytuacji, kiedy nie bardzo mogę jej mówić takie rzeczy. Nawet jeśli to nie jest prawdą, to nie podejmę ryzyka. Wiesz przecież, jaka jest Tamara...

- Owszem, wiem. Ale...

- Tak czy owak, ona chce całkiem sporej kasy. Paru tysięcy.

- O cholera!

- Co gorsza, chce je dostać jutro rano. W gotówce. Barney poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Nie możesz spełnić tych żądań - powiedział w końcu.

- Nie mam wyjścia. Zagroziła, że w przeciwnym wypadku przyjedzie do kościoła. To raczej nie będzie dobrze wyglądało, jeśli nagle zjawi się na moim wytwornym ślubie, jak to określiła, prawda?

- Nie - przyznał Barney po chwili. - Raczej nie.

- Tak więc jutro rano muszę dać jej tysiąc funtów w gotówce, tak się jednak złożyło, że nie mam ich przy sobie. A ty?

- Coś ty! Może parę setek, ale...

- Więc będę musiał skoczyć do banku i pobrać tę forszę. Na kartę można wyciągnąć najwyżej czterysta funciaków.

- Ja też mogę coś podjąć. Tyle że...

- To mój problem. Zresztą i tak potem muszę jej to zawieźć. Do domu jej rodziców powinienem dotrzeć w piętnaście, dwadzieścia minut, więc...

- Toby, czy masz świadomość, że to się może nigdy nie skończyć? Na tym właśnie polega cholerny szantaż.

- Tak. Ale cokolwiek ona wymyśli, ja będę już żonaty, wesele szczęśliwie się odbędzie, a Tamara nie zostanie zmuszona, żeby stanąć twarzą w twarz z problemem - i to dosłownie. Jakoś to jutro załatwię. Tak czy owak, mam przecucie, że ona się wycofa. Na razie czeka mnie pracowity ranek.

- Posłuchaj, równie dobrze ja mogę wszystko załatwić. Mogę podjąć pieniądze, zawieźć je tej dziewczynie...

- Nie, to za dużo komplikacji. Sam to zrobię. Powinienem być z powrotem o dziesiątej trzydziści, najdalej o jedenastej. Potem się przebiorę i od razu ruszamy. Może trochę spóźnimy się na lunch, ale to nie ma znaczenia.

- Stary, wiesz przecież, że musimy wyjechać o jedenastej, żeby w ogóle zdążyć.

- No cóż, w takim razie będziemy musieli jechać odrobinę szybciej. O Boże, jakim ja byłem pieprzonym idiotą! Wiesz co, Barney, walnijmy sobie jeszcze po jednym. Na lepszy sen. Jutro czeka nas ciężki dzień...

Skinął w stronę butelki whisky. Barney nieco drżącymi rękoma posłusznie napełnił szklaneczki, zastanawiając się przy tym, jak to się stało, że tak bardzo pomylił się co do Toby'ego. Bez wahania powierzyłby mu własne życie i to raczej siebie uważał zawsze za pewną niewiadomą, a tu nagle...

Laura właśnie zapadała w sen, kiedy zabrzączał telefon.

- Kochanie?

- Jonathan, cześć. Jak poszło?

- Całkiem nieźle, jak mi się zdaje. Jack wyglądał na dość zadowolonego.

- Założę się, że tak. Na pewno wypadłeś znakomicie.

- Powiedzmy. Powiedz lepiej, jak ty się czujesz, skarbie? Wszystko w porządku?

- Czuję się bardzo dobrze. Tyle tylko, że jest trochę za gorąco. Ale dzieci dzielnie włożyły mundurki, a potem zabrałam je na kolację...

- Czekał, niech zgadnę... Do T.G.I.?

- Tak jest.

- Boże, sam nie wiem, jak znosisz takie miejsca.

- No cóż, dzieci je uwielbiają. A ja uwielbiam dzieci.

- To tak jak ja. Ale... Wiesz, ty jesteś prawdziwym aniołem. Mają szczęście, że mają taką mamę. A ja taką żonę.

- A ja męża.

- Dobranoc, skarbie. Będę w domu jutro koło szóstej. Pojadę stąd prosto do St. Anne.

- Dobrze. Kocham cię.

- I ja cię kocham.

Nareszcie miał to za sobą; teraz było zupełnie nieprawdopodobne, że ona do niego zadzwoni.

Jonathan pewnie wkroczył do Bristol Meridien - tak cudownie anonimowego, wypełnionego rozbawionym towarzystwem.

Zameldował się w recepcji i poszedł prosto do swojego pokoju; ledwie popchnął drzwi, gdy wysunęła się z sypialni, całkiem naga, wyciągając w jego stronę kieliszek szampana.

- Bardzo się spóźniłeś - powiedziała. - Co cię zatrzymało?

ROZDZIAŁ 6

Kiedy wszystko zawiodło, Georgia zaczęła się modlić. Bynajmniej nie dlatego, że wierzyła w Boga, lecz dlatego, że On, ogólnie biorąc, wydawał się dość chętnie słuchać jej próśb i generalnie zgadzał się, by dostała to, czego sobie życzyła. To zapewne oznaczało, jak przypuszczała, że naprawdę powinna trochę bardziej w Niego wierzyć i zdobyć się na odrobinę więcej wdzięczności.

No cóż, jeśli On odpowie na tę konkretną modlitwę choćby w połowie pozytywnie - tak obiecała sobie i Jemu - to ona postara się zdobyć na ten wysiłek i nie tylko w Niego uwierzyć, lecz także zmienić swoje postępowanie na bardziej odpowiednie dla osoby wierzącej, ponieważ wtedy stanie się jasne, że On zdecydowanie na to zasługuje.

To, o co dziś Go prosiła, w sumie nie było zbyt trudne do załatwienia, myślała, wznosząc oczy ku niebu i w skupieniu zaciskając dłonie. Chciała jedynie samochodu; samochodu, prowadzonego przez kogoś, kto właśnie zmierzał do Londynu i miał w aucie wolne miejsce. Prawdę mówiąc, skoro stała przy drodze dojazdowej do M4, nie byłby to cud na tę samą skalę co wyczyn z chlebem i rybami. Jedyne, co Bóg miał do roboty, to zwrócić na nią czyjąś uwagę; trącić łokciem jakiegoś kierowcę i natchnąć go myślą, że może przyjemnie jest podróżować w czyimś towarzystwie; potem byłby wolny i mógłby znowu wrócić do tych swoich zadań, jakie akurat zaplanował.

Po półgodzinie, kiedy ręka dosłownie omdlewała jej ze zmęczenia, Georgia doszła do wniosku, że widocznie dziś rano Bóg ma na głowie ważniejsze sprawy.

W takiej sytuacji nie było najmniejszych szans na to, by jej plany się powiodły. Musiała dotrzeć na miejsce, to znaczy na przesłuchanie, na godzinę trzecią, a teraz dochodziła już dwunasta. Jej ojciec zawsze powtarzał, że z Severn Bridge trzeba liczyć na podróż minimum dwie i pół godziny. I to wtedy, gdy człowiek dokładnie wiedział, dokąd jedzie, gdy tymczasem ona musiała jeszcze odnaleźć w samym środku Londynu bliżej nieokreślone miejsce i zdążyć się wystroić, zanim stanie przed jakąś nadętą krową - one zawsze były nadęte -

siedzącą w recepcji. Już prawie myślała, żeby zrezygnować, wrócić do domu i powiedzieć matce, że nie tylko spóźniła się na poranny autobus, ale także na ten późniejszy, i że stało się tak wyłącznie i całkowicie z jej winy. Jednak jazda do domu także nie była łatwym zadaniem; musiała znaleźć kogoś, kto podrzuci ją do Cardiff, więc równie dobrze mogła nadal próbować dostać się do Londynu.

Boże, ależ była głupia! Czemu nie została we własnym domu, w Cardiff, gdzie mogła niezbyt późno położyć się do łóżka i rano usłyszeć budzik, zanim się wyłączył? Zresztą, to nie byłoby potrzebne - mama na pewno zatroszczyłaby się o to, żeby Georgia wstała o właściwej porze, a potem odpowiednio wcześniej odwiozłaby ją na dworzec autobusowy. Było już dobrze po drugiej w nocy, gdy razem z Esme dotarli do domu, a nastawiony w telefonie budzik po prostu się nie włączył, przez co obudziła się tuż przed dziewiątą. Mama Esme bardzo jej współczuła, ale, niestety, nie miała samochodu. Georgia wybiegła w panice, żeby znaleźć bankomat i złapać następny autobus, ale bankomat wypuł jej kartę bez wypłaty gotówki. Teraz jedyną nadzieją pozostawał pociąg; wróciła do domu Esme, tonąc we łzach i błagając o pożyczkę, lecz Esme także była całkowicie splukana. Jeszcze miała nadzieję, że chłopak Esme, który został na noc, może wesprze ją finansowo, ale szybko wyszło na jaw, że to kompletny dupek. W końcu zaproponował na odczepnego, że ostatecznie podrzuci ją swoim autem na M4, żeby tam próbowała złapać autostop.

W ten sposób znalazła się tutaj, na poboczu drogi, i czekała, modląc się gorąco...

Maeve Connell także wzywała imienia Wszechmogącego, co prawda nie z prośbą o pomoc, lecz by wezwać Go na świadka ultimatum, jakie przedstawiła mężowi.

- Patricku Connell, klnę się przed Bogiem, że jeśli nie zjawisz się w domu na czas, żeby zdążyć na kolację z okazji urodzin mojej matki, będzie to ostatni posiłek, jaki dla ciebie ugotuję. Bo zaraz potem odejdę, zostawię cię na dobre. Jestem już śmiertelnie zmęczona. Tak jest, mam już dość samodzielnego zajmowania się dziećmi, samotnych nocy i załatwiania samej wszystkiego, co trzeba załatwić; i nie chcę więcej słyszeć żadnych obietnic, jaki to wspaniały dom będziemy mieć niebawem i jaki supersamochód. Czy to jasne, bo jeśli nie, to chętnie powtórzę jeszcze raz, żebyś nie miał żadnych wątpliwości...

Patrick odpowiedział, że wszystko jasne i oczywiście będzie w Kilburn o takiej porze, żeby zdążyć na tę pieprzoną kolację.

- W dodatku mam świetny prezent dla twojej mamy, poczekaj, aż sama zobaczysz. A teraz muszę już kończyć, albo zaraz mnie zgarną za gadanie przez telefon i w życiu nie dojadę na czas. No to pa, kochanie. Widzimy się niebawem.

Zatrzasnął komórkę, skręcił na środkowy pas i jechał z przepisową prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, czyli najszybciej, jak było mu wolno.

Czuł się cholernie zmęczony, ale w tym tempie powinien dotrzeć do domu na siódmą. Gdyby tylko nie było tak gorąco...

Georgia znów spojrzała na zegarek. Dwunasta piętnaście. Sytuacja zrobiła się beznadziejna, absolutnie beznadziejna. Przestała się modlić, przestała uśmiechać się zachęcająco na widok każdego przejeżdżającego samochodu, porzuciła wszelką nadzieję; osuwając się na skrawek trawy przy pasie postojowym, schowała twarz w dłoniach i załała się łzami.

Rick Thompson był w fatalnym humorze.

Miał dziś wcześniej wrócić do domu i dlatego wstał o jakiejś cholernie wczesnej godzinie, żeby skończyć robotę w Stroud - na początku tygodnia pewna głupia krowa uparła się, że płot, który dla niej postawił, musi zostać pomalowany na biało zamiast na brązowo, co oznaczało, że czeka go dodatkowe półtora dnia pracy. Właściwie nie miał nic przeciwko temu - ostatecznie to jego praca, jego zarobek - ale kretynka lubiła sobie pogawędzić, co nudziło go wręcz nie do zniesienia, tym bardziej że w kółko paplała o swoim mężusiu, który „wyjechał służbowo, tym razem do Japonii”, o jego poglądach na życie w ogóle i o tym, co szczególnie podoba mu się w jej ogrodzie. Kiedy przebrnęła przez ten fascynujący temat, zaczęła głądzić o dzieciach, które są szczególnie uzdolnione muzycznie, zwłaszcza najstarsze...

Tak czy owak, tego ranka zakończył pracę w rekordowo szybkim tempie, głównie dlatego, że ta wiedźma wyjechała do Waitrose w Cirencester: „Wiem, że to daleka wyprawa i że to całkiem mi nie przystoi z powodów towarzyskich, ale jakość towaru jest tam o wiele, wiele lepsza” - i właśnie czekał na jej powrót, żeby wręczyć fakturę, kiedy zadzwonił jego szef i kazał mu wziąć na ciężarówkę ładunek belek, które znajdują się w składzie drewna na obrzeżach Stroud, a potem podrzucić mu je pod dom jeszcze przed końcem dnia.

Ponieważ szef mieszkał tuż pod Marlow, Rick zaś w Reading, nie było to nic nadzwyczaj obciążającego, ale gdy Rick zajechał pod skład, zastał zamkniętą bramę i kartkę przypiętą do drzwi: „Wracam o pierwszej trzydzięci”. Jednak zanim ten cholerny gość z tartaku wreszcie się pojawił, dochodziła druga.

- Sorry, stary, ale miałem coś do załatwienia.

- Taak... - mruknął Rick, robiąc przy tym minę, na której widok jego żona natychmiast dawała nura do kryjówek. - Niektórzy z nas lubią wracać do domu tuż przed północą, zwłaszcza w piątki, zgadza się? No to teraz zwijaj się, koleś, tylko radzę się pospieszyć.

Na dnie vana wciąż leżały resztki drewna, które zostało po poprzedniej robocie; gość z tartaku zaproponował, żeby Rick trochę uprzętnął ten burdel, zanim wpakuje tam świeże belki.

- Wiesz co? Najlepiej zostawię je u ciebie; możesz spokojnie je wyrzucić.

- O, nie! - odparł tamten, spoglądając na zakurzone, popękane deski, z tkwiącymi tu i ówdzie zardzewiałymi gwoździemi. - Sam wyrzucaj swoje śmieci, stary. A teraz podpisz się tutaj.

Klnąc pod nosem, Rick podpisał, co trzeba, a potem odkrył, że nie może domknąć tylnych drzwi vana.

- Psiakrew, jeszcze tego mi trzeba! Masz kawałek sznura? Muszę związać te pieprzone drzwi!

- Najpierw powinienes związać te stare dechy, bracie, żeby ci nie grzechotały po całym pudle.

- Posłuchaj - warknął Rick. - Jeśli będę potrzebował twojej rady, to sam się po nią zgłoszę. Teraz akurat nie czuję takiej potrzeby, jasne?

Po chwili wyjeżdżał ze składu - razem z Rudim, czarnym owczarkiem niemieckim, który stale mu towarzyszył. Skręcił w A46 w kierunku prowadzącym na M4, przeklinając upał, własnego pecha, że w samochodzie nie ma klimatyzacji, oraz fakt, że zbiornik płynu do szyb był prawie pusty.

I oczywiście także to, że teraz nie miał szans dotrzeć do Reading przed czwartą.

Patrick dostrzegł ją, kiedy stał w kolejce do lady z herbatą. Siedziała parę metrów dalej, kurczowo ścisnąc w rękę kubek, a na jej buzi zastygły ślady łez. Była naprawdę piękna: czarna, najwyżej dwudziestoletnia, ubrana w krótką dżinsową spódniczkę i śmieszne botki, które najwyraźniej podobały się wszystkim nastolatkom - takie z owczej skóry, może niezbyt odpowiednie na upalny sierpniowy dzień, ale doskonale pasujące

stylem do całej sylwetki. Wydawała się niewysoka i dość szczupła, i miała naprawdę fantastyczne cycki, których urodę podkreślał głęboki dekolt różowego T-shirta. Czarne, zwichrzone włosy były zebrane w koński ogon, ściągnięty na bok.

Zabrał swoją herbatę i parę butelek z wodą, i podszedł wprost do niej.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- A kto powiedział, że w ogóle mam jakiś problem? - odparła. - Zwyczajnie czekam na kogoś.

Jej głos brzmiał wyraziście i elegancko, więc od razu ogarnęło go zdumienie. Potem zbeształ sam siebie, że okazał się takim rasistą czy zwolennikiem podziału klasowego, czy jaką tam etykietkę można przypiąć komuś, kto zachowuje się w ten sposób. Niedługo w ogóle nie będę się mógł odzywać, żeby kogoś nie obrazić, zreflektował się po chwili.

- I co, przyjaciel się spóźnia?

- Ja... - Nagle urwała, uśmiechając się z wyraźną niechęcią. - Tak naprawdę nie czekam na nikogo. Mam nadzieję, że uda mi się złapać kogoś, kto wraca do Cardiff. Może... Może pan przypadkiem jedzie w tamtą stronę?

- Nie, kochanie. Jadę do Londynu.

- Mój Boże... - westchnęła, a jej wielkie oczy momentalnie napełniły się łzami. - Szkoda, że pana nie spotkałam pół godziny wcześniej. Właśnie próbowałam dostać się jakoś do Londynu.

- W jakimś szczególnym celu?

- No tak. Chciałam pojechać na przesłuchanie.

- Coś ważnego?

- Cholernie - powiedziała i rozbeczała się na dobre.

- Chodź. - Usiadł na ławce, wskazując jej miejsce obok siebie. - Opowiedz mi o tym.

- Linda, Georgia jest na trzeciej linii...

- Georgia? - Linda podniosła słuchawkę. - O co chodzi? Czy już jesteś w Londynie?

- Linda, proszę, nie gniewaj się na mnie... Bardzo proszę. Ja... Ja jak dotąd miałam strasznie paskudny dzień, więc... Wciąż jestem na M4.

- M4! Na litość boską, gdzie na tej M4?

- Prawie w Gloucestershire. Właśnie minęłam zjazd do Bath.

- Georgia... - Linda starała się zachować zimną krew. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, coś narobiła? Mocno się napracowałam, żeby załatwić ci to przesłuchanie. Łgałam jak najęta, ściśle mówiąc, dałam łapówkę. I co ja im teraz powiem? Mam nadzieję, że domyślasz się, że to zaszkodzi mojej reputacji tak samo jak twojej, a nawet więcej, ponieważ ty jeszcze nie masz żadnej. A teraz z łaski swojej skończ tę rozmowę i wynoś się z mojego życia. Ja...

- Linda, proszę. Wysłuchaj mnie. Ja bardzo, strasznie cię przepraszam i wiem, że wszystko, co mówisz, jest prawdą, że nie zasługuję na twoją pomoc ani uprzejme traktowanie... Tylko że tak naprawdę to nie moja wina. Naprawdę. Nocowałam w Bath u przyjaciółki i...

- Nie mam zamiaru słuchać tych bzdur.

- Ale czy mogłabyś coś im powiedzieć? Cokolwiek. Żeby poczekali na mnie te parę godzin... Muszą przesłuchać taką masę dziewczyn, czy nie mogę być ostatnia? Wiem, że na piątą trzydzieści na pewno uda mi się dojechać...

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie Linda przerwała milczenie.

- Nie wiem, Georgia. Naprawdę nie wiem.

- I tak przecież musisz im powiedzieć, że nie przyjadę, prawda? Czy nie byłoby lepiej dla nas obu, gdybyś powiedziała, że złapałam jakiegoś wirusa i mam kłopoty z żołądkiem? Proszę cię! Proszę!

Znów nastąpiła chwila ciszy.

- No dobrze, zastanowię się nad tym. Rozumiem, że masz przy sobie komórkę?

- Nie, dzwonię z czyjegoś telefonu. Moja komórka padła. Bateria się wyczerpała.

- Na litość boską! Podaj mi numer! Tylko nie bądź zdziwiona, jeśli się nie odezwę.

- Nie, nie, oczywiście, że nie! Dziękuję ci, Lindo. Bardzo, bardzo ci dziękuję!

Georgia wyłączyła telefon i trzęsąc się jak galareta, oddała go Patrickowi.

- Wydaje mi się, że ona spróbuje coś z tym zrobić. Miałaś rację; warto było zadzwonić. Więc... Więc czy możemy już jechać? To znaczy, chciałam zapytać, czy mnie podwieziesz? Będę ci wdzięczna przez resztę mojego życia...

Wiedział, że musi to skończyć; zdecydowanie musi. Dla paru przyprawiających o zawroty głowy dni i oszalamiających nowością nocy, dla przyływu adrenaliny, wzbudzonej przez poczucie niebezpieczeństwa, ryzykował, że straci wszystko, co posiada.

Zerknął na nią kątem oka, gdy jechali przed siebie - na mało wyrefinowaną, seksowną i nawet niezbyt piękną twarz tej młodziutkiej istoty, która była - wielki Boże! - zaledwie o dwanaście lat starsza od jego własnego syna, i ujrzał swoje życie, podobne do perfekcyjnie zbudowanego gmachu, który właśnie chwieje się w podstawach.

Nawet nie chodziło o to, że źle działo się w jego małżeństwie. Wręcz przeciwnie, wszystko układało się naprawdę znakomicie; Laura była doskonałą żoną, czułą, kochającą, piękną... Wszyscy dookoła to powtarzali, że jest wyjątkowym szczęściarzem. Zresztą był szczęśliwy. Przeszkadzało mu jedynie to, że... No cóż, że wszystko stało się odrobinę zbyt przewidywalne. Ich rozmowy, ich życie towarzyskie, rodzinne, seksualne... Zwłaszcza seksualne. Przypuszczał, że właśnie dlatego dał się wciągnąć w tę niebezpieczną, aczkolwiek diabelnie podniecającą sytuację. Laura wiedziała, że seks jest bardzo istotny; chciała zaspokajać potrzeby męża, utrzymywała, że on zadowala ją i nigdy nie odmawiała współżycia, ale też nigdy nie próbowała go inicjować, nigdy niczego nie proponowała... Za każdym razem czuł, że ona po prostu odfajkuje ich zbliżenie, zupełnie jakby spełniała jeszcze jeden obowiązek. Na tym polegał urok Abi; na jej wymaganiach, pomysłowości, skłonności do ryzyka. Seks był centralną częścią jej istoty.

Tylko jaki sukinsyn stawia takie rzeczy przed miłością, lojalnością, rodzinnym szczęściem?

Najwyraźniej sukinsyn taki jak on...

Początkowo próbował się usprawiedliwiać; wmawiał sobie, że to tylko przygoda na jedną noc, a w najlepszym wypadku króciutkie szaleństwo zmysłów - czysty seks, który pomoże mu ożywić małżeństwo i jeszcze mocniej uświadomi, jaki skarb posiada.

Ale Abi nie była przelotnym szaleństwem, a on czuł, że coraz bardziej się od niej uzależnia. Wydawała się absolutnie amoralna; kiedyś powiedziała, że już straciła rachubę, ilu facetów przeszło przez jej łóżko. Poza tym piła za dużo i zażywała mnóstwo narkotyków. Jednym słowem, należała do tych kobiet, jakie zawsze wzbudzały w nim pogardę i obrzydzenie... Doprawdy, nie miał pojęcia, co go z nią łączy, poza tym, że uprawiali fantastyczny seks. No i to, że przekonał się, jak barwne potrafi być życie, gdy pojawi się w nim tak wielkie i niebezpieczne podniecenie.

Spotkali się zaledwie dwa miesiące wcześniej, kiedy naprawdę brał udział w pewnej konferencji. Organizatorem była jedna z wielkich firm farmaceutycznych, a jej przedstawiciel wymyślił sobie, że koniecznie musi mieć zdjęcia wszystkich prelegentów oraz osób uczestniczących w uroczystej kolacji. Fotograf okazał się małym, denerwującym kołesiem, pokrzykującym coś przez nos, za to jego asystentka, która szła tuż za nim z drugim aparatem, przy okazji zapisując w notesie nazwiska fotografowanych osób, była... No cóż, oględnie rzecz ujmując, była po prostu fantastyczna - ciemna, wysoka i bardzo szczupła, z niewiarygodnie zgrabnymi nogami. Długie włosy nosiła związane w niedbały koński ogon; na sobie miała nadzwyczaj krótką sukienkę z czarnego jedwabiu, kończącą się tuż pod szyją. Mocno przylegała do górnej części ciała, co uwidaczniało brak stanika. Jonathan od razu to zauważył, ponieważ pod materiałem wyraźnie odznaczały się sterczące sutki. Całości stroju dopełniały czarne kozaki na niewiarygodnie wysokich, srebrnych obcasach, olbrzymie kolczyki w kształcie kółek oraz mocny makijaż; zwłaszcza oczu, ogromnych i ciemnych, oraz pełnych, zmysłowych ust.

Kiedy pochyliła się do Jonathana, żeby spytać go o nazwisko, otoczył go zapach jej perfum, bogaty i zmysłowy, co od razu mocno go zmieszało.

- Przepraszam, ale na tym polega moja praca - powiedziała. - Czy byłby pan łaskaw przeliterować mi, jak się pisze „Gilliatt”?

Zrobił to, o co prosiła, i uśmiechnął do niej.

- Niech pani nie przeprasza. Jest pani miłą odmianą po tych wszystkich położnikach, którzy kręcą się tu dookoła.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się, wstała i odeszła.

Siedział na swoim miejscu i patrzył za nią, chwilowo niezdolny myśleć o czymkolwiek innym. Poruszała się... W jaki sposób się poruszała? Rytmicznie, wychylając się nieco do tyłu, z lekko wypchniętymi do przodu biodrami; bez wątplenia była mistrzem (albo raczej mistrzynią, pomyślał mało przytomnie) wizualnego uwodzenia.

Kiedy serwowano deser, ujrzał ją na końcu sali przy innym stoliku. Natychmiast przeprosił pewnego pana, który właśnie głądził coś o nagrywaniu odgłosów z wnętrza macicy, i żwawym krokiem ruszył w stronę toalety. W drodze powrotnej zauważył ją przy następnym stole, więc bez wahania podszedł do niej.

- Witam ponownie.

- Ach, to pan, panie Gilliatt.

Obdarzyła go niespiesznym uśmiechem; to był nadzwyczajnie uwodzicielski uśmiech.

- Ja... Zastanawiałem się właśnie, czy ma pani służbową wizytówkę? Występuję na wielu takich konferencjach i często zdarza się, że jestem proszony o zdjęcia, dla miejscowej prasy i tak dalej... Wie pani, zawsze warto mieć w zanadrzu coś, co pomaga wyrobić nazwisko.

- Tak, oczywiście. To świetny pomysł. I tak miałam je rozdać, więc dzięki panu zarobię trochę dodatkowych punktów u swojego szefa. To jest jego telefon... A to jest mój. Nazywam się Abi Scott. Abi.

- Bardzo dziękuję, Abi. Miło było cię poznać. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Może... - odparła z tym samym leniwym uśmiechem.

Wrócił do stołu, żeby tam z wdziękiem wdać się w gorącą dyskusję na temat metod pobudzania porodu, jednocześnie obracając w palcach wizytówkę Abi i powtarzając sobie, że jutro przekaże ją swojej sekretarce w szpitalu Świętej Anny.

Tę noc spędził w hotelu; dręczyły go dziwne, gorączkowe sny, po których obudził się z piekielnym bólem głowy. Wziął prysznic, ubrał się i jednym ruchem zgarnął z nocnego stolika wizytówkę Abi Scott, razem z kluczykami i portfelem. Przez chwilę gapił się na jej telefon, a potem usiadł i zanim zdążył pomyśleć, wybrał w aparacie numer...

To była absurdalna rozmowa, bo obydwójce wiedzieli, o co właściwie chodzi, choć bardzo starali się to przemilczeć.

Powiedział, że chciałby dostać odbitki zdjęć dla żony, wydawało się ważne, żeby wtrącić tę informację (Dlaczego, Gilliatt? Dlaczego?), więc czy byłaby tak miła przesłać mu je mailem? Odparła, że ma lepszy pomysł; odbitki są gotowe, więc równie dobrze może podrzucić je do hotelu. To całkiem niedaleko z biura, tuż za rogiem. To niezwykle uprzejme. Nic nie szkodzi, będzie na miejscu najdalej za pół godziny.

Kiedy zszedł na dół, czekała już w foyer; oparta o blat w recepcji nakręcała na palec pasemko długich, czarnych włosów. Miała na sobie najbardziej obcisłe džinsy, jakie kiedykolwiek widział - właściwie wyglądały jak džinsowe legginsy - a do tego te same kozaki na srebrnym obcasie i czarną, skórzaną kurtkę. Woń jej perfum zwała się na niego w chwili, gdy wyciągał rękę na powitanie.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedziała. - Miło znów pana widzieć, panie Gilliatt.

Jej wzrok przesunął się po jego twarzy, na moment zatrzymując się na ustach. Potem uśmiechnęła się, a zaproszenie kryjące się w tym uśmiechu było całkiem jednoznaczne.

- Czy mogę zaproponować pani kawę? - spytał.

Słowa same wychodziły mu z ust, nieobmyślane i niezaplanowane.

- Chciałbym podziękować za zdjęcia - dodał.

- Będzie mi bardzo... miło.

- A więc? - zapytał, gdy usiedli przy stoliku. - Mieszkasz w Bristolu, tak?

- Tak. Ale pochodzę z Devonu. Urodziłam się w Plymouth.

- Naprawdę? To interesujący zbieg okoliczności, bo ja też pochodzę z Devonu. Urodziłem się w Exeter.

Chryste, musiał się jej wydawać niesamowicie śmieszny. I żaloszny.

- No więc... Co robiłaś, zanim zaczęłaś pracować u pana... Pana...

- Levine'a. Byłam striptizerką - odparła zwięźle.

- Naprawdę? - Usłyszał sam, jak stara się ukryć zdumienie.

Roześmiała się na cały głos.

- No, niezupełnie. Chociaż wcale nie dzieliły mnie od tego tysiące kilometrów. Byłam modelką od bielelizny i pracowałam dla paru zawyszonych, miejscowych fotografów, którzy się w tym specjalizowali. Wiesz, chodziło o reklamę. To znaczyło, że na każdej sesji siedzieli przedstawiciele producentów. Uwielbiali poprawiać staniki i tak dalej... To było paskudne. Za to teraz mam całkiem fajną robotę.

- Rozumiem.

Zapadła cisza, którą zdecydował się przerwać.

- No cóż, chyba muszę się zbierać. Wracać do Londynu, do rzeczywistego świata.

- Oczywiście. - To było wszystko, co powiedziała.

No dobrze, Gilliatt. Wciąż wszystko jest okay. Jesteś bezpieczny. Idź, weź zimny prysznic i zjeżdżaj stąd jak najszybciej. Ale...

- Będę tu znów za parę tygodni, na następnej konferencji, tym razem w Bath. Pewnie zatrzymam się znowu w tym hotelu. Może umówimy się na drinka?

- Tak - odpowiedziała z leniwym, zmysłowym uśmiechem. - Tak, będzie wspaniale.

I okazało się, że rzeczywiście było.

Tamto wydarzyło się przed dwoma miesiącami; od tamtej pory myślał o niej obsesyjnie, dosłownie przez cały czas. Tęsknił, żeby być blisko niej i nie tylko po to, żeby uprawiać seks. Była intrygująca, niemal przerażająca i zupełnie niepodobna do osób, które dotąd znał. Podniecała go, szokowała i choć w najmniejszym stopniu nie potrafił wyobrazić sobie, że jest w niej zakochany, bez wątpienia stał się jej niewolnikiem.

Uwielbiała wpędzać go w niebezpieczne, ryzykowne sytuacje; na przykład potrafiła nagle się zatrzymać, gdy szli jakąś ciemną ulicą, wepchnąć go w przejście prowadzące do sklepu i wprowadzić go w siebie. Na spotkania w hotelowym pokoju przynosiła kokainę i z wyraźnym upodobaniem odgrywała komedię, usypując linijkę z białego proszku akurat wtedy, kiedy do środka wjeżdżał wózek z zamówionym posiłkiem lub napojami. Udając pacjentkę, wydzwaniała na komórkę dokładnie o tej porze, gdy wiedziała, że jest w domu i za nic nie chciała się rozłączyć, dopóki nie umówił się z nią na następną randkę.

Paniczny strach, jaki wzbudzały w nim jej wyskoki, podtrzymywał wysoki poziom adrenaliny; ewentualna wpadka była czymś przerażającym. Dla Jonathana Abi stała się jego osobistym, uzależniającym narkotykiem; potrzebował jej coraz bardziej i bardziej.

Ale ten strach w przewrotny sposób dodał mu odwagi; skłonił do podjęcia decyzji, że to będzie ostatni raz. Próbował powiedzieć jej o tym, kiedy ostatniego ranka jedli w łóżku śniadanie. Było cudownie, oznajmił, naprawdę cudownie, ale chyba nadszedł czas, żeby...

- Żeby co? - Spojrzała na niego mimochodem, zanurzając croissanta w filiżance z kawą.

- No cóż... Żeby narysować grubą kreskę.

- Jaką kreskę? Obawiam się, niestety, że wczorajszej nocy zużyliśmy wszystko, co przyniosłam.

- Abi, proszę cię, nie bądź taka... taka trudna. Wydaje mi się, że wiesz, co mam na myśli. Musimy z tym skończyć.

- Na litość boską, dlaczego, skoro tak świetnie się bawimy? A może zeszłej nocy coś mi umknęło? Czy chcesz powiedzieć, że uciekasz ode mnie, przenosisz się do innego pokoju, albo...

- Oczywiście, że wcale od ciebie nie uciekam. Nie bądź śmieszna.

- No cóż, Jonathanie, wybacz, ale nie przyjmuję tego do wiadomości. A teraz chodź, wywal tę tacę i urządzmy sobie wspaniałe, pożegnalne pieprzonko. Potem zostawię cię w spokoju. Na razie. Och, nie, całkiem wyleciało mi to z głowy - zapomniałam, że chcę, żebyś mnie zawiózł do Londynu. Zakładam, że ci to pasuje?

- Chryste, jasne, że mi nie pasuje! Nie mogę jechać z tobą do Londynu! Ktoś przecież mógłby mnie zobaczyć. To znaczy nas. Znasz zasady.

- Tak, tak, zasady! W porządku, Jonathanie. Nie rób takiej przerażonej miny. Nie proponuję przecież, że wpadnę z wizytą do twojego uroczego domu w Chiswick. Po prostu chcę się wybrać na zakupy, spotkać z koleżanką, może pójść do kina?

- No dobrze - mruknął. - A może jednak zgodzisz się, żebym podrzucił cię na stację? Równie dobrze możesz pojechać pociągiem...

- Nie znoszę pociągów. I naprawdę nie wydaje mi się bardzo prawdopodobne, żeby któryś z twoich kumpli namierzył nas wśród tych milionów ludzi, którzy tego popołudnia będą się kłębić w Londynie. Nie, wolę, żebyś mnie podrzucił... Cóż, Harley Street to niezłe miejsce. Może być?

- Abi, nie mam zamiaru zawieźć cię na Harley Street.

- Dlaczego nie? Lubię tam być. Byłam tam już kiedyś, pamiętasz?

Pamiętał... Aż nadto dobrze pamiętał, jak zjawiała się w jego prywatnym gabinecie, twierdząc, że jest pacjentką, a potem, gdy już leżała na fotelu, pociągnęła go na siebie i... Na samo wspomnienie o tym robiło mu się niedobrze. Niedobrze, choć jednocześnie ogarniało go podniecenie.

- Nie, Abi, nie możesz tam dziś pojechać. Ktoś mógłby cię rozpoznać. Abi... - Odetchnął głęboko. - Ja naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

- Możemy porozmawiać w samochodzie. Teraz szkoda czasu na jakieś tam gadanie. Chodź, zobaczymy, co mogę zrobić, żeby cię trochę rozerwać...

Przewróciła go na plecy i niedbale zaczęła przesuwając językiem po jego penisie. Przez chwilę walczył jak lew, ale zaraz poddał się obezwładniającej przyjemności. To mógł być ostatni raz... Zabierze ją do Londynu i w samochodzie porozmawiają. Wycofa się z tego szaleństwa i postara odbudować swoje życie. To będzie trudne, bo na pewno zacznie tęsknić za tym, co ona z nim robiła, ale za parę tygodni cała sprawa wyda się już tylko snem. Niepokojącym, niebezpiecznym snem... I wszystko się skończy, bez wielkiej szkody dla niego, Laury, dzieci albo małżeństwa...

Nawet nie przyszła mu do głowy myśl, że może krzywdzi Abi, a jeśli nawet przemknęła, to potrafił ją całkiem odrzucić. Jej dobro tak naprawdę niewiele go obchodziło.

ROZDZIAŁ 7

Linda przeprowadziła rozmowę przez telefon. Zadzwoiła do kierowniczk castingu i powiedziała, że Georgia wymiotowała przez całą noc z powodu zatrucia pokarmowego, ale pomimo to stara się dotrzeć do Londynu; jednak nie ma szans, żeby dojechała na godzinę trzecią. Piąta wydaje się o wiele bardziej prawdopodobna.

Kierowniczka odparła, że w takiej sytuacji trudno spodziewać się, że Georgia będzie w szczytowej formie, a ponieważ następnego dnia przesłuchują jeszcze trzy dziewczyny, najlepiej będzie, żeby Georgia po prostu przyjechała rano.

- Powiedzmy, o... dziesiątej trzydzieści?

Linda podziękowała, ale niezbyt wylewnie - nie chciała, żeby tamta odniosła wrażenie, że płaszczy się przed nią - i zadzwoniła na podany przez Georgię numer telefonu. Włączyła się sekretarka, więc nagrała wiadomość, żeby Georgia oddzwoniła najszybciej, jak to będzie możliwe, i postarała się w jak najkrótszym czasie dotrzeć do jej biura w Londynie. W ten sposób będzie mogła trzymać ją pod kluczem, dosłownie, i następnego dnia rano dostarczy osobiście na przesłuchanie...

- Więc starasz się dostać do filmu, tak?

Miły dzieciak, pomyślał Patrick, i potrafi docenić przysługę. Dziewczyna siedziała na fotelu obok, częstując się jego kanapkami i jego ludzikami z galaretki - wybrane specjalnie na drogę słodczy, dzięki którym mógł podnieść poziom cukru we krwi, a przez to wzmocnić koncentrację. Ludziki zatem wędrowały do jej ust, a on spoglądał na to ze smutkiem.

- Tak naprawdę każdy tego chce - odparła Georgia. - Aktorzy gadają, że chcą tylko grać Hamleta w Narodowym, ale faktycznie każdy z nich chce zostać wielkim nazwiskiem w filmie albo w telewizji.

- Będę czekał na twój debiut - powiedział Patrick z uśmiechem.

- Na pewno dostaniesz zaproszenie. W życiu nie udało mi się tam dojechać, gdyby nie ty.

- Lubię jeździć w towarzystwie, taka jest prawda - mruknął, dodając po chwili: - Ale jeszcze nie jesteśmy na miejscu. Będzie ci przeszkadzało, jeśli włączę radio?

Minęła jedenasta trzydzieści, a Toby nie wracał.

Psiakrew, co on tam robi, myślał ze złością Barney, przechadzając się wielkimi krokami po domu.

Śniadanie zjedli wszyscy razem, bo Toby powiedział, że to ważne, żeby zachowywać się normalnie, a poza tym i tak nie było sensu jechać dokądkolwiek przed dziewiątą trzydzieści, bo dopiero o tej porze otwierano bank. Zaraz potem poczęstował swoich rodziców jakąś bzdurną historyjką - przynajmniej tak się zdawało Barneyowi - o tym, że musi koniecznie pobrać z banku gotówkę.

- Ależ, Toby, w dzisiejszych czasach nikt nie musi jeździć do banku po pieniądze. Po to nosimy w portfelach te kawałki plastiku - zauważył jego ojciec.

- Nie na Malediwach. Tam nie ma bankomatów na każdym kroku, a poza tym muszę zatankować samochód. Chciałem to zrobić wczoraj, ale jakoś zapomniałem.

Toby zawsze potrafił się wykaraskać - często zresztą wraz z Barneyem - z różnych nieprzyjemnych sytuacji w szkole dzięki temu, że kłamał jak z nut; Barney z podziwem obserwował jego talenty w tej dziedzinie. Rzadko kiedy zdarzało się, żeby jakieś przewinienie nie uszło mu płazem, głównie zresztą dlatego, że Toby cieszył się niemałą popularnością, znakomicie radził sobie w sporcie i odznaczał się bystrością umysłu. Dlatego nauczyciele lubili go za to i tak czy owak byli skłonni dawać mu wiarę.

Westonowie wyjechali z domu o dziesiątej trzydzięci. Musieli jeszcze załatwić parę spraw, jak powiedzieli, zanim spotkają się z przyjaciółmi.

Było już po dwunastej, kiedy Toby wrócił.

- Barney, strasznie cię przepraszam. Nie było jej w domu; nikogo nie było. Zmusiła mnie, żebym pojechał do niej do biura...

- Nie mogłeś zostawić forsy w domu?

- Nie, powiedziała, że chce ją dostać do rąk. Nawet wtedy jeszcze musiałem na nią czekać z dziesięć minut, zanim się zjawiała.

- No cóż, w porządku, nie ma o czym mówić. A teraz idź się przebrać, na litość boską. Przecież o pierwszej jesteśmy zaproszeni na lunch!

- Wiesz... Trzeba to będzie odwołać. Ślub jest dopiero o czwartej trzydzięci. Zobaczysz, na pewno bez problemu ze wszystkim zdążymy.

- No dobrze - zgodził się niechętnie Barney. - Zadzwoń do nich. A teraz proszę, pośpiesz się.

Toby najwyraźniej był mocno wstrząśnięty, bo spędził mnóstwo czasu pod prysznicem; potem nie mógł znaleźć nowych skarpetek od Paula Smitha - jedynych, w których czuł się w miarę wygodnie w sztywnych butach, pasujących do stroju pana młodego.

- Tobes, bracie, naprawdę musimy już iść. Może lepiej ja poprowadzę, bo ty wyglądasz dosyć kiepsko.

- Tak, tak, dobrze... Psiakrew! Zapomniałem zatankować samochód!

- Na litość boską, Toby! Chodźże wreszcie! Jedziemy. Z powrotem?

- Nie, lepiej wskoczyć gdzieś na M4. Tam jest tylko jedno skrzyżowanie, bak możemy napełnić na stacji obsługi.

- Toby, jest piątek. Pchanie się na autostradę to kiepski pomysł. Czy naprawdę musimy tankować?

- Naprawdę, cholera jasna. Bak jest prawie pusty. I przecież będziemy jechać w stronę Londynu, a nie w przeciwną. Zobaczysz, że zdążymy. Na pewno będziemy szybciej niż tymi wiejskimi drózkami. Tam równie dobrze możemy się wpakować za jakiś traktor...

Barney właśnie miał zauważyć, że traktor zawsze można wyprzedzić, jeśli to absolutnie konieczne, kiedy Toby nagle zawołał, że musi pędzić do toalety. Zniknął na prawie pięć minut, a potem wrócił blady jak zjawa.

- Przepraszam, Barney. Rzygam jak kot. To pewnie przez te nerwy... Wciąż nie czuję się dobrze. Prawdę mówiąc... - i znów zniknął za drzwiami.

No cóż, przynajmniej na autostradzie na każdej stacji są dziesiątki toalet...

Georgia odkryła, że na telefonie Patricka jest dla niej wiadomość od Lindy. Spojrzała na niego z promiennym uśmiechem.

- Co prawda, nie powiedziała, że wszystko jest okay, ale skoro nadal chce, żebym przyjechała do Londynu, to myślę, że chyba coś załatwiła, jak sądzisz?

- Może opowiesz mi coś o sobie - zaproponował.

Zaczęła mu opowiadać, jak przez całe swoje życie marzyła, żeby zostać aktorką; jak była gwiazdą wszystkich szkolnych przedstawień, zwłaszcza w roli Julii.

- Niektóre wredne suki powtarzały: „Och, nie możesz być czarną Julią”, ale nasza nauczycielka sztuk dramatycznych, która była absolutnie bajeczną osobą, uznała, że oczywiście mogę; nie ma w tym nic dziwnego, podobnie jak wtedy, kiedy biali aktorzy grają Otella.

Mówiła, jak potem zdobyła miejsce w „szkółce”, jak nazywała swoją szkołę aktorską, czyli National Academy of Drama, i jak tam podczas kończącego semestr przedstawienia została zauważona przez Lindę.

- Chciałabym dopowiedzieć resztę tej historii, ale na razie nie mogę - powiedziała, wbijając zęby w jabłko. - To przesłuchanie jest moją wielką szansą. Naprawdę.

Opowiedziała, że trafiła do adopcji jako kilkudniowe niemowlę.

- Moja biologiczna matka miała zaledwie czternaście lat i nie mogła mnie zatrzymać - a pewnie nie chciała, co jest bardziej prawdopodobne - więc mama i tata zabrali mnie do siebie. Wiesz, dzięki nim miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo; czułam się bezpieczna i kochana, miałam mnóstwo ładnych rzeczy, chodziłam do dobrej szkoły... Myślę, że trochę ich rozczarowałam. Mama bardzo chciała, żebym została nauczycielką. Wielki Boże! Nie mogłam, naprawdę nie mogłam. Nie mam dość cierpliwości, a już na pewno nie do małych dzieci.

Patrick bez trudu zgodził się z nią, że faktycznie, do małych dzieci trzeba mieć mnóstwo cierpliwości.

- Mam trzech chłopaków w wieku poniżej ośmiu lat i moje życie nie jest pasmem spokoju.

- Wyobrażam sobie! Twoja żona musi być nieźle... zmęczona. Jak jej na imię?

- Maeve.

- Maeve... Ładne imię. Czy ona gdzieś pracuje?

- Co, z trójką dzieci na głowie? Oczywiście, że nie, chociaż nic bardziej jej nie wkurza niż kiedy ludzie ją o to pytają. „Co, według was, robię przez cały dzień?” - mówi. - Maluję sobie paznokcie?”.

- Och, przepraszam, to strasznie głupio z mojej strony. Powinnam mieć trochę oleju w głowie. Przecież sama muszę wysłuchiwać różnych głupot.

- Jakich głupot? - spytał Patrick, szczerze ubawiony.

- Ludzie gadają coś w stylu: „Jak to uroczo mieszkać w Roath Park, prawda?”. Faktycznie, nasz dom stoi w tej części Cardiff, w której mieszka klasa średnia. Albo: „Czyż to nie jest prawdziwe szczęście dla was, że Jack i Bea was adoptowali?”. Zapewne tak naprawdę mają na myśli coś całkiem innego: „Czy to nie cudowne, że zostaliście adoptowani przez przyzwoitych, białych ludzi z klasy średniej zamiast trafić do rynsztoka ze swoją czarną, biologiczną matką?”. W pewnym sensie mają rację, ale z drugiej strony, czasem bywa cholernie ciężko.

- Dlaczego?

- No bo jeżeli jesteś czarny, to jesteś czarny - odpowiedziała Georgia powoli. - Człowiek dziwnie się czuje, kiedy cały czas przebywa z białymi ludźmi. Nie masz pojęcia, co się działo, kiedy miałam cztery albo pięć lat i szłam na jakąś dziecięcą imprezę, wiedząc, że będę tam jedyną czarną dziewczynką. Czasami czuję się... Sama nie wiem... Tak cholernie samotna. I trochę zdezorientowana... Zupełnie jakby tak naprawdę nie powinno mnie być tam, gdzie jestem. Czy potrafisz to sobie wyobrazić?

- Tak... Mam wrażenie, że tak.

- Rzecz w tym, że własna matka i prawdziwa rodzina zawiodły, i zostałeś uratowany tylko dlatego, że kogoś ruszyło sumienie. I przez cały czas czujesz, że powinieneś być wdzięczny, ale to budzi w tobie odrazę. Kiedy trochę urosłam, było nieco lepiej, ponieważ społeczność mieszkająca w Cardiff jest dość zróżnicowana i w mojej szkole uczyło się mnóstwo czarnych i azjatyckich dzieci. Ale potem pomyślałam, że to może zaszkodzić moim stosunkom z mamą i tatą, jeśli będę się źle czuła w towarzystwie ludzi, których oni znają i lubią.

- Czy kiedykolwiek starałaś się odszukać swoją biologiczną matkę?

- Tak - powiedziała z prostotą. - Ale nic z tego nie wyszło.

- Zmartwiło cię to?

- Jasne. Przynajmniej na początku. A potem po prostu... po prostu odepchnęłam ją na to samo miejsce, które zajmowała przez całe moje życie. To znaczy w nicość.

Spojrzała na Patricka i uśmiechnęła się.

- Zwykle nie rozmawiam o takich sprawach, no, chyba że znam kogoś, od wieków, a i wtedy nie zawsze. Musisz mieć jakieś magiczne zdolności, że skłaniasz ludzi do mówienia.

- No cóż, jestem z natury wścibski, jak sądzę... Wiesz, Georgia, na razie mamy niezły czas. W tym tempie spokojnie dojedziemy na piątą. Proszę, twój telefon jest już naładowany. Najlepiej od razu go zabierz; nie chcę, żeby przypadkiem tutaj został. O rany, spójrz, co ci ludzie...

Jakiś van przeciął im drogę, wciskając się z zewnętrznego pasa. Patrick musiał ostro zahamować.

- To było ohydne - powiedziała Georgia. - Moim zdaniem biali kierowcy jeżdżą fatalnie, zgadzasz się?

- W większości...

Coś upadło na podłogę. Georgia schyliła się, żeby to podnieść. Po chwili trzymała w ręku małe pudełeczko.

- Co to jest?

- Możesz zajrzeć. Jestem ciekaw, co o tym powie kobieta. To prezent dla mojej teściowej na urodziny. Kończy pięćdziesiąt lat. Dziś wieczorem mamy małą uroczystość i to właśnie jest jeden z powodów, dla których tak gnam.

Georgia otworzyła pudełeczko. W środku był bardzo ładny zegarek na srebrnej bransoletce.

- Jest uroczy, Patrick! Uwielbiam zegarki. Mój ostatni chłopak dał mi w prezencie przepiękny zegarek, ale zrobił to akurat tego wieczoru, kiedy postanowiłam z nim zerwać. Zmusiłam go, żeby go zabrał, choć prawie umierałam z żalu.

- Czemu go rzuciłaś? A może już za dużo tych wścibskich pytań?

- Nie. On był... po prostu nudny.

- No cóż, w takim razie postąpiłaś słusznie - powiedział Patrick zdecydowanie. - Nawet jeśli przez to musiałaś zrezygnować z zegarka. Czasami się zdarza, że ja i Maeve doprowadzamy siebie do szału, ale nigdy się ze sobą nie nudzimy. Czy możesz z łaski swojej potrzymać ten zegarek? Powinienem był schować go w lepszym miejscu, żeby nie wypadł.

- Włożę go do torebki, tam będzie bezpieczny, i oddam, kiedy będę wysiadała.

- Świetnie. Tylko nie ucieknij z nim, dobrze?

- Nie bądź głuptasem. Oczywiście, że nie ucieknę.

* * *

- O Jezu, słodki Jezu, to pieprzeni gliniarze! Tuż za nami. Chryste, tylko tego nam potrzeba.

Barney posłusznie zjechał na pobocze, prowadzony przez nieubłagane niebieskie światelko, które mięgało na pasie postojowym, i zrezygnowany opuścił szybę.

- Dzień dobry, sir.

- Dzień dobry, panie oficerze.

- Może będzie pan tak uprzejmy wysiąść z wozu, sir. Czy wie pan, z jaką prędkością przed chwilą pan jechał?

- Eee... Nie bardzo. Raczej nie.

- Sto pięćdziesiąt na godzinę, sir. Powyżej dopuszczalnego limitu.

- Tak, tak, bardzo przepraszam, panie oficerze... No cóż, prawdę mówiąc, trochę się spieszyłem.

- To się dało zauważyć.

Przez twarz policjanta przemknął cień uśmiechu, ale w tym uśmiechu nie było ani krzty uprzejmości.

- Spiesz się pan na ślub, czy jak?

- Zgadł pan. Właśnie jedziemy na ślub. Ja jestem świadkiem, a ten kolega obok to pan młody.

Teraz z pewnością mogą liczyć na odrobinę zrozumienia, pomyślał z nadzieją.

- Czy mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy, sir?

- Tak, oczywiście. Toby, możesz mi je podać? Jest w moim portfelu. Włożyłem go do schowka na rękawiczki.

Podał dokumenty policjantowi, a tamten uważnie przeczytał ich treść.

- A więc pan nazywa się Barnaby John Fraser, tak? To pańskie prawo jazdy? I to pański samochód?

- Nie, samochód należy do Toby'ego. Tego, który siedzi obok. To pan Weston.

- Ale oczywiście posiada pan ubezpieczenie, żeby móc go prowadzić? Muszę zapisać wszystkie szczegóły, sir. Widzę, że na stałe mieszka pan w Londynie?

- Tak, zgadza się. Ale teraz zatrzymaliśmy się w Elcombe, u rodziców pana Westona.

- A gdzie jest wesele?

- W Marlborough. Właściwie tuż obok.

- Zastanawiam się więc, czemu pojechaliście autostradą, skoro Elcombe jest także na południu?

- No cóż... Przyszło nam do głowy... Wiejskie drogi są bardzo kręte i wąskie, wydawało nam się, że autostrada jest o wiele lepszym pomysłem.

Wiedział, czemu policjant zmusza go do mówienia; po prostu chciał wyczuć, czy Barney pił coś mocniejszego.

- Cóż, sir, obawiam się, że będę musiał zbadać pana alkomatem.

- Ale ja naprawdę niczego nie piłem.

- Takie są przepisy, sir. Musimy ich przestrzegać. To nie potrwa długo. O której jest ślub? - spytał jeszcze, kiedy Barney oddał mu rurkę.

- O czwartej trzydzieści.

- W Marlborough? To rzeczywiście zrobiliście sobie niezły skrót. No dobrze, badanie potwierdziło, że nie pił pan alkoholu. W takim razie ruszajcie w drogę i powodzenia. Oczywiście niebawem się odezwiemy.

Będą nas obserwować, pomyślał Barney. Nawet jeśli pojedą przodem, nie odważę się ich wyprzedzić. Świnie. Cholerne świnie. Boże, zaraz zabraknie benzyny. Ale byli już blisko stacji benzynowej. I było dopiero parę minut po trzeciej. Zgoda, dziesięć po trzeciej. Jeśli w ogóle mają zdążyć...

- Cholerne gnojki - odezwał się Toby, odgarniając z czoła włosy, kiedy wślizgiwali się z powrotem na autostradę. - Jak ci się zdaje, może powinniśmy do kogoś zadzwonić?

- Obawiam się, że tak, stary. Tylko do kogo? Do Tamary? Do jej matki?

- Chryste, nie! - Toby zbladł jak prześcieradło. - Do kogo dzwoniłeś w sprawie lunchu?

- Do Pete'a. Dobra, lepiej zadzwoń. Żeby to mieć za sobą.

- Okay. Chryste, Barney, strasznie się pocę. Do diabła, jak to się mogło stać? Nie ma co, chłopie, fajny z ciebie druhna.

Barney pomyślał, że Toby stroi sobie żarty, ale potem doszedł do wniosku, że wcale nie. Wręcz przeciwnie.

Tuż po trzeciej Jack Bryant wjechał na autostradę. Od jakiegoś czasu z niecierpliwością czekał na dzisiejszy dzień. Jechał do Szkocji, żeby z paroma kumplami zapolować na kuropatwy, co zawsze sprawiało mu radość, a co więcej, mógł zasiąść za kierownicą jaguara.

Ta limuzyna była jego dumą i radością: jasnoczerwona, bez śladu zadrapania, ze składanym dachem i różnymi bajerami. Pędziła jak wicher, z łatwością osiągając prędkość stu osiemdziesięciu kilometrów, co oczywiście nie oznaczało, że w dzisiejszych czasach człowiek mógł często z tego korzystać.

Kupił ją tuż po ostatnim rozwodzie, czyli przed trzema laty. Zawsze chciał mieć taki wóz, więc kiedy już wręczył swojej ekszynie stosowną odprawę, doszedł do wniosku, że ostatecznie jemu też coś się należy od życia.

Trudno uwierzyć, ale samochód i on byli prawie w tym samym wieku - no dobrze, on był odrobinę starszy, jeśli chodzi o ścisłość.

Jack trafił na niezbyt łatwe czasy; udało mu się zarobić niezłe pieniądze na pierwszym boomie na rynku nieruchomości, ale nie na tyle duże, żeby mógł utrzymać się przez resztą życia albo żeby starczyło na zaspokojenie ambicji, czyli stylu życia wiejskiego dżentelmena. Oczywiście nie był wiejskim dżentelmenem, był zwykłym chłopakiem po podstawówce, któremu się udało, ale miał mnóstwo przyjaciół, którzy zasługiwali na to miano i chociaż on sam żył raczej skromnie w Fulham, to większość weekendów spędzał na prowincji; był dość użyteczny, jak każdy samotny i uznawany w towarzystwie mężczyzna, a poza tym wydawało się wręcz nie-

możliwe, żeby go nie lubić, ponieważ zawsze miał dobry humor, tryskał energią i był niewyczerpanym źródłem zabawnych historyjek.

Przez parę dni mieszkał w Bristolu razem z grupą przyjaciół; stąd jego obecność tego popołudnia na autostradzie M4. Podczas tego pobytu pewien bardzo dobry mechanik przeprowadził gruntowny przegląd silnika, a na końcu on sam przejrzał ją pobieżnie. Z tymi starymi damami nigdy nie doś zachodu, a czekała ich długa droga.

Mary czuła się nieco senna. Oczywiście przez to gorąco, w dodatku przez większość nocy nie zmrzyła oka. Z podniecenia. Może powinna pozwolić sobie na małą drzemkę - to nikomu nie zaszkodzi, a jej samej podróż upłynie szybciej. Kierowca uprzedzi ją, gdy będą się zbliżać do celu, żeby zdążyła przyczesać włosy i tak dalej, chociaż na lotnisku będzie jeszcze sporo czasu na takie sprawy. Samolot powinien wylądować nie wcześniej niż o szóstej, a w firmie taksówkowej poradzono jej, żeby na wszelki wypadek przeznaczyła na podróż dodatkową godzinę. Mary przeznaczyła dwie.

- Jak stoimy z czasem? - zapytała.

- Znakomicie, koteczku - odparł kierowca.

Kazał jej mówić do siebie „Colin” i był naprawdę bardzo miły, uznała. W średnim wieku, więc z pewnością doskonale opanował swój fach. Byłoby okropne, gdyby trafiła na któregoś z tych chuligańskich młodzieńców z ogolonymi na łyso głowami.

- Stąd mamy jeszcze najwyżej półtorej godziny. Nawet jeśli przed Londynem utkniemy w korku.

- Czy to możliwe? - spytała z niepokojem.

- Gdybym wiedział takie rzeczy, skarbie, byłbym bogatym człowiekiem. Tego właśnie chcą wszyscy kierowcy: wiedzieć jaki będzie ruch, gdzie zdarzy się wypadek, i tak dalej...

- Wypadek! O Boże! O tym nie pomyślałam...

- Niech pani posłucha, pani Bristow! Jedziemy wewnętrznym pasem, tak jak sobie pani życzyła, ze stałą, niezłą prędkością. Raczej nie należy się obawiać, że coś przydarzy się akurat nam. A nawet jeśli gdzieś dojdzie do wypadku, to przy tej prędkości i biorąc pod uwagę, że jesteśmy tuż przy pasie postojowym, nie ma szans, żeby w znaczący sposób wpłynęło to na naszą sytuację.

- Naprawdę tak uważasz?

- Ja po prostu o tym wiem, kochanie. Posłuchaj, czemu nie spróbujesz się zdrzemnąć? Będziemy na miejscu, zanim zdążysz się zorientować.

Mary ze spokojem usadowiła się w samym kącie. Nagle zrobiło się bardzo ciemno. Może zanosilo się na deszcz? Chmura była tak blisko, że zaraz usłyszą grzmoty. Ten miły kierowca miał rację: rzeczywiście dojadą na miejsce, zanim ona zdąży pomyśleć, gdzie są. A potem spotkają się z Russellem i... i...

Z pogodnym uśmiechem odpłynęła w sen.

Dzięki Bogu, pomyślał Colin Sharp, przydeptując pedał gazu i skręcając na środkowy pas.

- To może teraz porozmawiamy? - zaproponowała Abi, kiedy znaleźli się na M4.

Jechali jego nowym wozem - saabem. Kupił go zaledwie przed tygodniem i wciąż nie czuł się w nim zbyt komfortowo. Samochód sam w sobie był niezły, ale system nagłaśniania nieco szwankował, a system głośnomówiący nie działał wcale.

Abi włączyła pierwszy program radia, stanowczo za głośno jak na jego gust. Ściszył dźwięk, ale ona znowu go podkreśliła.

- Abi, przy tym hałasie nie da się myśleć. Mieliśmy porozmawiać.

- Pokazujesz, ile naprawdę masz lat, Jonathanie.

Jednak posłusznie wyłączyła radio i wzięła do ręki leżący na desce rozdzielczej jego telefon, żeby pobawić się przyciskami.

- Odłóż to na miejsce.

- Dlaczego? Mam zamiar zrobić ci zdjęcie. Wyglądasz tak słodko, taki poważny i daleki. Zupełnie inny niż jeszcze godzinę temu. No proszę. Wspaniale. Teraz chcę sprawdzić, czy dostałeś tę wiadomość, którą ci wysłałam...

- Jaką wiadomość?

- Byłeś wtedy pod prysznicem. Tak, jest. Będziesz mógł ją później przeczytać. To coś bardzo miłego.

- Abi, odłóż to, proszę. Zaraz.

- Okay. - Wzruszyła ramionami. Wzięła głęboki oddech.

- Posłuchaj, myślę, że nadszedł czas, żebyśmy... Żebyśmy to skończyli.

- Co skończyli?

- Nasz... Ten... Ten związek.

- Dlaczego? - Ton pytania wydał mu się nagle bardzo agresywny.

- Wydaje mi się, że stracił rację bytu. Zaczynam się czuć... coraz bardziej nieszczęśliwy z tego powodu.

Oczywiście jest wspaniale, ty jesteś wspaniała, ale myślę, że powinniśmy powiedzieć sobie „do widzenia”, zanim... Zanim zacniemy żałować, żeśmy w ogóle się spotkali.

- Jonathan, ja niczego nie żałuję.

- Abi, ja... Posłuchaj, ty niczego nie rozumiesz.

- Wydaje mi się, że rozumiem - przerwała mu, a jej wzrok zrobił się twardy jak stal. - Zabawiłeś się tak, jak lubisz, a teraz zmieniasz front. Podniecenie wyraźnie już opadło, więc teraz ja mam tak po prostu odejść sobie w zachodzące słońce, zgadza się? Tylko dlatego, że tobie coś się odkręciło.

- Cóż, chyba nie wyobrażałaś sobie, że ten układ ma jakąś przyszłość.

- Mogłam sobie wyobrażać - odparła. - Zdaje się, że to ty nastawiałeś na spotkanie ze mną, o ile sobie przypominam.

- A ty wcale nie próbowałaś mnie powstrzymać, o ile pamiętam. Jej głos był bardzo napięty, pełen wściekłości.

- Masz cholerny tupet, Jonathanie Gilliatt. Przez całe tygodnie dostawałeś seks na żądanie...

- Wydaje mi się, że często bywało tak, że to ty żądałaś. Zignorowała tę uwagę.

- A teraz mam się odpieprzyć, zostawić cię, żebyś mógł wrócić do swojej ukochanej, idealnej zoneczki i udawać, że nigdy nie istniałam, tak? No cóż, chyba jednak nie mogę tego zrobić, Jonathanie. Przykro mi, ale nic nie liczy się dla mnie tak bardzo jak... uczciwość.

Miała rację; na pewno nie postąpił uczciwie, biorąc pod uwagę, z jaką zapalczywością zabiegał o jej względy.

- Abi, bardzo mi przykro. Ale chyba rozumiesz, że to nie mogło trwać wiecznie. To zupełnie nierealne.

- Wcale nie rozumiem. A co się stanie, jeśli ja zechcę kontynuować naszą znajomość? Czy pomyślałeś o tym?

Poczuł ukłucie paniki.

- Ja... No...

- Nie pomyślałeś, zgadza się? Uważałeś, że ponieważ byłam łatwą zdobyczą, to nie musisz przejmować się tym, co myślę albo odczuwam; uważałeś, że potulnie odejdę, mówiąc: „Tak, Jonathanie, nie, Jonathanie, zabieram swoje zabawki i znikam na amen”. No cóż, nie mam zamiaru tak postąpić. Prawdę powiedziawszy, nie widzę powodu, żeby dostosowywać się do twoich życzeń.

Zerknął na nią kątem oka; była blada jak ściana, a jej rysy zastygły w grymasie wściekłości.

- Posłuchaj, czy usiłujesz mi zasugerować, że chcesz pieniędzy albo czegoś w tym stylu? Bo jeśli tak, to...

- Nie! Nie chcę żadnych pieprzonych pieniędzy! Co za ohydna propozycja. Co ty sobie myślisz, że kim ja jestem, co?! Jesteś przerażony, prawda? Uważasz, że masz do czynienia z jakimś pieprzonym, potulnym króliczkiem, którego można zatkać, wciskając mu kasę?

- Nie - odpowiedział prędko, uświadamiając sobie, że właśnie takiej sceny się obawiał. - Oczywiście, że nie.

Rzucił okiem na zegar na desce rozdzielczej.

- Cholera, ale duży ruch. Wygląda na to, że się spóźnię, a jeszcze trzeba gdzieś zatankować. Będę musiał zadzwonić, kiedy zatrzymamy się na następnej stacji.

- Do kogo chcesz dzwonić, do swojej żoneczki?

- Nie, do gabinetu na Harley Street. O czwartej muszę być w klinice. Podjechał na pierwszą stację benzynową i napełniając bak, wybrał

numer szpitala Świętej Anny. Sekretarka sprawiała wrażenie pełnej animuszu.

- Ma pan dziś mnóstwo pacjentek, doktorze Gilliatt. Czy mam je prosić, żeby zaczekały, czy zapisywać na inne terminy?

- Poproś, żeby zaczekały, jeśli mogą. Powinienem być na miejscu o czwartej trzydzieści, najpóźniej o piątej. Bardzo przepraszam za zamieszanie.

- Aha, panie Gilliatt, dzwoniła pańska żona. Pytała, czy mam od pana jakieś wieści. Najwyraźniej kilka razy próbowała się z panem połączyć. Czy mam zadzwonić do niej i wyjaśnić...

- Tak, Jane, to świetny pomysł. Mnie byłoby trudno, bo mam problemy z telefonem w samochodzie. Bardzo dziękuję.

Czuł się dziwnie speszony, dziwnie zakłopotany. Rozmowa z Abi obudziła w nim strach, ale jednocześnie pozwoliła jasno ocenić własne uczucia: tęsknotę za tym, by skończyć ten związek, by znowu być bezpiecznym i - co absurdalne - niedołą, jaką będzie dla niego rozstanie z Abi.

Wysiadła z auta, gdy się zbliżał.

- A ty dokąd?

- Do toalety. Mogę iść czy muszę prosić o pozwolenie?

- Abi, mnie się strasznie spieszy.

- W porządku, tak samo jak mnie. Żeby pójść do toalety. Nagle ogarnęła go chęć, żeby ją uderzyć.

- Och, na litość boską! No dobrze, idź wreszcie!

Siedział w fotelu, pieniać się ze złości, i na wpół przytomnie rozważając kuszącą myśl, żeby odjechać i ją tu zostawić. Ale bał się tego, co ona wtedy może zrobić. Bał się tego, co w ogóle może zrobić.

Może lepiej zadzwonić do Laury, na wypadek, gdyby próbowała się z nim połączyć? Wybrał numer telefonu stacjonarnego, ale odezwała się automatyczna sekretarka. To samo się stało, kiedy zadzwonił na komórkę.

- Laura, kochanie, to ja. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wracam, ale trochę się spóźnię. Nie dzwoń do mnie, dobrze? System głośnomówiący nie działa tak jak trzeba. Zadzwonię do ciebie, gdy tylko będę mógł.

Przez przednią szybę zobaczył Abi, która wracała do samochodu. Jej wzburzona mina bez wątpienia świadczyła o tym, że szykuje siły do dalszej walki.

ROZDZIAŁ 8

Mary obudziła się z poczuciem wyraźnego dyskomfortu. Oczywiście, to jej pęcherz przypominał o swoim istnieniu. Nawet w najlepszych czasach nie był zbyt wytrzymały, a kiedy zmagала się z jakimś stresem, robił się wyraźnie słabszy. Nigdy nie udaje się jej dotrzeć na Heathrow bez skorzystania z toalety; musi poprosić Colina, żeby zatrzymał się na następnej stacji benzynowej, choć nie była pewna, czy nie będzie miał nic przeciwko temu. Donald zawsze wpadał w szał, kiedy w czasie wspólnych podróży musiał wysłuchiwać jej prośb o postój.

Ale przecież Colin jest tylko opłaconym przez nią kierowcą, pomyślała; nie ma żadnego interesu w tym, żeby się na nią złościć. Z pewnością Russell powiedziałby jej to samo. Zaniepokoiła się, czy Russellowi będzie przeszkadzała jej potrzeba częstego chodzenia do toalety. Po paru minutach wzięła głęboki oddech i zdecydowała się wyrazić swoją prośbę na głos.

- Colin, czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby zatrzymać się na najbliższej stacji benzynowej? Muszę wstąpić do łazienki.

Colin odparł, że wręcz przeciwnie, i że prawdę mówiąc, jemu także przyda się chwila przerwy. Wypił już prawie całą butelkę wody, a jeszcze nie dojechali do połowy drogi.

- To przez ten upał. Czy będzie dobrze, jeśli zatrzymamy się przy dystrybutorach? Zwykle strasznie dużo czasu traci się na szukanie miejsca w pobliżu toalet.

- Oczywiście. Mogę ci przynieść następną wodę, Colin, jeśli nie musisz... No, jeśli nie musisz sam skorzystać...

- Nie, nie, Mary, wszystko w porządku. Ja mam pęcherz ze stali. Owszem, poproszę o dwie butelki wody i może jakąś gumę do żucia? Lubię żuć, kiedy prowadzę, bo to poprawia mi koncentrację.

Mary miała nadzieję, że to nie oznacza, że koncentracja mu siadła. Od chwili, gdy się obudziła, zdołała zauważyć parę przykładów zatrważająco wariackiej jazdy: samochody pędziły na złamanie karku, motocykle

wskakiwały i wyskakiwały spomiędzy rzędów sunących aut, ciężarówki - wszystkie z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi, jak zdołała dostrzec - prawie najeżdżały na jadące bezpośrednio przed nimi osobowe samochody, a właśnie teraz jakiś biały van usiadł im na ogonie i wściekle migał światłami w lusterko Colina, żeby parę sekund później dodać gazu i wepchnąć się w naprawdę niewielką przestrzeń na sąsiednim pasie. Po chwili van przeskoczył na zewnętrzny pas, nic sobie nie robiąc z wściekłego trąbienia innych samochodów.

- Co za fatalne obyczaje - zauważyła Mary. - Mój mąż zawsze powtarzał, że złe prowadzenie auta jest jeszcze gorsze niż złe maniery. Czy twoim zdaniem miał rację, Colin?

- Z pewnością. No proszę, gdzie już jesteśmy, Mary. Nie wygląda, żeby był tu wielki tłok. To nie powinno zatrzymać nas na długo.

- Mam nadzieję - odpowiedziała.

- A więc, do czego są ci potrzebne te rzeczy? - spytała Georgia, częstując się następną garścią żelkowych ludzików.

- Niszczą mi zęby. Przyprawiają o mdłości. Ale głównie pomagają nie zasnąć...

- Tak? Zawsze myślałam, że od tego jest kawa.

- Ja jestem właściwie uodporniony na kawę. Po to kupuję te świństwa. To czysty cukier. Postaraj się nie zjeść wszystkich, dobrze?

- Dobrze.

- Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony, że w ogóle jesz słodyczne. Jesteś taka szczupła.

- Prawda? Mam niewiarygodne szczęście. Po prostu nie przybieram na wadze, żeby nie wiem co. Inne dziewczyny bardzo mi zazdroszczą. Muszą bardzo się starać, prawie nic nie jeść, niektóre żyją tylko na papierosach i sałacie. Powiedziałabym, że nawet połowa dziewczyn w naszym biznesie ma jakieś zaburzenia trawienne. To wszystko przez kierowników castingów i naszych agentów, i tak dalej, i tak dalej... „Musisz schudnąć, ostatnio przybrałaś na wadze”, w kółko słyszy się to samo. Widzisz więc, że mam wyjątkowego farta.

- Rzeczywiście.

Przez chwilę milczała, żując słodkości, a potem zmieniła temat.

- Psiakość, ale dużo stąd widać - zauważyła. - To niesamowite, zupełnie jakby człowiek szybował w powietrzu.

- Masz rację. Poza tym widać, co się dzieje w innych samochodach, kiedy się obok nich przejeżdża. Uważam, że to wielka pokusa, podglądać ludzi i ich życie.

- Więc czemu jej nie ulegasz?

- Bo jestem zajęty wpatrywaniem się w drogę.

- No cóż, w takim razie zrobię to za ciebie. Och, teraz obok nas przejeżdża jakiś autobus. Biedny kierowca wygląda na strasznie zmęczonego, a wszystkie babcie śpią jak aniołki. Przypuszczam, że pewnie jadą na wycieczkę do... O Boże, to naprawdę jakiś koszmar! Biedny gość...

- Co jest? - zainteresował się Patrick.

- Pan młody. Ubrany w taki strój jak małpa, kapelusz na tylnym siedzeniu, a obok niego drugi gość, przypuszczalnie drużba. Obaj wyglądają na mocno zestresowanych. Chyba są spóźnieni. Na pewno wczoraj

wieczorem za dużo wypili. Ale pędzą... Cholera, to paskudne przeżycie, spóźnić się na własny ślub. Mam nadzieję, że nie capną ich gliny... Jak tam z czasem?

- Całkiem nieźle. Według mnie powinnaś zdążyć.

- Stary, muszę pójść do łazienki. Czy możesz w tym czasie zatankować?

- Jasne. Jak się czujesz?

- Niezbyt dobrze. Ale jakoś dam radę. Chociaż byłoby lepiej, gdyby kiszki przestały mi się wywracać na lewą stronę.

Barney oparł się pokusie, żeby bąknąć, że to stres, a nie jakieś złośliwe zrządzenie losu wywraca na lewą stronę nieszczęsne kiszki Toby'ego. Wciąż czuł się zaszokowany i zmieszany ostatnimi rewelacjami. Z kolei Toby sprawiał wrażenie całkiem pogodnego i w zupełnie normalnym nastroju, jak gdyby, uporawszy się z kryzysową sytuacją w najlepszy możliwy sposób, teraz odsunął ją na bok i z powrotem wszedł w rolę przykładowego pana młodego. Wydawał się kimś zupełnie innym niż tamten Toby, którego Barney znał do tej pory, i to odkrycie wzbudziło w nim coś w rodzaju przerażenia.

Barney napełnił bak, a potem przyszło mu na myśl, że może warto sprawdzić opony, bo podczas jazdy czuł, że samochód trochę ściąga w bok. Przy tym stylu jazdy potrzebowali naprawdę dobrze napompowanych opon.

- Barney, na litość boską, co ty wyrabiasz?! Toby pojawił się przy aucie.

- Chcę sprawdzić ciśnienie. Przednia opona od strony kierowcy wydawała mi się trochę za miękka. Idź zapłacić za benzynę, i może przy okazji przynieś trochę wody, dobrze? Zanim wrócisz, ja skończę.

- Okay.

Toby ruszył w stronę budynku. Zgarnął z półki dwie butelki wody i ustawił się w kolejce za jakąś starszą panią. Przed nią do kasy czekały jeszcze trzy osoby. Jezu, to będzie trwać w nieskończoność, pomyślał, spoglądając na zegarek. W porządku, jest całkiem nieźle. Do ślubu zostało jeszcze parę godzin. No dobrze, jedna godzina...

Kiedy tak stał, starając się zachować spokój, zabręczała komórka.

- Gdzie się podziewasz, ty cholerny gnojku?

To był ojciec Tamary, oddany swojej córce w stopniu przekraczającym granice zdrowego rozsądku. Zawsze jasno dawał do zrozumienia, że uważa Toby'ego za mało wartościowego konkurenta, absolutnie niegodnego zaszczytu ubiegania się o jej rękę.

- Ja... No, George, jestem już na autostradzie. Niebawem powinienem być na miejscu.

- Do kurwy nędzy, a co w ogóle robisz na tej pieprzonej autostradzie?!

- Bardzo przepraszam, po prostu tak wyszło... Dzwoniłem do Pete'a, ale najwidoczniej ta informacja do ciebie nie dotarła... Zaraz u was będę. Muszę jeszcze tylko zatankować samochód, sprawdzić ciśnienie w oponach...

- Ciśnienie w oponach?! Co ci do diabła strzeliło do łba, żeby sprawdzać ciśnienie w oponach? I to na godzinę przed ślubem, na litość boską!

- Tak, George, wiem, ale jedna całkiem sflaczała...

- Posłuchaj, gównu mnie obchodzą twoje pieprzone opony. Masz tu przyjechać, i to natychmiast. To najważniejszy dzień w życiu mojej córki i nie mam zamiaru pozwolić, żebyś go spieprzył. A teraz uważaj, co powiem: mam gdzieś, czy będziesz jechał na oponach czy na gołych obręczach, psiakrew, i dobrze ci radzę, żebyś przyjechał jak najszybciej. Zrozumiano?

Połączenie zostało przerwane.

Toby z rozpaczą spojrział na kolejkę przed sobą, która skurczyła się do dwóch osób - sympatycznie wyglądającej dziewczyny oraz owej starszej damy - i wysuwając się do przodu, zebrał się na odwagę.

- Przepraszam, czy panie mogłyby mnie przepuścić? To wyjątkowa sytuacja, muszę jak najszybciej odjechać...

Dziewczyna od razu odsunęła się na bok, ale starsza pani obrzuciła go spojrzeniem, które aż nazbyt dobrze przypominało mu wzrok babci, kiedy był niegrzeczny.

- Niestety, ja nie mogę pana przepuścić - odezwała się. - Każdy z nas spieszy się gdzieś w jakichś ważnych sprawach. Na przykład ja jadę odebrać kogoś z lotniska. Musi pan czekać na swoją kolej, młody człowieku, jak my wszyscy. Bardzo mi przykro.

I przez nieskończenie długi czas grzebała w portmonetce, żeby dokładnie wyliczyć określoną sumę.

Kolejki do innych kas były znacznie dłuższe; Toby musiał cierpliwie zaczekać.

Mary poczuła lekkie wyrzuty sumienia, gdy patrzyła w ślad za nim, jak najprostszą drogą pędził w kierunku stojącego na parkingu samochodu. Wyrzuty przybrały nieco na sile, gdy dostrzegła jego strój: spodnie w prążki i szelki świadczące o tym, że zapewne spieszy się na czyjeś wesele. Prawdę powiedziawszy, zachowała się niezbyt uprzejmie, choć to wcale nie leżało w jej charakterze. Ale ten młody człowiek także zachował się dość arogancko. Gdyby okazał odrobinę szacunku, może postąpiłaby inaczej. Chociaż... Świetnie wiedziała, czemu zareagowała w taki sposób. Po prostu jej nerwy były napięte do ostateczności...

- Barney, pośpiesz się, spadamy stąd jak najszybciej! Chryste, wsiadaj do tego pieprzonego samochodu! Sam poprowadzę...

Toby wskoczył za kierownicę i zatrzasnął drzwi.

- Ale...

- Powiedziałem, wsiadaj! Posłuchaj, ja odjeżdżam, a ty jak chcesz. Możesz tu sobie dalej sterczeć, jeśli masz ochotę.

Barney wgramolił się do środka, mruczając pod nosem, że umiera się tylko raz, i śląc ku niebu coś, co wyglądało na modlitwę, żeby to nie zdarzyło się dzisiaj...

* * *

Laura zmarszczyła brwi, odsłuchując wiadomość od Jonathana. W porządku, w dość despotyczny sposób nakazał jej, żeby do niego nie dzwoniła, ale przecież ona musiała wiedzieć, kiedy ma się go spodziewać. Jonathan miał obsesję na punkcie rozmów przez komórkę w czasie jazdy, ale chyba da radę odebrać telefon, a cała rozmowa potrwa najwyżej sekundę. Zgoda, może poczekać jeszcze piętnaście minut, ale potem...

- Czy możesz mi podać jeszcze parę tych żelków?

Georgia odwróciła się do Patricka. Jechał ze wzrokiem wbitym w drogę i co najdziwniejsze, prawie wcale nie mrugał. Może chciało mu się spać? Ona sama czuła się senna, ukołysana łomotem kół o nawierzchnię

drogi, nad którą unosiła się rozedrgana mgiełka rozżarzonego powietrza. Chyba zadziałała jej wyobraźnia, ale Georgia miała wrażenie, że robi się coraz ciemniej, że słońce gdzieś ucieka...

- Jedziemy prosto w burzę - odezwał się Patrick. Nagle wydawał się całkowicie przytomny. - Wielki Boże, spójrz tylko na to...

W dziwnym, żółtawym mroku z nieba runęła na nich zasłona deszczu, z impetem uderzając o drogę i momentalnie zmieniając ją w szkło; przy akompaniamencie nieustannych grzmotów zdawała się owijać, okręcać wokół nich. Po chwili deszcz przeszedł w grad; twarde jak kamień drobinki lodu waliły w przednią szybę, współzawodnicząc z grzmotami w robieniu hałasu i skutecznie zacierając znaki na drodze.

Georgia z niepokojem zerknęła na Patricka; jego twarz zastygła w grymasie skupienia, a kostki zaciśniętych na kierownicy dłoniach całkiem pobieleły. Teraz w lusterkach widać było jedynie reflektory zbliżających się samochodów, niektóre włączone na pełną moc, sunące w ślad za nimi jak niekończąca się procesja, podczas gdy na przodzie kłębiła się mgła wodnego pyłu - gruba, nieprzenikniona warstwa, przez którą tylko częściowo przewiercała się długa, czerwona linia świateł stopu.

I w pewnej chwili wszystko się skończyło - równie nagle jak się zaczęło. Grzmoty umilkły, oni zaś wjechali prosto w olśniewający słoneczny blask i nasycony błękit nieba.

- O rany... - mruknęła Georgia. - To było coś... przerażającego.

* * *

- A więc... - zaczęła Abi.

Właśnie przejechali przez ciemność wypełnioną hukami grzmotów i gradem; słońce znów świeciło pełnym blaskiem.

- Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

Jonathan poczuł, jak ulga zalewa go na kształt ogromnej fali. Więc jednak wszystko będzie w porządku; Abi chciała tylko przedstawić swój punkt widzenia.

- Cóż... Właściwie niczego, jak sądzę. Tylko... Tylko...

- Tego, żebym po cichu się usunęła. O to chodzi?

- No... Chyba tak. Tak sądzę. Jeśli chcesz tak to ująć...

- Nie potrafię ująć tego inaczej, Jonathanie. Ty chcesz się wycofać. Jeśli ja nie chcę, to mój problem. Ty masz małżeństwo, o które musisz dbać. A ja? Mam tylko siebie. Taką biedną, taką małą siebie...

Poczuł ukłucie żalu i irytacji, w dokładnie takiej samej proporcji. Fakt, nie zachował się całkiem przyzwoicie. Doskonale to rozumiał. Ale... Ona także nie była na straconej pozycji. Samowystarczalna finansowo, mieszkanie, dobra praca, samochód... Była młoda, seksowna, wytrzymała - tak naprawdę on wcale nie był jej potrzebny. Nie tak jak Laurze...

- Abi, bardzo żałuję... Będzie mi Ciebie brakowało, ale... Ja po prostu nie mam wyboru. Nasz związek i tak nie miał żadnej przyszłości. Poza tym, był wysoce niewłaściwy. Na pewno sama to dostrzegasz.

- No cóż, w takim razie dlaczego w ogóle się zaczął? Jej głos brzmiał teraz nieprzyjemnie, ochryple.

- Bo...

Naraz poczuł się strasznie, potwornie zmęczony. Nie miał siły przeciwstawiać się jej argumentom. Poprzednia noc, podróż z Birmingham, brak snu, stres związany z podróżą, nagle nadejście burzy - wszystko razem splątało mu myśli. Zdjął nogę z gazu.

- Co robisz?

- Przesuwam się na pas do wolnej jazdy.

Jechał tuż za czerwonym jaguarem - uroczy, stary samochodzik, pomyślał, zaskoczony, że w obecnym stanie umysłu w ogóle zwraca uwagę na takie drobiazgi - a potem przeskoczył na pas do wolnej jazdy, bez trudu mieszcząc się w ogromnej, pustej przestrzeni przed maską jakiejś starej skody.

- Wiesz chyba, że to cholernie nieuczciwe - zauważyła, zapalając papierosa.

- Abi, prosiłem, żebyś nie robiła tego w samochodzie.

- Tak, Jonathanie, wiem, że prosiłeś. To cholernie niesprawiedliwe. Co ty sobie myślisz, że kim ja jestem, jakimś chodzącym automatem? Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że mogłam całkiem serio traktować to, co robiłeś? Te bukiety kwiatów, zaproszenia na wystawne kolacje i kosztowne prezenciki? A może uważałeś, że to coś w rodzaju zapłaty za mnie? Że to cena, jaką musisz zapłacić za seks?

- Nie bądź śmieszna. Doskonale wiesz, że ja bardzo... Bardzo... - Uwaga, Jonathanie! Tylko nie zaczynaj mówić o uczuciach, bo to może okazać się bardzo niebezpieczne. - Bardzo obchodzi mnie to, co się z tobą dzieje.

- Naprawdę? Cóż, nie sądzę, żebym o tym wiedziała. Prawdę mówiąc, myślę, że ponieważ jesteś bogaty i odnosisz sukcesy, i masz żonę, która bez zastrzeżeń wierzy w każde pieprzone kłamstwo, jakie jej wciskasz, to uważasz, że wolno ci urywać się z domu na parę nocy, żeby spędzać je w drogich hotelach i zaspokajać swoje seksualne potrzeby właśnie w taki sposób, w jaki je zaspokajałeś, zamiast płacić jakiejś prostytutce za szybki numererek. No cóż, to po prostu odrażające, jeśli chcesz znać moje zdanie. Ohydne. Sądzę, że twoja żona powinna się w końcu dowiedzieć, za jakiego bydlaka wyszła za męża, i że ty powinieneś jakoś uporać się z tym problemem i z nią. I myślę, że chyba jednak będę musiała powiedzieć jej prawdę.

- Abi, to jakiś absurd! Co dobrego mogłoby z tego wyniknąć?

- Mnóstwo dobrego, oczywiście nie dla ciebie ani dla mnie, ale dla niej i dla każdej innej kretynki, której ciała mógłbyś zapragnąć w przyszłości.

- Nie odważysz się.

- Oczywiście, że się odważę. Co mam do stracenia? Nic! Absolutnie nic!

- Ale... Ale...

Nagle się zorientował, że przemawia do niej błagalnym tonem.

- Abi, zlituj się, nie możesz tego zrobić! Strasznie byś ją zraniła!

- To nie ja ją ranię, Jonathanie, tylko ty. Pamiętaj o tym. Więc...

Nagle rozległ się ostry brzęczyk komórki. Nie powinien jej odbierać - ostatecznie prowadził samochód - ale jechał po zewnętrznym pasie, dość wolno... Wziął do ręki słuchawkę i zerknął na numer. To była Laura. Bez zastanowienia wcisnęła zieloną słuchawkę, żeby ją uspokoić, i przez chwilę samemu poczuć się przy niej bezpiecznie...

- Cześć, kochanie!

- Kochanie - wrzasnęła Abi, a jej rysy wykrzywiła wściekłość. - Ty draniu, jak śmiesz tak się do niej zwracać?! Jak możesz mówić w taki sposób?! Dawaj mi ten telefon...

- Halo! Halo! Jonathanie, czy to ty? - Głos Laury był ledwo słyszalny, przerywany przez ciągłe trzaski. - Jonathan, co tam...

Ruch wyraźnie przybrał na sile; tuż obok mknęła jakaś olbrzymia ciężarówka, jadąc z taką samą prędkością jak oni. Czerwony wóz przed nimi zdecydowanie wysunął się do przodu - przyjemne samochody te stare jaguary, chciałby kiedyś mieć takie autko - ten z tyłu jechał stanowczo za blisko, niemalże siedział mu na ogonie... Każdy z nich był częścią wielkiej, uporządkowanej maszyny, która sunęła autostradą w oślepiającym blasku słonecznego dnia. Te myśli przemykały mu przez głowę, ale przyjmował je z dziwną obojętnością, jednocześnie starając się wymyślić jakąś sensowną odpowiedź...

A potem...

- Jonathan, ostrożnie! Uważaj, ta ciężarówka, co się z nią...

- Patrick, uważaj, uważaj! Boże, co się dzieje! Ostrożnie! Patrz, co robisz! O Boże...

- Psiakrew! Jezu Chryste!

- Toby, stój, zatrzymaj się! Na litość boską, stój!

CZEŚĆ DRUGA

WYPADEK

ROZDZIAŁ 9

William Grainger zawsze powtarzał, że jego życie całkowicie zmieniło się w jednej chwili. W chwili, gdy zdjęty grozą stał na polu położonym wysoko nad autostradą i spoglądał w dół. Wyszedł, żeby sprawdzić, co się dzieje z jałówkami, które tego ranka przeprowadził tu z pastwiska na drugim końcu farmy. Zwykle ruch samochodów wcale im nie przeszkadzał, ale od czasu do czasu robiły się nieco nerwowe.

Stado sprawiało wrażenie całkiem spokojnego. Krowy kołyszącym się krokiem podchodziły do niego w nadziei, że jego obecność oznacza jedzenie; kiedy okazało się, że niczego dla nich nie przyniósł, odwracały się jedna po drugiej i ruszały w przeciwną stronę - niechlujne, rozczarowane zwierzęta o pogodnym usposobieniu. Nagle jedna z krów podniosła ogon i załatwiła fizjologiczną potrzebę wprost na buty Williama; pewnie na znak protestu, pomyślał, przeklinając ją w duchu. Czym prędzej wytarł buciory o suchą trawę, przynajmniej z grubszą, a potem spojrzął w dół, na drogę migoczącą w mgiełce rozpalonego powietrza; po niedawnej burzy wszystko wydawało się krystalicznie czyste. Widział więc dokładnie, co się stało, i już w tamtej chwili wiedział, że nigdy nie zdoła zapomnieć tego widoku; w przyprawiającym o mdłości zwolnionym tempie ciężarówka skręciła ostro w prawo, przecięła pas ruchu do szybkiej jazdy i nawet nie próbując hamować, przebiła się przez barierę oddzielającą jezdnie autostrady. Przyczepa bezwładnie przewróciła się na bok, jak jakaś wielka bestia, która właśnie wyzionęła ducha, i zaraz wystrzeliła z niej mordercza fala jakichś wielkich przedmiotów - William nie widział dokładnie, co to jest - które poszybowały w powietrzu wprost w nacierającą z przeciwnej strony ławę samochodów. Minibus jadący na zachód po pasie do szybkiej jazdy został uderzony przez podwozie ciężarówki; pędzący tuż za nim czarny golf zatoczył się na boki i chwilę później wbił się w jedno z olbrzymich kół. Kierowca srebrnego bmw, który dotąd podążał tuż za ciężarówką, najwyraźniej stracił kontrolę nad pojazdem; samochód wirował i kręcił się w poprzek drogi, aż w końcu znieruchomiał, uderzając z całej siły w auto, które miał przed sobą. Samochody zaczęły ślizgać się, skręcać i wpadać na siebie jak autka w wesołym miasteczku. Któryś rąbnął w barierę pomiędzy jezdniami; inny wykonał dziwaczny skok i wylądował na utwardzonym poboczu. Na obu jezdniach autostrady trwał nieustanny ruch.

William zamarł, z przerażeniem obserwując rozgrywający się na dole horror i łowiąc uchem dobiegające stamtąd straszliwe odgłosy - ryk klaksonów, trzask miażdżonego metalu i przeraźliwe, okropne krzyki i wrzaski. Nagle zdał sobie sprawę, że w powietrzu rozszedł się niebezpieczny odór palącej się gumy.

Instykt kazał mu zbiec na dół; zdrowy rozsądek nakazywał zostać na miejscu. W żaden sposób nie mógł komukolwiek pomóc i jego obecność tylko powiększyłaby panujący tam chaos. Sięgnął do kieszeni dzinśów po komórkę, ale zaraz sobie przypomniał, że została w traktorze po przeciwnej stronie płotu, więc ruszył biegiem, całkiem nadaremnie wymachując rękoma w kierunku drogi, jakby ktokolwiek, widząc ten gest, mógł zrozumieć, co on ma oznaczać.

ROZDZIAŁ 10

Przez ułamek sekundy Jonathan rozważał kuszącą myśl, żeby dodać gazu, zostawić za sobą horror tej rzezi, jak najszybciej bezpiecznie dotrzeć do Londynu i tam ostatecznie pozbyć się Abi. Jeśli pojedzie, będzie miał niewielką szansę, że uda mu się pomyślnie rozwiązać swoje sprawy; jeśli zdecyduje się zostać, szansa równa jest zeru...

Po chwili zatrzymał wóz, tym samym na zawsze opuszczając swoje dotychczasowe życie.

Samochód znajdujący się bezpośrednio przed nim jechał dalej przed siebie, jakby nie zdarzyło się nic szczególnego; inne, jadące tuż za nim, zataczały łuk i wpadały na siebie, żeby w końcu znieruchomieć. Jonathan siedział, z całych sił próbując uspokoić oddech, i oparty o kierownicę usiłował otrząsnąć się z szoku i zapanować zarówno nad sobą, jak i nad autem. Droga z przodu opustoszała, kiedy fala jadących wcześniej samochodów zniknęła w mgiełce rozgrzanego powietrza, wierna zasadom regulującym życie na autostradzie, żeby za wszelką cenę przeć do przodu, zawsze dążyć do celu, nigdy się nie oglądać i nigdy w nic się nie angażować. On tymczasem został z tyłu i w tamtym momencie czuł, że oddałby wszystko, byle być jednym z nich...

Wreszcie otworzył drzwi, powoli i bardzo ostrożnie, i spróbował wysiąść, ale w porę się zorientował, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Ogarnęła go fala mdłości i jednocześnie zakręciło mu się w głowie, więc z powrotem osunął się na fotel, bezwładnie opierając głowę o koło kierownicy.

Kątem oka zerknął na Abi; była białozielona na twarzy i wpatrywała się w niego rozszerzonymi z przerażenia oczyma. Zauważył na jej skroni paskudne, głębokie rozcięcie.

- Co się stało? - spytała. - Nic nie rozumiem.

- Nie jestem pewien - odparł. - Nie widziałem zbyt dokładnie, ale zdaje się, że ciężarówka wypadła z trasy. Co z twoją głową? Wszystko w porządku?

Pomacała palcami skroń i ze zdziwieniem popatrzyła na zakrwawioną rękę.

- Tak, chyba tak. Gdzieś tam mam chusteczki. Po prostu...

- Daj mi moją komórkę.

- Nie mogę jej znaleźć. Gdzieś upadła.

- W takim razie daj swoją.

Wziął telefon, wybrał numer alarmowy, poprosił o połączenie z policją i podał, w którym mniej więcej rejonie doszło do wypadku.

- Tak, dziękujemy, już mieliśmy zgłoszenie. Dzwoniło kilka osób. Za parę minut nasze służby będą na miejscu.

Jonathan spojrział na nieprzebraną masę aut, rozciągającą się w obu kierunkach.

- Mam nadzieję, że tak - odparł. - Wygląda to naprawdę paskudnie.

Z niedowierzaniem obserwował, jak z tej bezładnej masy wymyka się jakiś samochód, a potem następny i jeszcze jeden, jak ostrożnie wysuwają się na utwardzone pobocze prowadzącej na zachód jezdni, a potem dodają gazu i umykają jak najdalej stąd.

- Cholerne, pieprzone gnojki - zaklął, a potem wysiadł z samochodu i wolnym krokiem, niemal wbrew własnej woli, ruszył w kierunku ciężarówki.

Widok był naprawdę okropny. Minibus wjechał wprost pod ciężarówkę, pod jej olbrzymie koła i zgniół się, jakby zrobiony był z papieru; z jego wnętrza dobiegały przeraźliwe wrzaski uwięzionych tam dzieci. Golf, desperacko starając się uniknąć zderzenia, najpierw skręcił ostro, a następnie okręcił się ślizgiem o sto osiemdziesiąt stopni, prosto w auta jadące po środkowym pasie. Większy wóz, potężny ford, zdołał uniknąć kolizji, lecz wjechał prosto w barierkę, okręcił się na niej, i wreszcie zamarł, przodem do kierunku, z którego jechał... Zza kierownicy wygramolił się jakiś mężczyzna, dziwacznie potrząsając głową, jakby chciał pozbyć się tego, co przed chwilą widział i co zrobił. Przednia szyba forda rozprysnęła się w drobny mak, a po twarzy kierowcy spływały strumyczki krwi.

Jonathan zorientował się, że silnik golfa wciąż pracuje; wyłączenie go wydawało się chwilowo najpilniejszym zadaniem. Przelazł jakoś przez barierkę i podbiegł do samochodu. Siła uderzenia wywaliła boczną szybę; to samo stało się z przednią. Jonathan zajął do środka; ujrzał dziewczynę, albo raczej to, co zdołał dostrzec, czyli masę długich blond włosów, mnóstwo krwi i nagie, brązowe ramię z całkiem białym zegarkiem - jakie to dziwne, że w ogóle zauważał takie szczegóły - które leżało w niedbalej pozycji wyciągnięte w stronę przedniej szyby, jakby dziewczyna w ostatniej chwili próbowała osłonić się przed niebezpieczeństwem. Tak jest, silnik wciąż był na biegu. Jonathan wyciągnął rękę, przekręcił kluczyk w stacyjce, a potem bardzo delikatnie ujął przegub uszkodzonej, szukając pulsu. Niestety, nie znalazł.

Wyprostował się i nagle okazało się, że patrzy prosto w przerażone oczy kierowcy forda. Głos odmówił mu posłuszeństwa, więc jedynie skinął głową, potwierdzając w ten sposób śmierć dziewczyny.

- O mój Boże... - wykrztusił mężczyzna, rozglądając się po pobojowisku. - Co ja... Chryste, jak do tego doszło?

- Bóg jeden wie. Dobrze się pan czuje?

- Chyba tak. Na pewno. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Poza tym trochę boli mnie ręka.

Jonathan spojrzał na rękę mężczyzny; zwiślała bezwładnie pod dziwnym kątem.

- Zdaje się, że jest złamana. Później to sprawdzę.

Przez chwilę stali obok siebie, spoglądając na kabinę ciężarówki, na drzwi od strony kierowcy. Zduńmiewające, ale wydawało się, że jest nietknięta. Obeszli ją dookoła, a gdy zbliżyli się z drugiej strony, drzwi pasażera otworzyły się i na stopniu stanęła jakaś dziewczyna. Bez wahania zeskoczyła na ziemię.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jonathan i od razu dodał: - Pani jechała w środku, prawda?

Popatrzyła na nich; jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Wreszcie potrząsnęła głową, odwróciła się do nich plecami i spokojnie zwymiotowała na jezdnię. Była bardzo młoda i bardzo ładna, zauważył Jonathan; po chwili wolnym, lecz stabilnym krokiem odeszła w kierunku pobocza i usiadła tam, ukrywając twarz w dłoniach.

- Jest w szoku - zawyrokował Jonathan. - Ale poza tym wydaje się, że nic jej się nie stało. To nadzwyczajne.

- Nie mogła przecież być w kabinie w czasie wypadku, prawda? Może tylko wdrapała się tam, żeby popatrzeć?

- Bóg jeden raczy wiedzieć. Niech pan posłucha, muszę zajrzeć do tej kabiny. Upewnić się, że silnik przestał pracować. Bo inaczej lada chwili może nastąpić eksplozja.

Dziwne, ale wcale nie czuł lęku ani nie uświadamiał sobie własnej odwagi; po prostu robił to, co należało zrobić.

Konstabl Robbie Macynyre strasznie bał się pierwszej wielkiej katastrofy, jaka mogłaby się wydarzyć podczas jego zmiany. W zasadzie nie miał pojęcia, jak w takim wypadku należy postępować. Nie był jakoś szczególnie wrażliwy, jeśli chodzi o okropne widoki; podczas szkolenia niedwuznacznie dano im do zrozumienia, że w końcu kiedyś muszą spotkać się z takimi sprawami jak obcięte nogi i ręce albo coś jeszcze gorszego, a nawet pokazano to na DVD. Chodziło o coś całkiem innego; bardziej przerażała go myśl o cierpiących ludziach, o ich jękach i błaganiach o pomoc.

Pierwsze wezwanie nadeszło pięć minut temu; po nim nastąpiły jeszcze setki innych. Już dwa wozy wyjechały z remizy, a on siedział w trzecim, razem z kolegą Gregiem Dixonem. Robbie był niesamowicie wdzięczny losowi, że dla Grega to nie był pierwszy ani nawet sto pierwszy raz. „Robię to od dziesięciu lat - oznajmił Robbiemu, kiedy ten dołączył do ich jednostki. - Już cholernie zdążyłem się przyzwyczaić. Cholernie to właściwe słowo, jeśli wiesz, co mam na myśli”.

Jak na razie zdążyli ustalić, że jezdnie w obu kierunkach były już zablokowane.

Głównym zadaniem - oprócz przetarcia drogi, żeby umożliwić dojazd ambulansom - było zbieranie informacji i przekazywanie ich do dyspozytorni: ile jest ofiar, ile ambulansów należy wysłać, czy jest potrzebna straż pożarna, żeby ciąć zakleszczone pojazdy.

Robbie pamiętał słowa swojego superintendenta: „Blokada na autostradzie tworzy się w ciągu kilku sekund; po minucie będziecie mieć za sobą ogon długi na dwa kilometry”.

Jak mu mówiono, jednym z głównych problemów będących następstwem katastrofy - choć nie wydawało się, że dziś też tak będzie - są tłumy gapiów.

- Wypadek może zablokować tylko jeden pas, ale samochody na drugim i tak nie ruszą się z miejsca - uprzedził Greg Dixon. - Ludzie zwalniają, a nawet zdarza się, że wjeżdżają w zadek temu, kto jedzie przed nimi, tylko po to, żeby się pogapić. Taki już jest ten nasz kochany, stary naród.

Jonathan ześliznął się z kabiny ciężarówki; kierowca forda wciąż nie ruszył się z miejsca.

- I co, w porządku?

- Tak, silnik nie pracuje. Tam jest straszny bałagan, rozwalona przednia szyba, wszędzie mnóstwo krwi. Wygląda na to, że ten biedny skurczybyk nie jest w najlepszym stanie.

- Założę się, że tak. Czy on... Czy w ogóle żyje?

- Ledwo. Być może długo nie pociągnie.

- Może trzeba go stamtąd wydostać, co?

- Chryste, lepiej nie. - Jonathan zerknął przez ramię na pobocze. - A co z tą dziewczyną?

- Gdzieś zniknęła - powiedział mężczyzna. - Jak patrzyłem ostatnio, siedziała na asfalcie, zupełnie sama. A teraz jej tam nie ma.

- Pewnie poszła wzdłuż drogi, jak sędzę. Wyglądała na osobę w szoku. No cóż, ona jest najmniejszym z naszych kłopotów, że tak powiem...

Jakiś człowiek szedł w ich kierunku, prowadząc za rączkę małego chłopczyka. Dziecko płakało rozpaczliwie i wołało mamę.

- Czy z nim wszystko w porządku? - zaniepokoił się Jonathan.

- Owszem, z nim tak - odezwał się mężczyzna. Mówił zdawkowym tonem, zupełnie jakby rozmawiali o pogodzie. - Niestety, jego matka jest w znacznie gorszym stanie.

Skinął głową w kierunku wielkiego, czarnego auta za swoimi plecami; przednia szyba była roztrzaskana, a przed maską na drodze leżała jakaś kobieta. Najwyraźniej wypadła przez przednią szybę.

- Na chwilę odpięła pas, dosłownie na parę sekund... Żeby dać małemu coś do picia... I ona... Ona...

Potrząsnął głową i odwrócił się.

- Jestem lekarzem - powiedział delikatnie Jonathan. - Czy chce pan, żebym przyszedł i ją obejrzał?

Wiedział, że w tym wypadku wszelki wysiłek okaże się daremny, ale i tak ktoś musiał to zrobić.

Mężczyzna od razu się zgodził.

- Jeśli tylko nie ma pan nic przeciwko temu.

Człowiek ze złamaną ręką popatrzył w ślad za nimi.

- Biedny skurczybyk - mruknął. - Biedny, cholernie biedny...

Emma właśnie skończyła jeść dość podejrzanie wyglądającego sandwicza z bekonem, sałatą i pomidorem, kiedy dotarły nowiny o ogromnej katastrofie, do której doszło na autostradzie M4. Wieści były przerażające, rozpruta ciężarówka, zgruchotany mikrobus, droga zablokowana w obydwu kierunkach, niemal na pewno ofiary śmiertelne... Ponurym zbiegiem okoliczności trochę dalej wydarzył się drugi wypadek, kiedy w jadącej z kontynentu ciężarówce rozerwała się opona, ciężarówka obróciła się dookoła własnej osi i zatarasowała na najbliższym skrzyżowaniu zjazd z autostrady. Na szczęście nikt nie zginął, ale natychmiast utworzył się gigantyczny korek, więc najbardziej oczywista droga dojazdu dla służb ratunkowych, które podążały pod prąd na miejsce katastrofy, nie wchodziła w rachubę, przynajmniej chwilowo.

Na wpół biegnąc, wpadła na oddział pomocy doraźnej, żeby nadać sygnał alarmowy - specjalny, łatwy do rozpoznania piskliwy dźwięk, który wzywał wszystkich do natychmiastowego stawienia się na oddziale, odrywając ich od codziennych zajęć albo dyżurów. Emma od razu przyjęła, że będzie jej potrzebny jeden ortopeda, jeden chirurg specjalizujący się w klatce piersiowej, dwaj specjaliści z zakresu chirurgii ogólnej, dwaj anestezjolodzy, jeden lekarz przygotowujący się do specjalizacji z chirurgii oraz personel pomocniczy do zajmowania się ciężkimi urazami i do obsługi aparatury podtrzymującej życie. Plus co najmniej dziesięć pielęgniarek.

Wszyscy spotkali się na oddziale pomocy doraźnej - grupa ludzi, z których niektórzy ledwo się znali, bo pracowali na zupełnie różnych oddziałach szpitala, a inni widywali się codziennie. Teraz mieli dosłownie chwilę, żeby zachować minimum etykiety, to znaczy wymienić uściski rąk czy przedstawić się po imieniu.

Alex Pritchard także się zjawił; pół godziny temu machał do niej z drugiego końca holu, bo właśnie wybierał się do domu na weekend.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli wrócę. Może się do czegoś przydam.

Oprócz lekarza robiącego specjalizację i Alexa, pośród zgromadzonych osób Emma dostrzegła jeszcze jedną znaną twarz - Marka Collinsa - stażysty przygotowującego się do specjalizacji z ortopedii, z którym spo-

tknęła się parę miesięcy wcześniej przy pewnym koszmarnym, bardzo złożonym wypadku z udziałem kilku motocyklistów. Wtedy pracował wręcz znakomicie, spokojnie, precyzyjnie i z niezwykłą wytrwałością.

- Cześć, Emma. Zdaje się, że to coś poważnego. Obawiam się, że gorszego niż tamci motocykliści. Okay, kto będzie szefem zespołu?

To pytanie zupełnie ją zaskoczyło. Wcześniej uważała, że każdy po prostu będzie wiedział, co ma robić; teraz doszła do wniosku, że koniecznie należało ustalić łańcuch nadzoru - żeby utrzymać porządek i sprawnie odsyłać ambulanse z rannymi, jak najszybciej zapanować nad chaosem i uniknąć paniki. Załogi ambulansów zawsze najpierw pytały, kto dowodzi zespołem lekarzy.

- Może ty, Alex? - zaproponowała, odwracając się do Pritcharda.

- W porządku. Czy wszyscy są gotowi? Jakie nowiny, Emma?

- Raczej kiepskie. Rozerwana ciężarówka, wywalona na bok naczepa, kierowca uwięziony w kabinie, kilka rozbitych samochodów, zgnieciony minibus - trzy pasy ruchu zablokowane w obu kierunkach, kilka ofiar śmiertelnych... Właśnie przed chwilą ktoś dzwonił do nas, żeby powiedzieć, że ludzie próbują wydostać się stamtąd, jadąc w kierunku zachodnim po pasie postojowym, więc zaraz się okaże, że droga jest w ogóle nieprzejezdna.

- Czy kierowca tej ciężarówki żyje?

- Na razie tak. Zdumiewające, ale na miejscu jest jakiś lekarz. Dzwonił, żeby zgłosić, że koleś jest całkiem unieruchomiony, bo kolumna kierownicy wbiła mu się w klatkę piersiową. Jest ledwo przytomny, ma słaby puls, ale żyje... Przepraszam na moment - przerwała, bo właśnie zadzwonił jej telefon. To była załoga pierwszego ambulansu. - Cześć. Tak. Mamy gotowy cały zespół. Powodzenia!

Jonathan skoncentrował uwagę na mikrobusie. Drzwi od strony kierowcy były zablokowane, ale tylne dały się otworzyć, i to dość łatwo. Wewnątrz siedziało ośmiu małych chłopców, wszyscy jakimś cudem nawet niedrażnięci, ale kierowca zginął na miejscu, w dodatku w paskudny sposób. Jonathan właśnie zamierzał wczłochać się do środka, gdy usłyszał głos Abi.

- Jonathan, co mam robić?

Wciąż była biała jak płótno, ale zdołała wziąć się w garść. Mimo woli poczuł przyływ niechętnego podziwu dla jej opanowania i zimnej krwi.

- Pomóż mi wyciągnąć stąd tych kolegów. Tylko nie patrz na przód.

Posłusznie porozpinała malcom pasy, ujęła w dłonie malutkie rączki i zagadała coś przyjaźnie, żeby dodać maluchom odwagi; potem odprowadziła ich nieco dalej, starając się odwrócić ich uwagę od siedzącej w golfie nieżywej dziewczyny. Chłopcy wydawali się zupełnie oszołomieni, zamroczeni przerażeniem, posłusznie szli za nią, bladzi i drżący, Niektórzy łkali rozpaczliwie, ale jakimś cudem żaden z nich nie został ranny.

W vanie był jeszcze jeden mężczyzna, przypięty pasami tak jak chłopcy. Jemu także nic się nie stało. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się przed siebie i najwyraźniej wcale nie miał zamiaru wysiadać. Jonathan niemal siłą wyprowadził go na wąski pas trawy na poboczu i pomógł usiąść, a wtedy mężczyzna niemal natychmiast zakrył rękami twarz. Szok pourazowy, zdecydował Jonathan. Od razu poczuł współczucie dla tego biedaka oraz niczym nieuzasadnioną, nedorzeczną irytację. Przy zajmowaniu się tymi nieszczęsnymi maluchami przydałaby się pomoc kogoś dorosłego, kto znał te dzieciaki.

- Tobes? - odezwał się Barney. - Tobes, czy wszystko w porządku?

Czuł się dziwnie zdezorientowany; chyba musiał mieć zatłkane uszy, bo wszystkie dźwięki wydawały się przytłumione. Potrząsnął głową, rozglądając się na obie strony. Zamroczenie na skutek szoku ustąpiło nieco i z przerażeniem dostrzegł surrealistyczny krajobraz, pełen samochodów, które, podobnie jak ich auto, znieruchomiały na lodówkach albo zmywarkach; inne skręciły na prawo wprost na barierę oddzielającą jezdnię; niektóre zatrzymały się przodem w stronę przeciwną do kierunku jazdy. Gdy patrzył, z początku krajobraz wydawał się całkiem nieruchomy; potem, jak w przyspieszonym stopniowo filmie, obraz nabierał życia, kiedy ludzie zaczęli gramolić się ze swoich aut, ze strachem zaglądać do cudzych, najwidoczniej obawiając się tego, co mogą tam zobaczyć, rozmawiać przez komórki i podchodzić do siebie jako ci, którzy cudem przeżyli katastrofę - błogosławieni członkowie elitarnego klubu.

Nagle Barney zdał sobie sprawę, że nie otrzymał od Toby'ego żadnej odpowiedzi, że tamten nie jęknął ani nawet nie chrząknął, więc powoli odwrócił się, żeby rzucić na niego okiem, choć czuł, jak przerażenie paraliżuje mu ruchy.

Toby leżał nieruchomo na kierownicy, wciąż trzymając ją jedną ręką, zwrócony do Barneya, a jego twarz była zalana krwią ciekącą z rany na głowie. Barney pojął, że ta rana wcale nie jest najgorsza. Samochód poniżej kierownicy był cały zgruchotany; zapadł się do wewnątrz, zgniatając swoją masą prawą nogę Toby'ego od kolana w dół. Ze zmiażdżonej nogi krew lała się strumieniem.

Spowolniony strachem sięgnął po rękę Toby'ego; odciągnął mankiet śnieżnobiałej koszuli i starał się odszukać puls. Zdawało mu się, że minęła cała wieczność, gdy tak siedział, spoglądając na przyjaciela i czekając, aż coś się wydarzy - aż Toby poruszy się, wyda jakiś dźwięk, choćby nawet ciche jęczenie, na litość boską! Ale... nic się nie wydarzyło.

- Och, Tobes... - powiedział na głos, przesuwając kciuk w górę i w dół po przegubie ręki Toby'ego. - Toby, proszę cię, nie... Nie możesz - cholera, gdzie to jest - o Boże...

I w końcu zalał się łzami.

- Proszę - powiedział Jonathan do małego chłopczyka, sadzając go na brzegu trawy. - Na szczęście nic ci się nie stało. Jak masz na imię?

- Shaun - odpowiedział malec i dodał: - Strasznie chce mi się pić.

- Zaraz ci przyniosę... - zaczął Jonathan, ale przypomniał sobie, że nie może przynieść mu nic do picia. Tuż przed wypadkiem razem z Abi opróżnili ostatnią butelkę wody, którą miał w samochodzie. Chryste, ależ było gorąco. Bez problemu mógłby wlać w siebie następny litr czegoś mokrego. - Zobaczą, co da się zrobić - obiecał, z obojętnym zaskoczeniem zdając sobie sprawę z faktu, że oto w dwudziestym pierwszym wieku, na trzypasmowej autostradzie, w jednym z najbardziej rozwiniętych krajów świata, spragnione dziecko, które siedzi na rozżarzonej od słońca ziemi, nie ma szans, żeby dostać coś do picia i że pewnie taka sytuacja potrwa jeszcze przez dłuższy czas.

Gdzieś w pobliżu dzwonił telefon, przelotnie zastanowił się, skąd dobiega ten dźwięk, ale dopiero gdy dzwonek umilkł, zorientował się, że to była jego komórka. Najwyraźniej nie był w tak dobrej formie, jak mu się wydawało, i w związku z tym powinien zachować ostrożność.

Abi gdzieś się zapodziała; szukając jej, rozejrzał się dookoła i zobaczył, że przełazi przez barierę na poboczu drogi. Zawołał ją po imieniu, a wtedy odwróciła się, zmarszczyła brwi, ale się nie zatrzymała, aż wreszcie zupełnie zniknęła mu z oczu. Gdzie ta głupia suka lezie, pomyślał ze złością. Co ona wyrabia?

Niezdecydowanie poszukał wzrokiem dziewczyny z ciężarówki, ale po niej także nie było śladu. Może Abi ją zobaczyła? Może właśnie dlatego poszła w tamtą stronę?

Zerknął na listę nieodebranych połączeń. To znowu była Laura. Pewnie bardzo się denerwuje, ale on nie mógł teraz do niej oddzwonić. Nie miał siły na rozmowę, jeszcze nawet nie zaczął myśleć, co właściwie powinien jej powiedzieć. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, w jak poważne tarapaty wpakował się na własne życzenie: znalazł się na niewłaściwej autostradzie i w bardzo, ale to bardzo niewłaściwym towarzystwie. W jaki sposób to wytłumaczyć, na litość boską? Ale na razie nie potrafił nawet o tym myśleć...

Telefon znów się ożywił, tym razem odebrał.

- Policja - powiedział czyjś głos. - Jesteśmy prawdopodobnie niecały kilometr od pana. Sądząc z relacji świadków, pewnie trzeba będzie ciąć kabinę ciężarówki, żeby wydostać kierowcę, tak? Czy może pan to potwierdzić?

- Zdecydowanie - odparł.

- Dziękuję. Będziemy tak szybko, jak tylko się da.

Abi znów pojawiła się przy nim.

- Psiakrew, gdzie byłeś?

- Musiałam się wysikać - poinformowała go bez skrępowania. - Poza tym nie waż się mówić do mnie tym tonem. To nie moja wina, że stało się to, co się stało.

- Chyba nie zamierzasz mi wmawiać, że moja, co?

- No cóż, gadałeś przez komórkę... - odparła. - Policji mogłoby się to nie spodobać, gdyby się dowiedzieli.

- Och, odpieprz się! - wrzasnął.

Nagle poczuł, że robi mu się cholernie niedobrze.

Mary zagryzła z bólu wargi i ujrzała, jak Colin odwraca się do tyłu, błądy z przerażenia, choć najwyraźniej cały i zdrowy; po chwili ona także wyjrzała przez okno i jej oczom ukazał się niewyobrażalny chaos po przeciwnej stronie autostrady: samochody leżały poprzewracane jedne na drugich, ludzie chodzili lub nawet biegali tam i z powrotem, wielkie, białe przedmioty leżały bezładnie porozrzucone po całej jezdni. Gdy z bolesnym wysiłkiem zdołała spojrzeć przez ramię, zobaczyła jakiś wielki, czerwony samochód, który na wpół wbił się w tył ich auta.

Colin otworzył drzwi, wygramolił się na zewnątrz i pospieszył w tamtym kierunku.

- Jezu... - usłyszała jego głos. - Jezu Chryste...

A potem po chwili:

- Hej, stary, nic ci się nie stało?

Potem zobaczyła, jak Colin cofa się na przód samochodu i z zamkniętymi oczyma całym ciężarem opiera się o maskę, jednocześnie kręcąc głową.

Emma odwróciła się do zespołu.

- Wszystko wskazuje na to, że droga w kierunku zachodnim jest całkowicie zablokowana. Kawalek przed nami jakiś kretyn wjechał na pas postojowy i tam zepsuł mu się samochód, więc w obecnej chwili nie ma szans, żeby policyjne wozy przedostały się na miejsce wypadku. Wygląda na to, że będzie ciężko. A nasz doktor powiada, że kierowca ciężarówki jest w kiepskim stanie. Podobno kolumna kierownicy dosłownie wbiła mu się w brzuch. Puls jest dość stabilny, ale wolny, bo około czterdziestu uderzeń na minutę. Obrażenia głównie wewnętrzne, bez widocznego krwotoku, na lewej skroni rozległe zasinienia. Prawie na pewno jest w szoku.

- Biedny skurczybyk będzie potrzebował płynów i morfiny, a wygląda na to, że to cholernie długo potrwa - mruknął Alex. - Chyba powinniśmy wezwać HEMS.

HEMS - Lotnicze Pogotowie Ratunkowe - wzywane było do wypadków znacznie częściej, niż Emma przypuszczała; nie tylko do katastrof samochodowych, lecz także do ludzi uwięzionych w ścianie podczas wspinaczki albo osiadłych na mieliźnie żeglarzy. W głębi ducha marzyła, żeby pewnego dnia dołączyć do tamtego zespołu.

Zadzwoił telefon i Alex go odebrał.

- Ten lekarz mówi, że w golfie jest młoda dziewczyna, która zginęła na miejscu, i że nie żyje jeszcze jedna kobieta, a oprócz nich kierowca minibusa. Najwyraźniej wiózł dokądś dzieciaki.

- Czy ktoś z nich zginęło?

- Nie.

Emma zwalczyła bezsensowny przyływ żalu, który ogarnął ją na myśl o młodej dziewczynie w golfie.

Zadzwoiwszy na policję, William Grainger powrócił na swój punkt obserwacyjny na szczycie wzgórza. Doprawdy, nie mógł robić nic innego; nie potrafił nie zwracać uwagi na to, co działo się na dole ani zająć się czymś, co jeszcze godzinę temu wydawałoby mu się szalenie istotne. Może będzie mógł się do czegoś przydać, kiedy policja i ambulanse dotrą na miejsce - choć w tej chwili wyglądało na to, że widoki na ich rychły przyjazd są doprawdy znikome. Na wielkim zakręcie drogi w stronę Londynu stała nieprzebrana rzeka aut; wszystkie trzy pasy trwały w absolutnym bezruchu; samochody, które próbowały uciekać z pułapki pasem postojowym, też utknęły w korku. I dobrze im tak, pomyślał mściwie. Jakim trzeba być samolubnym idiotą, żeby zablokować jeden jedyny dojazd, tak ważny dla służb ratunkowych? I właśnie gdy patrzył, na horyzoncie pojawiła się kolumna pojazdów: lawety pomocy drogowej poprzedzały policyjne wozy, a za nimi ciągnął sznur ambulansów. Najwyraźniej policja zdecydowała się zamknąć autostradę aż od następnego skrzyżowania, odwracając zwykły kierunek ruchu. Nagle zabrzączał jego telefon.

- Pan Grainger? Tu policja. Gdzie pan jest teraz? Pytam w związku z wypadkiem.

- Jestem tu, gdzie byłem, kiedy to się wydarzyło.

- Jak teraz wygląda sytuacja?

- Dość... Dość nieciekawie...

- Czy dużo osób wysiadło z samochodów?

- Owszem, teraz już całkiem sporo.

- Co by pan powiedział, gdybyśmy chcieli na pańskim polu posadzić helikopter? Chodzi o helikopter Lotniczego Pogotowia Ratunkowego.

- No cóż, moim krowom to raczej się nie spodoba... Musiałbym je stamtąd zabrać. Zgadzam się oczywiście. Tylko dajcie mi znać.

- W porządku. W takim razie, czy moglibyśmy prosić, żeby pan je stamtąd zabrał, tak na wszelki wypadek? Najlepiej od razu, gdyby był pan uprzejmy. Może się zrobić trochę zamieszania.

- Nie ma sprawy - odparł William.

Wyłączył komórkę i spojrzał na panujący na dole bałagan, który powiększał się z każdą chwilą. Przez parę ostatnich minut zdążył rozlać się o dwieście, może o trzysta metrów, bo coraz więcej i więcej ludzi wysiadało ze swoich aut - niektórzy wykrzykiwali coś do komórek, inni prowadzili na smyczy ujadające psy, jeszcze inni nieśli na ręku małe dzieci, z których większość zanosila się płaczem, żeby dotrzeć z nimi na skraj trawy. Poza tym wszyscy bezustannie gadali.

Zdecydowanie lepiej będzie jak najszybciej zabrać stąd krowy.

ROZDZIAŁ 11

- Nie martw się, on żyje.

Barney nigdy nie słyszał nic równie cudownego, jak te parę słów wypowiedzianych przez pewnego naprawdę wspaniałego faceta. Gość zajrzał do nich przez okno samochodu, kiedy Barney w rozpaczy ścisnął bezradnie nadgarstek Toby'ego, powiedział, że jest lekarzem i zapytał, czy może w czymś pomóc.

- Największy kłopot będzie z tą nogą. Pewnie ma też uszkodzoną miednicę i prawdopodobnie jest w szoku, ale...

- Psiakrew! - odezwał się nagle Toby. - Cholera jasna!

- No, proszę bardzo. Nawet dość wyraźnie dał znać, że żyje. Powinien z tego wyjść. Widziałem już gorsze przypadki.

- Tobes, jak się czujesz? - spytał Barney.

- Boli - odpowiedział Toby. - Cholernie boli mnie noga. A co z tobą?

- W porządku.

- Co się stało?

- Kierowca ciężarówki stracił panowanie nad kierownicą. Uderzyliśmy w inny samochód.

- Rozumiem...

Znów zamknął oczy, jakby to wyjaśnienie całkiem go zadowoliło, i wydawało się, że z powrotem dryfuje w stronę nieświadomości.

- Co powinniśmy zrobić? - Barney próbował opanować atak paniki, choć przychodziło mu to z trudem. - Może lepiej go stąd wyciągnąć, co? Będzie mu trochę chłodniej.

- Nie, najlepiej, jeśli szybko uda się go dowieźć do szpitala. Zdecydowanie nie powinniśmy go ruszać, tym bardziej że na zewnątrz wcale nie jest chłodniej, niestety.

- Więc... W żaden sposób nie możemy mu pomóc?

- Spróbujmy zatamować krwotok z nogi. Obwiązać ją czymś dookoła, zrobić prowizoryczną opaskę uciskową. Czy mamy coś, co może się nam przydać?

- Może moja koszula?

Barney jednym szarpnięciem rozdarł swoją weselną kamizelkę i zerwał z siebie koszulę.

- Porządny z ciebie gość. A teraz spróbujmy ją podrzeć na pasy, o, w ten sposób, żebym mógł... Tak, podaj mi to... No dobrze, przepraszam, stary - dodał, kiedy Toby zawył z bólu. - Teraz możesz sprawdzać, czy puls jest stabilny. To nic trudnego. Jeśli częstotliwość dramatycznie spadnie, poszukaj mnie. Będę gdzieś niedaleko. Staraj się utrzymać go w stanie czuwania, rozpraszaj jego uwagę, żeby nie koncentrował się na bólu i przez cały czas coś do niego mów. Powtarzaj, że pomoc medyczna niebawem nadjedzie.

- Ale jak ma nadjechać? - W głosie Barneya brzmiała desperacja. - Droga jest całkiem zakorkowana.

- Służby ratunkowe już są w drodze, a ambulansy zostały skierowane na przeciwną nitkę autostrady. Lekarze lada moment powinni tu być. Jadą z naprawdę dobrego, nowoczesnego szpitala w pobliżu Swindon.

- Czy... Czy możesz jakoś załatwić, żeby najpierw zajęli się Tobym?

- To nie ode mnie zależy, ale zwrócę im uwagę, że odniósł poważne obrażenia i prawdopodobnie pilnie będzie potrzebował krwi.

- Jak uważasz, czemu poduszki powietrzne nie zadziałały? Żadna z nich.

- Nie mam pojęcia. Może wasz samochód został uderzony pod niewłaściwym kątem? - Nieznajomy uśmiechnął się do Barneya. - Tak przy okazji, nazywam się Jonathan Gilliatt. Miło mi cię poznać, choć szkoda, że nasze spotkanie nastąpiło w tak nieszczęśliwych okolicznościach... - Zamilkł na chwilę. - Sądząc po tym, jak się wystroiłeś, wybieraliście się na wesele, co?

- Tak - potwierdził Barney.

- Jezu! Posłuchaj, za moment znowu do was zajrzę... - zaczął, ale przerwało mu brzęczenie komórki. - Halo? Och, to dobrze. Wspaniale. Słuchajcie, mam tutaj poważnie rannego chłopaka. Jest w samochodzie na wschodniej jezdni autostrady, tuż przy barierze ochronnej, blisko ciężarówki. Jego auto wbiło się w inny samochód. To takie srebrne bmw. Puls w porządku, ale gość chyba jest w szoku, poza tym ma paskudnie poharataną nogę. Założyłem opaskę uciskową, ale on dość pilnie musi dostać krew, więc jeśli można przekazać komuś tę informację... Dziękuję.

- Muszę przejść się wzdłuż innych samochodów - zwrócił się do Barneya. - Zobaczyć, czy jest jeszcze coś, co mogę zrobić.

Wsunął komórkę do kieszeni i uśmiechnął się.

- Niedługo powinni tu być. Słyszałeś zresztą, co im powiedziałem. Gdyby was nie znaleźli, to daj mi znać, okay? Podyktuj mi numer twojej komórki, a ja zostawię ci swój...

Jonathan właśnie wyruszał, żeby przedrzeć się przez tłum zdenerwowanych ludzi, kiedy z tyłu złapał go za ramię jakiś mężczyzna. Miał błędny wzrok.

- Zdaje się, że pan jest lekarzem, tak? Chodzi o moją żonę. Czy mógłby pan na nią zerknąć? Bardzo proszę. Jest w samochodzie, o tutaj!

Chodziło o czarne volvo, w które uderzyli jadący na wesele chłopcy.

- Ona... Ona jest w ciąży. Strasznie boli ją brzuch i boję się, że lada moment zacznie rodzić.

- Jak zaawansowana jest ciąża?
- Siedem i pół miesiąca.
- W porządku. Chodźmy ją zobaczyć.

Dziewczyna leżała na przednim fotelu, zwinięta w pół, a jej twarz wykrzywiał paroksyzm bólu. Jonathan odczekał chwilę; widział, że ból ustępuje i dziewczyna wyraźnie się odpręża.

- Cześć - odezwał się. - Jestem lekarzem. Prawdę mówiąc, lekarzem położnikiem, więc trafiłaś we właściwe ręce.

Próbowała się uśmiechnąć.

- Od jak dawna masz te skurcze?
- Mniej więcej... Sama nie wiem. Jakies piętnaście, może dwadzieścia minut.
- Ale są dość silne, tak?
- Tak.
- I jak często się zdarzają?
- Co parę minut, jak mi się zdaje.
- Czy mogę zbadać twój brzusek? Połóż się na plecach, o właśnie tak... Spróbuj się odprężyć... A te-

raz...

Gdy trzymał rękę na brzuchu, nadszedł kolejny skurcz. Dziewczyna wstrzymała oddech i zagryzając wargi, odrzuciła głowę do tyłu. Nie było najmniejszych wątpliwości.

- Posłuchaj - powiedział delikatnie, biorąc ją za rękę, żeby zmierzyć puls. - Myślę, że zaczyna się akcja porodowa. Pewnie wywołana szokiem po wypadku.

- I tym uderzeniem w tył, jak sądzę - dorzucił mężczyzna.
- Pewnie tak. Jak tam wasze szyje, w porządku? Nic w nich nie strzela?
- Nie, dzięki Bogu.

- Dobrze... Tak naprawdę niewiele mogę zrobić. Skurcze są regularne, ale dość krótkie, więc nie sądzę, żeby do porodu mogło dojść w najbliższym czasie, jednak...

- O Boże. - Dziewczyna zanosła się płaczem. - To straszne! Tak bardzo mnie boli, a poza tym to przecież za wcześnie!

Jonathan usiadł w fotelu kierowcy, wziął dziewczynę za rękę i przemówił do niej łagodnym tonem.

- Posłuchaj, najważniejsze, żebyś spróbowała się odprężyć. Wiem, że łatwo mi mówić, ale to naprawdę pomoże. Czy chodziłaś do szkoły rodzenia, znasz techniki oddychania?

- Tak, ale...

- Świetnie, spróbuj je zastosować. Warto zadać sobie ten trud, bo to pomoże tobie i twojemu dziecku. A teraz spróbujmy zapewnić ci odrobinę wygody. Czy ten fotel da się jeszcze opuścić?

- Tak - odpowiedział mężczyzna.

- Dobrze. A teraz druga sprawa: siedem i pół miesiąca to nie jest jakoś dramatycznie przedwcześnie. Zakładając, że uda się nam dowieźć cię do szpitala, dziecko będzie miało naprawdę olbrzymie szanse przeżycia. Obiecuję. Ambulanse już jadą, a ja zadzwonię do nich i powiem, w jakiej jesteś sytuacji. Będą mogli

wcześniej zebrać zespół położników. O, następny skurcz - dodał, widząc jak dziewczyna się napina, a jej oczy rozszerzają strachem. - Oddychaj tak, jak cię uczono! No, dalej. Doskonale. Powoli i dokładnie. I co, lepiej?

Odpowiedziała nieznacznym skinieniem głowy.

- Grzeczna dziewczynka. A teraz rób to dalej sama. Ja za parę minut wrócę, żeby sprawdzić, jak się masz. Na wszelki wypadek podam twojemu mężowi numer mojej komórki. - Wyciągnął rękę, żeby tamten podał mu swój telefon. - Spróbuj się skoncentrować na tym, co ci powiedziałem. Myślę, że urodzisz to dziecko w szpitalu, w jakiejś miłej sali porodowej. Okay?

- Okay - odparła.

Wyglądała na znacznie spokojniejszą.

- Dobra dziewczynka. - Jonathan uśmiechnął się do niej, wysiadając z samochodu. - Postaraj się za bardzo nie martwić. Dzieciaki potrafią naprawdę wiele wytrzymać. Wiem coś o tym.

Helikopter wyraźnie się zbliżał; William słyszał go, choć jeszcze nie widział. Spojrzał na zegarek: piąta piętnaście. Ten biedny koleś w szoferce już pewnie nie żyje, jeśli w ogóle nie zginął od razu, w chwili katastrofy. I ten minibus, stojący tuż za nim, do połowy wbity pod ciężarówkę. Tam także nikt nie przeżył, to pewne.

Wreszcie mógł dostrzec zbliżający się helikopter, bo na trasie przelotu pochylały się korony drzew. Jak szalony zamachał rękoma, a wtedy helikopter zatoczył krąg, opadł niżej i usiadł na wierzchołku wzniesienia. Łopatki turbiny zwolniły; z kabiny wyskoczył jakiś mężczyzna, machając ręką do Williama; zaraz za nim następny. William pobiegł w ich stronę.

- Dzień dobry! - zawołał.

- Dzień dobry. Dziękujemy za pomoc. Bez pana nic by z tego nie wyszło. Brygada strażaków za chwilę powinna tu być. Wysłali ich autostradą z przeciwnej strony, jak tylko nadeszła wiadomość, że droga została dostatecznie opróżniona. Jesteśmy prawie pewni, że ich pomoc będzie nam potrzebna. A teraz ruszamy na dół, zobaczyć, co tam się dzieje. Jeszcze raz wielkie dzięki.

- Czy ja też mogę z wami zejść? Może przyniosę trochę wody? Tym ludziom pewnie strasznie chce się pić. Przy takim upale...

- Dobry pomysł. Tylko proszę trzymać się na poboczu, żeby nie przeszkadzał pan pojazdom służb ratunkowych.

- Oczywiście - odparł z oburzeniem.

Co oni sobie wyobrażają? Że on to idiota, czy co? Ludzie zwykle mają dość kiepską opinię o inteligencji farmerów. To jeden z wielu stresów, jakie musi znosić człowiek, który żyje z uprawy ziemi.

- Co masz na myśli, mówiąc, że on nie przyjedzie?! Oczywiście, że przyjedzie; przecież nie może nie przyjechać... To... No to... Oczywiście, że przyjedzie. Po prostu... Po prostu coś go zatrzymało. To wszystko.

- Tamara... - powiedział jej ojciec. - On nie przyjedzie. Brał udział w jakimś koszmarnym wypadku na autostradzie M4. Barney właśnie nas zawiadomił...

- Barney! Barney to idiota. Daj mi swój telefon, tatusiu. Chcę do niego zadzwonić. Musi być jakiś sposób, żeby się tu dostać. Może przez pola, albo jakoś tak... No cóż, możemy przez parę godzin zatrzymać ludzi w kościele i wszystko odbędzie się później. Tak, tak będzie najlepiej. Właśnie tak powinniśmy zrobić...

- Nie, skarbie, to się nie uda. Bardzo, naprawdę bardzo mi przykro, ale Toby... Toby został ranny, obawiam się, że dość poważnie ranny... Jest w szoku, ma zmiądzoną nogę i wydaje się całkiem prawdopodobne, że odniósł też wewnętrzne obrażenia... Najwyraźniej ich samochód uderzył w jakiś ładunek zamrażarek czy czegoś w tym stylu. Barney nie mówił zbyt składowo i z sensem.

- Zamrażarki! Och, tato, to przecież żart! Jak samochód może uderzyć w zamrażarkę? Proszę, daj mi telefon...

- Tamara, to nie jest żart, ani jakaś wymówka - wtrąciła matka. - Toby jest poważnie ranny. Teraz czekają na ambulans, żeby zabrać go do szpitala.

- Nie. - Tamara odrzuciła do tyłu welon i zacisnęła pięstkę. W jej wielkich oczach ukazały się łzy. - Nie, to niemożliwe. Był przecież w całkiem dobrej formie dziś rano, nawet dziś po południu. Barney musiał się pomylić. On jest... O Boże!

Usiadła na przedniej ławce w małym kościółku, udekorowanym różami, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. A pastor w milczeniu stał przy ołtarzu i zanosił przed oblicze Boga modlitwę o spokój dla niej i o ocalenie życia jej narzeczonego, które najwyraźniej znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Patrząc na tę prześliczną dziewczynę, która tak podle została oszukana przez los w najważniejszym dniu swojego życia - na jej otuloną welonem głowę, teraz opuszczoną w desperacji, na ślubny bukiet leżący na posadzce - pomyślał, że wiele czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz widział kogoś tak wzruszająco pogrążonego w smutku.

- Przepraszam. Ktoś tu mówił, że pan jest lekarzem?

- Tak - odparł Jonathan krótko. - Jestem.

- Chodzi o to, że moja dziewczyna... Ona przez cały czas wymiotuje i wyraźnie jest w dość kiepskiej kondycji. Zastanawiam się, czy mógłby pan...

- Rozumiem, że jest pan lekarzem.

- Tak, zgadza się, ale...

- Tu jest pewna pani... Obawiamy się, że ma atak serca... Cierpi z powodu duszności... Czy zechce pan... Jezu, pomyślał Jonathan. Był już dość wyczerpany i marzył o chwili wytchnienia. Co by ci wszyscy ludzie zrobili, gdyby mnie tu nie było?

- Proszę pani, czy może mi pani pomóc?

Abi czuła, że chwytają ją mdłości. Oddałaby wszystko za odrobinę wody do picia, ale przyszło jej na myśl, że jeśli ktoś powinien tutaj cierpieć z pragnienia, to właśnie ona.

Na widok małego chłopca spróbowała się uśmiechnąć.

- O co chodzi, skarbie?

Spojrzał na nią wielkimi, przerażonymi oczyma.

- Proszę pani, boję się, że zaraz dostanę napadu astmy, a nie mam przy sobie inhalatora. Został... - Przerwał na moment, bo wyraźnie zabrakło mu tchu. - Został w moim plecaku.

- Ach tak, rozumiem.

- Poza tym strasznie chce mi się pić.

- Mnie też - odezwał się kolejny chłopiec, a potem jeszcze jeden i jeszcze następny.

- Słuchajcie, niestety, nie mam przy sobie wody, ale mogę pójść i zapytać ludzi w innych samochodach.

A jeśli chodzi o pana, panie astmatyku...

Mały chłopczyk zdobył się na wysiłek, żeby się uśmiechnąć.

- Tak, proszę pani?

- Bardzo żałuję, ale na razie nie mogę ci pomóc z inhalatorem. Jednak kiedy przyjdzie tutaj Jon, to znaczy pan doktor, ten który wyciągnął was z autobusu, zapytam go, czy może ma jakiś przy sobie.

- Dobrze. Chociaż czuję coraz większy ucisk w klatce piersiowej. Czasami atak jest bardzo silny, tak silny, że aż muszę jechać do szpitala - zawołał i wybuchnął płaczem.

- Nie bój się, kochanie. - Abi usiadła obok i otoczyła go ramieniem. - Zaraz przyjadą tu ambulansy i na pewno w którymś znajdzie się inhalator, jestem tego pewna. Musisz jeszcze tylko odrobinę wytrzymać. Jak ci na imię?

- Shaun.

- Dobrze, Shaun. Wiesz, kiedy byłam w twoim wieku, także cierpiałam na astmę. Jeśli dopadał mnie atak, a nie miałam przy sobie inhalatora, starałam się robić ćwiczenia oddechowe. Spróbujemy poćwiczyć? Oddychaj nie za głęboko, bardzo delikatnie, równo i powoli... Właśnie tak. Ja będę to robić razem z tobą i liczyć na głos. Gotowy?

Shaun wbił w nią ufne spojrzenie niebieskich oczu, ale po mniej więcej dziesięciu oddechach wydawał się tak samo zdyszany jak przedtem.

- To wcale mi nie pomaga. Zaraz zacznę się dusić... I znów się rozpląkał.

- O Boże!

Abi rozejrzała się dookoła. Upał był wręcz nieznośny; słońce piekło niemiłosiernie, a powietrze wydawało się nieruchome i lepkie. Poza tym dookoła nich unosił się dziwny smród, mdlący i kwaśny zarazem, zupełnie jakby nie byli na zewnątrz, lecz w jakimś dusznym pomieszczeniu. I rzeczywiście, powietrze było gęste i zamglone od spalin. To z pewnością nie mogło pomóc. Ujrzała, że Jonathan idzie w ich stronę, więc zamachała rękami, żeby się zbliżył.

- Masz może przy sobie inhalator? Na astmę?

- Nie. Oczywiście, że nie - odparł zwięźle. - Nie jestem przecież chodzącą apteką.

- No jasne, wiem o tym. Ale Shaun za chwilę dostanie ataku astmy, więc przyszło mi do głowy... Po prostu pomyślałam, że możesz...

- Psiakrew, no to źle pomyślałaś! Mam teraz poważniejsze sprawy niż jakiś cholerny atak astmy! Kierowca ciężarówki wykrwawia się na śmierć w swojej kabinie, a ci zasrani lekarze... Och, są wreszcie, dzięki Bogu! Tędy, proszę, tylko szybko!

- Proszę pani - odezwał się Shaun. - Czemu on się rozgniewał?

- Po prostu jest... Jest bardzo zdenerwowany - odpowiedziała Abi, patrząc w ślad za Jonathanem, jak kierował sanitariuszy w stronę ciężarówki. - Zresztą on wcale się nie gniewał.

- Moja mama zawsze mówi tak o moim tacie, kiedy on zaczyna się wściekać - oznajmił inny chłopiec. -
Mówi, że widocznie czymś się martwi i żeby nie zwracać uwagi.

Teraz rozległ się cały chór dziecięcych głosików, bo każdy znał tego typu scenariusz. Abi popatrzyła na nich i po raz pierwszy uśmiechnęła się do siebie. Odwracanie ich uwagi od tego, co się wydarzyło, było chyba najlepszą formą pomocy, jaką w danej chwili mogła im zaoferować.

- Może powiecie mi, jak się nazywacie? - zaproponowała. - Ale tylko imiona, dobrze? Ja mam na imię Abi. To skrót od Abigail.

- Jakie ładne imię - zauważył poważnie Shaun.

Teraz łąpał powietrze krótkimi, urywanymi haustami, a rozmowa przychodziła mu z wyraźnym trudem.

Po kolei wszyscy malcy powiedzieli, jak mają na imię, gdzie mieszkają, co lubią robić, jak nazywają się ich mamusie... Zrobiło się prawie uroczo. Aż tu nagle...

- Proszę pani, tak bardzo chce mi się pić. Muszę się czegoś napić! Czy może pani przynieść nam coś do picia?

Wkrótce każdy z nich prosił ją o to samo. Kilku się rozplakało, mówili, że jeszcze nigdy nie byli tak spragnieni, nigdy w życiu. Abi w rozpacz rozglądała się dookoła. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a sama się rozplacze. Czy to nieszczęście było winą Jonathana? Rozmawiał przez komórkę; może na moment stracił panowanie nad kierownicą? Czy to ona swoim zachowaniem rozproszyła jego uwagę? Abi, przestań! Przestań się w to zagłębiać. To był wypadek, nic więcej - paskudny, straszliwy wypadek. Skoncentruj się na tym, skąd zdobyć wodę, wodę... Na litość boską, gdzie ma znaleźć wodę?

William szedł z trudem w dół zbocza, dźwigając dwa pojemniki z wodą; właśnie skręcił, żeby obejść mały młodniak, kiedy ujrzał tę dziewczynę. Była bardzo młoda, bardzo ładna i o bardzo ciemnej skórze, z burzą czarnych, nieujarzmionych włosów. Potykając się, szła wzdłuż rowu i bezgłośnie płakała.

- Hej, czy mogę w czymś pomóc? Czy brałaś udział w tym wypadku? Może ktoś z twoich bliskich został ranny?

Wpatrzyła się w niego i ujrzał, jak jej oczy wypełniają się panicznym strachem. Wreszcie potrząsnęła głową i ruszyła przed siebie, płacząc się w długiej, nierównej trawie, jakby chciała jak najprędzej przed nim uciec.

William wzruszył ramionami i ruszył dalej. Miał wrażenie, że z tą dziewczyną wszystko jest w porządku - w każdym razie nie była ranna, a on musiał skoncentrować swoje wysiłki na bardziej potrzebujących. Mimo wszystko to dziwne, pomyślał; ale przecież to był w ogóle bardzo dziwny dzień.

Stres oraz pragnienie, które dręczyło grupę małych chłopców, stawały się coraz dotkliwsze. Abi czuła, że powoli zaczyna ogarniać ją panika. Nie wolno jej ulec, pomyślała; to może mieć fatalne skutki, bo panika szybko się rozszerza. Ujrzała jakąś kobietę, która szła w ich stronę z golden retrieverem na smyczy; pokazała go chłopcom, żeby przykuć czymś ich uwagę. Od razu otoczyli psa, głaszcząc go i pytając właścicielkę, jak się wabi.

- Jasper.

- O, tak samo ma na imię mój brat! - oznajmił Shaun. - Przyjaciół mojej mamy powiada, że tak nazywają się tylko pedały.

- Naprawdę? - Abi uśmiechnęła się do kobiety, ale ta nie odwzajemniła uśmiechu, tylko z nietajoną złością popatrzyła na Shauna. - Przypuszczam, że nie ma pani wody, ale może jednak chociaż trochę?

- Gdybym miała wodę, przede wszystkim dałabym ją temu biedakowi - odparła zdecydowanie kobieta. - On już ledwie wytrzymuje. Idziemy do tamtych drzew, poszukać odrobiny cienia.

- Oczywiście - odpowiedziała ostrożnie Abi.

- Ale ja naprawdę muszę się napić! - Jeden ze starszych chłopców zaczynał się denerwować. - Naprawdę, naprawdę muszę! Umrę, jeśli nie dostanę pić. Wszyscy umrzemy.

- Nic podobnego - zawołała Abi. - Ludzie potrafią bardzo długo przeżyć bez wody. Byłbyś zdziwiony, jak długo. I nieważne, jak bardzo chce ci się pić.

- Ale, proszę pani...

Do diabła, skąd ona ma im wytrzasnąć tę cholerną wodę? W jaki sposób normalne życie mogło rozwiązać się tak szybko i bez śladu?

- Czy ktoś tu potrzebuje pomocy? - rozległ się czyjś głos.

Jakiś mężczyzna zjawił się nagle pośród nich, zupełnie jak wysłannik niebios. Był młody, mocno opalony, z brązowymi, raczej zmierzwionymi włosami, a na sobie miał workowate - i zdecydowanie bardzo brudne - dżinsy, koszulę w kratę, która opuściła sklep wiele lat temu, oraz ciężkie, zakurzone buciory. W obydwu rękach niósł, tak, naprawdę niósł dwa wielkie, plastikowe pojemniki, w których chlupotała...

- O mój Boże! - wykrzyknęła Abi. - Woda! Jak cudownie! To nie może być prawda.

- Ależ tak, jest. Przynajmniej była, kiedy sprawdzałem ostatnim razem. Uśmiechnął się do niej szeroko; miał najśłodszy uśmiech, jaki kiedykolwiek zdarzyło się jej widzieć. Odwzajemniła uśmiech.

- Przyniosłem także parę papierowych kubeczków. Macie, dzieciaki. Ostrożnie proszę, po kolei! Zaraz wywalicie wodę, jeśli nie będziecie uważać. Tak lepiej... - Wyciągnął pełny kubek w kierunku Abi. - Chce pani się napić?

- Nie, nie... Chłopcy są bardzo spragnieni.

- Tak samo jak pani, sądząc po wyglądzie. Na głowie ma pani paskudne rozcięcie. Skąd to się wzięło?

- Uderzyłam się przy hamowaniu. Wszystko stało się tak nagle.

- Tak? Wygląda nieciekawie. Proszę, oto kubek. Niech mi pani pozwoli...

- Czy ja też mogę trochę dostać? Dla pieska; on naprawdę strasznie cierpi. Proszę spojrzeć, nawet przyniosłam miskę...

To była ta kobieta, z którą Abi rozmawiała wcześniej.

- Raczej nie - odparł młody człowiek. - Dookoła jest mnóstwo ludzi, którym też chce się pić. Przykro mi z powodu psa, ale nic mu nie będzie. Niech pani zaprowadzi go w cień. Cześć, młody kolego - dodał na widok jakiegoś pędraka, który kurczowo trzymał się ramienia ojca. - Masz ochotę się napić? Proszę bardzo!

Stał na poboczu, wydzielając cenną wodę, kubek po kubeczku, i odprawiając z kwitkiem tych, którzy zgłaszali się po raz drugi.

- Na razie mogę dać tylko po kubku na osobę. Inaczej byłoby nie w porządku. Tylko Shaun dostanie dwa kubki, ponieważ źle się czuje.

- Skąd pan się tu wziął? - spytała Abi, spoglądając na niego tak, jakby był czymś w rodzaju cudownego zjawiska.

- Mieszkam na farmie, tuż za tamtym wzniesieniem. Ten helikopter wylądował właśnie na naszym polu. Prawdę powiedziawszy, na własne oczy widziałem, jak doszło do wypadku - mówił spokojnym tonem, dość wolno i w zaskakująco elegancki sposób. Nie spodziewała się, że zwykły rolnik potrafi tak się wysławiać. - Byłem tam na górze, przy krowach. Akurat przenieśliśmy je z innego pola. I wtedy zdarzyła się katastrofa. Nagle cały świat rozleciał się na kawałki, albo przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

- Tak? Więc jak... Co właściwie się stało? Jak pan sądzi?

- Cóż, ciężarówka nagle skręciła, dość ostro, i przedarła się przez barierę. W zasadzie bez żadnego powodu. A potem cały ładunek... Zupełnie jakby w środku coś wybuchło, bo wszystko wyleciało przez drzwi z tyłu, przez boki, nawet przez dach... Czy widziała to pani?

- Nie, tak naprawdę to nie. Ja... To znaczy my byliśmy z przodu... Przed tamtymi samochodami.

- Przeróżające, prawda? Straszne są takie wypadki. Zdaje się, że wszystko idzie świetnie, wszystko jest pod kontrolą, a chwilę później... Czyjeś życie kończy się nieodwołalnie, inni ludzie zostają ranni, choć nie było w tym za grosz ich winy... Właściwie niczyjej winy.

- Tak. To potworne.

Uśmiechnęła się do niego, przełykając haust cudownej, orzeźwiającej wody. Właściwie powinna zanieść trochę Jonathanowi, pomyślała.

Mary spojrzała na Colina. Siedział na masce samochodu, paląc papierosa za papierosem. To był już szósty od wypadku, policzyła. To pewnie pomagało mu opanować nerwy, więc z zazdrością pomyślała, że chętnie sama zrobiłaby coś równie prostego, co poprawiłoby jej samopoczucie. Czula się fatalnie - była wyczerpana, zbierało się jej na mdłości, a szyja i głowa bolały jak diabli. Colin znalazł kilka proszków przeciwbólowych, ale tak naprawdę nawet odrobinę nie przytępiły jej cierpienia.

Ludzie jadący w samochodzie za nimi, Janet i John Brownowie, którzy wbili się w bagażnik ich auta, także zachowali się bardzo uprzejmie. Mężczyzna kierujący tamtym samochodem skaleczył nadgarstek, ale poza tym żadne z nich w zasadzie nie odniosło obrażeń.

Wyjęli z samochodu pled, turystyczne krzeselka i termos, posadzili Mary na trawie i poczęstowali kubkiem herbaty. To było bardzo miłe z ich strony, ale gdyby zastanowiła się nieco dłużej, na pewno nie przyjęłaby poczęstunku. Herbata dosłownie przez nią przeleciała...

Zerknęła na zegarek; dochodziła piąta. Jeszcze tylko godzina i samolot Russella wyląduje na lotnisku. Teraz na pewno nie uda się jej dotrzeć na czas. Co on sobie pomyśli? Co ona może jeszcze... Spokojnie, Mary, zachowaj spokój.

Rozpaczliwie potrzebowała pójść do łazienki. Nawet przyszło jej do głowy, że chyba będzie musiała poprosić o pomoc Janet Brown, żeby pottrzymała koc i osłoniła ją przed wzrokiem innych ludzi, ale doszła do wniosku, że nie znają się wystarczająco dobrze.

Przepełniony pęcherz kłuł boleśnie i wkrótce cierpienie stało się nie do wytrzymania. Nagle Mary poczuła jeszcze jedno ukłucie: straszliwie znajome ściskanie w klatce piersiowej, które sygnalizowało zbliżający się atak duszności.

Ogarnęło ją trudne do opanowania przerażenie. Azotan w sprayu został w zmiażdżonym bagażniku... Mary zalała się łzami.

ROZDZIAŁ 12

Stopniowo porządek został przywrócony; dwie załogi wozów strażackich wciąż wykonywały swoje zadania, lecz większość poszkodowanych odwieziono już do szpitala. Robbie szedł krok w krok za Gregiem, kiedy tamten przemieszczał się przez pobojowisko na autostradzie, rozmawiał przez radiotelefon, żeby na bieżąco informować AA i RAC oraz miejscowe rozgłośnie, zapisywał nazwiska i adresy świadków, machnięciem ręki kierował ich samochody do kontroli i informował uwięzionych w korku.

Większość interesowało jedynie to, kiedy będą mogli stąd odjechać, czy wolno im ruszyć samochody i czy policja dostarczy zapas wody. W miarę upływu czasu coraz częściej padało pytanie, czy dostaną coś do zjedzenia.

Jedna z kobiet zaczęła na nich krzyczeć, domagając się wody, ale większość zachowywała się spokojnie i wykazywała chęć współpracy. Greg także zachowywał spokój; zapewniał, że już niedługo policja zacznie usuwać samochody, bardziej natrętnych kierował do policyjnego radiowozu, który właśnie przywiózł spore ilości napojów, a tam, gdzie było to niezbędne, proponował własną komórkę oraz telefon Robbiego.

Teraz, gdy najgorsze mieli już za sobą - choć ten biedny skurczybyk w ciężarówce jeszcze nie został wydobyty na zewnątrz - ich głównym zadaniem było utrzymać miejsce zdarzenia w możliwie nienaruszonym stanie aż do chwili, gdy przybędzie jednostka dochodzeniowa. Ktoś musi zrobić pomiary i fotografie, nakreślić plan sytuacyjny, umieścić na nim położenie wraków i szczątków pojazdów oraz zaznaczyć kierunki poślizgu.

Dopiero gdy to zostanie ukończone, będzie można pomyśleć o usuwaniu samochodów. Na szczęście droga w stronę Londynu była już przejezdna, choć dwa pasy nadal wykorzystywały wyłącznie służby ratunkowe. Na poboczu stało kilka aut - samochód pewnego doktora, który okazał się fantastycznym facetem i ogromnie wszystkim pomógł - oraz pewnej przemiłej pary w średnim wieku. Ci ludzie przyszli, żeby sprawdzić, czy jest coś, co mogą zrobić dla poszkodowanych. Niewiarygodne, ale byli jedynymi osobami, które w ogóle się zatrzymały.

Zdarzyło się też, że pewna dziewczyna zaczęła rodzić. Robbiemu kazano zostać z nią i jej mężem, dopóki nie będzie można bezpiecznie ich stamtąd zabrać. To wcale mu się nie spodobało. Dziewczyna mocno cierpiała, na zmianę jęcząc albo dysząc jak zziąjany pies.

- Nie chcę urodzić tutaj - zawołała w pewnej chwili, chwytając męża za rękę. - Tak strasznie się boję.

- Nie ma się czego bać - odpowiedział Robbie w nadziei, że to szczerą prawdą. - Proszę posłuchać...

Wydaje mi się... Tak, tak, teraz słyszę wyraźnie. Nadjeżdża ambulans. Zaraz machnę na nich i postaram się, żeby się zatrzymali... Już dobrze. Szybko, tutaj proszę! - zawołał do dwójki sanitariuszy. - Ta pani jest tutaj, w tym samochodzie.

Jak opowiadał później swojej dziewczynie, w życiu nie był tak przerażony, bardziej niż wtedy, gdy jakiś młodociany zbir wyskoczył na niego z nożem.

- Myślałem, że ona lada chwila urodzi, tam na miejscu.

Dziewczyna odpowiedziała z werwą, że policjanci zawsze odbierali porody. W zeszłym tygodniu w „Daily Mail” opisywano taką historię i ona osobiście uważa, że to szczerą prawdą. Z kolei Robbie był święcie przekonany, że to bujda na resorach.

- Jonathan? Jonathan, nareszcie, dzięki Bogu! Gdzieś ty się podziewał?!

Głos Laury brzmiał nienaturalnie szorstko; skrzywił się na myśl, że już wkrótce stanie się bardziej szorstki.

- Jestem na M4, skarbie. Wybacz, że nie zadzwoniłem wcześniej.

- Na M4? Na litość boską, jakim cudem na M4? Wszyscy tak strasznie się martwią. Dzwoniłam do kliniki, ale powiedziano mi, że od wczesnego popołudnia nie dałeś znaku życia, a kiedy zadzwoniłam do ciebie, usłyszałam twój głos i zaraz potem ten okropny hałas i zapadła cisza... Chcesz powiedzieć, że to nie byłeś ty?

- Laura, na autostradzie doszło do ogromnej katastrofy - odpowiedział, starając się z całych sił, żeby jego głos brzmiał w miarę normalnie. Choć to nielogiczne, trudno mu było uwierzyć, że ona jeszcze o niczym nie wie. - Naprawdę ogromnej. Niestety, ugrzązłem w korku. Kierowca ciężarówki wjechał w barierę i przedarł się na drugą stronę. Obawiam się, że przynajmniej trzy osoby nie żyją...

- O mój Boże, Jonathan, jakie to okropne! Czy nic ci się nie stało?

- Nie, czuję się całkiem dobrze. Ale starałem się tu robić, co w mojej mocy.

- Oczywiście... Tak, rozumiem. Ale wolałabym, kochanie, żebyś jednak zadzwonił. Tak strasznie się martwiłam.

- Przepraszam. Jakoś zupełnie o tym nie pomyślałem, takie tu było zamieszanie. Mnóstwo osób odniosło ciężkie obrażenia, jeden gość niemal wykrwawił się na śmierć, starsza pani dostała ataku serca... Naprawdę nie miałem czasu na pogawędki.

- Tak, to zrozumiałe. Jakie to musiało być straszne dla ciebie, najmilszy. Tak bardzo ci współczuję. Pewnie jesteś wykończony, prawda? Jak uważasz, kiedy uda ci się stamtąd wyjechać?

- Ja... Sam nie wiem. Pewnie niedługo, jak sądzę. Większość poszkodowanych jest już w drodze do szpitala, choć straż jeszcze nie zdołała dotrzeć do tego biednego skurczybyka w ciężarówce... Posłuchaj, skarbie, muszę kończyć. Policja czeka, żeby ze mną porozmawiać.

- Jedź ze mną! Proszę! Musisz pojechać ze mną!

Shaun chwycił dłoń Abi. Wciąż charczał, rozpaczliwie walcząc o oddech.

Spojrzała na kierowcę ambulansu.

- Mogę jechać?

- Myślę, że tak. Chociaż tam na drugim końcu może być niezła kolejka. No chodź, koleś - powiedział do Shauna. - Niezbyt się postarałeś. Użyj tego inhalatora jak należy. Głębokie wdechy, właśnie tak.

Opiekun chłopców już został odwieziony do szpitala Świętego Marka; wciąż był w szoku i gapił się przed siebie nieruchomym wzrokiem, a jego ciałem od czasu do czasu wstrząsał dreszcz. Istniało podejrzenie, że doznał wstrząsu mózgu. Abi i William połączyli wysiłki, żeby jak najlepiej zająć się dziećmi; William obiecał, że zostanie z nimi, dopóki wszystkie nie zostaną bezpiecznie zabrane.

- W porządku - powiedziała. - No cóż, wygląda na to, że musimy się pożegnać. Dzięki za wszystko. Byłeś naprawdę wspaniały.

- Och, drobnostka. Chciałbym móc zrobić więcej. To na razie, Shaun. Obserwował Abi, jak wdrapywała się na tył ambulansu.

- No dobrze, chłopaki - odezwał się, siadając z powrotem na trawie obok pozostałych chłopców. - Musimy jeszcze poczekać, ale to już nie powinno potrwać długo. Czy ktoś zna jakieś fajne piosenki?

Dopiero gdy wszyscy chłopcy zostali zabrani z miejsca wypadku przez Agencję Autostrad, William znalazł w kieszeni džinsów komórkę Abigail i przypomniał sobie jej prośbę, żeby przez chwilę potrzymał telefon, gdy kolejno zabierała dzieciaki na brzeg nasypu. Będą mogły tam zrobić siusiu.

ROZDZIAŁ 13

Czas stał się czymś zupełnie oderwanym od rzeczywistości. Emma przypuszczała, że pewnie jest zmęczona, wytrącona z równowagi, ale tak naprawdę wcale sobie tego nie uświadamiała. Pracowała jak automat, zdając sobie sprawę jedynie ze znakomitej organizacji, która koordynowała wysiłki całego zespołu.

Ambulanse przyjechały do szpitala; przynoszono rannych, oceniano ich stan, a następnie kierowano do stosownego punktu opatrunkowego i dalej, na salę operacyjną bądź na oddział intensywnej terapii. Przez większość czasu Emma przemieszczała się pomiędzy punktami opatrunkowymi i oglądając pacjentów, próbowała dodać im otuchy; wydzielała środki przeciwbólowe, wprowadzała wenflony, żeby podać dożylnie leki albo krew, pobierała krew do badania, osłuchiwała klatki piersiowe, wysyłała niektórych na prześwietlenie. Urządzenia do prześwietlania były przenośne, więc można było przywozić je do konkretnych osób. Wielu poszkodowanych miało jakieś złamania; prostsze Emma nastawiała samodzielnie, zasięgając konsultacji lekarza robiącego specjalizację z ortopedii, cudownego, emanującego spokojem, a czasem nawet zabawnego Marka Collinsa, zszywała też rozszarpane brzegi ran i zakładała klipsy na mniejsze rany na głowach.

Większość rannych odniosła zwykle w takich wypadkach obrażenia; mieli połamane żebra, pęknięte nadgarstki, choć zdarzały się poważniejsze uszkodzenia, głównie rany głowy. Była także dziewczyna, która przedwcześnie zaczęła rodzić - Emma trzymała ją za rękę, odliczając czas między kolejnymi skurczami i czekając, aż zabierze ją położna, a potem sprawdziła, czy został jeszcze jakiś środek uspokajający, żeby zaaplikować go mężowi rodzącej kobiety, który przyglądał się wszystkiemu z obłędem w oczach. Na szczęście los oszczędził Emmie tego, czego bała się najbardziej: widoku poważnie rannych dzieci. W większej części maluchy przeżyły wypadek bez szwanku, zdumiewająco dobrze chronione przez pasy w fotelikach. Jeden mały chłopczyk doznał wstrząśnienia mózgu, inny miał złamaną nóżkę, pewne niemowlę niebezpiecznie się odwodziło, lecz większość dzieci uśmiechała się szeroko, gdy Emma sprawdzała ich guzy i siniaki; ogólne podniecenie wywoływało w nich chęć do zabawy, stetoskop wzbudzał ciekawość, więc zarzucały Emmę pytaniami.

Pewien mężczyzna w średnim wieku dzielnie znosił spory ból, lecz szalał z niepokoju na myśl, że ktoś mógłby skontaktować się z jego żoną.

- Ona ma bardzo słabe serce; nie chcę, żeby wpadła w panikę. Okazało się, że miał pęknięte żebra, z których jedno przebiło płuco.

- Na szczęście nie stało się nic, czego nie moglibyśmy prędko naprawić - poinformowała go Emma pogodnie, podłączając mu dren do klatki piersiowej. - Jutro wyjdzie pan do domu.

- Och, dzięki Bogu - odpowiedział i pogłaskał ją po rękę. - Wie pani, że zupełnie nie wygląda pani na lekarza?

- Tak, tak, wiem - mruknęła.

Jeden przypadek szczególnie chwycił ją za serce: na noszach niesiono młodego mężczyznę, zakrwawionego, a jego równie mocno zakrwawiony przyjaciel szedł obok.

- Właśnie jechali na ślub tego rannego koleśka - wyjaśnił Mark, kiedy spotkali się przed wejściem do sali operacyjnej. - Powiedz, czy to nie okrutne?

- Czy jest z nim tak źle, jak na to wygląda?

- Naprawdę nie wiem. Rany głowy w większości są powierzchowne, lecz noga jest w paskudnym stanie... Nie mamy pewności, czy uda się ją poskładać. Spróbujemy coś zrobić, ale to będzie dość skomplikowane...

Russell spojrzął na zegarek; bez przerwy na niego patrzył, jakby chciał unieruchomić wskazówki, powstrzymać upływ czasu i odpędzić od siebie myśl, że Mary go zawiodła. Jednak czas nieuchronnie posuwał się naprzód, ignorując jego zdezorientowanie i zgryzotę. Siódma czterdzieści pięć, obwieścił zegarek. Sześćdziesiąt minut spóźnienia. Cała godzina.

Z pewnością wysłałaby mu wiadomość, gdyby gdzieś coś ją zatrzymało. To przecież nic trudnego...

Na wpół biegnąc, przemknął przez halę przylotów, tak był podekscytowany; serce waliło mu jak młotem, gdy ciągnął za sobą podróżną torbę. Reszta bagażu została wysłana Federalnym Expressem wprost do hotelu.

Chociaż Mary otrzymała dokładne instrukcje, żeby czekać przy recepcji Herzta, to wciąż się zastanawiał, czy przypadkiem nie poszła tam, gdzie przy barierce kłębili się wszyscy witający. Szybko przesunął wzrokiem po grupie czekających, w większości młodych, z dziećmi siedzącymi na ramionach ojców albo ciągniętymi za ręce przez matki. Niektórzy trzymali transparenty z napisami w stylu: „Witamy w domu, mamusi”. Dalej stały rzędy ubranych w ciemne garnitury kierowców, z których każdy dzierżył tabliczkę z porządnie wypisanym nazwiskiem klienta. Takich ludzi widywał na lotniskach na całym świecie; automatycznie prześliznął się spojrzeniem po tabliczkach... Ale nigdzie nie było wdzięcznej, starszej damy o siwych włosach i przeziębionym uśmiechu, która machała do niego tak, jak to robiła w najdzikszych z jego dzikich snów, wołając: „Russell, tutaj!”.

W ostatnim liście Mary napisała, że raczej nie powinna trafić na żaden zator na drodze, ponieważ o tej porze będzie jechać w przeciwnym kierunku niż większość kierowców.

- Poza tym zostawię sobie spory zapas czasu, Russell; możesz być tego pewien. Czy kiedykolwiek zdarzyło mi się spóźnić na randkę z tobą?

Rzeczywiście nigdy; jakimś sposobem zawsze była na czas, żwawym krokiem przemierzając Londyn, przeskakując z autobusu do autobusu, a często idąc piechotą, jeśli zaszła taka potrzeba. No cóż, raz się spóźniła

i to strasznie - o dwie i pół godziny - ale jednak udało się jej bezpiecznie dotrzeć na miejsce; zadyszana i zarumieniona wbiegła do baru, gdzie zgodził się z nią spotkać.

- To przez ten alarm przeciwlotniczy, Russell. Kiedy zawyły syreny, musiałam zbiec do metra i czekać, aż odwołają alarm. Strasznie cię przepraszam.

Tamto zdarzyło się ostatniej nocy, zanim został przeniesiony do nowej bazy; uprzedził ją, że nie będzie mógł zostać długo, ale ona odpowiedziała, że postara się wcześniej urwać z pracy.

- Być może teraz nie zobaczymy się... Przez długi, długi czas. To znaczy, nigdy nie wiadomo. Wiesz, Russell, nie chcę zmarnować tego ostatniego wieczoru i wcale się z tobą nie spotkać.

- Tak bardzo, bardzo się cieszę, że wciąż tu jesteś - mówiła z radosnym uśmiechem, gdy ją całował, a on odpowiedział, że to jasne, że tu jest; że czekałby na nią przez całą noc, gdyby zaszła taka potrzeba, ryzykując, że wpadnie w poważne tarapaty.

Kierowca ciężarówki został przewieziony do szpitala helikopterem, jak powiedział Emmie Alex. Był ostatnią ofiarą wypadku, którą zabrano; od razu trafił na salę operacyjną. Jego szanse oceniano niezbyt wysoko. Emma spodziewała się, że chodzi o starego człowieka, lecz najwyraźniej kierowca miał dopiero trzydzieści parę lat i był ojcem małych dzieci.

- Wpadł na kolumnę kierownicy - oznajmił Alex. - Miał facet pecha, nie ma co... Wymień dowolne uszkodzenie ciała, a na pewno trafisz: popękane żebra, pęknięty mostek, odma opłucnowa, stłuczenie serca, a oprócz tego parę mniej istotnych drobiazgów. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Na przykład pęknięta śledziona, uszkodzenia wątroby. Choć i tak nasi koledzy dokonali cudu, bo gość żyje. Przynajmniej na razie. Zdumiewające, jak solidne cięgi potrafi znieść ludzkie ciało.

- A... uszkodzenie kręgosłupa?

- Na razie nie stwierdzono. Biedny skurczybyk. Zdaje się, że żona już jest w drodze.

- Mam nadzieję, że nie sama - zauważyła Emma. - Będzie przerażona tym, co zobaczy...

Nagle poczuła, że koniecznie musi usiąść.

- Boże... Już jest dziesiąta wieczorem. Jak do tego doszło?

- Zmęczona?

- Trochę. Czy w ogóle wiadomo, co było przyczyną?

- Jeszcze nie. Ale w chwili wypadku właśnie ta ciężarówka była na przedzie, przed wszystkimi. To mogło się stać z jego winy. Może zasnął, wpadł w poślizg, cokolwiek.

- No cóż, jeśli tak, to trzeba przyznać, że został srogo ukarany.

Abi i Shaun wciąż czekali przed oddziałem ratunkowym. Przywieziono ich prawie dwie godziny temu i Abi powoli zaczynała czuć się tak, jakby miała tu zostać przez całą wieczność.

Ulga, jaka ogarnęła ją, gdy dotarli do szpitala Świętego Marka, była naprawdę olbrzymia. Oddział mieścił się w ogromnym, czyściutkim budynku, trzypiętrowym, który iskrzył się w promieniach słońca... Jednak Abi nagle poczuła ukłucie niepokoju. Co tam się mogło dziać, na litość boską? Może lepiej będzie, jeśli poczekają na zewnątrz. Czowała, że dziś już dość się napatrzyła na krew i bebechy - i to całkiem dosłownie.

Dookoła panował straszny hałas; powietrze przeszywał nieustający, monotony dźwięk syren i ludzkie krzyki. Ambulansy wciąż zatrzymywały się przed wejściem, sanitariusze wybiegali z noszami na kółkach, a za nimi biegły pielęgniarki.

- No dobrze, skarbie, chodź za mną; musimy cię zarejestrować.

Abi odetchnęła głęboko i wzięła się w garść, przygotowując się psychicznie na widok czegoś w rodzaju izby przyjęć.

Ale to, co działo się wewnątrz, bardziej przypominało stację Waterloo w godzinach szczytu niż jakąkolwiek izbę przyjęć: w ogromnym pomieszczeniu za znajdującym się na podwyższeniu kontuarem siedziały trzy kobiety, pokazujący się na wyświetlaczu napis głosił: „Witamy w szpitalu Świętego Marka. Przybliżony czas oczekiwania od chwili przybycia wynosi obecnie pięć godzin piętnaście minut”. Jeszcze nie zdążyła przenieść spojrzenia, gdy czas wydłużył się do pięciu godzin i trzydziestu minut. Ludzie tłoczyli się na krzesłach, cisnęli się do recepcji, niepokoili prośbami o informację każdą pielęgniarkę, która była na tyle nierozważna, by w ogóle się tu pojawić. Dzieci płakały, biegały we wszystkie strony, dorośli krzyczeli na swoje pociechy; w tym rozgardiaszu bezustannie dzwoniły komórki, pomimo surowych pisemnych upomnień, że używanie telefonów jest zakazane. Trzy kobiety w recepcji zachowywały całkowity spokój, odpierając pytania, wydając polecenia - głównie, żeby usiąść i poczekać - wywoływały ludzi wzywanych do lekarzy i wręczały nowo przybyłym formularze zgłoszenia.

Mały kącik w rogu, odgradzony zielonym płótkiem, nad którym widniał napis: Strefa Zabawy, był opróżniony zarówno z dzieci, jak i zabawek. Rozmaite zniszczone zwierzątka z plastiku oraz figurki z *Boba Budowniczego* walały się w różnych miejscach po całym pomieszczeniu.

Biurokracja przejęła władzę - Abi dostała formularz do wypełnienia i musiała opuścić większość pól, ponieważ nie miała pojęcia, kto jest najbliższym krewnym Shauna, oczywiście oprócz matki, ani gdzie chłopiec mieszka, ani jakiego jest wyznania. Wyciągnęła z Shauna tyle informacji, ile się jej udało, ale mimo to okazały się dość niejednorodne i niespójne. Posłusznie usiadła z nim na boku, zabierając go tylko raz - choć bardzo protestował - do damskiej toalety, żeby zrobił siusiu. Potem bawiła się z nim w Wisielca i Kropki, aż w końcu zwinął się na krześle, odrętwiała ze zmęczenia.

Obok nich jakaś bardzo blada kobieta z malutką dziewczynką na kolanach nie spuszczała wzroku z drzwi. Wyglądała tak, jakby lada chwila miała się rozplakać. Abi uśmiechnęła się do niej.

- Wszystko w porządku?

- Raczej nie. Jestem nieprzytomna ze strachu. Moja druga córeczka jest tam gdzieś ze swoim tatusiem. Została ranna i właśnie czekają na ambulans.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Abi. - Czy obrażenia są poważne?

- Według niego nie, ale on nie widziałby nic złego nawet wtedy, gdyby coś walnęło go w oko. Mówi, że tylko uderzyła się w główkę, ale to może być wszystko, prawda? Pojechał, żeby odebrać ją od niani; wyjechali później niż zwykle. Powiedziałam mu, że jeśli raz w życiu by się nie spóźnił, to ona teraz byłaby już w domu i leżała bezpiecznie w swoim łóżeczku, ale nie - on musiał najpierw sprawdzić, co się dzieje u niego w robocie.

- Niestety, tak właśnie bywa z wypadkami. - odpowiedziała Abi. - O wszystkim decyduje ślepy los i przypadek. Jestem pewna, że to już nie potrwa długo. Jest bardzo dużo ambulansów, a droga przejazdu została oczyszczona.

Jakiś mężczyzna z poszarzałą twarzą i ręką na prowizorycznym temblaku siedział naprzeciwko Abi, wpatrując się w przestrzeń; teraz chętnie, rozpoczął pogawędkę, zadowolony, że może znaleźć odrobinę rozrywki.

- Mój samochód uderzył w jedną z lodówek. Cały przód wgniół się jak puszka, mówię pani. Żona już jedzie, żeby mnie zabrać, ale mieszkamy w Manchesterze, więc to kawałek drogi. - Poruszył się i natychmiast skrzywił z bólu. - Dobrze, że dali mi to...

W drzwiach pojawiła się jakaś pielęgniarka.

- Brian Thompson. Mężczyzna wstał.

- No cóż, miło było z panią porozmawiać. To do zobaczenia.

Jego miejsce na krześle niemal natychmiast zostało zajęte przez jakiegoś młodzieńca z zaciętą miną, dźwigającego pokaźnych rozmiarów notatnik. Już wcześniej zaczął kilka osób, jak zauważyła, bezbłędnie wybierając te, które były bardziej skłonne do rozmowy.

- Cześć, jestem Bob Mason z „Daily Sketch”. Czy zechciałaby pani chwilę pogawędzić? Zakładam, że była pani uczestniczką tego wypadku, tak?

Przeszył ją dreszcz oburzenia.

- Owszem - odparła lodowatym tonem. - I mam coś przeciwko temu, żeby pan ze mną gawędził. Niech się pan odpieprzy, dobrze?

- No dobrze, dobrze - powiedział. - Przepraszam, że zawracałem głowę.

Co jakiś czas przelotnie zastanawiała się, co porabia Jonathan i jakim stekiem kłamstw uraczył Laure; mniej więcej tak daleko sięgała jej ciekawość - albo właściwie uczucia, jakimi go darzyła. Teraz wydawało się, że Jonathan należał do całkiem innego okresu jej życia; w pewien niewytłumaczalny sposób ten wypadek na nowo wszystko ukształtował.

Już zastanawiała się nad przeniesieniem się na krzesło w kąciu, gdzie mogłaby uciąć sobie drzemkę - tyle tylko, że to by oznaczało obudzenie Shauna - kiedy jakiś młody mężczyzna, najwyraźniej pogrążony w rozpaczy, wszedł z nieprzytomną miną do środka, klapnął na krzesło obok niej i natychmiast ukrył twarz w dłoniach. Od pasa w górę był całkiem nagi, a jego spodnie przytrzymały czerwone szelki. Biedak wyraźnie miał za sobą ciężkie przeżycia. Ledwie wierzyła własnym oczom, kiedy tamten reporter usiadł po drugiej stronie i od razu zagaił rozmowę.

- Cześć, jestem Bob Mason z „Daily Sketch”. Czy możemy zamienić parę słów? Jestem...

Mężczyzna na moment podniósł głowę i popatrzył na niego.

- Cholernie mi przykro, ale nie możemy - mruknął po chwili.

- Pasożyty - zauważyła, kiedy Mason ruszył w swoją stronę. - Nie powinni wpuszczać ich do środka.

Nie odezwał się ani słowem, tylko wstał i na wciąż lekko chwiejnych nogach podszedł do automatu z wodą, żeby nalać sobie pełną szklankę. Jeszcze nie zdążył jej wypić, gdy w korytarzyku pojawiła się pielęgniarka.

- Pan Fraser? Doktor chce teraz z panem porozmawiać. Fraser prawie wybiegł z poczekalni.

- Ależ to przykra historia - odezwała się jakaś pani w średnim wieku, sadowiąc się na krześle naprzeciwko. - Był tu już znacznie wcześniej. Właśnie jechał jako drużba na ślub. Pan młody jechał obok i został poważnie ranny.

- O Boże - powiedziała Abi. - Ale sprawa...

Była zupełnie oszołomiona; bez wątpienia zły los miał dziś swój wielki dzień.

Linda czuła, że ogarnia ją szalony niepokój. Doszła do wniosku, że Georgii musiało się przytrafić coś niedobrego. Była taka szczęśliwa, taka wdzięczna, że Linda zdołała przesunąć termin przesłuchania... A potem nagle po prostu zniknęła. Linda dwukrotnie starała się do niej dodzwonić, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. To było zupełnie niezwykle, bo Georgia nigdy nie przepuszczała okazji do pogawędki. Poza tym był już późny wieczór. Ale przecież nie musiała się zgłosić wcześniej niż jutro rano, a to było jeszcze mnóstwo czasu... Na litość boską, Lindą daj ludziom trochę swobody, zganiła się w myślach.

Na wszelki wypadek jeszcze raz wybrała numer Georgii, a następnie zaczęła uprzątać papiery na biurku, przygotowując się do wyjścia. Linda nigdy nie zostawiała biurka w nieporządku, podobnie jak nigdy nie wyszaby z domu w pogniecionej spódnicy albo pantoflach ze zdartymi obcasami.

Georgia wciąż nie odbierała telefonu.

Abi na wpół spała, zwiesiwszy głowę na leżącego na jej kolanach Shauna, kiedy nagle obudziło ją czyjeś wołanie.

- Shaun, Shaun! Gdzie jesteś? - powtarzał czyjś głos.

Chłopiec usiadł prosto, przecierając zaspane oczy; sekundę później z krzykiem: „Mamo, mamo!” rzucił się w kierunku młodej, przysadzistej kobiety i wepchnął się w jej nieco oporne ramiona.

Kobiecie towarzyszyła dwójka małych dzieci, oraz inna, znacznie starsza i tak samo tęga pani; Abi domyśliła się, że to pewnie matka kobiety. We dwie z wawym krokiem podeszły do Abi, więc ta od razu zaczęła im opowiadać, jak dzielny okazał się jej synek i że powinna być z niego dumna.

Tamta przez chwilę patrzyła na nią obojętnym wzrokiem, a potem przerwała konwersację, zwracając się wprost do malca.

- Nic ci się nie stało, prawda?

- Wydaje mi się, że z nim wszystko w porządku - wtrąciła Abi. - Miał tylko atak astmy, ale lekarz już go zbadał i dał mu ventolin, więc teraz do pełni szczęścia brakuje mu jedynie pani obecności, że tak powiem.

- Tak, tak, dziękuję. Z kim mogę porozmawiać na jego temat? - Głos kobiety brzmiał wyraźnie wrogo.

- Cóż, nie bardzo wiem - odpowiedziała Abi. - Wszyscy są bardzo zajęci, jak pani widzi, więc pewnie najlepiej podejść do tych pań w recepcji. Chociaż lekarz, który mi go przyprowadził, mówił, że chłopcu nic nie jest...

- To dobrze, ale jednak wolałabym usłyszeć to od kogoś stąd - warknęła w odpowiedzi. - Nawiasem mówiąc, skąd pani się wzięła i co tutaj robi?

- Ja także byłam uczestniczką tego wypadku - wyjaśniła Abi. - Jechałam samochodem z moim przyjacielem i na szczęście wyszliśmy z tego bez szwanku. To właśnie on wyciągnął chłopców z minibusa i zostawił mnie przy nich, a sam poszedł sprawdzić, czy komuś będzie potrzebna pomoc. A kiedy przyjechały ambulan-

se... No cóż, pani synek bardzo prosił, żebym z nim pojechała, więc tak zrobiłam. Już zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, mam rację, Shaun?

Shaun skinął głową i nieśmiało wyciągnął rączkę, żeby ująć jej dłoń.

- Ach, tak! No cóż, w takim razie dziękuję. - Matka Shauna dziękowała Abi z widoczną niechęcią, jednocześnie oglądając ją od stóp do głów. Obcisłe dżinsy i pantofle na wysokich obcasach wyraźnie nie przypadły jej do gustu. - Odczep się wreszcie, Shaun, przestań się wieszać na mnie. Widzisz chyba, że nie mogę oddychać...

Abi ogarnęło oburzenie.

- Dziecko ma za sobą ciężkie przeżycia, jak pani wie. Naprawdę ciężkie... Kierowca minibusu... Cóż, nie przeżył wypadku, a Shaun był tego świadkiem. Wydaje mi się, że mały potrzebuje trochę pociechy, nie sądzi pani?

- Mamo, to było coś strasznego - potwierdził Shaun. - Pan Douglas zginął na miejscu. Cały był zalany krwią i...

- Nie chcę tego słuchać - przerwała mu. - Staraj się już o tym nie myśleć, Shaun, tak będzie najlepiej. No chodź, powiedz pani „do widzenia”. Postaramy się poszukać twojego doktora, żeby powiedział, czy naprawdę wszystko w porządku.

- Do widzenia, Abi - powiedział Shaun posłusznie. - Dziękuję, że się mną zaopiekowałaś. I dziękuję za piosenki.

- Piosenki! - parsknęła kobieta gdy odchodzili. - Coście śpiewali, na litość boską? Idiotyczne pomysły! Chodź wreszcie. Mamusiu, idziemy!

Shaun został zabrany, a Abi zmęczonym krokiem podeszła do kontuaru.

- Czy jest jakaś szansa, żeby zamówić taksówkę do najbliższej stacji? - spytała.

- Proszę próbować - odparła jedna z kobiet. - Ale na pani miejscu nie robiłabym sobie wielkich nadziei.

Wręczyła jej kilka wizytówek z telefonami. Abi wsadziła rękę do torebki w poszukiwaniu telefonu, ale go nie znalazła. Komórka zniknęła.

* * *

- No i jak się pani czuje? - spytała pielęgniarka, uśmiechając się do Mary. - Trochę lepiej?

- Tak, odrobinę. Jestem zmęczona i to najbardziej daje mi się we znaki. Strasznie zmęczona...

- To chyba naturalne, zważywszy na to, przez co pani przeszła. Za moment zostanie pani zabrana na salę operacyjną.

- Na salę operacyjną? Ależ ja nie potrzebuję operacji, nie zostałam przecież ranna.

- Oczywiście, że nie, kochanie. Ale lekarze mają zamiar sprawdzić, jak wygląda twoje serduszko, bo zdaje się, że chwilowo nie pracuje najlepiej. Doktor Philips chce mieć pewność.

- Kto to jest doktor Philips? I czego mianowicie nie jest pewien?

- To jeden z naszych kardiologów. Za chwilę tutaj przyjdzie i wtedy będziesz mogła sama go zapytać.

- Powtarzam raz jeszcze, że naprawdę czuję się całkiem dobrze - protestowała Mary. - I muszę jak najprędzej stąd wyjść. Jest coś, o co bardzo się martwię.

- A czemu się martwisz? Twoja rodzina została powiadomiona. Wszyscy świetnie się mają i już są w drodze...

- Nie, nie chodzi o moją rodzinę! Miałam na lotnisku spotkać się z pewnym starym przyjacielem, i... O Boże! On pewnie wciąż czeka! Czy możemy wysłać mu wiadomość? Bardzo proszę?!

- Jestem pewna, że tak. Czy masz przy sobie numer jego telefonu, na przykład komórki?

- Nie, nie mam - odparła Mary i załża się łzami. - Zgubiłam go podczas katastrofy. Miałam czekać na niego na Heathrow przy biurze Herzta.

- A potem gdzie chciałaś jechać? Do domu?

- Nie, nie, do hotelu. Do Dorchester.

- Cóż, można przecież tam zadzwonić.

- Och, wyświadczylibyście mi wielką przysługę. Czy może...

- Oczywiście, zaraz to zrobię. Teraz postaraj się trochę odpocząć. Niedługo przyjdzie doktor Philips.

Szybko zniknęła za drzwiami, a Mary nieco się odprężyła.

Nieszczęsnym zbiegiem okoliczności, gdy pielęgniarka doszła do dyżurki, z sali operacyjnej właśnie wywieziono nowego pacjenta, a potem z oddziału ratunkowego przysłano następną starszą panią, której życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Sprawa Mary została najpierw odłożona na później, a potem popadła w zapomnienie.

* * *

- Emma, czemu nie jedziesz do domu? Wszyscy zostali już załatwieni.

- Chcę jeszcze sprawdzić, jak się miewa to niemowlę, no wiesz, ten wcześniak, którego matka zaczęła rodzić w samochodzie. Zobaczę, czy wszystko w porządku.

Ostatkiem sił powlokła się na oddział położniczy. Dziecko okazało się krzepkim chłopczykiem, który po urodzeniu ważył dwa kilogramy, i choć po porodzie natychmiast został umieszczony w inkubatorze, to prognozy dotyczące jego zdrowia były wręcz znakomite.

Ojciec dziecka siedział przy łóżku żony, trzymając ją za rękę. Kobieta pogrążona była we śnie.

- Ogromnie pani dziękuję. - Uśmiechnął się na widok Emmy. - Naprawdę pomogła jej pani dostać się tu na czas. Moja wdzięczność nie ma granic.

- To była drobnostka. Żałuję, że nie mogłam zostać z nią dłużej. Robię specjalizację z położnictwa. Albo raczej będę robić. Na razie pracuję na oddziale pomocy doraźnej, a tam dzisiaj naprawdę jest co robić. No cóż, niech pan się nimi dobrze opiekuje.

- Będę...

Na korytarzu ujrzała jakiegoś młodego człowieka i parę w średnim wieku ze zrozpaczonymi minami.

- Dzień dobry - powiedziała. - Czy mogę w czymś pomóc? Zdaje się, że państwo kogoś szukają?

- Naszego syna - odpowiedziała kobieta. - Dziś rano uległ wypadkowi, wie pani...

- Wiem - przerwała jej Emma. - Byłam w zespole ratunkowym.

- O Chryste! Może pani będzie wiedziała, co się z nim dzieje?! Powiedziano nam, że był operowany, ale to było wiele godzin temu, i teraz przysłano nas tutaj... Mój Boże...

Rozpląkała się, więc Emma położyła rękę na jej ramieniu.

- Proszę powiedzieć, jak się nazywa, a zobaczę, co mogę dla państwa zrobić. Dziś wszyscy mamy mnóstwo zajęć.

- Naturalnie, doskonale to rozumiem - odezwał się mężczyzna. - On nazywa się Weston. Toby Weston.

- Dobrze. Proszę posłuchać, tam jest poczekalnia. Mogą państwo wygodnie usiąść i napić się kawy z automatu. Ja przyjdę do was tak szybko, jak mi się uda; możliwe, że już za parę minut.

Siostra oddziałowa wydawała się pełna animuszu, natomiast Emma czuła się już bardzo wyczerpana.

- Dopiero co go do nas przywieźli... Jakoś się trzyma, na razie tyle mogę powiedzieć. Nie ma obrażeń klatki piersiowej i kręgi szyjne też są w porządku... Wszystko wyszło w tomografii. Ma lekkie wstrząśnienie mózgu, ale noga jest w paskudnym stanie. Największym zagrożeniem jest teraz jakaś infekcja, zresztą nie muszę tego pani mówić. Na razie dostał kroplówkę z morfiny i prawie nie ma z nim kontaktu. Biedny chłopak. Proszę powiedzieć rodzicom, że jego stan jest poważny, ale stabilny; taka wiadomość zawsze brzmi najlepiej. Nie podsycza zbytnio nadziei, ale i nie przeraża.

- Dziękuję, sostro. Teraz jadę do domu, ale przedtem powtórzę państwu Weston to, co usłyszałam od pani. Czy mogą go zobaczyć? Sprawiają wrażenie dość rozsądnych ludzi.

- Może za godzinę albo coś koło tego, i tylko przez parę minut.

Kiedy Emma wróciła, młody mężczyzna stał w przejściu prowadzącym do poczekalni. Ubrany był dość oryginalnie, w workowate spodnie w pasy, opuszczone szelki i T-shirt. Był blady jak prześcieradło i sprawiał wrażenie mocno umęczonego.

- Witam - odezwał się do niej. - I co... Jakie wieści?

- Cóż... Jego stan jest stabilny. Poważny, ale stabilny. A jeśli stabilny, to znaczy, że organizm daje sobie radę. Jednak na razie jest dość cierpiący. Co się wydarzyło? Był pan tam, na miejscu?

- Byłem z nim w samochodzie. Właśnie jechaliśmy na jego wesele.

- Ach, to był pan, tak? Co za okropna historia. Bardzo mi przykro.

- Tak. Może lepiej pójdę do jego rodziców. Są zrozpaczeni.

- Ja sama mogę pójść i powtórzyć to, co panu powiedziałam - zaproponowała. - Ludzie zawsze wolą słyszeć takie rzeczy bezpośrednio od lekarza.

Weszła do środka, przywołując na usta profesjonalny uśmiech.

- Dzień dobry raz jeszcze. No cóż, wieści nie są złe. Państwa syn jest poważnie ranny, stracił mnóstwo krwi i obrażenia nogi są dość rozległe, ale jego stan jest stabilny.

- Dzięki Bogu - zawołał starszy mężczyzna i głośno wydmuchał nos. - Widzisz sama, kochanie? A co ci mówiłem?

- Czy możemy go zobaczyć? - spytała pani Weston.

- Na razie nie. Siostra oddziałowa powiedziała mi, że lepiej, żebyście poczekali jeszcze godzinę, a nawet trochę dłużej. Potem możecie do niego zajrzeć, ale tylko na parę minut. Zresztą i tak do tego czasu on się pewnie nie wybudzi. Och, powinnam was ostrzec, że chirurdzy złożyli mu nogę za pomocą zewnętrznej szyny; to taki rodzaj prętu, przyczepiony do nogi. Może wyglądać trochę zatrważająco, ale proszę się nie denerwować.

- To nam nie przeszkadza - odparła pani Weston, ocierając oczy. - Nic nam nie przeszkadza, chcemy jedynie go zobaczyć. Bardzo pani dziękuję, pani...

- Doktor King - odparła Emma z uśmiechem.

- Wygląda pani dość młodo jak na lekarza - zauważył pan Weston.

Emma posłała mu stanowczy uśmiech; ten komentarz był jednym z wariantów, jakie często zdarzało się jej słyszeć. Zwykle pochodziły od starszych wiekiem mężczyzn.

- No cóż, chyba tak - odparła. - W każdym razie, ja już wychodzę do domu, bo do jutra mam wolne. Będę tu znowu w niedzielę i wtedy sprawdzę, jak się miewa państwa syn. Wydaje mi się jednak, że wszystko powinno być w porządku.

- Bardzo pani dziękujemy - odezwała się pani Weston.

- Chyba odprowadzę panią na dół - oświadczył nagle ten młody. - Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Ja... Ja potrzebuję trochę świeżego powietrza. Niedługo wracam - dodał, zwracając się do Westonów.

- Nie musisz się spieszyć, Barney. Nigdzie się nie wybieramy.

- Faktycznie chodziło mi o fajkę - oznajmił, kiedy razem z Emmą znaleźli się w windzie. - Przypuszczam, że uważa to pani za okropny nałóg.

- Wcale nie. Sama popalam od czasu do czasu. Oczywiście, kiedy jestem poza szpitalem.

- Tak? - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Cóż... Mam zamiar rzucić palenie. Już wkrótce.

- Wspaniale. Sądzę jednak, że akurat teraz papieros bardzo się panu przyda. Więc jak to się stało? A może woli pan o tym nie mówić?

- Właściwie... Właściwie trudno mi coś powiedzieć - odparł. - Ta ciężarówka skręciła nagle tuż przed nami. Rozwaliła barierę i przedarła się na drugą stronę. A my... Chyba strzeliła nam opona. Tak mi się zdaje. Próbowaliśmy się zatrzymać i wtedy... Od tamtego momentu wszystko jest nieco zamazane. Skończyło się na tym, że władowaliśmy się w tył innego auta. Nie wiem, czemu tego także nie pamiętam... Psiakrew, przepraszam! - Głos mu zadrżał i szybko przesunął dłoń po oczach. - To było cholernie przerażające, to całe zdarzenie.

Wreszcie dotarli na poziom parteru. Podeszli do głównego wyjścia; chłopak opadł całym ciężarem o szklane drzwi i parę razy odetchnął pełną piersią.

- Może niech pan lepiej usiądzie. Widać, że jest pan zupełnie rozbity.

- Tak. Czuję się... Właściwie trochę mi niedobrze. Bardzo przepraszam...

Nagle popędził w stronę najbliższych krzaków, zniknął na chwilę, a kiedy wrócił, miał wyraźnie zawstydzoną minę.

- Strasznie panią przepraszam - powiedział, opadając całym ciężarem na schodek, tuż obok niej. - Nie jestem w najlepszej formie.

- Niech pan przestanie się wygłupiać. Proszę siedzieć, przyniosę panu wody.

Kiedy wróciła, siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Dziękuję. Bardzo pani uprzejma.

- Wszystko w ramach obsługi pacjenta.

- Właściwie jaką ma pani specjalność?

- Mam zamiar zostać chirurgiem. Chirurgiem położnikiem.

- Hmm, to brzmi niezwykle frapująco. Czy widziała pani Tobesa, kiedy go przywieźli?

- Tylko w przelocie. Mieliśmy koszmarne dzień.

- Założę się, że tak. Wyciągnął do niej rękę.

- Barney Fraser.

- Cześć, Barney. Miałeś właśnie zostać drużbą, tak?

- Tak. No cóż...

- Jak tam narzeczona? Jak daje sobie radę?

- Pewnie kiepsko, jak sędzę - odparł obojętnym tonem. - Najwyraźniej była zbyt wstrząśnięta, żeby tu przyjechać.

- Rozumiem... Ale teraz już pójdę. Jestem dość... zmęczona.

- Jasne, że tak. Bardzo dziękuję, doktor King.

- Mów mi Emma. No to na razie, Barney. Powodzenia. I... Wiem, że to nie moja sprawa, ale powinieneś trochę odpuścić przez parę dni. Przeżyłeś okropny szok i nie spodziewaj się, że będziesz się czuł znakomicie tylko dlatego, że to się skończyło.

Jadąc autem ze szpitala do domu, rozmyślała o Barneyu. Nagle przyszło jej do głowy, że jest dość przystojnym facetem; że podobają jej się jego ostrzyżone na jeża brązowe włosy, orzechowe oczy z ciemniejszymi refleksami i wspaniały uśmiech. Ciekawe, czy ma dziewczynę, pomyślała, i zaraz w myślach wymierzyła sobie klapsa. Emma, ty chyba jesteś nawiedzona. Masz przecież fajnego chłopaka, więc daj sobie spokój.

Linda właśnie miała położyć się do łóżka, ale uznała, że nie może dłużej lekceważyć myśli, że Georgia brała udział w katastrofie, o której trąbiły wszystkie wieczorne wydania wiadomości.

Z pewnymi oporami i ogromnym przerażeniem zdecydowała się zadzwonić do domu Linleyów, przygotowując się w duchu na najgorsze.

- Bea, bardzo przepraszam, że dzwonię tak późno. Tu Linda Di Marcello. Chciałam się tylko dowiedzieć... Czy macie jakieś wieści od Georgii?

- Cześć, Linda. Tak, Georgia bezpiecznie dotarła do domu. Była trochę zmęczona, i oczywiście bardzo rozczarowana, że nie dostała tej roli. Powiedziałam jej, że zawsze można spróbować w innym czasie i jestem pewna, że ty powiesz jej to samo. Teraz śpi, ale kiedy się obudzi, powiem jej, że dzwoniłaś. To bardzo uprzejmie z twojej strony i ogromnie ci dziękuję.

Georgia leżała pod kołdrą z głową przykrytą poduszką, żeby stłumić odgłosy łkania. Zrobiła straszną rzecz, naprawdę straszną. Czy kiedykolwiek uda się jej naprawić ten błąd?

CZEŚĆ TRZECIA

POTEM

ROZDZIAŁ 14

- Dokąd się wybierasz tym razem?

Laura starała się ukryć rozdrażnienie, ale przychodziło jej to z trudem. Jonathan ledwie się do niej odzywał, odkąd wrócił do domu wczoraj wieczorem, parę minut po dziewiątej.

Wszedł do środka blady, z podkrążonymi ze zmęczenia oczyma, rzucił podróżną torbę na podłogę w holu i przez chwilę stał bez ruchu, jakby nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje.

- Cześć - mruknął niewyraźnie. - Przepraszam, że jestem tak późno.

- Nie przepraszaj, Jonathanie. Wejdz, usiądź i opowiedz mi o wszystkim. Co ci podać: herbatę, szkocką, wodę?...

- Poproszę wodę. Dziękuję, kochanie. Ale czy mogłabyś ją przynieść do mojego gabinetu? Muszę sprawdzić skrzynkę mailową.

- Co takiego? Teraz? - Była tak zdumiona, że prawie zgłupiała.

- Tak, teraz - odparł. - Wybacz, ale to pilne. Nie było mnie przez cały dzień i nie wiem, co się dzieje w klinice... Ani w szpitalu.

- Ale ja chciałabym się wreszcie dowiedzieć, co tam zaszło!

- Lauro, ja naprawdę nie chcę o tym mówić. W każdym razie nie teraz. Jeszcze się z tym nie uporałem.

Jego głos drżał leciutko; Laura pomyślała, że jej mąż ma za sobą dzień pełen makabrycznych przeżyć, które niewiele osób potrafiłoby sobie nawet wyobrazić, i że w związku z tym musi zdobyć się na cierpliwość.

Wzięła butelkę wody z lodówki, a kiedy weszła do gabinetu, Jonathan siedział za biurkiem, patrząc okno nieobecnym spojrzeniem. Słońce właśnie zachodziło; wielka, czerwona kula odcinała się od przejrzystości turkusowego nieba.

- Jaki piękny zachód - powiedziała, stawiając szklankę na biurku.

- Co? Ach tak. Dziękuję, kochanie.

- Powiedziałam, że piękny zachód.

- Tak, bardzo piękny. Niedługo powinienem skończyć, Lauro. Potem przyjdę do ciebie, zgoda?

- Zgoda. Będę w kuchni. Zaczekam na ciebie z kolacją.

- Skarbie, nie chcę kolacji. Prawdę mówiąc, wciąż niezbyt dobrze się czuję.

- Ale przecież nie jadłeś od tak dawna, a może jadłeś? Udało ci się zjeść coś w tamtym szpitalu?

- W jakim szpitalu?

- W tym, do którego przywożono ofiary wypadku.

- Na litość boską, dlaczego sądzisz, że tam pojechałem?

- No... Po prostu pomyślałam, że mogłeś pojechać. Przecież pomagałeś tym... ofiarom katastrofy.

- Chryste, wcale nie! Mnóstwo ludzi się tym zajmowało, oczywiście kiedy już udało im się dojechać na miejsce.

- Rozumiem... Ale w takim razie... Co robiłeś przez cały ten czas?

- Jaki czas?

- Jonathan, jest po dziewiątej wieczorem! Zadzwoń mi o piątej, może w pół do szóstej, mówiąc, że nadjeżdżają ambulanse. Czy mam rozumieć, że zostałeś tam, żeby pomagać? A może rozmawiałeś z policją albo jeszcze coś innego?

- Lauro, co to ma być, przesłuchanie przed inkwizycją? Udało mi się wyjechać stamtąd mniej więcej o siódmej. Musieli przecież sprawdzić mój samochód...

- Twój samochód? Ale dlaczego?

- Och, żeby mieć pewność, że jest sprawny, że działają hamulce i tak dalej. Najwidoczniej takie mają procedury, jeśli ktoś bierze udział w wypadku drogowym.

- Myślałam, że ty nie brałeś.

- Na litość boską, Lauro, przecież byłem tam, na miejscu! A potem zrobił się straszny korek. Poza tym podwoziłem pewnego gościa. Młody chłopak, także tam utknął, a musiał koniecznie dostać się do Londynu i prawie płakał, że straci jakieś ważne spotkanie. Podrzuciłem go na Cromwell Road. Tam, na autostradzie, było mnóstwo takich ludzi, których życie nagle wywróciło się do góry nogami. Dzięki za wodę. Zobaczymy się później.

O dziesiątej trzydzięci Jonathan wciąż jeszcze tkwił w swoim gabinecie. Zapukała nerwowo i wsadziła tam głowę; siedział przy biurku wpatrzony w ekran laptopa.

- Czy czegoś ci trzeba? Chciałabym niedługo iść do łóżka.

- Dobrze, idź. Ja przyjdę później.

- Chcę być z tobą. Wolę poczekać.

- A ja bym wolał, żebyś nie czekała; po prostu idź spać. Ja muszę jeszcze trochę posiedzieć.

Ostatecznie położyła się o jedenastej i przez długi czas leżała z otwartymi oczami, myśląc że lada chwila przyjdzie i powie: „Przepraszam, kochanie, przepraszam, bardzo przepraszam”, jak miał zwyczaj robić, kiedy zdarzyło mu się zmuszać ją do czekania. Jednak wybiła północ, a on nie przychodził, więc w końcu zmorzył ją sen.

A teraz była siódma rano i Laura patrzyła, jak Jonathan wkłada strój do jazdy na rowerze.

- Idę trochę pojeździć - odparł w odpowiedzi na jej pytanie. - Muszę oczyścić głowę. Potem mam cykl porannych wizyt w klinice. Zobaczymy się, jak skończę.

- A śniadanie?

- Wciąż nie czuję się głodny.

- Jonathanie, przecież musisz coś zjeść.

- Nie jestem jednym z naszych dzieci, Lauro. Sam decyduję o tym, kiedy potrzeba mi jedzenia.

- Proszę bardzo - zawołała, po raz pierwszy pozwalając, by irytacja zwyciężyła. - Tylko nie zapomnij, że jesteśmy zaproszeni na lunch do Edwardsów.

- Nie sędzę, żebym mógł dzisiaj wytrzymać na jakimś towarzyskim spotkaniu przy grillu - odpowiedział. - Czuję się zupełnie rozbity, mam zajęcia w klinice, a w dodatku znów wszystko wskazuje, że będzie upał jak cholera.

- Cóż, myślałam, że jakoś dasz radę to znieść - parsknęła. - Nie zapominaj, że dziś są urodziny Sereny. Ma przyjść kilkoro jej znajomych i...

- Jeśli przyjdą tam inni, to chyba nie będzie miało większego znaczenia, gdy ja się nie pojawię, co?

- Owszem, będzie miało znaczenie. Serena jest moją najbliższą przyjaciółką i na pewno poczuje się urażona. Idź wreszcie na ten cholerny rower! Zobaczymy się później.

- Dobrze - powiedział i już go nie było.

- Tata jest jakiś dziwny - odezwał się Charlie.

Zszedł na dół po schodach i słyszał większą część tej rozmowy.

- No, może trochę.

Zeszła z Charliem do kuchni i zabrała się do robienia jajecznicy, którą uwielbiał; czuła się zmieszana i zarazem mocno zaniepokojona. Musi porozmawiać z Jonathanem, skłonić go do opowiedzenia o wszystkim, co się wydarzyło; a kiedy już będzie z nim rozmawiała, koniecznie musi się dowiedzieć, w jaki sposób znalazł się na M4 zamiast na M40. Próbowwała zdusić rodzące się w głębi duszy podejrzenie, że on dlatego tak starannie unikał pozostania z nią sam na sam, żeby o niczym nie rozmawiać.

Russell zbudził się o nieludzko wczesnej godzinie, obolały na całym ciele. Bolało go nie tylko serce, co odczuwał jako fizyczny dyskomfort, lecz także głowa, brzuch, ręce i nogi, zupełnie, jakby dostał od kogoś tęgie lanie.

Wstał i podszedł do okna, żeby odsunąć zasłony. Zapowiadał się kolejny piękny dzień; parę minut przed szóstą słońce przeświecało przez korony drzew, a na błękitnym niebie wisiała leciutka mgielka, zwiastun dobrej pogody. Russell westchnął ciężko; spodziewał się, że ujrzy deszcz, szarość, ziąb - aurę zawiedzionej nadziei.

Co przydarzyło się Mary? Jak mogła tak strasznie go rozczarować? Czemu nie postarała się w jakiś sposób wysłać mu wiadomości? Powiedział jej przecież, gdzie zarezerwował dla nich pobyt - w Dorchester, w amerykańskim domu dla tych, co są z dala od swojego miejsca zamieszkania. Nawet jeśli nie zdołała wysłać mu wiadomości na lotnisko, to z pewnością mogła zadzwonić pod podany wcześniej adres.

Bez tchu dopadł do recepcji, przekonany, że coś opóźniło przyjazd Mary, w związku z czym przyjechała prosto tutaj; po drodze rozglądał się po holu błędnym wzrokiem, spodziewając się, że zaraz ją ujrzy - niedużą, schludną i ślicznie uśmiechniętą - ale powiedziano mu, że niestety, bardzo im przykro, ale nikt nie zostawił żadnej wiadomości ani nie pytał o niego. Wtedy poszedł prosto do swojego pokoju, zamówił jedno martini, potem drugie, a później zasiadł na krześle, wpatrując się w telefon i po chwili zapłakał rzewnymi łzami. Ostatni raz zdarzyło mu się tak płakać, gdy był młodym żołnierzem i pod koniec wojny opuszczał Anglię; zamknął się wówczas w ubikacji pociągu wojskowego, żeby pomyśleć o Mary i zastanowić się, jak bez niej zdoła przetrwać następne osiemdziesiąt lat albo coś koło tego.

Potem powoli, lecz nieuchronnie zaczął się w nim budzić gniew...

Russell był bardzo miłym człowiekiem, uprzejmym, troskliwym i uważającym, lecz należał także do ludzi bogatych i odnoszących w życiu sukcesy, i jak każdy z nich był nieco rozpieszczony. Przez całe życie, od

najwcześniejszego dzieciństwa, miał wszystko, czego zapragnął - zabawki, wycieczki, przyjemności... A gdy podrosł, także dziewczęta.

Utrata Mary była najgorszym i największym szokiem, z jakim dotąd musiał się zmierzyć, lecz gdy już zaczął odzyskiwać równowagę i z powrotem znalazł się w świecie, który dobrze znał - świecie pieniądza i materialnego dostatku - szybko zapomniał o wszystkim, czego mógł się od niej nauczyć. Pracował ciężko, to pewne, lecz w zamian otrzymywał godziwe wynagrodzenie. Pędził komfortowe życie - zarówno pierwsza, jak i druga żona prowadziły mu dom i robiły wszystko, co im powiedziano, dzieci wychowywały się w podziwie dla ojca, a reputacja jednego z najbardziej szczodrych filantropów Nowego Jorku zapewniała mu nieustanną porcję zachwyty. Teraz, gdy po dostatnim życiu znalazł się w przedziale dla seniorów, jak sam to nazywał, rzadko bywał zawiedziony, nigdy go nie krytykowano, a każde jego żądanie natychmiast było zaspokojone.

Obecna sytuacja była więc dla niego wyjątkowo trudna. Cokolwiek stało się Mary, to był dwudziesty pierwszy wiek, na litość boską. Nawet jeśli poczuła się niedysponowana, mogła zadzwonić do hotelu albo w inny sposób przekazać mu parę słów. Mógł to zrobić kto inny w jej imieniu. Swoim zachowaniem Mary dowiodła zarówno braku szacunku, jak i niedostatku elementarnej grzeczności. On zadał sobie tak wiele trudu, żeby wszystko przygotować pod kątem jej wygody; z góry uprzedzał każdą potrzebę, zawczasu odpowiadał na każde pytanie. Podał Mary wszystkie dostępne telefony: numer do hotelu, numer swojej komórki...

Smutek nieuchronnie zamienił się w użalanie nad sobą, a potem w oburzenie. Nie używając zbyt wielkich słów, można uznać, że Mary wystawiła go do wiatru.

W dodatku to cholerne słońce ma czelność świecić tak jasno...

- Pani Connell, czy pani dobrze się czuje?

Maeve z trudem usiadła; nie wiedząc kiedy, zasnęła na sofie, która stała na korytarzu oddziału intensywnej terapii.

Jakiś lekarz spoglądał na nią z góry; ujrzała burzę ciemnych włosów i oczy, które patrzyły na nią uprzejmie. Wyglądał na mniej więcej czterdzieści pięć lat, może nieco więcej; to ją uspokoiło. Maeve instynktownie czuła, że lekarze powinni być starzy.

Albo przynajmniej w mocno średnim wieku.

- Tak, całkiem dobrze - odparła. - Bardzo panu dziękuję.

- Jestem doktor Pritchard; wczoraj wieczorem przyjmowałem pani męża. Pracuję na oddziale pomocy doraźnej. Teraz zajmują się nim specjaliści i chirurdzy, ale chciałem przyjść i sprawdzić, jak się miewa, przywitać się... No i zobaczyć, jak pani się czuje.

- Wszystko jedno, jak ja się czuję. Proszę mi powiedzieć, co z Patrickiem?

Doktor Prichard nagle zrobił się bardzo milczący. A więc stało się, pomyślała. Patrick umarł, odszedł na zawsze, a oni wysłali tego człowieka o miłym spojrzeniu, żeby mi to zakomunikował. Przypuszczalnie odbył specjalne przeszkolenie, może wybrano go ze względu na te oczy...

- Mój mąż umarł, prawda? - spytała cicho.

- Nie, żyje - usłyszała w odpowiedzi. - To zdumiewające, ale to prawda, pani Connell. Musi mieć bardzo silny organizm.

- Tak, tak sędzę. Właściwie sama nie wiem, dlaczego. Przez całe życie tylko siedział w tej przeklętej kabinie...

- Niestety, obawiam się, że jego stan nadal jest groźny. Odniósł poważne obrażenia brzucha i klatki piersiowej. Ma pękniętą śledzionę, musieliśmy usunąć jedną z nerek i część jelita. Oczywiście żadne z tych obrażeń nie musi być śmiertelne. Pani mąż stracił też sporo krwi, lecz, moim zdaniem, z łatwością sobie z tym poradzi. Poza tym doszło do uszkodzenia serca - stłuczenia, jak to nazywamy. Rzecz w tym, że krew gromadzi się w worku dookoła mięśnia sercowego, ale zawsze możemy wkłuć tam igłę i wyciągnąć ją na zewnątrz.

- Czy... Czy on jest przytomny?

- Pół na pół. Prawdę mówiąc, wczoraj wieczorem zdecydowaliśmy się podać mu środki usypiające, żeby mieć pewność, że jego stan będzie stabilny. Ma rurkę w tchawicy - to znaczy w gardle - i oddycha dzięki aparaturze. Właściwie to ona oddycha za niego.

- To wszystko brzmi tak strasznie - jęknęła.

- Wiem. Ale mamy nadzieję, że niedługo będziemy mogli usunąć tę rurkę...

- Co to znaczy?

- Przestaniemy podawać leki znieczulające i odłączymy go od aparatu oddechowego. Wyciągniemy rurkę. Wtedy zacznie oddychać samodzielnie i obudzi się. Wtedy dostanie środki przeciwbólowe. Miejmy nadzieję, że niebawem będzie na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

- Kiedy będę mogła go zobaczyć?

- Och, całkiem niedługo. Tylko proszę się przygotować na wstrząs, pani Connell. Jego twarz i ręce są pokaleczone, głowa opuchnięta i trochę zniekształcona, poza tym zobaczy pani mnóstwo rurek. Obawiam się, że to nie jest przyjemny widok.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała Maeve i naprawdę tak myślała.

Ludzie powiadają, że państwowa służba zdrowia rozłazi się w szwach, ale z tego, co dotąd zdołała zauważyć, wszystko działało wręcz cudownie. Żeby lekarz, który na pewno ma mnóstwo zajęć, znalazł czas na rozmowę z kimś takim jak ona...

Tak naprawdę tego dnia czas nie stanowił wielkiego problemu dla Alexa Pritcharda. Powinien siedzieć w domu, bo oficjalnie nie miał dyżuru, ale pomimo to przyjechał; częściowo dlatego, by sprawdzić, w jakim stanie znajdują się osoby najbardziej poszkodowane w katastrofie, a częściowo dlatego, żeby wynieść się z domu - z uroczego, wielkiego domu w stylu króla Edwarda, w którym on i Samantha mieszkali przez piętnaście lat i gdzie wychowali dwoje dzieci. Na myśl, że wkrótce zostanie sprzedany, czuł smutek i oburzenie, zwłaszcza że następstwem tej transakcji będzie zakup nowego, zdecydowanie zbyt obszernego domu - przynajmniej w jego opinii - dla Samanthy i dzieciaków, gdy tymczasem on będzie musiał się zadowolić jakimś mało atrakcyjnym mieszkankiem. Niebawem miał też utracić dzieci, które bardzo kochał, i widywać je jedynie w co drugi weekend, a także znaczną część swoich dochodów. Będzie samotny, a wszystko po to, żeby Samantha mogła prowadzić życie zgodnie ze swoimi upodobaniami i związać się z nowym partnerem. Zgoda, nie był najwspanialszym mężem pod słońcem, miewał napady złego humoru i nie należał do łatwych we współżyciu, no i oczywiście rzadko bywał w domu. Owszem, Sam musiała samodzielnie wykonywać lwią część prac domo-

wych, sama troszczyć się o wychowanie dzieci, chodzić na wieczorne spotkania rodziców, zabawy urodzinowe i tak dalej... Jednak czy naprawdę zasłużył sobie na to... wygnanie?

Tak, przydarzył mu się romans, aczkolwiek bardzo krótki, który bar» dziej narodził się z chęci zemsty niż z pożądania. Jak to szczęśliwie się złożyło dla Sam, że wplątał się w coś takiego, bo jej adwokat mógł dodać i ten grzech do grzechu zaniedbania i uchylania się od obowiązków, co ostatecznie kosztowało Alexa utratę rodziny.

Zresztą to małżeństwo - z uroczą Sam, o dziesięć lat od niego młodszą, o wybujałych towarzyskich ambicjach i potrzebie ciągłego uwielbienia - od początku skazane było na niepowodzenie. Teraz widział to wyraźnie. Nigdy nie rozumiała tej całej zabawy z medycyną, wymagań tego zawodu, lojalności wobec pacjentów, i nigdy nawet nie starała się zrozumieć.

Czemu on bez przerwy wraca tak późno do domu, dlaczego nagły kryzys na oddziale jest ważniejszy od wieczornego przyjęcia, z jakiej racji ona dla szpitala ma rezygnować ze swojego czasu i przyjemności? No dobrze, ale w takim razie czemu była tak szczęśliwa, prowadząc życie, jakie zapewniała jej jego wysoka pensja?

Dał się jej omamić; sądził, że żeni się z księżniczką, gdy tymczasem za piękną twarzą i w ponętym ciele kryła się samolubna, zła siostra.

No cóż, odebrał swoją lekcję, i to bardzo bolesną; jeśli kiedykolwiek zdecyduje się na następny związek, będzie to ktoś, kto rozumie jego zawód i styl życia, jakiego ten zawód wymaga, kto nie będzie zainteresowany jedynie własnymi sprawami i zaspokajaniem własnych ambicji. Tyle tylko, że on już nigdy nie spróbuje się związać; nigdy nie będzie miał na to ochoty.

Odchodząc, jeszcze raz rzucił przez ramię spojrzenie na panią Connell, i zastanowił się, w jaki sposób, na litość boską, ta kobieta da sobie radę z tym, co ją czeka. Nie powiedział jej przecież o możliwym i całkiem poważnym uszkodzeniu rdzenia kręgowego u jej męża. Było więcej niż prawdopodobne, że ten człowiek będzie sparalizowany, stanie się bezradnym kaleką, przykutym do wózka... W jaki sposób ona poradzi sobie z opieką nad nim, mając w domu troje małych dzieci?

Dianne Thompson spojrzała ponad stołem na swojego męża.

- Wygląda na to, Rick, że wczoraj była tam niezła jatka. To znaczy na M4. Chyba widziałeś coś z tego?

- Nie. A powinienem?

- Przecież byłeś na tej przeklętej drodze, co? W dodatku mniej więcej w tym samym czasie. Podobno to stało się około czwartej.

- Oczywiście, że mnie wtedy tam nie było! O czwartej dostarczałem towar tej cholерnej snobce, która mieszka w Marlow.

- Co za szczęście... Mój Boże, co by było, gdybyś jechał do niej trochę później? Nie mogę nawet o tym myśleć.

- Ale nie jechałem.

- Mówią, że ciężarówka przebiła się przez barierę pomiędzy jezdniami i że kierowca leży na intensywnej terapii, nadal nieprzytomny. To znaczy, był nieprzytomny zeszłej nocy. Przynajmniej trzy osoby nie żyją, poza tym jest mnóstwo poważnie rannych. Wystarczy, żeby człowiek zaczął myśleć, że już nigdy w życiu nie usiądzie za kółkiem.

- Niektórzy z nas muszą siadać.

- Wiem, skarbie, wiem... To także dlatego twoja praca jest taka stresująca, prawda? Czy kiedy jechałeś, na drodze był duży ruch?

- Nie, niespecjalnie. Och, sam już nie wiem! Dianne, czy możemy wreszcie przestać o tym gadać i znaleźć sobie bardziej przyjemny temat?

- Tamaro, kochanie, czy jesteś gotowa? Tata czeka w samochodzie przed domem!

- Tak, już idę, mamusiu! Jeszcze tylko poszukam pantofli!

Musiała dobrać pasujące do całości buty, to wydawało się strasznie istotne. W ogóle noszenie odpowiednio dobranych ciuchów było bardzo istotne. Toby prawdopodobnie będzie nieco przygnębiony, więc z pewnością jej widok sprawi mu przyjemność, naturalnie, jeśli będzie wyglądała naprawdę wspaniale. Mnóstwo dziewcząt nie zawracałoby sobie tym głowy, zwłaszcza jeśli zostały okradzione z dnia własnych zaślubin, ale Tamara nie należała do osób, które przejmują się takimi drobiazgami. Zawsze można wyznaczyć następny termin, może zaczną go ustalać jeszcze tego poranka. Na wszelki wypadek weźmie ze sobą kalendarz, żeby przynajmniej mogli wybrać datę.

Czuła się niezwykle dumna z siebie, że okazała tyle hartu. Bez trudu potrafiła wymienić pół tuzina przyjaciółek, które po takim przeżyciu byłyby kompletnie załamane. Oczywiście, wczoraj ona także była strasznie rozstrojona, więc wyjazd do szpitala absolutnie nie wchodził w grę; wyglądała wręcz odrażająco z opuchniętymi jak u świnki oczyma i plamami na twarzy, jakie pojawiają się po długim płaczu. Poza tym czuła się kompletnie i całkowicie wyczerpana.

Ale dzisiaj... Cóż, dzisiejszy dzień był całkiem inny. Czuła się pokrzepiona i pełna sił, by stawić czoło wszystkim przeciwnościom.

Wreszcie zdecydowała się na parę białych pantofelków z lakierowanej skóry, na wysokim obcasie, które znakomicie pasowały do czerwonej sukni, jaką zdecydowała się włożyć. Toby zawsze powtarzał, że ta sukienka jest jedną z jego ulubionych i że ona wygląda w niej jak jego osobista dama w czerwieni. Ściskając pantofle w rękę, pobiegła boso na dół, żeby tam je włożyć.

- To było naprawdę okropne - mówiła później, szlochając na ramieniu ojca w stojącym na parkingu samochodzie. - Wiesz, myślałam, że Toby będzie siedział na łóżku w piżamie, a ja podam mu truskawki i całą resztę. Tymczasem on leżał błądy i wynędzniały, a dookoła było mnóstwo kroplówek i innych takich rzeczy. Zobaczyłam, że w jednej jest krew, a co było w innych, to jeden Bóg raczy wiedzieć. Poza tym Toby miał na nodze taki potworny drut, z czymś w rodzaju wielkich szpilek, które przebijały skórę. Jak to zobaczyłam, to naprawdę zrobiło mi się niedobrze... Potem powoli odwrócił głowę i wymówił moje imię, choć właściwie ledwie je wykrztusił, i próbował się uśmiechnąć, tatusiu, ale nie mógł, więc znów zamknął oczy i starał się wyciągnąć do mnie rękę, lecz opadła bezwładnie na pościel, zanim zdołał mnie dotknąć. To było takie strasznie, że zaraz się rozplakałam. Wtedy wtargnęła tam jakaś ohydna pielęgniarka i powiedziała, żebym była uprzejma poczekać na zewnątrz, bo zaraz przyjdzie lekarz go zbadać, więc spytałam, czy nie mogłabym zostać, ale ona powiedziała, że nie, że jej zdaniem to nie jest dobry pomysł... Tak właśnie obchodzą się z nami w Narodowym Funduszu Zdrowia, wszystkich traktują jak idiotów. Musiałam więc przez całe wieki czekać na tym korytarzu, a kiedy doktor wreszcie wyszedł, od razu go złapałam, żeby spytać, jak Toby się czuje, a on odpowiedział, że

niezbyt dobrze, ale że za parę godzin zbada go jeszcze raz i wtedy może będzie miał mi coś lepszego do zakomunikowania. Zdaje się, że myślał, że ja mogę tak po prostu stać tam i czekać! Więc wróciłam do Toby'ego, ale on był chyba nieprzytomny, i chwilę potem znów weszła ta pielęgniarka, żeby powiedzieć, że bardzo jej przykro, ale na razie wystarczy i że jeśli mam ochotę, to mogę wrócić tu po południu. Jestem taka... taka rozczarowana i zrozpaczona, tatusiu, i tak bardzo się martwię. Najwyraźniej Toby jest w znacznie gorszym stanie, niż wszyscy mówili wczoraj wieczorem.

- Kochanie, postaraj się za bardzo nie przejmować. - Gerald Richmond podał córce chusteczkę do nosa.

- No dalej, wytrzyj nos. Jak dotąd byłeś taka dzielna, więc wytrzymaj odrobinę dłużej. Może pójdziemy gdzieś na dobry lunch, a po południu przyjedziemy tu jeszcze raz? Co o tym sądzisz?

- Tak... Nie. Och, sama nie wiem. Uczciwie rzecz biorąc, tatusiu, gdybyś zobaczył, w jakim on jest stanie, to zastanawiałbyś się, czy jest sens, żebym tu przychodziła. To było takie... przerażające. Wydawało się, że Toby ledwo tam jest.

- No tak... Ale jeśli pielęgniarka powiedziała ci, żebyś wróciła, a lekarz ma zamiar go zbadać, to wydaje mi się, że warto. Pójdę z tobą, jeśli chcesz. Tylko po to, żeby potrzymać cię za rękę, skoro Toby nie może tego zrobić. - Uśmiechnął się do niej. - A teraz wytrzyj oczka, dziecinko; pójdziemy gdzieś na doskonały lunch, później wrócimy tutaj i zobaczymy, jak Toby się miewa. Jestem pewien, że szybko się z tego wyliże. Ostatecznie jest młody i w doskonałej kondycji.

- Tak, już w porządku, tatusiu. Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że masz rację. Spójrz tylko na mnie! - zawołała, śmiejąc się na widok swojego odbicia w lusterku. - Cały tusz mi spłynął, a nie wzięłam ze sobą żadnych kosmetyków! Może po lunchu pójdziemy do Marlborough, żeby coś kupić?

- Oczywiście, że możemy pójść. Jesteś bardzo dzielną dziewczynką, skarbie. Jestem z ciebie taki dumny!

- Dziękuję, tatusiu. Wcale nie uważam, że jestem dzielna. To wszystko takie smutne! Prawda, że los czasami bywa okrutny? Dlaczego to musiało się wydarzyć akurat wczoraj? I czemu akurat mnie?

ROZDZIAŁ 15

Abi była właśnie na siłowni; czuła się przerażona, chora i wykończona jak diabli - bolała ją dosłownie każda cząsteczka ciała - a ponadto wciąż zestresowana. W regularnych odstępach czasu wybierała numer swojego telefonu, w nadziei, że ktoś w końcu go znajdzie i odbierze, ale telefon milczał jak zakłęty.

Bezsownie musiała porozumieć się z Jonathanem; policja powiedziała, że będą chcieli, żeby złożyła oficjalne zeznanie, jako osoba, która jechała samochodem bezpośrednio przed tymi, którzy uczestniczyli w wypadku, i Abi sądziła, że to samo usłyszał od nich Jonathan.

Najbardziej przerażało ją niejasne, niemal nierealne wrażenie, że w pewien sposób sama przyłożyła rękę do tego nieszczęścia. Jonathan rozmawiał przez komórkę, a ona zaczęła na niego wrzeszczeć, nawet przeklinać, co z pewnością musiało mocno rozproszyć jego uwagę. A przecież znajdowali się dokładnie na wysokości jadącej obok ciężarówki, więc może Jonathan nagle skręcił, zmuszając tamtego kierowcę do wykonania takiego

samego manewru? Nie mogła znieść nawet myśli o takiej możliwości. Z pewnością obydwójce zostaną poproszeni o dokładne opisanie tego, co wówczas widzieli, i jeśli będzie miała do powiedzenia zaledwie tyle, że wspomnienie tamtej chwili wydaje się jej jedną rozmazaną plamą i że właściwie nie potrafi sobie niczego przypomnieć, to policjanci raczej nie będą tym zachwyceni. Być może nawet zaczną podejrzewać, że usiłuje coś ukryć.

A potem - jak przypuszczała - Jonathan będzie nalegał, żeby potwierdziła historyjkę, którą wymyślił na użytek Laury, to znaczy, z jakiego powodu znalazł się na tej autostradzie i czemu ona jechała razem z nim. Było zupełnie nieprawdopodobne, żeby zdobył się na powiedzenie szczerzej prawdy, a to nieco zmieniało układ sił pomiędzy nimi. Jeszcze wczoraj Laura mogła żyć w pełnej nieświadomości, jeśli chodzi o jej istnienie, jeśli Abi sama nie zechciałaby doprowadzić do konfrontacji. Dziś właściwie było to niemożliwe. Więc jeśli Jonathan zapragnie, żeby Abi potwierdziła kłamstwa, jakie mógł wykombinować, to pozostanie jej w ręku o kilka kart więcej niż do tej pory. Prawdę powiedziawszy, ta świadomość sprawiła jej pewną przyjemność.

Abi nie należała do mściwych; w przeciwieństwie do groźby rzuconej w twarz Jonathanowi, że powie o wszystkim jego żonie, tak naprawdę wcale nie miała zamiaru tego robić. Przewrotnie opowiadała się po stronie Laury. W zasadzie wcale jej nie podziwiała, a właściwie patrzyła na nią i inne, podobne do niej żony, z pewną dozą pogardy - za ich wieczną zależność od mężczyzny, za gotowość do podporządkowania się, tak jak od nich oczekiwano.

Współczesne utrzymanki, oto jak je oceniała: pozbawione odwagi i ambicji, a także poczucia własnej wartości. Nie chciała dołączyć do ich szeregu; nie brała pod uwagę możliwości przeprowadzki do wielkiego domu, ubierania się w drogie ciuchy i jeżdżenia eleganckim autem, jeśli ten luksus przynajmniej w sporej części nie będzie owocem jej własnego wysiłku. Chciała żyć na własne ryzyko, a nie brać pieniądze za wdziękzenie się na wieczornych party i seks na żądanie.

Niemniej uważała, że te kobiety zasługują na coś lepszego niż wieczne oszukiwanie, i pogardzała Jonathanem za to, co zgotował Laurze. W jej oczach to on był prawdziwym grzesznikiem i krzywdzicielem, który igrał z miłością i szczęściem Laury oraz ich wspólnych dzieci, i to właśnie on zasługiwał na to, by ponieść karę.

Ale ukaranie Jonathana oznaczało unieszczęśliwienie Laury, więc w normalnym toku spraw nie mogło być brane pod uwagę. Tyle że bieg spraw nie miał teraz nic wspólnego z normalnością...

- No i jak się czujesz, stary? - Barney powitał Toby'ego rezolutnym uśmiechem.

Toby z wyraźnym wysiłkiem odemknął powieki.

- Cześć, Barney - szepnął, zdobywając się na cień uśmiechu, a potem zaraz zamknął oczy i skrzywił się, próbując zmienić pozycję. - Chryste, ale ta noga mnie boli.

- Pielęgniarka mówiła, że jesteś na morfinie; myślę, że to powinno załatwić sprawę.

- Bo jestem. Dokładnie wiem, kiedy przestaje działać, ale i tak nie zabija bólu do końca. Mam tu coś w rodzaju pompy; sam mogę dawkować, ale to cholerstwo wie, kiedy mam dosyć, więc na pewno nie uda mi się przedawkować, niestety.

Znów próbował się uśmiechnąć.

- Słyszałem, że masz mnóstwo gości.

- Tak, mama i tata wciąż tutaj są. I oczywiście Tamara. Jest dla mnie takim oparciem i wcale nie ma żalu, że musieliśmy odwołać wesele. Nawet się nie skarżyła.

- Naprawdę?

- Tak. Chciała ustalić następną datę, ale ja byłem zupełnie bez sił. Wydawała się trochę rozczarowana, ale... Może jutro nam się uda.

- Chyba nie ma powodu do pośpiechu, co?

- Nie, raczej nie. Ale dzięki temu poczułaby się lepiej. Tak mówiła.

Myśl o Tamarze, która dręczy Toby'ego leżącego na szpitalnym łóżku prośbami o wyznaczenie następnej daty ślubu, sprawiła, że Barney poczuł lekkie mdłości.

- Jak tutaj karmią? - zapytał po chwili.

- Nie wiem. Na razie dokarmiają mnie przez te wszystkie urządzenia. - Pokazał na rozmaite rurki i kroplówki.

- Amanda przysłała trochę winogron. Proszę. Ale jeśli nie możesz ich jeść...

- Dzięki. A jak tam Amanda?

- Całkiem nieźle - odparł Barney. - Mówi, że jutro tu ze mną przyjedzie, jeśli chcesz. Chyba że zwali się cała masa odwiedzających.

- No jasne, że chcę. Jeszcze zobaczymy. W każdym razie przekaż jej pozdrowienia ode mnie.

Był wyraźnie wyczerpany i w zbyt kiepskiej kondycji, żeby rozmawiać o sprawach, które niepokoiły Barneya. Więcej niż niepokoiły. Prześladowały.

Pogładził Toby'ego po rękę, powiedział, że wróci później i powędrował do głównego wejścia, gdzie czekała na niego Amanda.

- Jak on się miewa?

- Niezbyt dobrze. Strasznie go boli. Biedny, stary Tobes...

- O Chryste - westchnęła. - Jakie to smutne. I tak okropnie nie w porządku.

Jej błękitne oczy wypełniły się łzami, więc Barney szybko otoczył ją ramieniem.

- Zobaczysz, że się wyliże - szepnął. - Obiecuję ci. A teraz chodź, pojedziemy do domu i może po drodze wstąpimy coś zjeść?

Gdy ruszyli w dół schodów, naprzeciw wybiegła Emma. Na ich widok się uśmiechnęła.

- Cześć, miło cię widzieć. Jak tam się czuje nasz pacjent? Jeszcze nie zdążyłam do niego zajrzeć, ale mam zamiar.

- Niestety, dość kiepsko. Skarży się, że strasznie boli go ta noga.

- Spróbuj się nie martwić - powiedziała. - Dziś jest najgorszy dzień. Wychodzi na jaw mnóstwo obrażeń, to znaczy medycznych obrażeń: opuchlizna, zasinienia...

Uśmiechnęła się do Amandy, jednocześnie wyciągając do niej rękę.

- Nazywam się Emma King i jestem jednym z lekarzy pracujących na oddziale ratunkowym. Poznałam twojego... To znaczy pana Frasera... w piątek wieczorem, kiedy wychodził z oddziału, na którym leży wasz przyjaciel.

- Słyszałam, że była pani wręcz cudowna - powiedziała Amanda, ściskając serdecznie dłoń Emmy. -
Bardzo pani dziękuję. Ja jestem Amanda, narzeczona Barneya.

- Robimy, co w naszej mocy.

Jeszcze przez chwilę stały w promieniach słońca, ściskając się za ręce: dwie prześliczne dziewczyny o blond włosach i błękitnych oczach, odległe od siebie o całe światy, jeśli chodzi o wykształcenie, klasę, styl życia i aspiracje. Obie czuły, jak obecność tej drugiej budzi w nich pewną ostrożność, choć same nie wiedziały dlaczego.

Zapadła chwila ciszy, którą Emma zdecydowała się przerwać.

- Nie zatrzymuję was dłużej. Pójdę i zobaczę, jak się miewa... Toby, jak mi się zdaje? Postarajcie się być dobrej myśli. To na razie.

A więc on ma przyjaciółkę, myślała Emma, spoglądając za nimi, jak szli w stronę samochodu. Ale przecież ona także ma chłopaka. Więc czemu... Czemu tak troszczy się o Barneya? Wcale nie. Wcale się nie troszczy. Poza tym jest strasznie spóźniona. Musi pędzić...

Mary siedziała na łóżku na oddziale kardiologicznym; fizycznie czuła się lepiej, ale niepokój o Russella coraz mocniej dawał się jej we znaki, więc błagała, żeby wypisano ją do domu.

Oni zaś odpowiadali, że nie ma mowy, że musi tu zostać jeszcze przez następne czterdzieści osiem godzin, że doktor Philips jest bardzo zadowolony, ale woli ją mieć na oku.

W poprzedni wieczór przeprowadzono u niej zabieg katetyzacji kardiologicznej.

- Dzięki temu zmierzylśmy ciśnienie w komorach serca - oświadczył doktor Philips. - Nie ma powodu do niepokoju, ale na wszelki wypadek chcemy się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Brzmiało to nieco przerażająco, ale okazało się, że dostali się do serca przez żyłę w nodze i chociaż czuła się nieco obolała, to poza tym nic jej nie dokuczało. Po zabiegu wszyscy zyskali pewność, że jej serce doskonale sobie radzi.

- Więc czemu nie mogę jechać do domu? - pytała, a oni odpowiadali, że ma już ponad osiemdziesiąt lat i przeżyła sporą traumę i dlatego muszą zatrzymać ją na obserwacji. I że powinna wykorzystać ten czas na odpoczynek.

Odpoczynek był ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę. Przypuszczała, że Russell otrzymał wiadomość od niej i pewnie czeka, aż ona się z nim skontaktuje. Z tego samego powodu potrzebowała się upewnić, że informacja na pewno do niego dotarła, a to można było potwierdzić jedynie przez telefon do hotelu. Problem w tym, że nie знаła numeru; został w notesie, który wsadziła do walizki. Może w takim razie znajdzie numer w książce telefonicznej?

- Czy mogę wstać i przejść się korytarzem? - spytała pielęgniarkę. - Muszę gdzieś zadzwonić.

Ale tamta odpowiedziała, że dopiero jutro.

- Ale zawsze możemy przecież przynieść ci telefon do łóżka, Mary.

- Och, to niezwykle uprzejme. Ogromnie dziękuję.

Jeszcze wszystko mogło ułożyć się pomyślnie, gdyby nie córka Mary Christine, oraz jej mąż Gerry, którzy wybrali sobie ten właśnie moment na odwiedzin.

- No proszę - powiedziała pielęgniarka. - Teraz oni mogą zadzwonić w twoim imieniu, Mary.

- O jaki telefon chodzi, mamusiu? - spytała Christine, ustawiając na nocnej szafce cyklamen w doniczce, który właśnie przywiozła.

- Do jednego z moich przyjaciół. To nic ważnego, nie ma czym się martwić. Mogę to załatwić, kiedy wyjdziecie.

Wciąż nie zdobyła się na powiedzenie Christine prawdy o Russellu; na pewno nie teraz, kiedy sprawy zmierzały w złym kierunku. Bała się, że wyjdzie na jeszcze większą wariatkę.

Bez sprzeciwu poddała się więc przesłuchaniu na temat katastrofy, które okazało się tak szczegółowe i rozciągnięte w czasie, że w końcu poczuła się wyczerpana. Jedna z pielęgniarek zauważyła jej zmęczenie i oświadczyła, że Christine i Gerry powinni wyjść i pozwolić Mary odpocząć. Dopiero po tym wszystkim udało się jej wreszcie zadzwonić do hotelu; tam powiedziano jej, że parę godzin temu pan Mackenzie wymeldował się z Dorchester.

Jonathan upił się na wieczornej imprezie w nadzwyczaj nieprzyjemny sposób. Sam był zaskoczony, jak bardzo jest pijany, bo, prawdę powiedziawszy, wcale nie wypił dużo - zaledwie parę piw, dwa albo trzy kieliszki wina, ale gdy inni jedli tiramisu, on już ledwie trzymał się na nogach.

To Charlie zauważył, w jakim tata jest stanie; Charlie, który objął go ramieniem i spytał, czy dobrze się czuje; Charlie, który przyniósł mu butelkę wody mineralnej. Jonathan na siłę wlał ją w siebie, zanim przyszło mu do głowy, że zaraz zwymiotuje na ogrodowej ścieżce, co będzie absolutnym upokorzeniem, i w przyływie rozpacz popędził do łazienki.

- Kochanie! Och, kochanie, jakie to straszne! - Twarz i ton głosu Laury świadczyły o wielkim zaniepokojeniu. - Serena, najmocniej cię przepraszam. Myślę, że to opóźniona reakcja na wczorajsze przeżycia. To musiało być dla niego okropnym doświadczeniem. No i oczywiście, upał też zrobił swoje... On nie znosi takiego gorąca...

A Jonathan, niewyraźnie zdając sobie sprawę, że Mark Edwards węzłem splukuje ścieżkę, Laura zaś pomaga mu wejść do domu, i zdjęty strachem, że lada moment znowu dopadną go mdłości, zamknął się na klucz w garderobie Edwardsów i przesiedział tam długi, długi czas z głową ukrytą w splecionych dłoniach. Zastanawiał się, w jaki sposób, na litość boską, ma przeżyć następne dni i tygodnie - a może nawet lata.

Gdzieś o świcie naszła go myśl, że znalazł się w naprawdę zatrważająco paskudnej sytuacji. Na początek należało wyjaśnić Laurze, dlaczego w ogóle znalazł się na autostradzie M4 zamiast na M40, w dodatku z kobietą, młodą i atrakcyjną - chociaż może Laura niekoniecznie musiała się o tym dowiedzieć - której obecność powinien wytłumaczyć w jakiś przystępny i wiarygodny sposób.

Pozostawał także dość niewygodny fakt, że w czasie katastrofy akurat gadał przez telefon, więc policja równie dobrze mogła z góry założyć, że nie jest on tak całkiem bez winy i że należy zbadać jego wersję wydarzeń dokładniej, niż pierwotnie zamierzano. Oczywiście, jego postępowanie nie było w żadnym wypadku niebezpieczne, a w chwili, gdy zdał sobie sprawę z tego, w jakie kłopoty się wpakowali, całkiem dosłownie upuścił telefon, ale przecież mogli nie uznać jego wyjaśnień za wiarygodne. I może - tylko „może” - to oznaczało, że jego reakcje nie były takie, jakie być powinny; może on także zboczył z pasa, wprost na tę ciężarówkę...

Zmuszając się do przeżywania wciąż na nowo całej sytuacji, szczegół po szczególe, doszedł w końcu do wniosku, że przynajmniej to ostatnie w żaden sposób nie miało miejsca. Jednak policja mogła być innego zda-

nia. Na pewno zaczną mu zadawać mnóstwo szczegółowych pytań, także na temat Abi. Rzeczywiście, znalazł się w sytuacji, którą spokojnie można określić jako potrzask.

William miał za sobą ciężki dzień. Pastuch, który właśnie skończył pracę, zwrócił mu uwagę, że kilka krów kiepsko dziś wygląda.

- To może być objaw gorączki nieżytowej, choć miejmy nadzieję, że tak nie jest.

William zgodził się, że powinni mieć taką nadzieję, choć w języku farmerów, którzy dzień w dzień zmagają się z tymi samymi problemami - czasem większymi, jak pryszczycza lub gruźlica, a czasem mniejszymi, jak zapalenie sutka czy poród słabowitego cielęcia - nie było zwyczaju, by określać emocje słowami. Lecz jeśli krowy zaraziły się gorączką nieżytową, to szykuje się prawdziwa klęska. Jakoś to przeżyją, ponieważ muszą przeżyć i ponieważ, prawdę powiedziawszy, nie było innego wyjścia. Całe swoje pieniądze, cały majątek i całą przyszłość Graingerowie ulokowali w tej ziemi w hrabstwie Gloucestershire; mieli ziemię i byli bogaci, ale tylko na papierze, jeśli rolnictwo jako gałąź przemysłu znajdowało się na skraju bankructwa.

Choć akurat w tym okresie rolnictwo przeżywało jeden z rzadko spotykanych wzlotów, a nie upadków. Ceny mleka podskoczyły, podobnie jak ceny innych produktów; pojawiały się raporty o nadchodzącym kryzysie w branży spożywczej, o światowych niedoborach pszenicy i ryżu, o coraz większym zapotrzebowaniu na przetwory mleczne - co poprawiło nieco oburzająco niską, balansującą na granicy opłacalności cenę mleka - ceny żywności zaś były wyższe niż kiedykolwiek dotąd na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Jednak nadal koszty produkcji były bardzo wysokie, cena paliwa wyciskała łzy z oczu, a zadłużenie farmy wciąż przekraczała dopuszczalny limit.

Poza tym rolnicy znajdowali się w nieustannym obleżeniu, jakie zgotował im ruch Zielonych; podlegali nieustannym i rygorystycznym inspekcjom dokonywanym przez ludzi, którzy nie mieli zielonego pojęcia o warunkach gospodarowania na farmie, za to bezlitośnie obcinali dotacje, jeśli wybudowanie nowego i bardzo potrzebnego budynku pociągało za sobą konieczność wycięcia paru drzew albo zniszczenia żywopłotu. Rząd przynaglał ich, żeby urozmaicali produkcję, co akurat zyskało przychylność Williama, tyle że nieuchronnie prowadziło do zwiększenia liczby ludzi, budynków, a także ilości produktów ubocznych, co z kolei wzniewało protesty Zielonych.

Poza tym rodzice Williama byli przeciwni wszelkim zmianom. Propozycja syna, by rozruszać biznes komercyjnych polowań, trafiła na bardzo kamienisty grunt; ojciec nienawidził przyglądać się, jak jacyś faceci, których nazywał miejskimi chłopaczkami, depczą jego ziemię, i to w dodatku z naładowaną bronią, którą niewielu z nich umiało posługiwać się właściwie. To prawdziwy cud, powiadał, że żaden z tych durniów nie został ranny.

I nagle dziś przed samym lunchem, wiele godzin wcześniej, niż William się spodziewał, jego rodzice nieoczekiwanie wrócili z wakacji. Ojciec od razu skrytykował stan podwórza, a także fakt, że pomimo wyraźnych instrukcji krowy nie zostały przeniesione na drugie pastwisko. Z kolei matka gorzko skarżyła się, że podczas jej nieobecności William całkiem zaniedbał dom.

Czym prędzej wytłumaczył, że na autostradzie doszło do katastrofy, że na polu musiał wylądować helikopter i od razu obiecał, że jeszcze dziś po południu z powrotem przeprowadzi tam krowy. Nawet zdobył się na to, by przeprosić matkę za bałagan. Przyznał, że to jego wina, nie wspominając, że przecież codziennie wycho-

dził na farmę już o szóstej rano, w porze lunchu chwycił jakiś coraz bardziej nieświeży chleb i kawałek sera, i wracał o zmierzchu, żeby zjeść na kolację zawartość jednej z puszek, które stały w szafie z zapasami.

- Nie mam pojęcia, co zrobisz, kiedy wreszcie przejdę na emeryturę - oświadczył ojciec, tak jak to robił przynajmniej pięćdziesiąt dwa razy w roku przez ostatnie pięć lat.

William marzył, żeby wreszcie mu powiedzieć, że jego życie stanie się nieskończenie łatwiejsze, jeśli będzie mógł prowadzić farmę samodzielnie, wykorzystując własne metody i redukując koszty tak, jak mu pasowało, zamiast wiecznie godzić się na olbrzymi kompromis, który w dodatku wcale się nie sprawdzał. Ale przypuszczał, że ojciec nigdy nie odejdzie na emeryturę; miał dopiero sześćdziesiąt dwa lata, a to gospodarstwo było całym jego życiem.

Miał świadomość, że powinien doprowadzić do ostrej konfrontacji w kwestii unowocześnienia gospodarstwa, ale cofał się za każdym razem, gdy docierało do niego, że ojciec robi się coraz starszy i coraz trudniej do niego trafić. Powtarzał sobie, że czas najlepiej rozwiąże ten problem, podobnie jak ten, że on sam w wieku trzydziestu czterech lat mieszkał nadal w domu rodziców, a matka w całości zajmowała się jego domowymi sprawami. Oczywiście miało to swoje dobre strony: na stole czekał gorący posiłek, pranie zawsze było zrobione na czas... Choć z drugiej strony, wciąż ktoś mu mówił, gdzie ma wieszać płaszcz, że powinien zdejmować buty i sprzątać po sobie łazienkę, choć naprawdę starał się o tym pamiętać. Do tej pory powinien był się już ożenić, świetnie o tym wiedział, lecz trudno znaleźć kogoś, kto znałby się na rolnictwie i jednocześnie mógłby mu się spodobać - i kto wytrzymałby życie w domu, w którym czas zatrzymał się mniej więcej pod koniec lat pięćdziesiątych.

Nawiasem mówiąc, i tak nie miał czasu, żeby szukać odpowiedniej dziewczyny...

Przez cały długi i przewidywalnie trudny dzień powracał myślami do poprzedniego dnia, który majaczył mu w pamięci jak senny koszmar. Przed jego oczyma wciąż na nowo przewijała się tamta scena, teraz w oderwaniu od innych wydarzeń - jak coś, co ogląda się w telewizji albo na filmie, albo nawet słyszy w audycji radiowej, ponieważ zgiełk był równie żywy i równie przerażający, jak widok. William przypominał sobie, że podobnie czuł się jedenastego września; siedział wpatrzony w ekran, w takim samym stopniu zafascynowany, jak przestraszony, i myślał, co to za wspaniały film, robi takie wrażenie. Ale oczywiście to wszystko działo się naprawdę, tak samo jak wydarzenia wczorajsze - realna była śmierć i cierpienie, i nieszczęście, i świadomość, że właśnie na twoich oczach kończy się czyjeś życie... Widział tak wiele, a jednocześnie tak mało z tego, co w rzeczywistości zdarzyło się na drodze; ze swojego miejsca na głównej trybunie miał wspaniały widok na ciężarówkę, której przyglądał się z pełną przerażenia fascynacją, ale to wszystko. Nawet z przystawionym do głowy pistoletem nie potrafiłby podać żadnych innych szczegółów, żadnych możliwych przyczyn katastrofy, Policja z pewnością zażąda zeznań - ostatecznie był głównym i naocznym świadkiem, biorąc pod uwagę, gdzie wtedy się znajdował - lecz on obawiał się, że bardzo zawiedzie ich oczekiwania. Niektóre wspomnienia dręczyły go coraz mocniej, wciąż barwne i żywe - dziewczyna w golfie, którą wyjmowano z auta z niezwykle ostrożnością, jakby to mogło mieć jakieś znaczenie; okropny widok wnętrza minibusa; młody ojciec, zalany łzami nad trupem żony - inne przynosiły nieco pocieszenia - bezpieczne lądowanie helikoptera, do którego walczył się przyczynił; zdumiewająca wdzięczność ludzi, którym przyniósł wodę; ulga w niedoli małych chłop-

ców, kiedy zajęła się nimi tamta dziewczyna, dzielna i twarda jak głaz, i tak delikatna dla przerażonych dzieciaków...

Właśnie mył w kuchni ręce, żeby zasiąść do posiłku przygotowanego przez matkę, kiedy jego wzrok spoczął na komórce, która leżała na parapecie tuż przy zlewie. Zostawił ją tam wczorajszego wieczoru, zamierzając coś z nią zrobić, ale później zasnął przed telewizorem i całkiem wyleciało mu to z głowy. Pewnie najlepiej będzie, jeśli przejrzy numery w książce telefonicznej i przekona się, czy znajdzie jakiś, pod który można zadzwonić. Jednak hasła nic mu nie mówiły; szukał słów „mama” i „tata”, a nawet „praca” albo „biuro”, lecz nie znalazł. Nagle na wyświetlaczu ujrzał imię „Jonathan” i przypomniało mu się, że tak nazywał się facet, z którym jechała. W każdym razie, od tego można było zacząć.

Podszedł do tylnych drzwi i zatrzymał się, spoglądając na pole. Jednocześnie wybierał numer i rozmyślał o Abi; o jej zadziwiających nogach, wielkich, ciemnych oczach i rzęsach, które nieco przypominały mu rzęsy krów, bo były długie i podwinięte, i o czarnych włosach sięgających połowy pleców. Była miła, naprawdę miła, i bardzo, bardzo seksowna - inaczej niż dziewczyny, które dotąd okazywały mu zainteresowanie - i bardzo, bardzo niepasująca do życia, jakie prowadził.

Po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos, przyjemny i niefrasobliwy.

- Słucham?

- Och, dzień dobry - powiedział William. - Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale pomyślałem, że może zna pani kogoś, kto ma na imię Abi...

ROZDZIAŁ 16

Luke czekał na Emmę w Butler's Wharf Chop House, tuż poniżej Tower Bridge. Emma się spóźniała. To było do niej niepodobne - zupełnie niepodobne. Próbował zadzwonić na komórkę, lecz telefon był głuchy. Miał nadzieję, że nie przytrafiło się jej nic złego.

Zareagowała naprawdę śmiesznie, gdy powiedział jej o Mediolanie. Trochę go to zaskoczyło; sądził, że Emma uzna ten wyjazd za niesamowitą szansę. Mnóstwo dziewczyn tak właśnie by uważało - na pewno niejedna chciałaby mieć chłopaka pracującego w Mediolanie, do którego mogłaby jeździć, kiedy tylko przysłaby jej ochota, bo wszystkie koszty i tak pokrywała jego firma. Na litość boską, Mediolan był przecież jedną ze światowych stolic mody.

Naturalnie, że będzie za nim tęskniła; on także będzie tęsknił. Ale... Dla niego była to naprawdę świetna okazja. W każdym razie zamierzał poprawić jej samopoczucie, tylko trochę później - kiedy zobaczy, co dla niej kupił. Nie ma mowy, żeby jej to nie ucieszyło...

Zamówił następnego drinka, a potem podszedł do stojaka przy drzwiach i wziął stamtąd gazetę. Pierwsza strona okazała się nieco nudnawa: Afganistan. Odwrócił kartkę i ujrzał zrobione z lotu ptaka zdjęcie katastrofy na autostradzie. Już miał zamiar je ominąć, kiedy jego wzrok przykuło parę słów: „...prawie wszyscy poszkodowani trafili do szpitala Świętego Marka, niedawno otwartego i nowoczesnego szpitala w Swindon, gdzie cała załoga medyczna niezamordowanie pracowała przez całe popołudnie i całą noc”.

- Cholera... - mruknął i złożył gazetę, żeby dokładnie przeczytać całą notatkę.

- Cześć, Luke.

Nad nim stała Emma, uśmiechnięta, lecz blada i wymęczona. Miała na sobie dzinsy i zwykły T-shirt, i ani śladu makijażu, choć zwykle zadawała sobie nieco trudu, by dobrze wyglądać. Mimo to...

- Cześć, kochanie. - Pocałował ją. - Chodź i siadaj.

- Dzięki. Poproszę o coś takiego. - Wskazała na filiżankę z kawą.

- Właśnie przeczytałem o tej katastrofie. Więc dlatego nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem. Wygląda na to, że to był naprawdę wielki karambol. Tutaj napisali, że najgorszy w ciągu całego lata. Boże, Emma...

Popatrzył na nią w milczeniu, a ona odpowiedziała uśmiechem.

- Widzę, że jesteś... pod wrażeniem.

- Zdecydowanie. Moja maleńka Emma, uwikłana w taką wielką sprawę... Więc ty naprawdę... no wiesz... robiłaś te rzeczy? Przeprowadzałaś operacje i tak dalej?

- Oczywiście! A co robiłam twoim zdaniem? Czytałam gazety?

- Nie, jasne, że nie! - zawołał. - To brzmi... naprawdę strasznie.

- Bo było strasznie. Było wręcz okropnie. Mnóstwo ofiar, masa rannych, niejedno ludzkie życie przekreślone na zawsze... W każdym razie wybac, że do ciebie nie zadzwoniłam.

- W porządku, skarbie. Teraz rozumiem dlaczego. Wyglądasz na zmęczoną.

- Dzięki - odparła. - Właśnie to pragnęłam usłyszeć.

- To przecież prawda. Nic na to nie poradzę. Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Już dobrze.

Spojrzała na niego, a jej wielkie błękitne oczy wypełniły się łzami; szybko je otarła i dzielnie się uśmiechnęła.

- Wybac, ale dużo mnie to wszystko kosztowało. Wiesz, chyba potrzebuję jakiegoś drinka.

- Jasne. Na co masz ochotę?

- No... może na kieliszek białego wina. Tylko teraz... Muszę iść do toalety. Zaraz wracam.

Luke popatrzył za nią z troską; była dziś stanowczo w bardzo dziwnym nastroju.

- Posłuchaj - powiedział, gdy wróciła. - Może teraz pojedziesz do siebie, żeby zdrzemnąć się przed kolacją, co? Zamówiłem dla nas stół u Alaina Ducasse'a w Dorchester; na pewno będziesz wolała być wieczorem w dobrej formie, a ja po południu muszę jeszcze coś załatwić. Prawdę mówiąc, myślałem, że załatwimy to razem, ale jakoś dam sobie radę.

Emma wpatrywała się w niego ze zdziwieniem, bo okazywanie troskliwości nie należało do codziennych zwyczajów Luke'a. Potem pochyliła się i musnęła ustami jego policzek.

- Och, Luke... Jesteś taki kochany - szepnęła. - Masz całkowitą rację; jestem bardzo zmęczona. To będzie uroczy wieczór i naprawdę doceniam, że się postarałeś. Dziękuję...

Rozmowa z Abi, jeszcze zanim policja wydusi z nich zeznania, wydawała się absolutną koniecznością. Musieli uzgodnić wersję wydarzeń - dlaczego byli razem, dlaczego akurat na M4, co widzieli i w jaki sposób, ich zdaniem, mogło dojść do tej tragedii. Oczywiście Laura także będzie musiała o wszystkim się dowiedzieć,

więc było istotne, żeby w ich wersji nie było żadnych słabych punktów. Jonathan bardzo się o to starał: Abi była po prostu przypadkiem spotkaną na konferencji koleżanką, którą dopiero teraz poznał, i przez uprzejmość zgodził się podwieźć ją do... No właśnie, dokąd? Może nie do Londynu, może do Reading albo w inne podobne miejsce.

Próbował złapać ją wczoraj wieczorem; odszedł drogą spory kawał od domu, żeby do niej zadzwonić, modląc się jednocześnie, by Laura go nie zauważyła. Jednak nie uzyskał żadnej odpowiedzi, bo telefon Abi zwyczajnie był wyłączony. Nie zostawił wiadomości; to byłoby zbyt ryzykowne. Spróbował ponownie dziś rano, kiedy wyszedł pojeździć na rowerze. Nadal nic. Teraz dochodziła szósta po południu, więc powoli zaczynał wariować ze strachu. Może powinien wysłać do niej maila; wiedział, że Abi w swoim malutkim mieszkanku ma laptopa, dostarczonego przez biuro, w którym pracowała, jako że mnóstwo zleceń wypadało w weekendy. Jednak wtedy mogła go przeczytać także Sylvie, współlokatorka Abi. Tylko raz miał okazję ją spotkać i od razu wzbudziła w nim antypatię. Nie ufał jej ani na jotę. Czyli jak najszybciej musi rozmówić się z Abi...

W późniejszym okresie Patrick powtarzał, że najgorszą rzeczą - w pewnym sensie - było nie wiedzieć, co może, a czego nie może sobie przypomnieć. Z pewnością pamiętał, jak ciężarówka przecinała barierę między jezdniami i jak wzywał Boga, żeby zapobiegł niekontrolowanemu poślizgowi przyczepy - choć Bóg paskudnie zawiódł go w tym względzie - a potem długie, bardzo długie zamieszanie, ogarniający go na przemian ból i strach, i całkowitą niezdolność do wykonania choćby najlżejszego ruchu. Najwyraźniej tkwił w czymś w rodzaju imadła, i za każdym razem, gdy próbował się uwolnić, ból stawał się nie do wytrzymania. A potem, po długim czasie, odniósł wrażenie, że obok pojawili się jacyś ludzie, ktoś usiłował dosięgnąć jego ręki i powiedział: „To ci pomoże, stary, tylko postaraj się wytrzymać”, podczas gdy on się zastanawiał, w czym mu pomoże ręka, gdy całe ciało stało się kompletnie bezużyteczne. Później odpłynął gdzieś daleko i już nie odczuwał bólu, choć w dziwny sposób wciąż mógł odbierać pewne bodźce; potem znalazł się w głębokiej pustce i tu nic się nie działo. Przypominał sobie, jak jakiś anioł stał nad nim i, uśmiechając się, trzymał go za rękę - anioł z długimi, jasnymi włosami, o wielkich, błękitnych oczach. Ten anioł powiedział, że właśnie zabiera go na salę, a on się dziwił, czemu na litość boską ktoś uważa, że on, w tak oplakany stan, ma ochotę oglądać jakąś sztukę. Później znów nie potrafił sobie niczego przypomnieć, i z pewnością nie mógłby powiedzieć, ile czasu upłynęło, ale miał wrażenie, że unosi się na powierzchni czegoś bardzo niewygodnego - a kiedy otworzył oczy, żeby sprawdzić, co to takiego, ujrzał Maeve, która uśmiechała się do niego.

- Słodki Jezu... - powiedziała.

- Nie, nie, kochanie - zaprzeczył. - To nie Jezus, to ja, Patrick.

Poczuł się kompletnie wyczerpany i znowu na dość długi czas zapadł w ciemność.

Russell siedział w sali odlotów na Heathrow i czekał, aż zacznie się odprawa jego lotu. Ledwie mógł uwierzyć w to, że jest tutaj, a nie w Londynie z Mary, tak jak planowali. Mieli odwiedzać stare, na wpół zapomniane miejsca, jeść wspólnie lunch, wyjechać we dwoje do Bray na kolację w Waterside Inn - Chryste, musi odwołać rezerwację. Czuł się zraniony i wściekły i pragnął z powrotem znaleźć się w spokojnej przystani własnego domu. Im bardziej myślał o Mary i o tym, co mogło bądź nie mogło się jej przydarzyć, tym bardziej był przekonany, że nie dołożyła wystarczających starań, żeby się z nim skontaktować.

Został w Dorchester aż do lunchu, wciąż łudząc się nadzieją, że lada chwila otrzyma jakąś wiadomość; kilka razy zadzwonił do niej do domu, ale bez skutku. Nagrał na sekretarkę kilka informacji, podając numer swojej komórki, lecz telefon uparcie milczał.

Razem ze śniadaniem przyniesiono mu „Timesa”, lecz po pobieżnym przejrzaniu pierwszej strony i wkładki dotyczącej Londynu zatelefonował na recepcję i zażądał „Wall Street Journal”. To była jedyna gazeta, która interesowała go na tyle, żeby ją czytać. Jakiś młody człowiek przyniósł mu gazetę i zapytał, czy ma włączyć telewizor, ale Russell odparł ostro, że gdyby nasza go ochota coś oglądać, to jest wystarczająco sprawny, żeby samemu nacisnąć guzik.

Należał do zapalonych entuzjastów wynalazków technicznych, to znaczy swojego laptopa, swojego iPhone'a, ale nie był fanem telewizji; nienawidził jej banalności, upodobania do błahostek. Wolał radio, a już najbardziej kochał BBC World Service. To upodobanie dzielił z Mary; odkryli, że obydwójce słuchają tej stacji, kiedy nie mogą zasnąć, i choć ich noce jedynie częściowo pokrywały się w czasie, wciąż lubił myśleć o niej, jak leży gdzieś tam, słuchając tych samych głosów, tych samych wiadomości...

No cóż, najwyraźniej on bardziej pragnął tej bliskości niż ona...

Podróż samochodem, jeśli już się znalazło na autostradzie M4, należała do naprawdę szybkich.

- Od wczoraj trochę się zmieniło, sir - powiedział mu kierowca taksówki. - Ludzie stoją w korkach przez wiele godzin. Ja osobiście zrezygnowałem i wróciłem do domu. Nie było sposobu, żeby się przez to przebić.

- Naprawdę? - rzucił Russell, wyjmując z aktówki swojego iPhone'a.

W dość ostentacyjny sposób wsadził do uszu końcówki słuchawek. Do diabła, wolał posłuchać muzyki, zamiast wplątywać się w jakąś głupią rozmowę na temat korków.

Przeszedł przez odprawę i powędrował prosto do strefy bezcłowej, żeby kupić tam parę książek, a następnie udał się do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy. Przemierzając wydzieloną część z fotelami, mijając po drodze ekrany telewizyjne, więc w przelocie rzucił okiem na wiadomości. Jakaś przejęta dziewczyna mówiła coś na temat książek Williama i Harry'ego, i o jakimś koncercie, który właśnie się odbył, i o tym, jaki był wspaniały. Russell poszedł dalej. Ruszając, kątem ucha złowił jakiś strzęp informacji na temat wczorajszego wypadku i że ktoś taki czy inny wciąż przebywa na oddziale intensywnej terapii. Nic z tego nie mogło go poruszyć na tyle, by zapomnieć o swoich kłopotach; przeszedł więc do pomieszczenia z komputerami, żeby sprawdzić pocztę. W skrzynce były trzy nowe maile: dwa od sekretarki, jeden od kolegi. Swego czasu starał się przemówić Mary do rozsądku, żeby założyła skrzynkę pocztową, ale napotkał opór.

- Lubię dostawać listy - powiedziała wtedy. - A jeśli zdarzy się coś pilnego, zawsze możesz do mnie zadzwonić.

To być może by pomogło... Nie był pewien, w jaki sposób, ale być może... Chryste, jak bardzo bolała go ta sprawa.

Minęła cała godzina, zanim odpisał na maile i przeczytał elektroniczną wersję „The Wall Street Journal”, zdecydował, że pora napić się whisky. Chciał nieco złagodzić cierpienie.

Poszedł do baru, ale tam się okazało, że mają jeden gatunek, i w dodatku blend.

- Nie pijam takiego świństwa - oświadczył. - Chcę dostać single malt. Co to ma być, klasa ekonomiczna czy co? W takim razie dajcie mi wody sodowej.

Wrócił do pomieszczenia z fotelami i usadowił się blisko ekranów, żeby widzieć najświeższe doniesienia dotyczące jego lotu. Nie było opóźnień; za pół godziny powinien być w powietrzu. Raz na zawsze otrząśnie ze swych stóp pył tej przeklętej angielskiej ziemi. Jego noga więcej tu nie postanie. Nigdy, przenigdy!

Otwarto bramkę; powoli ruszył w jej kierunku. Psiakrew, zdaje się, że nastąpiło jakieś opóźnienie.

- Na litość boską, co się dzieje z tą linią lotniczą?

- Przykro mi, panie Mackenzie. Zechce pan tam poczekać, to nie powinno potrwać dłużej niż parę minut.

Usiadł z powrotem, ciężko wzdychając. Właśnie tego nienawidził najbardziej: bezradnego czekania, wrażenia, że traci kontrolę nad własnym życiem, choćby tylko tymczasowo...

Mężczyzna siedzący obok czytał gazetę; trzymał ją otwartą i gdy chciał ją złożyć, łokciem trącił Russella.

- Wybacz, stary - mruknął i zaraz zwrócił się do swojej towarzyszki, przysadzistej baby o ziemistej cerze, ubranej w dres. - Cholerny szok, ta wczorajsza jatka na autostradzie, co? Dzięki Bogu, że nie lecieliśmy wczoraj wieczorem. Podobno korek sięgał ponad dziesięciu kilometrów, i to w obu kierunkach. Setki ludzi spóźniły się na samoloty. Trzy osoby nie żyją...

Russell wstał. Czy ktokolwiek może być zainteresowany wczorajszymi wypadkami samochodowymi?

- Pasażerowie z rzędów od A do G natychmiast proszeni są o wchodzenie na pokład samolotu. Pasażerowie z klasy pierwszej i club-class wchodzą według własnego życzenia.

Lepiej będzie, jeśli po raz ostatni sprawdzi swój telefon; oczywiście nie znaczy to, że czeka, aż ktoś się odezwie...

Na sekretarce była jedna jedyna wiadomość, pozostawiona tego samego dnia, pół godziny wcześniej. Nie znał tego numeru.

- Halo, czy to pan Mackenzie? - pytał nieznajomy głos z wyraźnym angielskim akcentem. - Panie Mackenzie, pozostawił pan wiadomość na sekretarce w telefonie mojej matki, to znaczy pani Mary Bristow. Niestety, mama jest w szpitalu. W dniu wczorajszym znalazła się wśród ofiar wypadku samochodowego i dopiero późno w nocy udało się nam nawiązać z nią kontakt. W każdym razie, jeśli zechce pan oddzwonić, to mój numer...

W głowie Russella odezwały się drobne brzęczyki: korek sięgający wielu kilometrów... poważny wypadek samochodowy... intensywna terapia... setki osób spóźniły się na samoloty...

A więc jednak był powód - i to doskonały powód, który wszystko wyjaśniał. On zaś okazał się ślepy, zbyt arogancki i za bardzo samolubny, żeby choć spróbować go odkryć. Mary, jego maleńka Mary leżała w szpitalu, może śmiertelnie ranna...

Mieszkanie Abi znajdowało się na raczej mało atrakcyjnym osiedlu, położonym z dala od centrum Bristolu. Kupiła je osiemnaście miesięcy wcześniej, zachęcona perspektywami, jakie otwierały się przed nią w nowej pracy. Naprawdę lubiła to mieszkanie w niewielkim, niedawno wzniesionym budynku; składało z dwóch pokoi, z których jeden wynajmowała swojej najlepszej przyjaciółce, Sylvie, bo dzięki temu łatwiej

było jej zgromadzić pieniądze na raty kredytu. W lokalu mieściła się maleńka kuchnia w kształcie kajuty, wyposażona w białe szafki z czarnymi blatami, duży pokój dzienny z oknami od sufitu aż do podłogi oraz łazienka, tak malutka, że jak mawiała Sylvie, z trudem można by w niej pomieścić kocięta, i o wiele za mała, by zmieściła się wanna, lecz mimo to doskonale spełniająca swoje zadania.

Upłynął cały rok, zanim Abi umeblowała mieszkanie, nie chcąc wstawiać tam żadnych starych gratów, które jej się nie podobały. Oddział Ikei w Bristolu okazał się bardzo pomocny w tym względzie. Pomieszczeniem, z którego Abi była szczególnie dumna, był dzienny pokój z białymi storami, białym dywanem - na który nikomu nie wolno było wchodzić w butach - wyposażony w dwie narożne sofy, pokryte czarną skórą. Namówiła swojego kumpla fotografa, żeby dał jej bardzo ładny zestaw czarno-białych zdjęć, zrobionych w Nowym Jorku, a potem poprosiła jednego z dostawców w pracy, żeby załatwił oprawy. Teraz fotki prezentowały się naprawdę elegancko. Ostatnim nabytkiem był telewizor plazmowy, niezbyt wielki, ale wystarczająco duży, żeby nie mieć poczucia, że coś się traci, oglądając film na DVD zamiast w kinie.

Właśnie po raz kolejny oglądała *Nothing Hill*, bo przed chwilą wróciła z siłowni, na której wycisnęła z siebie siódme poty; była wykończona, ale psychicznie czuła się o niebo lepiej i właśnie zastanawiała się, czy zdoła wmusić w siebie lunch, kiedy przyszło jej do głowy, że może warto jeszcze raz zadzwonić na numer zaginionej komórki.

- Halo? - odezwał się jakiś głos.

- O mój Boże... To William, zgadza się?

- Owszem. Czy to Abi? Miałem nadzieję, że w końcu zadzwonisz.

- Więc to ty masz mój telefon?

- Tak, dałaś mi go wczoraj do potrzymania. Potem odłożyłem go na bok i całkiem zapomniałem, i właśnie niedawno znowu znalazłem.

- Fantastycznie. Już myślałam, że wypadł mi gdzieś na tej drodze albo jeszcze gdzie indziej. To był taki straszny dzień i...

- Jasne, że tak. Jak się czujesz?

- Sam wiesz. Trochę... trochę nie w formie. Posłuchaj, czy mogę po niego przyjechać? Naprawdę mi go brakuje. Powiedz, gdzie jesteś, a zaraz tam podjadę.

- Cześć, Linda.

- Cześć, Georgia. Jak się miewasz?

- Dobrze. Czemu miałyby być inaczej?

- Dobre pytanie. Przecież nie mam powodu, żeby pytać, prawda? Najpierw musiałam zmienić czas twojego przesłuchania, potem czekałam przez całe godziny, aż się zjawisz, a ty nie odbierałaś żadnych telefonów. Wreszcie dowiaduję się, że jesteś w domu i powiedziałaś matce, że nie dali ci tej roli. Co się z tobą dzieje?

- Nic... Nic się nie dzieje.

- W takim razie czemu nie zgłosiłaś się na przesłuchanie?

Zapadła cisza, a potem Georgia nagle zaczęła mówić:

- Po prostu zjadły mnie nerwy. Byłam przerażona, rozumiesz? Naprawdę przerażona. Przykro mi, Linda. Bardzo mi przykro, ale chyba złapała mnie trema.

- Oni byli bardzo rozczarowani. Naprawdę uważali, że będziesz idealnie pasować do tej roli.

- Tak? No cóż, będą musieli jakoś to przeboleć.

- Georgia, to nadzwyczajnie głupie podejście do życia. Na pewno nie pomoże ci ruszyć z miejsca.

- Może ja wcale nie chcę ruszać z miejsca.

- W tym wypadku moja pomoc nie będzie ci dłużej potrzebna. - Linda usiłowała z całej siły pohamować gniew. - Takie sprawy nie służą także mojej reputacji. Jeśli ty nie martwisz się o swoją przyszłość, to ja z pewnością martwię się o swoją.

- Tak... - Głos Georgii zmienił się, był bardziej przytłumiony. - Tak, wiem, Linda. Bardzo przepraszam.

- Posłuchaj, zadzwoń do mnie, jak tylko pozbierasz się do tego stopnia, żeby spokojnie porozmawiać.

- Dobrze.

Znowu zapadła cisza. Linda miała ochotę rzucić słuchawkę, ale na tyle lubiła Georgię i niepokoiła się o nią, żeby tego nie zrobić.

- W prasie jest kilka artykułów na temat wczorajszej katastrofy na M4 - powiedziała.

Zapadła chwila ciszy.

- Naprawdę? - odezwała się Georgia.

- Owszem. Wszystkie doniesienia brzmią okropnie. Po prostu okropnie. Kilka osób zginęło, a ten biedny kierowca ciężarówki trafił na oddział intensywnej terapii.

- Rozumiem... - Znów milczenie. - Ale... Czy... Jak on się czuje? Czy coś o tym napisali?

Linda usłyszała w głosie Georgii lekkie drżenie.

- Jak dotąd żyje, ale chyba jest w kiepskim stanie.

- Czy... Czy podawali jego nazwisko?

- Nie, nigdy tego nie robią, dopóki nie ma pewności, że najbliżsi krewni zostali powiadomieni. Czemu pytasz?

- Och, tak sobie, bez powodu - powiedziała Georgia niepewnym tonem. - Czy... Czy wiadomo, jaka była przyczyna?

- Nie. Zdaje się, że policja właśnie prowadzi śledztwo. Więc niczego nie widziałaś? W ogóle niczego?

- Nie, oczywiście, że nie widziałam! Dlaczego wciąż mnie o to pytasz? Zostaw mnie w spokoju, Linda, dobrze? Proszę!

Odnalezienie farmy Williama okazało się niełatwe; Abi zawsze była beznadziejna w odczytywaniu planów. W pewnej chwili zorientowała się, że właśnie przejeżdża przez miejsce wczorajszej katastrofy, więc dojechawszy do następnego węzła, postanowiła zawrócić. Widok był porażający. W miejscu, gdzie ciężarówka przedarła się na drugą stronę, bariera była rozerwana, pas rozdzielający obie nitki autostrady porwany głębokimi bruzdami. Po obu stronach drogi kilka miejsc wciąż oddzielały taśmy, jeden z pasów zamknięto, na pasie postojowym parkowały policyjne wozy, a kilku mężczyzn, z tego dwóch w mundurach, uważnie przeglądało jakieś zdjęcia. Abi na moment poczuła, że znów znalazła się w chaosie i wrzasku, wśród porozbijanych aut, zgniecionego minibusu, w zgiełku ludzkich krzyków i jęków, i płaczu przerażonych dzieci...

Po dotarciu do zjazdu bez namysłu skręciła na brzeg trawiastego pobocza na wzniesieniu drogi i siedziała przez pewien czas w aucie, z rękoma opartymi na kierownicy i twarzą ukrytą w dłoniach, zastanawiając się, w jaki sposób ma wytrzymać z tymi wspomnieniami przez resztę swojego życia.

Wreszcie pojechała dalej, przegapiła skręt, o którym mówił jej William - „taki znak z krowami, kilkanaście metrów w dół drogi” - dotarła do wioski i tam zatrzymała jakiegoś starszawego gościa, który wędrował drogą z nosem w gazecie.

Na szczęście w dość przystępny sposób potrafił jej wytłumaczyć, jak powinna jechać dalej.

- Zaraz za kościołem skręci pani w lewo, a potem proszę wypatrywać małej dróżki. Pojedzie nią pani do samego końca i zaraz przed panią będzie farma Graingerów.

I rzeczywiście była, przycupnięta na zboczach, nieco w bok od ścieżki - całkiem spory, kwadratowy budynek z podwórzem po lewej stronie i kilkoma samochodami, które tam parkowały. Wśród nich była rozklekotana półciężarówka, wyglądający na zupełnie nowy land rover oraz dwa traktory. Po chwili namysłu Abi zatrzymała auto obok land rovera i zapukała do drzwi.

William właśnie poszedł do dojmami, wyjaśniła jego matka, dodając uprzejmie, że Abi może zaczekać, jeśli ma ochotę, albo od razu iść do niego.

Abi nie miała bladego pojęcia, gdzie znajduje się owa dojarnia, ani nawet co to znaczy - sama nazwa brzmiała tak, jakby chodziło o jakiś produkt w kartonie, na którym widnieją uśmiechnięte krowy, wylegujące się na sofie - więc zdecydowała się poczekać.

Na tę okazję ubrała się dość starannie - w dżinsy i T-shirt i nowe, czerwone tenisówki converse; nie chciała, żeby William wziął ją za jakąś idiotkę z miasta, która drepcze po farmie w pantoflach na obcasach. Uśmiechnęła się do pani Grainger, która w odpowiedzi przywołała na twarz grymas, w przybliżeniu mogący uchodzić za uśmiech. W najmniejszym stopniu nie przypominała wyobrażeń Abi na temat matki Williama; na pewno nie była przyjemną paniusią w różowym fartuszkach, która piecze chleb, lecz raczej żwawą damulką z wyższych sfer, z dobrze ostrzyżonymi włosami, ubraną w nieco niemodne, lecz wyraźnie drogie spodnie, koszulę w kratę i mokasyny z brązowej skóry.

- Proszę wejść do salonu - powiedziała, przeprowadzając Abi przez korytarz do raczej ciemnego pomieszczenia, gdzie dookoła przy ścianach stały regały z książkami i wisiało mnóstwo obrazów.

Gestem wskazała stojącą na samym środku sofę.

- Niech pani usiądzie. Czy mogę zaproponować coś do picia, może sherry?

Ale Abi pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, bardzo mi tu dobrze. Po prostu poczekam.

Usiadła, skromnie składając ręce na kolanach, co, jak miała nadzieję, jest zachowaniem godnym damy, i przeprasząco uśmiechnęła się do gospodyni.

- Przykro mi, że narobiłam pani kłopotu - dodała.

- Ależ skąd, oczywiście, że nie. Ale musi mi pani wybaczyć. Przez pewien czas byliśmy poza domem i czeka na mnie mnóstwo roboty.

- Naturalnie.

Kiedy pani Grainger odeszła, Abi wstała, żeby rozejrzeć się po pokoju. Ściany pokryte były dość mocno wypłowiałą tapetą z brokatem, dywan po bliższych oględzinach okazał się całkiem sporym kilimem, ułożonym wprost na kamiennej posadzce, tu i ówdzie poprzecieranym. Na palenisku leżał wielki stos popiołu i resztki niedopalonych głowni, a w wysokich oknach nie było zasłon, tylko zwykłe, drewniane żaluzje.

Meble na pierwszy rzut oka wyglądały na dość wiekowe i raczej źle dobrane; okrągły stół na wysoki połysk w dość jasnym kolorze sąsiadował z komodą tak ciemną, że wydawała się prawie czarna. W pokoju stały dwa głębokie fotele, sprawiające wrażenie dość wygodnych, lecz kanapa okazała się twarda i z niewygodnym oparciem. Na ścianach wisiało kilka portretów, wyraźnie sprzed stulecia albo nawet dwóch. Przedstawiały głównie mężczyzn, choć znalazły się między nimi także dwie kobiety, obie dość ładne - jedna w wąskiej sukni sięgającej do połowy łydki, z nisko wyciętą talią i druga w stroju przypominającym wyszukaną koszulę nocną. Abi zastanawiała się, czy tak wyglądali przodkowie Williama. W jakiś sposób ten nieporządny, obdarzony przemiłym uśmiechem chłopak, którego poznała wczoraj, wydawali się jej nie pasować do tego otoczenia. Ale wyraźnie była w błędzie.

Wyrzała przez okno. Dookoła, jak sięgnąć okiem, były pola i łąki, wzgórza i drzewa. Ciekawe, czy to wszystko należy do Graingerów, pomyślała, a jeśli tak, to muszą być naprawdę bogatymi ludźmi.

Upłynęło mniej więcej dwadzieścia minut, zaczęła się nudzić i dla odmiany postanowiła wyjść i poszukać toalety.

Gdy przechodziła przez korytarz, przyglądając się wszystkim mijanym drzwiom, znów zjawiała się pani Grainger.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Chciałabym skorzystać z toalety, jeśli można - odparła tonem usprawiedliwienia.

Przez twarz pani Grainger przemknął lekko bolesciwy wyraz.

- Oczywiście. Proszę za mną. Poprowadziła Abi na piętro.

- Toaleta jest tam - powiedziała, wskazując w głąb korytarza.

Abi zdawało się, że celowo podkreśliła słowo „toaleta”. Głupia krowa, pomyślała.

Właśnie schodziła z powrotem do salonu, gdy wrócił William. Był brudny, na jego twarzy widniały smugi kurzu i potu, włosy miał rozwichrzone, wymieszane ze źdźbłami trawy, a całości stroju dopełniał zabawny dodatek, to znaczy wielka pajęczyna, która przyczepiła mu się do ucha i sięgała aż do ramienia. Abi uśmiechnęła się, a po chwili lekko zachichotała.

- Cześć - powiedział. - Przepraszam, nie wiedziałem, że już przyjechałaś... Właściwie co cię tak śmieczy? - dodał, ponieważ Abi nie przestawała chichotać.

- Och, nic! Wybacz. Masz... Czekaj, ja to zrobię...

Wysunęła się o krok, wyciągnęła rękę i zdjęła mu z ucha pajęczynę.

- Miło znów cię widzieć - powiedział i uśmiechnął się w ten zadziwiający sposób, a jego uśmiech zdawał się zmieniać cały świat.

Abi odwzajemniła ten uśmiech i pomyślała, jak cudownie jest znowu go zobaczyć, a potem - wiedzioną impulsem, który okazał się całkiem poza kontrolą - pochyliła się i ucałowała go w policzek, i to akurat wtedy, gdy w korytarzu ukazała się jego matka.

- Nie jestem przekonany, czy moja matka wie, co o tym sądzić - powiedział William i, uśmiechnięty od ucha do ucha, wręczył jej wielki dzin z tonikiem, który Abi zamówiła w pubie. - Ostatecznie widziała, jak mnie całowałaś.

- Tak, bardzo cię przepraszam - odpowiedziała. - Nie wiem, co mnie naszło. To był taki cho... znaczy, straszny dzień, a właściwie dwa dni, a potem nagle zjawileś się nie wiadomo skąd, i od razu wszystko wydało się o niebo lepsze, więc chciałam zrobić coś, żebyś o tym wiedział. Przepraszam.

- Nie, nie, nie przepraszaj - zawołał. - Wszystko w porządku. To nie ma znaczenia, czy mojej matce podobało się to czy nie, mnie z pewnością się podobało. - Znów się uśmiechnął i wskazał na szklaneczkę. - Smakuje ci? Dostałaś wystarczająco dużo lodu?

- Tak. Mnóstwo. Wielkie dzięki.

- Dobrze. - Pociągnął kilka sporych łyków piwa i odstawił kufel. - Teraz lepiej. Ja też miałem paskudny dzień. Dziś po południu straciłem jednego cielaka...

- Och, nie! - wykrzyknęła. - Gdzie? Może pójdziemy go poszukać?

Nagle zrobiło się jej strasznie głupio, bo William prawie wybuchnął śmiechem.

- Nie w ten sposób straciłem; po prostu cieliczka urodziła się martwa, uduszona pępownią, która okręciła się dookoła szyi. Razem z tatą wyciągaliśmy ją ponad godzinę, ale kiedy wyszła na zewnątrz, była już całkiem bez sił. Nie udało nam się wydusić z niej więcej niż dwa oddechy. To samo było z cielakiem drugiej jałówki, więc strata jest większa. Potem nie mogliśmy uruchomić starego traktora. To dlatego wróciłem taki brudny. Szukałem w oborze przewodów do podłączenia akumulatora, a tata... on ma skłonności do wrabiania mnie w takie sprawy. Więc byłem bardzo, ale to bardzo zadowolony, jak cię zobaczyłem, bo wreszcie było coś, dzięki czemu mogłem zapomnieć o tamtych bzdurach. Jak tam moje wskazówki?

- Bez sensu - odparła, uśmiechając się szeroko i grzebiąc w torebce w poszukiwaniu papierosów. - Możemy wyjść na zewnątrz? Strasznie chce mi się zapalić.

- Jasne... Może masz ochotę na jeszcze jednego drinka?

- Nie, wielkie dzięki. Muszę jakoś wrócić, a naprawdę czuję się bardzo, bardzo źle, jak wjeżdżam na tę drogę. Ja...

- Wiem, co chcesz powiedzieć - przerwał jej. - Trochę ciężko, co? No chodź, idziemy na świeże powietrze. Może przynieść ci soku pomarańczowego albo coś w tym stylu?

Wyszedł na zewnątrz ze szklanką soku z ręku i następną kwartą piwa dla siebie. Abi paliła papieros za papierosem.

- Jesteś pewien, że nie chcesz zapalić?

- Nie - odparł. - Nigdy mnie do tego nie ciągnęło. Kiedyś raz spróbowałem, jak byłem w college'u, ale zaraz zebrało mi się na wymioty.

- Gdzie był ten college?

- Och, w Cirencester - powiedział takim tonem, jakby spodziewał się, że ona z pewnością wie, gdzie znajduje się Cirencester. - Poszedłem tam zaraz po szkole.

- A... A gdzie chodziłeś do szkoły?

- W Eton - odparł w taki sam sposób.

Wtedy Abi zadecydowała, że najwyższy czas jechać do domu.

W drodze powrotnej podrzuciła go aż do prowadzącej na farmę ścieżki.

- Dzięki, że przyjechałaś. Powinienem być wyjechać po ciebie do połowy drogi. To straszne, kiedy człowiek gubi telefon, prawda? Ja swój gubię bez przerwy, ale przypuszczam, że nie jest to nawet w połowie tak ważne jak w twoim przypadku. Nawiasem mówiąc, zadzwoniłem pod jeden z numerów, ale ten, kto odebrał, nie był zbyt pomocny.

- A do kogo zadzwoniłeś?

- No do tego gościa, z którym jechałaś, kiedy wydarzyła się katastrofa. Do Jonathana. Przeglądałem twoją książkę, szukając jakiegoś nazwiska, które coś by mi mówiło, i trafiłem na jego numer.

Abi odniosła wrażenie, że wieczorny skwar wyraźnie przybrał na sile.

- I...

- Odebrała jakaś kobieta. Może jego żona, co? Próbowałem coś jej wytłumaczyć, mówiłem, że byłem świadkiem tej katastrofy i że dałaś mi ten telefon na chwilę, żeby zająć się dziećmi. Potem spytałem, czy jej mąż jest lekarzem, żeby mieć pewność, że dodzwoniłem się do właściwego faceta... W każdym razie ona wtedy się rozłączyła i to dość nagle, jak na mój gust.

- Naprawdę? - spytała Abi. - Zastanawiam się dlaczego.

ROZDZIAŁ 17

Jonathan na przemian pogrążał się i wynurzał z otchłani bolesnego, dusznego snu, kiedy Laura weszła do pokoju i usiadła przy łóżku.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Och... odrobinę lepiej. Ogromnie mi przykro, Lauro, że postawiłem cię w tak głupiej sytuacji.

- Nic się nie stało, skarbie. Ostatecznie masz za sobą straszne przeżycia. Po prostu było mi cię żal.

- Kochanie... - Wyciągnął rękę i objął palcami jej szczupłą dłoń. - Jestem taki szczęśliwy, że jesteś ze mną.

- A ja jestem szczęśliwa, że tak uważasz.

Na moment wysunęła dłoń z jego dłoni, żeby odgarnąć do tyłu włosy.

- Czy masz na coś ochotę? Może przynieść ci wody, rumiankową herbatę albo coś innego?

- Tak, poproszę trochę wody. Najlepiej z lodem.

Wróciła ze sporym dzbankiem, ustawiła go na szafce i znów uśmiechnęła się do męża.

- Czy u dzieciaków wszystko w porządku? Nie wstydzą się za tatusia?

- Nie sędzę. Nie wolno ci się martwić takimi głupstwami.

- Ale moje zachowanie było dość... niesympatyczne.

Laura przez moment milczała, a potem wzruszyła ramionami. Ten gest był zimny, odległy, zupełnie niepasujący do jej osobowości. Maleńka spirala czegoś nieokreślonego - nie, to nie był strach, raczej niepewność, zimna jak lód niepewność - zaczęła torować sobie drogę w głębi żołądka Jonathana.

- Jonathan - odezwała się w końcu. - Czy możesz mi wyjaśnić tylko jedną rzecz? Wciąż nie rozumiem, jakim cudem znalazłeś się na M4 zamiast na M40.

- Och... - powiedział, sam zdumiony łatwością, z jaką mu to przyszło. - Pomyślałem, że skoro jadę w piątek po południu, to może warto skrócić sobie drogę, zamiast tkwić na M40, która naprawdę jest okropna. W kierunku M25 zawsze robi się korek. Tak więc widzisz, że to wcale nie jest taki głupi pomysł, jak na to wygląda. Jednak w tym wypadku popełniłem błąd, jak się okazało.

- Tak, z pewnością to był błąd. Ale... Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Przynajmniej dla ciebie. Na razie zostawiam cię w spokoju, kochanie. Zobaczymy się później.

Wyszła, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Jonathan nagle poczuł, jak ogarnia go strach. Koniecznie musi porozmawiać z Abi, i to najszybciej, jak się da.

- Jonathan? Jonathanie, musimy porozmawiać.

- Jak dobrze, że dzwonicz! Ale akurat teraz jestem trochę zajęty. Oddzwonię później. Co u ciebie, wszystko w porządku?

Z pewnością tam była - tam albo gdzieś w pobliżu.

- Tak, wszystko dobrze - odparła. - Ale...

- No to świetnie. Odezwę się jutro z samego rana, a może uda mi się zadzwonić do ciebie jeszcze dziś wieczorem, tylko później? Wtedy będziemy mogli pogadać o paru sprawach. W każdym razie dzięki za telefon. To na razie...

Najwyraźniej nie była to dogodna chwila, by poinformować Jonathana o tym, że William rozmawiał z Laurą. Szkoda. Szkoda z wielu różnych powodów. Choć ona bynajmniej nie czekała, aż Jonathan o wszystkim się dowie.

- Pani Connell, dzień dobry! Pani mąż jest w całkiem niezłym stanie. Prawdę powiedziawszy, nawet w doskonałym. Świetnie sobie daje radę.

Nad nią znów stał doktor Pritchard. Maeve zdołała zdobyć się na uśmiech.

- Nasza pielęgniarka oddziałowa uważa, że powinna pani wrócić na jeden dzień do domu i ja się z nią zgadzam, bo wygląda pani na kompletnie wykończoną. Pani małżonek jest w naprawdę dobrych rękach.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała. - Dobrze o tym wiem. Ale...

- Ma pani tutaj samochód?

- Nie, nie mam. Wczoraj przywiozła mnie przyjaciółka, ale od razu wróciła do domu. Jutro przyjeżdża moja matka, może będę mogła pojechać z nią.

- Więc może pojedzie pani pociągiem?

- Ja... - Zawahała się, a potem zalała się łzami. Wcześniej nie płakała, ani razu, a teraz drobne problemy - konieczność dostania się do domu, brak pieniędzy na kupno biletu na pociąg - zdawały się zupełnie ją przytłaczać. - Rzecz w tym, że nie bardzo... Nie bardzo mam za co kupić bilet, więc...

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

- Pani Connell... To znaczy Maeve... Czy nie ma pani nic przeciwko temu, że będę nazywał panią Maeve?

Bezradnie pokręciła głową.

- Maeve, muszę wyskoczyć na parę minut, pojechać do miasta... Mogę cię podwieźć na stację, jeśli chcesz. A jeśli brakuje ci pieniędzy, chętnie pożyczę dwadzieścia funtów, jeśli to ci pomoże.

- Chyba nie powinnam...

- Dlaczego nie? Oddasz mi następnym razem, kiedy się zobaczymy. A teraz chodź, wytrzymaj oczy. Przyjdę po ciebie za jakieś dziesięć minut. I nie próbuj się sprzeciwiać, bo będę nalegał. O męża nie musisz się martwić. Oczywiście nie jest w bardzo dobrym stanie, ale tak czy owak, jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Można powiedzieć, że to prawdziwy cud...

Jack Bryant usadowił się w niesamowicie wygodnym, sfatygowanym ze starości fotelu, który stał w pomieszczeniu nazywanym przez Hugh'a Mackintosha gabinetem, choć zajmowało ono znaczną część mieszkania. Był przepiękny wieczór - panorama wrzosowisk zapierała dech w piersiach, a ich kolory powoli zaczynały nabierać intensywnych barw jesieni. Jack wprowadził się tutaj na kilka dni.

- Jeszcze jeden dzin, Jack? - Mackintosh podniósł butelkę i zakołysał nią znacząco.

Był jednym z najstarszych przyjaciół Jacka; w latach sześćdziesiątych spędzili wspólnie diabelnie dużo czasu - co noc zaglądali do Annabel albo do innych ptaszynek, a Mackintosh uczył Jacka, jak posługiwać się strzelbą. Naprawdę był z niego świetny kumpel.

Jack uśmiechnął się od ucha do ucha i wyciągnął szklaneczkę.

- Dzięki, stary. Chętnie.

- Musisz być zmęczony. W sumie przejechałeś kawał drogi. To chyba dość nużące, nawet w takim szatańskim cudeńku jak twój wóz.

- Było całkiem fajnie. Lubię prowadzić. Przyjemnie jest rozpędzić się trochę taką leciwą babuleńką. Poza tym zatrzymałem się na noc w Yorku.

- Nie utknąłeś gdzieś przypadkiem przez tę katastrofę na M4? Pomyśleliśmy, że pewnie trochę się spóźnisz.

- Nie, miałem cholernego farta. Ominęło mnie to dosłownie o włos. Czytałem, że to stało się o czwartej po południu. Musiałem przejeżdżać tamtędy najwyżej pięć minut wcześniej. Może nawet nie pięć.

- Chryste... Wygląda na to, że twój Anioł Stróż dobrze się spisał.

- Bardzo wątpię. Jak wiesz, wszystkie anioły zrezygnowały z opieki nade mną już wiele lat temu, choć przyznaję, że ta myśl wydaje się nieco koszmarna.

- No to zostawiam cię, żebyś się rozgościł. Pewnie będziesz chciał przed kolacją wziąć kąpiel? Nie ma pośpiechu, spotykamy się na dole na drinku o siódmej trzydzięci. Moira już umiera z niecierpliwości, żeby cię zobaczyć...

Luke uśmiechnął się do Emmy.

- Wyglądasz bajecznie, laleczko. Uwielbiam tę sukienkę.

Dobrze o tym wiedziała; sukienka była czarna, z głębokim dekoltem i bardzo króciutka. Tak jak powinna wyglądać sukienka dziewczyny takiego faceta jak Luke.

Właśnie jechali taksówką do restauracji. Parę godzin snu bardzo Emmie pomogło; czuła się szczęśliwa i odprężona. I prawdę powiedziawszy, seksowna jak diabli.

Ubrany w uniform odźwierny stał przed wejściem do Dorchester. Prędko otworzył drzwi taksówki i w pełnej szacunku pozie stanął obok, kiedy wysiadali.

Tak powinny wyglądać eleganckie knajpy, pomyślała Emma. Fajne bary też były w porządku, ale jeśli człowiek zamierza wydać kupę kasy, należy mu się odrobina luksusu. Pełnym szczęścia uśmiechem obrzuciła Luke'a, kiedy odźwierny wpuszczał ich przez wahadłowe drzwi do środka, a potem przystanąła, rozglądając się po hotelowym lobby. Wydawało się niesamowicie luksusowe, z wielkimi dzbanami pełnymi kwiatów, miękkimi sofami i uśmiechniętym personelem.

- Do restauracji proszę - powiedział Luke. - Alain Ducasse.

- Oczywiście, sir. Tędy proszę.

- Luke - szepnęła Emma. - Muszę iść do toalety. Ty wejdź na salę, a ja za moment do ciebie dołączę.

- W porządku. Świetny pomysł.

Damska łazienka okazała się szczytem dobrego smaku. Jakaś kobieta stała przy umywalce z ręcznikiem w rękę, dopóki Emma nie wyszła z kabiny, a następnie czekała, aż umyje ręce, żeby go jej podać, potem odebrała i wrzuciła do kosza. Emma niemal się spodziewała, że za chwilę sama ją uczesze i pomoże nałożyć szminkę na usta.

Niespiesznym krokiem wróciła do lobby, rozglądając się w poszukiwaniu kogoś, kto powie jej, jak trafić do restauracji, kiedy usłyszała parę słów, wypowiedzianych z wyraźnym amerykańskim akcentem.

- St. Marks Hospital, Swindon. Tak... Proszę poczekać, niech sprawdzę... Agatha Ward. Czy może pani potwierdzić, że ona będzie tam jutro z samego rana? Poczekaam.

Stał przy telefonie, niecierpliwie postukując palcami o kontuar recepcjonistki - wysoki, ze srebrnobiałymi włosami, o błękitnych oczach Paula Newmana i ze zgrabnie przyciętą bródką. Był wyraźnie starszym panem, ale trzymał się prosto jak struna, a na sobie miał garnitur, który wyglądał tak, jakby przyniesiono go prosto od krawca.

Dziewczyna w recepcji podniosła wzrok znad telefonu.

- Tak, panie Mackenzie. Wszystko się zgadza.

- Dobrze, dobrze... Chcę zamówić samochód, żeby zawiózł mnie tam z samego rana. Muszę odwiedzić przyjaciółkę. Chciałbym być na miejscu... Niech pomyślę... Najlepiej o dziewiątej.

W tym momencie Emma postanowiła wkroczyć i żwawym krokiem podeszła do recepcji.

- Proszę mi wybaczyć, że się wtrącam, ale jestem lekarzem i pracuję w szpitalu Świętego Marka. Bardzo mi przykro, ale o dziewiątej nie zostanie pan wpuszczony do środka. Najwcześniej o dziesiątej trzydzięci.

Mężczyzna popatrzył na nią z ukosa. W pierwszej chwili pomyślała, że pewnie wybuchnie gniewem, ale on się uśmiechnął - słodkim, uprzejmym uśmiechem.

- To nadzwyczaj uprzejmie z pani strony - powiedział. - I oczywiście wybaczam, że się pani wtrąciła. Bardzo dziękuję. W takim razie proszę zamówić samochód o półtorej godziny później - dodał, zwracając się do recepcjonistki, a potem wziął Emmę pod rękę i odprowadził na bok. - Czy byłaby pani tak uprzejma przekazać

mi nieco informacji o pewnej pacjentce... Chodzi o panią Bristow, panią Mary Bristow. Wczoraj znalazła się wśród ofiar tej katastrofy na autostradzie.

Najwyraźniej ten człowiek na co dzień żył w świecie, gdzie szpitale były małe i ekskluzywnie wyposażone, pomyślała Emma, i gdzie lekarz znał na pamięć imiona i nazwiska wszystkich pacjentów.

- Przykro mi - odpowiedziała - ale w naszym szpitalu zwykle przebywa na oddziałach około tysiąca pięciuset osób. Wczoraj akurat byłam na dyżurze na oddziale ratunkowym, kiedy zaczęli przyjeżdżać do nas ludzie poszkodowani w tym wypadku, i obawiam się, że nie pamiętam, czy wśród nich znajdowała się pani Bristow. Czy ona... Czy to taka starsza pani?

- Troszkę starsza. - Uśmiechnął się łagodnie. - Czy wolno mi nadmienić, tak przy okazji, że wygląda pani stanowczo zbyt młodo jak na doktora?

Emma odwzajemniła uśmiech.

- Ale jestem doktorem, może mi pan wierzyć. W każdym razie, mogę przypuszczać, że pani Bristow nie może być poważnie ranna, skoro jutro się pan do niej wybiera.

- Wierzę, że tak. Nie powiedzieli mi zbyt wiele, kiedy dzwoniłem. Z wyjątkiem tego, że ona czuje się nieźle...

- I że może pan przyjechać i ją odwiedzić?

- Tak. A jej córka, kiedy z nią rozmawiałem, także powiedziała, że mama jest w nienajgorszym stanie. Ale... Jak rozumiem, nie uda się pani zdobyć więcej informacji na temat jej zdrowia? Mam na myśli tutaj, od razu, bo, szczerze mówiąc, trochę się niepokoję.

- Cóż... No dobrze, zobaczę, co się da zrobić. Tylko... Właściwie jestem tu z moim chłopakiem, który zaprosił mnie na kolację, więc zaraz powinnam do niego wracać.

- Och, moja droga młoda damo, ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to stawać na drodze prawdziwej miłości... Proszę zapomnieć o mojej prośbie. Jestem pewien, że Mary czuje się całkiem dobrze.

- Nie, nie, wszystko w porządku! Zaraz pójdę i mu powiem, że musi jeszcze chwilę poczekać, a potem do nich zadzwonię, dobrze? Czy mogłaby mi pani pokazać, którądy się idzie do restauracji? - zwróciła się do dziewczyny w recepcji. - Już nie trzeba - dodała zaraz. - Mój chłopak właśnie tu idzie.

Luke był nieco zirytowany, a jego irytacja wzrosła, gdy usłyszał, że Emma przyjdzie za kolejne pięć minut. Nawet jej wyjaśnienia niczego tu nie zmieniły.

- Nie miałem pojęcia, że musisz być pod telefonem - zaczął.

- Luke...

Starszy dżentelmen posunął się o krok w ich kierunku i wyciągnął rękę do Luke'a.

- Russell Mackenzie. Bardzo mi przykro, że zakłóciłem państwu ten miły wieczór, ale bardzo martwię się o przyjaciółkę, która właśnie leży w szpitalu. Pańska przeurocza narzeczona zaproponowała mi pomoc.

- No, pięknie - burknął Luke. - W takim razie czekam przy stoliku.

- Ojej - zmartwił się Russell Mackenzie. - Zdaje się, że trochę się zdenerwował.

- Przejdzie mu - powiedziała Emma. - To dobry chłopak. No to zobaczymy, co mogę dla pana zrobić. Nic nie obiecuję, ale...

Pięć minut później z uśmiechem odwróciła się do Russella.

- Pani Bristow czuje się bardzo, bardzo dobrze. Miała atak dusznicy na miejscu katastrofy, więc musieli poddać ją badaniu pod narkozą. Zdaniem naszych lekarzy prawdopodobnie był to niegroźny atak serca. Ale teraz jest już całkiem dobrze. Nie ma najmniejszych problemów, może pan ją jutro odwiedzić.

- Nie wiem, jak pani dziękować - powiedział Russell. - A teraz niech pani lepiej idzie do tego swojego młodzieńca. Do tego szczęściarza.

- W porządku - oznajmił Jonathan. - Właśnie to powiemy. Nasza znajomość była czysto zawodowa; jesteś koleżanką...

- Koleżanką? Jak mogę być twoją koleżanką? Przecież nie jestem lekarzem.

- Oczywiście, że nie jesteś! Robisz zdjęcia na konferencjach. Albo raczej robi to twój szef. Tak więc przypadkiem poznaliśmy się na konferencji w Birmingham. Dziś rano przyjechałaś pociągiem do Bristolu.

- Jonathan, oni mogą to sprawdzić.

- Psiakrew, dlaczego mieliby coś sprawdzać?! Nie mają powodu, żeby nam nie wierzyć, do jasnej cholery, przecież nie mamy nic wspólnego z tym wypadkiem! Chcą się jedynie dowiedzieć, co widzieliśmy, a nie dlaczego byliśmy tam razem. To dwie zupełnie różne sprawy. Po prostu podwoziłem cię do Londynu, albo może nie do Londynu, może raczej do Reading, jak uważasz?

- Gdziekolwiek - mruknęła.

Czuła się bliska łez, choć sama nie wiedziała dlaczego.

- W porządku, w takim razie Reading. Tylko nie zapomnij!

- Po co miałabym jechać do Reading?

- Żeby odwiedzić przyjaciół. Na weekend.

- Jonathan, to robi się strasznie skomplikowane. Nie sądzisz, że byłoby lepiej powiedzieć prawdę?

- Abi, nie! Na litość boską! Chyba nie chcesz...

Urwał nagle.

- Czego nie chcę, Jonathan? Tak, rozumiem! Chodzi o twoje małżeństwo. O to, że możesz zostać przyłapany z opuszczonymi portkami, i to całkiem dosłownie?

- Ja... No cóż, tak, do pewnego stopnia. Nie chcę ranić Laury.

- Może należało pomyśleć o tym wcześniej.

- Chryste! - Niemal słyszała, jak on walczy ze sobą, żeby za wszelką cenę zachować spokój. - Posłuchaj, Abi... O wiele bardziej prawdopodobne, że wpadniemy w kłopoty, jeśli ktoś domyśli się, że mieliśmy romans.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy wpaść w kłopoty? Ostatecznie nie robiliśmy nic złego. Och... Tylko że ty akurat gadałeś przez telefon.

Nie mogła się oprzeć, by tego nie powiedzieć.

- Tak, i mam nadzieję, że ten fakt nie wyjdzie na jaw. - Teraz jego ton był lodowaty. - Uważam, że nie ma potrzeby, żebyś o tym wspominała. Oczywiście, dopóki nikt cię nie zapyta. Czy to jest... To znaczy, mam nadzieję, że zgadzasz się ze mną?

- Czemu niby mam skłamać na policji?

- Nie proszę, żebyś kłamała. Proszę tylko, żebyś po prostu o tym nie mówiła.

Abi nie odpowiedziała. Niemal czuła, jak on poci się ze strachu. To było bardzo, bardzo przyjemne uczucie.

- Abi? - odezwał się. - Czy mam uważać, że się zgodziłaś?

- No cóż... Może najpierw zobaczymy, co z tego wyjdzie?

- Nie, Abi. Muszę wiedzieć, że się zgadzasz.

- Nie rozumiem dlaczego. Jeśli zapytają, to zapytają. Posłuchaj, Jonathan, w żaden sposób nie jesteś odpowiedzialny za tę katastrofę, rozumiesz? Ciężarówka wpadła w poślizg. Nie zdołała wyhamować, przebiła się przez barierę... My po prostu przypadkiem byliśmy na miejscu. W nic nie uderzyliśmy, ani z naszej przyczyny nikt w nic nie uderzył. A potem ty zachowałeś się jak prawdziwy lekarz z bajki. Co, według ciebie, może wzbudzić ich podejrzenia?

- Nic. To chyba oczywiste. Chodzi tylko o to... No cóż, dręczy mnie coś nieokreślonego i za cholerę nie umiem sobie z tym poradzić. Sam nie wiem, skąd mi się to wzięło. W każdym razie cieszę się, że ty jesteś spokojna.

- Tak - odparła, zdając sobie sprawę, że nie mówi całkowitej prawdy. - Nic mnie nie dręczy. Jednak wcale, ale to wcale nie podoba mi się pomysł, żeby kłamać przed policją.

W słuchawce zapadła długa cisza. Wreszcie Jonathan westchnął głęboko.

- Abi, musisz to zrobić ze względu na mnie.

- Sam powiedziałeś przecież, że właściwie wcale nie muszę. Trochę to śmieszne, nie sądzisz?

Znowu milczał, lecz tym razem znacznie krócej.

- Wydaje mi się, Abi, że jednak powinnaś trzymać język za zębami. Naprawdę.

- A to z jakiego powodu?

- Bo pewnie byś wolała, żebym nie opowiedział gliniarzom o twoim małym nałogu, co?

Dosłownie poczuła, jak ziemia usuwa się jej spod stóp. On nie mógł tego powiedzieć, zwyczajnie nie mógł! Miała przecież przyjaciółkę, która mogła zostać przyłapana z prochami w jej mieszkanku; Abi groził za to wyrok w zawieszeniu i duża grzywna. Mogła stracić pracę, może nawet trafić do więzienia...

- Nie wierzę, że to powiedziałaś... że ci to w ogóle przemknęło przez myśl - odparła, sama zdumiona, że jej głos brzmi tak pewnie. - Przy okazji przypominam ci, że zdaje się, też lubiłeś coś tam wciągnąć.

- Miałaś spore kłopoty, gdybyś chciała mi to udowodnić. Zresztą sama dostarczałaś towar. I raczej wcale się z tym nie kryłaś przy jednej czy drugiej okazji. Poza tym, jak sądzisz, komu uwierzą? Tobie czy mnie?

Odrzuciła głowę do tyłu, wpatrując się w sufit i walcząc z piekącymi łzami. Te słowa padły z ust człowieka, który twierdził, że obchodzi go jej los; który postarał się ją odszukać, który mówił, że ona jest jedną z najlepszych rzeczy, jakie mu się w życiu przytrafiły...

- Nie martw się, Abi. To chyba jasne, że nie doniosę na ciebie policji. Ani nie zdradzę cię przed twoim szefem. Przynajmniej dopóty, dopóki będziesz robić to, o co proszę. W porządku? Po prostu trzymaj się naszej wersji, to nic trudnego. Jesteś przecież mądrą dziewczynką.

- Pieprz się, Jonathanie Gilliatt! Idź do diabła!

- A więc... Czy mam rozumieć, że się zgadzasz?

Nawet jeśli policja mu nie uwierzy, to i tak zaczną ją sprawdzać, przesłuchiwać jej przyjaciół, kolegów z pracy, Sylvie, wszystkich...

- Tak - warknęła. - Odpieprz się.

- Dobrze. W porządku. No cóż, wydaje mi się, że wszystko ustalone. A teraz im mniej będziemy się kontaktować, tym lepiej, przynajmniej w tej chwili. Nie dzwoń do mnie.

- Nie zamierzam. Możesz być spokojny.

- Dobrze. I pamiętaj, bądź naturalna. Bez namysłu przerwała połączenie.

Gnojek! Pieprzony gnojek! Jak mogła tak się w nim zadurzyć, do jasnej cholery?

Ale... Wielki Boże! A jeśli on... Nie chodzi o to, że trzymała towar w domu. Po prostu kupowała działkę, kiedy była jej potrzebna. To znaczy niezbyt często. Ale mimo to...

Nagle poczuła, jak w jej żołądku wzbiera fala mdłości. Zerwała się i popędziła do łazienki dosłownie w ostatniej chwili. Już po wszystkim weszła pod prysznic i stała przez długi czas, w końcu wyszła i położyła się na łóżku.

Później, próbując jakoś uspokoić strach, który rósł w niej coraz szybciej, pomyślała, że ani myśli uprzedzić Jonathana o rozmowie, jaką William przeprowadził z Laurą. Niechże przynajmniej w tej sprawie sam wykopie sobie grób. Śmieszne, że Laura jeszcze o tym nie wspomniała. Widocznie była zdecydowanie sprytniejsza, niż Abi sądziła, i postanowiła poczekać, aż Jonathan na czymś się potknie. Mądre zagranie, naprawdę bardzo mądre. Może Abi źle ją oceniała.

- Emmo, jest coś ważnego, co chciałbym ci powiedzieć...

- Tak, Luke?

- Rzecz w tym, że nie powiedziałem ci tego wcześniej, bo nie byłem pewien. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nikomu tego nie mówiłem...

Odłożyła na bok widelec. To było bardzo... Bardzo...

- Ja... Kocham cię, kociaczk. Naprawdę cię kocham.

- Och, Luke...

Czuła, jak w jej oczach wzbierają łzy: cudowne, gorące łzy szczęścia.

- Hej! - zawołał. - Hej, pomysł był taki, żeby cię uszczęśliwić!

- Wybacz. Jestem szczęśliwa. Bardzo.

Miała nadzieję, że tusz nie zdążył się rozmazać.

- Chodzi o to, że trochę trwało, zanim zdałem sobie z tego sprawę, ale wczoraj wieczorem porozmawiałem z mamą i...

Luke w denerwujący sposób był oddany swojej mamusce; każda dziewczyna musiała się liczyć z tym, że zawsze będzie na drugim miejscu.

- Tak?

- No i mama powiedziała, że dla niej to było oczywiste, bo nigdy wcześniej nie słyszała, żebym o kimś tak mówił, i że jej zdaniem powinienem ci powiedzieć...

Kochana, stara mamunia! Jeśli by teraz weszła do restauracji, Emma rzuciłaby się jej na szyję. Musi jak najszybciej zmienić swój stosunek do niej.

- Och, Luke...

- A więc... No widzisz, że to całkiem poważne. Naprawdę.

Zachowała milczenie, bo nagle zdała sobie sprawę, że Luke sprawia wrażenie lekko zakłopotanego.

- Luke, to było coś cudownego - powiedziała po chwili. - Po prostu cudownego.

- Dobrze. Ale jest coś jeszcze... Kiwaniem palca przywołał kelnera.

- Czy mógłbym prosić o przyniesienie tej paczuszki? Tej, o której schowanie prosiłem pana wcześniej.

- Oczywiście, sir.

Siedziała w mękach niepewności. Paczuszka? Co może się w niej znajdować? Jakiś... Och, Emma, na pewno nie to! Z pewnością to coś innego. Jeszcze nie teraz, nie...

Kelner położył paczuszkę przed Luke'em; była niebieskiego koloru - tego jedyne w swoim rodzaju, miękkiego, zabarwionego turkusem błękitu, przewiązana białą wstążką... Tiffany! Paczuszka od Tiffany'ego! Co można kupić u Tiffany'ego? No cóż, mnóstwo rzeczy, ale...

Luke wręczył jej paczuszkę.

- Proszę - powiedział. - Otwórz ją.

Drżącymi rękoma rozsupłała wstążkę; w środku zawiniątka znajdowało się pudełeczko. Całkiem nieduże pudełeczko. Zawiązane następną białą wstążką.

Rozwiązała ten następny węzeł, uniosła wieczko i wyciągnęła malutką, błękitną poduszeczkę. Co to było? Cóż innego mogło by to być, jeśli nie...

- Och, Luke, jakie to śliczne! Cudowne. Luke! O Boże!

Ze wszystkich sił starała się, żeby w jej głosie brzmiał entuzjazm, żeby Luke nie usłyszał w nim odrobiny rozczarowania, które... No cóż, które niewątpliwie też tam było. Emma, Emma, on przecież cię kocha! Niech ci to wystarczy - wszystko inne to byłoby za dużo, przynajmniej teraz. Nie bądź śmieszna... Zresztą, jaka dziewczyna byłaby rozczarowana, dostając w prezencie złote serduszko Palomy Picasso na złotym łańcuszku - zwłaszcza że nie było to samo złoto, lecz inkrustowane maleńkimi diamentkami. Boże, to cudeńko musiało kosztować fortunę! Luke chyba rzeczywiście jest do niej bardzo przywiązany. Nie szkodzi, że to nie pierścionek. Ten naszyjnik jest naprawdę przepiękny...

- Bardzo mi się podoba. - Uśmiechnęła się i schyliła w stronę Luke'a, by go pocałować. - Jest po prostu śliczny. Bardzo ci dziękuję. A teraz pomóż mi go założyć...

- To super. Tak myślałem, że ci się spodoba. Teraz musisz go zawsze nosić, Emmo, i przez cały czas o mnie myśleć. Nawet kiedy odjadę.

- Oczywiście, że będę o tobie myśleć - zawołała i lzy znów stanęły jej w oczach. - Obiecuję, Luke, naprawdę będę myśleć. Nie mogłabym go zdjąć, nigdy... Skarbie, znów muszę iść do łazienki. Na pewno rozmazał mi się makijaż i...

Dopiero gdy poprawiła makijaż, spryskała się perfumami, przyczesła włosy i z podziwem spojrzała w lustrze na swój naszyjnik, przyszło jej do głowy, że wcale nie powiedziała Luke'owi, że ona także go kocha... No cóż, na to będzie jeszcze mnóstwo czasu. Na przykład wtedy, kiedy już znajdą się w łóżku...

ROZDZIAŁ 18

W niedzielę wieczorem Mary wpadła w rozpacz, że już nigdy nie otrzyma wieści od Russella. Mijały godziny, a do niej nie dotarło nawet jedno słowo, żadna wiadomość, wszystko jedno w jakiej formie... Wyjątkowo boleśnie odebrała fakt, że Russell najwidoczniej nie zadał sobie trudu, żeby ją odszukać. Wydawało się to dowodem braku prawdziwego oddania. Ostatecznie informacje o katastrofie znalazły się we wszystkich dziennikach, i tego pierwszego ranka wystarczyło włączyć jakiegokolwiek wiadomości, by zobaczyć wymowne zdjęcia karambolu, leżącą w poprzek autostrady ciężarówkę, ambulans, policyjne wozy i helikopter. Jakim cudem Russell mógł nie zwrócić na to uwagi?

A potem przy jej łóżku zjawiała się pielęgniarka, przynosząc pewną wiadomość. Właśnie dochodziła szósta.

- To od pewnego dżentelmena, Mary. Sądząc z akcentu, to jakiś Amerykanin. Powiedział, żeby przekazać ci... szczególne wyrazy miłości. Ten pan nazywa się Mackenzie. Czy to nazwisko coś ci mówi?

- Tak - zawołała Mary. - Wielkie nieba! Oczywiście, że tak!

- Wybiera się tutaj jutro z samego rana, żeby cię odwiedzić.

W ten sposób Mary wleciała na wyżyny nieosiągalnego, nieskazitelnego szczęścia i czuła, że z tych wyżyn nigdy już nie zejdzie na dół.

W niedzielę rano najpierw przyniesiono kwiaty: wielki bukiet czerwonych róż.

- O rany - powiedziała pielęgniarka. - Zdaje się, że w tym roku walentynki wypadły wyjątkowo późno... Nie mam pojęcia, Mary, czy znajdę coś, w co mogłabym je włożyć. Nie mam wazonu tak dużego, żeby zmieścić choćby połowę z nich.

- Nie trzeba - odpowiedziała. - Spójrz, one już są w wodzie. Czy... Czy mogłabyś podać mi tę wizytówkę, proszę?

„Dla mojego ukochanego Małego Wróbelka. Do zobaczenia, bardzo bliskiego zobaczenia. Russell".
Mary wybuchnęła płaczem.

I wreszcie się zjawiał; siedł przez cały oddział, uśmiechając się od ucha do ucha, a jego wielkie, błękitne oczy były utkwione w jej twarzy. Tak naprawdę wcale się nie zmienił; wciąż był tak samo przystojny, szczupły i wysoki... Nagle minione lata gdzieś się rozplynęły i znów obydwójce byli młodzi, i stali na Parliament Square, a ona czuła, że zakochuje się w nim na śmierć i życie... Siłą woli zmusiła się, żeby nie wyskoczyć z łóżka i nie popędzić prosto w jego ramiona.

Tyle że to wcale nie było konieczne; on prawie biegł do niej, a kiedy znalazł się blisko, porwał jej dłoń i obsypał pocałunkami, ona zaś poczuła się radosna, bezpieczna i bezgranicznie szczęśliwa. Więc to właśnie była miłość, jak oboje wiedzieli od wielu, wielu lat; musieli tak wiele zrobić, żeby wykorzystać jak najlepiej czas, który im jeszcze pozostał, i zatroszczyć się o swoje uczucia, wykarmić je i pozwolić, by się rozwinęły.

Panowie z policji, albo raczej z wydziału dochodzeniowego, zadzwonili do Jonathana w niedzielę, żeby zapytać, kiedy mogliby z nim porozmawiać.

- Dzwonimy dziś wyłącznie po to, panie Gilliatt, żeby ustalić jakiś termin. Im szybciej, tym lepiej, póki jeszcze ma pan wszystko na świeżo w pamięci.

- Tak, oczywiście... Chociaż powinienem uprzedzić, że moje wspomnienia wydają mi się niejasne i nieco rozmazane.

- To zrozumiałe, sir. Proszę tylko powiedzieć nam, kiedy dysponuje pan czasem, a my zatroszczymy się o resztę.

Ostatecznie umówił się z nimi na wtorek wieczorem, na szóstą trzydzieści.

Znów miał wielkie kłopoty ze snem i właśnie siedział w swojej cieplarni, próbując czytać niedzielne wydanie jakiejś gazety, gdy do środka wsunęła się Laura, niosąc butelkę białego wina i miseczkę z oliwkami.

W jej głosie znów brzmiała sama słodycz; lodowaty ton, który usłyszał kilkanaście godzin wcześniej, rozplynął się bez śladu.

- Pomyślałam, że sobie na to zasłużyliśmy - zauważyła z uśmiechem. - No, ja z pewnością. Mam za sobą męczący dzień, zajmowanie się dziećmi, i tak dalej...

- Tak, przepraszam, skarbie, że nie miałaś ze mnie żadnego pożytku. Już czuję się znacznie lepiej i jutro wracam do normalnego życia.

- To dobrze.

- Hmm...

Cholera, jakoś musiał przez to przebrnąć. Musiał poruszyć sprawę przesłuchania przez policję.

- Jest jedna sprawa, kochanie. We wtorek wieczorem przyjedzie tu policja. Chcą porozmawiać ze mną o tym wypadku. Mają przyjechać o szóstej trzydzieści. Będziesz w domu?

- Naturalnie. Prawdę powiedziawszy, chciałabym przy tym być, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Poczuł nagle ukłucie strachu.

- Oczywiście, kochanie, ja nie mam nic przeciwko temu. Ale oni mogą uważać inaczej. No wiesz, protokół i te sprawy...

- Nie rozumiem, dlaczego. Zresztą jeśli będą chcieli, żebym wyszła, mogą mi to przecież powiedzieć, a ja zaraz posłucham. Co to dokładnie oznacza, że chcą rozmawiać z tobą, jak sądzisz?

- Sądzę, że chodzi o zbieranie dowodów, jak doszło do wypadku, co dokładnie widziałem i...

- Tak, rozumiem. A twoim zdaniem, jak do tego doszło? Znów ogarnął go lodowaty ziąb.

- No wiesz... Właściwie trudno coś powiedzieć. Wszyscy jechali bardzo porządnie, nikt nie dodawał gazu... I nagle, ni stąd, ni zowąd, ta ciężarówka skręciła i wydaje mi się, że wpadła w poślizg, i przedarła się przez barierę. Tuż przedtem padało i oczywiście...

- Rozumiem. A ty gdzie byłeś? Przed nią? Z boku?

- Lauro, co to ma być? Próba przed wtorkowym przesłuchaniem?

- Nie bądź śmieszny, skarbie. Przecież mogłam cię stracić! To chyba naturalne, że chcę o wszystkim wiedzieć.

- Tak, przepraszam, oczywiście... Jechałem prawie obok tej ciężarówki.

Po wewnętrznym pasie. Tuż przede mną był jakiś stary samochód, który przypuszczalnie pojechał dalej, natomiast bezpośrednio przed ciężarówką był taki sportowy wóz, zdaje się że jaguar. On także gdzieś zniknął.

Właściwie nie było żadnego powodu, żeby ciężarówka zrobiła to, co zrobiła. Myślałem, że może strzeliła jej opona, ale kiedy się przyjrzałem, wszystkie opony były nieuszkodzone. W każdym razie, w pewnej chwili zorientowałem się - dokładnie tak, jak mówię, bo wcale nie pamiętam, jak tam się znalazłem - że stoję na pasie awaryjnym, kilka metrów przed nim, jak mi się zdaje. To wszystko było cholernie przerażające.

- Oczywiście. To musiało być przerażające. A potem zacząłeś pomagać tym wszystkim ludziom, tak? Jakie to szlachetne z twojej strony, Jonathanie; mieli prawdziwe szczęście, że byłeś na miejscu.

- No, może trochę... Ja też uważam, że jakoś im pomogłem. Taką mam nadzieję. Tylko... Lauro... Jest jedna rzecz, o której nie wspomniałem ci wcześniej... To głupstwo, naprawdę bez znaczenia, ale podczas przesłuchania może wyjść na jaw.

- Co takiego?

- Ja... Ja nie byłem sam w samochodzie. Czuł, jak pot spływa mu po plecach.

- Rozumiem, że kogoś podwoziłeś, tak?

- No tak, coś w tym stylu. Spotkałem tę kobietę na konferencji. Była bardzo miła i potrzebowała, żeby podzucić ją do Reading, bo zdaje się, że miała jakieś problemy ze swoim samochodem...

Musi zapamiętać, żeby uprzedzić Abi; Chryste, ależ to wszystko zaczęło się komplikować.

- Och, to bardzo uprzejmie z twojej strony. Miałeś kolejny powód, żeby zrobić sobie skrót przez M4. No bo jeśli ona potrzebowała dostać się do Reading...

- Nie, wcale nie! Pod koniec porannej sesji wspomniałem coś o tym, że chyba tamtędy pojedę, a wtedy spytała, czy mógłbym ją podwieźć.

- Rozumiem... To była lekarka, tak?

- Nie, pracowała w agencji PR. Tej, która obsługiwała konferencję. Ona... była asystentką fotografa, spisywała dane wszystkich osób i takie tam różne detale, tego typu rzeczy. W każdym razie jechała ze mną w samochodzie, a policja oczywiście spisywała dane i adresy wszystkich obecnych, więc także jej... dlatego muszę o niej wspomnieć, sama rozumiesz. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli cię uprzedzę, żebyś... No, żebyś nie była zaskoczona, to wszystko. Zwłaszcza jeśli zamierzasz być ze mną podczas tego przesłuchania. Ja bardzo chcę, żebyś była. To niezbyt miła rzecz, wspominać tamto wydarzenie w najdrobniejszych szczegółach.

- Jasne, że nie... To bardzo ładnie z twojej strony, skarbie. Dziękuję, że mi powiedziałeś.

Odchyliła się na oparcie krzesła, pociągnęła łyk wina i uśmiechnęła się słodko.

- Powiedz mi, Jonathanie... Czy może przypadkiem to była... Abi? Czy tak miała na imię ta kobieta?

Oczywiście byłoby lepiej, gdyby nie rozlał wina. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Laura obserwuje go bacznie, gdy raczej bezskutecznie starał się osuszyć tacę swoją chusteczką, a potem papierową serwetką, którą mu podała. Przez cały czas na jej twarzy gościł ten nowy, zimny i pełen rezerwy wyraz. Wreszcie z powrotem usiadł na krześle i jakoś zdołał uśmiechnąć się do niej.

- Przepraszam, kochanie. Strasznie nabałaganilem.

- Można tak powiedzieć - odparła, a jego uwadze nie umknął pewien szczególny ton w jej głosie.

- Owszem... Miała na imię Abi. Abi Scott. Jak... Jak się dowiedziałeś?

- Zadzwoił to mnie jakiś przemiły młody człowiek, powiedział, że był tam w piątek i że ta... Abi... dała mu swoją komórkę, żeby jej popilnował. Nie bardzo wiem, dlaczego. Potem odjechała bez niej, a ponieważ

twoje nazwisko znajdowało się w książce telefonicznej, więc zadzwonił do ciebie. Powiedział, że inne imiona nic mu nie mówiły, ale twoje rozpoznał, ponieważ kilkakrotnie je wymieniła, mówiła, że była z tobą... Był bardzo uroczy, bardzo onieśmielony, i strasznie mnie przeproszał, że zawraca mi głowę i tak dalej.

- Tak, rozumiem... No cóż, rzeczywiście to miło z jego strony. Eee... Kiedy dzwonił?

- Wczoraj po południu. Kiedy poszedłeś spać.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- Och, najdroższy, nie chciałam cię budzić. A potem zapomniałam. Aż do teraz.

Znów się uśmiechnęła, tym razem omdlewającym uśmiechem.

- Więc... Jedyne, co mnie zastanawia, Jonathanie, to czemu twój numer znalazł się w jej telefonie?

Przecież dopiero się poznaliście.

- No... - odparł, szybko zastanawiając się nad odpowiedzią. - No wiesz, ja chodziłem po całym terenie, od samochodu do samochodu, a ona zajmowała się innymi rzeczami, więc wstukałem w jej komórkę swój numer, żebyśmy mogli mieć ze sobą kontakt. To samo zrobiłem z kilkoma innymi osobami, na przykład z tą dziewczyną, która zaczęła przedwcześnie rodzić... Nawiasem mówiąc, muszę zadzwonić do szpitala i zapytać, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Podałem też swój numer pewnemu miłemu koledze, który jechał jako świadek na ślub swojego kumpla - tego, którego noga jest tak paskudnie pogruchotana.

- Rozumiem. - Westchnęła lekko. - Jonathanie, lepiej, żeby to była prawda. W przeciwnym razie sama nie wiem, co mogłabym zrobić. Poza tym, że chciałabym mieć pewność, że ci się to nie spodoba.

Potem wstała i wyszła z gabinetu, a kiedy parę minut później ruszył w ślad za nią, nigdzie nie mógł jej znaleźć.

ROZDZIAŁ 19

Pierwszą reakcją Lindy było powiedzieć „nie”; nie zamierzała znowu wystawiać na szwank swojej reputacji, poza tym Georgia naprawdę na to nie zasługiwała.

Ale po dwóch podwójnych espresso podjęła decyzję, że Georgia wciąż jest jej klientką i że do jej obowiązków - zawodowych - należało przedstawić jej tę propozycję. Zadzwoniła więc na komórkę Georgii, ale telefon był wyłączony. Tak samo sprawa przedstawiała się z pocztą głosową. Linda spróbowała więc połączyć się z numerem stacjonarnym. Telefon odebrała Bea Linley.

- Ach, to ty, Linda? Cześć. Miło cię słyszeć. Georgia... Niestety, nie ma jej w domu.

- Trudno. - Linda sama słyszała we własnym głosie ledwie powstrzymane rozdrażnienie. - W takim razie poproś, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze? Od razu, jak tylko wróci. To bardzo ważne.

- Tak, oczywiście. Czy chodzi o coś związanego z tą rolą? Może jednak ponownie wzięli pod uwagę jej kandydaturę?

- Coś w tym rodzaju.

- Och, Linda, to cudownie! Jest taka zmartwiona, odkąd wróciła. Nie chce jeść, popłakuje po kątach... Powiem, żeby zadzwoniła natychmiast, jak tylko wejdzie do domu. Dziękuję, Linda. Georgia ma naprawdę mnóstwo szczęścia.

- O tak, z pewnością - przytaknęła Linda. - Naprawdę mnóstwo. No to na razie, Bea.

* * *

- Mamo! Ja nie mogę! Mówiłam przecież, żebyś powiedziała, że mnie nie ma!

- Tak zrobiłam - odparła Bea. - Ale nie sądzę, żeby Linda choć przez chwilę dała się oszukać. Tak czy owak, powinnaś do niej natychmiast zadzwonić.

- Ani mi się śni.

Bea niełatwo traciła zimną krew, ale w tym momencie nerwy odmówiły jej posłuszeństwa.

- Georgia, myślę, że najwyższy czas, żebyś spojrzała krytycznie na siebie. Nie jesteś już dzieckiem; masz dwadzieścia dwa lata. Twój ojciec i ja byliśmy bardzo cierpliwi; wspieraliśmy cię przez całe życie w każdym możliwym znaczeniu tego słowa, i to bez żadnych ograniczeń. Ty przyjmowałeś to jako rzecz całkiem naturalną. I naszą wiarę w ciebie, i praktyczną pomoc. A teraz, choć wygląda na to, że naprawdę trafia ci się szansa na zdobycie roli, ty po prostu odwracasz się plecami, nie siląc się na choćby słowo wyjaśnienia wobec mnie albo Lindy. To okropne i bardzo się za ciebie wstydzę. Teraz wychodzę do pracy. Tak, niektórzy z nas muszą pracować, co wyraźnie umknęło twojej uwadze, a kiedy wrócę, chcę się dowiedzieć, czy przygotowujesz się do wyjazdu na to przesłuchanie, czy dajesz sobie spokój z tym całym żalonym aktorstwem i bierzesz się do szukania normalnej roboty. Najwyższy czas, Georgia. Musisz podjąć decyzję.

Barney siedział przy swoim biurku, usiłując udawać, że to całkiem zwyczajny, jeden z dawno minionych poniedziałków, gdy odebrał telefon z policji. Chcieli przesłuchać go w związku z katastrofą; kiedy znajdzie czas, żeby z nimi porozmawiać?

- Och, kiedy wam pasuje - odparł, starając się zwalczyć strach, który całkiem dosłownie wyślizgiwał mu się z żołądka i kilka razy dziennie docierał aż do głowy. - Jestem do dyspozycji.

- W takim razie czy możemy przyjechać do pana do domu, sir? Jeśli to panu odpowiada. To chyba będzie bardziej przyjemne niż na posterunku, ale decyzja należy do pana...

- Oczywiście, w domu będzie lepiej. Więc jak, około siódmej? Eee... Czy może mi pan mniej więcej powiedzieć, co panów interesuje? Może spróbuję jakoś się przygotować, trochę odświeżyć pamięć.

- Zbieramy wszelkie informacje, jakie się uda, sir. Interesuje nas wszystko, co pamięta pan z tej katastrofy. Jest pan, naturalnie, świadkiem o pierwszorzędym znaczeniu. Nawiasem mówiąc, przyjedziemy we dwóch. Ja nazywam się sierżant Freeman, będzie ze mną konstabl Rowe.

- Bardzo dobrze, sierżancie. Dziękuję.

Barney ogólnie czuł się bardzo dziwnie. Oczywiście strasznie martwił się stanem zdrowia Toby'ego, ale jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia spowodowanego jego zachowaniem. Jak on mógł się wplątać w historię z taką dziewczyną? Poza tym sprawa opon; zgoda, to nie one były przyczyną wypadku, ale jednak zdarzyło się, że jedna pękła, przez co wjechali w tył samochodu znajdującego się bezpośrednio przed nimi, co wywołało skurcze porodowe u będącej w ciąży dziewczyny. Barneyowi zdawało się, że sflaczała opona mogła się do tego przyczynić albo nawet w całości być odpowiedzialna za całe zdarzenie. Powinien nalegać, żeby to sprawdzić,

zmusić jakoś Toby'ego, żeby zaczekał... Czy należało wspomnieć przed policją o tej oponie? Naprawdę potrzebował przedyskutować to z Tobym, ale Toby był w stanie, który wykluczał dyskusję z kimkolwiek na jakikolwiek temat.

Nie miała pojęcia, jak zdoła przez to przebrnąć. Choć z drugiej strony, wszystko zdawało się lepsze od siedzenia samotnie w swoim pokoju i zastanawiania się nad tym, co się wydarzyło. Od przebywania sam na sam z własnymi myślami. I ze strachem. Musi przestać się ukrywać, przestać uciekać. Ostatecznie nikt nie wiedział, co zrobiła. Początkowo wcale o tym nie pomyślała, bo kierowała nią ślepa panika. Oczywiście nikt, z wyjątkiem Patricka. Patricka, który był dla niej taki dobry.

Ale wyglądało na to, że on ma się coraz lepiej. Przynajmniej tak pisali w gazetach.

Spiesz się powoli, Georgia. Zaplanujesz najpierw jeden dzień, a potem następny. I któregoś dnia, być może nawet całkiem niedługo, pojedziesz do szpitala, żeby go odwiedzić. Pojedziesz. Naprawdę pojedziesz. Ale... Jeszcze nie dzisiaj. Wystarczająco dużo będzie cię kosztowało, żeby jakoś dostać się do Londynu i przeżyć to nieszczęsne przesłuchanie. A potem się zobaczy. Na razie trzeba zaplanować ten jeden dzień. Tylko tyle musisz dziś zrobić. Jeden dzień, nie więcej.

* * *

Mary nagle poczuła się strasznie niespokojna. Stanowczo za długo przebywała na tym oddziale. Tęskniła za małym spacerem, tylko dookoła szpitala, i zastanawiała się, czy jej na to pozwolą. Pewnie nie. Może lepiej nie pytać, tylko wyśliznąć się po cichu, kiedy nikt nie patrzy?

Z poczuciem, jakby uciekała z więzienia, ruszyła w stronę windy. Nie miała pojęcia, dokąd pójść; było tylko wydostać się z oddziału, już to sprawiało jej wystarczającą frajdę.

W windzie było pełno ludzi i wszyscy zdawali się jechać na parter, więc pomyślała, że równie dobrze może jechać i tam. Przez chwilę chodziła dookoła foyer, rozglądając się po tych szczęśliwcach, którzy mogli wyjść na ulicę, nie pytając nikogo o zgodę ani nie podpisując żadnych formularzy, a potem jej wzrok spoczął na kawiarni Costa. Lokal wyglądał dość miło i całkiem normalnie, więc kusiło ją, by wejść do środka, ale oparła się pokusie. To nie było to, na co miała ochotę. Zdecydowała się wrócić do windy i wtedy zauważyła znak kierujący na oddział intensywnej terapii. Wiedziała, co to oznacza. Intensywna terapia. Pewnie właśnie tam leży ten kierowca ciężarówki. Biedny człowiek. Kiedy stała, spoglądając w głąb korytarza, z oddziału wyszła jakaś młoda kobieta, wyraźnie wyczerpana, i spoglądając przed siebie pustymi, niewidzącymi oczyma ruszyła w stronę kawiarni, gdzie usiadła przy jednym ze stolików i natychmiast zgarbiła się nad swoją torebką.

Mary bez namysłu ruszyła jej śladem i usiadła naprzeciwko.

- Hej - odezwała się, uśmiechając przy tym zachęcająco. - Może pani powiedzieć, żebym sobie odeszła, ale, moim zdaniem, wygląda pani na kogoś, kto potrzebuje czyjś towarzystwa.

Kobieta wpatrzyła się w nią, a potem pokręciła głową.

- Czy mogę przynieść pani filiżankę herbaty?

- Nie... To znaczy... Tak, bardzo dziękuję. Poproszę dobrą i mocną, z cukrem.

Najwyraźniej była zbyt wyczerpana i zestresowana, by zastanowić się, czemu jakaś dziwna staruszka w szlafroku zawraca sobie nią głowę. Mary podeszła do kontuaru, zapłaciła za filiżankę wrzątku i torebkę herba-

ty, i przyniosła do stolika, razem z zagęszczonym mlekiem w minikartonkach oraz kilkoma paczuszkami cukru.

- Proszę. Trzeba jeszcze trochę potrzymać tę torebkę we wrzątku.

- Dziękuję. Na pewno. - Spojrzała na Mary i wreszcie zdobyła się na cień uśmiechu. - Pani jest pacjentką, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Dzięki Bogu, jeszcze tylko do końca tygodnia. Potem wracam do domu.

- No cóż, jest pani szczęśliwą kobietą.

Nieznajoma mówiła z irlandzkim akcentem, była młoda i pomimo zmizerowania raczej ładna, pomyślała Mary. Parę razy zanurzyła torebkę z herbatą w filiżance, a potem wyjęła i dolała mleka.

- Wspaniale. Bardzo pani dziękuję.

- Ależ nie ma za co. Wygląda pani na straszliwie zmęczoną.

- Bo jestem. Czuję się tak, jakbym była tu od wieków... Mój... Mój mąż leży na intensywnej terapii.

- Ach, to rzeczywiście musi być dla pani straszne. Czy miał operację?

- Tak! Bardzo poważną operację. Ale to i tak dopiero początek. - Rozplakała się, a potem spojrzała na Mary i wykrztusiła: - Przepraszam.

- Niechże pani nie będzie głupia. - Mary pogrzebała po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki. - Może chce pani o tym porozmawiać?

- Pan Fraser? Sierżant Freeman, wydział dochodzeniowy. A to jest konstabl Rowe.

- Bardzo mi miło panów poznać - powiedział Barney. - Proszę wejść do salonu. To jest moja narzeczona Amanda Baring.

- Bardzo mi miło, sierżancie - odezwała się Amanda. - Zastanawiam się... Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogłabym być obecna przy przesłuchaniu? Nie byłam na miejscu wypadku, ale pomyślałam, że może Barney łatwiej to zniesie, jeśli tu będę podczas waszej rozmowy. Obiecuję nie przerywać, ale...

Uśmiechnęła się do sierżanta Freemana, który odpowiedział jej nieco głupkowskim uśmiechem.

- Jeśli o mnie chodzi, nie widzę przeszkód - odpowiedział. - Jeśli tylko pani sobie życzy...

- Owszem. Dziękuję. A teraz, czy mogę zaproponować panom filiżankę herbaty?

- Będzie nam bardzo miło - odparł sierżant Freeman. - Z pewnością - dołączył się konstabl Rowe.

Stanowili mało dobraną parę, pomyślał Barney; Freeman był chudy, niemal wychudzony, a Rowe okrągłutki i rumiany, i wyglądał jak typowy policjant z dziecięcych bajeczek. We dwóch usadowili się na sofie, a potem Freeman wyjął wielką płachtę papieru oraz ołówek. Barney niemal się spodziewał, że najpierw go polizę...

- Zanim zaczniemy, chciałem zapytać, jak się miewa pan Weston? - spytał Freeman.

- Niestety, niezbyt dobrze. Dziś jakby trochę lepiej, ale jego noga jest paskudnie pogruchošana.

- Bardzo przykro mi to słyszeć, sir. Wracając do sprawy, rozumiem, że to on prowadził, ale pańskie wspomnienia, interpretacja zdarzeń są bardzo istotne.

Zaczęli od podstawowych danych: imienia i nazwiska, adresu, zawodu, gdzie i dlaczego tego popołudnia znaleźli się na autostradzie M4.

- Ślub był przewidziany na czwartą trzydzieści, co oznacza, że wyjeżdżając o tej porze, o której panowie wyjechali, mogliście przybyć na uroczystość z niejakim opóźnieniem.

- Tak, byliśmy raczej... do tyłu z czasem - przyznał Barney.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Eee... Tak. Pan Weston był... No cóż, dość kiepsko się czuł. Miał problemy z żołądkiem.

- Czy to miał być eufemizm, żeby powiedzieć nam, że pan Weston miał kaca, sir? Proszę wybaczyć podejrzenia, ale...

- Nie - powiedział zdecydowanie Barney. - Poprzedniego wieczora wypił parę drinków, ale zapewniam was, że wyjechaliśmy następnego dnia dopiero w porze lunchu, więc do tego czasu był już całkowicie trzeźwy. Nie, po prostu rano kilka razy zdarzyło mu się wymiotować.

- Czy może nam pan powiedzieć, sir, ile dokładnie wypił pan Weston? To dość istotne, co zapewne sam pan wie, jak przypuszczam.

Barney stłumił irytację. Naprawdę nie spodziewał się takich pytań.

- Wydaje mi się... Pół butelki wina do kolacji, z pewnością nie więcej... A potem parę szklaneczek whisky.

- Czy pan także pił, sir?

- Owszem.

- Co poza tym robiliście wieczorem? Mam na myśli po kolacji?

- Och... pływaliśmy w basenie. Rozmawialiśmy. Słuchaliśmy muzyki.

- Wróćmy do podróży... Dlaczego wybraliście trasę przez M4?

- Żeby nie jechać niekończącymi się bocznymi drózkami i wąskimi drogami, a poza tym musieliśmy zatankować. Przyszło nam na myśl, że będzie lepiej podjechać na stację benzynową. Bak był niemal pusty.

- Proszę mi wybaczyć tę uwagę, sir, ale czy nie sądzi pan, że obowiązkiem drużby jest załatwić tego typu sprawy w bardziej dogodnym momencie?

- Może, ale przypuszczałem, że Toby o tym pamiętał. Był w domu przez cały poprzedni dzień. - Barney znów poczuł, że ogarnia go napięcie i strach. - Ale ja faktycznie powinienem był to sprawdzić, ma pan rację. Czy... Czy to naprawdę ma związek ze sprawą?

- Prawdopodobnie nie, sir... Jak rozumiem, rodzice pana Westona byli w domu, tak? Kiedy wyjechali?

- Około dziesiątej trzydzieści. Byli umówieni z przyjaciółmi na lunch w Marlborough.

- Czy nie niepokoił ich stan zdrowia syna?

- No... Jakoś udało nam się ukryć to przed nimi. Z pewnością byliby bardzo zdenerwowani.

- Rozumiem... Kiedy wyjeżdżaliście z domu, kto prowadził samochód?

- Ja.

- A więc zatrzymał się pan na stacji benzynowej, żeby zatankować, tak? Czy po drodze tam zdarzyło się coś godnego uwagi?

- Zostaliśmy zatrzymani przez policyjny patrol.

- Za przekroczenie prędkości?

- Zgadza się. To oczywiście przyczyniło się do dalszego opóźnienia. Bardzo się przyczyniło.

- Przypuszczalnie dmuchał pan w alkomat, tak?

- Owszem. - Barney czuł się coraz bardziej osaczony. - Ale wynik był absolutnie w normie.

- No dobrze... Naturalnie musimy to sprawdzić. Czy wolno mi zapytać, z jaką prędkością pan jechał, kiedy zatrzymała was policja?

- Eee... Sto czterdzieści - wykrztusił Barney, rzucając na Amandę pełne skruchy spojrzenie.

- Troszeczkę ponad dopuszczalny limit. No dobrze, teraz nie będziemy tracić na to czasu. Zanotował coś na osobnej kartce. - A potem pojechali panowie dalej? Na stację benzynową?

- Tak, zgadza się.

- I... tam napełnił pan bak. Czy coś jeszcze?

To był ten moment. Mimo wszystko uważał, że nie ma potrzeby o tym wspominać. Ten szczegół nie miał żadnego związku ze sprawą. Kompletna zmyłka.

- Nie, nic więcej.

- Nie potrzebowaliście uzupełnić oleju ani płynu do spryskiwacza?

- Nie, nie potrzebowaliśmy. Potem ruszyliśmy dalej.

- Czy nadal pan prowadził?

- No... nie. Toby mnie zastąpił.

- Dlaczego?

- Bo po prostu chciał. Myślę, że czuł się mniej zestresowany, kiedy siedział za kółkiem.

- Rozumiem. I przypuszczam, że jechali panowie znacznie wolniej niż przedtem.

- Owszem. Nie więcej niż sto kilometrów na godzinę, maksymalnie sto dwadzieścia.

- Dobrze. Czy w tym momencie, a właściwie nawet wcześniej, zwrócił pan uwagę na jakieś pojazdy, które poruszały się w nieprzewidywalny sposób? Może takie auto wyprzedzało wasz samochód?

- Owszem, trafił się taki jeden gość - powiedział powoli Barney. - To był biały van. Facet jechał jak wariat. Siedział ludziom na ogonie, migał światłami, na siłę wciskał się między inne samochody, to znów przeskakiwał na inny pas... Według mnie zachowywał się w strasznie niebezpieczny sposób i z pewnością zasługiwał, żeby go zatrzymać.

- Rozumiem. Przypuszczam, że nie zwrócił pan uwagi na żadne znaki na tym vanie, może na nazwę firmy?

- Niestety nie. Bardzo mi przykro.

- Nie szkodzi. Ktoś inny mógł je zauważyć. A teraz niech mi pan powie, co zdarzyło się potem. Tylko proszę się nie spieszyć.

- Jechaliśmy przed siebie po zewnętrznym pasie. Ruch zrobił się naprawdę duży, więc wszyscy poruszali się mniej więcej w równym tempie... Prawdę mówiąc, raczej wolno. Właśnie przed chwilą skończyła się burza, jezdnia wciąż była bardzo mokra. I nagle kierowca tej ciężarówki stracił panowanie nad kierownicą.

- Panowie byli obok niego? A może z tyłu?

- Z tyłu, ale na zewnętrznym pasie. Przed nami jechało volvo estate i ono było mniej więcej na wysokości tej ciężarówki. Kierowca ciężarówki nagle skręcił w prawo, w stronę pasa rozdzielającego autostradę i po prostu... Po prostu przedarł się przez barierę. Wreszcie wyhamował na jezdni prowadzącej na zachód, ale tak

ostro, że zarzuciło przyczepą i zapanował totalny chaos. Toby oczywiście też wdepnął w hamulec, ale wtedy strzeliła nam opona. Nigdy dotąd nie przeżyłem podobnego wypadku; to było coś przerażającego. Nasz samochód pędził na złamanie karku, a układ kierowniczy zdawał się nie działać, podobnie jak hamulce. Huśtaliśmy się po całej drodze, a potem jakimś cudem Toby odzyskał kontrolę nad samochodem, ale to nic nie dało. Po prostu wjechaliśmy w to volvo, które już wcześniej zdołało się zatrzymać. To było bardzo dziwne; wszystko działało się w zwolnionym tempie, jakby cały czas należał wyłącznie do nas. Wiem, że inni ludzie tak mówią. To naprawdę niesamowite odczucie.

- Rzeczywiście. Mam pytanie: czy zdawaliście sobie sprawę, że w coś uderzacie, nawet w coś bardzo małego, co mogło spowodować, że strzeliła wam opona?

- Nie - odparł Barney. - Niczego takiego nie pamiętam. Ale oczywiście coś mogło tam być.

- No cóż, wydział śledczy sporządzi pełne sprawozdanie z dokładnego badania waszego samochodu. Może uda im się na coś natrafić. Na przykład, że opona w jakiś sposób była przecięta.

- Ale chyba... Przecież opony muszą być w strzępach. Jak mogą cokolwiek tam zobaczyć?

- Byłby pan zaskoczony, jak dużo. Tak czy owak, uderzyliście w volvo. Co potem się stało?

- Bez końca sunęliśmy w kierunku tyłu volva. Uderzyliśmy w nie od strony, gdzie siedział Toby... To znaczy, prawym bokiem. Siła uderzenia zgmiotła maskę i wepchnęła kolumnę kierownicy prosto w jego nogę. Miał cholerne szczęście, jak mi się zdaje, że nie skończyło się na czymś jeszcze gorszym.

- O tak, z pewnością, sir. A czy pan dobrze się czuje?

- Tak, dziękuję.

Ale to wcale nie było prawdą; Barney nagle poczuł, jak jego oczy wypełniają się łzami. Amanda podeszła i ostrożnie ujęła go za rękę. Popatrzył na Freemana.

- Przepraszam. To jeszcze całkiem świeże wspomnienia.

- Jestem pewien, że tak. W każdym razie muszę jeszcze raz przerobić z panem wszystko, a potem przygotuję oświadczenie i pan je podpisze, jeśli uzna za zadowalające. To nie potrwa długo.

Przerabianie oznaczało żmudną powtórkę wszystkiego jeszcze raz od początku i naprawdę zdawało się nie mieć końca.

- Boże - jęknęła Amanda, kiedy policjanci wreszcie sobie poszli. - Ależ oni byli drobiazgowi, prawda? Te wszystkie pytania, ile wypiełeś, kto prowadził... Naprawdę uważasz, że Toby nie przesadził z ilością alkoholu?

- Absolutnie nie - odparł ze zniecierpliwieniem Barney. Teraz czuł się wykończony i zupełnie wyprany z emocji, i dalsze przepytывanie było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył. - Wypił tyle samo, co ja. Przysięgam, to wcale nie było dużo, a poza tym, na litość boską, od tamtej pory minęło piętnaście albo szesnaście godzin! Kiedy nas zatrzymali i sprawdzali mnie alkomatem, byłem zupełnie czysty.

- Tak, oczywiście... Ale... Jest jedna sprawa, której nie rozumiem i nie rozumiałam od samego początku. Czemu wyjechaliście tak późno? Moim zdaniem to był strasznie głupi pomysł.

- Już ci mówiłem. Tobes źle się poczuł.

- Ach, tak. Rzeczywiście.

Jednak wcale nie wyglądała na przekonaną.

- Miły chłopak - orzekł konstabl Rowe, kiedy przepychali się autem przez zatłoczone ulice Clapham. - Naprawdę, co za pech. Wyobraź sobie tego pana młodego, który przez taką sprawę nie stawiał się na własny ślub...

Sierżant Freeman odparł, że osobiście zna kilka osób, które wydają się żałować, że zdążyły na własny ślub, a potem dodał, że teraz powinni czym prędzej jechać na stację obsługi i przejrzeć nagranie z kamer przemysłowych.

- Ale po co, jeśli wolno zapytać?

- Żeby się upewnić, że wszystko było dokładnie tak, jak zeznał ten koleś...

ROZDZIAŁ 20

- Psiakrew! - rzucił Jonathan na cały głos, a jego oczy z niewiadomego powodu wypełniły się łzami.

Właśnie siedział przy biurku w swoim maleńkim gabinecie w szpitalu Świętego Andrzeja, na pozór przeglądając notatki dotyczące następnej pacjentki. Dzień włókł się w nieskończoność, a wszystko, co ktoś mu mówił, zdawało się nie mieć żadnego znaczenia.

Koniecznym było porozmawiać z Abi jeszcze przed policyjnym przesłuchaniem. Zdecydowanie musiał. Poza tym powinien odkryć, co Laura zamierza zrobić lub powiedzieć podczas przesłuchania; nawet najlepsza wzmianka, że znajomość męża z tamtą panią budzi jej podejrzenia, nieuchronnie musiała doprowadzić do dalszych pytań. A potem będzie to już tylko drobna kwestia jednej, krótkiej rozmowy przez telefon...

Uzbrojony w komórkę, wyszedł do szpitalnego parku i wybrał numer Abi.

- Abi, tu Jonathan. Proszę, zadzwoń do mnie. Wyniknęły pewne sprawy, które pilnie musimy przedyskutować. Możesz dzwonić w dowolnym momencie w ciągu następnych trzech, czterech godzin.

Nagle uświadomił sobie, że nawet nie wie, czy policja już ją przesłuchiwała. Chryste, ta sprawa z każdą chwilą stawała się coraz bardziej zagmatwana...

* * *

Dopiero gdy zadzwonili do niej z policji i powiedzieli, że chcą ją przesłuchać w związku z katastrofą, Abi podjęła decyzję, że we własnym interesie powinna pomóc Jonathanowi wydobyć się z tarapatów. Właśnie siedziała przy swoim biurku, jedząc kanapkę, kiedy zadzwonił telefon; ten telefon zdecydowanie popsuł jej apetyt.

Już pierwsze słowa brzmiały dosadnie, niecierpliwie.

- Szkoda, że nie zadzwoniłaś do mnie wcześniej, Abi. Musiałaś przecież dostać moją wiadomość.

- Jonathanie, nie jesteś jedyną osobą na tym świecie, która ma jakieś zajęcia! Ja też mam swoje życie, jak o tym świetnie wiesz. Nie mogę, ot, tak sobie, odbierać telefonów w pracy. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że moja praca nie jest tak istotna jak pogaduszki z przyszłymi mamuškami, ale...

- Och, daj spokój! - warknął. - Posłuchaj, czy już dzwoniли do ciebie z policji?

- Owszem. Mają przyjechać do mnie w czwartek.

- Dobrze. W takim razie musisz zapamiętać jeszcze jedną nową rzecz. Miałaś problemy z samochodem i właśnie dlatego nie przyjechałaś nim na konferencję, jasne? Czy potrafisz to zapamiętać?

- Postaram się.

- Abi, proszę, to nie są jakieś głupie gierki. To bardzo istotne.

- Chodzi o to, żeby Laura nie dowiedziała się prawdy o mnie? Czy to właśnie miałaś na myśli?

- Właśnie. Uparła się, żeby siedzieć na tym cholernym przesłuchaniu, więc jest absolutnie niezbędne, żeby wszystkie szczegóły się zgadzały. Posłuchaj, czy wszystko dokładnie rozumiałaś? Podwiezienie do Reading, zepsuty samochód i całą resztę. I... Pewnie lepiej będzie, jeśli nie wspomnisz o tamtej rozmowie przez telefon. Co zresztą wcale nie było żadną rozmową, w ścisłym znaczeniu tego słowa. Zgoda, odebrałem telefon, ale zaraz rzuciłem go na podłogę.

- Na litość boską! Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś, żebym powiedziała? Na przykład, że cię wcale tam nie było i że to ja przez przypadek prowadziłam twój samochód? Czy wiesz, Jonathanie, że złożenie kłamliwych zeznań przed policją jest przestępstwem? Sprawdziłam w internecie. Nakłaniasz mnie do popełnienia przestępstwa. I prawdę mówiąc, sam też popełniasz przestępstwo. To się nazywa szantaż.

W słuchawce zapadła cisza.

- Moim zdaniem jesteś na najlepszej drodze, Abi, żeby popełnić olbrzymi błąd. Ja mogę znaleźć świadków, jeśli zajdzie taka potrzeba. Na przykład tych ludzi, którzy pracują w hotelu. Zdaje mi się, że pamiętam, jak lubiłaś wywierać na nich wrażenie, urządzając małe demonstracje...

Znowu poczuła, że robi się jej niedobrze. Bardzo niedobrze.

- W porządku, Jonathanie - powiedziała. - Załatwione. Tak sądzę - dodała po chwili, bo nie mogła się temu oprzeć.

W tej grze uczestniczyli we dwoje.

W jaki sposób znalazłam siłę, żeby to przeżyć?, myślała Georgia. Ostatnie trzy dni spędziła na ciągłym płaczu i całkiem dosłownie życzyła sobie nagłej śmierci. Jeszcze pół godziny temu była zupełnie rozbita; ścisnąc rękę Lindy, trzęsła się z nerwów jak galareta i walczyła z falami mdłości.

A teraz, zupełnie nieoczekiwanie, czuła się świetnie, była opanowana, pewna siebie i optymistycznie nastawiona do życia.

Zawsze tak było; wszyscy aktorzy doskonale znają Doktora Scenę. Doktor Scena potrafi naprawić zwichniętą kostkę, żeby jej właściciel mógł tańczyć; umie wyleczyć zapalenie krtani, aby głos wypełniał cały teatr; cudownym sposobem kuruje migreny, grypę żołądkową i astmę; osusza łzy i niweczy smutek, pomaga zebrać siły i wypędza ból. Nie na zawsze, nawet nie na bardzo długo, ale na wystarczający okres, żeby zagrać spektakl. W tym momencie bardzo starał się pracować na rzecz Georgii.

Lekkim krokiem weszła do biura kierownika castingu i promiennie uśmiechnęła do ludzi, którzy obserwowali ją zza stolika. Była przyjemnie zaskoczona, że jest ich aż troje; spodziewała się ujrzeć tylko jedną osobę. Od tej chwili liczył się każdy drobiazg; kamera już pracowała, rejestrując sposób, w jaki Georgia patrzy, porusza się, rozmawia, uśmiecha...

- Cześć, Georgia. Ja jestem Tony, kierownik castingu. To jest Bryn, reżyser. Znasz już Sue, moją asystentkę.

- Tak jest. Cześć. Bardzo dziękuję, że pozwoliliście mi dzisiaj przyjść. Bardzo przepraszam za zeszły tydzień.

- W porządku. A więc, co obecnie robisz? Czym dokładnie się zajmujesz?

- Och... robię mnóstwo rzeczy. Gram epizod w *The Bill*, epizod w *Casualty* i dwa epizody w *Hollyoaks*. Pracuję też trochę jako modelka, żeby związać koniec z końcem.

- Dla kogo pracujesz jako modelka? Dla TV?

- Tak, występuję w reklamie samochodu, w reklamie nowej czekolady i pozowałam do zdjęć dla „Glamour”.

Właściwie nie było się czym chwalić i tamci świetnie o tym wiedzieli. Sceny w *The Bill* i w *Casualty* były naprawdę króciutkie, a w *Hollyoaks* jedynie odrobinę dłuższe. W reklamie samochodu zaangażowano ją do sceny zbiorowej; może nieco bardziej pokazała swoje możliwości w reklamie czekolady, gdzie była jedną z trzech dziewcząt, które miały jeść tę czekoladę tak sugestywnie, żeby klient czuł, że wręcz nie mogą się od niej oderwać. Natomiast jeśli chodzi o te zdjęcia do pisma z modą - równie dobrze mogłaby o nich nie wspominać. Właściwie powiedziała to tylko po to, żeby zwrócić im uwagę, że całkiem nieźle wygląda. Ale ostatecznie to mogli ocenić sami...

Potem nastąpiły standardowe pytania, które zawsze padały przy tego typu okazjach: czy zgodziłaby się ogolić głowę, gdyby ją o to poproszono, czy ma na ciele jakieś tatuaże, czy bez oporów zdjęłaby ubranie i zagrała w rozbieranych scenach? Georgia odparła, że chętnie ogoli głowę i zdejmie wszystkie ciuchy, jeśli w jakiejś scenie zostanie o to poproszona; jeśli chodzi o tatuaże, nie ma żadnych, lecz gdyby sami chcieli sprawdzić... Zachichotali, a potem zapadła cisza. Najwyraźniej zamierzali powiedzieć, żeby sobie stąd poszła, nie zabierała im czasu, myślała z coraz większym strachem. Ale usłyszała coś całkiem innego.

- No cóż, Georgia... Czy mogłabyś przeczytać scenę dziesiątą z tego materiału, który ci przysłaliśmy? Może z odrobiną akcentu, tak jak mówią w Birmingham. Sue przeczyta rolę ojca.

- Oczywiście.

Szczęście znów się do niej uśmiechnęło; dziesiąta scena należała do jej ulubionych. Pewnym krokiem podeszła do Sue i stanęła przed nią na lekko rozstawionych nogach i z rękoma opartymi na biodrach.

- Tato - zaczęła. - Czy mogę zamienić z tobą słowo?

Przy końcu sceny czuła, że udało się jej wydobyć z tekstu całą gamę uczuć i że słuchającym się to spodobało. Spoglądali na nią w milczeniu, a kierownik castingu wyraźnie się uśmiechał.

- Dobrze, Georgia - powiedział. - A teraz zrób to jeszcze raz, tylko bez akcentu. Po prostu mów swoim normalnym głosem.

Tym razem nie poszło już tak dobrze, bo była nieco zdenerwowana, ale gdy skończyła, oni nadal się uśmiechali.

- Dziękujemy, Georgia. To było wspaniale. Bardzo dziękujemy. Będziemy w kontakcie. To nie powinno potrwać długo. Prawdopodobnie kilka dni.

- Dobrze. Dziękuję.

Pozwoliła sobie powiedzieć Lindzie, że chyba poszło całkiem nieźle; czuła, że jest jej to winna.

A Linda okazała się naprawdę wspaniała; nie robiła jej żadnych wyrzutów, nie zadawała pytań dotyczących katastrofy na autostradzie. Nie znaczy to, że Georgia odpowiedziałaby na jakieś pytanie, nawet gdyby padło. Chyba nie dałaby rady. Jedyne sposoby, żeby jakoś sobie z tym poradzić, to udawać, że nic takiego nie miało miejsca. Albo raczej że wcale jej tam nie było. I chyba to działało najlepiej.

Jonathan siedział naprzeciwko dwóch policjantów, walcząc z rosnącą w głębi duszy paniką; czuł, że ze strachu robi mu się niedobrze.

- No cóż, panie Gilliatt... Może najpierw ustalmy, co pan robił tego popołudnia na autostradzie M4? Proszę jak najpełniej przedstawić nam sytuację.

Od razu więc postanowili wrzucić go na głęboką wodę. Uśmiechnął się ostrożnie, nie patrząc przy tym na Laurę; mogłaby pomyśleć, że czuje się niepewnie. Nie wolno dopuścić, by tak pomyślała. W żadnym wypadku.

- Właśnie wracałem z konferencji farmaceutycznej; przemawiałem tam poprzedniego wieczoru. W Birmingham International Hotel.

- Czemu więc jechał pan M4 zamiast M40?

Nagle w jego pamięci odżyło jaskrawe wspomnienie miejsca, do którego pojechał i tego, co się tam wydarzyło. To wyraźnie mu przeszkadzało, więc postarał się je zdusić.

- Chodziło o to, że był piątek po południu; trasa przez M5 i M4 może jest nieco dłuższa, ale często o wiele mniej zatłoczona.

- O której dokładnie wyjechał pan z Birmingham?

- Późnym rankiem.

- Rozumiem. Więc skrócił pan sobie drogę, wjeżdżając na M4... O której to było?

- Um, przedtem jechałem kilka godzin. Nie jestem pewien, która to mogła być godzina.

- To zupełnie zrozumiałe. Zresztą, to nic ważnego. Domyślam się, że od razu pojechał pan w stronę Londynu?

- Tak.

- Czy gdzieś się pan zatrzymywał?

- Tak, żeby zatankować. W Leigh Delamare.

- Świetnie. Mniej więcej o której?

- Wydaje mi się, że około drugiej trzydzieści.

- I był pan tam sam, prawda? To znaczy w samochodzie?

Czuł, że Laura sztywnieje, mimo że dzieliła ich cała długość pokoju.

- Nie, jechała ze mną pewna młoda dama. Nazywa się Abi Scott. Była na konferencji w sprawach służbowych; przy jakiejś rozmowie okazało się, że ma problemy z samochodem, więc przyjechała pociągiem. Zaproponowałem, że podwiozę ją do Reading. Z tego, co wiem, miała zamiar spędzić tam weekend.

- Rozumiem. Ach tak, Abi Scott. Z nią także będziemy rozmawiać.

- W każdym razie chciałbym zaznaczyć, że nasza znajomość ma czysto profesjonalny charakter. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

Zdał sobie sprawę, że Freeman obrzucił go uważnym spojrzeniem, jakby chciał o coś zapytać, ale po chwili zrezygnował i wrócił do swoich zadań.

- W porządku. A więc spieszył się pan, żeby jak najszybciej dotrzeć do Londynu?

- Trochę tak. O czwartej trzydzieści powinienem zacząć przyjmować pacjentki w Świętej Annie.

- Gdzie dokładnie mieści się ta klinika?

- Tuż obok Harley Street.

- Rozumiem... No cóż, wydaje mi się, że miał pan nieco napięty harmonogram. Wyobrażam sobie, że jechał pan prędko, tak? Może po zewnętrznym pasie?

- Wcale nie. Ruch był dość spory, parę razy trafiłem na niewielki korek.

- Czyli pańskie domysły okazały się zawodne?

- Przepraszam?

- Że trasą przez M4 dojedzie pan szybciej.

- Tak, to był błąd. Większy, niż mi się wtedy zdawało.

Uśmiechnął się do nich, a potem do Laury, jednak jej twarz pozostała bez wyrazu. Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Więc... Tuż przed tym wypadkiem... Po którym pasie pan jechał, gdy doszło do katastrofy?

- Po wewnętrznym.

- Czemu pan tak zrobił? Przecież strasznie się panu spieszyło?

- Dostałem strasznej migreny. Ruch był dość duży na wszystkich trzech pasach, poza tym przeszła burza, która oczywiście także nieco pokrzyżowała mi szyki. Przez chwilę trudno było cokolwiek zobaczyć, a potem jezdni była całkiem mokra. To bardzo niebezpieczne.

- Która to była godzina, jak pan mówił?...

- Mniej więcej za piętnaście czwarta. Tak mi się zdaje.

- Dobrze. Sprawdzimy to. Tak więc powiada pan, że to przez tę burzę zdecydował się przeskoczyć na pas do wolnej jazdy?

- Nie, było kilka czynników. Może burza była tym decydującym. Ale skończyła się równie szybko, jak zaczęła.

- Rozumiem. W którym momencie zdał pan sobie sprawę z obecności tej ciężarówki?

- Sam nie wiem. Pewnie w tym samym czasie.

- I jechał pan obok niej? Za nią?

- Mniej więcej obok. Tak.

- Czy potrafi pan sobie przypomnieć, jakie jeszcze samochody jechały obok pana? W bezpośrednim sąsiedztwie, to znaczy tuż przed wypadkiem? Może zwrócił pan uwagę, że ktoś jechał jak wariat? Może jakiś pojazd przeciął drogę tej ciężarówce, co?

Co to miało znaczyć? Czy ten policjant sugerował, że to mógł być on? Pierwotne obawy znów dały o sobie znać, wzmocnione przez potok natrętnych pytań. Czy możliwe, że to on, rozproszony przez kłótnię z Abi i dzwoniący telefon, na moment stracił koncentrację i skręcił pod koła tej ciężarówki? Nie! Z pewnością by pamiętał, gdyby coś podobnego się wydarzyło. Chryste, jakie to wszystko straszne!

- Nie - odparł zdecydowanie. - Nic takiego się nie stało. Prawdę mówiąc, każdy jechał w miarę równym tempem. Przypominam sobie, że przed tą ciężarówką był taki niezłe utrzymany, stary jaguar, ale on jechał naprawdę bezpiecznie. Równiuteńko, bez żadnego przyspieszania.

- A pojazd znajdujący się przed panem?

- Och... To była jakaś wielka, stara bagażówka. Ale ona także jechała bez żadnych ekscesów.

Przesłuchanie trwało bez końca: czy potrafi określić moment, kiedy zwrócił uwagę na tę ciężarówkę, czy jej kierowca jechał raczej stabilnie, czy może nierównymi zrywami? I nagle...

- Sir, czy miał pan włączone radio w samochodzie?

- Tak. Przez krótki czas, choć nie bezpośrednio przed katastrofą. Panna Scott chciała czegoś posłuchać, ale trochę mnie to rozpraszało, więc poprosiłem, żeby wyłączyła.

- Rozumiem... Więc państwo po prostu... rozmawiali?

Po prostu rozmawiali... Podczas tej rozmowy on desperacko starał się zakończyć ich związek, ona zaś groziła, że pójdzie i opowie o wszystkim Laurze...

- Jak przypuszczam, podczas jazdy nie używał pan telefonu?

Cholera! To pytanie w końcu musiało paść. Jakoś udało mu się wykręcić od odpowiedzi.

- System głośnomówiący nie działał prawidłowo, więc miałem przy sobie zwykłą komórkę. Ze stacji obsługi zadzwoniłem do swojej sekretarki w klinice, żeby powiedzieć, że mogę trochę się spóźnić.

- A czy ktoś dzwonił do pana?

- Ja dzwoniłam - odezwała się niespodziewanie Laura.

- O której to było godzinie, pani Gilliatt?

- Och, nie wiem. Dzwoniłam dwa albo trzy razy. Ze zdenerwowania odchodziłam od zmysłów. Wreszcie udało mi się dodzwonić.

- Mniej więcej o jakiej porze?

Zapadło długie milczenie. Bardzo długie. Jej oczy bardzo spokojnie poszukały jego oczu; przypomniał sobie wyrażenie, że komuś ze zdenerwowania wnętrzności zwiły się w kłębek. W jego brzuchu działa się teraz dokładnie to samo.

- Myślę, że to musiało być około czwartej - powiedziała w końcu z wyraźnym ociąganiem.

- I co się wydarzyło?

- Mąż odebrał telefon. Powiedział... Powiedział „Cześć”.

- I co? To wszystko?

- Absolutnie. Potem usłyszałam jakiś potworny huk i nagle zapadła cisza. Połączenie zostało przerwane.

- Czy pan przerwał rozmowę, panie Gilliatt?

- Właściwie nie. Przynajmniej nie zrobiłem tego świadomie. Zwyczajnie upuściłem telefon na podłogę, bo ciężarówka właśnie wpadła w poślizg...

- W poślizg?

- No dobrze, skreśliła. Wszystko jedno. Byłem przerażony tym, co się dzieje i wyłączenie tego przekłętą telefonu było ostatnią rzeczą, o jakiej bym pamiętał. Kiedy wysiadałem z samochodu, telefon na pewno

był wyłączony. Zdaje się, że panna Scott się tym zajęła, choć uczciwie, mówiąc, nie pamiętam. Powtarzam raz jeszcze, że wspomnienia z tamtych chwil są nieco zamazane.

- Oczywiście - uspokoił go sierżant Freeman. - To zupełnie zrozumiałe. Czy teraz możemy się skoncentrować na samym momencie katastrofy? Z czego najpierw zdał pan sobie sprawę, jaki był pierwszy znak, że dzieje się coś niefortunnego?

- Zdaje się, że zauważyłem, jak ciężarówka nagle odbija w bok, choć nie było ku temu żadnych powodów. Chyba kierowca stracił panowanie nad kierownicą. Ja... No cóż, po prostu wdepnąłem w hamulec i odruchowo skręciłem na pas awaryjny. Jakoś udało mi się tam zatrzymać. Miałem niewiarygodne szczęście. Mój samochód był ostatni, któremu udało się przejechać, że tak powiem, zanim droga została na dobre zablokowana.

- Więc zatrzymał się pan, tak?

- Tak. Ja... Przez chwilę czy nawet dwie siedziałem bez ruchu, zastanawiając się, co do diabła mogło się wydarzyć. Kiedy wysiadłem, na jezdni leżały już te wszystkie lodówki i zamrażarki; to był niemal surrealistyczny obraz. Obejrzałem się i wtedy zobaczyłem przerażający widok: ciężarówka przedarła się na drugą stronę autostrady, cały towar leżał porozrzucany na jezdni, a samochody ślizgały się, skręcały w popłochu, bez końca wjeżdżały jedno w drugie... - Urwał, spojrzał z bladym uśmiechem na Laurę, i dopiero potem dokończył: - To było bardzo... traumatyczne.

- Oczywiście. To musiało być straszne przeżycie.

Sierżant czekał przez chwilę w pełnym uszanowania milczeniu.

- Czy możemy zacząć od tej właśnie chwili? Co zrobił pan potem?

Jonathan nagle poczuł, choć może to było dziwne, że napięcie nieco ustępuje. Od tej chwili jego wspomnienia były jasne, klarowne i potrafił je odtworzyć bez zająknięcia. Oczywiście nadal obraz nieżywej dziewczyny w golfie, młodej matki leżącej bezwładnie na jezdni, jatki we wnętrzu minibusa, horroru w kabinie ciężarówki budził w nim ból, ale... Ale i tak było łatwiej.

Freeman przerwał robienie notatek, podniósł głowę i uśmiechnął się do niego.

- Z tego, co ludzie mówią, zachował się pan bardzo odważnie. No bo żeby wdrapać się do kabiny i wyłączyć silnik... To bardzo chwalebny czyn.

- Jestem pewien, że na moim miejscu każdy zrobiłby to samo.

- Obawiam się, że jest pan w błędzie. A teraz czy mogę spytać o tę dziewczynę z ciężarówki?

- Dziewczynę? Jaką dziewczynę? - Jonathan gapił się na niego z głupią miną. A potem sobie przypomniał. - Ach, tak! Wielki Boże, całkiem o niej zapomniałem. Tak, oczywiście. Wie pan, ona tak nagle zniknęła... Przypuszczałem... Sądziłem, że ktoś się nią zajął, albo... Jak to głupio...

Był naprawdę zawstydzony i zbity z tropu. Znowu czuł, że Laura obserwuje go baczny spojrzeniem. Kolejna tajemnicza dziewczyna... Czy ten fakt mógł postawić go w jeszcze gorszym świetle?

- To zupełnie zrozumiałe. Ostatecznie miał pan tak dużo na głowie.

- Można tak powiedzieć. Tak, stałem tam z jeszcze jednym mężczyzną. Nie był mocno ranny, zdaje się, że tylko złamał rękę.

- To pan Blake. Właśnie on opowiedział nam, jak wdrapał się pan do ciężarówki. I to on poinformował nas o pewnej młodej damie, która potem tajemniczo zniknęła.

- Tak, właśnie tak. Faktycznie, jakaś dziewczyna stała na stopniu prowadzącym do kabiny. Nie przypuszczam, że wdrapała się tam po to, żeby rzucić okiem do środka. Zdecydowanie wydawała się być w szoku; w milczeniu zwymiotowała na jezdnię, a potem odeszła na bok i usiadła na poboczu. Wyraźnie nie była ranna, a ja za bardzo się bałem, że lada moment ciężarówka może stanąć w płomieniach, żeby zwracać na nią uwagę. Jednak kiedy z powrotem zszedłem na jezdnię, jej już nie było. Miałem zamiar zająć się nią później, ale potem wyniknęło tyle różnych spraw, o wiele poważniejszych i wymagających natychmiastowej interwencji. Może sama zgłosiła się do szpitala. Naprawdę nie mam pojęcia.

- Czy potrafiłby pan ją opisać?

- Tak. Była bardzo młoda, ładna, i była Murzynką albo przynajmniej Mulatką. Zdaje się, że miała na sobie jakąś sukienkę i parę botków. Takich zamszowych botków, z obramowaniem z owczej skóry. Zwróciłem uwagę na te botki, bo to raczej dziwne nosić coś takiego w upalny dzień...

- Te botki to teraz szal - wyjaśniła Laura. - Dziewczęta dosłownie wariują na ich punkcie i wszystko im jedno, czy jest upał, czy nie. Nasze córki też mnie prześladują, żeby kupić im takie buty.

- W porządku, bardzo dziękuję, panie Gilliatt... A teraz, czy mógłby pan nam opowiedzieć o tej młodej pani Scott? Co się z nią stało? Rozumiem, że nie odniosła żadnych obrażeń?

- Rozcięła sobie głowę. O deskę rozdzielczą, kiedy tak nagle zahamowaliśmy. To nie było nic groźnego, zwykłe przecięcie. Poza tym czuła się zupełnie dobrze.

- Potem pojechał pan do szpitala do Londynu, jak sądzę? Kiedy już wszyscy ranni zostali zabrani przez służby medyczne?

- Tak.

- A pani Scott?

- Ona opiekowała się grupą małych chłopców. Zdaje się, że z jednym z nich pojechała ambulansem do szpitala. Chłopiec miał atak astmy.

- Czy od tego czasu miał pan od niej jakieś wiadomości?

- Tylko tyle, że wszystko u niej w porządku. Zadzwoiła, żeby mi o tym powiedzieć. Jak już wspominałem, nasza znajomość była czysto zawodowa.

- Rzeczywiście... No dobrze. Myślę, że na razie to byłoby wszystko. Może później będziemy chcieli zadać panu jeszcze parę pytań.

- Nie przypuszczam, żebym mógł powiedzieć panom coś jeszcze. Bardzo mi przykro.

- Nie, nie, sir! Chodzi o to, że jeśli jakiś dowód trafi w nasze ręce, to może będziemy chcieli go z panem skonsultować. Biorąc pod uwagę, że znajdował się pan na czele pojazdów, które uległy katastrofie, jest pan naszym najważniejszym świadkiem, że tak powiem. Muszę przyznać, że okazał się pan niezwykle pomocny. Bardzo dziękujemy.

Kiedy wyszli, Jonathan podniósł wzrok na Laurę.

- Boże. Ależ to ciężka próba. Chyba muszę wypić drinka. A ty?

- Nie, dziękuję. Przepraszam, jeśli narobiłam ci kłopotu z tą wzmianką o telefonie, ale pomyślałam, że najlepiej mówić prawdę.

- Oczywiście, że tak. Naprawdę nie chcesz się napić?

- Naprawdę... - Umilkła na moment. - Mam nadzieję, Jonathanie, że byłeś ze mną zupełnie szczery.

- Co masz na myśli? - spytał. To było jedyne, co przyszło mu do głowy.

- Wiesz dobrze, co. Abi Scott.

- Czyli?

- Och, Jonathanie, proszę cię! Nie jestem kompletną kretynką. Jakimś sposobem znajdujesz się na niewłaściwej autostradzie, z kompletnie nieznaną kobietą, o której istnieniu ani słówkiem mi wcześniej nie wspomniałeś, z jej powodu decydujesz się nadłożyć sporo drogi, mimo że już byłeś spóźniony do kliniki... Wybacz, to się nie trzyma kupy. Przynajmniej dla mnie.

- A powinno - powiedział beztrosko. Z całych sił starał się, żeby nie zabrzmiało to obłudnie. Albo choćby w najmniejszym stopniu irytująco.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Więc co ona robi, ta dziewczyna? Opowiedz mi jeszcze raz.

- Pracuje dla faceta, który prowadzi agencję fotograficzną. We dwójkę byli na tej kolacji. On robił zdjęcia, a ona zbierała dane uczestników, imiona, nazwiska i tak dalej. Żeby potem wysłać im zdjęcia. Była naprawdę miła - dodał. - Potrafi być bardzo zabawna, gdybyś posłuchała naszej rozmowy.

- Nie rozumiem, czemu miałabym jej słuchać. Czy ona jest mężatką? Mieszka z kimś?

- Laura, nie mam bladego pojęcia!

- Czyżby? Tyle godzin jechaliście razem. Przecież musiała ci co nieco o sobie opowiedzieć.

- Mówiła, że ma chłopaka. Kochanie, jesteś zupełnie inna niż zwykle! Proszę! Chodź, pójdziemy lepiej do dzieci. Muszę jakoś oderwać się od tamtych spraw. To nie była najszczęśliwsza godzina w moim życiu.

Laura długo się nie odzywała.

- Dobrze, chodźmy - powiedziała w końcu. - Zdaje się, że dzieci oglądają telewizję.

Wyszedł za nią na korytarz, chory i roztrzęsiony. Wykończyło go nie tylko policyjne przesłuchanie, nawet nie tylko przykre pytania żony, ale uczucie, że teraz rozdziela ich mrok. Wystarczająco okropne było to, że Laura odkryła Abi, ale jeszcze gorsze było to, że najwyraźniej nie zamierzała przyjąć do wiadomości jego wyjaśnień. Jego urocza, kochana Laura... To naprawdę nie dawało mu spokoju.

ROZDZIAŁ 21

Drugie przesłuchanie było o wiele bardziej stresujące. Wszyscy aktorzy o tym wiedzą. Znacznie więcej od niego zależy. Człowiek ma więcej do stracenia; zaszedł znacznie wyżej, a więc spadałby z większej wysokości. Napięcie rosło w zastraszającym tempie.

- Sama nie wiem, czy temu podołam - narzekała Georgia. - W pociągu przez całą drogę czułam się wręcz fatalnie. Dwa razy myślałam, że zaraz zacznę wymiotować i większą część podróży przesiedziałam w toalecie.

Linda zebrała siły, żeby mówić w miarę spokojnie.

- Cóż, bardzo mi przykro - odparła. Chyba Georgia nie jest w ciąży? To by wiele tłumaczyło. - Wiem, że na tym etapie jest bardzo ciężko. Ale według mnie, nadal masz olbrzymie szanse. Staraj się myśleć o tym bardziej pozytywnie.

- Staram się - jęknęła Georgia. - Ale jestem strasznie zmęczona. Z nerwów nie mogę spać, bo cały czas myślę, że jeśli nie dadzą mi tej roli, to co potem? Jestem przerażona, Linda, po prostu przerażona...

Linda poczuła nieodpartą chęć, żeby wymierzyć jej policzek.

- Wcale nie musisz tam iść - warknęła. - Są jeszcze trzy inne dziewczyny, które wciąż biorą udział w wyścigu. Może lepiej zrezygnuj, co?

Georgia popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- No coś ty, oczywiście, że nie zrezygnuję! - odparła z oburzeniem. - To byłoby śmieszne!

Nagle opadła na krzesło, które stało naprzeciwko biurka Lindy, i wybuchnęła płaczem.

Linda odsunęła na bok leżący przed nią kontrakt. Musiało chodzić jeszcze o coś więcej niż tylko o tę rolę.

- Georgia, nie możesz dalej tak się zachowywać, bo niedługo czeka cię załamanie nerwowe. Co jest nie tak?

Georgia podniosła wzrok, w jej wielkich brązowych oczach Linda ujrzała niemal przerażenie. Wreszcie dziewczyna wzięła głęboki oddech i spróbowała coś wykrztusić.

- Ja... Chodzi o to, że...

- Tak?

- Widzisz, ja...

Szarpnęła się do tyłu, jakby w ostatniej chwili udało się jej uciec przed jakimś realnym niebezpieczeństwem. Prawie uniosła się na krześle.

- Przepraszam cię, Linda, naprawdę przepraszam. Jestem strasznie głupia. Właśnie dostałam okres i czuję się jak ostatnie gówno.

Wobec tego nie jest w ciąży, pomyślała Linda. To już coś.

- Okay. Dasz sobie radę sama?

- Jasne, że tak. Obiecuję. Zobaczymy się później.

Wydawało się, że faktycznie wszystko jest w porządku. Może tylko reakcje były trochę zbyt emocjonalne. Ale to nic nowego.

- To wygląda mi na furę papierkowej roboty. - Konstabl Rowe uśmiechnął się do Freemana, ale ten nie odpowiedział uśmiechem.

- Zgadza się. To raport Wydziału Śledczego w sprawie katastrofy.

- Ach, tak. Myślałem, że już go przeczytałeś.

- Bo przeczytałem - odparł Freeman lodowatym tonem. - Lubię się do niego odwoływać, dopóki prowadzimy nasze własne dochodzenie. Pewne sprawy od razu stają się jasne. A inne wręcz przeciwnie. Na przykład ta cholerna śruba od koła, która została znaleziona na jezdni. Do diabła, skąd się tam wzięła?

- Z pewnością podczas kolizji odpadła jednemu z aut.

- Nie, Rowe, wcale nie. Wiedzielibyśmy o tym od razu po oględzinach tamtych samochodów.

- Oczywiście, że tak. A... Może z ciężarówki?

- Nie, nie z ciężarówki.

- No cóż... Może to wcale nie jest ważne. Może wałała się na drodze już od dłuższego czasu.

- Bardzo w to wątpię. Tak samo jak spece z Wydziału Śledczego. W tej grze diabeł tkwi w szczegółach, Rowe, już ci o tym mówiłem. To właśnie taki szczegół. Musimy się dowiedzieć, jak bardzo jest istotny.

- Albo jak głęboko tkwi w nim ten diabeł - mruknął Rowe.

- Tak jest, koleś. Dokładnie tak.

Wreszcie Mary pozwolono wrócić do domu. Następnego dnia, jak usłyszała. Cały tydzień po wypadku. Właściwie wcale nie wracała do swojego domu - powiedziano jej, że jeszcze jest zbyt wcześnie, by mogła mieszkać sama, więc musiała zatrzymać się u Christine. To oczywiście nie było idealne rozwiązanie, ale i tak o niebo lepsze od dalszego pobytu w szpitalu. Mary dobrze żyła z Christine, zawsze tak było... Choć czasami w absurdalny sposób potrafiła się na nią złościć. Christine odziedziczyła ciężką budowę ciała swego ojca, nie zaś zgrabną postać matki, i jego grube rysy zamiast jej uderzającej piękności.

Christine była cudownie uzdolniona, prowadziła dom niemalże jak formację wojskową, lecz jednocześnie miała skłonności do osądzania innych, potrafiła surowo traktować członków swojej rodziny i łatwo traciła cierpliwość. Poza tym wykazywała niezwykle przywiązanie do konwenansów. Jak zareaguje na wieść, którą usłyszy od matki?

Mary nietrudno było wyobrazić sobie jej szok, a nawet jeśli nie szok, to przynajmniej głęboką dezaprobatę. To musiało być trudne do zniesienia dla każdej córki - nagle dowiedzieć się, że matka przez sześćdziesiąt lat prowadziła korespondencję z człowiekiem, o którego istnieniu ani ona, ani jej ojciec nie mieli pojęcia. I że w końcu los połączył tych dwoje.

Russell przyjeżdżał do niej każdego dnia i każdy dzień, każde spotkanie okazywało się szczęśliwsze i bardziej cudowne od poprzedniego. Wszelkie wątpliwości, jakie niegdyś Mary mogła żywić, teraz zniknęły bez śladu, pozostawiając ją jednocześnie podekscytowaną i spokojną co do osoby Russella i jego udziału w jej dalszym życiu. Jediną rzeczą, której teraz zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić, było to, że mogliby nie być razem. Po sześćdziesięciu latach rozłąki ona i Russell zamierzali się pobrać. Niespodziewanie dostali w darze ten

cudowny skarb, to drugie życie; teraz musieli karmić swoje szczęście, szanować je i rozkoszować się jego smakiem.

Russell nadal mieszkał w Dorchester; Mary proponowała, żeby przeniósł się gdzieś bliżej Swindon, ale on wydawał się absurdalnie zaniepokojony perspektywą mieszkania gdziekolwiek indziej. Żywił głębokie przekonanie, że jedynym odpowiednim miejscem jest drogi hotel, przeznaczony dla przedstawicieli wyższych klas. Kiedyś Mary często dokuczała mu z tego powodu i miała zamiar znowu to robić.

- Czy kiedy wrócę już do domu, do Bristolu, nadal będziesz się upierał, żeby tam mieszkać?

Odpowiedział, że właśnie szuka hotelu pomiędzy Bristolem a Bath, który cieszyłby się dobrą opinią.

- Zależy ci tylko na dobrej opinii, Russell? Jesteś pewien, że to wystarczy?

Wyrażał swoje obawy także co do szpitala, powtarzając, że Mary powinna raczej leczyć się w prywatnej placówce, ale oświadczyła mu, że to śmieszne. Ten szpital był naprawdę znakomity.

Dokładnie planowali czas jego wizyt, żeby przypadkiem nie zahaczały o wizyty Christine. Odparł, że jeśli chodzi o niego, to nie może się doczekać, kiedy pozna dzieci Mary. Jednak Mary odparła, że to może być dla nich wielkim przeżyciem, zwłaszcza dla Christine, która uwielbiała swojego ojca, więc lepiej dobrze ją przygotować, zanim spotka się w cztery oczy z zupełnie obcym człowiekiem, który, poza wszystkim, niebawem stanie się jej ojczymem. Dla kobiety dobiegającej sześćdziesiątki taka sprawa może okazać się trudna do zrozumienia.

Ale teraz będą razem przez cały dzień i przez wszystkie dni, więc powinna powiedzieć Christine o wszystkim. Mary optymistycznie wierzyła, że Christine będzie uszczęśliwiona z tego powodu. Naprawdę wierzyła...

- Abi? - W słuchawce odezwał się spokojny, głęboki głos Williama. - Abi, to ja, William. Przed chwilą rozmawiałem z policją. Chcą mnie przesłuchać w sprawie tej katastrofy, więc zastanawiałem się, czy do ciebie też się odezwali.

- Och, Williamie - odparła, myśląc, że warto znieść wiele przesłuchań na policji, żeby potem podyskutować o nich z Williamem. - Cieszę się, że cię słyszę. Tak, dzwoniли do mnie. Prawdę mówiąc, to już dziś wieczorem, choć przyznam, że nie czekam na to z utęsknieniem.

- Zobaczysz, że pójdzie ci jak z płatka - powiedział lekko. - Jesteś tylko świadkiem, nie ma się czym niepokoić. Wszystko, co musisz zrobić, to opowiedzieć im od początku do końca, jak było.

Zastanowiła się. Co też powiedziała by William, gdyby znał całą prawdę o niej?

- No więc na kiedy umówili się z tobą?

- Na jutro rano. Ja też wcale nie mam na to ochoty; mój ojciec na pewno zacznie się wtrącać i powie, że ich helikopter zrujnował nasze pastwisko.

Zapadła cisza, którą dopiero po chwili zdecydował się przerwać.

- Posłuchaj... Tak sobie myślę... Co byś powiedziała na drinka jutro wieczorem? Moglibyśmy pogadać, porównać notatki...

- William, to wspaniały pomysł! Naprawdę!

Chryste, czy to prawda? Czy on rzeczywiście zapraszał ją na randkę? O Boże...

- Okay, jesteśmy umówieni. Gdzie się spotkamy? Może w Bristolu?

- Byłoby miło... Chociaż to kawał drogi dla ciebie. Poza tym nie będziesz mógł za dużo wypić.

- I tak nie piję za dużo. Powiedz, gdzie się spotkamy? Może pokażesz mi parę fajnych miejsc? Co ty na to?

- Super - odpowiedziała. - Naprawdę super.

- Dobrze - powiedział, ale czuł się lekko zaskoczony. - Na razie nie martw się przesłuchaniem. Musisz mówić szczerą prawdę, to wszystko...

Och, gdyby to było takie proste! Gdyby nie musiała opowiadać kłamstwa za kłamstwem i w dodatku pamiętać o tak wielu rzeczach!

- To nic wielkiego, zobaczysz. A jak tam ten twój przyjaciel, doktor? Czy wszystko u niego w porządku?

- Tak, tak sądzę - mruknęła. - On nie jest moim przyjacielem, Williamie. To czysto biznesowa znajomość. Wydawało mi się, że już ci mówiłam, że poznałam go dopiero w ten piątek. Zaproponował, że podwiezie mnie po konferencji.

Dobrze, że to powiedziała. Mogła przeciwyczyć kwestię.

- No cóż, dobrze. Przekonamy się, co tak naprawdę ich interesuje i czego będą chcieli się dowiedzieć. Tak czy inaczej, widzimy się wieczorem.

Siedziała jeszcze przez chwilę po zakończeniu rozmowy, wyobrażając go sobie na traktorze, takiego opalonego i cholernie wysportowanego, z tymi uroczymi, orzechowymi oczami...

O Boże! Co jej strzeliło do głowy, żeby poczuć sympatię do farmera? Ale za to jakże eleganckiego farmera. Czyżby postradała zmysły? Powinna przecież trzymać się z daleka od wszystkich i wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego z katastrofą, a nie urządzać sobie randki. Na pewno w końcu palnie coś, przez co cała konstrukcja się rozsypie...

Była naprawdę mocno urażona i wściekła na Jonathana za to, że ją rzucił; oczywiście nie miała złudzeń, że ich romans ma jakąkolwiek przyszłość, ale jednak dała się oszukać - Jonathan uspił jej czujność swoją wspaniałomyślnością, autentycznym zainteresowaniem, radością, jaką sprawiało mu samo przebywanie w jej towarzystwie, nie tylko cielesne współzycie - więc w końcu zaczęła myśleć, że on rzeczywiście troszczy się o nią jak o bliskiego człowieka. I proszę, czyż to nie było głupie? Ani trochę się nie troszczył. Był taki sam jak reszta mężczyzn - interesowało go jedynie to, co mógł od niej dostać.

Abi miała nie najlepsze zdanie o mężczyznach, co nie było niczym dziwnym, zważywszy na to, ile od nich wycierpiała. Uważała siebie za stereotypowy przykład męsko-damskich układów: kiedy ojciec odszedł z domu, od razu została wykorzystana przez pierwszego faceta, z którym związała się matka, uwiedziona przez następnego, a potem zmuszona do słuchania kłamstw, że sama go uwiodła. Skończyło się na tym, że w wieku piętnastu lat wyrzucono ją z domu, po czym przez jej życie przewinął się długi orszak rozmaitych adoratorów, z kilkoma związała się na dłużej. Do czasu, gdy skończyła dwadzieścia jeden lat, stała się osobą, której sama nie lubiła, i co gorsza, nie bardzo widziała możliwość, żeby jakoś to zmienić.

Z pewnością nie mogła nagle stać się znakomitym materiałem na żonę, bo trudno, ot tak, wymazać raczej beznadziejną przeszłość. Nikt nigdy się o nią nie troszczył; sama musiała zadbać o siebie, a częścią tej filozofii było czerpanie seksualnej rozkoszy tam, gdzie było można, czyli tak, jak robili to mężczyźni. Tyle że w

ich wypadku uważano, że to nic złego. Nawet gdy dotyczyło żonatych facetów, takich jak Jonathan. To było bardzo niesprawiedliwe.

Doniesienia w niedzielnej prasie wyglądały dość paskudnie. Kierowca ciężarówki - o którym teraz już wiedziała, że nazywa się Patrick Connell - „odniósł poważne obrażenia i przebywa wciąż na oddziale intensywnej terapii”; Toby Weston, niedoszły pan młody - media w wyjątkowy sposób uczepliły się tej historii - „ciągle otrzymywał potężne dawki środków uśmierzających ból”, stan jego nogi, połamanej w kilku miejscach, „nadal budził poważne obawy”. Poza tym w gazetach zamieszczono kilka fotografii rodzinnych osób, które poniosły śmierć w katastrofie, na przykład zdjęcie młodej blondynki z golfa, zrobione latem poprzedniego roku, na którym roześmiana od ucha do ucha dziewczyna stała na plaży, ściskając dłoń swojego narzeczonego. Było też mnóstwo denerwujących opowieści na temat Jonathana, w których podkreślano jego odwagę oraz ciężką pracę, jaką wykonał, wykazując przy tym spokój i profesjonalizm. Mimo że te artykuły wytrąciły ją z równowagi, musiała uczciwie przyznać, że opisywano w nich prawdę. To był jeden z powodów, dla których nie chciała, by przez nią Jonathan ubabrał się w gównie.

Cholera, w co ja się pakuję, zastanawiał się William. To było szaleństwo, zupełna kpina... Ale co z tego? Kto powiedział, że związek musi być sensowny? Czy właśnie sedno całej sprawy nie tkwiło w tym, że układy pomiędzy mężczyzną a kobietą nie muszą być racjonalne, bo siła przyciągania nie da się podporządkować żadnym regułom, i właśnie dlatego, jeśli za nią podążymy, może wprowadzić w naszym życiu sporo całkiem przyjemnego zamieszania. William z radością wprowadziłby nieco chaosu w swoje dotychczasowe życie. Był jeszcze zbyt młody, by zadowolić się totalną przewidywalnością, i zbyt dorosły, by pogodzić się ze stylem życia rodziców i żyć jak oni. Chciał przeżyć jakąś przygodę, a jeśli nie przygodę, to przynajmniej wycieczkę noszącą znamiona przygody. Abi zdawała się prowadzić go w pożądanym kierunku, wabiąc długimi paznokciami w karmazynowym kolorze i ciemnymi, znającymi się na rzeczy oczami. W porządku, na pewno potrafiła być nieznośna, ale na Boga, była chodzącą mistrzynią seksapilu.

No więc... Czy w tym było coś złego? Absolutnie nic. Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie.

William wrzucił bieg i ruszył traktorem w górę wzniesienia. Nagle poczuł, że jest w cholernie dobrym humorze.

Maeve siedziała przy Patricku przez dłuższy czas i powoli zaczynała rozmyślać z tęsknotą o małej kafejce, do której mogła wpaść na kolację składającą się z kawy z mlekiem i drożdżowego ciastka. Poza tym w drodze powrotnej mogła na chwilę zajrzeć do swojej nowej przyjaciółki Mary.

Przerażała ją myśl, że lada dzień Mary zostanie wypisana do domu. Potrafiła tak cudownie uspokoić Maeve i poprawić jej samopoczucie, jednocześnie wykazując sporą dozę zdrowego rozsądku. Maeve opowiedziała jej o tej budzącej przerażenie możliwości, że Patrick do końca życia będzie sparaliżowany.

- Dla niego byłoby to nie do zniesienia... Zawsze był taki aktywny, taki silny, uwielbiał uprawiać sprint. Potrafił wziąć pod pachy dwóch chłopców i biec z nimi. Jak on sobie poradzi z myślą, że przez resztę życia będzie musiał siedzieć na wózku?

- Na pewno sobie poradzi, jeśli będzie musiał - odrzekła Mary. - Ty bardzo go kochasz, a on kocha ciebie... Wiesz, Maeve, miłość to cudowna rzecz. Powiadają, że wiara przenosi góry, ale według mnie to miłość

stać na takie rzeczy. Nigdy nie wiadomo; Patrick może jeszcze wyzdrowieć, w obecnych czasach lekarze dokonują takich cudów.

Maeve pomyślała, że Patrick już zaczął się z tym godzić, jak to określała. Dzień po dniu. Mogło upłynąć sporo czasu, zanim wróci do domu, bo czekała go co najmniej jedna poważna operacja jamy brzusznej, ale mimo wszystko wciąż pozostawał przy życiu, choć przed tygodniem trudno było mieć nadzieję na taki cud. Właśnie opowiadała o tym wszystkim Patrickowi, kiedy on nagle sięgnął po jej dłoń i mocno ją uściskał.

- Maeve, wiesz, zaczynam sobie przypominać...

- Przypominać? Co? - spytała i nagle poczuła obręcz, która ścisnęła jej pierś równie mocno, jak ręka Patricka ścisnęła jej dłoń.

- Ten wypadek. To, co się zdarzyło. Jak się zdarzyło. Było gorąco. Potwornie gorąco. Słońce świeciło jasno, a ja byłem tak strasznie zmęczony, Maeve. Taki zmęczony...

- Och, Patrick...

Bała się tego momentu od chwili, gdy usłyszała, że z całą pewnością Patrick będzie żył. Chciała jakoś go powstrzymać, sprawić, by przestał mówić, uchronić jego i siebie od ciężaru wspomnień. Ale...

- Jadłem te żelki, no wiesz, ale one mi nie pomagały. Pamiętam, jak je jadłem, całymi garściami, mnóstwo, ale wiesz, i tak zakręciło mi się w głowie. Zawroty głowy... Mówiłem ci przecież o tych zawrotach.

- Tak, Patrick, mówiłeś.

Rzeczywiście mówił; opowiadał, że czuje, jak w mózgu wszystko mu się płące, jak głowa nie chce normalnie pracować.

- Poszedłem z tym do doktora, ale nie potrafił mi pomóc. To wszystko, co pamiętam. Zawroty głowy, a potem ciemność.

- Tak, kochanie, to było wtedy, kiedy straciłeś przytomność. Nie zasnąłeś, o nie! Straciłeś przytomność. To jasne, że niczego nie możesz pamiętać.

- Myślę... Cóż, wydaje mi się, że jednak mogę. Wiesz, Maeve... Mam wrażenie, że w tej kabinie był ktoś jeszcze.

- Ktoś inny? Co masz na myśli?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że coś pamiętam... Pamiętam, że ktoś tam był.

- Ależ Patrick, jak to możliwe? Kiedy cię znaleźli, byłeś zupełnie sam.

- Wiem. Ale mimo to wciąż mi się zdaje... Och, Maeve, tak bardzo się boję. Boję się, że musiałem pójść... Pójść...

Nagle przestał mówić, a w jego oczach pojawiły się dwie, pełne bólu łzy i powoli stoczyły po policzkach - wielkie i okrągłe, jak łzy dziecka. A Maeve, wciąż ściskając jego dłoń i gładząc ją czule, pomyślała, że jeżeli faktycznie jej mąż zasnął za kierownicą, jeśli to on spowodował ten okropny, przerażający wypadek, za który już został tak straszliwie ukarany, to ona jest winna przynajmniej w tym samym stopniu, co on: za to, że wciąż robiła mu awantury, że ponaglała do powrotu do domu, choć jedna czy dwie godziny odpoczynku mogły stanowić zasadniczą różnicę. Największą na całym świecie - a dla niektórych różnicę pomiędzy życiem a śmiercią.

- Doktor King? Emma?

Emma odwróciła się, żeby zobaczyć, kto ją woła, i ujrzała Barneya Frasera, który przyjaźnił się z Tobym Westonem.

- Tak myślałem, że to ty. Jak się miewasz?

Wyglądał całkiem inaczej niż dotąd. Najpierw nie wiedziała dlaczego, a potem doszła do wniosku, że to dlatego, że miał na sobie eleganckie, miejskie ciuchy: wyprasowany garnitur (choć marynarkę zarzucił luźno na ramiona), szykowną koszulę (w różową kratkę, w której naprawdę było mu do twarzy), a nawet krawat (choć luźno zawiązany).

- Dobrze.

- Właśnie wybieram się do kafejki, żeby wlać w siebie trochę kofeiny, zanim ruszę z powrotem do miasta. Masz ochotę pójść ze mną?

- Jasne. Też zamierzałam iść na kawę.

- Okay... W takim razie możemy pójść razem.

Uśmiechnął się do niej. Boże, ależ on potrafił się uśmiechać! Jaki to wspaniały facet... Przestań, Emma. On jest zajęty. Tak samo jak ty... Teraz.

- Świetnie. Chociaż ja tylko na chwilę.

Weszli do kawiarni; Emma od razu złapała dietetyczną colę, a potem podeszła do Barneya i przy ladzie zamówiła americano.

- Drink. To samo dla mnie. Tak naprawdę chciałem podwójne espresso, ale przy kawie kiepsko się rozmawia. Czy możesz posiedzieć ze mną pięć minut, czy musisz zaraz uciekać?

- No dobrze, pięć minut.

- Super.

- Przyszedłeś odwiedzić Toby'ego?

- Tak.

- Przyjechałeś z Londynu samochodem?

- Nie, pociągiem. Właśnie chciałem zamówić taksówkę; zdaje się, że w recepcji mają jakieś zamiary. Jak tu jest z taksówkami o tej porze?

- Jako tako, ale nie beznadziejnie. Jak... Jak się czuje Toby?

Wiedziała, że stan jego zdrowia pozostawia wiele do życzenia; zaledwie dzień wcześniej rozmawiała o tym z Markiem Collinsem. Od niedzielnego wieczoru Toby okresowo miewał napady gorączki i generalnie skarżył się na kiepskie samopoczucie. Dziś sprawiał nawet wrażenie całkiem zdezorientowanego.

- Wszystko wskazuje na to, że niestety zaczyna się jakaś infekcja - powiedział jej Mark. - Podwyższyliśmy dawki antybiotyków. Jutro zabierzemy go na salę operacyjną i postaramy się przepłukać ranę. Ale w ostateczności, to znaczy w najgorszym wypadku, czeka go... No, sama wiesz, co go czeka, tak samo jak ja.

Amputacja, pomyślała wówczas Emma, krzywiąc się niemiłosiernie. Co za przerażająca perspektywa dla chłopaka w wieku zaledwie trzydziestu lat. Miała nadzieję, że przynajmniej Barney na razie nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

- Jak on się miewa? - zapytała jeszcze raz. Zupełnie jakby nie wiedziała.

- Niezbyt dobrze. Dziś przepłukiwali mu tę ranę.

- Rozumiem - odparła ostrożnie. - To powinno pomóc...

- A jeśli nie pomoże, Toby straci nogę, prawda? Była poruszona jego otwartością.

- Chyba na razie nikt nie wspominał ci o takiej możliwości, prawda?

- Nie, skądże. Po prostu zadzwoniłem do kumpla, który także jest lekarzem.

- Ach, tak! Ale nie znając dokładnie przypadku Toby'ego...

- Emmo, wszystko w porządku. Przyjąłem to do wiadomości. To okropne, ale...

- Ale to naprawdę byłaby ostateczność. Jestem pewna, to znaczy, mam nadzieję, że od takiej decyzji dzieli nas jeszcze długa droga. Chyba... chyba nie mówiłeś o tym jego rodzicom?

- Nie, jasne, że nie! Nie jestem ostatnim idiotą.

- Przepraszam. Po prostu... W tego typu sprawach trzeba wykazać się szczególną ostrożnością.

- Jestem pewien, że tak. W porządku, nikomu nie mówiłem. To znaczy, z wyjątkiem Amandy.

Amanda. Ta w stu procentach doskonała panienska z dobrego domu. Uwaga, poprawka - doskonała narzeczona.

- W jakim nastroju jest Toby?

- Och, prawdę powiedziawszy, trochę nie w humorze. Kiedy... Kiedy będzie wiadomo, czy to przepłukiwanie przyniosło efekt?

- Nie wcześniej niż za kilka dni. Eee... A co z jego narzeczoną? Pewnie jest mocno przybita, prawda?

- Nie jestem pewien. Wciąż jest w domu ze swoimi rodzicami. Nie może przeboleć, że wesele zostało odwołane.

W jego głosie zabrzmiała lekka gorycz, więc Emma spojrzała na niego z ukosa. Natychmiast zrozumiał to spojrzenie.

- Wybacz, nie powinienem był tego powiedzieć.

- Barney, możesz mi mówić, co tylko chcesz, ale... Według mnie to musiało być dla niej okropne, tak martwić się o Toby'ego, i chyba nie byłaby normalnym człowiekiem, gdyby płakała tylko z powodu wesela...

- Oczywiście.

- Nawiasem mówiąc, czym się zajmujecie, ty i Toby?

- Widzisz... Tobes i ja należymy do grona tych okropnych bankierów. No wiesz, w sumie zarabiamy tyle, ile wynosi cały budżet jakiegoś niedużego kraju. Oczywiście, jeśli wierzyć temu, co wypisują w prasie.

- A Amanda? Kim ona jest z zawodu?

- Pracuje w dziale zarządzania zasobami ludzkimi, w tym samym banku co Tobes. Z kolei Tamara pracuje w mojej firmie w zespole zajmującym się francuskojęzycznymi klientami. Tak więc trąci to trochę kazi-rodztwem. Tamara jest naprawdę spokojną dziewczyną. Powinnaś zobaczyć jej mieszkanie. Wszystko w stylu retro.

- Pewnie nie umiałabym tego docenić - zaśmiała się Emma. - Ja wciąż jestem na etapie kontentowania się umeblowanymi mieszkaniami.

- Tak? Jak długo tu zostaniesz, jak sądzisz? Może przeniesiesz się do Londynu, albo jeszcze gdzie indziej?

- Nie mam pojęcia, gdzie będę za parę lat. Ale w końcu chciałabym zostać położnikiem. Na razie robię specjalizację z chirurgii ogólnej i jestem w trakcie czteromiesięcznej praktyki na oddziale ratunkowym. Muszę przyznać, że całkiem mi się tam podoba.

- Jesteś chirurgiem? To znaczy, że naprawdę... - zająknął się.

- Tnę ludzi? Tak. - Roześmiała się. - Nie musisz robić takiej przerażonej miny.

- Ale jestem pod wrażeniem. No bo wiesz, wyglądasz dość młodo, jak by tu powiedzieć, w ogóle, jak na lekarza, i...

- Och, przestań - przerwała mu. - Gdybym dostawała funta za każdym razem, kiedy to słyszę... Chyba każę sobie wyryć na nagrobku: „Nie wyglądała dość staro jak na...”. Barney, muszę już iść. Bardzo przyjemnie mi się z tobą rozmawia, ale Bóg jeden wie, co się tam dzieje. - Skinęła głową w kierunku wejścia na oddział pomocy doraźnej. - Posłuchaj, jutro znajdę wolną chwilę i zajrzę do Toby'ego. Oczywiście, jeśli uważasz, że to mu się spodoba.

- Emmo, każdy, kto wyrósł z krótkich spodenek, byłby uszczęśliwiony, gdybyś wpadła do niego z wizytą. Zresztą ci w krótkich spodenkach pewnie też. Bardzo dziękuję. I dziękuję, że ze mną posiedziałaś. To naprawdę poprawiło mi humor.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Szczerze.

Wyciągnęła rękę; ujął ją, a potem z wyraźnym zastanowieniem pochylił się i pocałował Emmę w policzek.

- Również dla mnie to była wielka przyjemność. Całkiem szczerze. Jeszcze raz wielkie dzięki. Za wszystko, nie tylko za dzisiejszy wieczór.

I już go nie było. Wypadł z kawiarni jak burza, po drodze naciągając marynarkę.

Emma powoli wróciła na oddział; weszła do dyżurki lekarzy i usiadła przy biurku.

- Cholera... - westchnęła.

W tym czasie Barney sadowił się w kącie taksówki, żeby pojechać na stację.

- Cholera... - mruknął.

Co ciekawe, obydwójce powiedzieli tak z tych samych powodów.

ROZDZIAŁ 22

Chyba poszło całkiem nieźle, pomyślała Abi. Przepytawali ją dość szczegółowo, ale nie pozwoliła im wyprowadzić się z równowagi.

Była dość zestresowana po porannym telefonie Jonathana, gdy o wyjątkowo wczesnej porze z paniką w głosie wymieniał kolejne sprawy, o których wolno albo absolutnie nie wolno jej było wspominać. Na przykład, kiedy wyjechali z konferencji w Birmingham - w tym wypadku musiała dać wymijającą odpowiedź, że było to gdzieś między jedenastą trzydzieści i dwunastą, albo w kwestii godziny, o której zatrzymali się na stacji benzynowej, albo, uwaga, tu zaszła pewna zmiana, że Laura zadzwoniła na jego komórkę dokładnie o czwartej, bo tak powiedział w trakcie składania zeznań.

- Właściwie to Laura im o tym powiedziała. Ale powiedziała też, że tylko usłyszała jak mówię „halo”, a potem rozmowa się urwała. Więc powiedz, że telefon zadzwonił, a ja odebrałem, ale od razu rzuciłem go na podłogę, bo właśnie w tej chwili ciężarówka skręciła w bok. Zresztą może wcale o tym nie wspomną. A przy okazji, czy to ty wyłączyłaś ten telefon? Ja tego nie zrobiłem, więc...

- Owszem, to ja.

- Świetnie. Cóż, wydaje mi się, że to wszystko. To na razie.

Nie odpowiedziała. Nagle poczuła się zgaszona i niewesoła; niewesoła i samotna. Nawet nie życzył jej powodzenia. Gnojek! Boże, jakże go nienawidziła!

W każdym razie powiedziała to, czego sobie życzył: o ich wzajemnych stosunkach, o swoim samochodzie, który nie chciał zapalić, przez co zmuszona była przyjechać pociągiem... Potem opowiadała o samym wypadku - Boże, jak cudownie było dla odmiany rozluźnić się i choć przez chwilę nie mijać się z prawdą - a później zaznaczyła, jak wspaniale Jonathan zachowywał się tuż po katastrofie... Co zresztą także było w stu procentach zgodne z rzeczywistością.

Na końcu zeznała, że od tamtej pory prawie ze sobą nie rozmawiali; tylko zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że dotarła bezpiecznie do domu...

Naprawdę była całkiem z siebie zadowolona; ulga była tak wielka, że od razu poczuła się wspaniale. Przynajmniej miała to za sobą. Najgorsze było za nią.

A teraz czekał ją wieczór, który miała spędzić z Williamem.

- No i co o tym myślisz? - zapytał Freeman, zamykając swój notatnik, w którym szczegółowo zapisał zeznania Abi. Odwrócił się i spojrzał na konstabla Rowe'a.

- Sprawiała raczej miłe wrażenie - odparł Rowe. - A już na pewno była bardzo, bardzo seksowna.

- Rzeczywiście. Każdy facet by na nią poleciał. Nawet taki, który ma prześliczną żonę... Nie sądzisz, że w jej opowiadaniu było coś, co wzbudzało podejrzenia?

- Nie. Wszystko dokładnie zgadzało się z tym, co powiedział doktor Gilliatt.

- Zbyt dokładnie, jak na mój gust. Mówili niemal słowo w słowo: „to czysto biznesowa znajomość”.

Czemu obydwójce nam o tym mówili? To nie ma związku ze sprawą. Albo ten jej samochód, który podobno nie

chciał zapalić... Sama nam o tym powiedziała, choć nikt nie zadał takiego pytania. To było... odrobinę za bardzo uładzone. Coś mi tutaj śmierdzi. Coś, co jest nie całkiem uczciwe.

- Może tak, ale czemu ta dziewczyna miałaby kłamać?

- Ze względu na niego, bo od jej zeznań zależy los jego małżeństwa. A ona... Przypuszczalnie ma nadzieję, że jeśli zrobi tak, jak on sobie życzy, to szanowny doktorek będzie ciągnął ich romans. Pewnie ona ma z tego całkiem niezłe korzyści. No wiesz, jakie są te dziewczyny: na przykład chcą kosztownych wypadów za granicę, lubią mieszkać w najdroższych hotelach, dostawać biżuterię.

- Tylko co to ma wspólnego z katastrofą? To przecież nie znaczy, że popełnili przestępstwo.

- Nie, oczywiście, że nie. Chociaż on mógł, i prawie na pewno to zrobił, przyprzeć ją do muru. To nie znaczy, że jest winny, bo nieostrożnie prowadził albo spowodował tę katastrofę. Choć może częściowo coś było. Albo ją. Może on jechał w niebezpieczny sposób; może ona czymś go rozpraszała? Nie byłbym zaskoczony, gdyby jakoś zatoczył się na drodze, tuż przed tą ciężarówką. Z braku innych powodów to mogłoby tłumaczyć ten nagły skręt...

- Równie dobrze tamten kierowca mógł zasnąć za kierownicą.

- Mógł. Ale też może musiał skrócić. W każdym razie już wiadomo, jaką miarką mierzyć pana Gilliatta, co pozwala nam z rezerwą traktować inne rzeczy, o których nam mówi. Trzeba dobrze zapisać sobie w pamięci to, co o nim wiemy. Rozumiesz?

- Tak jest - odparł konstabl Rowe.

Freeman uśmiechnął się, po raz pierwszy tego dnia.

- Właśnie dlatego ta rozgrywka może być taką wspaniałą zabawą, oczywiście na swój szczególny sposób. Moim zdaniem, trzeba tam wrócić, zadać jeszcze parę pytań. Poza tym musimy bardzo dokładnie obejrzeć nagrania z kamer na stacji benzynowej. Może uda nam się coś tam dostrzec? I jeszcze ta firma, w której ona pracuje... Jak ona się nazywa? O, mam: „Conferphoto”. Sprawdź, czy faktycznie obsługiwali tę konferencję.

- Czy mam sprawdzić bezpośrednio w firmie, czy u organizatorów konferencji?

- U organizatorów. Nie chcemy przecież denerwować panny Scott ani sugerować, że wzięliśmy ją pod lupę. Zresztą nie chcemy denerwować żadnego z nich. Wiesz chyba, Rowe, jak brzmi stare powiedzenie: „Daj im dość sznurka, a sami się powieszą”.

- Biedny pan Connell. - Jo Wales wkroczyła do dyżurki pielęgniarek.

Policja zaczęła wywierać presję w sprawie przesłuchania Patricka i w końcu jego lekarze wyrazili zgodę, aczkolwiek niechętnie. Jo była obecna przez cały czas; jej przekonanie, że jest na to stanowczo zbyt wcześnie, z każdą chwilą przybierało na sile.

- Czy bardzo go zdenerwowali tym przesłuchaniem?

Jej koleżanka Stephanie Hitchens, która również opiekowała się Patrickiem, też była przeciwna temu przesłuchaniu.

- Owszem. Dwa razy niewiele brakowało, żebym im przerwała... Przepraszam, Mario - odezwała się do hiszpańskiej sprzątaczkę, której zatarasowała drogę. - Ale za każdym razem jakoś udawało mu się pozbierać, więc pozwoliłam, żeby wykorzystali te swoje piętnaście minut.

- I co, jesteśmy choć trochę mądrzejsi?

- Właściwie nie. Wciąż mówił o tym, że chciał mu się spać, przypominał sobie, że był senny i że jadł te swoje żelki. Raz nawet wybuchnął płaczem. Właśnie wtedy poprosiłam ich, żeby sobie poszli, ale Patrick dał znak, że wszystko w porządku, że chce skończyć... Wreszcie powiedział, że wydaje mu się, że ktoś był z nim w kabinie.

- Naprawdę? Raczej mało prawdopodobne. To znaczy, gdzie ta osoba mogła się podziać?

- No właśnie. Ale oczywiście policja była bardzo tym zainteresowana i od razu zaczęli go dokładniej wypytywać... W końcu biedak się zdenerwował.

- Biedny Patrick... Żeby taki przemiły facet musiał zmagać się z takim horrorem. Zajrzę do niego, trochę z nim pogadam.

Maria, która знаła angielski znacznie lepiej, niż sądziła większość ludzi pracujących w szpitalu, skończyła chaotyczne sprzątnięcie podłogi i ruszyła w kierunku windy. Nareszcie jest coś, co będzie można przekazać temu dziennikarzowi, który prześladował ją od ładnych paru dni, natrętnie domagając się informacji. W dodatku powinna dostać pięćdziesiąt funtów, które jej obiecał...

Jack Bryant miał za sobą całkiem niezły tydzień. Upolował ponad setkę szkockich kuropatw, zjadł parę doskonałych posiłków, a jego znajomość z Margo Farthingoe rozwijała się w wielce satysfakcjonujący sposób. Margo miała pięćdziesiąt jeden lat, wyglądała umiarkowanie dobrze jak na swój wiek, była atrakcyjna, poza tym cieszyła się opinią doskonałego strzelca. Całkiem niedawno rozwiodła się z Gordonem Farthingoe, który teraz obnosił się po całym mieście z dwudziestodwuletnią lalunią, słodką jak cukiereczek. Jack i Margo spędzili razem mnóstwo cudownych chwil i ustalili, że w niedługiej przyszłości spotkają się w Londynie.

Jack załadował do bagażnika swojego jaguara tyle kuropatw, ile wypadało mu zabrać, kiedy przyszło mu do głowy, że przed podróżą powinien zafundować swojej limuzynie krótki przegląd. Nie była tak młoda jak niegdyś, a kobieta w jej wieku potrzebuje czulej miłości... Wszystko wydawało się w porządku, z wyjątkiem tego, że gdzieś zaginęła śruba od jednego z kół. Niech to szlag.

Nie miał pojęcia, gdzie mógł ją zgubić. Pomysł, żeby wracać bez niej przez M1 wydawał się czystym szaleństwem, więc czym prędzej musiał udać się na poszukiwanie nowej. To zajęło mu większość dnia; okolica nie obfitowała w specjalistyczne stacje obsługi. Jednak jego irytacja znacznie się zmniejszyła, gdy nadeszła propozycja kolejnego noclegu u Mackintoshów i kolejnej próby sił w ramionach pani Farthingoe.

Linda podeszła do lodówki i wyjęła stamtąd jedną z minibutelek szampana, które trzymała właśnie na takie okazje. Nalała pełny kieliszek, przez chwilę rozkoszowała się jego zawartością, a potem podniosła słuchawkę i wybrała numer komórki Georgii.

- Kochanie, mam dla ciebie dobrą wiadomość. To znaczy naprawdę dobrą wiadomość. Chcą ciebie.

- O Boże! O Boże, Linda! Jak... Jak fajnie!

Boże, pomyślała Linda, cóż to za słowo. Tak niewspółmierne, znaczące niemal wszystko...

- Wiem. To urocze. Moje wielkie, wielkie gratulacje. Jestem zachwycona. Co robisz?

- Jestem w Topshopie, na Oxford Circus. Z koleżanką, u której się zatrzymałam.

- Cóż, może wpadniesz do mnie na szklaneczkę płynu z bąbelkami? Możesz przyprowadzić przyjaciółkę.

- Mogę? Och, Linda, będzie nam bardzo miło. Dziękuję. Czy możemy przyjechać zaraz? Będziemy u ciebie za jakieś pół godziny.

- Wspaniale. Idę wyjąć kieliszki.

- Fajnie!

- No... Jak ci poszło? - spytał William.

Przyjechał do Bristolu na spotkanie z Abi w stanie kompletnego zamętu emocjonalnego; w jednakowym stopniu czuł się niespokojny i podekscytowany, i na zmianę albo żałował, że nie posłuchał wrodzonego instynktu, który nakazywał mu trzymać się od Abi z daleka, albo się zastanawiał, czemu, do diabła, nie zadzwonił do niej wcześniej. Była tak cholernie seksowna, a do tego wydawała się całkiem miła - o wiele miłsza niż dziewczyny tego typu, jak sobie wyobrażał; poza tym miał wrażenie - ale tylko wrażenie - że ona także go lubi.

Oczywiście, nadzieja na jakikolwiek związek między nimi to sprawa daremna; Abi z pewnością prowadziła życie na wysokich obrotach i na oślep pędziła przed siebie (cóż za niefortunny dobór słów, pomyślał, uśmiechając się do siebie), podczas gdy on... No cóż, z jej punktu widzenia jego życie wlokło się w ślimaczym tempie.

Jeśli zaś chodzi o to, co powie na ten temat jego matka... Cała sprawa wydawała się wręcz beznadziejna i musi skończyć się na tym jednym wieczorze, przeznaczonym - jak zaznaczył, dzwoniąc do Abi - na omówienie ich przesłuchań przez policję.

Ale potem... Wszedł do baru, który sama zaproponowała, a ona machnęła ręką na przywitanie; podeszła i cmoknęła go w policzek - jej perfumy były niesamowicie mocne, słodkie i od razu szły do głowy - następnie wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę stolika. Od razu zastrzegł, że nie może pić, bo niedługo musi usiąść za kierownicą; trzy piwa później czuł, że lekko kręci mu się w głowie i z niepokojem zastanawiał się, w jaki sposób ma teraz wrócić do domu. Może gdyby zjedli posiłek, naprawdę porządny posiłek - a on pił już tylko wodę - to udałoby mu się jakoś wytrzeźwieć.

Jednak z drugiej strony, gdyby nie wypił tyle, z pewnością nie czułby się tak zrelaksowany. Mógł oczekiwać, że rozmowa z kimś takim jak Abi będzie trudna, ale okazało się, że łatwo się z nią gawędzi i że potrafi być zabawna, a poza tym ma prawdziwy talent do słuchania. Zadawała mu niezliczone pytania na temat prowadzenia farmy, wiejskiego życia, a nawet rodziców, i wydawała się szczerze zainteresowana odpowiedziami.

Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, że jedna z jej długich nóg ociera się o jego nogi, i że Abi pochyla się coraz bliżej, uważnie obserwując jego usta, gdy coś mówił; te spostrzeżenia w połączeniu z trzema piwami i odurzającą wonią jej perfum sprawiły, że nagle zakręciło mu się w głowie... Na litość boską, chyba ktoś taki jak on nie mógł podobać się dziewczynie takiej jak Abi?

- Och, wszystko poszło dobrze, jak mi się zdaje - odpowiedziała. - Jestem zadowolona, że mam to za sobą. Zresztą oni byli całkiem mili. A tobie jak poszło?

- Chyba też nieźle. Zastanawiam się, czy to byli ci sami? Ze mną rozmawiał sierżant Freeman i konstabl Rowe, jego pomocnik.

- Tak, ci sami.

Boże, ależ on był... cudowny. Nigdy w życiu by nie uwierzyła, że ktoś taki może się jej spodobać - taki uczeń, prostolinijny jak dziecko i w staroświecki sposób dobrze wychowany. Na litość boską, naprawdę chciało mu się obchodzić stolik, żeby odsunąć jej krzesło, podrywać się z miejsca, jeśli akurat postanowiła pójść do toalety, i wstawać ponownie, kiedy wracała.

Czuła się, jak ktoś... No cóż, ktoś zupełnie inny. Jak osoba, która od dziecka przyzwyczaiła się do takiego traktowania. To wrażenie było równie przyjemne, jak głaskanie, jedzenie czekoladek albo wylegiwanie się w słońcu - kojące, rozgrzewające i bardzo miłe.

Poza tym ten facet był tak niewiarygodnie przystojny. Bez trudu mógłby zostać modelem, gdyby tylko przyszła mu na to ochota. Zgoda, może jego fryzura była odrobinę niemodna, ale bardzo było mu w niej do twarzy. Zresztą miał wspaniałe włosy, w bogatym, brązowym kolorze, przetykanym tu i ówdzie nitkami złota.

Najwyraźniej nie miał pojęcia, że jest tak niesamowicie atrakcyjny - trochę jak dziecko, które nigdy nie bywa zażenowane własną urodą. Przyglądała mu się, gdy siedział przy barze, z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie, z podwiniętymi do łokci rękawami, spod których ukazywały się opalone przedramiona - tak mocno opalone, że pokrywające skórę włoski wydawały się całkiem jasne - i uśmiechnięty od ucha do ucha, opowiadał o swojej farmie, o tym, jak bardzo ją kocha mimo różnych przeciwności, że uwielbia przebywać cały czas na dworze, że satysfakcję sprawia mu zbieranie pszenicy albo hodowla zdrowych zwierząt.

- Mój brat jest księgowym. Zrobił się z niego taki typowy mieszczuch. Co to za okropne życie, zarządzać cudzymi pieniędzmi, pomagać bogatym ludziom być tak bogatymi, jak tylko się da... To marne, strasznie samolubne życie.

Była zdumiona tym, że on tak zgrabnie potrafi się wysłowić, bo zawsze sądziła, że farmerzy muszą być silni, ale niekoniecznie rozmowni. Kiedy zaczął narzekać na supermarkety i na to, jak potrafią przygiąć człowieka do ziemi, doprowadzając do ruiny mniejsze gospodarstwa, natychmiast poczuła, że strasznie ją to obchodzi. Brzmienie głębokiego, dźwięcznego głosu sprawiało jej przyjemność - zgoda, może był odrobinę zbyt wystudiowany, a ona zwykle nie lubiła takiego pozerstwa, lecz nie tym razem. Tym razem wszystko się jej podobało.

- Wybacz, Abi... Nie możesz pozwolić, żebym cię zanudzał. Pewnie chciałabyś porozmawiać o tych naszych przesłuchaniach, co?

- Wcale mnie nie zanudzasz. - Uśmiechnęła się. - I wcale nie mam ochoty rozmawiać o jakimś głupim przesłuchaniu na policji. Na to będzie jeszcze mnóstwo czasu.

- Świetnie. Posłuchaj, ja stanowczo za dużo wypilem, więc czy moglibyśmy poszukać jakiegoś lokalu, gdzie da się coś zjeść? Zapraszam cię na kolację. Muszę zaliczyć jakieś pięć tysięcy kalorii, żeby w ogóle zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Potem możemy pogadać o tych przesłuchaniach. Ale... Może masz inne plany na wieczór?

Odparła, że nie, nie ma innych planów, i że kolacja to świetny pomysł.

Zaproponował, żeby poszli do Browna; widocznie zna tę sieć, pomyślała. Została stworzona z myślą o ludziach takich jak on. Nie chodziła tam zbyt często, bo... Bo było tam zbyt wielu ludzi takich jak on, choć dziś wydawało się to całkiem miłe.

- No to twoja kolej - powiedział, kiedy już zamówili jedzenie, to znaczny wielki stek dla niego i sałatkę krabową dla niej. - Może opowiesz mi coś o sobie? O swojej pracy, swojej rodzinie, o tym, co lubisz robić?

Poczuła niemal nieodpartą potrzebę, żeby powiedzieć mu, co lubi robić i jak bardzo chciałaby robić to właśnie z nim, ale zdołała ją zdławić i podała mu ugrzecznioną wersję opowieści o swoim życiu, przyjacielach, pracy... Przemilczała historię z reklamowaniem bielizny, upodobanie do narkotyków i - to jasne - większość swoich adoratorów, a zwłaszcza tego ostatniego.

- A więc... Nie jesteś z nikim związana na poważnie?

- Nie.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego.

Wyglądał na tak zbitego z tropu, że aż naszło ją pragnienie, żeby go pocałować. I pocałowała. Co prawda tylko w policzek, ale...

- Za co to? - Uśmiechnął się szeroko.

- Za to, że tak się dziwiłeś, że nie chodzę z nikim na poważnie. Chciałabym...

- Ale dlaczego? Zupełnie nie rozumiem.

- Bo większość z nich to zupełnie śmieci. Oto dlaczego. Mam na myśli facetów, z którymi się spotykałam. Byli zepsuci do szpiku kości. Zapatrzeni w siebie. Totalnie ograniczeni.

- No cóż, chyba miałaś cholernego pecha - parsknął śmiechem. - Musiałaś trafić na wyjątkowo paskudny rodzaj facetów. Czuję, że powinienem jakoś usprawiedliwić wyczyny mojej płci... No, a teraz serio. Sprawiasz wrażenie kogoś, kto został bardzo skrzywdzony... przez kogoś.

- Przez wielu - odparła i przed jej oczyma mignęła twarz osoby, która skrzywdziła ją najbardziej, i to całkiem niedawno. Czar prysł, a choć trwał dość krótko, Abi nagle poczuła się okropnie smutna.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

Najwyraźniej miał w sobie zbyt wiele cech dżentelmena, żeby zadawać pytania, ona zaś nie potrafiła mówić mu o niczym. Siedzieli w milczeniu przez chwilę albo dwie, aż w końcu on zdecydował się przerwać ciszę.

- Posłuchaj, ja niedługo będę musiał wracać, a jeszcze nie porozmawialiśmy o naszych przesłuchaniach. A więc... Jak tam było? Czy naprawdę tak paskudnie, jak się spodziewałaś?

- Nie, wręcz przeciwnie. Nawet dość przyjemnie. Obaj byli bardzo uprzejmi i ogólnie było o wiele lepiej, niż się spodziewałam. A twoje wrażenia?

- Także całkiem niezłe. Muszę przyznać, że byli bardzo dokładni. Pytali mnie dosłownie o wszystko. Na przykład, z kim rozmawiałem i tak dalej... Spytałi nawet o ciebie.

- O mnie? O co pytali w związku ze mną, na litość boską?!

- Och, opowiedziałem im o tym, jaka byłaś wspaniała i jak pomagałaś tym małym chłopcom. I jak potem pojechałaś z jednym z nich do szpitala. Potem zapytali, czy wiem coś na temat twoich układów z tym kolegą doktorem.

- Moich układów z... Nic nie rozumiem... To znaczy, czemu cię o to pytali?

- Nie mam pojęcia. Na początku chcieli wiedzieć, co się stało z twoim samochodem, czemu nie było go na autostradzie, a ja odpowiedziałem, że jechałaś jako pasażer w samochodzie pewnego doktora. I wtedy zapytali, czy wiem coś na temat waszego związku. Odpowiedziałem, że absolutnie nic, poza tym, że to czysto służbowe układy i że byliście razem na jakiejś konferencji.

- No tak. Zgadza się.

- Powiedziałem jeszcze, że on wydawał się mocno zdenerwowany i że w pewnym momencie zaczął na ciebie krzyczeć.

- No cóż, rzeczywiście krzyczał. To szczerą prawdą.

Czy miało jakieś znaczenie, że się o tym dowiedzieli? Raczej nie. W dodatku William zeznał to, co należało: że z Jonathanem łączyła ją wyłącznie służbowa znajomość. Ale... Ale dlaczego w ogóle się tym zainteresowali? To było trochę denerwujące.

- No i to mniej więcej wszystko. Naprawdę. Ach, jest nasz rachunek! Nie, nie, proszę cię... - zawołał, gdy grzebała w torebce w poszukiwaniu swoich kart. - Nie wygłupiaj się. Może gdzieś cię podrzucić?

Chryste, ależ z niego pieprzony dżentelmen, pomyślała. Większość facetów, gdy już postawi dziewczynie trzy drinki i kolację, oczekuje, że zaraz dobierze się jej do majtek.

- Nie, naprawdę nie musisz. Wezmę taksówkę.

- Och, nie bądź śmieszna. Po prostu odwiozę cię do domu.

Może rzeczywiście chciał ją odwieźć. Wydawało się głupotą, że na to nie wpadła.

Wyszli na ulicę i ruszyli w kierunku zaparkowanego samochodu; po chwili Abi wsunęła mu rękę pod ramię. Popatrzył na nią i uśmiechnął się w taki... Boże, w jak niesamowicie czarujący sposób.

- No chodź - powiedział. - Wskakuj. Posłusznie wskoczyła.

Jazda trwała może dziesięć minut; kiedy zatrzymali się pod blokiem na bezbarwnej, wąskiej uliczce, spytała, czy nie wpadłby na kawę, starając się, żeby wypadło to tak, jakby była grzeczną, miłą panią, za jaką najwyraźniej ją uważał.

- Bardzo bym chciał, ale naprawdę nie mogę. Jutro z samego rana przyjeżdża mój upiorny braciszek.

- Ten księgowy?

- Właśnie. Boże, ale ze mnie cholerny nudziarz. Znowu nawijam o swojej rodzinie.

- William... - Abi wspięła się na palce, żeby cmoknąć go w policzek. - Wcale nie jesteś nudny. Mogłabym słuchać cię przez całą... - Na końcu języka miała słowo „noc”, ale szybko zdołała się poprawić - ...Przez cały dzień. Nawet gdybyś opowiadał mi o swoich krowach. Swoich dziewczynkach, jak je nazywasz.

Rzeczywiście tak je nazywał, a ona uważała to za niewiarygodnie słodkie.

- Naprawdę?

Gdyby było nieco widniej, pewnie ujrzałyby, jak on się rumieni. Rzeczywiście, zarumienił się po czubki uszu; względnie łatwo było zbić go z tropu, bo choć nie należał do przesadnie skromnych, na pewno był dość... Hmm, dość wstydlivy. Tym, co też uważała za czarujące, był jego śmiech. Potrafił się cudownie śmiać, z całego serca i na cały głos, ale kiedy nagle coś go rozbawiło, zanosił się zaraźliwym chichotem.

- No, więc czemu on przyjeżdża? Mam na myśli twojego brata. Na rodzinne spotkanie?

- Nie, w interesach. Prawdę mówiąc, potencjalnie dość skomplikowanych. Właśnie dlatego chciałbym mieć jasną głowę.

- Dlaczego? Po co?

- Och, Abi, i tak już zanudziłem cię na śmierć.

- Nie, wcale nie! Wejdz i opowiedz mi o tym.

Wiedziała, że Sylvie wyszła z domu na całą noc. Nikt nie zakłóciłby im... spokoju.

Nic nie powiedział, tylko wysiadł z samochodu, obszedł go dookoła i otworzył przed nią drzwi. To było coś niewiarygodnie śmiesznego. Zupełnie jakby grali w jakimś filmie z lat pięćdziesiątych. Wysiadła, uśmiechając się i usiłując zachowywać się jak dama, lecz prawie natychmiast potknęła się na wystającej z chodnika płycie i runęła do przodu.

Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, i nie wiadomo w jaki sposób nagle się okazało, że znalazła się w jego objęciach. Stała blisko niego, otoczona jego ramionami, zadzierając głowę, żeby na niego spojrzeć. On także spoglądał na nią, a potem, bardzo powoli i ostrożnie, schylił głowę i dotknął ustami jej ust. Kiedy już zaczął ją całować, nie potrafił przerwać, a ten pocałunek był fantastycznym doświadczeniem - namiętny i jednocześnie badawczy, jak również niespieszny... Nagle zorientowała się, że odpowiada mu w sposób, który nie miał nic wspólnego z manierami damy; napotkała językiem jego język i po chwili poczuła, jak ten pocałunek działa na nią, jak zaborcze ciepło rozszerza się na całą jej istotę, budząc serię coraz silniejszych dreszczy. W porywie namiętności przywarła biodrami do jego bioder, a on odpowiedział tym samym; i nagle odsunął się, przerywając pocałunek, i popatrzył na nią z uśmiechem i jednocześnie zażenowaniem.

- Dlaczego? - wyszeptwała.

- Abi, ja strasznie cię przepraszam... Ja...

- Przepraszasz? - powtórzyła i nagle wybuchnęła - Psiakrew, Williamie, pieprzę takie przeprosiny! Zrób to jeszcze raz, albo wejdz na górę, albo...

- Nie - odparł. - Nie mogę. Wierz mi, że bardzo bym chciał, ale naprawdę nie mogę. Przecież ledwie się znamy.

To rozbawiło ją do tego stopnia, że zanosząc się od śmiechu, oparła się o niego i przyciągnęła do siebie jego głowę, żeby okryć pocałunkami jego policzki, nos... Ale to były już całkiem inne pocałunki.

- Jesteś niesamowity - zawołała. - Tak, naprawdę niesamowity. Obiecuj mi jedno: że zrobimy to jeszcze raz, i to całkiem niedługo.

- Co masz na myśli? Kolację, drinki...

- Tak, jeśli chcesz. Drinki, kolacja, pocałunki, a potem zobaczymy, co będzie dalej. Okay?

Milczał, spoglądając na nią dziwnie poważnym wzrokiem. Boże, pomyślała w popłochu. Posunęłam się za daleko, zachowałam się jak dziwka! Nagle się uśmiechnął - nieśmiało, prawie z zakłopotaniem.

- Świetnie. Zadzwoń do ciebie, zgoda?

- Dobrze ci radzę, żebyś zadzwonił - odparła, wyplątując się z jego objęć i idąc w stronę drzwi wejściowych. - A jeśli ty nie zadzwonisz, ja to zrobię. Jak już miałeś okazję się przekonać, nie jestem zbyt dobrze wychowana. Właśnie taki mam zwyczaj. Dzwonię do facetów, którzy mi się podobają. Dobranoc, Williamie. Dziękuję za przemiły wieczór.

- Nie - powiedział. - To ja ci dziękuję. Było wspaniale. Jesteś wyjątkową osobą, Abi. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Wolno odjechał w dół ulicy, a ona stała i patrzyła za nim. Potem weszła do mieszkania i od razu położyła się do łóżka. Leżała z szeroko otwartymi oczami, wciąż podniecona, ledwie zdając sobie sprawę z otaczającej ją rzeczywistości i zastanawiała się, jak szybko znów go zobaczy i czy tym razem uda jej się skłonić go, żeby poszedł z nią do łóżka. Chociaż... Co takiego jej powiedział? Och, tak, że przecież prawie wcale się nie znają. Niewiarygodne, że nadal są ludzie, którzy myślą w taki sposób. Zupełnie niewiarygodne...

W tym czasie William dość wolno jechał w stronę domu, słuchając ulubionej płyty Bruce'a Springfieldda, i rozmyślał, czy to w ogóle choć w najmniejszym stopniu prawdopodobne, żeby dziewczyna tak seksowna i rozrywkowa jak Abi mogła czerpać przyjemność z towarzystwa kogoś takiego jak on, i co miała na myśli, mówiąc, że znów chciałaby się z nim spotkać.

ROZDZIAŁ 23

Laura bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła uwierzyć w słowa Jonathana. W słowa dotyczące osoby Abi Scott. Od tego zależało całe jej życie, całe szczęście. Bo jeśli ją okłamał, jeśli okaże się, że miał romans z tamtą kobietą - albo z kimkolwiek innym - to nie było mowy, żeby nadal mogła z nim być. Zawsze czuła, że zaufanie jest dla niej synonimem miłości; wszystko jedno, jak cudownym mężem okazał się Jonathan, jak udane było dotąd ich małżeństwo, jak perfekcyjnie ułożyli wspólne życie - wiedziała, że jeśli wyjdzie na jaw, że ją zdradził, to raczej nie zdoła się z tym pogodzić. Jak mogłaby sypiać obok mężczyzny, budzić się razem z nim, mieszkać w jego domu i wychowywać mu dzieci, mając świadomość, że ją oszukał i że te wszystkie „kocham cię” i „nie mógłbym bez ciebie żyć” mówił także komu innemu?

Gdyby zakochał się w jakiejś kobiecie, poznał ją w intymny sposób, pieścił jej ciało, wchodził w nią, doprowadzał do orgazmów, to w jaki sposób miałyby nadal z nim zostać, akceptować te wszystkie kłamstwa i je wybaczać - tym samym wybacząc także czyny? Czy kiedykolwiek zdołałaby mu uwierzyć, gdyby mówił, że musi do późna zostać w pracy, wyjechać w służbową podróż albo pójść na kolację z kolegami? Podejrzenia mogły zatruć każdy uśmiech, każdy pocałunek i każdą pieszczotę, nadać fałszywy ton przyjemności, zniszczyć satysfakcję, zrujnować dobre wspomnienia. Może właśnie to wydawało się najgorsze: mieć w pamięci wciąż żywe wspomnienia o najlepszych czasach - o przysięgach wiecznej wierności, o narodzinach dzieci, o słodkich chwilach intymności małżeńskiej - i wiedzieć, że wszystkie zostały okryte hańbą, wypaczone i odmienione w niezwykle bolesny sposób.

Bardzo się starała - naprawdę bardzo! - na powrót odnaleźć szczęście i zaufanie, ale wszelkie próby były daremne - i będą, aż do chwili, gdy zdobędzie stuprocentową pewność. A potrzeba, by dowiedzieć się prawdy, powoli stawała się jej obsesją...

- Hmm... Niezwykle interesujące - oznajmił Freeman. Akurat przeglądali nagrania z kamer na stacji benzynowej. - Nasz szanowny druhna właśnie ustawił się w kolejce do ciśnieniomierza.

- Co w tym złego? - zdziwił się Rowe.

- Nic. To przejaw odpowiedzialności, zwłaszcza gdy ktoś ma zamiar szybko jechać. Ale sęk w tym, że pan Fraser powiedział nam, że na stacji benzynowej nie robił nic poza tankowaniem.

- No cóż, przypuszczam, że po prostu wyleciało mu to z głowy. Zwyczajnie zapomniał.

- Rowe, takich rzeczy się nie zapomina! Zwłaszcza kiedy kilka minut później wybucha ci opona, co jest przyczyną dużego wypadku. Nie, moim zdaniem powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z panem Fraserem. Zapytać go o to. Albo, co chyba będzie mądrzejsze, najpierw porozmawiamy z niedoszłym żonkosiem. Lepiej mieć osobne zeznania.

- Na razie nie możesz z nim rozmawiać - powiedział Rowe. - Dość kiepsko się czuje. Wydaje mi się, że słyszałem, jak mówili, że w poniedziałek może czeka go poważna operacja.

- Pan Connell tak samo źle się czuje, a jednak sporo udało się nam dowiedzieć.

- Racja. I to pomimo tego, że był dość mocno zamroczony lekami. Pamiętał, że chciało mu się spać i że jadł te słodkie żelki. I że w kabinie był z nim ktoś jeszcze.

- Już ci mówiłem, Rowe, że w tym śledztwie diabeł tkwi w szczegółach.

Jeśli powie to jeszcze raz, pomyślał Rowe, dostanie ode mnie pięścią w łeb.

- Sam fakt, że jadł żelki, a nie czekoladę, może mieć pierwszorzędne znaczenie. Jeśli tak precyzyjnie potrafił określić rodzaj słodyczy, to znaczy, że powinniśmy zwrócić baczniejszą uwagę na resztę jego zeznań.

- Ależ ta druga osoba w kabinie mogła mu się przywidzieć! Chociaż jeśli to dodać do... czekaj... do trzech innych doniesień o tajemniczej dziewczynie, która pojawiła się na miejscu wypadku, to myślę, że do prawdy warto się temu przyjrzeć... - zawahał się. - Wiesz, Rowe, zastanawiam się, czy udałoby się nam zainteresować tą sprawą media. Moglibyśmy zyskać więcej naocznych świadków, którzy widzieli, co się naprawdę wydarzyło, a w szczególności kogoś, kto widział tę dziewczynę oraz tajemniczego „ktosia”, który jechał w kabinie ciężarówki - bo przecież to niekoniecznie musi chodzić o tę samą osobę. Chyba z samego rana w poniedziałek pogadam z naszymi służbami informacyjnymi. Zobaczę, czy uda się nadać komunikat w wiadomościach.

- Jak mamy się do tego zabrać?

- Nasi ludzie ze służb informacyjnych skontaktują się z jednym z dziennikarzy śledczych, podsuną mu temat, starając się, żeby wypadło to maksymalnie interesująco... Potem sprawa należy już do tamtych. Tak naprawdę to trochę jak konkurs piękności.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek udało im się odnaleźć tego zaginionego psa - odezwał się nagle Rowe. - Tego golden retrievera. Chyba właśnie tego typu sprawami lubią się zajmować...

Zapadła cisza, którą przerwał Freeman.

- Może być i tak. Dlaczego więc nie spróbujesz dowiedzieć się czegoś na ten temat, Rowe?

Georgia powoli zaczynała czuć się tak, jak gdyby miała dwie głowy. Albo dwie osobowości. To było niesamowite. Jedna Georgia właśnie dostała rolę w prestiżowym serialu telewizyjnym i w związku z tym czuła się zadowolona z życia, ta druga zaś była przerażona, biedna i wstydziła się samej siebie, i nie miała zielonego pojęcia, jak poprawić swoją sytuację. Albo raczej miała pojęcie, lecz brakowało jej odwagi.

Mogła iść przez Cardiff na spotkanie z przyjaciółką, słuchając muzyki z iPod'a i zerkając na wystawy w Topshopie, i nagle poczuć, jak znienacka ogarnia ją przerażenie - przerażenie i rozpacz. Mogła stać tam przez

chwile, drżąc jak liść i przekonana, że nie zrobi ani kroku dalej, starając się odepchnąć na bok wspomnienia i poczucie winy, a potem zadzwonić do przyjaciółki, udąć chorobę i czym prędzej uciec do domu, żeby tam z płaczem wśliznąć się pod kołdrę i zalewając się łzami, spędzić tak nawet parę godzin.

A potem, tak samo bez powodu, znowu wracała do dawnego nastroju i nawet potrafiła samej sobie zadawać pytania, czy rzeczywiście jej postępek zasługiwał na potępienie? Nikt nie musiał przecież wiedzieć, że w ogóle tam była, a pewnego dnia - tak jest, pewnego dnia - pojedzie odwiedzić Patricka - który na szczęście wciąż pozostawał przy życiu - i powie mu, jak bardzo jest jej przykro.

Tyle tylko, że... Wiedziała, że nie zdoła tego zrobić. Naprawdę.

- Środa to mój wielki dzień - oznajmił Toby.

Zadzwonił do Barneya do pracy, a jego głos wydawał się boleśnie rozradowany.

- Tak? A czemu? Zupełnie jakby nie wiedział.

- No, bo tego dnia robią ostatnie przepłukiwanie rany. Jeśli dojdą do wniosku, że to na nic...

- To spróbują jeszcze raz - przerwał mu Barney.

- Chłopie, przecież wiesz, że nie.

- Oczywiście, że tak. Na pewno nie przestaną o ciebie walczyć.

- Nie. Po prostu odejmą mi nogę. Albo jej część.

- Och, Tobes! Oczywiście... Oczywiście, że nie! Co ci strzeliło do głowy, że tak myślisz?

- Bo tak powiedział mi pewien pieprzony doktor. Był bardzo miły, pozytywnie nastawiony i raczej pewien, że wszystko pójdzie dobrze, ale mimo to musieliśmy rozważyć i taką możliwość. Będę musiał podpisać zgodę na zabieg, jeszcze zanim mnie uspią. Psiakrew, Barney, jestem przerażony jak cholera.

Zapanowało milczenie.

- Czy... Czy powiedziałeś o tym Tamarze? - zapytał w końcu Barney.

- Nie, skąd! Pomyślałem, że taka wiadomość za bardzo wyprowadzi ją z równowagi.

- Jasne. Zachowałeś się bardzo dzielnie, stary - zauważył Barney, rozważnie dobierając słowa. - A co z twoimi rodzicami?

- Im też o niczym nie mówiłem. Biedna mamuśka, ona i tak cholernie się o mnie martwi.

- No cóż... - Barney w popłochu szukał czegoś, co mogłoby pomóc w takiej sytuacji. - Posłuchaj, Tobes. Może chciałbyś, żebym przyjechał do ciebie w tę środę, co? Żebym był tam, kiedy będą to robić? Oczywiście nie na sali operacyjnej, bo tego chyba bym nie zniósł, ale posiedzę z tobą trochę, zanim cię zabiorą, i zaczekam, aż wrócisz. Naturalnie z obiema nogami.

- Niech to diabli, Barney, jesteś najlepszym kumplem na świecie! Naprawdę przyjedziesz? To wspaniale. Mówili, że pewnie będą to robić po południu, więc zastanawiałem się, jak przeżyję ten koszmarnie długi dzień. Ale... Przecież będziesz ze mną...

- Będę z tobą.

Kiedyś, jak Toby poczuje się lepiej, muszą przedyskutować tę drobną kwestię opony, pomyślał Barney. Zwyczajnie po to, żeby obaj mówili to samo, gdyby ktoś kiedyś zapytał o to Toby'ego... Co i tak pewnie się nie zdarzy.

ROZDZIAŁ 24

Patrick tkwił w szponach przerażenia i strachu; niemal czuł ich fizyczną obecność, kiedy ogarniały całą jego istotę z taką samą pewnością, jak ból w dniu wypadku. Dziwnym trafem rozmowa z policją tylko pogorszyła sprawę, bo zyskał jeszcze większe przekonanie, że po prostu zasnął za kierownicą - sam dźwięk własnego głosu, kiedy opisywał, co się stało, sprawił, że wszelkie inne wyjaśnienia wydały mu się całkiem nieprawdopodobne. To on zabił kilkoro ludzi, zrujnował życie tylu osobom; to była jego i tylko jego wina. Miał ich krew na rękach, tak samo, jakby wyjął pistolet i ich zastrzelił.

Fakt, że nie umiał sobie przypomnieć niczego konkretnego także negatywnie wpływał na jego samopoczucie, czyniąc z niego kogoś, kto zupełnie nie panuje nad sobą. Powiedziano mu, że pamięć jeszcze wróci, ale im więcej starał się sobie przypomnieć, tym gorzej mu to szło; zupełnie jakby usiłował przebić wzrokiem mgłę, która gęstniała z każdym dniem. Nawet jeśli w kabinie była inna osoba, to jej obecność rozplywała się w owej mgle. Poza tym nawet jeśli ktoś rzeczywiście z nim był, to i tak on siedział za kierownicą.

Przerażenie nie opuszczało go nawet na moment; leżał w łóżku i walczył z nim przez długie godziny, budził się ze strachem i ze strachem zasypiał, wpadając w narkotyczny, wywołany lekarskimi środkami sen, w którym nadal śnił o tym, co się stało. Nie było miejsca na nic innego - na nadzieję, na ukojenie - tylko na horror, który wszystko czynił ohydny, a nawet plugawym. To będzie trwało aż do samej śmierci, myślał z przerażeniem.

Od tego nie ma ucieczki. Cała troska i starania, jakie wkładano w poprawę jego zdrowia, albo nawet samo ewentualne wyzdrowienie, z jego punktu widzenia wydawały się całkiem bez sensu. Pragnął, żeby wreszcie przestali to robić; pragnął sam przestać współdziałać.

I nagle, jak w momencie objawienia, przyszło mu do głowy, że jeśli naprawdę chce, to może.

- Mamusiu, wyglądasz na zmęczoną. Czemu nie pójdziesz i nie obejrzysz czegoś w telewizji? Gerry pomoże mi tu posprzątać, prawda, Gerry?

- Och... nie... - odparła Mary, a jej serce zabiło niespokojnie. - Posłuchajcie... Chciałabym porozmawiać z wami obydwójkiem na pewien temat. Rzec w tym... Wiem, moi kochani, że to może być odebrane jako... Jako pewnego rodzaju niespodzianka, ale chyba wiecie, czemu w zeszłym tygodniu wybrałam się do Londynu? W dniu, kiedy wydarzyła się tamta katastrofa? Nie byłam całkiem szczerą, mówiąc wam, po co tam jadę... Pojechałam, żeby z kimś się spotkać.

- Tak mówiłaś... Że jedziesz na spotkanie z przyjacielem.

- Właśnie. Tyle tylko, że on jest dla mnie kimś więcej niż przyjacielem.

- Co takiego? Mamusiu, w coś ty się wplątała? Oczywiście Christine były pełne niepokoju.

- Cóż, człowiekiem, z którym miałam się wówczas spotkać, jest pewien dżentelmen z Ameryki. Nazywa się Russell Mackenzie.

- Wielkie nieba! I...

- Poznaliśmy się wiele lat temu. Jeszcze podczas wojny. On służył w amerykańskiej armii, i my... No, oboje poczuliśmy do siebie sympatię.

- Chcesz powiedzieć, że miałas z nim romans, tak?

- Oczywiście, że nie - oburzyła się Mary. - A już na pewno nie taki, jak sobie wyobrażasz. W tamtych czasach nie robiło się takich rzeczy. Tak czy owak, nie romansowałam z nim i już.

- Ale... Byłaś w nim zakochana?

- Tak - przyznała Mary. - I to bardzo.

- O rany, jakie to romantyczne! Nigdy cię nie kusilo, żeby za niego wyjść, wyjechać stąd zaraz po wojnie w charakterze narzeczonej dzielnego wojaka albo jakoś tak?

- Nie, absolutnie. Wcześniej dałam słowo waszemu ojcu, że za niego wyjdę; nieoficjalnie byliśmy już zaręczeni, a on podczas wojny trafił do obozu jenieckiego, jak zapewne wiecie.

- Lecz mimo to pozwoliłaś sobie na romans, no dobrze, związek, z tym kolesiem?

- Owszem. Ale on od początku wiedział, że nasz związek nie ma przyszłości, że zamierzam wyjść za mąż za waszego ojca.

- I co, mimo wszystko nadal starał się... za tobą uganiać? I ty mu na to pozwalałaś?

- Hm... tak. Wiem, że trudno wam to zrozumieć, ale to był czas wojny. Człowiek inaczej patrzył na różne sprawy.

- Oczywiście. W każdym razie on po wojnie wrócił do Stanów?

- Tak, i w stosownym czasie się ożenił, ja zaś wyszłam za waszego ojca. Ale nadal podtrzymywaliśmy kontakt. Regularnie pisywaliśmy do siebie. Przez te wszystkie lata. Nadal byliśmy sobie... bliscy. W pewien niezwykle sposób.

- Jak regularnie? Kilka razy w roku?

Najlepiej mówić całą prawdę, pomyślała. Nieszczerość może okazać się zgubna.

- Nie, pisywaliśmy do siebie przynajmniej raz w miesiącu.

- Raz w miesiącu! Czy tata o tym wiedział?

- Nie, nie miał pojęcia. Gdyby wiedział, to pewnie... byłby zaniepokojony. Nie potrafiłby tego zrozumieć.

- Nie jestem pewna, czy ja potrafię. - Christine nagle oblała się rumieńcem. - Chcesz mi powiedzieć, że byłaś tak zaangażowana w związek z innym mężczyzną, że co miesiąc pisałaś do niego listy, i to przez długie lata, przez ten cały czas będąc żoną taty, i że to w żaden sposób nie wpłynęło na twoje uczucia do niego?

- Właśnie tak.

- Ale, mamó, przecież musiało mieć wpływ! Ja nie umiałabym w ten sposób oszukiwać Gerry'ego.

- Ściśle rzecz biorąc, to nie było oszustwo, kochanie.

- Ależ było, mamó! Czy on mówił o tym swojej żonie? To znaczy ten Russell?

- Nie, nie mówił.

- Według mnie ta cała historia brzmi dość niewiarygodnie. To znaczy, że jedynie pisaliście do siebie i nic więcej? Czy on tu przyjeżdżał? Czy spotykałaś się z nim, tak, żeby tata nie wiedział?

- Nie, Christine, nie spotykałam się z nim. Nie mogłabym tego zrobić.

- No dobrze, co było dalej? - Christine spoglądała na nią niemal z wrogością. - Co dalej zdarzyło się w tej romantycznej historii dwojga rozłączonych kochanków?

- Chris! - Gerry sprawiał wrażenie mocno zakłopotanego. - Nie denerwuj się, skarbie.

- Cóż, już i tak jestem zdenerwowana. Nagle się dowiaduję, że w życiu mojej matki istniał inny mężczyzna, i że mój ojciec nie miał o tym bladego pojęcia... A gdyby tata jednak się dowiedział, mam, to jak myślisz, czy byłby bardzo zmartwiony?

- Pewnie tak. Właśnie dlatego nigdy mu nie powiedziałam.

- No widzisz. Sama czułaś, że postępujesz niewłaściwie. No nic, mów dalej.

Mary czuła, że zbiera się jej na płacz. Właśnie takiej reakcji obawiała się najbardziej.

- No cóż... Stało się tak, że żona Russella także umarła. I on przyjechał, żeby się ze mną zobaczyć. I okazało się, że nadal bardzo się lubimy.

- Czy on przychodził do ciebie do szpitala?

- Tak.

- Nie mówiłaś mi o tych wizytach.

- Nie, kochanie. Nie mówiłam.

- To dowodzi, że nadal czujesz się w jakiś sposób winna. Przynajmniej ja tak uważam. Ten człowiek był obecny w twoim małżeństwie z tatą, nawet jeśli tata o niczym nie wiedział. Moim zdaniem to coś bardzo, bardzo złego.

- Chris! Daj spokój, twoja mama nie popełniła żadnego przestępstwa!

- Bardzo mi przykro, ale to kwestia poglądu. W każdym razie co teraz będzie? Mam nadzieję, że ten pan nie zamierza tu przyjeżdżać.

- Nie, jeśli będziesz temu przeciwna.

- Jestem.

- Ale ja chciałabym, żebyście się poznali.

- Nie mam ochoty go poznawać.

- Christine, planujemy spędzać ze sobą mnóstwo czasu. Naprawdę mnóstwo. I wiem, że go polubisz, jak tylko się spotkacie.

- Nie mam ochoty go polubić! Poza tym, co to znaczy „mnóstwo”? Mam nadzieję, że nie zamierzacie razem zamieszkać albo coś w tym stylu?

- Chris! - zawołał Gerry.

Mary spokojnie spojrzała córce w oczy; miała nadzieję, że przeprowadzi to spokojnie, że Chris zgodzi się na spotkanie z Russellem, że uda jej się namówić ją, żeby postarała się go poznać, ale...

- Prawdę mówiąc, zamierzamy... No cóż, zamierzamy się pobrać - powiedziała poważnie. - Oboje czujemy, że zbyt wiele czasu spędziliśmy w oddaleniu.

- Och, proszę, oszczędź mi tego! Za dużo naczytałaś się w życiu różnych romansideł, mam. Nie żyłaś z dala od tamtego mężczyzny; po prostu zostałaś żoną taty, którego powinnaś była kochać i szanować. Biedny, stary ojczulek! Chyba biedak przewraca się w grobie!

- Chris, już chyba wystarczy tej rozmowy - mruknął Gerry. - Zobacz, jak zdenerwowałaś mamę.

- No dobrze, a ona zdenerwowała mnie! Nie mam pojęcia, co o tym powie Timothy. A teraz muszę już iść i zabrać się do sprzątnięcia. Zobaczymy się rano.

Mary czuła się okropnie. Okazało się, że Russell był w błędzie; powtarzał jej przecież, że Christine wszystko zrozumie, że będzie się cieszyć z ich szczęścia... Cóż teraz mogła zrobić? Nagle wszystko się popsuło. Miejsce zadowolenia i ekscytacji zajęło poczucie winy i zawstydzenie.

Położyła się do łóżka i myślała o Donaldzie; o tym, że chyba rzeczywiście byłby mocno urażony, gdyby o wszystkim wiedział... Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją wrażenie, że naprawdę go zdradzała.

- Wiem, że to okropne z mojej strony - oznajmiła Tamara, wsuwając rękę pod ramię Barneya, gdy oboje szli w kierunku windy. - Ale powoli zaczynam czuć, że jednak okazałam się w tym wszystkim odrobineczkę samolubna. To znaczy, oczywiście nie powiedziałam ani jednego złego słowa w obecności Toby'ego, bo przecież on nie jest winien temu, co się stało, choć z drugiej strony...

Mówiła coraz ciszej, aż w końcu jej głos zamarł. Barney poczuł przypływ wściekłości i to tak gwałtownej, że naprawdę miał ochotę ją uderzyć, zamiast zaprosić na drinka, czego się domagała. Na początku tego tygodnia wróciła do firmy: „No wiesz, czuję się już mocno znudzona i mam po dziurki w nosie tego siedzenia w domu, więc dla odmiany praca będzie miłą rozrywką”, i po południu zjawiła się przy jego biurku z propozycją, żeby po pracy wyskoczyli gdzieś razem.

W ten oto sposób znalazł się razem z nią na czterdziestym drugim piętrze Vertigo, gdzie czekała go przynajmniej godzina wysłuchiwania jej nieszczerych żalów, choć może żal był prawdziwy, tyle że z niewłaściwego powodu.

- Tak... - powiedziała, upijając łyk szampana. - Jak już mówiłam, Barney, naprawdę nic nie mogę na to poradzić. Czuję się bardzo źle, wręcz fatalnie.

- Z powodu Toby'ego, jak przypuszczam?

- Tak, tak, naturalnie. Biedny aniołek.

- A jak, twoim zdaniem, on się czuje? - warknął, z desperacją opóźniając moment, gdy ona będzie zmuszona wydusić z siebie słowa współczucia. - To znaczy, z tą nogą?

- Och, kochanie, przecież nie mam pojęcia! Mam wrażenie, że ci lekarze sami nie wiedzą, co o tym myśleć. Między nami mówiąc, zastanawiam się, czy choć w połowie przypadków wiedzą, co robią. Ale Toby zdaje się uważać, że są wspaniali i tak samo myślą jego rodzice. To znaczy, ja na ich miejscu przeniosłabym syna do prywatnego szpitala, ale oczywiście to nie moja sprawa. Najwyraźniej zasięgnęli czyjejś opinii i powiedziano im, że nigdzie nie mógłby liczyć na lepszą opiekę.

- Tak, dokładnie to samo powiedział mi w niedzielę, kiedy pojechaliśmy tam z Amandą.

- Barney, jesteś naprawdę kochany, że tak często wpadasz do niego. Nie potrafię ci powiedzieć, ile to dla niego znaczy.

- Przecież to mój najlepszy przyjaciel.

- Wiem, ale to taki kawał drogi...

- Owszem. Dlatego jestem zaskoczony, Tamaro, że wróciłaś tutaj, choć o wiele łatwiej byłoby ci odwiedzać go, mieszkając w domu rodziców.

- Tak, ale jak mówiłam, tam czułam się coraz bardziej przygnębiona. Wciąż rozmyślałam o tym naszym weselu, wiesz? Nie byłoby źle, gdybyśmy ustalili następny termin, ale na razie nawet to się nie udało.

Barney zachował milczenie.

- W każdym razie Tobi jest taki wyrozumiały! Dzięki Bogu rozumie, że potrzebowałam wrócić do pracy. Oczywiście, będę do niego zaglądać w każdy weekend.

- To dobrze.

- Ale jak mówiłam, dopiero teraz to wszystko zaczyna do mnie docierać. I wiem, że w żaden sposób nie mogę mieć do ciebie pretensji. Nawet najmniejszej. - Przez chwilę była cicho, a potem wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Z jednym wyjątkiem... Właściwie dlaczego wyjechaliście tak późno? Bardzo chciałabym wiedzieć. Przez to nasze wesele nie doszło do skutku!

Barney poczuł, jak żołądek przewraca mu się na lewą stronę.

- Tamaro, wasze wesele nie odbyło się przez katastrofę.

- Nie, wcale nie! Dlatego, że tak późno wyjechaliście! Gdybyście wyjechali o czasie, to w porze katastrofy dawno byście byli na miejscu! Chciałam powiedzieć, że chyba mieliście w planie lunch z mistrzem ceremonii, prawda?

- Tak. Ale chodziło o to, że... Że Tobi nie czuł się zbyt dobrze. Wciąż zbierało mu się na wymioty. Przez cały ranek. Naprawdę nie mogliśmy wyjechać wcześniej. To było zupełnie niemożliwe.

- Och, rozumiem! Biedny Tobes, pewnie zjadł coś nieswieżego. Albo to był wirus. To znaczy, przypuszczam, że nie pozwoliłeś mu się upić, więc na pewno nie miał kaca, co?

- Jasne, że nie.

- W ogóle mi o tym nie wspomniał... Dzięki, że powiedziałeś. Od razu czuję się lepiej.

- To dobrze. - Barney czuł, że się poci. Szampan był tak cudownie orzeźwiający, więc jednym haustem opróżnił cały kieliszek.

- Tak czy owak, nie zamierzam dyskutować o tym z Tobym, ani w ogóle o czymkolwiek. On i tak czuje się winny, mój biedaczek.

- Winny? - zapytał Barney w osłupieniu.

- Tak, oczywiście. To jasne, że czuje się winny. Choć ja uważam, że nie powinien, i nawet mu o tym mówiłam, ale... To i tak nie pomogło. Nic na to nie można poradzić. A ty dałbyś sobie radę z czymś takim? Gdyby chodziło o twoje wesele, twoje i Amandy?

- Nie sądzę - odpowiedział. - Pewnie nie. Czuł, że dłużej tego nie zniesie.

- Tamaro, muszę już iść. Ja... Nagle zadzwonił jego telefon.

- Przepraszam, to Amanda. Cześć, kochanie. Dobrze się czujesz?

- Owszem, nieźle. Barney... Dzwoniła Carol Weston. Chciała z tobą rozmawiać. Obawiam się, że ma niedobre wieści, jeśli chodzi o nogę Tobi'ego i chyba byłoby dobrze, gdybyś do niej zadzwonił. Czy dziś wrócisz później? Bo jeśli tak, to...

- Nie - zawołał. - Nie, już stąd wyjeżdżam!

ROZDZIAŁ 25

Georgia siedziała w kuchni swojego domu w Cardiff i przerzucając gazetę, zastanawiała się, czy powinna znaleźć pracę w jakimś barze na następne dwa albo trzy tygodnie, zanim telewizja ruszy z produkcją *Moving Away*. Dziś był stanowczo jeden z tych lepszych dni. - Och, mój Boże!

Nagle poczuła się tak, jakby za chwilę miała z wymiotować.

Przerażonym wzrokiem gapiła się na gazetę, otwartą na stronie z mniejszymi artykułami, z których największy nosił tytuł: „Tajemnica na autostradzie”, a znajdująca się poniżej treść mówiła o „jak dotąd niepotwierdzonych doniesieniach”, że kierowca ciężarówki, która w zeszłym tygodniu przełamała barierę na autostradzie, powodując sięgający dziewięciu kilometrów zator w obu kierunkach i przyczyniając się do śmierci kilku osób, powiedział, że w kabinie jechała z nim jakaś niezidentyfikowana osoba, która po wypadku zniknęła w tajemniczych okolicznościach.

„Istnieją przypuszczenia, że w kabinie ciężarówki mógł znajdować się także pasażer. Policja nie zaprzecza ani nie potwierdza tego faktu, a innych doniesień na ten temat brak. Jeśli taka osoba rzeczywiście istnieje, on lub ona, może być nieocenionym źródłem informacji na temat pierwotnych przyczyn katastrofy, które policja bardzo chciałaby ustalić.

Choć wielu poszkodowanych odzyskuje w szpitalach zdrowie, a niektórzy nawet powrócili już do domów, wciąż istnieje obawa co do losów Toby'ego Westona, niedoszłego pana młodego, który odniósł podczas katastrofy poważne obrażenia i nie zdołał dotrzeć na własny ślub. Jego narzeczona Tamara Lloyd powiedziała naszym reporterom, że ze strachu niemal odchodziła od zmysłów.

Katastrofa, która wciąż jest przedmiotem policyjnego dochodzenia, została uznana za jedną z największych.

W ostatnich dniach było sporo wezwań do ostrzejszego regulowania godzin pracy kierowców ciężarówek. Podczas gdy brytyjscy kierowcy w większości ściśle przestrzegają przepisów, kierowcy z kontynentu często pokonują w ciągu tygodnia dwukrotnie więcej kilometrów, niż powinni, jak również łamią ograniczenia prędkości dla ciężkich pojazdów. Takie praktyki mogą prowadzić do przemęczenia i niebezpiecznej jazdy. Wspomniany kierowca ciężarówki pochodzi z Anglii...”.

- Bardzo ostrożnie napisane - powiedział Freeman do Rowe'a, kiedy zwrócono mu uwagę na ten artykuł.
- Mnóstwo sugestii, że to niebezpieczna jazda była przyczyną katastrofy, choć nigdzie nie zostało to powiedziane wprost. Nikt nie może mieć żadnych zastrzeżeń.

- To haniebne - warknął Rowe. - Ten biedny sukinsyn nie poczuje się przez to ani odrobinę lepiej, prawda?

- Nie - przyznał Freeman. - Za to ludzie z telewizji o wiele bardziej zainteresują się naszą sprawą.

- Zapewniam, że oni bardziej interesują się tym cholernym psem - odpowiedział Rowe.

Toby był mocno przygnębiony; zostały jeszcze dwa dni. Zadzwoił do biura Barneya i Barney postanowił, że wpadnie do szpitala jeszcze dziś wieczorem. Zastał Toby'ego na łóżku, bladego i posępnego jak śmierć.

- Jestem przerażony jak cholera - wyznał Toby.

Łzy napłynęły mu do oczu i powoli pociekły po policzkach. Barney wyciągnął rękę, żeby zamknąć w uścisku jego dłoń.

- Och, Tobes, zobaczysz, że wszystko będzie w porządku. Wiem, że będzie.

- Za to ja wręcz przeciwnie. O Boże, Barney, co ja zrobię? Jak mam to znieść? To pieprzona niesprawiedliwość. Wystarczyło głupie pięć minut i wszystko byłoby w porządku. Powinniśmy byli wyjechać wcześniej, prawda? Tamara wciąż mi to powtarza.

- Naprawdę?

Cholerna krowa. Suka. Jakie to wygodne. Niesamowicie wygodne...

- Mimo to wiem, że zrobiłeś wszystko, co było można.

- Tak, zrobiłem. Jeszcze jedno, Toby... Nie mogliśmy wtedy wyjechać o wiele wcześniej.

- Nie mogliśmy?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego?

- Toby, przecież musiałeś pojechać i spotkać się z tamtą dziewczyną... Toby nagle zmienił się nie do poznania; zrobił się ostrożny, niemal podejrzliwy.

- Barney, przecież nic takiego nie miało miejsca. Wiesz o tym, prawda?

- Tak jest, wiem. Daj spokój, wszystko gra. Nie martw się, stary. Położył palec na ustach, uśmiechając się przy tym z determinacją.

- Będę milczał jak grób.

- To wcale nie jest śmieszne - odparł Toby. - To nie jest żart. Rozumiesz?

- Jasne.

- To... Po prostu nic podobnego się nie wydarzyło.

- Nie, oczywiście, że nie.

Barney uśmiechnął się, choć zaczynał czuć się lekko urażony. Co ten Toby sobie myślał? Że on wypła o wszystkim Tamarze albo jego rodzicom?

- Tobes, jest coś jeszcze. Ta cholerna opona. Pamiętasz?

- Jaka opona?

- Ta, która potem strzeliła.

- Och... Tak.

- Ja nie mówiłem... No dobrze, nie powiedziałem o tym w czasie przesłuchania przed policją, że ta opona była jak flak.

- A była?

- Wiesz przecież, że tak. I nie zdążyliśmy jej napompować, bo ty nie chciałeś czekać...

- O, Chryste, nie! Lepiej im o tym nie mówić. No, chyba żebyśmy chcieli napytać sobie biedy...

- Jasne, że nie. Czekaj, niech pomyślę... Na pewno będą chcieli cię przesłuchać, kiedy wreszcie stąd wyjdiesz. Ważne, żebyśmy obaj przedstawili im tę samą śpiewkę.

- Taak... Okay, to przecież jasne. Sam bym na to wpadł.

- Racja.

Barney poczuł się nagle zirytowany, niemalże wściekły. Prawie rozchorował się ze zmartwienia, rozmyślając nad tą sprawą, tymczasem Toby potraktował go w dość arogancki sposób.

Nie mógł dłużej tego znieść.

- Posłuchaj, Toby, muszę już lecieć. Wracać do domu. Ale przyjadę tutaj w środę. Obiecuję.

- Tak, wiem... Och, Barney... Jesteś... Porządny z ciebie facet, wiesz o tym?

Sięgnął w poprzek łóżka i potrząsnął dłonią Barneya; sztywny, oficjalny wymiar tego gestu sprawił, że obydwaj uśmiechnęli się szeroko, choć obaj czuli się lekko zażenowani.

- W porządku. No to do zobaczenia. Nie będziesz wiecznie tutaj leżał. A kiedy wyjdiesz, urządzimy sobie imprezę. Największą pieprzoną imprezę, jaka była do tej pory. Popatrzymy sobie, jak tańczysz na stole...

Barney był mocno zmartwiony, kiedy wychodził ze szpitala. Czuł niemal fizyczne zawroty głowy na myśl o horrorze, który być może go czeka, lecz także mocno niepokoiło go - musiał uczciwie przyznać przed samym sobą - zachowanie Toby'ego. Oczywiście, Toby był chory i śmiertelnie przerażony, ale mimo to nie miał prawa traktować go jak jakiegoś zawszonego drania, który z zimną krwią zdradzi go przy pierwszej lepszej okazji. Nagle przysiadł na stopniach, żeby się pozbierać, i właśnie grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

- Cześć, Barney - usłyszał.

Stała tuż nad nim, a w jej wielkich oczach krył się niepokój; była bez makijażu i wyglądała niedorzecznie młodo, jeszcze młodziej niż zazwyczaj. I niedorzecznie uroczo...

- Cześć, Emmo.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Choć właściwie nie. Właśnie wyszedłem od Toby'ego. On jest... Jest... No cóż, w środę będzie miał to ostatnie przepłukiwanie. Już mu powiedzieli, że być może... Że być może straci nogę. Albo przynajmniej jej część.

- Strasznie mi przykro.

Nagle usiadła obok niego, a jej błękitne oczy były pełne współczucia.

- Ale... Rozumiem, że na razie to nic pewnego, tak? Że wciąż jeszcze mają nadzieję?

- Toby nie wygląda na takiego, co jeszcze ma nadzieję. Tak czy inaczej, mam zamiar przyjechać tu do niego w tę środę. Być z nim. Przed i w trakcie. I... I po.

- To na pewno bardzo mu pomoże.

- Naprawdę?

- Na pewno. Pozytywne wsparcie w takich przypadkach jest wręcz nieocenione. A co z jego narzeczoną?

- Och, ona o niczym nie wie. - Niestety, nie potrafił ukryć w głosie pogardy. - Toby powiada, że to by ją strasznie zmartwiło.

- Rozumiem.

- Czuję się jak kupa gówna - powiedział nagle.

- Tego jestem pewna. Ostatecznie tak bardzo lubisz Toby'ego, i...

- Nie, to coś więcej. Przez większość czasu czuję się paskudnie. To przez ten wypadek. Przez to, że strzeliła nam opona, że uderzyliśmy w czyjś samochód, że tamta dziewczyna akurat spodziewała się dziecka, że zginęło tylu ludzi, że Toby ma zgniecioną nogę... I spójrz na mnie, nie zostałem nawet draśnięty! Moim zdaniem, to cholernie nie w porządku.

- Mnóstwo ludzi tak się czuje - odparła. - Zawsze wtedy, kiedy inni umierają, a ktoś wychodzi bez szwanku. To całkiem naturalne.

- Naprawdę?

- Naprawdę. To nie twoja wina, Barney. Nic z tego nie jest twoją winą. Nie możesz tak myśleć.

- Ale myślę. Myślę tak przez cały czas. To... To coś okropnego, możesz mi wierzyć.

- Może powinieneś z kimś o tym porozmawiać? Z kimś, kto mógłby ci pomóc.

Spojrzała na niego z takim współczuciem i niepokojem, że od razu poczuł się lepiej.

- Och... Nie, bardzo dziękuję. Przepraszam, Emmo, ale nienawidzę takich bzdur.

- Jakich bzdur?

- No, wiesz sama jakich. Ja nazywam to zabawą w Anioła Stróża. Chodzi o czyjeś porady i całe to bzdurzenie. Nic mi nie jest, daję słowo. Po prostu muszę zapalić. Fajka mnie uleczy.

Roześmiała się.

- Posłuchaj, muszę pędzić. Ale w środę będę tutaj, bo mam dyżur. Poszukaj mnie na oddziale pomocy doraźnej, kiedy Toby będzie... Będzie na sali operacyjnej. Jeśli nie będę zbyt zajęta, pójdziemy na kawę albo coś w tym rodzaju, byle wypełnić czymś czas. Oczywiście, jeśli to w czymś ci pomoże.

Barney popatrzył na nią, na malującą się na jej twarzy pełną słodczy powagę. Nie zdołał się opanować; pochylił się i cmoknął ją w policzek.

- Tak, to bardzo miłe z twojej strony - powiedział. - Oczywiście, że mi pomoże. Wielkie dzięki.

- Dobrze, w takim razie jesteśmy umówieni. A teraz muszę lecieć, bo i tak jestem już spóźniona.

Uśmiechnęła się do niego, podskoczyła i na wpół biegnąc, ruszyła przez park. Oczywiście. Bez wątpienia musiała śpieszyć się na spotkanie ze swoim chłopakiem. Z tym szczęśliwym sukinsynem. Cholernie szczęśliwym sukinsynem.

ROZDZIAŁ 26

- Mamo, jest jakiś list do ciebie.

Christine w przelocie uśmiechnęła się do niej, ale był to uprzejmy, raczej zimny uśmiech, zupełnie inny niż ten, którym córka obdarzała Mary, zanim ta powiedziała jej o istnieniu Russella.

Mary zadzwoniła do niego następnego dnia po tamtej rozmowie, kiedy Christine wyszła z domu, bo zależało jej, żeby jak najszybciej wyjaśnić sytuację; zaskakująco łatwo zgodził się z jej zdaniem i powiedział, że jest pewien, że za dzień lub dwa Christine się opamięta. Ale minęły trzy dni, a potem cztery, i Russell zaczynał coraz bardziej się niecierpliwic. W ogóle teraz było ciężko z nim rozmawiać, bo za każdym razem Mary musiała czekać, aż Christine wyjdzie z domu... No cóż, jeszcze jeden tydzień i wróci do swojego mieszkania. Za-

mówiła taksówkę na sobotę, żeby zawiozła ją do hotelu, bo w sobotę Christine cały dzień miała spędzić poza domem, więc o niczym nie będzie wiedziała. Ale długoterminowe prognozy nigdy się nie sprawdzają.

Mary wzięła list od Christine i ujrzała znajome pismo, bez wątpienia należące do Russella. Szybko przebiegła oczyma treść.

- „Mój kochany, Mały Wróbelku... - zaczynał się list. - Jakże ciężko mi znieść tę nową rozłąkę...”.

Tego popołudnia Maeve cichutko wsunęła się do sali Patricka; zastała go siedzącego na łóżku i wpatrzonego nieruchomym wzrokiem w przestrzeń. Przez dwa tygodnie szpitalnego uwięzienia mąż stał się bardzo blady i wychudzony.

- Cześć, Patrick.

Ledwie raczył na nią spojrzeć, a potem westchnął ciężko.

- Cześć, Maeve.

- Jak się dzisiaj czujesz?

- A jak mam się czuć, twoim zdaniem? - odparł ponuro. - Rzygać mi się chce od tkwienia w tym łóżku. Cholernie mnie boli, nie mogę spać, pewnie utknę tu do końca życia, a ludzie bez wątpienia powiedzą, że na to wszystko sobie zasłużyłem. Zresztą, ja też tak uważam. Jestem zwyczajnym mordercą. Zabiłem tyle osób...

- Ciii, Patrick.

Podeszła do łóżka, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek.

- Patrick, przecież tego nie wiesz. Musisz postarać się wierzyć w siebie; może wydarzyło się coś całkiem innego. Nie możesz pamiętać...

- Pamiętam wystarczająco dużo. Wystarczająco, żeby wiedzieć, że rozpaczliwie potrzebowałem się wyspać, że gryzłem pięści, że odliczałem od tysiąca wstecz...

- Czy pamiętasz... Czy przypominasz sobie tę drugą osobę, która była z tobą w kabinie? To wspomnienie... Czy coś ci się rozjaśniło?

- Nie - odpowiedział, a w jego głosie zabrzmiała gorycz. - Jeżeli w ogóle, to oddala się ode mnie coraz bardziej. Zaczynam myśleć, że to był jakiś rodzaj halucynacji, jakieś pobożne życzenie.

Sięgnął po chusteczkę, głośno wydmuchał nos i wytarł oczy.

- Jak tam chłopcy?

- Zupełnie dobrze. Strasznie chcą tu przyjechać, żeby cię zobaczyć. Callum narysował dla ciebie piękną laurkę, popatrz... A Liam kazał ucałować cię pięćdziesiąt razy. Patrick, czy mogę ich jutro przyprowadzić? Mama obiecała, że nas przywiezie.

- Nie chcę ich widzieć - warknął. - Chcę, żeby o mnie zapomnieli.

- Zapomnieli? O tobie? Jakie dziecko zapomina o własnym ojcu, w dodatku takim dobrym jak ty? A dlaczego mają zapomnieć?

- Jeśli ojciec jest zabójcą, jeśli jest odpowiedzialny za śmierć innych, to lepiej, Maeve, żeby o nim zapomniano. Teraz żałuję tylko jednego: że sam się nie zabiłem, że nie umarłem w tej przeklętej kabinie...

- Patricku Connell, czy wreszcie będziesz uprzejmy się zamknąć?!

Napięcie, w którym żyła, a które wydawało się nie mieć końca, i skrajne wyczerpanie w końcu zwyciężyły Maeve. Ogarnęła ją wściekłość na Patricka; wściekłość nie za to, co zrobił - albo czego nie zrobił - tylko za jego skłonność do poddania się, do odwrócenia się plecami do ich dzieci.

- Jak śmiesz tak mówić, jak śmiesz?! Kiedy najlepsi lekarze w tym szpitalu tak bardzo starali się, żeby cię uratować? Kiedy twoje własne dzieci płaczą co noc w poduszkę i proszą, żebym pozwoliła im cię zobaczyć? Kiedy ja padam na pysk ze zmęczenia i czuję, że mogłabym położyć się tu, na tej podłodze, i przespać całą wieczność? Ale nie mogę pozwolić sobie na taki luksus, ponieważ ktoś musi pilnować, żeby wszystkie sprawy układały się jak należy. Ktoś musi zadbać o dzieci, codziennie przyjeżdżać do ciebie w odwiedzinach, bardzo się starać, żeby cię rozweselić i...

Odwrócił głowę, żeby na nią popatrzeć. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, a oczy były puste i obojętne.

- Nie musisz przyjeżdżać - powiedział. - Byłoby o wiele lepiej, gdybyś nie przyjeżdżała.

Maeve wyprostowała się, popatrzyła na męża, a potem zabrała torebkę i wyszła na korytarz.

Russell napisał list, żeby poprosić Mary, by się o niego nie martwiła; i tak resztę życia spędzą razem, więc teraz niech lepiej spróbuje pogodzić się z córką.

- W chwili obecnej to naprawdę najważniejsze. Szczerze mówiąc, ja również zacząłem się obawiać, jak zareagują moje dzieci. Może powinniśmy uciec do Gretna Green i tam wziąć ślub, w obecności jedynie paru świadków? Ale oczywiście, wolę, żeby było całkiem inaczej: chcę, żeby na ślubie była cała nasza rodzina i wszyscy przyjaciele, żeby wszyscy przyglądali się, jak bierzemy ślub, jak wreszcie, po tylu latach, stajesz się Mary Mackenzie.

Jednak Mary sama rozumiała, że spotkanie obu rodzin może nastęrczać pewne trudności. Poza tym była pewna, że wspaniała rodzina Russella potraktuje ją z góry. Nagle to, co w pierwszej chwili wydawało się niesamowicie ekscytujące i romantyczne, okazało się rozpaczliwie przygnębiające.

Kiedy Toby'ego zabrano na salę operacyjną, Barney pojechał w kierunku Cirencester. Zaparkował w samym centrum miasteczka, i siedząc w środku, wypalił kilka papierosów. W pewnej chwili zorientował się, że pożera go strach; że lęk staje się niemal fizycznym doznaniem, bo oto trzęsie się z nerwów na samą myśl, co w danej chwili dzieje się z Tobym. Jak on poradzi sobie z połową nogi? Co pocznie, gdy nie będzie mógł biegać ani grać w tenisa albo jeździć na nartach? Jak da sobie radę z życiem towarzyskim albo z pracą? Z uczestnictwem w pijatykach, z kolacjami które przeciągały się do późnej nocy, z dubbingiem, kiedy trzeba mu będzie pomagać przy wchodzeniu i wychodzeniu, kiedy we wszystkim stanie się zależny od przyjaciół i od ludzkiej uprzejmości, za którą będzie im dziękować, z wciąż obecną świadomością, jak bardzo różni się od innych? Oczywiście, w szpitalu dadzą mu protezę - ludzie wspaniale radzą sobie z takimi rzeczami - i Toby rzuci na szalę całą swoją odwagę, żeby także spróbować, ale... Przy końcu dnia już nie będzie tym samym Tobym, którym był niegdyś, tak niecierpliwie szybkim i tak niesamowicie sprawnym. Będzie całkiem innym, o wiele mniej niezależnym stworzeniem, które odarto z fizycznej pewności siebie i które - tego Barney był pewien - całkiem dosłownie wstydzi się własnej ułomności.

A co z Tamarą? Co ona z nim pocznie, kiedy Toby już przestanie być jej idealnym, cudownie przystojnym narzeczonym? Kiedy stanie się kimś drugorzędnym? Dajcie jej sześć miesięcy, zapoznacie z jakimś in-

nym, młodym człowiekiem i z przerażeniem będziecie obserwować, jak szybko Tamara wycofuje się z tego związku, zdobywając się na paskudne, nieszczerze wymówki.

Barney oderwał się myślami od Tamary i zerknął na zegarek. Z zaskoczeniem spostrzegł, że zrobiło się późno, więc czym prędzej ruszył z powrotem w kierunku szpitala.

Był tak bardzo przerażony, że parkując, źle ocenił dostępną przestrzeń i zawadził o lusterko diabelnie nowiutkiego audi TT, które stało na sąsiednim miejscu. Dobrze wiedział, jak to jest z audi; naprawa tego cholernego drobiazgu będzie go kosztowała ładnych parę setek funtów. Ale cóż to jest w porównaniu ze zmiądzoną nogą? Szybko nabazgrał kilka słów i zostawił karteczkę za wycieraczką na przedniej szybie.

Zerknął na zegarek: pierwsza piętnaście. Psiakrew! Toby pewnie wrócił z sali operacyjnej; być może jest już przytomny i bardzo potrzebuje wsparcia przyjaciela. Nie ma co, ładny ze mnie przyjaciel, pomyślał, a potem odwrócił się i co sił w nogach pognął na ukos przez parking. Czuł, że nie da rady wysłuchać samemu złych nowin, więc od razu poszedł na oddział pomocy doraźnej, żeby poszukać Emmy. Jednak w poczekalni nie było nikogo, poza jakąś kobietą z kwilącym dzieckiem na ręku oraz starszawym mężczyzną z ręką na temblaku. Spojrzał na recepcję; na dyżurze była tylko jedna recepcjonistka i w najlepsze gawędziła z pielęgniarką o czymś, co wydarzyło się na oddziale tego samego dnia o wcześniejszej porze. Podszedł bliżej i grzecznie czekał jakiś czas, który według niego trwał przynajmniej dziesięć minut, aż w końcu jego cierpliwość się wyczerpała.

- Najmocniej przepraszam...

- Tak? - spytała chłodno recepcjonistka.

- Chciałem spytać, czy mógłbym zobaczyć się z doktor King? Z doktor Emmą King?

- A o co chodzi?

- O pacjenta. Nazywa się Toby Weston.

- Nie mamy tu nikogo o takim nazwisku.

- Nie. - Barney czuł, że zaczyna ogarniać go rozpacz. - On leży na chirurgii. Właśnie jest... To znaczy, dziś rano był operowany.

- Doktor King nie ma z tym nic wspólnego. Kto panu powiedział, żeby o nią pytać?

- Ona sama - odparł ostro. - Widziałem się z nią wcześniej. Kiedy Toby'ego zabierano na salę operacyjną...

- Ciekawe, dlaczego kazała panu przyjść.

- Chyba mogę to wytłumaczyć - odparł. - Ale... Spojrzał na zegarek. Cholera! Pierwsza dwadzieścia pięć.

- Proszę posłuchać, czy nie może pani nadać przez pagera informacji dla doktor King? Przekazać jej, że tutaj czekam? Ona wie, że miałem przyjść. Bardzo proszę. To naprawdę szalenie ważne.

Kobieta westchnęła i niechętnie wystukała coś na klawiaturze komputera.

- O, Barney! Cześć!

To była Emma. Barney zawsze czuł na jej widok szybkie bicie serca, ale tym razem miał wrażenie, że z radości mógłby wyskoczyć przez szpitalny dach.

- Właśnie się zastanawiałam, gdzie się podziewasz. Chodź ze mną. Wszystko w porządku, Pat. To mój przyjaciel.

Poprowadziła go przez wahadłowe drzwi na końcu poczekalni i dalej, przez korytarz, aż do małego biura.

- Zaraz zadzwonię na salę operacyjną.

Wybrała numer, a on spokojnie czekał i czekał. Wydawało mu się, że mijają długie godziny, aż w pewnej chwili poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Najwidoczniej są strasznie zajęci - powiedziała Emma w pewnej chwili. - Nikt nie odbiera. Posłuchaj, może pójdziemy na górę? No, chodź.

Szła pierwsza, wskazując drogę, a jemu się wydawało, że idą bez końca. Wchodzili do wind, przemieszczali się wzdłuż niezliczonych korytarzy, przekraczali jedne drzwi, potem następne... Spojrzał na zegarek dopiero wtedy, gdy Emma zatrzymała się przed drzwiami z tabliczką: „Tylko dla personelu medycznego”, i ze zdumieniem spostrzegł, że upłynęło zaledwie pięć minut, odkąd zjawiała się w poczekalni oddziału pomocy doraźnej.

- Zaczekaj tutaj - mruknęła i zapukała do drzwi.

W wejściu pojawiła się jakaś pielęgniarzka w specjalnym, zmywalnym fartuchu; zmierzyła Emmę nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Słucham?

- Przepraszam - powiedziała Emma. - Jestem doktor King z oddziału pomocy doraźnej... Chciałam się tylko dowiedzieć, czy już coś wiadomo na temat pewnego pacjenta. Chodzi mi o Toby'ego Westona.

- Ach, o niego... Nie, na razie jeszcze nic nie wiadomo - odpowiedziała pielęgniarzka. - Właśnie został wywieziony z sali operacyjnej. Wciąż jest w narkozie, ale to nie powinno już długo potrwać. Proszę tu zaczekać. - Spojrzała ze złością na Barneya. - Zaraz was zawołam.

A więc tak... Toby spędził na sali operacyjnej prawie trzy godziny, a przecież Emma mówiła, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to Toby wróci na oddział najwyżej po godzinie albo coś koło tego. W takim razie coś musiało pójść cholernie źle. Nie ma innego wytłumaczenia. Toby stracił nogę, a razem z nogą swoje dawne życie. Ach, gdyby zmusił Toby'ego do wyruszenia w drogę odrobinę wcześniej, nic złego by się nie wydarzyło. Nie wplątali by się w ten piekielny wypadek. To wszystko stało się z jego winy. Tamara miała rację, przynajmniej w tym miała rację.

Spojrzał na Emmę; jej obraz był nieco zamazany i Barney ze zdumieniem poczuł, że ma w oczach łzy. Daj spokój, Fraser, przestań się rozklejać. Weź się w garść.

Odwrócił się, i nagle w dłoń wśliznęła się czyjaś drobna, chłodna w dotyku ręka.

- Barney, nie poddawaj się. Oni tam naprawdę są cholernie zajęci... Może musiało nastąpić jakieś opóźnienie, albo...

- Albo wcale nie są zajęci, tylko Toby stracił nogę. Z jakiego innego powodu tak długo to trwało? No, z jakiego?

- Ja... Ja nie wiem. Ale... No wiesz, to nie jest taka ścisła dziedzina nauki, jak na przykład budowa samochodu.

Obydwoje zamilkli. Nagle Barney zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma jej dłoń. Zerknął na nią, potem spojrzał na Emmę i uśmiechnął się niezręcznie.

- Dziękuję ci za to wszystko, Emmo. Zrobiłaś dla nas wiele dobrego.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mówię całkiem szczerze. No cóż... - Uśmiechnęła się tym swoim słodkim uśmiechem, który opromieniał cały dzień. - Mam nadzieję, że tak jest. Że tak się okaże.

- A jeśli... No wiesz... Jeśli oni...

- Amputowali mu nogę? - dokończyła delikatnie.

W jakiś sposób dobrze było usłyszeć te słowa wypowiedane na głos, stanąć w obliczu takiej możliwości.

- Tak. A jeśli to zrobili, kto mu o tym powie? Lekarz, pielęgniarki?

- Na pewno zrobią to bardzo ostrożnie. W takich sprawach jesteśmy obecnie bardzo... delikatni. Zresztą chirurg, który dziś jest na dyżurze, to mój przyjaciel. On...

- Co takiego? Znasz faceta, który przeprowadza tę operację?

- Tak.

- O, do wszystkich diabłów! - wybuchnął Barney. Nie wiadomo dlaczego nagle ogarnął go gniew. - Więc czemu ten skurwiel nie wyjdzie i zwyczajnie nie powie ci, co jest grane, co?! Według mnie to cholerna arogancja! Jakimi zasadami kierują się w życiu tacy ludzie, co?!

Gapiała się na niego bez słowa, a na jej twarzy pojawił się rumieniec.

- Barney, ty niczego nie rozumiesz. Chodzi o to, że...

- Cholernie jesteś pewna, że nie rozumiem. Sterczymy tu jak jakieś gnojki, pocąc się ze strachu, a nikt nie ma odrobiny przyzwoitości, żeby wychylić się stamtąd i powiedzieć nam, co się dzieje. I ty mówisz, że ten gość, który operuje Toby'ego, jest twoim przyjacielem? Pieprzyć takiego przyjaciela! To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się; Barney swoim zachowaniem sprawił jej wyraźnie przykrość. Pięknie, nie ma co, pomyślał. Ona... Nagle drzwi się otworzyły i wyjrzała pielęgniarka.

- Doktor King, czy może pani wejść do nas na chwilę?

No tak, teraz Barney nie miał już żadnych wątpliwości. Zdarzyło się najgorsze. Nagle zrobiło mu się niedobrze i oczy znów wypełniły się łzami. Odwrócił się plecami do drzwi i wpatrywał w głąb korytarza, zastanawiając się, jak... W jaki sposób...

- Barney.

Zwrócił się w stronę, skąd dochodził głos. Emma stała w drzwiach, spoglądając na niego. Była zarumieniona i też wyglądała na bliską płaczu.

- Tak? - zapytał, zdając sobie sprawę, że w jego tonie nadal pobrzmiewa wrogość.

I nagle zorientował się, że ona się uśmiecha, choć niemal jednocześnie płacze rzewnymi łzami.

- Barney - powtórzyła, starając się opanować drżenie głosu. - Barney, z Tobym wszystko w porządku. Noga wygląda całkiem nieźle. Zaczyna się poprawiać. On... On dopiero co obudził się z narkozy. Mark - to znaczy chirurg - mówi, że możesz do niego zajrzeć, ale tylko na chwilę. Chcesz wejść?

- O, cholera! - zawołał Barney. - Pieprzony świat! Emma, Emma, tak strasznie cię przepraszam! Wcale nie chciałem tego powiedzieć, co właśnie ode mnie usłyszałaś. Ja...

Nagle otoczył ją ramionami i mocno uściśnął, a ona uśmiechnęła się do niego i oddała uścisk. Potem wzięła go za rękę i poprowadziła do małej salki, gdzie na wysokim, twardym łóżku leżał Toby. Na widok Barneya spróbował się uśmiechnąć, pomimo otumanienia spowodowanego lekami znieczulającymi.

- Cześć, stary baranie! - zawołał Barney. - Aleś nam napędził dziś strachu, prawda, Emmo?

Potem nie mógł już wykrztusić słowa, bo rozplakał się na dobre, a łzy strumieniami ciekły mu po policzkach. Zdawał sobie sprawę, że Emma i pielęgniarka uśmiechają się do niego, więc wyciągnął z kieszeni chusteczkę i mocno wydmuchał nos.

- Dobra robota, chłopie - powiedział do Toby'ego. - Świetnie się spisałeś.

ROZDZIAŁ 27

Tego dnia Freeman i Rowe przyjechali, żeby przesłuchać Mary Bristow; ich oczekiwania sprowadzały się mniej więcej do tego, że zobaczą jakąś zbikowaną staruszkę, a tu nagle znaleźli się oko w oko z ostrym jak żyletka umysłem i usłyszeli nadzwyczaj klarowną relację ze wszystkiego, co pani Bristow widziała podczas wypadku, a nawet co zauważyła na autostradzie w czasie całej podróży.

- Niektórzy jechali wręcz okropnie. Dwie albo trzy ciężarówki co chwila wpychały się na pas do wolnej jazdy, albo przeskakiwały na środkowy, zajeżdżając ludziom drogę. Jednak muszę powiedzieć, że wszystkie miały zagraniczne tablice rejestracyjne, co w pewien sposób trochę mnie pociesza. Przynajmniej nasi kierowcy zdają się wiedzieć, jak należy postępować.

- Czy zapadły pani w pamięć jakiegóż szczególnie przykłady takiej niebezpiecznej jazdy?

- Owszem, zwróciłam uwagę na kilka białych vanów. Zdaje się, że one są najgorsze, prawda? Zwłaszcza jeden jechał tak, że aż mnie poraziło. Najpierw trzymał się tuż za nami, a potem przemknął obok jak błyskawica i wtedy zauważyłam, że nawet nie miał prawidłowo zamkniętych tylnych drzwi! Były po prostu związane kawałkiem sznurka, co wydaje mi się bardzo nierozsądne.

- Rzeczywiście. Czy dostrzegła pani na tym vanie jakieś napisy albo coś charakterystycznego?

- Na tylnych drzwiach były litery, najwyraźniej będące składnikami nazwiska, choć nie układały się w żaden ciąg. Nie wiem, czy panowie rozumieją, o co mi chodzi. To nie było pełne słowo ani nazwisko, że tak powiem, bo część liter odpadła. Zresztą ten van w ogóle nie wyglądał na dobrze utrzymany samochód.

- A czy potrafiłaby sobie pani przypomnieć, jakie to były litery?

- Prawdę mówiąc, tak.

Ach, te starsze facetki, pomyślał Freeman. Zdumiewające. Pewnie dlatego, że to pokolenie przeżyło wojnę, a może chodzi o jeszcze coś innego...

- Tak - powtórzyła. - To były litery W - D - T. W tej kolejności. Zapamiętałam je, ponieważ w dawnych czasach bawiliśmy się z dziećmi w taką grę, która polegała na układaniu słów z liter na tablicach rejestracyjnych. Jestem pewna, że panowie znają takie rzeczy. Na przykład z B, T, i W można utworzyć słowo „Bristow”, choć naturalnie nie wolno było układać nazw własnych.

- Oczywiście - odparł Freeman. Powoli zaczynał czuć się nieswojo.

- No więc, ja robię to prawie automatycznie. Ach, WDT, pomyślałam, to przecież Departament Wojny. Z tego uzyskiwaliśmy niezliczoną liczbę słów, albo raczej robił to mój mąż. W swoim czasie te słowa miały dla nas olbrzymie znaczenie... Nie sądzę, żeby to panom w czymś pomogło, ale...

- Owszem, pani Bristow. To nam może bardzo pomóc. Nie przypuszczam, żeby bawiła się pani w tę samą grę z literami z tablicy rejestracyjnej, prawda?

- Och, nie! Tak mi przykro. Akurat w jego wypadku nie. Z niektórymi innymi, ale...

- Nic nie szkodzi. Mam tylko pytanie, o jakiej mniej więcej porze widziała pani tego vana? Tuż przed wypadkiem czy kiedy indziej?

- Jakiś dobry kwadrans wcześniej. Zresztą ten facet jechał naprawdę bardzo szybko. Z pewnością był już znacznie dalej, no chyba że gdzieś się zatrzymał, chociaż na tym odcinku nie było żadnej stacji obsługi. Wiem na pewno.

- A więc zatrzymała się pani na stacji obsługi? O której godzinie?

- Około trzeciej piętnaście. Wyjechaliśmy stamtąd po mniej niż dziesięciu minutach. Mój kierowca, chciałabym zaznaczyć, że jechał naprawdę pięknie i że na moje żądanie przez całą drogę trzymał się na zewnętrznym pasie, chciał kupić gumę do żucia, więc zaproponowałam, że mu ją kupię, bo... No cóż, i tak musiałam iść do łazienki... - Mary się zawahała. - Teraz czuję się trochę winna. Chodzi o coś, co wtedy zrobiłam.

- Tak? Jestem pewien, że nie zrobiła pani niczego złego.

- Taką mam nadzieję. Pewien młody człowiek, teraz już wiem, że to był ten biedny pan młody, zresztą miał na sobie spodnie w paski i tak dalej, chociaż nie miał fraka, strasznie się spieszył i spytał, czy moglibyśmy go przepuścić w kolejce. Jednak ja... Ja się nie zgodziłam. Powiedziałam, żeby czekał na swoją kolej, że wszyscy się spieszymy z różnych powodów... Mam nadzieję, że to nie wpłynęło na dalszy przebieg wypadków. Ta kolejka musiała go opóźnić, więc może potem jechał za szybko? Czasem takie drobiazgi prowadzą do naprawdę poważnych rzeczy. To nawet jakoś się nazywa, jakoś tak z motylem...

- Efekt motyla - oznajmił Rowe. - Chodzi o to, że jeśli gdzieś w dżungli motyl zamacha skrzydełkami, to trzy dni później gdzieś na świecie może zdarzyć się huragan...

- A co było dalej - przerwał mu sierżant Freeman. - Czy może nam pani zdać relację, co dokładnie widziała pani podczas kolizji?

- No cóż, w tej mierze raczej pana rozczaruję. Po prostu zasnęłam i obudziłam się dość nagle, kiedy zahamowaliśmy, a znajdujący się bezpośrednio za nami samochód wjechał nam w bagażnik. To było dość szokujące przeżycie i oczywiście, gdybyśmy nie jechali po zewnętrznym pasie, następstwa mogłyby być o wiele bardziej poważne...

Przez chwilę Mary milczała, a potem jej oczy wypełniły się łzami.

- Proszę się nie spieszyć - powiedział łagodnie Freeman. - Proszę opowiedzieć tylko o tym, co pani pamięta.

Mary z wielką dokładnością opisała położenie jej samochodu względem innych aut i ciężarówki, oraz wszystko, co udało się jej zaobserwować.

- Szkoda, że wszyscy nasi świadkowie nie złożyli tak klarownych zeznań - westchnął Rowe, kiedy ruszyli w drogę powrotną.

- Rzeczywiście. Te litery mogą okazać się bardzo pomocne. Naprawdę zaczynam mieć ochotę na rozmowę z kierowcą tego vana. Może udałoby się także o nim wspomnieć w telewizji.

O mój Boże! O mój Boże...

Jak dobrze się stało, że Bóg nie wysłuchał tej konkretnej modlitwy. Tej, w której Georgia prosiła o odwołanie próby z czytania tekstu. Producenci wciąż nie znaleźli odpowiedniej aktorki do roli przyjaciółki babci i chcieli, żeby Georgia przeczytała fragment tekstu z dwiema kandydatkami, które zostały wyłonione podczas przesłuchań. Podczas rozmowy z Lindą Georgia upierała się, że nie da rady, ale Linda po prostu kazała jej wziąć się w garść. I dzięki Bogu, że tak się stało, w przeciwnym razie nigdy by nie zobaczyła... Jęgo! Nie, nie Boga, choć bez wątplenia zasługiwał na wielką literę. Bez wątplenia był najwspanialszym facetem, jakiego zobaczyła od... Właściwie, jakiego kiedykolwiek miała okazję zobaczyć.

Kim on był? Co tutaj robił?

O Boże, Boże, on naprawdę szedł w jej stronę!

- Georgia? - spytał z uśmiechem.

- Tak - odpowiedziała, a jej głos zabrzmiał dziwnie piskliwie.

- Tak myślałem. Ja nazywam się Merlin i jestem drugim asystentem reżysera w *Moving Away*, wygląda więc na to, że będziemy się często widywać, kiedy już zaczną się zdjęcia.

- Wspaniale!

No cóż, to nie była najmądrzejsza odpowiedź. Ale co można powiedzieć, żeby zabrzmiało fajnie i jednocześnie przyjaźnie, gdy człowiek odkryje taką rewelację? Rewelację, że będzie pracował z kimś, kto ma w sobie kawałek Orlanda Blooma, cząsteczkę Johnny'ego Deepa, może nawet drzazgę Pete'a Doherty'ego w jego najbardziej smakowitym okresie? Wysoki, bardzo szczupły, z prawie czarnymi, najeżonymi włosami i ciemno, bardzo ciemnobrązowymi oczami, raczej wąską twarzą... W dodatku nosił ekstraciuchy: obcisłe, czarne dżinsy, wojskowe buciory i białą koszulkę bez kołnierzyka.

- Wspaniale - powtórzyła, ale znów wypadło to raczej kiepsko.

- Tak, będziemy świetnie się bawić, zobaczysz. Dyrektor castingu rozplątywał się w pochwałach pod twoim adresem.

Hmm... Trochę to zbyt wylewne... Ale przecież... Co w tym złego? Przecież pracowali w zawodzie, w którym odrobina przesady nie była niczym złym, prawda? Ona także należała do tego świata, a w tym wypadku...

- Dziękuję - odparła i uśmiechnęła się, a on opowiedział w ten sam sposób. Zwróciła uwagę na jego nieskazitelne zęby. - Muszę przyznać, że jestem dość podekscytowana. Wciąż się szczypię, żeby uwierzyć, że to prawda.

- Czy już zdarzyło ci się pracować z Brynem?

- Nie.

- A mnie tak. To niesamowity reżyser. Poza tym potrafi nas rozbawić. No chodź. Wszyscy czekają.

Zgrabnie skierował ją w stronę grupy ludzi, którzy gawędzili ze sobą jak starzy znajomi. Niektórych udało się jej rozpoznać - na przykład reżysera castingu Tony'ego i reżysera Bryna Merricka; nie знаła jedynie przerażająco kompetentnej osoby o imieniu Trish, która była producentką serialu - więc uśmiechnęła się

uprzejmie i krążyła wokół zebranych, wymieniając uściski dłoni i z pewną dozą nerwowości powtarzając, jak bardzo się cieszy, że może brać udział w tej produkcji. Czuła, że cała drży - częściowo na skutek spotkania z tak wielu znakomitymi osobistościami, a częściowo dlatego, że... że Merlin jej dotykał, choć jedynie lekko opierał dłoń na jej ramieniu. No cóż, od czegoś w końcu trzeba zacząć.

- No dobrze, Georgia. Pozwól na słówko. - Tony, kierownik castingu odciągnął ją na bok. - Mamy dwie aktorki, które ubiegają się o rolę Marie. Obie bardzo utalentowane, obie bardzo pasujące do roli. Będzie nam łatwiej podjąć decyzję, gdy zobaczymy, jak odnosisz się do każdej z nich. Spodziewam się, że Linda ci to wytłumaczyła.

- Tak, wyjaśniła mi, w czym rzecz.

- Chcemy więc, żebyś przeczytała tę samą scenę, najpierw z Barbarą, która już jest na miejscu, a potem spróbuj zrobić z nią odrobinę improwizacji. Anna przyjedzie później i wtedy powtórzysz z nią to samo. A tak przy okazji... Davina, która zagra rolę twojej matki, wpadnie tu w porze lunchu. Ma spotkanie z dyrektorem wykonawczym, ale specjalnie zaznaczyła, że bardzo chciałaby cię poznać. Więc jeśli mogłabyś zostać z nami chwilę dłużej...

- Oczywiście - odpowiedziała Georgia. - Chętnie.

Pierwsze czytanie poszło całkiem niezłe; Georgia od razu polubiła Barbarę - była zabawna i skora do żartów, w jej towarzystwie nie czuła się ani odrobinę skrępowana. Jednak gdy doszło do improwizowania, sprawy nieco się skomplikowały. Przy Barbarze jej rola wypadła raczej nudno i Georgia czuła, że gra znacznie poniżej swoich możliwości. Starła się jak mogła, ale mimo wszystko była to ciągła walka.

- Znakomicie - oznajmił Tony, kiedy skończyły. - Dziękuję wam obu. Boże, ależ to będzie trudna decyzja. Barbaro, bardzo dziękujemy, że do nas przyjechałaś. Powiedz, czy podoba ci się nasza Rose?

- Bardzo - odpowiedziała Barbara. - Będziemy świetnie się bawić, prawda, Rose?

Georgia odparła, że taką ma nadzieję, i wkrótce potem Barbara odjechała.

- No dobrze - zdecydowała Sue. - Pora na kawę, jak mi się zdaje. Anna powinna przyjechać o dwunastą... Merlin, kochanie, czy mógłbyś się zająć zorganizowaniem wszystkiego?

Jak to cudownie być na tyle starym i na tyle wyrafinowanym, żeby zwracać się do każdego per „kochanie”, pomyślała Georgia. Zwłaszcza do kogoś takiego jak Merlin.

Anna nie wyglądała zbyt nobliwie, przynajmniej według Georgii; była dość ładna, ale raczej w hipisowskim stylu, z pofalowanymi włosami w kolorze srebrzysty blond i z intensywnie błękitnymi oczyma. Wydawała się zdecydowanie za młoda do roli, ale okazało się, że jest znakomitą aktorką. Georgia była zachwycona sposobem, w jaki Anna nagle postarzała się o dziesięć lat, gdy zabrała się do czytania pierwszych kilku linijek. I była zdziwiona, jak łatwo nawiązała z nią kontakt w czasie improwizacji - o wiele łatwiej niż z nadmiernie rozradowaną Barbarą.

Tony znów powiedział to samo: było mnóstwo zachwytów, podziękowań i napomknień o tym, jak trudno będzie podjąć decyzję... Anna wyjechała, a tamci we czwórkę poszli do innego pokoju. Merlin uśmiechnął się do Georgii.

- Świetna robota. Byłaś niesamowicie dobra. Mówię uczciwie.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Ależ tak. Teraz czeka ich ciężka decyzja, że tak powiem.

- Tak... Tak mi się wydaje.

Na litość boską, czemu nie umiała wykrzesać z siebie odrobiny humoru ani zabłysnąć ciętym dowcipem?

Cała czwórka wynurzyła się z uśmiechem na ustach; Georgia bała się, że za chwilę padnie pytanie, z którą z kandydatek lepiej się jej grało, ale oni po prostu znów jej podziękowali i raz jeszcze powiedzieli, że świetnie sobie poradziła.

- Aha, Georgia, mamy informację, że przyjazd Daviny opóźni się jeszcze o parę godzin. Oczywiście, wszystko zależy od ciebie, ale jeśli masz ochotę się z nią spotkać, to powinna być tu około trzeciej. Czy znajdziesz sobie jakieś zajęcie, żeby jakoś zabić czas?

Georgia odparła, że może wybierze się na zakupy i ruszyła w stronę Topshopu.

Wróciła około trzeciej - tylko po to, by usłyszeć, że Davina nie zjawi się przed czwartą.

- Napijesz się czegoś? - zapytał Merlin.

- Tak, wielkie dzięki. Najlepiej dietetyczną colę, jeśli macie tu coś takiego.

- Mamy białe wino.

- Nie, naprawdę wolę colę.

- Okay - odparł z tym swoim zniewalającym uśmiechem. - W takim razie pójdę w twoje ślady.

No pięknie! Teraz on pomyśli, że ona potrafi zepsuć każdą przyjemność jest potworną nudziarą.

- Wybacz, że tyle musiałaś czekać - powiedział nagle Merlin. - Zapewniam, że jeśli masz ochotę iść, to możesz to zrobić bez najmniejszych oporów.

- A uważasz, że powinnam?

- Nie, nie, jestem pewien, że ona naprawdę chciała się z tobą spotkać. Ale gdybyś miała coś ważnego do załatwienia, to wiem, że ona zrozumie. Jest naprawdę fantastyczną osobą.

- Szczerze mówiąc, nie mam żadnych planów na dzisiejszy wieczór. Chryste, nie powinna była tego mówić! Jakim trzeba być nieudacznikiem, żeby w piątkowy wieczór nie mieć nic do roboty?

- Chciałbym też nie mieć.

Bez wątplenia wybiera się na dubbing z jakąś olśniewającą aktorką.

- Moi rodzice obchodzą srebrne wesele.

- Naprawdę? Gdzie?

- W Elena's L'Etoile. Wynajęli na górze salę.

- To wspaniale - odparła, mając nadzieję, że zabrzmiało to tak, jakby znała na wylot prywatne sale w Elena's L'Etoile.

Davina zjawiła się o piątej, kiedy już prawie wszyscy oprócz Merlina pojechali do domu. Najwyraźniej był niesamowicie ważnym składnikiem tej maszyny, pomyślała Georgia. No cóż... dobrze. Davina okazała się absolutnie olśniewającą czarnoskórą kobietą o cudownym uśmiechu, dzięki któremu mogła zaprezentować wielkie, nienagannie białe zęby, i z obfitością czarnych włosów, splecionych w ciasne warkoczki.

Ucałowała Georgię, mówiąc przy tym, że wręcz nie może się doczekać, kiedy na trochę zostanie jej mamą.

- Bryn powiada, że jesteś prawdziwym odkryciem - dodała. - Merlin, czy już wiadomo, kto zagra rolę Marie?

Merlin odparł, że nie wiadomo.

- Kochanie, idź i się dowiedz. Trzymam kciuki za Annę. To śmieszna dziewczyna, a przy tym znakomita aktorka.

Kiedy Merlin posłusznie wyszedł, Georgia odważyła się uśmiechnąć do Daviny.

- Strasznie podobają mi się twoje włosy - powiedziała ostrożnie, żeby przerwać odrobinę zbyt długą ciszę, ale zaraz zrobiło się jej głupio.

Jednak Davina uśmiechnęła się pobłażliwie.

- No cóż, mam nadzieję, że wszyscy je docenią. To zabrało mi pełne cztery dni.

- Sama je zrobiłaś? - pytała Georgia.

- Oczywiście. Uwielbiam to robić. To coś w rodzaju terapii. Męczącej dla ramion, ale...

Otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył Bryn.

- Davina, skarbie, jak wspaniale wyglądasz! Chodź do mojego biura i poznaj Mariellę. Georgia, byłaś dziś naprawdę świetna. I mam nadzieję, że Davina ucieszy się, gdy usłyszy, że to Anna wygrała konkurs na rolę Marie. Doskonale rozumiały się z Georgią.

- To znakomicie, Georgia. Chętnie bym z tobą dłużej pogawędziła, ale muszę już iść. Niedługo mam pociąg do Paryża.

Georgia pomyślała, że to zabrzmiało wręcz czarownie i że doprawdy, ten dzień był cudowny, a potem pomyślała o swoim własnym pociągu, zmierzającym w stronę Cardiff, i nagle poczuła, że nocny koszmar znów się zbliża... Nie chciała, żeby ten dzień dobiegł końca, za nic nie chciała. Ciekawe, co porabia Linda, pomyślała, i czy już wyszła ze swojego biura. Mogłaby wpaść do niej, bo była niedaleko, i opowiedzieć, co wydarzyło się tego dnia. W ten sposób czar trwałby nieco dłużej.

Linda ucieszyła się, gdy usłyszała jej głos; powiedziała Georgii, że ma jak najprędzej przyjechać do niej do biura, żeby przy szklaneczce wina uczcić ten pełen niewątpliwych sukcesów dzień.

Mary wróciła do pokoju dokładnie o szóstej. Przed chwilą wzięła kąpiel i w szlafroku i kapciach położyła się na łóżku, żeby odpocząć, zanim znów ubierze się do kolacji. Lubiła taki rytm dnia; to pozwalało Christine zajmować się kuchnią, i nieco złagodzić ogólne napięcie. Choć, prawdę mówiąc, napięcie wcale nie zeszło. Większą część dnia spędziła na odczytywaniu w kółko listu Russella. To był najpiękniejszy na świecie list, pełne cztery strony, na których pisał, jak bardzo ją kocha i jak za nią tęskni, i że właśnie zastanawia się, gdzie będzie ich wspólny dom.

- „To trudna decyzja; przecież oboje chcielibyśmy mieszkać każde we własnym kraju. Teraz przyszło mi do głowy, że można jakoś podzielić rok i spędzać po sześć miesięcy w każdym z nich - co oznacza kupienie dwóch domów. Albo może trzy miesiące i potem zmiana? Obawiam się, że masz rywalkę - zapalałem miłością do Bath i okolicznych wsi - i wiem, że ty także zakochasz się w wielu miejscach, które zobaczysz w Stanach. W ten sposób będziemy mogli widywać nasze czcigodne rodziny tak często lub tak rzadko, jak tylko my i oni będziemy mieli ochotę”.

Myśl o posiadaniu dwóch domów sprawiła, że Mary poczuła lekki zawrót głowy.

Właśnie wyciągała list z torebki, żeby odczytać go jeszcze raz, gdy z dołu dobiegł głos Christine.

- Szybko, mam, właśnie nadają jakąś wiadomość o tej katastrofie! Pospiesz się, bo nie zdążysz! Tylko ostrożnie schodź po schodach w tych kapciach!

Znów sprawiała wrażenie dawnej siebie, traktując Mary jak nieposłuszne, stare dziecko. No cóż, zawsze lepiej znosić coś takiego niż uchodzić w oczach córki za cudzołożnicę.

Czekając na przyjazd Georgii, Linda postanowiła rzucić okiem na wiadomości w telewizji. Czują, że potrzebuje napić się wina i właśnie nalewała je do kieliszka, kiedy jej wzrok przyciągnęła znajoma, straszliwie znajoma scena...

Dzieciaki były już w łóżkach, kiedy Maeve dotarła do domu, wciąż mocno przygnębiona zachowaniem Patricka. Matka kazała jej od razu iść do salonu i odpocząć, ona przygotowuje dla niej herbatę. Przyniosła ją na tacę, razem z paroma biskwitami i resztką czekoladek w pudełku, i sadwiąc się obok Maeve, powiedziała, że dobrze im zrobi, jak się pogapią w telewizor.

- Oprzyj wyżej stopy, kochanie, będzie ci wygodniej. Wiadomości zaraz się skończą, a potem obejrzymy sobie... O Boże! Maeve, czy ty widzisz, co oni robią?

Na ekranie pojawiło się kilka ujęć z miejsca katastrofy; okropne, straszne zdjęcia leżącej na boku ciężarówki Patricka i porozbijanych samochodów, rozrzuconych dookoła jak garść zabawek. Potem nastąpił krótki komentarz z informacją, kiedy doszło do wypadku i ile osób brało w nim udział..

- Ale teraz, dwa tygodnie później, mamy dla państwa także dobre wiadomości. Stan zdrowia kierowcy ciężarówki poprawia się i wszystko wskazuje na to, że za kilka dni opuści on oddział intensywnej terapii; urodzony przedwcześnie malutki chłopczyk rozwija się znakomicie i w ten weekend wraca do domu; sławny golden retriever, który zagubił się gdzieś we wszechobecnym chaosie, zabłąkał się na pobliską farmę i już znowu trafił do swojej pani. Prawdę powiedziawszy, za parę minut będą mogli państwo ujrzeć Bellę na własne oczy, bo zaprosiliśmy ją do studia razem ze szczęśliwą właścicielką. Ale zanim to się stanie, musimy poruszyć pewną raczej poważną kwestię. Policja wciąż zbiera dowody, które pomogą ustalić ciąg wydarzeń prowadzących do katastrofy i jest zainteresowana kontaktem z każdym, kto tamtego popołudnia widział coś, co może mieć związek z tym tragicznym wydarzeniem: jadący w niebezpieczny sposób samochód osobowy lub vana, może jakieś leżące na jezdni odpadki. Wszystkie zgłoszenia będą traktowane jako poufne. Policja jest zwłaszcza zainteresowana ustaleniem tożsamości pewnej młodej dziewczyny, która...

- O mój Boże - szepnęła Maeve. - Wielki Boże...

- Laura, włącz szybko telewizor! Kanał ósmy, wiadomości! Nie pytaj, po co; po prostu zrób to...

- ...która była widziana na miejscu zdarzenia przez kilka różnych osób i która najprawdopodobniej jechała w kabinie ciężarówki, a jeszcze dotąd nie zdążyła się ujawnić...

- Cześć, Linda! Przyniosłam ci butelkę... O mój Boże, o czym to jest?! O Boże...

- Tak więc, jeśli ktoś z państwa wie cokolwiek na temat tej dziewczyny albo zna miejsce jej pobytu, proszony jest o skontaktowanie się z policją, oczywiście z zachowaniem całkowitej dyskrecji. Policja pragnie podkreślić, że nie chodzi o podejrzenie popełnienia przestępstwa, a jedynie o to, że w tak wielkiej katastrofie nie wolno w śledztwie pominąć żadnych szczegółów. A teraz, zgodnie z obietnicą, przedstawiamy państwu Bellę i jej właścicielkę, panią Jenny Smith z Northhamptonshire...

- O Maryjo, Matko Boga, i wszyscy święci... - szeptała Maeve.

- Mam nadzieję, że Maeve to ogląda - powiedziała Mary.

- Coś niesamowitego - orzekła Laura.

Georgia prychnęła dziwnie, więc Linda natychmiast zwróciła na nią baczne spojrzenie. Twarz małej była szara, a ręka zakrywała otwarte jak do krzyku usta. Nagle Georgia opadła na krzesło, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i siedziała nieruchomo z oczami wbitymi w ekran telewizora.

- Georgia - powiedziała ostrożnie Linda. - Georgia, czy... Czy to byłaś ty?

ROZDZIAŁ 28

Prawda wychodziła na jaw powoli, z wyraźnymi oporami, przerywana przez potoki łez i obłądne przeżycia, jakie w Georgii wzbudzała myśl o tym, co zrobiła - i co ukrywała przez dwa piekielnie długie, straszliwe tygodnie.

Z początku zwyczajnie wpadła w panikę; Linda starała się ją przekonać, że w zaistniałej sytuacji jej postępek nie był niczym niezwykłym ani niczym strasznym, ale Georgia nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

- To było okropne, paskudne! Ten człowiek był dla mnie taki uprzejmy, ale kiedy leżał nieprzytomny, z Bóg jeden wie jakimi obrażeniami, to czy ja starałam się mu pomóc? Nie, zwyczajnie stamtąd związałam. Zachowałam się obrzydliwie, Linda; tak strasznie, tak okropnie mi wstyd! Ale jakimś sposobem, im dłużej to odkładałam, tym gorsze wydawało mi się to, co zrobiłam. Czy wiesz, jaka była moja pierwsza myśl? Pierwsza, zaraz po katastrofie? Że nie dotrę na to przesłuchanie. Czy potrafisz wyobrazić sobie coś równie okropnego?

- Byłaś w szoku. Szok może powodować różne, bardzo dziwne zachowania.

Georgia mówiła, że najpierw czuła się oszołomiona i nie bardzo zdawała sobie sprawę, co właściwie robi.

- Było mi strasznie niedobrze i kręciło mi się w głowie. Jacyś dwaj faceci, którzy stali przy ciężarówce, zapytali mnie, czy wszystko w porządku, ale ja nie zdążyłam wydusić z siebie ani jednego słowa; po prostu porzygałam się tuż przed nimi. Mówię ci, to było coś okropnego. A potem poczułam, że muszę na chwilę usiąść. Wszyscy dookoła zajmowali się ludźmi, którzy naprawdę byli ranni, i nikt nie miał czasu, żeby jeszcze zawracać sobie głowę moją osobą. Trochę posiedziałam, a potem przelazłam przez barierę obok pobocza, ześliznęłam się po nasypie i ruszyłam przed siebie. Wszystko, o czym wtedy myślałam, to uciec jak najdalej. No powiedz sama, czy nie mówię jak ostatnia wariatka?

Linda pokręciła głową.

- Nie, absolutnie nie.

- Widziałam te wszystkie samochody, które powpadały jedno na drugie, a dookoła leżały jakieś dziwne, białe przedmioty. Wtedy nie miałam pojęcia, co to jest, ale oczywiście to był ładunek, który wiózł Patrick: lodówki, zamrażarki i inny sprzęt tego typu... A ja po prostu odwróciłam się plecami i uciekłam - do Cardiff. To wszystko, o czym wtedy marzyłam. Jak najprędzej dostać się do domu. Znalazłam coś, co przypominało ścieżkę, i skierowałam się tam, gdzie prowadziła, a kiedy nie mogłam już biec, szłam przed siebie. Szłam i szłam...

Po każdym przebytym metrze czułam, jak opada ze mnie przerażenie. Byłam coraz dalej od tego nieszczęścia, więc czułam się... bardziej bezpieczna. Czy to nie dziwne? Przeszłam na ukos przez pole tego farmera - tego, który występował potem w telewizji - i tak trafiłam do jakiejś wsi, a potem udało mi się zatrzymać samochód, który jechał do Bristolu. Jego kierowca powiedział mi, że celowo nie jedzie M4, bo tam zdarzył się straszny wypadek, i korek w obydwie strony sięga wielu, wielu kilometrów, a ja musiałam udawać, że jestem zaskoczona tym, co usłyszałam. O Boże...

W Bristolu w końcu udało się jej znaleźć ciężarówkę, która podwoziła ją do Cardiff.

- Byłam przerażona, wsiadając do niej; myślałam, że ten kierowca też może mieć wypadek.

- To... Powiedz mi, czy twoim zdaniem Patrick zasnął za kierownicą?

- Nie! Oczywiście, że nie zasnął! To wcale, w najmniejszym nawet stopniu nie była jego wina. Prawdę mówiąc... - zawahała się, a potem nabrała powietrza i dokończyła tonem, w którym brzmiała desperacja. - Prawdę mówiąc, jeśli w ogóle jest w tym czyjaś wina, to przypuszczalnie moja.

Drżąc i wpijając się palcami w dłoń Lindy, Georgia wybrała numer telefonu podanego w programie telewizyjnym, gdzie powiedziano jej, że policja wkrótce się z nią skontaktuje.

- Całkiem niedługo, Linda. Tak mi powiedzieli. O Boże, znów mi niedobrze. Czuję się paskudnie. Co oni sobie o mnie pomyślą? Co ze mną zrobią? Jestem odrażająca; zasłużyłam sobie na to, żeby... żeby wysłać mnie gdzieś daleko. O rany... Czy mogę jeszcze zapalić?

To pytanie było zarówno miarą jej strapienia, jak i głębokiego współczucia Lindy, skoro Linda naprawdę wyraziła zgodę na palenie w swojej obecności. Zwykle nienawidziła nie tylko palenia, ale również palaczy. Pozwolenie na to, by Georgia paliła w jej mieszkaniu, było czymś zbliżonym do rozdawania szklaneczek z winem na spotkaniu Anonimowych Alkoholików.

To właśnie ona odebrała telefon i niezwłocznie przekazała słuchawkę Georgii.

- Dzwoni sierżant Freeman.

- Dziękuję... Halo? Tak, tu Georgia Linley... Tak, zgadza się... Oczywiście. Tak, myślę, że mogłabym pomóc... Ja... Ja zapytam. Hmm, Linda, oni chcą, żebyśmy rano przyjechały na jakiś posterunek. Zadzwoń, żeby podać nam dokładny adres. Może być? Tak?... Halo? Tak, wszystko pasuje. Dziękuję panu. Co? Nie, to nie jest moja mama. To moja agentka. Nie, czuję się zupełnie nieźle, bardzo dziękuję. Będę u panów jutro rano.

Georgia odłożyła słuchawkę i spojrzała na Lindę; jej ładniutka buzia nagle wychudła, ciemne oczy poczerwieniały od płaczu, a z malutkiego, zgrabnego noska spływał katar. Wytarła go wierzchem dłoni. W tym momencie wyglądała na mniej więcej sześć lat.

- Pojedziesz tam ze mną, dobrze? - szepnęła drżącym głosem. Linda wyciągnęła ramiona.

- Oczywiście, że pojedę. No, chodź tutaj.

I Georgia pozwoliła posadzić się na sofie, oparła głowę o ramię Lindy.

- Nie przetrwałabym tego wszystkiego, gdyby nie ty - powiedziała.

- Cieszę się, że mogę ci pomóc.

- Pomagasz. Bardzo, bardzo pomagasz... - Pociągnęła nosem. - Wiesz co... Byłabyś wspaniałą mamą...

Naprawdę powinnaś nią zostać, zanim będzie za późno.

- No cóż... Wielkie dzięki - odparła Linda.

Policjanci potraktowali ją bardzo uprzejmie, bardzo delikatnie.

Georgia siedziała sztywno, z początku szcękając ze strachu zębami, ale mimo to w niezwykle klarowny sposób przedstawiała swoją wersję wydarzeń aż do chwili rzeczywistej katastrofy.

- Jechaliśmy w równym tempie, rozmawiając o tym i o owym. Patrick prowadził wręcz znakomicie: wcale nie jechał prędko, tylko ostrożnie trzymał się na środkowym pasie. Nagle rozpętała się burza i to było naprawdę straszliwe przeżycie; zrobiło się całkiem ciemno, więc Patrick zwolnił, bo jak mówił, woda na jezdni przy takim upale jest niezwykle niebezpieczna. Ale słońce zaraz znów zaświeciło i deszcz ustał... I w pewnej chwili, zupełnie nieoczekiwanie, rozległ się wielki huk i zaraz przestaliśmy cokolwiek widzieć. Dosłownie. Nie było ciemno, tylko wszystko zrobiło się zamazane, zupełnie jakbyśmy oślepli. Musiało stać się coś przerażającego, ponieważ przednia szyba... No, wiecie, nie było nic przez nią widać. A Patrick po prostu... Patrick wdepnął na hamulec, a potem skręcił, dość ostro i słyszałam, jak trąbi i krzyczy...

- Krzyczy? Co krzyczał?

- Och, coś w stylu: „Na miłość boską” i „Słodki Jezu”... Chyba wiecie, że on jest Irlandczykiem - dodała, uśmiechając się blado. - Potem okazało się, że ciężarówka po prostu nie może wyhamować... Jechała przed siebie dalej i dalej, i wydawało mi się, że to trwa całymi godzinami, tym bardziej że niczego nie widziałam, jedynie trochę przez boczne okienko... Nagle zobaczyłam, że przesuwamy się przez sam środek drogi, i że pojazdy z przeciwnego kierunku jadą wprost na nas... To dziwne, ale miałam wrażenie, że to wszystko działo się strasznie wolno. I nagle... Nagle się zatrzymaliśmy. Poczułam coś w rodzaju gwałtownego szarpnięcia, kiedy urwała się naczepa, a potem znów rozległ się straszliwy huk, i... O Boże, jak mi przykro...

Rozpłakała się.

- No, niech pani przestanie - uspokajał ją sierżant Freeman. - Nie ma potrzeby płakać. Jest pani niezmiernie pomocna, a pani zeznanie ma dla nas nieocenioną wartość. Teraz, kiedy kierowca ciężarówki nie jest wystanie przypomnieć sobie czegokolwiek, pani wyjaśnienia są pierwszym naprawdę klarownym sprawozdaniem, jakie mamy w ręku. Proszę jeszcze powiedzieć, jak, według pani, doszło do katastrofy? Co było przyczyną?

- No więc przednia szyba całkiem się roztrzaskała. Nie zauważyłam w niej żadnej dziury, ale cała pokryła się drobną siateczką pęknięć, przez którą niczego nie było widać.

- Może coś w nią uderzyło? Może to właśnie spowodowało ów trzask, który pani słyszała?

- Tak, ale co to mogło być?

- To do nas należy wyjaśnienie, co to było. Pani może przestać się tym martwić.

- Jesteście tacy uprzejmi - powiedziała. - A przecież musicie być tak... tak bardzo oburzeni tym, co zrobiłam.

- Panno Linley - odparł Freeman. - Gdyby widziała pani choć jeden procent tego, czym się zajmujemy na co dzień, zrozumiałaby pani, że nie tak łatwo się oburzamy. Czy mam rację, konstablu?

- Zupełną rację - przytaknął Rowe.

- Ale możecie być zaszokowani tym, co zaraz powiem - wyszeptła Georgia tak cicho, że ledwie słyszalnie. - Myślę... No cóż, myślę, że do pewnego stopnia to jednak mogła być moja wina... Bo widzicie, ja... Ja upuściłam na podłogę puszkę z napojem... Wtedy, kiedy tak gwałtownie skręciliśmy... Upadła na podłogę i

potoczyła się dalej... Myślę... Myślę, że mogła wpaść pod hamulec Patricka... To znaczy, pana Connella... Gdybym jej nie upuściła, to może jemu udałooby się zahamować... To znaczy... O Boże!

- Panno Linley - odezwał się sierżant Freeman. - Oczywiście musimy napomknąć o tym w naszym raporcie, ale osobiście nie sędzę, że powinno to pani spędzać sen z powiek. Jedna mała puszka, która toczy się po podłodze, nie ma najmniejszego wpływu na układ hamowania. Co o tym sądzicie, konstablu?

Konstabl Rowe uśmiechnął się do Georgii i odrzekł, że on uważa dokładnie tak samo.

Przygnębienie Georgii bardzo go poruszyło. Nie wyglądała na dość dorosłą, żeby samej wypuszczać się w świat, nie mówiąc już o łapaniu stopa i podjeżdżaniu ciężarówkami.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Mam nadzieję, że teraz poczuje się pani lepiej.

- Trochę. Odrobinę.

Jednak wciąż wyglądała na niezbyt przekonaną.

- Więc... pani zdaniem cały wypadek zdarzył się przez tę roztrzaskaną szybę? Przez to, że pan Connell nie mógł nic zobaczyć? Na pewno nie z powodu innego auta? Proszę dokładnie to przemyśleć, panno Linley; pani odpowiedź jest bardzo ważna. Naprawdę bardzo ważna.

- Och, zdecydowanie tak! Nagle musiał jechać, nie widząc dosłownie niczego! Zupełnie jakby jechał z zawiązanymi oczyma. To był jedyny powód, jestem tego pewna.

- No cóż, pani oświadczenie jest całkiem jasne. A teraz, panno Linley, pomówmy o innych samochodach. Czy jakiś konkretny samochód utkwiał pani w pamięci?

- Och, kilka samochodów. Z wysokości kabiny człowiek wszystko widzi, więc się zwraca uwagę na różne rzeczy. Rozmawiałam z Patrickiem i opowiadałam mu, co się dzieje w innych autach. Prosił, żebym to robiła, bo mówił, że to pomaga mu zwalczać ataki czegoś, co nazywał swoim potworem.

Sierżant Freeman poderwał głowę.

- Co to był za potwór?

- No cóż... Senność. Mówił, że ona jest jak taki lepki potwór, który czai się w jego głowie. - Popatrzyła na nich. - Ale wtedy na pewno nie zasnął, przysięgam! Nawet w najmniejszym stopniu nie zbierało mu się na sen. Musicie mi uwierzyć!

- W porządku. Wszystko jest w najlepszym porządku - odparł Freeman, ale pomimo tych uspokajających słów Linda wyczuła lekką zmianę w wyrazie jego twarzy. - Proszę mówić dalej. Proszę opowiedzieć nam o tych innych samochodach.

- Przed nami jechał taki uroczy wóz... Sportowy, może jeden z tych starszych. Był w takim pięknym, czerwonym kolorze i naprawdę wyglądał znakomicie. Ale kiedy zdarzyła się katastrofa, pojechał dalej. Według mnie jechał bardzo porządnie, wcale nie pędził.

- Dobrze. Jak pani sądzi, jak daleko był od was, kiedy to się stało? Kiedy pękła szyba?

- Nie jestem pewna. Naprawdę trudno mi powiedzieć. To znaczy, jeszcze widziałam go dość wyraźnie...

- Czy odczytała pani numery rejestracyjne? Mam na myśli, czy był na tyle blisko, że je pani widziała?

- Nie wydaje mi się. Dość szybko jechał przed siebie. Może to było pięćdziesiąt metrów, mniej więcej tyle?

- No dobrze... A co pani powie na temat ciemnoniebieskiego saaba? Czy zwróciła pani na niego uwagę?

- Och, tak! Ci państwo jechali tuż obok nas. To znaczy, tuż przedtem, nim doszło do katastrofy. No, może byli trochę z tyłu, bo jeśli ktoś jedzie tuż obok, to nic nie widać, co się dzieje w samochodzie. Tego saaba zauważyłam w lusterku i od razu mnie zainteresował, bo to naprawdę piękny samochód. W środku siedzieli mężczyzna i kobieta, i wydawało mi się, że się kłóca... Ona wymachiwała rękami, i tak dalej... A potem... - nagle przerwała. - Niech pan posłucha, nie chcę nikogo wpędzić w kłopoty, więc...

- Proszę się o to nie martwić. Proszę po prostu powiedzieć, co pani widziała.

- Miałam wrażenie, że w pewnej chwili on odebrał komórkę. Ale zaraz usłyszałam ten huk, a potem Patrick zaczął krzyczeć i trąbić klaksonem i... Resztę już panu opowiedziałam.

- Rzeczywiście. Więc nie ma żadnych wątpliwości, że ich sposób jazdy mógł spowodować na innych niebezpieczeństwo? Na przykład że w pewnej chwili skręcili tuż pod koła ciężarówki?

- Nie, absolutnie nie.

- W porządku. No cóż, panno Linley, była pani bardzo pomocna. Naprawdę bardzo. I proszę nie denerwować się tą puszką z napojem. Naprawdę uważam, że może pani przestać o tym myśleć, choć musimy to zapisać w raporcie. Ostatnia sprawa: czy zwróciła pani uwagę na białego vana, który miał tylne drzwi związane kawałkiem sznurka? Czy spotkała go pani na drodze w którymkolwiek momencie tamtego popołudnia?

- Naturalnie, że tak. Jechał jak wariat. Ale on nie mógł mieć nic wspólnego z katastrofą; przemknął obok nas z wielką prędkością, jeszcze zanim doszło do wypadku.

- Czy zauważyła pani jakieś napisy na tym samochodzie? Jakies logo, wszystko jedno jakiego rodzaju?

- Nie, bardzo mi przykro. Niczego nie zauważyłam.

- Czy ten człowiek jechał sam?

- Nie. Obok na fotelu siedział wielki pies.

- No cóż, naprawdę nie potrafię wyrazić, jak bardzo okazała się pani pomocna, panno Linley. Złożyła pani niezwykle cenne zeznanie, a pani uwagi co do innych samochodów także były ogromnie interesujące.

Krótko potem, po przeczytaniu zeznań i złożeniu pod nimi podpisu, Georgia usłyszała, że jest wolna i może iść, dokąd jej się podoba.

- Biedny pan Connell chyba się ucieszy, jak sądzisz? - mruknął konstabl Rowe. - Przypuszczam, że chyba mu o tym powiesz, co?

- Tak, oczywiście.

- Dzisiaj?

- Nie, o wiele lepiej będzie zrobić to w poniedziałek rano.

- No jasne - odparł szybko Rowe, a potem dodał: - Zastanawiam się, czy ta szyba mogła zostać stłuczona przez tamtą śrubę od koła?

- Mało prawdopodobne - odparł Freeman. - Bardzo mało.

- Cześć, William. Tu Abi.

- Abi! O mój Boże! No tak, cześć.

- William! A cóż to za powitanie?

- Ja... No, tak. Bardzo przepraszam. Ogromnie miło znów cię usłyszeć.

- Mam nadzieję - zaśmiała się.

Ten śmiech! Ten prawie nieprzyzwoity śmiech!

- Ostrzegałam cię, że jeśli nie zadzwonisz, sama to zrobię. W każdym razie... Pomyślałam, że może byśmy się umówili na jutrzejszy wieczór. Co o tym sądzisz?

- Tak... Tak, oczywiście. To wspaniale. Fantastycznie. Eee... Chociaż lepiej byłoby dzisiaj. Szybciej. Znów się zaśmiała.

- Ale, na dziś umówiłam się już z paroma kumpelkami. Moja przyjaciółka wyjeżdża na cały rok do Australii. Zaprosiłabym cię, ale nie sądzę, żebyś się dobrze bawił.

- Nie szkodzi. W takim razie do jutra.

- Dobrze. Co ty na to, żebym przyjechała po ciebie, oszczędzę ci wędrówki. Możemy spotkać się w klubie, do którego mnie zabrałeś.

- Jesteś pewna?

- Jasne, że jestem pewna. Więc jak, o osiemnastej?

- O osiemnastej - powtórzył. - Tak, wspaniale. Dziękuję, że zadzwoniłaś. Odwiesił słuchawkę i uderzył pięścią w powietrze.

Patrick czuł się bardzo zmęczony; miał za sobą długą, bezseną noc, bez proszków nasennych, a do tego wypełnioną bólem. W pewnej chwili kusilo go, żeby zrobić napad na gromadzone pilnie zapasy, ale potem przyszło mu do głowy, że to tylko przedłużyłoby agonię - dosłownie. Wyliczył sobie, że dziś wieczorem będzie miał wystarczająco dużo proszków; weźmie je wszystkie naraz, kiedy już zostanie sam na noc. A potem... Po-tem będzie już tylko zapomnienie. Żadnych wyrzutów sumienia, żadnego bólu, żadnych myśli, że jest się dla kogoś ciężarem... Naprawdę nie mógł się tego doczekać; wiedział, że popełnia śmiertelny grzech, że wcześniej powinien się wyspowiadać, w najczarniejszych chwilach bał się, że pójdzie prosto do piekła. Myślał, żeby poprosić o spotkanie z księdzem, ale doszedł do wniosku, że to zbyt niebezpieczne. A nuż skusiłaby go możliwość odbycia spowiedzi, albo nawet zwykła okazja do rozmowy o swoim marnym losie, o poczuciu, że Bóg go opuścił, podobnie jak wszyscy inni.

Szpitalny ksiądz był mądrym, przenikliwym człowiekiem; mógłby łatwo się zorientować, jak głęboko sięga rozpacz Patricka i czym to grozi. Tak więc musi zrobić to w samotności, sam odmówić wszystkie modlitwy, osobiście poprosić Boga, by mu wybaczył, a potem... zwyczajnie odejść. Na pewno zdoła to zrobić; bał się tego kroku, ale nie tak bardzo, jak dalszego życia w tym potwornym, strasznym nieszczęściu i zmaganiu się z poczuciem winy.

Georgia najpierw nie zorientowała się, że w gazetach pojawiło się coś na jej temat. Dopiero gdy we dwie z Lindą siedziały przy lunchu, Linda podsunęła jej egzemplarz „Mail”. Miała dość ponurą minę.

- Przykro mi, skarbie, ale moim zdaniem powinnaś to zobaczyć.

Malutka wzmianka znajdowała się na drugiej stronie, uzupełniona kolejnym zdjęciem z katastrofy; jej treść składała się głównie z samych przypuszczeń, tytuł zaś brzmiał „Tajemnicza dziewczyna z M4”. To wystarczyło, żeby w znacznym stopniu zdenerwować Georgię: teraz jej postępek poznają miliony czytelników, którzy codziennie kupują „Daily Mail”. I bez wątpienia miliony innych osób przeczytają o tym w pozostałych dziennikach.

- Postaraj się opanować nerwy, kochanie. Tam nie ma nic interesującego.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że mnóstwo ludzi będzie myśleć tak samo. Gdyby tylko wiedzieli, że chodzi o mnie! Tak na początek, na przykład, wszyscy w tym nowym serialu. Na litość boską, Linda, co oni sobie o mnie pomyślą? Będą cholernie zaskoczeni, jak się dowiedzą, że nie jestem taką małą, grzeczną dziewczynką, za jaką mnie uważali, tylko obrzydliwym, tchórzliwym śmieciem. I zaraz się zorientują, że kłamałam też w sprawie tamtego przesłuchania, bo przecież wcale nie byłam chora, tylko... O Boże...

Znów się rozpląkała rzewnymi łzami, a Linda, spoglądając na nią, w głębi serca czuła obawę, że Georgia może mieć rację.

Ciekawe, co zrobi prasa, kiedy dziennikarze odkryją, że tajemniczą dziewczyną była młoda, aspirująca do głównych ról aktorka... Linda dość dobrze знаła tajniki tego fachu i wiedziała, że tego typu historię można wykorzystywać w nieskończoność.

- Georgia, kochanie, nie płacz. Byłaś dziś naprawdę bardzo dzielna.

- Tak, ale za to byłam tchórzem przez wszystkie pozostałe dni! Linda, zastanawiam się... Jak sądzisz, czy powinnam odwiedzić Patricka? Albo przynajmniej skontaktować się z jego żoną? Mam na myśli to, że przecież mogła oglądać ten program i teraz pewnie strasznie się denerwuje, bo zastanawia się, kim jest i gdzie przebywa ta dziewczyna... To znaczy ja.

- Cóż... Może faktycznie należałoby tak zrobić. Nastąpiła chwila ciszy.

- Może jakoś dam radę. Jestem absolutnie przerażona i wiem, że on będzie miał prawo napluć mi w twarz, ale czuję, że powinien się dowiedzieć, co zeznałam przed policją. Może biedak okropnie się czuje, kiedy w prasie wypisują te wszystkie bzdury, że zasnął za kierownicą, i tak dalej... Co o tym myślisz?

- Tak, to rzeczywiście okropne. I rzeczywiście, będzie wymagało od ciebie sporo samozaparcia.

Naprawdę Linda tak uważała; w pewien sposób taki czyn wymagał większej odwagi niż przesłuchanie na policji.

- Może... Może jutro? Jutro pojedę do tego szpitala... Linda, czy pojedziesz ze mną?

- Oczywiście, że pojedę.

- No, jak tam, Patrick? Wszystko w porządku?

Jo Wales uśmiechnęła się do niego. Właśnie schodziła z dyżuru.

- Tak, całkiem nieźle - odparł bezbarwnym głosem.

- Słyszałam, że dziś przyjechała do ciebie rodzina.

- Tak, rzeczywiście.

- I co, cieszyli się, że cię widzą?

Wiedziała, że nie pozwolił im wejść, ale pomyślała, że mała pogawędka może go rozweselić.

- Nie. Kazałem im wracać do domu.

- Patrick, czemu to zrobiłeś? Twoja żona mówiła, że chłopcy byli tak strasznie podekscytowani.

- Tak, pewnie tak... Ale ja czułem, że nie mam na to siły.

- No cóż, rozumiem. Może jutro?

- Nie, nie sądzę.

Spojrzała na niego. Jego twarz była dziwnie pozbawiona wyrazu, a w oczach czaiła się pustka.

- Patrick, na pewno dobrze się czujesz?

- Czuję się dokładnie tak, jak sądzisz, że się czuję - odparł. Zabrzmiało to dość agresywnie, zostało wygłoszone agresywnym tonem. To zupełnie nie pasowało do Patricka.

- Och... Bardzo przepraszam. Czy bardzo cię boli?

- Wcale nie.

- Ta operacja, którą będziesz miał w przyszłym tygodniu, powinna ci pomóc, jeśli chodzi o brzuch. Czy to właśnie najbardziej ci dokucza?

- Boli mnie wszędzie. Z wyjątkiem nóg, ale cóż bym dał, żeby one także mnie bolały.

Jo uśmiechnęła się ostrożnie i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Zobaczysz, że operacja pomoże. Musisz w to wierzyć.

- Wiarę już straciłem, razem z innymi rzeczami.

- No cóż, przekonamy się. Jedno ci mogę obiecać, że w swoim czasie wszystko się zagoi.

Wzruszył ramionami.

- Czy... Czy chciałbyś obejrzeć coś w telewizji? - zapytała na odchodnym. - Jest mnóstwo ciekawych rzeczy, jakiś niezły film...

- Nie, nie chcę niczego oglądać - przerwał jej. - Jestem bardzo zmęczony. Po prostu chcę odpocząć, chcę zostać sam.

- Dobrze... No cóż, miejmy nadzieję, że przynajmniej będziesz miał dobrą noc.

Wyszła z sali i na chwilę zatrzymała się na korytarzu, a potem poszła poszukać siostry Green, która zostawała na nocnym dyżurze. Dodatkowy proszek na sen nie będzie niczym złym. Przynajmniej dzisiaj.

Alex wcale nie chciał jechać do domu, bo tam od razu ogarniało go poczucie przygnębienia. Przygnębienia i złości. Nie tylko dlatego, że Sam zdecydowała się zakończyć ich małżeństwo; właściwie uczyniła go bezdomnym. Pozbawiła dostępu do miejsca, gdzie chciał przebywać, gdzie jego obecność była mile widziana.

Ich sypialnia od dawna przestała w jakikolwiek sposób należeć do niego, a niewielki pokój gościnny był nieprzytulny. Sam i dzieciaki wieczorami okupowali kuchnię i salon, a jeśli on przypadkiem wszedł do któregoś z tych pomieszczeń, nawet dzieci wydawały się zakłopotane, bo musiały jakoś przeciwstawić się skrepowaniu swojego ojca. Oczywiście mógł siedzieć w swoim gabinecie, ale gabinet zawsze był tylko gabinetem, gdzie większość przestrzeni zajmowało biurko, komputer, półki i książki, i gdzie raczej trudno było wygodnie wyciągnąć się i zrelaksować.

Dzisiaj nie miał siły walczyć o odrobinę wolnej przestrzeni dla siebie; raczej zostanie na noc w szpitalu. Przywiózł sobie piżamę i przybory do mycia. Miał tutaj osobny pokój z łóżkiem; mógł zjeść kolację w kawiarni, położyć się do łóżka i czytać aż do odretwienia, a potem zasnąć z nadzieją, że nie zdarzy się żaden wypadek ani uraz, który zakłóciłby mu sen. Dziś nie był na dyżurze telefonicznym; jeśli będą chcieli go ściągnąć, zawsze może im powiedzieć, żeby się wypchali. Prawdę mówiąc, zaraz właśnie to zrobi. Wypije kieliszek wina. Albo dwa. Albo nawet trzy...

Patrick poprosił, żeby tego wieczoru wcześniej ułożyć go do łóżka. Sue Brown, młoda pielęgniarka, która dziś się nim opiekowała, przyniosła mu gorący napój i zleconą porcję lekarstw, i jak zwykle powiedziała, żeby zadzwonił, jeśli będzie czegoś potrzebował.

- Ale mam nadzieję, Patrick, że zaśniesz słodko jak niemowlę, a rano obudzisz się w o wiele lepszej kondycji.

Kiedy wreszcie poszła, zabrał się do starannych przygotowań. Czuł się zupełnie spokojny, cały strach zniknął bez śladu. Najpierw napisał list do Maeve, w którym zapewniał ją o swojej miłości i o tym, że tak będzie lepiej dla niej i dla chłopców. Dziękował, że była taką cudowną żoną i dodał, że chłopcy mają w niej najlepszą matkę pod słońcem. „Z wielką miłością, moja kochana Maeve, twój oddany Patrick”, dopisał na końcu.

Potem zabrał się do pisania osobnych listów do każdego z synów, żeby wiedzieli, jak bardzo ich kochał i jak żałuje, że tego dnia musiał ich odesłać do domu. „Bądźcie dobrzy dla swojej mamy; Liam, teraz ty jesteś głową rodziny, więc musisz się nią opiekować. I wspominaj mnie zawsze takiego, jakim byłem, a nie jaki jestem teraz. Twój kochający tata”.

Potem dołączył jeszcze jeden liścik „do wszystkich zainteresowanych”, w którym prosił, żeby nie przeprowadzać reanimacji, jeżeli takowa w ogóle byłaby brana pod uwagę.

Na końcu naskrobał jeszcze parę słów do Alexa Pritcharda, dziękując mu za uprzejmość względem niego i Maeve, i za to, że okazał się tak pomocny w tych pierwszych, straszliwych dniach zaraz po wypadku. „Wszyscy lekarze powinni być tacy jak pan, doktorze Pritchard” - zakończył i podpisał: - „Z wyrazami wdzięczności, Patrick Connell”.

Potem oparł wszystkie listy o wystającą półkę i ułożył się na poduszkach, żeby odpocząć.

Do tej pory słońce zdążyło pochylić się ku zachodowi; ze swojego łóżka Patrick widział niebo. Było zachwycające, pełne niepokojącej czerwieni poprzecinanej ciemnymi pasmami, a wspaniałe, ukośnie padające promienie przedzierały się przez kłębiące się tu i ówdzie obłoki; niebo z dziecięcej Biblii, pomyślał. Przez chwilę leżał spokojnie, obserwując, jak roznieca się płomieniem i blednie, a potem sięgnął do stojącej przy łóżku szafki, wyjął różaniec, i zaczął odmawiać modlitwę. Prosił Boga o wybaczenie czynu, który za chwilę miał popełnić, o odpuszczenie śmiertelnego grzechu. Prosił także, by wybaczył mu tamtą straszliwą rzeź, jaką urządził na autostradzie. Czuł, że jego Bóg jest Bogiem dobrym i miłosiernym, że zrozumie jego udręczenie i że zechce w swoim Boskim sercu darować mu wszelkie przewiny.

Prosił Go również o ukojenie i opiekę dla Maeve i chłopców, a następnie wyrecytował z pamięci psalm dwudziesty trzeci; doprawdy, już niedługo sam ruszy przez ciemną dolinę, poprzez mrok śmierci, i Boskie hufce będą potrzebne, aby go wspierać i dodać mu otuchy. Prosił usilnie, aby w owej krytycznej chwili nie odmówiono mu wsparcia. Wreszcie zmówił Zdrowaś Maria i Modlitwę Pańską i przeżegnał się znakiem krzyża.

Nagle odkrył, że płacze i przekonał się, że wcale a wcale go to nie dziwi. Dotychczasowe życie, które wydawało się tak obiecujące, tak szczęśliwe, tak pełne radości i rodzinnej harmonii; żona, którą kochał i która jego darzyła miłością - wszystko przeminęło na zawsze, zniszczone przez jego beztroskę i arogancję. Tamto życie już nigdy nie wróci, po prostu nie zasługiwał na nie. Stał się przyczyną wielkiej niedoli, wielkiego nieszczęścia tak wielu, wielu ludzi; pozbawił dziecko matki, a matkę odłączył od dziecka. Czytał gazety, czytał wywiady, pomimo wysiłków szpitalnego personelu, którzy usiłowali temu zapobiec; czytał o poczuciu całkowitego opuszczenia i ogromnej pustki, i o gniewie tych, których życie legło w gruzach. To, że w tej sytuacji akurat on pozostał przy życiu, wydawało się absolutnie niezgodne z porządkiem tego świata, odwróceniem normalnego biegu spraw. Umrze więc i może będzie to czymś w rodzaju zadośćuczynienia; może w ten sposób

okaże tym biednym, nieszczęśliwym ludziom, jak bardzo żałuje tego, co im uczynił. Miał tylko nadzieję, że ktoś poinformuje ich o jego zgonie.

Siedział jeszcze przed dłuższą chwilę z pochyloną głową, ściskając w rękę różaniec, i zastanawiał się nad tym, co właśnie miał zrobić. Przygotowywał się na ten ostateczny moment, by godnie go przeżyć, kiedy stanie się rzeczywistością.

ROZDZIAŁ 29

Wiedział, że nigdy w życiu sobie tego nie wybaczy. Nigdy. Tyle prawdy było w tym, co mówią: że każdy popełnia błędy, ale lekarze swoje błędy grzebią na cmentarzu.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek dręczyły go takie wyrzuty sumienia. Jak mogło dojść do tego wydarzenia? W jaki sposób pewien człowiek, rozpaczliwie chory człowiek, przykuty do szpitalnego łóżka, a ponadto pozostający pod ścisłym nadzorem lekarskim, zdołał zgromadzić wystarczającą ilość prochów, żeby targnąć się na swoje życie? I - co ważniejsze - jak on, Alex Pritchard, tak totalnie zawiódł, bo nie zorientował się, w jak głębokiej desperacji pogrążony jest ten mężczyzna? Alex czuł się porażony niewydolnością szpitalnego systemu, a oprócz tego - co chyba wydawało się najgorsze - zawstydzony własną ślepotą, że tak cholernie dał się wciągnąć we własne problemy i że nie zauważył czegoś, co działo się tuż pod jego nosem.

Wpadł na Maeve w recepcji mniej więcej o trzeciej nad ranem; była blada jak ściana i patrzyła na niego błędnym wzrokiem.

- Witaj, Maeve.

- Doktor Pritchard! Jak dobrze, że pan tu jest. Jak on się czuje?

- On... Chyba całkiem nieźle, jak nam się zdaje. Jest pewien problem z nerką, to znaczy z tą jedyną, która, jak wiesz, mu została, ale chyba jakoś daje sobie radę, oczywiście za pomocą lekarstw. Jeszcze nie jest z nim całkiem dobrze, ale mamy nadzieję, że uda się go z tego wyciągnąć.

- Och... Doktorze Pritchard, dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję.

- Żadne podziękowania mi się nie należą - odpowiedział krótko. Naprawdę tak myślał.

Siostra Sue Brown, która robiła obchód po salach swoich pacjentów tuż po godzinie dziesiątej wieczorem, znalazła wszystkich pogrążonych w głębokim śnie. Nawet ten biedny Patrick Connell spał jak suseł.

W dyzurce nie zastała drugiej pielęgniarki; usadowiła się więc, żeby napisać raporty, i wtedy przypomniała sobie, że siostra z poprzedniej zmiany poleciła jej dać dziś wieczorem panu Connellowi dodatkowy proszek nasenny. Wykonała polecenie, starannie odliczyła proszki, a następnie przyniosła dodatkową szklanek wody, o co prosił pan Connell. Kiedy wróciła, okazało się, że już wszystko połknął. Jednak nie była pewna, jaka w sumie była całkowita dawka; potrzebowała tych danych do raportu, dotyczącego leczenia Patricka, ale one znajdowały się na karcie przy jego łóżku. Przez chwilę kusiło ją, żeby odłożyć te cholerne raporty do rana, ale w końcu zdecydowała, że jednak nie. To było zbyt istotne.

Bardzo ostrożnie uchyliła drzwi; powitało ją gromkie chrapanie. Wydawało się, że Patrick naprawdę mocno śpi. Dobrze. Wyłowiła kartę z plastikowej ramki, przymocowanej w nogach łóżka i właściwie już miała

wyść, kiedy nagle uderzyła ją myśl, że on leży w jakiejś dziwnej pozycji, jakby osunął się bezwładnie na prawy bok. Podeszła do łóżka, żeby sprawdzić, czy uda się jej ułożyć go nieco wygodniej, nie przerywając mu przy tym snu, i wówczas na półce przy łóżku zauważyła zgrabny stosik listów.

Ten na wierzchu zaadresowany był „Do moich chłopców”. Dobrze, że go napisał. Sue słyszała, że wczoraj odesłał swoje dzieciaki z kwitkiem, więc pewnie teraz chciał im powiedzieć, jak bardzo jest mu przykro i że pragnie wkrótce znowu je zobaczyć. Pochylając się niżej, by ułożyć poduszki w taki sposób, żeby podierały leżącego, potrąciła listy, które spadły na podłogę. Pochyliła się i podniosła je; jeden zaadresowany został do doktora Pritcharda. To było... No... dość niezwykle. Dlaczego ktoś miałby pisać list do jednego z lekarzy? Przesunęła spojrzeniem po następnej kopercie. „Do wszystkich zainteresowanych”... Nagle poczuła, że jej serce galopuje.

Szybko skierowała wzrok na Patricka i sięgnęła po jego rękę, żeby wyczuć puls. Dłoń wydawała się zimna jak lód, a puls był bardzo słaby. Naprawdę bardzo...

Sue Brown wypadła z sali i włączyła alarm.

Dopiero we wczesnych godzinach rannych można było ogłosić z jaką taką pewnością, że Patrick - najprawdopodobniej - wyjdzie z tego cało.

Na oddziale intensywnej terapii Alex przekonał się po raz pierwszy, jak marnie czuje się ktoś, kogo odstawiono na boczny tor. Ale przynajmniej mógł pocieszać Maeve; siedział z nią w pokoju dla odwiedzających, przynosił herbatę, której wcale nie chciała pić, prawił jakieś banały, a nawet trzymał ją za rękę, kiedy, zalewając się łzami, wyrzucała sobie, że powinna była okazać więcej zrozumienia i wrażliwości na depresję Patricka.

- Jak mogłam się na niego gniewać, doktorze Pritchard? - pytała, wycierając oczy. - I wczoraj, i w piątek nawrzeszczałam na niego, żeby wreszcie wziął się w garść i przestał myśleć tylko o sobie. Jak mogłam tak się zachować?

- Maeve, przecież ty żyjesz w ciągłym napięciu - uspokajał ją. - Jesteś dzielna i lojalna. Ilu ludzi codziennie odbywałoby tę okropną podróż i to bez słowa skargi?

Boże, ileż on by dał za żonę taką jak Maeve. Albo choćby tylko odrobinę podobną do Maeve...

Dziennikarz z „Daily Sketch” zerwał się ze snu o siódmej rano, obudzony przez natrętny dzwonek telefonu. Dzwoniła Maria, sprzątaczką ze szpitala. Mówiła bardzo cicho i bardzo prędko. Musiał poprosić ją, żeby powtórzyła wszystko jeszcze raz od początku, zanim zrozumiał, co ma mu do powiedzenia.

- Ten pan Connell, on chciał się zabić. Zeszłej nocy. Teraz wszystko już jest w porządku. Niech pan czeka na mnie w porze obiadu. Spotkamy się, ale to już ostatni raz. I niech pan przyniesie mi pieniądze, dobrze?

Maureen Hall, recepcjonistka przy głównym wejściu w szpitalu Świętego Marka, od razu zniechęciła Lindę. Była tak cholernie pewna siebie; w środku ruchliwego, niedzielnego popołudnia stała przy recepcji z miną właścicielki tego całego interesu i odrzucając w tył burzę rozwichrzonych, kasztanowatych włosów, stanowczym głosem domagała się spotkania z panem Connellem.

- Bardzo mi przykro, ale nie może pani się z nim zobaczyć - powiedziała do niej Maureen. - Pan Connell leży na Oddziale Intensywnej Terapii i nie wolno mu przyjmować tam żadnych wizyt.

- W takim razie proszę skontaktować mnie z lekarzem, który go prowadzi - odparła Linda.

- Obawiam się, że to również jest niemożliwe - mruknęła Maureen z wyraźną pogardą. - Nasi lekarze są bardzo zajęci i nie w każdej chwili można umawiać się z nimi na konsultację.

- Rozumiem... No cóż, to bardzo ważne, żebym ja, to znaczy, ta młoda dama i ja, żebyśmy spotkały się z kimś, kto się nim opiekuje.

Maureen Hall zmierzyła wzrokiem wspomnianą młodą damę; rzeczywiście była bardzo młoda, a poza tym przerażona jak diabli. Wciąż chowała się za plecami swojej towarzyszki i nerwowo ssała koniuszki palców.

- Jedyne, co mogę zaproponować, to rozmowa w biurze rzecznika pacjenta. Może tam będą mogli paniom pomóc. Jakie nazwisko mam podać?

- Di Marcello. Linda Di Marcello.

- Chwileczkę. - Maureen postukała w klawiaturę komputera długimi jak szpony paznokciami. Przez chwilę panowała cisza, aż w końcu Maureen się odezwała: - Mam tutaj pannę de Marshall. Chce się widzieć z kimś w sprawie związanej z Patrickiem Connellem. Tak. Nie, wiem przecież, ale ona bardzo nalega. Czy może wejść na górę? Może ty wyjaśnisz jej, jak wygląda sytuacja? Dzięki, Chris.

Odwróciła się do Lindy.

- Możecie iść do biura rzecznika, jeśli macie ochotę. Drugie piętro. Winda jest tam. Kiedy będziecie na górze, idźcie za drogowskazami. Przepraszam, madam - z przesadną uprzejmością zwróciła się do kobiety, która stała w kolejce za Lindą i Georgią. - Przepraszam, że tak długo musiała pani czekać.

- Cholerna krowa - syknęła Linda, ale nawet taka uwaga nie wywołała cienia uśmiechu na przerażonej buzi Georgii.

- Nie potrafię wyrazić, jak ważne jest, żeby ona spotkała się z lekarzem bądź lekarzami, którzy są odpowiedzialni za pana Connella - oznajmiła Linda, kiedy znalazły się w biurze rzecznika. - Ta młoda dama jechała z nim w dniu, kiedy wydarzyła się katastrofa. Oczywiście pani wie co nieco na temat tej katastrofy, panno...

- Pani Patel. Tak, naturalnie, że wiem. Ale pan Connell jest bardzo chory. To raczej niemożliwe, żebyście się z nim zobaczyły.

- Tak, ale...

Linda była tak zirytowana, że chwilowo nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Z rozpaczą popatrzyła na Georgię, która nagle przestała wyglądać jak przerażone, małe stworzenie, oparła się o biurko i niemal wrzeszczała na panią Patel.

- Jeśli jest bardzo chory, to tym bardziej powinien usłyszeć to, co mam mu do powiedzenia! To naprawdę cholernie ważne! Dzięki temu może poczuć się o wiele, wiele lepiej. A teraz niech pani posłucha: nigdzie się stąd nie ruszymy. Zostaniemy tak długo, jak będzie trzeba, i postaramy się maksymalnie uprzykrzyć pani życie, więc równie dobrze może pani spróbować nam pomóc, zamiast piętrzyć trudności. A co z żoną pana Connella? Czy ona jest tutaj? Czy możemy się z nią zobaczyć? Albo proszę nam powiedzieć, gdzie ona mieszka, żebyśmy mogły z nią porozmawiać... Na litość boską, niechże pani wreszcie coś zrobi!

Linda miała ochotę bić brawo.

- Proszę chwilę poczekać. Spróbuję się dowiedzieć - mruknęła pani Patel, a potem podniosła się z fotela i wymaszerowała z pokoju.

Alex wziął prysznic, włożył świeżą koszulę i właśnie wracał do Maeve. Patrick był coraz bardziej ożywiony i najwyraźniej coraz bardziej wściekły; żądał wyjaśnień, dlaczego jego instrukcje zostały zignorowane i odmawiał spotkania z kimkolwiek, nawet z Maeve. Bez wątpienia biedna Maeve potrzebowała teraz wsparcia.

Wziął do ręki swój pager, poinformował obsługę recepcji, że za chwilę będzie z powrotem i skierował się do windy. Przed windą czekały dwie kobiety - olśniewająca seksbomba o kasztanowatych włosach, czyli ten typ kobiety, którego chorobliwie wręcz nie znosił, oraz bardzo ładna czarna panienka, z jej miny wynikało, że za chwilę stąd ucieknie. Wsiadając do windy, kobieta wzięła dziewczynę za rękę i już jej nie wypuściła. Dziewczyna przelotnie uśmiechnęła się do niej, a potem znów zrobiła przerażoną minę i wbiła wzrok we własne stopy. Przypuszczalnie na górze przebywał ktoś, o kogo się martwiły. Postarał się uśmiechnąć do nich, ruda kobieta odpowiedziała mu bladym uśmiechem.

W windzie jechała z nimi jeszcze jedna osoba: wysoki, młody człowiek z obciętymi na jeża włosami, ubrany w dżinsy i dżinsową koszulę. Wyglądał na zdenerwowanego i wyraźnie starał się nie patrzeć na pozostałych.

Kiedy winda się zatrzymała, Alex odsunął się do tyłu, żeby przepuścić obie panie; rudowłosa podziękowała mu skinieniem głowy. Młody mężczyzna wyszedł za nimi, a potem zatrzymał się, przejrzał papiery, które trzymał w ręku, naskrobał coś na kilku kartkach i wyjrzał przez okno znajdujące się naprzeciw drzwi windy. Widocznie facet miał coś wspólnego z wydziałem planowania, pomyślał Alex. Cholernie dokuczliwe sukinsyny, wszyscy bez wyjątku.

Dwie kobiety także przystanęły, najwidoczniej zastanawiając się, dokąd należy teraz pójść; nagle, ku pewnemu zdziwieniu Alexa, pojawiła się Maeve Connell i jak na skrzydłach biegła w ich kierunku.

- Dzień dobry - powiedziała. - To ja jestem panią Connell. Jak dobrze, że przyszłyście. Och, doktor Pritchard, dzień dobry! Czy przyszedł pan zobaczyć Patricka?

- Nie. Przyszedłem do ciebie, Maeve, bo usłyszałem dobre wieści na temat Patricka, to znaczy, do pewnego stopnia dobre...

- Przypuszczam, że może pan tak o nich mówić. Ale on... O Boże... Sama nie wiem, co robić. Ale może te dwie panie zdołają jakoś mi pomóc.

Z niepokojem popatrzyła najpierw na Alexa, a potem na stojące obok kobiety. Linda uśmiechnęła się zachęcająco.

- Niech pani robi to, co zamierzała. Proszę porozmawiać z doktorem. My możemy poczekać.

Ma miły głos, pomyślał Alex. To jedyna rzecz, która mu się w niej spodobała. Był lekko ochrypliwy i bardzo głęboki.

- Nie, nie, Maeve, najpierw porozmawiaj z paniami. Jeśli zechcesz rozmawiać ze mną, wystarczy, że poprosisz którąś z pielęgniarek, żeby nadała mi wiadomość na pagera.

- Dobrze, doktorze Pritchard. Bardzo panu dziękuję. To najbardziej uprzejmy człowiek pod słońcem - dodała, prowadząc Lindę i Georgię wzdłuż korytarza. - Nie wiem, co bym zrobiła bez niego przez ostatnie dwa tygodnie.

- Czy właśnie on zajmuje się pani mężem? - spytała Linda.

- Nie, jest lekarzem na oddziale pomocy doraźnej. Ale to on przyjmował tutaj Patricka i pilnował go przez parę dni, zanim... No zanim...

- A więc... Pani Connell... - zaczęła Georgia, gdy tylko usiadły w poczekalni dla rodzin pacjentów. - Jak naprawdę miewa się Patrick?

- Proszę mi mówić Maeve. On... Teraz czuje się już znacznie lepiej, choć oczywiście przed nim jeszcze długa droga. Jest sparaliżowany od pasa w dół...

- Sparaliżowany! - Wspaniale, ciemne oczy Georgii wypełniły się przerażeniem. - O, nie...

- Obawiam się, że tak... Neurochirurg ma nadzieję, że to się z czasem cofnie, ale oczywiście Patrickowi ciężko jest w to uwierzyć. Przeszedł już mnóstwo operacji, a czeka" go jeszcze więcej... Jest w głębokiej depresji. On... No, ostatniej nocy przedawkował środki przeciwbólowe, ale na szczęście w porę go znaleźli.

- Pani Connell! To znaczy, Maeve... Gdybym tylko... Chciałam powiedzieć, że gdybym tylko wiedziała! Przecież byłam z nim w tej kabinie, kiedy to się stało! - zawołała Georgia, a jej głos nagle nabral niezwykłej mocy. Już nie było w nim strachu ani ostrożności. - Zaproponował, że mnie podwiezie; był dla mnie bardzo uprzejmy. I ja byłam tam, kiedy... Kiedy się rozbił.

- Więc... Czy to oznacza, że wszystko widziałaś? Że wiesz, co dokładnie się stało? - wyszeptała Maeve tak cicho, że Georgia musiała wyteżać słuch, żeby ją zrozumieć.

- Tak, widziałam. Wszyściuteńko.

- Bo widzisz... On myśli... To znaczy, jest przekonany... Że to stało się z jego winy. Że po prostu zasnął za kierownicą. Dlatego to dla niego takie straszne. Pamięta jedynie, że chciało mu się spać... I obwinia siebie, mimo że większość raportów wspomina o jakimś samochodzie, który jechał tuż przed nim i nagle zjechał mu drogę.

- Wielki Boże! Maeve, mogę ci przysiąc, i to z całym przekonaniem, że on na pewno nie zasnął! Nie ma mowy! Gadaliśmy o różnych sprawach i Patrick naprawdę świetnie sobie radził. Aż do ostatniej chwili. Nie mam pojęcia, jak daleko posunęło się dochodzenie, ani co Patrick myśli, ale mogę potwierdzić z absolutną pewnością, że to nie była jego wina, nawet w najmniejszym stopniu.

- Patrick... To ja, Maeve... Jak się czujesz?

- Tak jak przypuszczasz. Okropnie.

I rzeczywiście wyglądał okropnie, znów podłączony do tych różnych urządzeń i kroplówek, wysoko podparty na łóżku przeznaczonym do reanimacji. Był popielatoblady, skóra na twarzy wydawała się wręcz przezroczysta, a oczy zapadły głęboko.

- Maeve, na litość boską, mówiłem ci przecież, żebyś przestała tu przychodzić. Po prostu zostaw mnie w spokoju.

- Wiem, Patrick, ale... Mam dla ciebie pewne nowiny. Bardzo istotne nowiny. Pamiętasz... Pamiętasz, jak mówiłeś, że przypominasz sobie, że ktoś był w kabinie razem z tobą? Tuż przed katastrofą? Ta osoba jest tutaj. Przyszła cię zobaczyć. To młoda dziewczyna, na imię ma Georgia.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę nikogo widzieć. Jaki sens...

- Patrick, to ma sens. To wszystko zmienia, ponieważ Georgia widziała, jak to się stało.

- Widziała, jak zasypiam? Czy właśnie to widziała?

- Nie, nie! Właśnie tego wcale nie widziała! Powiada, że... Patrick, czy możesz się z nią zobaczyć? Bardzo proszę. Tylko przez chwilę.

- Maeve, jestem zbyt zmęczony, żeby spotykać się z jakimiś panienkami, które opowiadają niestworzone historie. Dlaczego mam wierzyć w to, co mówi? Gdyby to była prawda, to przecież przyszlaby wcześniej. Po prostu chcę wreszcie to zakończyć, choć oni okradli mnie z takiej możliwości. A teraz zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Zamknął oczy. Maeve wysunęła się na korytarz i wróciła do Lindy i Georgii.

- On... O Boże, on powiada, że nie chce cię widzieć. Że jak ma uwierzyć, że tam byłaś. Że dlaczego... Och, to takie szlachetne z waszej strony, że obie tu przyszląście, ale teraz obawiam się, że nadaremnie... W każdym razie z punktu widzenia Patricka. Może gdybyś znowu porozmawiała z policją...

Maeve sprawiała wrażenie zupełnie przybitej. Z oczyma pełnymi łez spróbowała się uśmiechnąć, ale na próżno. Jej usta drżały, więc przygryzła dolną wargę.

- O, rany... To okropne. Posłuchaj, Maeve... - Georgia nagle zaczęła grzebać w torebce. - Maeve, czy sądzisz, że to może go przekonać? Spójrz tylko...

Włożyła jej do ręki małe pudełeczko.

- To jest zegarek. Zegarek, który Patrick kupił dla twojej matki jako prezent na urodziny. Pokazał mi go, a potem dał, żebym go przechowała, bo bał się, że się uszkodzi. Przez cały ten czas nosiłam go w torebce.

Maeve wzięła pudełko i otworzyła. Wewnątrz znajdował się nieduży zegarek. Był naprawdę bardzo ładny, połączony z wysadzaną diamentami bransoletką. Przez chwilę wpatrywała się w to cacko, a potem podjęła decyzję.

- Zaniosę mu. Dziękuję ci, Georgia. Bardzo ci dziękuję.

Pięć minut później wybiegła z sali, uśmiechnięta od ucha do ucha, a jej poplamiona łzami twarz promieniała ze szczęścia.

- Przypomniał sobie! Czy możesz tam ze mną pójść? Zgadzasz się?

- Oczywiście, że pójde - odparła Georgia. - Jeszcze jak się zgadzam.

Alex Pritchard zdecydował, że pora wracać do domu. Nudny dzień, kiedy na oddziale nie było nic do roboty, wydał mu się gorszy niż szukanie we własnym domu jakiegokolwiek zakątka, który mógłby nazwać swoim. Postanowił, że tylko zajrzy na górę, żeby się upewnić, że Maeve niczego nie potrzebuje, a potem od razu wyjdzie ze szpitala.

Zajrzał do poczekalni dla krewnych i zastał tam ową rudowłosą damę, która siedziała zupełnie sama, z zapalem gadając przez komórkę. Spojrzała na niego z przelotnym uśmiechem, ale ani na chwilę nie przerwała rozmowy.

- Powiedz im jutro, że co prawda nie masz za sobą żadnej szkoły wokalnej, ale mimo to jesteś wystarczająco dobra, żeby świetnie dać sobie radę ze śpiewaniem w chórkach... Tak, jestem całkiem pewna... Możesz ich nasłać na mnie, jeśli masz ochotę... Tak, oczywiście, będę w biurze. Ale jeśli chcesz mnie złapać dziś po południu, musisz dzwonić na komórkę... Na pewno. Ciao.

Przerwała połączenie, ale najwyraźniej szykowała się do następnej rozmowy. To zirytowało Alexa. Na ścianach wisiało kilka tabliczek z zaleceniem, żeby nie używać telefonów komórkowych.

- Przepraszam - powiedział, świadomie dokładając starań, aby jego słowa zabrzmiały uprzejmie. - Naprawdę prosimy, żeby nie korzystać z komórek na terenie szpitala.

- Och, wiem - odparła beztrosko. - I wiem też, że to kompletna bzdura. Przecież tak naprawdę komórki wcale nie mają wpływu na pracę sprzętu i po prostu chodzi o to, żeby pacjenci nie paplali całymi godzinami przez telefon, bo to wam przeszkadzałoby w pracy. Oczywiście doskonale to rozumiem.

- Czyżby?

- Tak - uśmiechnęła się.

Musiał przyznać, że to był bardzo miły uśmiech, choć za mało, by zrekompensować poprzednią, pełną arogancji wypowiedź. Nie odwzajemnił się uśmiechem.

- Obawiam się, że jest pani w błędzie - powiedział cierpko. - Gdyby wszyscy zaczęli dzwonić z komórek na terenie szpitala, zwłaszcza na obszarze takim jak ten, gdzie pracuje wyjątkowo czuły sprzęt, mogłoby to okazać się fatalne w skutkach. Dlatego proszę, żeby pani przestała dzwonić, albo wyszła na zewnątrz.

- Ach... - Przez chwilę gapiła się na niego, a potem wstała i wyłączyła telefon. - W takim razie wyjdę na zewnątrz. To bardzo pilna rozmowa, z matką Georgii. Na pewno chce wiedzieć, gdzie się podziewa jej córka.

- A Georgia to?...

- Ta dziewczyna, która przyjechała ze mną. Jestem jej agentką. No dobrze, bez sensu marnujemy czas. Albo raczej to pan marnuje mój czas. Miłego popołudnia.

Majestatycznym krokiem ruszyła korytarzem. Alex patrzył za nią. Miała całkiem niezłe nogi, w jej sposobie poruszania się było coś bezczelnego. W ogóle wyglądała na bardzo arogancką paniusią. Miał nadzieję, że więcej się z nią nie spotka.

Jeszcze nie zdążył ruszyć z miejsca, gdy z Oddziału Intensywnej Terapii wyszła Maeve i tamta młoda dziewczyna. Maeve dosłownie promieniała, Georgia miała podpuchnięte oczy, a na jej buzi zastygły ślady łez.

- Doktorze Pritchard! - zawołała Maeve, klaszcząc w dłonie. - Jak się cieszę, że pan tu jest! Patrick czuje się o wiele lepiej i jest taki szczęśliwy! Dzięki Georgii wszystko odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Niechże ją Bóg błogosławi!

Z radosną miną spozjrzała na Georgię, która odwzajemniła się załzawionym, bladym cieniem uśmiechu.

- Tak, doktorze Pritchard, Georgia widziała wszystko, co się wydarzyło. Była w kabinie ciężarówki, bo Patrick podwoził ją do Londynu. I okazuje się, że to wcale nie była wina Patricka! Coś uderzyło w przednią szybę i roztrzaskało ją, więc Patrick nagle przestał cokolwiek widzieć. Georgia bez końca powtarzała mu, że to było tak, jakby jechał z zawiązanymi oczyma, i że nic nie mógł zrobić. Czyż to nie jest najcudowniejsza wieść? A on siedzi tam, całkiem... Całkiem szczęśliwy.

- Maeve, tak się cieszę ze względu na ciebie. Georgia, jak to ładnie z twojej strony, że przysłaś.

- Właściwie... Właściwie wcale nie - wyjąkała Georgia. - To znaczy... Powinnam była przyjść wcześniej.

- Liczy się tylko to, że w końcu przysłaś - orzekła Maeve. - Kiedy pomyślę, w jak strasznym stanie był Patrick...

- No właśnie - odparła Georgia. - A ja okazałam się zwykłym tchórzem, i to od samego początku. Tak strasznie mi wstyd! Ale teraz już wszystko opowiedziałam na policji, więc może...

- Dobra robota - pochwalił ją. - Dla mnie wcale nie jesteś tchórzem. Nie wątpię, że teraz znowu będą chcieli przesłuchać Patricka. Wiesz, Maeve, lepiej uprzedzę o tym ludzi z biura rzecznika pacjenta. Może już się z nimi skontaktowali?

- Hmm... Czy widział pan, dokąd poszła Linda? To znaczy moja agentka? - Georgia rozejrzała się dookoła. - Myślałam, że tu na mnie poczeka.

- Ach... - Alex Pritchard sprawiał wrażenie dość zakłopotanego. - Wyszła na zewnątrz. Obawiam się, że przeze mnie. Chciała wykonać kilka telefonów, a ja... Ja zasugerowałem, żeby zrobiła to poza terenem szpitala. Może zejdziesz do kawiarni i tam zaczekasz na pannę...

- Di Marcello - podpowiedziała Georgia. - Ale ona nie będzie wiedziała, że tam jestem.

- Powiem pielęgniarkom, żeby ją tam skierowały, kiedy tu wróci.

- Dziękuję. To bardzo uprzejmie z pana strony. Przepraszam, że zajęłyśmy panu aż tyle czasu.

Alex poczuł się bardzo poruszony tymi przeprosinami. Więc taka dziewczyna, sądząc po wyglądzie niewiele starsza od jego córki, doskonale zdawała sobie sprawę, że inni ludzie także mają jakieś swoje plany i obowiązki... Nadzwyczajnie.

- Nic nie szkodzi - powiedział szybko i wskazał im drogę do windy. - Maeve, zakładam, że teraz Patrick będzie chciał zobaczyć swoich synów. Mam rację?

- A jakże, doktorze Pritchard. Poprosił, żebym ich przywiozła jutro, zaraz po szkole.

- Znakomicie.

Uśmiechnął się do niej; wygląda na to, że bardzo ją polubił, pomyślała Georgia. Co za zdumiewająco miły facet.

Linda właśnie wchodziła po szerokich schodach, prowadzących na pierwsze piętro szpitala, kiedy zobaczyła, że Alex idzie w jej stronę. Zmarszczyła czoło i demonstracyjnie wyłączyła telefon.

- Proszę się nie obawiać, już skończyłam - powiedziała. - Teraz idę tylko zabrać Georgię i wynosimy się stąd na dobre.

- No cóż, zdaje się, że poszła do kawiarni. Właśnie zamierzałem to pani powiedzieć, żeby pani niepotrzebnie nie wchodziła na górę.

- Och. - Zatrzymała się w pół kroku, wyraźnie zaskoczona. - To... To bardzo uprzejmie z pana strony.

- Wcale nie. Szpital jest naprawdę ogromny i nietrudno jest kogoś tu zgubić.

- No wie pan, zawsze mogę zadzwonić do niej z komórki. - Linda uśmiechnęła się szelmowsko. - Oczywiście wtedy, kiedy pana nie będzie w pobliżu.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

- Przepraszam, to był kiepski żart. Nie powinnam używać telefonu i świetnie o tym wiem. Przepraszam, jeśli byłam niegrzeczna. Mam naprawdę paskudny weekend. Wiem, że to nie jest żadne wytłumaczenie, ale...

- Potrafię sobie wyobrazić. Ja też przepraszam. To częściowo także moja wina. W nocy mieliśmy tu prawdziwy koszmar.

- Naprawdę?

Teraz nagle wyglądał całkiem inaczej niż jeszcze przed chwilą, gdy był wstrząśnięty i o wiele mniej pewny siebie. Prawdę mówiąc, jest dość... Dość atrakcyjny, pomyślała. W pewien zwariowany sposób.

- Tak. Nie chcę wdawać się w szczegóły, ale... Wystarczy chyba, jeżeli powiem, że prawie nie zmrużyłem oka.

- Czy to przypadkiem nie jest normą w pańskim zawodzie?

- Z pewnością, szczególnie w mojej specjalności.

- Pańskiej specjalności?

- Tak. Pracuję jako lekarz na oddziale pomocy doraźnej. Dość trudno przewidzieć liczbę pacjentów, jaka akurat tam trafi.

Uśmiechnął się do niej. I znów pomyślała, że ten uśmiech jest nadzwyczajny; kryła się w nim pewna zapalczywość i Linda poczuła się lekko zbita z tropu.

- Proszę pozwolić, że odprowadzę panią do kawiarni i upewnię się, że bezpiecznie odnalazła pani Georgię.

- Myślę, że ma pan lepsze rzeczy do roboty.

- Akurat teraz nie, jeśli mam być szczery - odpowiedział poważnie.

Georgia siedziała przy stoliku, popijając kawę, kiedy podszedł do niej pewien młody człowiek w dzinsowej koszuli.

- Przepraszam... Czy miałaby pani coś przeciw temu, żebym się do pani przyłączył?

- Co... - Drgnęła przestraszona. - Nie, oczywiście, że nie. Proszę usiąść.

Pomyślała, że pewnie zamierza poczytać gazetę albo coś w tym stylu, ale on uśmiechnął się do niej z niezwykłą stanowczością.

- Czy... Czy to właśnie ciebie widziałem w windzie jakąś godzinę temu, jak jechałaś na oddział intensywnej terapii?

- Być może... To znaczy tak, faktycznie tam byłam.

Boże! Czyżby próbował ją podrywać? Spojrzała na niego, ale doszła do wniosku, że chyba nie. Wyraźnie martwił się o kogoś.

- Ma pan tu na górze jakiegoś krewnego? - zapytała.

- Nie, nikogo. A ty?

- Też nie. Leży tu mój przyjaciel.

- Może pan Connell, co?

- Skąd pan zna nazwisko pana Connella?

- Cóż, większość ludzi je zna. Przynajmniej tu, w szpitalu.

- Naprawdę? Wydaje mi się, że jednak nie.

- Czy wszystko z nim w porządku? Widziałem, że rozmawiałaś z panią Connell.

- Chyba się panu przyśniło... A tak w ogóle to kim pan jest? Czy ma pan coś wspólnego ze szpitalem, czy raczej...

- Mam wrażenie, że lepiej będzie, jak wszystko wyjaśnię - przerwał jej i wyciągnął rękę. - Nazywam się Nick Osborne, z „Daily Sketch”. A ty jesteś...

Georgia poderwała się z krzesła. To, co stało się sekundę później, całkiem ją zaskoczyło; zupełnie jakby robił to ktoś inny, a ona tylko obserwowała całe zajście.

- Niech się pan odpieprzy! - wrzasnęła, a jej głos zabrzmiał bardzo donośnie. - Niech się pan odpieprzy ode mnie, od szpitala, a przede wszystkim od Patricka Connella! Jesteście obrzydliwi, wypisujecie o ludziach brednie, które nie mają nic wspólnego z prawdą!

Odwróciła się na pięcie i jak furia wypadła z kawiarni.

Reszta gości siedziała jak osłupiała, gapiąc się najpierw na nią, a potem na Osborne'a, który także wstał, wciąż starając się wyglądać, jakby był panem sytuacji, a potem wybiegł za Georgią i pośpieszył na parking, gdzie czekał jego samochód i jego laptop.

TLR

CZEŚĆ CZWARTA

W DOBRĄ STRONĘ

ROZDZIAŁ 30

Jej jedyną reakcją było westchnienie. Bardzo krótkie i bardzo ciche... jak myślała. Takie, że nikt nie miał prawa go usłyszeć. Ale jednak westchnęła i to westchnienie wpędziło ją w tę niebezpiecznie głupią, całkowicie niesłuszną i totalnie cudowną sprawę, dzięki której każdy dzień, każda chwila wydawały się zadziwiające i pełne blasku; gdzie każdy człowiek, nieważne, jak nudny czy nieprzyjemny, sprawiał wrażenie uroczego i dowcipnego; gdzie każde zadanie, wszystko jedno jak przykre czy uciążliwe, zmieniało się w zajmujące i fascynujące doświadczenie. W jednej chwili potrafiła być całkowicie opanowana i spokojna, a już w następnej czuła, jak wiruje jej w głowie i jak spala ją wewnętrzny ogień. Zdarzało się, że spoglądała w lustro, uśmiechając się do siebie, i na nowo przywoływała każdą rozmowę, każde wspomnienie, każde zwierzenie, i każde maleńkie, słodkie odkrycie, bo wciąż wydawały się jej świeże i istotne, i wciąż warte dalszych badań... Po prostu była... mówiąc najprościej, zakochana. Absolutnie, bezspornie i - przynajmniej na razie - najcudowniejszą radośnie zakochana. Dopiero teraz zrozumiała, że uczucia obudzone przez Luke'a, nie miały nic wspólnego z miłością. Tamto było dokładnie określone, rozsądne i pod każdym względem stosowne, to zaś okazało się najważniejszym i najbardziej rozstrzygającym przeżyciem, jakie kiedykolwiek się jej przytrafiło.

Wiedział, że tego popołudnia powinien odjechać - od razu, kiedy tylko odwiedził Toby'ego i przekonał się, że u niego wszystko w porządku. Powiedział Emmie, że musi jak najszybciej wracać do Londynu; następnego dnia przyjeżdżał pewien naprawdę ważny klient, który domagał się spotkania z całym zespołem, a Barney musiał wcześniej jeszcze trochę popracować. Emma skinęła głową i uspokoiła go, że będzie doglądała Toby'ego, ale jest pewna, że teraz Toby już szybko wróci do zdrowia i za parę dni zostanie wypisany do domu.

Z tej perspektywy - zważywszy na to, że ona i Barney już nigdy więcej się nie zobaczą - wszystko rysowało się w raczej ponurych barwach, co może wydawać się nieco śmieszne, bo on miał Amandę, ona Luke'a i...

- Tak, rozumiem - powiedział z ociąganiem. - No cóż, to doskonała nowina. Dobrze. Jeszcze raz ci dziękuję, Emmo. Bez ciebie nie dałbym rady przetrwać tych dni.

- Oczywiście, że dałbyś radę - odparła z uśmiechem.

- Nie, nie. Absolutnie nie. Możesz mi wierzyć. Schylił się i szybko cmoknął ją w policzek.

- No to na razie...

Odwrócił się, żeby odejść na zawsze, i właśnie wtedy westchnęła, a on usłyszał to westchnienie i odwrócił się do niej, i przez chwilę obydwójce patrzyli na siebie w zupełnym milczeniu. Wreszcie on zdecydował się je przerwać.

- Wiesz, Emmo... Czy mógłbym... No dobrze, czy mógłbym zaprosić cię na drinka? Tak zwyczajnie, żeby jakoś ci podziękować za twoją pomoc i wsparcie, dzisiaj i w ogóle... Przez wszystkie poprzednie dni. Bardzo bym chciał, naprawdę. Ale jeśli musisz wracać do pracy albo masz jakieś inne plany, to oczywiście...

- Nie - powiedziała prędko. - Nie, nic nie muszę. To znaczy nie muszę dziś pracować. W każdym razie nie po szóstej wieczorem. I nie mam żadnych planów na dzisiejszy wieczór.

- A więc... Czy to znaczy „tak”?

- Tak. To znaczy „tak”. Wielkie dzięki. Będzie wspaniale.

Zastanawiała się, czy on zrozumiał tak samo jasno jak ona, o co prosił i na co się zgodziła.

Poszli na drinka do pubu, który zaproponowała. Był naprawdę uroczy wieczór, więc usiedli na zewnątrz, żeby pogadać. Szło im z lekkimi oporami. Prawdę mówiąc, z dużymi oporami. Najgorsze, że oboje wiedzieli, dlaczego czują się niezręcznie. Emma powinna była odmówić. Powinna była powstrzymać to westchnienie.

Po niedługim czasie powiedział, że musi iść. Ona też powiedziała, że musi iść, więc wrócili do samochodu i Barney odwiózł ją do szpitala, żeby mogła zabrać stamtąd swój samochód.

- Dziękuję - powiedziała na pożegnanie. - Było mi bardzo miło, Barney. Dziękuję. I... Nie martw się już o Toby'ego. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się i oczywiście nie pozwoliła sobie na westchnienie. To był błąd, ten cały wypad na drinka. Wielki błąd.

Następne kilka chwil Barney zapamiętał na całe życie. Mając w oczach jej uśmiech, przyglądał się, jak ona otwiera drzwi, jak stawia na chodniku piękne, długie nogi... I nagle wstrząsnął nim dreszcz czystej paniki. Emma odchodzi, ten moment przemija, dzień bezpowrotnie dobiega końca. Wymówka prawie straciła swoją moc. No cóż, dobrze. On był zaręczony, ona... Pewnie także bliska zaręczyn. Co on sobie wyobraża, myśląc o tym, o czym właśnie myśli?

Bez namysłu położył dłoń na jej ramieniu. Na jej pięknie opalonym, szczupłym ramieniu. Było ciepło i... cudownie przyjemne w dotyku. Popatrzyła na niego z zaskoczeniem, potem na jego dłoń i znów na twarz. Jej oczy, wielkie, błękitne oczy, napotkały jego spojrzenie. To było zgubne, okropne...

- Nie idź - wyszeptał.

- Ale, Barney...

- Proszę, nie idź. Nie chcę, żebyś odchodziła... Ledwie dosłyszał jej odpowiedź.

- Ja także nie chcę...

Wrzucił pierwszy bieg i ruszył z kopyta, wypadając z parkingu prosto na drogę w kierunku Cirencester. Doskonale znał ten cały obszar i wiedział, gdzie szukać drózek, bocznych drózek, z bramami wjazdowymi, które wiodły prosto na pola, i gdzie bez przeszkód można było się zatrzymać. Gdzie można zaparkować. I odwrócić się do kogoś. I całować. I jeszcze raz, i znów od nowa. I czuć, jak ten ktoś oddaje pocałunki.

Później, znacznie później powiedział:

- Wiesz, ja od razu wiedziałem. Od chwili, gdy cię zobaczyłem.

- Ja też. „To on”, pomyślałam. „To właśnie jest ten mój jedyny”.

- I co pomyślałaś zaraz potem?

- „O cholera”. Dokładnie tak. „Niech to cholera”.

- O rany, ja pomyślałem dokładnie to samo! Najpierw: „To ona”, a potem: „Niech to szlag jasny trafi! Niech to szlag!”.

- Dlatego, że ten świat jest taki popieprzony, tak?

- Jasne.

- Bo widzisz, ja mam Luke'a.

- A ja Amandę. Jestem zaręczony z Amandą, która jest...

- ...piękna i bardzo miła.

- Rzeczywiście, piękna i bardzo miła. Ale chyba jej nie kocham. Przynajmniej nie tak, jak mi się wydawało.

- No i jest Luke, naprawdę fajny koleś i miły facet. Ale mnie też się zdaje, że go nie kocham. A więc... Co teraz zrobimy?

- Musimy coś zbadać - odparł Barney. - Po prostu musimy; to jedyne, co nam pozostało.

I tak zrobili; badali siebie nawzajem. I to w ekspresowym tempie. Przez jeden długi wieczór, spędzony na niekończącej się rozmowie. Przez jedną długą noc, kiedy kochali się w mieszkaniu Emmy, prawie nie zmrzywszy oka. I przez następny długi dzień - chodząc, rozmawiając, całując się, martwiąc... Jeszcze jeden wieczór i jeden pospieszny, okropnie cudowny seks w jakiejś pustej, szpitalnej sali.

Tak jak para kochanków, rozwinęli całą gamę żartobliwych zachowań, tajemnic i szyfrów.

- Kiedy podziękuję, że zadzwoniłaś, oznacza to: „Nie mogę teraz rozmawiać”. „Może jutro” znaczy: „Strasznie za tobą tęsknię”, „Z przyjemnością” to: „Kocham cię”.

Każdy dzień, każde spotkanie coraz bardziej utwierdzało ich w przekonaniu, że ich związek jest tym jedynym, który się liczy, a pozostałe nie mają żadnej przyszłości. I równie pewni byli tego, że resztę życia chcą spędzić razem.

Jak to jest, być jednym z tych ludzi, zastanawiał się Freeman, spoglądając na niewątpliwe oznaki bogactwa, które można było dostrzec nawet tutaj, w tej maleńkiej szpitalnej sali. Laptop, iPod, fotografia w srebrnej ramce, która stała na szafce przy łóżku, olbrzymi talerz winogron, pudełko czekoladek Fortnum & Mason, stos książek w twardej oprawie.

Jak to jest wiedzieć, że jeśli czegoś chcesz, to prawie na pewno będziesz to miał? Jak to jest chodzić do najlepszych szkół, uczęszczać na najlepszy uniwersytet, z pewnością odbywać dalekie podróże, jeździć najlepszymi samochodami i ubierać się w najdroższe ciuchy?

Pewnie cholernie przyjemnie, jak przypuszczał (choć dane mu było spróbować niewiele z rozkoszy tego świata), ale czy to czyniło człowieka szczęśliwszym? Czy pozwalało rozwinąć wrażliwość sumienia? A może właśnie wtedy człowiek stawał się arogancki, bezlitośnie chciwy i skłonny, by sięgać po więcej?

- Sierzancie Freeman, proszę usiąść.

Szerokim gestem wskazał na stojące przy łóżku krzesło.

- Cieszę się, że czuje się pan lepiej. I że noga wreszcie się goi.

- No cóż, ja też się cieszę, sierzancie. Chociaż wciąż potwornie mnie boli. Dzięki Bogu, za dzień lub dwa powinienem wrócić do domu. Eee... Myślałem, że przyjdziecie do mnie we dwóch?

- Owszem, konstabl Rowe już jest w drodze. Powinien być najdalej za parę minut. A oto i on.

Sprawnie przeszli przez wszystkie formalności, pytania o powody, dla których wybrali akurat M4, o dokładną lokalizację kościoła, o przyczynę późnego wyjazdu...

- Nie czułem się zbyt dobrze. Zdaje się, że złapałem jakąś gripę żołądkową, bo wciąż zbierało mi się na wymioty. Akurat tego było mi trzeba w dniu ślubu!

- Może to były skutki kaca?

- Wielki Boże, nie! Poprzedniego wieczoru ledwie co wypiliśmy. Zgoda, Barney wlał w siebie parę drinków, ale ja po prostu nie miałem nastroju, żeby się ululać.

Z wielkim rozbawieniem opowiedział o tym, jak zatrzymała ich policja.

- Oczywiście prowadził Barney, i pędził jak sto diabłów, ale rozumiecie sami, byliśmy już mocno spóźnieni. I gdybyśmy nie zostali zatrzymani, to na pewno zdążylibyśmy na czas. Ale... Nawet nowożeniec, który spieszy się na ślub, nie może liczyć na ulgowe traktowanie, prawda, sierżancie?

- Prawda. Ale... Zdaje się, że zatrzymaliście się również po to, żeby zatankować paliwo?

- Tak, rzeczywiście. No i... Ja musiałem znów biec do toalety.

- Więc nie potrzebowaliście niczego innego? Żadnego oleju ani innych rzeczy?

- Nie, tylko paliwa.

- Jednak mam wrażenie, że na nagraniu z kamer widać, jak stoicie w kolejce do ciśnieniomierza.

- A, tak. Zgadza się, byliśmy tam.

- Czy to oznacza, że niepokoił pana stan opon? Czy był jakiś powód, dla którego pomyślał pan, że warto by to sprawdzić?

- Nie. Prawdę mówiąc, to były całkiem nowe opony. Po prostu lubię być ostrożny.

- Bardzo mądrze. Więc nie chodziło o to, że zauważył pan, że jedno koło jest za miękkie? Co w oczywisty sposób mogło przyczynić się do wybuchu opony.

- Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu pomyślałem, że należy to sprawdzić.

- Mimo że był pan tak mocno spóźniony?

- No... Tak.

- Rozumiem. Widzi pan, może jesteśmy w błędzie, ale znów, zgodnie z nagraniem z kamer... Wydawało nam się, że ostatecznie odjechaliście bez sprawdzania.

Był naprawdę niezłym aktorem; wydawało się, że ta ostatnia uwaga ani trochę nie zbiła go z tropu.

- Ach... No... pewnie tak zrobiliśmy. Ja... Ja chyba poszedłem zapłacić za paliwo. Bo widzi pan, nie pamiętam tego dokładnie. Byliśmy w strasznym stresie, chyba może pan sobie to wyobrazić.

- Doprawdy... Ale proszę się postarać i przypomnieć sobie. To może być ważne.

- Tak. Tak przypuszczam... Niech pan posłucha, nie chcę nikomu narobić kłopotów, ale... Chodzi o to, że Barney... Zapewne zna pan moją drużbę, Barneya Fräsera? Czy on... Czy on wyjaśnił, co się wydarzyło?

- O ile pamiętam, to nie.

- Prawdę powiedziawszy, to ja chciałem sprawdzić te opony. Tak jak mówiłem. Ale on bardzo się martwił, że jesteśmy tak bardzo spóźnieni... Ostatecznie to należy do jego obowiązków, żeby na czas dostarczyć

mnie do kościoła. No więc powiedział, że nie ma czasu na sprawdzanie, że nie możemy czekać, że na pewno opony są w porządku i w końcu namówił mnie, żebyśmy ruszyli.

- Może nie zdążyłeś przeczytać ostatniego raportu z laboratorium? - powiedział konstabl Rowe. - Mam na myśli ten, który przyszedł w zeszłym tygodniu, kiedy ciebie nie było. Napisano tam, że w oponie tkwił gwóźdź...

- Tak - odparł Freeman. - Czytałem go. Bardzo interesujący.

- Ale jeśli właśnie ten gwóźdź był przyczyną wybuchu opony, jak zdaje się sądzi nasi specje od kryminalistyki, to czemu tak dusiłeś tego chłopaka? W sumie to przecież wszystko jedno, czy sprawdził to cholerne ciśnienie, czy go nie sprawdził?

- Wiesz, Rowe, w naszym biznesie człowiek ma naprawdę niewiele przyjemności - odparł Freeman. - A jedną z nich jest przyglądanie się, jak taki gnojek skręca się ze strachu.

Wielka szkoda, jak zauważyła Linda Di Marcello, że Georgia wygląda tak, jak wygląda, i że zrobiła to, co zrobiła. Tabloidy ściagały ją bez wytchnienia, aż w końcu zdarzyły się dwa albo trzy koszmarne dni, kiedy jej historia pojawiła się w większości brukowców. Łatwa do zapamiętania, urocza twarzyczka z wielkimi, ciemnymi oczyma i niesforną burzą włosów znajdowała się tuż powyżej nagłówek w stylu: „Tajemnicza dziewczyna z M4”, albo: „Dziewczyna z M4 odnaleziona”. W artykułach informowano czytelników nie tylko o tym, że tajemnicza pasażerka ciężarówki to Georgia Linley z Cardiff, ale również, że jest aktorką, która właśnie wygrała konkurs na rolę w nowym thrillerze produkcji Channel Four, i że do katastrofy doszło akurat wtedy, kiedy jechała do Londynu na przesłuchanie.

Później cytowano wypowiedź Georgii, którą ułożyła Linda, starając się dobrać słowa w taki sposób, by poczyniły jak najmniej szkód - że bardzo żałuje, iż mogła stać się przyczyną jakichś kłopotów, że nie wolno jej odpowiadać na żadne pytania w sprawie katastrofy, ponieważ policja wciąż prowadzi dochodzenie, że kilka razy była w szpitalu z wizytą u Patricka Connella, że on czuje się coraz lepiej i że ona oraz jego żona zostały przyjaciółkami. Zresztą to wszystko było szczerą prawdą.

Cała ta sprawa była mocno nieprzyjemna dla Georgii, która nadal wstydziła się swojego postępuku, a przede wszystkim strasznie bała się początku pracy nad *Moving Away* i tego, że teraz inni członkowie zespołu będą źle o niej myśleć.

Jonathan wciąż miał wrażenie, że przeżywa koszmar na jawie.

Nie uspokoił go nawet telefon od tego starego wygi Freemana, który zadzwonił z informacją - Chryste, dlaczego ci ludzie nie umieją poprawnie posługiwać się językiem ojczystym? - że „istnieją pewne wskazania, że główną przyczyną wypadku była ciężarówka, która doznała roztrzaskania przedniej szyby”, ale że policja nadal zbiera dowody. Jeśli nadal gromadzą dowody, to wciąż jeszcze mogą ucześcić się faktu, że on tuż przed katastrofą rozmawiał przez komórkę, a Bóg jeden wie, do czego to może doprowadzić.

Z niedowierzaniem wspominał swoje dawne życie - jego spokojną, przyjemną rutynę - które teraz wydawało się odległe raczej o wiele, wiele lat niż o kilka tygodni. Często bywał przygnębiony, wielokrotnie zdemotywany; to zachwiało jego profesjonalną pewnością siebie, a zmęczenie i zwątpienie w siebie pozbawiło go zwykłego uroku.

Zresztą cały dom wydawał się mocno na tym cierpieć; nikt nie zachowywał się swobodnie, nawet dzieci. Charlie bywał drażliwy, zdecydowanie mniej ufny i niemal ostrożny w kontaktach z ojcem, a obie małe dziewczynki stały się krnąbrne i nieposłuszne. Nie uświadamiając sobie, skąd się to bierze, przejmowały wzory zachowań od matki, przynajmniej tak sądził.

Laura wyraźnie się odsunęła; była teraz zamknięta w sobie, mniej wroga, ale też bez cienia dawnej serdeczności. Jeszcze dzielili małżeńskie łóżko, ale wyglądało to tak, jakby ona postawiła między nimi zaporę, siłą woli nie dopuszczając go do siebie. Czuł, że uzbroiła się w cierpliwość i czeka, aż coś się wydarzy - nie miała pojęcia co, lecz wiedziała, że to coś okaże się brzemiennie w skutki, bo dopiero wtedy wyjdzie na jaw, czy ich małżeństwo w ogóle ma jakąkolwiek rację bytu.

Przeczuwał, że to coś stanowi zagrożenie, choć jeszcze bez nazwy i formy, i że wciąż jest nadzwyczaj realne.

Abi jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa. Mijał dzień za dniem, a urok wciąż trwał jak cudowne, długie, złote lato. Absurdalne, pełne słodczy poczucie szczęścia narodziło się z równie absurdalnego i słodkiego romansu. Absurdalnego do tego stopnia, że wydawał się wręcz nieprzyzwoity. Dla nich obojga...

Na poważnie zaczęło się tamtej nocy w biurze farmy. W biurze, które przylegało do owczarni.

Niewielu ludzi uprawia seks w biurach farm, które przylegają do owczarni. W każdym razie, niewielu takich, których znała. No dobrze - nikt, kogo znała. Może częściej zdarza się to w wiejskich okolicach, bo tu życie z pewnością toczy się w odmienny sposób.

Spotkali się w tamtym pubie i on od razu zaproponował, żeby przenieść się do innego lokalu, kilka kilometrów dalej.

- Tu kręci się za dużo znajomych - wyjaśnił.

- Czyżbyś wstydził się tego, że się ze mną spotykasz? - obruszyła się. Zarumienił się po uszy.

- Oczywiście, że nie - odparł z takim przerażeniem, że Abi wybuchnęła śmiechem. - Chodzi tylko o to, że... No wiesz, że będą nam cały czas przeszkadzać.

W ten sposób pojechali do pubu Land Rover, gdzie ona wypila dwie wódki, a on dwa piwa, i wtedy sprawy od razu zaczęły wymykać się spod kontroli. Albo raczej to jej zachowanie zaczęło wymykać się spod kontroli. Po prostu nie mogła wytrzymać, siedząc tam i patrząc na niego, na te cholernie wielkie stopy, na śmiesznie seksowny uśmiech - już zdążyła spróbować tych ust, więc wiedziała, co potrafią - i widząc, jak on błędzi po niej oczyma, jak spogląda na jej nogi i na rowek między piersiami... Przynęła bliżej krzesło i przycisnęła nogę do jego nogi, tylko dlatego, żeby poczuć jego dotyk, nawet przez materiał tych śmiesznych spodni, które nosił... Jak one się nazywały - z diagonalu, czy jakoś tak? Po prostu były ordynarnie niemodne, i już. Wtedy on zapytał, czy ona ma ochotę na jeszcze jednego drinka, ale powiedziała, że już nie, bardzo dziękuje, a on wydawał się tym nieco zakłopotany, więc szybko dodała, że może mu powiedzieć, na co ma ochotę. Na co, zapytał nerwowo, a ona odparła, że chętnie pójdzie z nim do samochodu. Usiedli więc w środku i przez chwilę delikatnie się pieścili. Wreszcie powiedziała - już po tym, kiedy jasno dał do zrozumienia, że pragnie tego samego, czego ona, w dodatku równie gorąco, o ile nie bardziej - że w takim razie chętnie wróci z nim do domu, do jego pokoju. Ta perspektywa tak go przeraziła, że to było aż śmieszne.

- Abi, nie możemy tego zrobić. Bardzo mi przykro. Po prostu nie możemy. Poznałaś przecież moich rodziców... Czy naprawdę wyobrażasz sobie, że będą siedzieli i spokojnie gapili się w telewizor, jeśli będą wiedzieli... Że my... Nie, to po prostu nie ma prawa się zdarzyć. Uczciwie mówię, że nawet gdybym spróbował, to pewnie byłbym tak... No, tak spięty, że... że i tak nic by z tego nie wyszło.

Zdecydowała się nie pytać go, jak sobie radził z podobnymi problemami w przeszłości.

- W takim razie musimy poszukać innego miejsca, Williamie. Zaproponowałabym, żebyśmy pojechali do mnie, ale naprawdę nie wiem, czy zdołam tak długo wytrzymać...

Właśnie wtedy wpadł na pomysł, że przecież mogą pojechać do biura.

Wcale nie było tam tak źle, to znaczy, w tym biurze. Znajdowało się daleko od domu, naprawdę dość daleko... Musieli jechać jego samochodem wzdłuż polnej dróżki, aż dotarli do czegoś, co on nazywał owczarnią. Jej zdaniem to wcale nie przypominało owczarni, tylko spory budynek, wystarczająco duży, żeby mogło mieszkać tam z pół tuzina rodzin. Weszli do środka; biuro znajdowało się w odległym końcu i okazało się zaskakująco czystym i przyjemnie ciepłym pomieszczeniem, składającym się z dwóch pokoiów.

- To jest moja część, moja i taty, a ten drugi pokój zajmuje sekretarka. Ona...

- Williamie, nie chcę słuchać niczego na temat sekretarki. O Boże, czy nie możemy wreszcie zabrać się do roboty?

Wtedy zaczął ją całować, w ten niewiarygodnie charakterystyczny sposób - wolno, intensywnie i z pewnego rodzaju rozważą - a kiedy to robił, jakoś udało się jej ściągnąć z siebie sukienkę. Pod spodem miała tylko majteczki.

Wreszcie osunął się ustami na jej piersi i całował je tak samo jak przedtem usta, aż w końcu ona popchnęła go na jakiś mebel, wyglądem przypominający szeroką kanapę i... to co zdarzyło się potem, było całkiem nie do uwierzenia.

Wydawało się, że ten akt trwa przez wiele godzin, cudownych, dzikich i roznamiętnionych godzin, podczas których on pracował wytrwale nad jej ciałem, wzbudzając w nim fale niepowtarzalnych doznań, które wznosiły się i opadały, słabły i znów przybierały na sile; poruszał się wolno, potem gwałtownie, potem znów wolno, wypychając ją na sam brzeg orgazmu, żeby za chwilę się wycofać, ona zaś czuła każde jego działanie równie mocno i w swojej głowie, i w sercu, w końcu ogarnął ją całą, ogarnął najdrobniejszy skrawek jej istoty i rozbudził w niej niezwykłą zdolność odczuwania przyjemności. Aż krzycząc triumfalnie, wzniosła się na szczyt uniesień - raz i drugi, a potem znowu - aż do zatracenia.

A teraz, dwa tygodnie później, nadal było... Było po prostu wspaniale. Zmieniali miejsca spotkań, krążąc pomiędzy jej mieszkaniem i jednym z pustych, letnich domków, które znajdowały się na terenie farmy... William powiedział, że wcześniej nie pomyślał o nich, a z pewnością było tam znacznie wygodniej niż w pomieszczeniach należących do biura. Nie sprzeciwiała się jego naleganiom, żeby zamiast żarówek używać wyłącznie świec, w obawie, by matka bądź mieszkający w pobliżu pastuch nie zauważyli światła i nie przyszli sprawdzić, co się dzieje. Jej zdaniem świece podkreślały romantyczny nastrój. Podgrzewali na elektrycznej maszynie jakieś gotowe dania, zwykle curry, pili dość marne wina, a potem uprawiali wspaniały, niesamowity seks. Abi nie miała nic przeciwko nocnym powrotom do domu o różnych dziwnych godzinach; prawdę mówiąc, nawet lubiła te nocne eskapady. Na drogach było pusto, a ona mogła włączyć radio, śpiewać na cały głos

i myśleć o Williamie i o tym, jak słodko i cudownie było im we dwoje i jak bardzo uwielbia przebywać w jego towarzystwie, nie tylko z powodu seksu. Bała się właściwie tylko jednego i na myśl o tym ogarniał ją przeraźliwy strach - że pewnego dnia William odkryje, kim ona jest naprawdę.

ROZDZIAŁ 31

Ta kobieta okazała się tak pewna siebie, że to aż niewiarygodne: zadzwoniła do szpitala, poprosiła o podanie numeru jego sekretarki i zostawiła mu wiadomość, a potem zadzwoniła ponownie, jeszcze zanim zdążył się zastanowić, co ma z tym zrobić. I wtedy po prostu... zaproponowała mu spotkanie. W dodatku bez żadnych wymówek typu: „Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o państwu Connell” albo: „Zastanawiałam się, czy Georgia pomogła na tyle, na ile miałyśmy nadzieję”. Nic z tych rzeczy. „Tu Linda Di Marcello”, powiedziała zwyczajnie.

Sam dźwięk jej głosu w słuchawce był dla niego kompletnym zaskoczeniem.

- Byłoby bardzo miło, gdybyśmy mogli spotkać się w niedzielę. Georgia tyle mi o panu opowiadała. No dobrze, właściwie to była Maeve Connell. I zastanawiam się, czy miałby pan ochotę wybrać się ze mną na jakieś przedstawienie. Mam bilety w zasadzie na wszystko, tylko nie wiem, jaki typ rozrywki panu odpowiada. Jest prapremiera nowego musicalu, opartego na *Opowieściach kanterberyjskich*, przypuszczalnie całkiem niezła, albo nowa inscenizacja *Makbeta*... Co pan woli. Och, i jeszcze superzabawa w „Sadler's Wells”, jeśli lubi pan tańce. Coś w rodzaju flamenco z pokazem stepowania.

- Cóż, ja... To bardzo uprzejmie z pani strony, ale... Prawdę mówiąc, nie przepadam za tańcem... I niezbyt lubię Szekspira...

- Doskonale. W takim razie *Opowieści kanterberyjskie*. Bilety są na sobotę wieczór. Może być? Potem moglibyśmy pójść gdzieś na kolację.

- Ja... Sam nie wiem. Najpierw muszę sprawdzić rozkład dyżurów. Czy... Czy mogę oddzwonić?

- Oczywiście.

Podawała mu numer do swojego biura. Spocony z wrażenia odłożył słuchawkę.

To Francis namówił ją, że warto spróbować. Opowiadała mu, jak minął dzień, jak trudny był dla Georgii, jak wdzięczna i pełna słodyczy okazała się Maeve i jak bardzo, jej zdaniem, przydała się ich pomoc. A potem dorzuciła jakąś anegdotę na temat Alexa, jak posprzeczali się z powodu głupiego telefonu i jak wygonił ją na parking, żeby tam dokończyła rozmowy.

- Wiesz, on okazał się całkiem... Całkiem miły. Najwyraźniej właśnie jest w trakcie paskudnego rozwodu, jak poinformowała mnie Georgia. Maeve Connell powtarza jej wszystkie plotki.

- Naprawdę?

- Tak. W sumie ja chyba opowiedziałabym się po stronie żony. On sprawia wrażenie cholernie aroganckiego, ale jest przy tym bardzo sexy. Ma cudowny uśmiech. Choć oczywiście to nie wystarczy, żeby utrzymać małżeństwo. Zupełnie jakbym sama nie wiedziała.

- Sexy, powiadasz? W twoim typie?

- Nie, jasne, że nie! No cóż... Może trochę... Jest taki ponury i zadumany.

- Może powinnaś zaproponować mu randkę.

- Och, Francis, przestań się wygłupiać!

- Czemu uważasz, że się wygłupiam? Czy to nie ty jesteś tą kobietą, która potrafi siedzieć i jęczeć mi przez cały wieczór, że dokucza jej samotność i że tęskni za jakimś facetem?

- No, przecież nie mówię tego na serio.

- A ja powiedziałbym, że bardzo na serio. Naprawdę.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem on znów się odezwał.

- Próbuję cię ośmielić, Linda. Zaproś go na randkę. Co masz do stracenia?

- Swoją godność.

- A cóż wielkiego jest w takiej godności? Nie ogrzejesz nią pustego łóżka. Zaproś go, mówię ci, a ja obiecuję zapłacić za wszystko, kiedy pojedziemy do Bilbao.

- Naprawdę? Za pierwszą klasę, pięciogwiazdkowy hotel?

- Tak. Masz to jak w banku.

Przez chwilę milczała, *rozważając* propozycję.

- No, dobrze - powiedziała wreszcie. - Przekonałeś mnie. Zaproś go, nie ma sprawy. Czy to wszystko, co mam zrobić?

- Owszem... A jeśli powie „tak”, to koniecznie gdzieś go zabierz.

- Na pewno nie powie „tak”.

Amy namówiła go, żeby przyjął propozycję. Sprowokowała go, żeby ją przyjął. Tego wieczoru wrócił do domu i znalazł ją przed telewizorem; zamiast odrabiać lekcje oglądała *Seks w wielkim mieście*, więc bez namysłu wyłączył telewizor. Popatrzyła na niego ze złością.

- Najpierw mama, a teraz ty.

- Gdzie mama?

- Wyszła z Lanym...

Wyraźnie unikała jego spojrzenia. I ona, i Adam kochali obydwój rodziców, i było oczywiste, że ich rozstanie sprawia im ból.

- Wyglądał prześmiesznie, taki nadęty bubek. Poszli chyba na jakiś koncert albo coś w tym stylu. Na Duran Duran. Przynajmniej tak mi się zdaje. Dobrze, tato, że chociaż ty nie chodzisz na żadne randki.

- Skąd wiesz, że nie chodzę?

- No wiesz... Bo jesteś za stary. To przede wszystkim. Miałam na myśli, że jesteś o wiele starszy od mamy.

Poczuł się dotknięty.

- Wcale nie tak wiele. Wielkie dzięki, Amy. Zresztą, prawdę mówiąc, i pamiętaj, że ta informacja przeznaczona jest tylko dla ciebie, właśnie dzisiaj zostałem zaproszony na randkę.

- Co takiego?! Na prawdziwą randkę?! Nie na żaden medyczny wykład?

- Na najprawdziwszą randkę.

- Przez...

- Przez pewną panią, moją znajomą.
- Jak długo ją znasz?
- Tak naprawdę wcale jej nie znam. Poznaliśmy się zaledwie kilka dni temu.
- Tato! Tato, to jest... Jak ona się nazywa? I co robi?
- Nazywa się Linda Martello, albo jakoś tak. Prowadzi agencję aktorską.
- Boże! Ale numer. Czy ona jest w tym samym wieku co ty?
- Nie. Właściwie nie.
- Jak wygląda? Jest ładna?
- Tak, powiedziałbym, że dość ładna.
- I to ona cię zaprosiła?
- Tak. Na jakąś sztukę, a potem na kolację.
- Super! I co, idziesz?
- No, coś ty! Oczywiście, że nie.
- Czemu nie?
- Ponieważ... Ponieważ nie darzę jej szczególną sympatią. Nie mam jej nic do powiedzenia.

Amy usiadła i spojrzała na niego uważnie.

- Tato, ja cię namawiam. Namawiam cię, żebyś poszedł. Mam przeczucie, że to fajna babka. Poza tym pamiętaj, że ona może bardzo mi pomóc w karierze aktorskiej. Zresztą może to będzie fajna zabawa. A twoje życie raczej nie jest zabawne, tato. Uważam, że powinieneś pójść.

- Amy...

- Jeśli nie pójdziesz, opowiem o wszystkim pannie Jackson. A ona rozpapla po całym szpitalu.

- Nie zrobisz tego! Zaśmiała się.

- Nie, pewnie nie... Ale i tak uważam, że powinieneś pójść. Chciałabym, żebyś poszedł. No, dalej, tato; pozwól sobie na odrobinę ryzyka.

Spotkali się przed teatrem; obydwoje przyjechali o tej samej porze, dokładnie na kwadrans przed podniesieniem kurtyny. Dzięki temu nie zostało zbyt wiele czasu na rozmowę, na wyczerpanie wszelkich możliwych tematów, a poczucie skrępowania jakoś dało się okiełznać przez zwykłe w takiej sytuacji rytuały: drinka, kupowanie programów, sadowanie się w fotelach.

Miejsca były naprawdę pierwszorzędne. Może ten wieczór jednak okaże się udany, pomyślał z nadzieją.

Musical okazał się po prostu okropny; gdy tylko kurtyna powędrowała w dół po pierwszym akcie, Linda orzekła, że nie widzi powodu, żeby dłużej tu siedzieć.

- Całkiem serio, wcale mi się to nie podoba i widzę, że tobie także, więc czy jest sens tracić czas?

Zgodził się, że nie ma sensu, więc poszli do restauracji. Linda już wcześniej zamówiła stolik w „Joe Allen” w Covent Garden. Choć Alex nie znosił panującego wewnątrz hałasu, to jednak zdołał docenić fakt, że Linda nie wybrała jakiegoś romantycznego lokalu. Stolik nie był jeszcze gotowy, bo przyszli stanowczo za wcześnie, musieli najpierw usiąść przy barze. I spróbować nawiązać rozmowę. To było dość trudne; niewiele ich łączyło i żadne z nich nic nie wiedziało na temat świata, w którym żyło to drugie. Na początku Linda oświadczyła, że jedna z jej najlepszych przyjaciółek wyszła za chirurga; Alex odwdzieczył się informacją, że

jego córka zamierza zostać aktorką. Potem zapadła cisza. W pewnym momencie Linda przeprosiła za żenująco niski poziom musicalu, a on wyraził nadzieję, że dyrekcja teatru - bądź ten, kto dał jej bilety - nie zauważy, że ich fotele są puste.

- A więc... Ilu aktorów i ile aktorek figuruje w twoich rejestrach? - zapytał.

- Aktorów. Nie ma już czegoś takiego jak „aktorka”. Dokładnie tak samo jak u was nie ma „doktorek”, prawda?

- Nie, rzeczywiście... No więc, ilu aktorów?

Celowo podkreślił ostatnie słowo, przez co zabrzmiało dość ironicznie.

- Około dwustu.

- To chyba całkiem sporo.

- Owszem.

I znów zapadła cisza, tym razem znacznie dłuższa niż poprzednio. Nagle Linda potrząsnęła głową.

- Posłuchaj... To chyba był kiepski pomysł, ten cały wieczór. Bardzo przepraszam.

- Ależ nie, wcale nie. Było bardzo miło.

- Totalna klęska, tak samo jak ten nieszczęsny musical. Jeśli chcesz już iść, to nie mam nic przeciwko temu. Chciałam powiedzieć, że to właściwie nie ma znaczenia.

Spojrzał na nią; tak naprawdę była... Jaka? Na pewno nie była ładna. Jej rysy wydawały się zbyt ostre. Piękna? Och, na pewno nie. Ale... frapująca. Te zadziwiające, kasztanowate włosy i ciemne oczy. Poza tym miała świetną figurę: wysoka, szczupła, z piękną pupą i fantastycznymi nogami. Nosiła naprawdę niezłe ciuchy. Czarna sukienka była dość głęboko wycięta, ale nie na tyle, by wpędzała w zakłopotanie, a całości stroju dopełniał jaskrawy, szmaragdowozielony szal. I szmaragdowozielone pantofle, na oszałamiająco wysokich obcasach. To wstyd, doprawdy, że przy tym była taka... no, odrobinę szorstka w obyciu. Bardzo bezpośrednia, skłonna do wygłaszania opinii. Nie spodobało mu się, że poprawiła go w związku z tym aktorskim biznesem. To nie było miłe.

Popatrzyła na niego; tak naprawdę był... Jaki? Na pewno nie był przystojny. Na to miał zbyt nieregularne rysy. Ale... atrakcyjny. Seksowny. Zmierzwił, ciemne włosy, przepastne oczy o badawczym spojrzeniu... Poza tym nosił zaskakująco niezłe ciuchy; marynarkę w kolorze granatu - naprawdę w niezłym fasonie - do tego błękitną koszulę w białe pasy, w której bardzo było mu do twarzy.

- No cóż... Było mi bardzo miło - powiedział. - Naprawdę cieszę się, że mogliśmy się spotkać. Doceńmiam to, że mnie zaprosiłaś. Ale... Jutro mam dyżur pod telefonem, więc może dajmy sobie spokój z tą kolacją. Oczywiście, jeśli to ci odpowiada.

- Doskonale - odparła.

Uśmiechnęła się do niego, całkowicie kontrolując swoje emocje. Musiał przyznać, że wygląda na taką, co potrafi panować nad sobą. Stanowczo za bardzo, jak na jego gust. Zresztą czy nie przysięgał sobie, że już nigdy nie zwiąże się z kimś, kto nie rozumie, jakie wymagania stawia przed człowiekiem zawód lekarza? Oczywiście to nie oznaczało, że w ogóle zamierza się angażować.

- No... Ale skoro już zamówiliśmy ten trunek... - gestem wskazała butelkę wina - ...to równie dobrze możemy go skończyć.

- Świetny pomysł.

Spojrzała na niego, kiedy podnosił kieliszek do ust. Boże, co za klęska. No cóż. Sama tego chciała. Już nigdy w życiu nie da się zrobić w coś podobnego. Cholerny Francis. Co za pomysł, żeby namawiać ją na takie rzeczy. Tak całkiem nie w jej stylu.

Nagle zapragnęła wyznać Alexowi prawdę. W sumie to i tak nie ma znaczenia, bo już więcej się nie zobaczy. Ale nie chciała, by uważał ją za kogoś, kim wcale nie jest.

- Chcę ci o czymś powiedzieć - odezwała się. - Zaprosiłam cię tylko dlatego, że zostałam sprowokowana. Zwykle nie robię takich numerów. Naprawdę. Nie zniósłabym, gdybyś stąd odszedł w przekonaniu, że jestem kimś w rodzaju bezwzględnej modliszki.

- Zostałaś sprowokowana?

- Tak. Obawiam się, że tak.

- Wiesz, to naprawdę zabawne - odparł i zaniósł się serdecznym śmiechem. - Bo i ja zostałem sprowokowany, żeby przyjąć zaproszenie! Ja też zwykle nie robię takich rzeczy.

- O Boże! - zaśmiała się. - Kto cię sprowokował?

- Moja córka. Doszła do wniosku, że tata powinien mieć swoje życie. A ciebie?

- Mój partner w biznesie. Mniej więcej mówił to samo. I pomyślałam... że co w końcu mam do stracenia?

- Ja także to pomyślałem. I...

- Panno Di Marcello, pani stolik jest już gotowy.

- Och. Ale my chyba...

- Chodź - zawołał. - Zjedzmy coś. Daj się sprowokować.

ROZDZIAŁ 32

Mary miała nadzieję, wielką nadzieję, że sprawy wreszcie się ułożą. Reportaż w telewizji zdecydowanie wywarł na Christine wrażenie; najwyraźniej doszła do wniosku, że jej matka miała naprawdę sporo szczęścia. Widząc rozmiary katastrofy, uświadomiła sobie, jak niewiele brakowało, żeby Mary znalazła się o kilka aut z przodu albo choćby została uderzona przez jedną z zamrażarek, i to zupełnie ją otrzeźwiło. Przez całą kolację siedziała dziwnie milcząca, a kiedy później Mary powiedziała wszystkim „dobranoc”, poderwała się z krzesła, żeby ucałować matkę w policzek.

- Dobranoc, mamusiu. Dzięki Bogu, że byłaś akurat w tym miejscu, w którym byłaś, to znaczy na tej drodze.

Mary, szykując się do łóżka, czuła się bardziej rozradowana niż kiedykolwiek w ciągu minionego tygodnia.

Włączyła radio i zgasiła światło; była zbyt zmęczona, żeby czytać, ale lubiła, gdy do snu kołysały ją znakomicie wyszkolone głosy komentatorów World Service. Ale o tej porze nigdzie nie było wiadomości, tylko na Dwójce nadawano akurat listę przebojów ostatnich sześćdziesięciu lat. Nieuchronnie zaczynała się od okresu

wojny. I równie nieuchronne wydawało się to, że Mary usłyszy zaraz głos Very Lynn, która śpiewała *White Cliffs of Dover*.

Boże, ile godzin spędziła na słuchaniu tej piosenki! Odtwarzanej na gramofonie. Tym samym, który Russell podarował jej jako pożegnalny prezent. Okropnie się bała, że jej matka koniecznie będzie chciała się dowiedzieć, skąd Mary go wzięła, więc naprędce wymyśliła jakąś historyjkę o znajomej z pracy, której ten sprzęt już się znudził.

- To są dość drogie zabawki, Mary. Bardzo się dziwię, że w takim razie nie chciała go sprzedać.

- Och, mamo, ona i tak ma mnóstwo pieniędzy.

- No to co? Lepiej uważaj, żeby go nie zepsuć.

Zupełnie jakby trzeba jej było o tym przypominać; w końcu to był ostatni podarunek, jaki dostała od Russella, zanim wysłano go do Normandii. Dał jej jeszcze inne, bardziej osobiste rzeczy - na przykład piękną broszkę - których posiadanie łatwiej dawało się wytłumaczyć; wyjaśniła matce, że wypatrzyła ją na wencie dobroczynnej, a matka nigdy nie dowiedziała się, że oczko w tej broszce stanowił prawdziwy diament. Russell dawał jej również rzeczy, na które tylko żołnierze amerykańscy mogli sobie pozwolić: nylonowe pończochy i perfumy. I jeszcze płytę gramofonową (razem z wydrukowanymi nutami) z nagraniem Very Lynn, która w jej opinii śpiewała jak słowik.

Mary odtwarzała tę płytę tak wiele razy, że w końcu zupełnie się wytarła i już nie dało się jej dłużej słuchać. Oczywiście, tę piosenkę bez przerwy puszczano też w radiu, właśnie ona była świadkiem tak wielu wojennych romansów, i to ona utrzymywała ich przy życiu przez długie lata rozłąki. Ilekroć Mary słyszała tę melodię - nawet kiedy już była żoną Donalda, ale głównie wtedy, gdy zmagala się ze smutkiem z powodu rozstania z Russellem - myślami znów wracała do tamtych chwil i niemal czuła przy sobie fizyczną obecność Russella, dziarskiego, przystojnego chłopaka o nienagannych manierach, który tak pięknie potrafił z nią tańczyć. Był znakomitym tancerzem, w przeciwieństwie do biednego Donalda, który miał dwie lewe nogi; tańczyli razem fokstrota i walca, a on trzymał ją blisko siebie i szeptał jej do ucha, jaka jest piękna i urocza. Chodzili do sal tanecznych, jak na przykład Lyceum i miejsc takich, jak Cafe Royal, a także - co było najcudowniejsze ze wszystkiego - do Royal Opera House w Covent Garden. Teatr był zamknięty dla spektakli baletowych i operowych, ale - co może wydawać się dość zaskakujące - każdego popołudnia odbywały się w nim otwarte potańcówki. Poszli tam tylko raz, ponieważ Mary zwykle o tej porze musiała być w pracy, ale tego dnia załatwiła sobie wolne popołudnie; umówili się z Russellem w Strandzie, w Lyons Corner House, i stąd przez Covent Garden Market skierowali się w stronę opery. Przekraczając próg wielkiej bramy Opera House, Mary czuła się jak królowa.

Nigdy nie zdarzyło się jej pójść tam po raz drugi, przez te wszystkie lata nigdy nie pomyślała, żeby wybrać się na jakieś przedstawienie, bo bilety były piekielnie drogie. Ale zawsze, gdy znalazła się w pobliżu, na Strandzie albo Waterloo Bridge, zbaczała z drogi, żeby zatrzymać się przed tym wspaniałym gmachem i choć na niego popatrzeć. Wtedy wszystkie minione lata odpływały w nicość, a ona znowu czuła na ramieniu rękę Russella, jak delikatnie popycha ją w kierunku schodów i przez czerwono-złote foyer, jednocześnie szepcząc jej do ucha: „Chodź, mój kochany, Mały Wróbelku... Chodź i zatańcz ze mną...”.

Tej nocy leżała w kompletnej ciemności, słuchając dobrze znanej piosenki i uśmiechając się do siebie. To wydawało się bardzo dobrym znakiem.

Ale wkrótce wyszło na jaw, że wcale nie aż tak dobrym, ponieważ kiedy następnego ranka przy śniadaniu mimochodem napomknęła, że Russell poprosił ją, żeby przywiozła Christine i Gerry'ego na lunch do jego hotelu, żeby wreszcie mogli się spotkać, blada twarz Christine natychmiast pokryła się rumieńcem i Mary usłyszała, że jest jej bardzo przykro, ale doprawdy nie czuje się na siłach, żeby przyjąć zaproszenie.

- No cóż, kochanie, nic nie szkodzi - odpowiedziała Mary, starając się zachować spokój. - Będziemy musieli trochę to odłożyć. Może na przyszły weekend?

- Mamo, czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? - zawołała Christine. - Ja w ogóle nie chcę spotykać się z tym człowiekiem. Czuję, że to byłoby strasznie nie w porządku w stosunku do taty! Wiem, że ty widzisz to całkiem inaczej, ale nic na to nie poradzę. Za parę dni pojedziesz do domu, i wtedy będziesz się mogła z nim spotykać, kiedy tylko zechcesz, ale na razie proszę, żebyś uszanowała moje uczucia i po prostu... Wyłączyła mnie z tej sprawy.

To było więcej, niż Mary mogła znieść. Czym prędzej poszła do siebie na górę, żeby tam się wyplakać. Po chwili rozległo się ciche pukanie i do pokoju zajrzał Gerry. Był wyraźnie zakłopotany.

- Przepraszam, Mary. Bardzo mi przykro. Moim zdaniem... No cóż, według mnie to całkiem dobrze, że masz tego... Tego przyjaciela, i nie rozumiem, czemu Chris stwarza problemy. Ale sama wiesz, jaka ona jest, i że uwielbiała swojego ojca. Jestem pewien, że w końcu pójdzie po rozum do głowy.

- Mam nadzieję - chlipnęła Mary.

Wydmuchała nos i podziękowała Gerry'emu za zrozumienie, a potem starała się pocieszyć myślą o następnym dniu, który spędzi w towarzystwie Russella, i o następnym tygodniu, gdy znajdzie się we własnym domu i będzie go mogła widywać, ilekroć zapragnie. Ale mimo to czuła się okropnie smutna.

Oczywiście zrobiło się lepiej - o wiele lepiej - kiedy wreszcie znalazła się we własnym domu. Prawdę mówiąc, pod wieloma względami wszystko się układało... No, wręcz doskonale. Russell codziennie przyjeżdżał do niej, albo przysyłał po nią samochód i wtedy jechała do Bath, gdzie on mieszkał w cudownie pięknym hotelu. Tam chodzili we dwoje na długie spacerki, trzymając się za ręce, rozmawiając i śmiejąc się, i wspominali dawno minione chwile, i czekali na to, co przyniesie przyszłość.

Russell zakochał się w tej przepięknej okolicy i w domach, które widział dookoła, i teraz, jak oznajmił, ma zamiar pokazać jej jeden z nich, który powinien jej się spodobać. Pomyślała, że pewnie chodzi o jedną z nieruchomości będących własnością National Trust; oczywiście mogą rzucić okiem, a potem wstąpić tam na lunch.

Ubrała się więc ze szczególną dbałością - włożyła garsonkę Jaegera, tę cudowną garsonkę Jaegera. Russell czekał na nią przy drzwiach samochodu; od razu usadowił się obok, powiedział, że kawę mogą dziś wypić trochę później, a następnie polecił kierowcy o imieniu Ted, żeby jechał do „tego domu w pobliżu Tadwick, który oglądaliśmy wczoraj wieczorem”. Jechali w milczeniu przez około pół godziny; Russell co chwila wyglądał przez okno, a jego błękitne oczy błyszczały. Mary natychmiast zauważyła, jak bardzo jest podekscytowany; zupełnie jak dziecko w wigilię Bożego Narodzenia.

Był przepiękny, jesienny dzień, mieniący się złotem i pełen unoszących się w powietrzu nitek babiego lata; w niedużych dolinach wciąż snuły się strzępki mgieł, lecz o tej porze powoli zaczynały już wędrować ku niebu.

- Zamknij oczy - powiedział nagle Russell.

Posłusznie wykonała polecenie; poczuła, jak samochód skręca z głównej drogi, zwalnia i wreszcie się zatrzymuje.

- A teraz otwórz.

Zrobiła tak, jak chciał. Jej oczom ukazała się wąska alejka, odrobinę skręcająca w lewą stronę, ocieniona gałęziami ogromnego orzecha, oraz przycupnięty pod nim dom - dom z szarego kamienia, niewysoki, bo zaledwie jednopiętrowy, z dachem krytym łupkiem, z wysokimi oknami i szerokimi, białymi drzwiami, nad którymi znajdowało się półkoliste okno, prawie całkiem zasłonięte pędami wisterii. Od prawej strony ustępowało ono miejsca czemuś, co Mary, nieznająca się na architektonicznej terminologii, opisałaby jako ekstradodatek, Russell zaś - który z kolei wydawał się świetnie zorientowany w tej dziedzinie - określił jako przykład „przyjaznej architektury”. Samochód ruszył i potoczył się po drodze w stronę domu; Ted zatrzymał się przed frontowymi drzwiami i wszyscy wysiedli.

Dookoła panował spokój i cisza, przerywana jedynie przez gruchanie grzywaczy. Z daleka dobiegał cudownie rzeczywisty i znajomy odgłos pracującej kosiarki.

- Jak tu pięknie - zachwyciła się Mary. - Czy ta posiadłość jest własnością twoich przyjaciół?

- Można tak powiedzieć - uśmiechnął się. - Zapukaj do drzwi; przekonamy się, czy wpuszczą nas do środka.

Na drzwiach wisiała kołatka w kształcie lwiej głowy; była tak ciężka, że Mary ledwie dała radę ją podnieść.

Ze środka dobiegł odgłos pospiesznych kroków, potem zaskrzypiały zamki i drzwi się uchyliły; Mary znalazła się twarzą w twarz z jakąś siwowłosą kobietą, ubraną w biały fartuch. Na ich widok uśmiechnęła się radośnie.

- Dzień dobry, panie Mackenzie.

- Dzień dobry, pani Salter. To jest pani Bristow. Chciałaby obejrzeć dom, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Proszę wejść, pani Bristow.

Hol był przestronny i kwadratowy, z podłogą wyłożoną łupanym kamieniem; na piętro prowadziły szerokie schody, na ich zakręcie znajdowało się wysokie okno. Na parterze mieścił się także salon, wyposażony w sięgające od podłogi do sufitu okna z drewnianymi żaluzjami, i wielki, kamienny kominek, który pachniał jeszcze palącym się drewnem. Poza tym była też jadalnia, a w niej następny kominek i francuskie okna wychodzące wprost na taras z pergolą, na której opierały się pnące róże. Dalej znajdowała się kuchnia, a w niej olbrzymi, drewniany stół i ciemnozielony piecyk Aga. Był jeszcze jeden, bardzo ładny pokój, mniejszy od salonu, gdzie ściany wypełniały półki z książkami. Było też całkiem małe pomieszczenie, wyposażone w wieszaki na płaszcze i stojaki na buty. Górne piętro składało się z dwóch sypialni, jednej większej i jednej mniejszej, oraz dwóch łazienek; w każdej z nich stała staroświecka wanna, opierająca się na nóżkach w kształcie łap

z pazurami, oraz gigantyczny sedes z deską z mahoni, rozmiarami przypominający tron. W niedługim czasie Mary wyczerpała cały zasób uprzejmych słów i okrzyków zachwyty, i teraz został jej tylko uśmiech. Zresztą w tym domu łatwo było o uśmiech, bo jego atmosfera przesiąknięta była szczęściem i spokojem.

W końcu pani Salter oznajmiła, że spodziewa się, iż goście zechcą napić się kawy, a teraz, gdy słońce wreszcie wyjrzało zza chmur, o wiele milej będzie usiąść w porannym saloniku. Okazało się, że miała na myśli pokój z książkami.

- Może ma pani ochotę na biskwity, pani Bristow? Właśnie upiekłam lekkie ciasto cytrynowe.

Mary odparła, że ma wielką ochotę na kawę i że nic nie sprawi jej większej przyjemności niż cytrynowe ciasto. Russell wprowadził ją do porannego saloniku; sadowiąc się w jednym z miękkich foteli, które stały przy kominku, spojrzała na niego z uśmiechem.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał.

- Szalenie. To przepiękny dom. Jeden z tych, jakie widuje się na ilustracjach w starych książkach. Ale... czyj to dom?

- Cieszę się, że tak to odbierasz. Tak myślałem, że ci się spodoba, ale człowiek nigdy niczego nie może być pewien... - Zamilkł na chwilę. - A jeśli ten dom naprawdę ci się podoba, mój Mały Wróbelku... - Znów zatrzymał się, uśmiechnął, a potem przesłał jej przez pokój pocałunek. - To... No to jest twój.

- Czy to Emma? Ta Emma? To znaczy doktor Emma King?

- Owszem, to właśnie ja. A czy to jest Barney? Ten Barney? Ten bankier Barney?

To był następny kod; w szpitalu, w recepcji oddziału pomocy doraźnej pracowała inna Emma, więc Barney wymyślił taki system.

- Zgadza się. Co słyhać? Co dziś robiłaś?

- Hmm... Niech pomyślę... Zaszłam stopę małemu chłopcu, pewnej starszej pani nastawiłam rękę, zrobiłam jednemu z naszych staruszków lewatywę...

- No dobrze już, starczy. Kiedy się zobaczymy?

- Mmm... Czwartek mam wolny. I piątek też. Cały dzień.

- Cały piątek? Jezu, to naprawdę superpokusa. Czekala.

- W porządku, coś wymyślę, żeby urwać się na popołudnie. Będę u ciebie około... Och, sam nie wiem, pewnie koło drugiej.

- Zadzwoń, jak będziesz w pobliżu.

- Zadzwonię. A ty pomyśl, co moglibyśmy robić...

- Barney! Jest tyle fajnych rzeczy!

- Gdzie zatem będziemy je robić?

- Eee... W moim łóżku?

- Przekonałaś mnie. Boże, teraz nie wolno mi nawet o tym myśleć. Na razie, Emmo.

- Do zobaczenia, Barney.

- Wiesz, jesteś potwornie uciążliwa - poskarżył się, kiedy siedzieli wśród porozrzucanej pościeli w ma-lutkiej, obskurnej sypialni Emmy.

Jeszcze przed chwilą kochali się jak szaleni, a teraz popijali szampana, którego wyciągnął z teczki na laptopa.

- Ojej, no to strasznie mi przykro.

- Ale tak jest dobrze. Wyobrażałem sobie, że już nad wszystkim panuję, że wiem, dokąd zmierzam i czego chcę, a potem ty pojawiaasz się w moim życiu i nagle wszystko się sypie jak domek z kart.

- Czy jest coś, co mogę zrobić, żeby być dla ciebie mniejszym kłopotem? - spytała.

- Nie, obawiam się, że nie... Niedogodny jest sam fakt, że istniejesz, a nie ty jako ty. Ty jesteś... No cóż, ty wcale nie jesteś kłopotem. Sama w sobie.

- Tak?

- Tak. Pasujesz do mnie w każdym calu. Nie mogłabyś być nawet w jednej tysięcznej bardziej odpowiednia.

- Ty także, jeśli chodzi o mnie.

- Jesteś tego warta - powiedział, a jego głos zabrzmiał nagle bardzo poważnie. - Jesteś warta tego chaosu i tych wszystkich problemów, które teraz zwałą się nam na głowę. Prawdę mówiąc, gdyby twoja obecność była bardziej wygodna, to pewnie nawet w przybliżeniu nie uświadamiałbym sobie, ile dla mnie znaczysz. Pewnie bym pomyślał, że fajna z ciebie dziewczyna, że chętnie cię przelecę, a ty pewnie łatwo byś się zgodziła. I wtedy byłaby z tego czysta przyjemność. I tak jest, ale oprócz tego jest coś... Coś w rodzaju skrępowania. Kocham cię, Emmo. Bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, Barney. Bardzo, bardzo kocham.

- Hej, dodałaś dodatkowe „bardzo”.

- Cóż... Bo czułam taką potrzebę.

- Czy to ma znaczyć, że uważasz, że ja kocham cię mniej niż ty mnie? Emmo, ja kocham cię bardziej niż cokolwiek, co potrafię sobie wyobrazić... Bardziej niż kogokolwiek na tym świecie.

- I ja kocham cię bardziej niż kogokolwiek innego.

- To mi się podoba - powiedział, uśmiechając się przy tym jak rozradowane dziecko. - Naprawdę, bardzo mi się podoba.

Nawzajem sprawiali sobie przyjemność na wiele możliwych sposobów. Każde z nich zachwycało się sposobem, w jaki to drugie patrzy, śmieje się, rozmawia, myśli... Dla Emmy seks z Barneyem był zupełnie nowym doznaniem; przeistoczył się z czystej, zmysłowej rozkoszy w coś znaczenie głębszego, dojrzałego emocjonalnie. Ona zaś była dla Barneya zdumiewającą, cudowną uciechą: niestrudzoną, pełną inwencji i radości.

Obydwoje - z dużym wysiłkiem - zepchnęli na plan dalszy myśli o swoich obecnych związkach. Ale obydwójce wiedzieli, z każdym dniem lepiej, że rozpad ich związków jest nieunikniony.

Jednak cała sprawa została odłożona na pewien czas, przynajmniej przez Barneya, ale przy pełnym zrozumieniu ze strony Emmy. Barney znał Amandę od wielu lat, mieszkał z nią od ponad roku, a ich przeszłość była niemal identyczna - żyli w podobny sposób wśród podobnego rodzaju ludzi, i gdy się spotkali, okazało się, że mają niezliczoną liczbę wspólnych przyjaciół. Był to zaczarowany, zamknięty krąg, przed którym Emma w końcu musiała stanąć. Amandę chronił nie tylko jej związek z Barneyem, lecz także konwenanse i liczba

ludzi należących do ich wspólnego środowiska. Barney odrzucał nie tylko Amandę, ale wielką i silną wspólnotę; żeby zdobyć się na taki czyn, trzeba było mieć stuprocentową determinację i ogromną odwagę.

Barney był przekonany, że posiada i jedno, i drugie; jednak wciąż zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, jak druzgocący będzie skutek takiej decyzji - nie tylko dla Amandy i ich osobistego życia, ale też dla jego zawodowego statusu i wiarygodności.

To nie będzie proste - pod żadnym względem.

ROZDZIAŁ 33

- Czy to Georgia?

- Tak, to ja.

- Georgia, tu Merlin Gerard.

- Kto?

- Merlin Gerard. Drugi asystent Bryna Merricka w...

- Ach, to ty, Merlin! Tak, oczywiście... Strasznie przepraszam, ale myślami byłam daleko stąd. - Boże! Co za kompromitacja! Chyba musiał pomyśleć, że ma do czynienia z kompletną idiotką.

- Posłuchaj, nasza ekipa od kostiumów prosiła, żebym się z tobą skontaktował. Zależy im na jednym dniu, ale najszybciej jak to możliwe. Czy możesz zarezerwować sobie poniedziałek? Czy to ci odpowiada?

- Tak, oczywiście.

- Dobrze. W takim razie, gdybyś mogła przyjechać do biura na Charlotte Street na... Powiedzmy na dziewięć trzydzieści rano?

- Nie ma sprawy. Będę o dziewięć trzydzieści.

Znowu będzie musiała jechać pociągiem o jakiejś nieludzko wczesnej porze. Naprawdę coraz pilniej potrzebny jej był jakiś ką w Londynie, w którym mogłaby się zatrzymać.

- Powtórzę im, że będziesz. Wielkie dzięki, Georgia. A my zobaczymy się, być może, w przyszły poniedziałek.

- Czy mam rozumieć, że ciebie może tam nie być?

Cholera, nie powinna o to pytać. To zabrzmiało zbyt sentymentalnie.

- Raczej nie. Razem ze scenarzystą będziemy w terenie, żeby obejrzyć kilka domów. Do kręcenia filmu, oczywiście. Mamy dość krótką listę, bo tylko trzy adresy.

- Czy to ty je znalazłeś?

Lista jego talentów widać nie miała końca. To tłumaczyło jego pozycję w ekipie.

- Nie, jasne, że nie - zawołał, lekko ubawiony. - Od tego jest kierownik planu.

Z okropnym uczuciem odłożyła słuchawkę. Nie tylko dlatego, że w rozmowie z Merlinem wyszła na żalną kretynekę, lecz dlatego że teraz naprawdę wszystko miało się zacząć. Będzie musiała stanąć przed tymi ludźmi twarzą w twarz i pracować z nimi, choć wszyscy wiedzą, że to ona jest tą obrzydliwą, tchórzliwą dzie-

wuchą, która uciekła z miejsca wypadku. Prawdopodobnie dyskutowali już na jej temat, dzwoniли do siebie. „Czytałeś w gazetach o tej historii? Ona wydawała się taką miłą dziewczyną, a przez cały czas...”.

O Boże!

Jeszcze dwukrotnie pojechała w odwiedziny do Patricka i przynajmniej wtedy czuła, że robi coś pożytecznego. Za drugim razem spotkała się przy jego łóżku z pewną przemiłą, starszą panią o imieniu Mary, która zdawała się dość dobrze znać i Patricka, i Maeve.

- Widzisz, ja też brałam udział w tej katastrofie - wyjaśniła. - Przywieziono mnie tutaj na parę dni. Tu spotkałam Maeve i tak zostałyśmy przyjaciółkami.

Patrick zapadł w sen, więc Georgia zaproponowała Mary, żeby poszły razem na kawę; Mary z radością przyjęła zaproszenie i w ten sposób spędziły czas na miłej pogawędce. Mary powiedziała, że wie o niej wszystko od Maeve, która rozplęwała się z zachwytem, że Georgia zdecydowała się na odwiedziny u Patricka.

- Mówiła, że byłaś bardzo dzielna, że sama się zgłosiłaś.

- No, raczej nie bardzo dzielna - zaproponowała Georgia. - W sumie czekałam z tym dwa tygodnie.

Ale Mary orzekła, że to nonsens, liczy się wyłącznie to, że zdecydowała się wystąpić, a co więcej, że bardzo miło jest widzieć taką młodą osobę, która poświęca swój czas na odwiedziny w szpitalu.

Georgia naprawdę ją polubiła; była taka miła, elegancka w staroświeckim stylu, a przy tym dowcipna, i wydawała się autentycznie zainteresowana aktorską działalnością Georgii, o czym również powiedziała jej Maeve. Ciekawiło ją wszystko, co dotyczyło grania w filmach, jak również organizacja pracy na planie. Najwyraźniej należała do majątnych osób, bo jeździła wielką limuzyną z własnym kierowcą, który czekał na nią przed wejściem, o czym Georgia przekonała się osobiście, bo Mary nalegała, że odwiezie ją na stację.

- Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało - powiedziała, całując Georgię na pożegnanie w policzek. - Naprawdę lubię towarzystwo młodych ludzi. Dziękuję, kochanie, że poświęciłaś mi tyle czasu.

Widocznie uważała cudzy czas za rzadki i cenny dar... Jakież to smutne, skonstatowała Georgia.

Do tego musiało w końcu dojść - nieuchronnie. Pani Grainger wkroczyła do domku numer jeden akurat w chwili, gdy Abi pozbyła się wszystkich sztuk odzieży z wyjątkiem pantofli na wysokich obcasach i wykonywała jakiś erotyczny taniec przed Williamem, który siedział na sofie i, co prawda, miał na sobie koszulę, ale poza tym nic więcej - właśnie odgrywali reżyserowaną przez Abi wersję *Nagiego Jacka* - i radośnie szczyrzył do niej zęby.

Abi powtarzała później, że pani Grainger musiała dobrze wiedzieć, iż w środku zastanie syna, który zajmuje się czymś nieprzyzwoitym. Gdyby naprawdę obawiała się włamywaczy albo dzikich lokatorów, jak twierdziła, to zabrałaby ze sobą pana Graingera, uzbrojonego w strzelbę.

Tymczasem spokojnie otworzyła drzwi wejściowe, włączyła wszystkie światła na parterze i jak gdyby nigdy nic weszła do salonu; jej mina - jak mówiła Abi - była warta niemal tego wszystkiego, co nastąpiło potem. Na jej twarzy widać było połączenie zakłopotania, osłupienia i śmiertelnie poważnej dezaprobaty.

- Ach, William... - To było wszystko, co powiedziała.

Dla Abi najgorsza była jego reakcja. William zbladł jak ściana, złapał spodnie i w panice zaczął je wciągać. Abi przez moment wpatrywała się w niego, a potem usiadła na sofie, sięgnęła po sukienkę i zarzuciła

ją na ramiona, żeby przynajmniej zakryć nagie piersi, które zdawały się szczególnie skupiać na sobie uwagę pani Grainger.

- Strasznie przepraszam, mam - wykrztusił William.

Za co, na litość boską, dziwiła się Abi. Że w wieku trzydziestu czterech lat prowadzi życie seksualne?

- Tak - odparła sztywno pani Grainger, teraz zwracając wzrok ku niemu. - Tak, to było dość zatrważające przeżycie, kiedy sobie uświadomiłam, że ktoś tutaj jest. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Należało nas uprzedzić, że zamierzasz korzystać z tego domku.

Abi zachichotała; po prostu nie zdołała się powstrzymać. Ciekawe, co jej zdaniem miał im powiedzieć: „Proszę, mamusiu, chciałbym wykorzystać dziś wieczorem domek numer jeden, żeby sobie pociupciać. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza”.

Pani Grainger rzuciła jej lodowate spojrzenie, a William odwrócił się ku niej z przestraczem.

- Przepraszam - powiedziała prędko.

- No, dobrze. Proszę, żebyście starannie zamknęli drzwi, jak będziecie stąd wychodzić.

I wymaszerowała na zewnątrz.

- O Boże - westchnął William.

- Williamie - powiedziała Abi. - Wiem, że to głupia sytuacja, ale ostatecznie nie popełniłeś żadnego przestępstwa. Po prostu zabawiałeś się, to wszystko. W dodatku z dziewczyną. Pomyśl, co by było, gdyby na moim miejscu był chłopak. Albo jakaś krowa.

- Abi, proszę cię! - jęknął. - To wcale nie jest śmieszne.

- Owszem, jest. Jest strasznie śmieszne.

Nagle się zorientowała, że on wcale nie udaje, że naprawdę jest przerażony, więc usiadła obok i delikatnie wzięła go za rękę.

- No przestań, co w tym złego? Najgorsze jest to, że teraz twoja mama będzie mnie uważała za kogoś, kogo trudno darzyć sympatią, to znaczy za zuchwałą dziewczuchę, która sprowadza jej małego synka z drogi cnoty. No cóż, będzie musiała jakoś to przeboleć.

Strząsnął jej dłoń.

- Nie, Abi. Ty niczego nie rozumiesz. Ona tego nie przeboleje. To było bardzo... Bardzo niegrzeczne wobec niej.

- Na litość boską, co masz na myśli? Co było niegrzeczne? Przecież nie roześmiałaś się jej prosto w twarz!

- Ty tak - powiedział cicho. Gapiła się na niego w osłupieniu.

- Williamie, uszom własnym nie wierzę.

- Przepraszam. Ale to prawda... Mama była tym bardzo... Bardzo zmartwiona.

- No cóż, a nie powinna być. Wielki Boże, na jakiej planecie ona mieszka, co?

- Abi, proszę. Nie bądź taka... Taka niemiła.

- Na litość boską, przecież to jakiś absurd. Zerwała się z miejsca i zaczęła się ubierać.

- Nie mam zamiaru słuchać tych bzdur. Jeśli ktoś tu był niemiły, to wyłącznie ona. I przy okazji arogancka jak cholera. Gdzie się podziało jej poczucie humoru, gdzie dobre maniere?

- Dobre maniery?

- Tak. Należało przeprosić za wtargnięcie. Przeprosić mnie. A nie zachowywać się tak, jak gdyby przyłapała nas na czymś w rodzaju porno show.

- Z jej punktu widzenia to było porno show - przyznał William. - Ty tego nie rozumiesz.

- Nie, najwyraźniej nie rozumiem. A jeśli tak zachowują się ludzie w wiejskim środowisku, to bardzo się cieszę, że nie jestem jedną z nich.

- Co masz na myśli, mówiąc o wiejskim środowisku?

- O eleganckich manierach. Właściwie, co ty sobie o mnie myślisz, Williamie? Jak, twoim zdaniem, ja się teraz czuję, widząc, że nawet nie próbowałeś mnie bronić? Wiesz, jakoś wcale mnie nie dziwi, że ciągle jesteś sam. To wszystko, co na ten temat mam do powiedzenia.

Wzięła do ręki torebkę.

- Wychodzę stąd. Baw się dobrze. Mam nadzieję, że nie dostaniesz lania za swoje wybryki. A może to podnieca twoją matkę, co? I ciebie też?

Teraz wrzeszczała już na cały głos, nie zważając na to, że w ten sposób pokazuje Williamowi twarz prawdziwej Abi. W tym momencie niewiele ją to obchodziło.

- Abi, nie mów tak! Proszę!

- Będę mówiła to, co zechcę! A ty powinieneś spróbować robić to samo! Być może twoje życie byłoby wtedy odrobinę lepsze!

Wypadła z domku, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Laura kupiła Jonathanowi na urodziny naprawdę piękny prezent; kolekcjonował stare przyrządy medyczne, więc wyszukała antyczny otoskop w przeszlicznym, skórzanym futerale z wyściółką z niebieskiego jedwabiu. Dała mu go w noc poprzedzającą urodziny, a on wydawał się niesamowicie wzruszony i szczęśliwy.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, skarbie, że nie zaplanowałaś na jutro niczego szczególnego - wyznał, dziękując za podarunek, a ona odparła (jednocześnie krzyżując za plecami dwa palce i dotykając zagłówek łóżka), że naprawdę tak, że nie czeka go nic szczególnego, tylko zwykła kolacja z Edwardsami.

- Szkoda, że dzieci muszą zostać w domu - odpowiedział. - Bardzo lubię, kiedy biorą udział w naszych urodzinach.

Odrzekła, że owszem, ale następnego dnia czeka ich wielkie przyjęcie w rodzinnym gronie, z jej rodzicami, matką Jonathana i z kuzynami, i że dzieci z pewnością będą doskonale się bawić.

- Czuję, że na to też raczej jeszcze nie jestem gotów - uśmiechnął się od ucha do ucha, składając na ustach Laury delikatny pocałunek. - Kocham cię, Lauro. Jesteś zbyt dobra dla mnie. Sam nie wiem, jak bym zniósł ten koszmar, gdyby nie ty.

To wyznanie w cudowny sposób stopiło lód w jej sercu. Odwzajemniła jego pocałunek, a wtedy on wyłączył światło; jego ręce wciąż błędziły po jej ciele i wtedy poczuła, jak całą jej istotę zalewa wielka fala czułości. On był delikatny, lecz także słodko natarczywy, więc w końcu przysunęła się do niego i zaczęła poruszać razem z nim, a kiedy drżąc z rozkoszy, wreszcie dotarła do szczytu uniesień, ku swemu zdumieniu przekonała się, że płacze. Nagle usłyszała ciche westchnienie - a może szloch - i poczuła, że po jego twarzy również płyną łzy.

Abi naprawdę się spodziewała, że William zadzwoni - żeby powiedzieć jej, jak strasznie mu przykro, rozumie jej punkt widzenia albo przynajmniej po to, żeby powiedzieć, że chce ją zobaczyć. Ale nie zadzwonił.

Ona zaś zaczynała za nim tęsknić... I to okropnie. Bo choć wcale nie była pewna, czy rzeczywiście go kocha, to jednak wiedziała z całą pewnością, że kocha przebywać w jego towarzystwie. A teraz wszystko się zepsuło, i to z jej winy. Cholera, cholera, cholera!

Okazało się, że w dniu swoich urodzin Jonathan musiał rano pojechać do pracy, do szpitala Świętej Anny. Początkowo miał jedynie dyżurować pod telefonem, ale o dziesiątej okazało się, że u jednej z jego pacjentek zaczął się przedwczesny poród i w związku z tym powinien jak najszybciej zjawić się na miejscu.

- Panie nie powinny rodzić dzieci w twoje urodziny, tatusiu - zauważyła z rozdrażnieniem Daisy.

- Wiem, skarbie, ale, jak sama przekonasz się pewnego dnia, maluchy nie zawsze przychodzą na świat w najbardziej dogodnej porze. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Wszystkie dzieci były mocno podekscytowane. Kiedy Jonathan i Laura wyjdą na kolację z Edwardsami, dzieciaki - razem z Helgą - od razu miały zabrać się do roboty: odebrać catering i dostawę kwiatów, wytłumaczyć, gdzie i co należy ustawić, a potem systematycznie przyjmować gości i wskazywać im w zaciemnionej oranżerii miejsca do ukrycia się. Potem około ósmej Helga miała zadzwonić do domu Edwardsów i poprosić Jonathana i Laureę, żeby wracali jak najszybciej, bo była przerwa w dostawie prądu i ona nie wie, co robić. To powinno wystarczyć, żeby żadne z nich się nie zdziwiło, dlaczego w domu panują egipskie ciemności.

Trudno było przewidzieć, co może się nie udać.

Abi właśnie wracała z Bristolu, kiedy zabręczała jej komórka. Nareszcie, pomyślała z ulgą. To William. Skręciła w boczną uliczkę, żeby odebrać telefon. Kochany William! Jak to miło z jego strony, że w końcu się odezwał.

- Abi? Mówi Jonathan.

Nagle poczuła się strasznie zawiedziona, i to nie tylko dlatego, że to jednak nie był William. Ten telefon wtrącił ją znowu w jej dawne, zabagnione życie i to ogromnie ją zabolowało, a nawet wywołało coś w rodzaju szoku.

- Tak?

- Dzwonię, żeby się upewnić, czy słyszałaś już ostatnie nowiny na temat kierowcy ciężarówki. Podobno coś roztrzaskało mu przednią szybę w kabinie i właśnie dlatego skręcił w poprzek drogi. Nie będzie więc żadnych oskarżeń o spowodowanie wypadku.

- Tak, policja coś mi o tym wspominała.

- To dobrze. Dzięki temu możemy zapomnieć o całej sprawie. To już koniec. Koniec tego całego okropnego koszmaru.

- Nie sądzę, żeby kierowca ciężarówki myślał podobnie. Albo ten człowiek, któremu zginęła żona. Ach, jaki to typowy dla ciebie sposób myślenia! „Skoro ze mną wszystko w porządku, to znaczy, że w ogóle wszystko jest w porządku”. To cały cholerny Jonathan Gilliatt.

Przez chwilę milczał.

- Muszę powiedzieć, że to nadzwyczaj nieuprzejma uwaga.

- Naprawdę? Może twoja osoba nie inspiruje do przyjemnych rozmów, co? Jak się miewa Laura?

- Dziękuję, świetnie.

- Czy powiedziałaś jej... Czy przyznałaś się do mnie?

- Nie masz z tym nic wspólnego.

- Moim zdaniem i owszem, jeśli mam być szczerą - zawołała, czując jak na nowo wzbiera w niej ból i wściekłość. A więc znów pojawił się w jej życiu, żeby wsadzić ją do pudła z nalepką „Śmieci” i odseparować od swojego prawdziwego życia, jak je bez wątpienia oceniał, od swojej doskonałej żony i swojej udanej rodziny.

- Co masz na myśli, do diabła?!

W jego głosie pojawił się dziwny ton. Chyba miał się na baczności. No cóż, to chyba nieźle.

- Tylko to, że mam z tym coś wspólnego. Chciałabym się dowiedzieć, czy twoja żona wie o nas. A może zamiotłaś całą sprawę pod dywan i udajesz, że nigdy nie istniałam, co? Sama nie wiem dlaczego, ale jest dla mnie ważne, jakie miejsce zajmuję w życiu Laury.

- Co to zmienia w twojej sytuacji?

- Jeśli tego nie rozumiesz, Jonathanie, to znaczy, że jesteś jeszcze głupszy, niż myślałam - odparła, zastanawiając się, dlaczego on wciąż może tak głęboko ją zranić. - Ona powinna wiedzieć, że w jej małżeństwie jest coś nie tak, że ono nie jest tak doskonałe, jak sobie to wyobraża, że ma pewien problem i ma ciebie, nie-szczęśne biedactwo.

- Abi... - odezwał się tak jadowniczo, że prawie ją to przeraziło. - Nie masz prawa tak mówić o Laurze i o moim małżeństwie.

- No cóż, a mnie się zdaje, że mam. To ty wciągnęłaś mnie w tę sprawę. Miałaś wszystko: cholernie udane życie, doskonałą żonę, cudowne dzieci, a mimo to uganiałaś się za mną, zasnany draniu. To nie był mój pomysł, Jonathanie. Twój. A teraz... Teraz masz cholerną czelność mówić mi, że nie mam nic do gadania na temat twojego małżeństwa.

- Bo nie masz - powtórzył z uporem. - Moje małżeństwo jest moją sprawą, moją i Laurą.

- I chyba jest mało satysfakcjonujące, ośmielałam się twierdzić, sądząc z twojego zachowania.

- Jak śmiesz tak mówić?

- Śmiem, ponieważ taka jest prawda.

- To nie jest prawda.

- No cóż, przypuszczam, że Laura miałaby inne zdanie na ten temat.

- Abi... - powiedział. - Jeśli kiedykolwiek ośmielisz się zbliżyć do mnie albo mojej rodziny, to gorzko tego pożałujesz.

- Oczywiście, że nie mam zamiaru się do was zbliżać. Czemu miałabym to robić?

- Ponieważ jesteś zepsuta do szpiku kości. Być może nawet nie całkiem normalna, jak mi się zdaje. Masz poważne problemy, Abi. Problemy z osobowością. Może powinnaś raczej popatrzeć na siebie zamiast rzucać oskarżenia na innych. Tak czy owak, muszę kończyć. Zamierzałem odbyć z tobą przyjemną rozmowę, zapewnić cię, że nie masz już czego się obawiać, a ty, dzięki swoim staraniom, zmieniłaś ją w paskudną potyczkę, która niestety źle wróży na przyszłość. Szkoda.

I w słuchawce zapadła głucha cisza.

Abi siedziała bez ruchu przez długi czas, gapiąc się na swój telefon; już nie była zagniewana, lecz raczej zmęczona i otepiała. A potem poczuła ukłucie bólu. Był okropny, najgorszy, jaki zdołała sobie przypomnieć. W jej uszach wciąż brzmiał głos Jonathana, który powtarzał, że ona ma problemy z osobowością, że jest zepsuta, a być może nawet nienormalna, i nagle pomyślała, że całkiem się z nim zgadza. Rzeczywiście, była zupełnie zepsuta: zdemoralizowana, rozpustna, pozbawiona honoru... W porządku, to on ją ścigał, ale ona nawet przez moment nie stawiała oporu. Wręcz przeciwnie, zachęcała go, dostarczała rozrywki, pogardliwie odnosiła się do nieszczęsnej żony, odpędzała od siebie myśli o jego rodzinie. Bez wątpienia była istotą zupełnie bezwartościową, więc trudno było wymagać od innych, żeby przyzwoicie ją traktowali.

Udało się jej nawiązać stosunki z mężczyzną, który wydawał się zwyczajnie dobry, przejrzysty jak szkło, uprzejmy i uczciwy; jak mogła choć przez chwilę przypuszczać, że taki związek ma szansę powodzenia? Że on zechce być z nią, jeśli przypadkiem odkryje choćby niewielką część prawdy na jej temat?

Zasługiwała, żeby nigdy więcej go nie zobaczyć. I nigdy nie zobaczy. Nie była godna takiego człowieka. Do niej pasowali jedynie zepsuci, niemoralni mężczyźni, tacy sami jak ona. Tacy jak Jonathan.

O tak, on oszukiwał ją w naprawdę piękny sposób. A ona... Boże, przecież sama mu na to pozwoliła. Ta świadomość najbardziej ją upokarzała. Pozwoliła sobie uwierzyć w jego gładkie słówka, że jest wyjątkowa, niesamowicie inteligentna i że on uwielbia przebywać w jej towarzystwie, i to nie tylko dlatego, że uprawia z nią seks.

Skrzywdziło ją wielu, wielu mężczyzn, lecz Jonathan bez trudu zdobył wśród nich pierwsze miejsce. Wymagał od niej dużo - i nie tylko od chwili katastrofy - lecz w zamian nie dał jej wsparcia, nie okazał zainteresowania, nie zaofiarował nawet szczypty uprzejmości, lecz na każdym kroku poniewierał ją i straszył. W końcu opuścił zupełnie, bez żalu i bez zastanowienia.

Nienawidziła go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

William miał za sobą paskudny dzień. W porze śniadania wpadł do kuchni, porwał kawałek chleba, trochę bekonu i sam zrobił sobie kanapkę; napełnił termos kawą, a potem skierował się w najbardziej odległe miejsce, jakie mógł wymyślić - do East Wood, zajmującego dwa i pół kilometra młodego lasu - żeby tam powyznaczać drzewa do ścięcia. To zajęcie było wyczerpujące i dość hałaśliwe, nie pozwalało skupić się na własnych myślach, a on nie chciał się dziś nad niczym zastanawiać. Myślenie sprawiało mu zbyt wielki ból.

Abi podjęła decyzję, niemal nie uświadamiając sobie, że to zrobiła. Nagle poczuła, że jest pewna swego i że chce raz na zawsze zamknąć tę sprawę. W odpowiedni sposób, formalnie i bezdyskusyjnie.

Wybrała numer jego komórki, ale włączyła się poczta głosowa. Jego przymilny, wystudiowany głos poinformował ją, że on nie może w tej chwili odebrać telefonu, ale jeśli ona zostawi wiadomość, to oddzwoni najszybciej, jak będzie to możliwe.

Abi rozłączyła się; nie zamierzała zostawiać wiadomości - miała już dość zostawiania wiadomości, na które on nie raczył odpowiadać. Została jeszcze klinika... Cholerna klinika na Harley Street, gdzie te wszystkie rozpieszczone księżniczki niemal całowały ziemię, po której chodził. No cóż, może uda się jej spłatać mu małego figla. Może on nawet tam jest; wiedziała, że często w soboty był na dyżurze pod telefonem...

Wybrała numer, prosząc recepcjonistkę o przełączenie rozmowy do gabinetu.

- Bardzo mi przykro, ale pan Gilliatt już wyszedł. Może inny z naszych lekarzy będzie mógł coś pani pomóc?

Opierając się pokusie powiedzenia, że owszem - jeśli tylko któryś z nich jest równie sprawny w interesującej ją dziedzinie - zapytała, czy wiadomo, gdzie można go znaleźć...

- Niestety, nie mam pojęcia. Jutro pan Gilliatt także będzie nieobecny. Może zadzwoni pani w poniedziałek?

W miarę upływu dnia William coraz częściej myślał o Abi. I czuł coraz mocniejsze wyrzuty sumienia. Abi miała rację - w pewnym sensie. Jego matka zachowała się trochę... No cóż, trochę nieuprzejmie. Nawet niegrzecznie. Rzeczywiście chyba nie mogła pomyśleć, że w domu są włamywacze albo nieproszeni goście... Włamywacze i nieproszeni goście nie zapalają świec.

W dodatku gdy odkryła, że wewnątrz jest on - on i jakaś dziewczyna - powinna taktownie rzucić parę niezobowiązujących słów i wycofać się. Ostatecznie nie miał szesnastu lat, tylko trzydzieści cztery. Czy naprawdę matka sądziła, że jej syn z nikim się wcześniej nie zwiąże, zanim w końcu zdecyduje się na ożenek?

Owszem, być może powinien był ją uprzedzić - tak samo jak ojca, oczywiście - że od czasu do czasu będzie chciał skorzystać z jednego z domków. Może powinien posunąć się jeszcze dalej i poprosić ich o pozwolenie? Tylko wtedy pewnie padłoby pytanie, z jakiego powodu, i cóż miałby im powiedzieć?

Nie po raz pierwszy William uświadamiał sobie absurdalność układów w swoim domu i nie po raz pierwszy zastanawiał się, co na litość boską powinien z tym zrobić. Nagle przyszło mu do głowy, że może powinien po prostu na stałe przeprowadzić się do domku numer jeden, albo numer dwa, albo numer trzy. Że powinien stworzyć tam własny dom, żeby w końcu zyskać nieco niezależności, prywatności i żeby wreszcie dorosnąć. Takie rozwiązanie wydawało mu się całkiem sensowne. Ostatecznie pracował na farmie za bardzo skromne pieniądze; z pewnością mógłby zażądać jednego z domków jako czegoś w rodzaju dodatkowej zapłaty. Jeszcze tego wieczoru poruszy ten temat, postanowił, i sama myśl o tym znacznie poprawiła mu humor.

Zdecydowała, że najpierw zadzwoni, bo szkoda jej było tracić czas na długą podróż. Nie wiedział, że zdobyła numer stacjonarnego telefonu; gdyby wiedział, pewnie dawno by go zmienił.

Telefon nie dzwonił zbyt długo.

- Halo? - odezwał się dziecięcy głos.

To była któraś z dziewczynek, z jego kwiatuszków, jak mówił. Boże, na samą myśl o nich zawsze robiło jej się niedobrze.

- Czy to Daisy? A może Lily?

- Daisy.

- Cześć, Daisy. Czy jest twój tatuś?

- Nie, wyszedł. Ale niedługo wróci.

- Jesteś pewna?

- Tak, całkiem pewna. Dziś są jego urodziny i robimy przyjęcie niespodziankę. Mamusia ma przywieźć go z powrotem dokładnie o ósmej wieczorem.

- Naprawdę? Jak to miło. Żałuję, że nie jestem zaproszona. No cóż... Nic nie szkodzi. Do widzenia, Daisy.

- Do widzenia.

Cóż za cudownie bogaty, wyrafinowany głosik! Szczęśliwa Daisy! O takich mówi się, że są w czepku urodzeni, i że w tym czepku zostają na całe życie... Tak jak ta druga ślicznotka Lily i ukochany synek Charlie. Jonathan był taki dumny z Charliego. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może ona nie chce słuchać opowieści na jego temat. Ani na temat dziewczynek. Są takie wrażliwe, prawda, Jonathanie?

Im dłużej o nim myślała - o przyjęciu zorganizowanym przez jego rodzinę, co bez wątpienia było droгим przedsięwzięciem, ale nikt nie liczył kosztów - tym bardziej chciało jej się rzygać. Albo zabić go. Albo zabić ich obojwoje. Więc on tam będzie, rozdając na prawo i lewo uśmiechy, przyjmując prezenty, pocałunki i komplementy, słuchając, jak wszyscy składają mu życzenia... I nikomu, absolutnie nikomu - a już z pewnością Laurze - nie przyjdzie do głowy, z jakim gnojkiem mają do czynienia. Jakimś cudem zdołał się wyłgać ze wszystkiego. Jak zdołał tego dokonać, ten cholerny sukinsyn?

No cóż, dziś wieczorem ta sztuka mu się nie uda, postanowiła.

- Wybacz, Jonathanie - powiedziała na głos z lekkim rozbawieniem, wybierając ciuchy na tę okazję: nowe, skórzane dżinsy i czarny, mocno wycięty top, ale ostatecznie wybierała się na przyjęcie, prawda? - Na twoim miejscu dobrze wykorzystałabym następne dwie godziny. Bo po nich... Bingo!

Od czasu chrztu Śpiącej Królowy żaden gość nie poczynił tyle spustoszenia na rodzinnym przyjęciu.

Wcale nie poszło aż tak bardzo dobrze. Rodzice powiedzieli, że wezmą pod uwagę jego prośbę, ale w sezonie domki przynosiły całkiem pokaźne dochody, i oni nie bardzo widzą, w jaki inny sposób on zamierza zarobić te pieniądze.

Abi miała rację; nagle odniósł wrażenie, że jego rodzice są arogancy, że nie są uczciwi w stosunku do niego... To odrażające, że nie miał nic, co mógłby nazwać swoją własnością, z wyjątkiem własnej sypialni w rodzinnym domu. Fakt, że do tej pory nie przyszło mu do głowy żądać odrobiny niezależności, nie miał tu żadnego znaczenia.

Zaczynał czuć, że Abi należą się przeprosiny, zarówno ze strony jego matki, jak i jego samego. Jej początkowe rozbawienie było... prawdę mówiąc, było czymś wspaniałomyślnym. I bardzo dla niej typowym. Bo Abi w ogóle była wspaniałomyślna, a poza tym ciepła, zabawna i... I bardzo uprzejma.

Powinien jej to powiedzieć. Zaraz po kolacji wyszedł z domu, pojechał do pubu i nie wychodząc z samochodu, wybrał na komórce jej numer. Oczywiście nie spodziewał się, że ona siedzi w domu i czeka na niego, więc zostawił wiadomość, że bardzo mu przykro, bo przez niego znalazła się w tak niezręcznej sytuacji, powinien być bardziej uważający i że bardzo prosi, żeby odezwała się do niego. Dodał, że bardzo za nią tęskni i że naprawdę chciałby ją zobaczyć. A potem wszedł do pubu, żeby tam się upić i z nadzieją czekać na telefon.

Chryste, co to za koszmar. Co za cholerny, niewyobrażalny koszmar. Oto gdy resztką sił czepiał się nadziei na zachowanie zdrowia psychicznego i gdy z trudem wytrzymywał męczarnie codziennych zajęć, łaknąc jedynie ciszy i odrobiny spokoju, nagle znalazł się w obliczu tłumu liczącego tak na oko z setkę osób, z których wszyscy śmiali się, żartowali i klepali go po plecach, powtarzając przy tym, jaki wspaniały z niego facet. Laura wisiała mu u ramienia, całowała po kolei wszystkich - w tym również jego - i wciąż powtarzała, jak to cudownie, że wszyscy dopisali, że on naprawdę jest w znakomitej formie, że nikt nie miał prawa przypuszczać, że jest już tak stary...

Rozmowa z Abi mocno wytrąciła go z równowagi. W dodatku gdzieś w głębi duszy, w jakimś głębokim, dobrze ukrytym miejscu, czuł coś na kształt wyrzutów sumienia. Wszystko, co powiedziała Abi, było szczerą prawdą: to on zainicjował ich romans i z własnej, nieprzymuszonej woli wyszedł z rajskich ogrodów wyłącznie z tego powodu, że ogarnęła go chęć skosztowania nowego, egzotycznego owocu. I czy rzeczywiście Abi była tak zepsuta, jak jej powiedział? Wcale nie. Po prostu była osobą, która nieźle dostała od życia po głowie, a on dostrzegł w tym swoją szansę i bezwzględnie ją wykorzystał; znajdował przyjemność w prawieniu jej komplementów, w oślepianiu jej blaskiem pieniędzy, w zabieraniu do ekskluzywnych hoteli i kupowaniu drogiej biżuterii... W zamian ona zapewniała mu odpowiednią dawkę podniecenia i zaspokajała poczucie seksualnej atrakcyjności, o czym Laura zupełnie zapomniała.

Chryste, cóż to za bajzel... Był tutaj, uwięziony w samym środku tej farsy wieczornego przyjęcia, która stanowiła kwintesencję jego życia. Fantazji o małżeństwie z Laurą i gorzkiej rzeczywistości, którą unaoczniała mu Abi.

Nie zadzwoniła. A czego się właściwie spodziewał? Ostatecznie mogła wyjść z domu na dłużej. Poza tym pewnie wciąż czuła się zraniona i zła. Czasami był zaskoczony, jak bardzo jest wrażliwa; tak naprawdę wcale nie była taka twarda, jak się zdawało.

Na przykład doskonale pamiętał, jak tamtego dnia bez wahania zdecydowała się jechać do szpitala, żeby Shaun nie został sam. Była wręcz śmieszna, jeśli chodzi o stosunek do zwierząt; rozczulała się nad każdym kotkiem znalezionym na ulicy, gdy tylko przyszło jej do głowy, że ktoś go porzucił, i niemal dostała szału, kiedy wyznał jej, że właśnie wysłał do rzeźni kilka cielaków. Nie chciał jej stracić. Naprawdę nie chciał.

Napisał do niej SMS z prośbą, żeby odsłuchiwała wiadomości nagrane na sekretarce, tak na wszelki wypadek, gdyby nie zauważyła, że ktoś do niej dzwonił, a potem w nagłym przypływie odwagi dorzucił jeszcze jedno krótkie zdanie: „Kocham cię”. Przez chwilę wpatrywał się w ekran, lekko zaskoczony, że zdecydował się jej to wyznać. Upewniał sam siebie, że naprawdę chciał jej to powiedzieć, a nie tylko poprawić samopoczucie, ale uznał, że naprawdę tak myśli, że kocha ją całym sercem i rozpaczliwie nie chce jej utracić. Szybko wcisnął „wyślij” i postanowił wracać do domu, zanim będzie zbyt pijany, żeby ujechać nawet ten głupi kilometr, jaki go dzielił od bram farmy.

Zastanawiała się, w jaki sposób ma wejść do środka, bo może ktoś zażąda zaproszenia albo czegoś takiego, ale frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz i bez problemu dały się otworzyć. Zatrzymała się w holu; nie było tam nikogo, ale z daleka dobiegały dźwięki muzyki i gwar rozbawionych głosów. Na ścianie wisiało olbrzymie lustro w złoczonej ramie; podeszła bliżej, żeby nałożyć świeżą warstwę błyszczczyka, skropić się perfumami i poprawić fryzurę. Zależało jej, żeby przy wejściu wyglądać najlepiej, jak tylko można...

Jeszcze stała przed lustrem, kiedy za jej plecami zjawiała się mała dziewczynka: niewiarygodnie śliczna dziewczynka, na oko dziewięcioletnia, z długimi, kręconymi blond włosami, ubrana w białą, obszytą koronką sukieneczkę i srebrne pantofelki.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem. - Jestem Lily. Czy pani przyszła na przyjęcie? Spóźniła się pani.

- Wiem. - Abi uśmiechnęła się do niej. - Bardzo przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Kelnerzy właśnie zaczęli podawać potrawy. Proszę wejść.

Abi wzięła z tacy kieliszek szampana i stanęła w progu, rozglądając się po wielkim pokoju, wyłączonym tuzinami płonących świec i wypełnionym ogromnymi wazami, w których pyszniły się białe pąki kwiatów. Dookoła przechadzały się grupki ludzi - pięknie ubranych, roześmianych ludzi - którzy trzymali w dłoniach kieliszki szampana, a przy kominku stał Jonathan, tuż obok zaś uśmiechnięta kobieta, przytulona do jego ramienia. No cóż, to musiała być Laura. Urocza, trzeba przyznać... Niezbyt wysoka, z burzą jasnych włosów, ubrana w coś zadziwiająco pięknego, w jakieś warstwy bladokremowego szyfonu i koronki. Z drugiej strony Jonathana kręciły się dwie niemal identyczne małe dziewczynki i starszy od nich chłopiec - Charlie, oczywiście - bardzo przystojny, z gładko uczesаныmi brązowymi włosami, ubrany w dżinsy i błękitną koszulę, i niemal tak wysoki, jak matka. Ten widok był tak doskonały, że niemal nie do zniesienia - świece, muzyka, obraz rodzinnego szczęścia - i Abi naprawdę nie mogła go znieść.

Ruszyła przez pokój w stronę Jonathana. On jeszcze jej nie zauważył, bo właśnie podniósł wysoko rękę, a Laura zaczęła pukać palcami w swój kieliszek.

- Obiecuję uroczyście, to nie będzie żadna przemowa - zaczął Jonathan, a zewsząd rozległy się śmiechy i okrzyki, że to dobrze, a właściwie czemu nie, może naprawdę lepiej, że nie...

Zobaczył ją, jak stoi w wejściu - ciemna postać w czarnym ubraniu i z błyszczącymi oczyma, złowroga w każdym calu - i był tak przerażony, że dosłownie nie mógł się poruszyć ani wydobyć słowa. Widział, jak Laura zwraca ku niemu przenikliwe spojrzenie, zaskoczona jego nagłym milczeniem, a potem idzie w ślad za jego wzrokiem i zatrzymuje się na Abi; poczuł, jak zeszywniała, jak wciągnęła głęboko oddech... W najgorszych snach nie wyobrażał sobie takiego najścia na swój dom i swoją rodzinę, w dodatku w obecności przyjaciół, takiej konfrontacji z okropną, odrażającą prawdą o niej i o jego postępkach. Co mogła teraz zrobić, co powiedzieć, jak mógł ją powstrzymać...

Wystąpiła naprzód, wyraźnie zmierzając w jego kierunku.

- Witaj, Jonathanie - odezwała się swobodnym tonem. - Co za przemiła uroczystość. Pomyślałam, że warto dodać moje życzenia do życzeń twoich przyjaciół. Bez wątpienia na to zasługujesz. Wszystkiego najlepszego...

Wspięła się na palce i musnęła pocałunkiem jego usta.

- Ty z pewnością jesteś Laura... - dodała, odwracając się ku niej. Z zadowoleniem przekonała się, że jej głos brzmi bardzo wykwinie. - Ja nazywam się Abi... Nie jestem pewna, czy Jonathan opowiadał ci o mnie. Bardzo żałuję, ale nie mogę dłużej zostać.

Odwróciła się i wyszła, a on stał bez ruchu i gapił się w ślad za nią, i nawet dostrzegł - choć wydawało się to całkiem niedorzeczne - że ma na sobie te same kozaki na wysokich, srebrnych obcasach, które nosiła w dniu katastrofy.

ROZDZIAŁ 34

Emocje są stanowczo nielogiczne, pomyślała. Powinna była czuć gniew, ból, upokorzenie, a jedyne, co czuła w tych pierwszych minutach, to ogromne zakłopotanie. Zakłopotanie, że wszyscy ich przyjaciele musieli być przy tym obecni, że w dobrej wierze i z najlepszymi zamiarami przyjechali na urodzinowe przyjęcie Jonathana i zostali zmuszeni, żeby stać się świadkami tak żenującej sceny. To wydawało się w jakiś sposób niewłaściwe. Nieuprzejme. Grubiańskie.

W ciągu pół godziny całe towarzystwo się rozeszło; zawstydzeni goście wymykali się jeden po drugim, nie wspominając ani słowem o intruzie, jakim wydawała się Abi, i wyraźnie unikając spojrzeń gospodarzy. Mówili, że najlepiej będzie, jeśli zostawią ich w spokoju, z serdecznością i wdziękiem zapewniali o swoim przywiązaniu, całowali Laurę na pożegnanie, z pewnym zażenowaniem potrząsali ręką Jonathana. Po niedługim czasie w pokoju było już pusto, straszliwie pusto, a świece, kwiaty i porzucone kieliszki szampana były jedynym znakiem, że w ogóle odbywało się tu przyjęcie.

Poleciała kelnerom uprzątnąć resztki przyjęcia, a potem odprawiła ich i kazała Heldze wstawić jedzenie do lodówki, a naczynia do zmywarki.

Dzieci były bardzo rozczarowane, zwłaszcza dziewczynki; Lily nawet popłakała się ze zmartwienia, a Charlie wydawał się mocno zaniepokojony, jakby przynajmniej częściowo rozumiał, czym tak naprawdę była wizyta tej Abi... Laura zaprowadziła całą trójkę do pokoju zabaw, powiedziała, że nie ma czym się martwić, bo wszystko jest w porządku, i że za chwilę wróci, żeby pomóc im położyć się do łóżek. Potem zeszła na dół.

Dopiero teraz zaświtała jej myśl, że przecież ani trochę nie wierzyła wyjaśnieniom Jonathana. Nagle zrobiło się jej wstyd, że pozwoliła sobie na udawanie, że przyjmuje jego słowa za dobrą monetę. Sama sobie sprawiła zawód. Okazała się słaba, tchórzliwa, po kobiecemu uległa. Powinna była przygwoździć go od razu, na samym początku, i powiedzieć, żeby jej nie obrażał, zamiast zgrywać słodką, potulną i lojalną zoneczkę. To się nie powtórzy, pomyślała. Gniew i obraza rosły w niej z każdą chwilą, uzbrajając w siłę i odwagę.

Jonathan siedział na krześle, wodząc za nią oczyma; jak przestraszone dziecko obserwował każdy jej ruch, kiedy chodziła po pokoju i gasiła świece, zbierała ostatnie kieliszki. Wreszcie przestała się krzątać i przez całą długość pokoju spojrzała na niego twardym wzrokiem.

- Kochanie, tak mi przykro, tak strasznie mi przykro z powodu tego, co ona zrobiła.

- Ona! - prychnęła Laura. - Jonathanie, ona niczego nie zrobiła. To ty zrobiłeś.

- Ale, Lauro...

- Przestań, proszę! Nie chcę więcej słuchać żadnych wyjaśnień. Możesz robić, co ci się podoba. Już mnie to nie obchodzi.

- Jak... jak się czują dzieci? - zapytał.

- Dziewczynki po prostu niczego nie zrozumiały. Myślały, że ona była jednym z gości... Są strasznie rozczarowane, że przyjęcie nie doszło do skutku. Niestety, Charlie zrozumiał więcej. Pytał mnie... Pytał, kim była ta pani. Wszystkie o to pytały.

- O Chryste - jęknął. - Słodki Jezu! Co... Co im powiedziałaś?

- Powiedziałam, że to była pani z twojej pracy, której dotąd nie miałam okazji poznać... To zresztą pasuje do twojej historyjki, prawda? Musiała iść na inne przyjęcie, więc nie mogła u nas zostać. Zdaje się, że dziewczynki przyjęły to wyjaśnienie; co do Charliego, nie jestem taka pewna. Jest wystarczająco duży, żeby zauważyć, że ona bardzo różniła się od reszty naszych przyjaciół.

Jonathan milczał przez dłuższy czas.

- Bardzo przepraszam, Lauro - wykrztusił wreszcie.

- Za co? Za to, co zrobiłeś? Że jednak miałeś z nią romans? Że kłamałeś na każdym kroku? A może za to, że dałeś się przyłapać? Cholerny pech, że ta katastrofa zdarzyła się właśnie tamtego dnia... Zastanawiam się, czy gdyby nie to, może wasz potajemny romansik trwałby nadal? No cóż, ona jest... bardzo seksowna. Ja też to widzę. I teraz wiem, że ja nie jestem. Pewnie dobrze się z nią bawiłeś, co? Żony zwykle bywają nudne.

- Proszę...

- I oczywiście jest ode mnie młodsza. Przypuszczam, że nie była pierwsza, tak? Choć, szczerze mówiąc, nie sprawia mi to różnicy.

- Ona była pierwsza, przysięgam. I ostatnia.

- O tak, zdecydowanie ostatnia.

- Oczywiście.

Coś na kształt nadziei - słabej nadziei - zaświtało w jego oczach, ale Laura natychmiast pozbawiła go złudzeń.

- Tak jest, Jonathanie. Zdecydowanie ostatnia. Bo nasze małżeństwo już się skończyło. Właśnie teraz.

- Kochanie, nie możesz...

- Przestań mówić do mnie „kochanie”. Owszem, mogę. Zawsze powtarzałam, że są dwie rzeczy, których nie mogłabym znieść. Jedna - to gdyby coś złego, naprawdę złego, przytrafiło się któremuś z naszych dzieci. Druga - gdybyś ty okazał się niewierny.

- Lauro, ja...

- Po prostu nie potrafię dać sobie z tym rady, Jonathanie. Nie chodzi o upokorzenie, chociaż jest mi dość... dość ciężko. To nawet nie jest ból... Przynajmniej nie tylko. To koniec zaufania. Już nigdy w życiu nie będę umiała ci uwierzyć i nigdy, przenigdy nie dopuszczę cię blisko siebie. Zawsze zastanawiałabym się, czy przypadkiem... Czy przypadkiem właśnie nie skończyłeś uprawiać miłości z kimś innym. To znaczy, mam na myśli... - Głos odmówił jej posłuszeństwa, ale po chwili zdołała się opanować. - Ile czasu to trwało? Parę miesięcy? Lat?

- Parę miesięcy. To wszystko. I właśnie miałem zamiar to skończyć, przysięgam. Na tym polega cała ironia losu. Tamtego dnia w samochodzie właśnie powiedziałem jej, że musimy to skończyć, że nie chcę tego dłużej ciągnąć... Lauro, tak strasznie żałuję wszystkiego, co zrobiłem, nienawidzę się za to.

- Naprawdę? I co według ciebie powinnam teraz czuć? Wdzięczność? Spokój? Wiesz, wciąż wracam myślami do tych wszystkich dni, kiedy musiałeś być z nią. Pewnie jeździliście do różnych hoteli, jak przypuszczam. A może ona ma jakiś własny, przytulny kącik? Nie, nie odpowiadaj. Nie chcę wiedzieć. Ostatnio też do mnie zadzwoniłeś, jak zwykle, żeby upewnić się, czy bezpiecznie ułożyłam się do snu. Mówiłeś mi, że... O

Boże, Jonathan, jaki z ciebie obrzydliwy padalec! Chciałabym nigdy więcej cię nie oglądać. I to przesłuchanie przed policją, kiedy kłamałeś jak najęty, patrząc mi prosto w oczy...

- Lauro, nie możesz tak po prostu odrzucać trzynastu lat dobrego małżeństwa i naszego szczęścia z powodu... Z powodu jednej nierozwagi.

- To nie było dobre małżeństwo - odrzekła z prostotą. - Teraz już o tym wiem. A szczęście również nie było prawdziwe i trwałe... Tak więc z łatwością mogę je odrzucić, jak byłeś uprzejmy to określić. Teraz idę do łóżka. Dobranoc.

Abi nie mogła przestać płakać. Łzy pociekły strumieniem, gdy wyjechała na rondo za Chiswick. W końcu w okolicach Reading musiała skręcić do jakiegoś motelu, bo oślepiały ją do tego stopnia, że bała się spowodować wypadek. Już miała dość wypadków...

Rzuciła się na łóżko i płakała dalej. Jak mogła zrobić coś równie okrutnego? Ze wszystkich okropnych, obrzydliwych rzeczy, jakie popełniła w przeszłości, ta bez wątpienia była najgorsza. Najgorsza i najbardziej okrutna. Jonathan zasłużył sobie na to, ale Laura z pewnością nie. To nie była jej wina, że on okazał się takim beznadziejnym, stuprocentowym gnojem. Nie zasłużyła, żeby ktoś zmuszał ją do wtykania jej pięknego, zgrabnego noska w tak obrzydliwe sprawy; należało pozwolić, by nadal żyła złudzeniami.

A Charlie, ten przystojny chłopiec... Małe dziewczynki wydawały się zakłopotane, ale on był wyraźnie zmartwiony. Z zażenowaną miną i zmarszczonymi brwiami gapił się na ojca, a później na nią, jakby instynkt mu podpowiadał, kim ona jest... Czym ona jest.

Zniszczyła im ten wieczór, zniweczyła ich szczęście. Bez zawahania i bez miłosierdzia. Powinna teraz zniszczyć samą siebie, zamknąć sobie usta, w straszliwy sposób ukarać się za tę zbrodnię. Bo to była zbrodnia, co do tego nie ma wątpliwości, i to gorsza, o wiele gorsza niż wszystkie krzywdy, jakich doznała ze strony Jonathanana.

Była absolutnie złą, zepsutą istotą; nic nie mogło odkupić jej win.

Leżała na łóżku w ubraniu, gapiąc się na sufit i kopiąc papierosa za papierosem. Dopiero gdzieś o brzasku dnia zapadła w bolesny, niespokojny sen.

Mniej więcej o tej samej porze William się obudził; głowa pękała mu z bólu. Z nadzieją sięgnął po telefon i popatrzył na wyświetlacz. Żadnej wiadomości, żadnego SMS-a... Gdzie ona się podziewała, co robiła? Może była chora? Może zrobiła sobie coś złego? Z pewnością nikt, wszystko jedno jak zły czy zmartwiony, nie może zignorować takiej wiadomości, jaką wczoraj wysłał. Musi więc spróbować jeszcze raz, wyśle następny SMS, bo o tej porze nie wypada dzwonić. Jeśli ona nadal się nie odezwie, będzie musiał pojechać tam, spróbować się z nią zobaczyć. Musi jakoś doprowadzić do tego, by zrozumiała jego uczucia.

Zaczął pisać, tym razem z wyraźnym smutkiem. „Abi, proszę, skontaktuj się ze mną. Bardzo żałuję i bardzo cię kocham”. Wysłał wiadomość, a ponieważ wiedział, że teraz już nie zmruży oka, szybko wstał, ubrał się i ruszył na szczyt wzgórza, skąd tamtego dnia obserwował katastrofę. Stał, spoglądając w dół i myśląc o tamtym zdarzeniu, jak totalnie odmieniło jego życie. Modlił się, żeby telefon wreszcie zadzwonił...

Abi oddzwoniła o siódmej rano. Wydawała się wyczerpana i chora.

Podziękowała za jego SMS-y, powiedziała, że było jej niesamowicie przyjemnie, a potem dodała, że bardzo jej przykro, ale więcej nie chce się z nim spotykać. Że między nimi wszystko skończone.

William spytał, czy chodzi o jego matkę, a ona odpowiedziała, że to nie ma nic wspólnego z matką; przyczyną jest wyłącznie ona sama, że naprawdę nie chce mieć z nim do czynienia, i że życzy mu jak najlepiej.

- Po prostu nie jestem odpowiednią osobą dla kogoś takiego jak ty, Williamie. To wszystko. Strasznie mi przykro. Do widzenia.

Upłynęło już mnóstwo czasu, odkąd William płakał po raz ostatni. Zdarzyło się to, gdy umarł dziadek, którego naprawdę mocno kochał. Miał wtedy wrażenie, że razem z dziadkiem umarła spora część jego duszy, i teraz znów poczuł się tak samo. Stał na wzgórzu, wpatrując się w miejsce, gdzie po raz pierwszy ujrzał Abi, myślał o niej i o tym, jak bardzo ją kocha. Teraz już nie miał co do tego żadnych wątpliwości... I nagle rozplakał się, bardzo cicho i bardzo gorzko.

ROZDZIAŁ 35

Georgia siedziała w pociągu zmierzającym w stronę Cardiff i myślała, że tym razem naprawdę musi znaleźć sobie jakiś kątek w Londynie. Za parę tygodni rozpoczyna się zdjęcia, a wtedy nie da rady dojeżdżać do pracy. Ale czuła się na tyle bezradna, że perspektywa oglądania zaniedbanych kawalerek albo mizernych pokojów do wynajęcia na razie wydawała się całkiem nierealna.

W dodatku miała za sobą okropny dzień, spędzony na włóczeniu się za tą Saszą, dziewczyną od kostiumów. Georgia zaczęła od wyrażania swojej opinii na temat niektórych strojów, o których sądziła, że są całkiem niezłe i że jej w nich do twarzy, ale wkrótce zamknęła buzię, bo zorientowała się, że nikt nie ma zamiaru liczyć się z jej zdaniem, i że prawdę mówiąc, im gorzej w czymś wygląda, tym bardziej podoba się to Saszy.

- Musisz spojrzeć na siebie pod kątem postaci, Georgia. - Sasza hamowała jej zapędy. - To Rose ma świetnie wyglądać, nie ty.

Potem wróciły do biura, gdzie już czekał Merlin, i choć wprowadził poświęcił pięć sekund, żeby zamienić z nią kilka przyjaznych słów, to zaraz wdał się w gorącą dyskusję z Saszą na temat planów zdjęciowych oraz pierwszego asystenta, który, jego zdaniem, o niczym nie miał pojęcia. Trudno przypuszczać, powiedział, żeby Bryn zaaprobował którykolwiek z pięciu domów znajdujących się na liście, a wtedy Sasza oświadczyła, że ona też ma dziś gówniany dzień, i w związku z tym może powinni wyskoczyć gdzieś na drinka? Zostawili Georgię w towarzystwie Mo, trzeciej asystentki reżysera, która była przysadzista, różowiotka i wiecznie uśmiechnięta, i raczej wyglądała na kogoś, kto pracuje w przedszkolu niż w tak egocentrycznej branży jak telewizja, i która oczywiście odnosiła się do niej ze słodyczą, ale najwyraźniej nie miała zamiaru ryzykować, wyrażając zbyt daleko idące zrozumienie dla uczuć Georgii, skoro jej własna posada zależała od utrzymywania dobrych stosunków ze wszystkimi dookoła. Wreszcie przyjechał Bryn Merrick, co było najgorsze ze wszystkiego, bo potraktował Georgię dość obcesowo, i ledwie skinąwszy głową na powitanie od razu zapytał Mo, gdzie się podział ten pieprzony Merlin, a kiedy odparła, że nie ma pojęcia, spiorunował wzrokiem Georgię, jakby to była jej wyłączna wina.

- Zdaje się, że przyszło mi pracować z grupą totalnych leni - warknął i dumnym krokiem wymaszerował na zewnątrz.

Georgia także wyszła i od razu zadzwoniła do Lindy, w nadziei, że usłyszy słowa pocieszenia i zachęty, a może także sugestie, z kim mogłaby wynajmować mieszkanie, ale okazało się, że Linda wcześniej skończyła dziś pracę i pojechała na przedstawienie do jednej ze szkół aktorskich.

W takim razie Georgia zdecydowała, że należy przerwać to pasmo niepowodzeń i pojechać do domu. Czowała się jak kopcuszek, który, kulejąc, wraca z balu w domowe pielesze.

Abi ujrzała samochód Williama w chwili, gdy skręcał w ulicę, przy której mieszkała. W pierwszym odruchu chciała uciekać i nawet zwolniła, rozglądając się za jakimś kawałkiem przestrzeni, żeby zawrócić, ale on zamachał do niej ręką, a potem, gdy przez chwilę siedziała bez ruchu w samochodzie, sparaliżowana, otworzył drzwi, wysiadł i stanął na chodniku, najwyraźniej czekając na nią. To było nie do zniesienia. Zupełnie czym innym było mówić mu przez telefon, że nie chce więcej go widzieć, a czym innym stanąć z nim twarzą w twarz i znów doświadczyć na sobie tej jego niezwyklej, okropnej subtelności i dobrych manier. Zatrzymała samochód parę metrów dalej, wysiadła i podeszła bliżej, próbując się uśmiechnąć.

- Cześć, Williamie... Ja... zdaje się, powiedziałaś ci...

- Wiem. Ale wolałem się upewnić, że naprawdę powiedziałaś to, co chciałaś powiedzieć. To wszystko.

- Jestem pewna.

- Ale... Dlaczego? Niczego nie rozumiem... Naprawdę. Czy to chodzi o moją matkę?

- Oczywiście, że nie. Z twoją matką potrafiłabym sobie poradzić.

- Chciałbym, żeby tak było - odparł i mimo woli się uśmiechnął. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Proszę cię, Abi... Ja muszę wiedzieć dlaczego... Z jakiego powodu ty... Czemu nie chcesz więcej mnie widzieć. To znaczy... Naprawdę myślę tak, jak ci napisałem - dodał szybko.

Pomyślała, że to okropne, tak patrzeć, jak w jego piwnych oczach ból miesza się z nadzieją. Musiała odwrócić wzrok.

- Wiem, Williamie. To naprawdę wspaniałe uczucie... dowiedzieć się tego, co napisałeś. Naprawdę wspaniałe...

- Ale... Ty mnie nie kochasz, prawda? O to chodzi?

- Widzisz, ja chyba nie potrafię kochać kogokolwiek. Jestem okropnie zepsuta. Zepsuta i zła.

- Abi, wcale nie! Oczywiście, że nie!

- Niestety, taka jest prawda. Gdybyś wiedział, co zrobiłam w ten sobotni wieczór... Na pewno by cię tu nie było.

- Co takiego? Co mogłaś zrobić, że wydaje ci się to takie okropne?

- Och... Zamordowałam pewną rodzinę. Pewną małą, bardzo szczęśliwą rodzinę.

- Zamordowałaś?!

- Nie dosłownie. Ja po prostu... Po prostu ich zniszczyłam.

Nie była pewna, jak wiele zamierza mu powiedzieć. I nagle to do niej dotarło. Powie mu wszystko. I opowiedziała - opowiedziała ze wszystkimi, najbardziej paskudnymi szczegółami i wyjaśniła, że właśnie dlatego on nie może jej kochać...

ROZDZIAŁ 36

- A więc... Gdzie chciałabyś wziąć ślub? Gdzie urządzimy sobie wesele? Przypuszczam, że chciałabyś, żeby to było gdzieś w Anglii. To przywilej panny młodej, wybierać miejsce ceremonii.

- No cóż... Tak. Tak sądzę. To znaczy, oczywiście, że tak.

- W kościele?

- Naturalnie.

- Ale potem przyjęcie może odbyć się w domu.

- Ach, Russell, co za cudowny pomysł.

Dom - przepiękny dom, który Russell kupował z myślą o nich dwojgu - naprawdę nazywał się Tadwick House. Mary zauważyła, że to stanowczo zbyt górnolotnie jak na jej skromne wymagania, więc czym prędzej przechrzczył je na Wróbelkowe Gniazdo.

- Lecz pamiętaj, to tylko do naszego prywatnego użytku. Miejscowi strasznie nie lubią, jak zmienia się nazwy domów.

- Tak samo jak urząd pocztowy.

Mary się uśmiechnęła, bo pomyślała o tym, jak Donald uparł się zmienić nazwę ich ostatniego domu i jakie kłopoty mieli w związku z tym z pocztą.

Dom stał przy ślepej uliczce zwanej Horseshoe Bend, dokładnie na samym łuku drogi. „Chciałabym nazwać go Ostatni Dom” - oświadczył wtedy. „Po pierwsze stoi na samym końcu ulicy, a po drugie jest to naprawdę nasz ostatni dom, gdzie dożyjemy końca swoich dni. A więc... czy może być lepsza nazwa?”

Mary uznała, że jest raczej ponura i wyraziła na głos swoją opinię; Donald zdziwił się, czemu tak uważa i czy nigdy nie słyszała o szczęśliwych zakończeniach, a przecież „na pewno właśnie takie będzie zakończenie wspólnego życia Donalda i Mary”.

Wspomniała o tym Russellowi; tylko się uśmiechnął.

- Podoba mi się ta historia. Wiesz, teraz widzę, że Donald był naprawdę ciekawą osobą. Czuję, że na pewno bym go polubił.

- O tak - przytaknęła Mary z przekonaniem.

Jednym z powodów, które czyniły ją najszczęśliwszą na myśl o małżeństwie z Russellem, była pewność, że on polubiłby Donalda i że Donald żywiłby zapewne takie same uczucia w stosunku do niego. Donald na pewno uznałby go za dobrego człowieka, któremu bez wahania może powierzyć los ukochanej Mary. W tym kontekście opór Christine, która tak zdecydowanie występowała przeciwko Russellowi, zasmucał ją jeszcze mocniej.

Z resztą rodziny poszło zdecydowanie łatwiej. Timothy, jej wnuczek, uznał, że pomysł zamążpójścia jest całkiem fajny i obiecał, że na weselu babci przetańczy całą noc. Zaraz potem spytał, czy może spotkać się z Russellem i czy Russell chciałby zainwestować trochę pieniędzy w firmę IT, którą właśnie planował założyć.

- Tylko żartowałem, babciu - dorzucił pospiesznie. - Ale chciałbym go poznać... Naprawdę. Wygląda na fajnego faceta.

Także Gerry wyraził - choć było mu dość niezręcznie - chęć poznania Russella i znów powtórzył, że strasznie mu przykro, że Christine stwarza takie trudności. Douglas zaś, duma i radość Donalda, jedyny, wymarzony syn, urodzony po ośmiu długich latach - i kilku poronieniach - po Christine, napisał z Toronto, że bardzo się ucieszył na wieść o związku matki z Russellem i że na pewno przyjedzie na Boże Narodzenie, jeśli nie wcześniej, i że już nie może się doczekać, kiedy się spotkają. „Dzieci także uważają, że to świetny pomysł”, napisał, dodając od siebie, jako że Mary czuła się zobowiązana uprzedzić go o reakcji Christine, żeby się nie przejmowała, bo Christine „w końcu się z tym pogodzi”.

Ustalili, że ślub odbędzie się w grudniu, „żebyśmy całkowicie legalnie mogli spędzić Boże Narodzenie razem”, jak oświadczył Russell.

Mary dostała dwa miłe listy od jego córek, Coral i Pearl, w których pisały, jak bardzo się cieszą, że ich ojciec ją odszukał, że cała ta historia jest niesamowicie romantyczna, i obie marzą, żeby jak najszybciej ją poznać.

Oczywiście, pomyślała Mary, im jest znacznie łatwiej, bo w dość wczesnym wieku nauczyły się żyć z drugą żoną Russella i akceptować jej obecność. List od syna Russella był mniej serdeczny, ale nie pozostawiał wątpliwości, że on także życzliwie odnosi się do tego związku.

- Chcę pokazać ci Connecticut - powiedział Russell. - Uważam, że właśnie tam powinien być nasz amerykański dom.

Kiedy Mary spytała, czy zamierza sprzedać apartament, popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Nie, oczywiście, że nie! Musimy mieć jakąś bazę w Nowym Jorku, i myślę, że to mieszkanie powinno ci się spodobać. Jeśli nie, zawsze możemy poszukać czegoś innego. A więc... Zabukuję lot gdzieś na początku listopada. W ten sposób będziesz mogła wziąć udział w Święcie Dziękczynienia, obie moje dziewczynki wyraziły pragnienie, żebyś była obecna.

Mary odparła, że w takim razie nie pozostanie im zbyt wiele czasu na zorganizowanie wesela, skoro mają zostać w Ameryce aż do początku grudnia, ale Russell oświadczył, że to nonsens, bo większość spraw mogą załatwić jeszcze przed wyjazdem.

Trzy domy. Nowa rodzina. Wesele. Trudno było w to wszystko uwierzyć...

William czuł się rozpaczliwie dotknięty i oszołomiony wyznaniem Abi; było to dla niego prawie nie do zniesienia. Z początku ogarnął go stan odrętwienia, ale w miarę jak mijały kolejne dni i prawda docierała do niego coraz jaśniej, ból stawał się coraz bardziej dotkliwy, aż w końcu ledwie mógł go znieść. I wcale nie chodziło wyłącznie o to, że Abi bezlitośnie częstowała go kłamstwami na temat Jonathana, że z nim sypiała, że Bóg jeden wie, ilu mężczyzn zaliczyła przed nim.

Chodziło o to, że pozwolił sobie uwierzyć, że ona tak samo cieszy się z przebywania z nim, jak on z przebywania z nią. A przecież wcale tak nie było.

Po prostu Abi spędzała z nim czas, dopóki nie nawinie się ktoś bardziej odpowiedni. Najwyraźniej lubiła żyć na wysokich obrotach; potrzebny był jej jakiś błyskotliwy facet z mnóstwem pieniędzy, który mógł zapewnić niezłą rozrywkę, zabierać do ekskluzywnych hoteli i restauracji, fundować drogie wakacje, a nie nudny farmer, od którego czuć krowim łajnem.

I on przecież także nie chciał mieć obok siebie kogoś takiego jak ona.

Chciał kogoś, komu mógłby zaufać, kto zadba o niego i jego życie; kogoś prostolinijnego, kogo mógłby zrozumieć, nie zaś zmienną jak wiatr, pełną zagadek panienkę, wyjętą żywcem z kiepskiego serialu w telewizji, która wycierała się w cudzych łóżkach i zaspokajała swoje potrzeby seksualne jak nienasycona kotka.

Czuł się chory z obrzydzenia, na wszystko obojętny, a co najgorsze - jak ostatni idiota. Ciekawe, za kogo Abi go uważała; pewnie sądziła, że jest bogaty, że przez jakiś czas będzie na jego utrzymaniu... Miał wrażenie, że już nigdy nie zdoła się z tego otrząsnąć.

Jack Bryant był dokładnie takim człowiekiem, jakich sierżant Freeman najbardziej nie znosił; hałaśliwy, wysławiający się w przesadnie elegancki sposób i snobistyczny w każdym calu - nie znaczyło to, oczywiście, że sierżant dobrze znał tych konkretnie ludzi, ale zdążył poznać sporo takich typków, po prostu takie miał hobby - z sygnetem na palcu, przylizanymi do tyłu włosami, wypucowanymi na błysk butami. Jednym słowem, wyglądał wręcz karykaturalnie.

Odnalezienie go nie przedstawiało większych trudności. Wydział Ruchu Drogowego potwierdził, że śruba koła pochodziła z jaguara, a poza tym w kilku zeznaniach przewijała się uwaga o obecności tego typu auta na drodze w owo feralne popołudnie. Według Georgii taki samochód jechał bezpośrednio przed ciężarówką, i Georgia była prawie pewna, że na tablicy rejestracyjnej widniały inicjały właściciela. Wystarczyło skontaktować się z rozmaitymi stowarzyszeniami i klubami, w których zarejestrowani byli miłośnicy tego modelu, a potem najzwyczajniej na świecie przekopać się przez prywatne tablice rejestracyjne i wykonać parę telefonów. Cała sprawa zajęła zaledwie jeden dzień.

Mimo to Freeman był mocno rozczarowany, gdy przekonał się, że nie może w niczym dopatrzeć się jego winy. Bryant był bardzo wymowny, doskonale wszystko pamiętał i okazał się chętny do pomocy. Tak, rzeczywiście zgubił śrubę, ale odkrył to dopiero po tygodniu, kiedy robił przegląd samochodu przed wyjazdem od przyjaciół, których odwiedzał w Szkocji. Nie, nie miał pojęcia, gdzie ani kiedy to mogło się stać.

- Ale na dwa dni przed wyjazdem do Szkocji kazałem dokładnie sprawdzić cały samochód. Bardzo dokładnie. Mój mechanik może to potwierdzić. Poza tym osobiście skontrolowałem wszystko rano: opony, poziom oleju, tego typu rzeczy... Sam jeszcze raz dokręciłem wszystkie śruby w kołach takim starym, płaskim kluczem do nakrętek. Tak na wszelki wypadek, ze względów bezpieczeństwa.

- Ironia losu polega na tym, że pewnie przykręcił za mocno - wyjaśnił później Paul Johns z Sekcji Śledczej. - Po prostu puścił gwint. Co za cholerna tragedia. Ale jeśli to prawda, co on mówi, to nie jest absolutnie niczemu winien.

Barney i Emma spędzili uroczy wieczór w hotelu Stafford. Zawsze tak robili. Zawsze też odczuwali przy tym pewien niepokój, zmieszany z poczuciem winy, ale i tak wspólnie spędzone chwile wciąż były zdumiewająco przyjemne.

- W końcu musimy im powiedzieć, prawda?

Nie mówił o tym wcześniej - że muszą zmierzyć się ze swoją sytuacją i co to w rzeczywistości oznacza. Ona czekała bez zbytej niecierpliwości, ponieważ to on był tym, który musi działać, to jego życie ulegnie całkowitej zmianie i to on musi być absolutnie pewny co do nich dwojga.

- Kocham cię, Emmo... - W jego głosie pojawiło się leciutkie drżenie. - Nie kocham Amandy. Myślałem, że jest inaczej, ale to było złudzenie. Lubię ją, lubię bardziej niż kogokolwiek innego i nienawidzę myśli,

że mógłbym ją unieszczęśliwić, ale nie mogę się z nią ożenić. Jednak gdy się dowie, jak wygląda prawda, ona także nie będzie chciała za mnie wyjść. A więc... Już niedługo jej powiem. Nie znoszę kłamać, nienawidzę takiego życia, dzień po dniu. To okropne.

- Czy myślisz, że ona wie, coś podejrzewa?

- Nie mam pojęcia. A ty?

- Myślę, że ja bym podejrzewała. Zdecydowanie.

- No cóż, w takim razie załatwię tę sprawę w ciągu kilku dni.

- Och, Barney...

- A co z tobą, Emma?

- Nic. On raczej się zbytnio nie przejmie. To znaczy, będzie mu się wydawało, że tak, ale w rzeczywistości będzie wręcz przeciwnie. On jest trochę... Trochę gruboskórny... Ale pod wieloma względami uroczy - dodała szybko, nie chcąc oczerniać Luke'a, który tak niedawno wydawał się jej wszystkim, czego pragnęła od życia.

Barney skinął głową, spoglądając na nią poważnym wzrokiem.

- To tak jak ty.

- Co, ja jestem gruboskórna?!

- Nie, pod wieloma względami urocza. Kocham cię, Emmo. Naprawdę cię kocham.

- I ja ciebie kocham, Barney. Bardzo.

Wyszli z hotelu krótko po dziesiątej. Emma wracała do Swindon, Barney do domu, do Amandy.

Trzymając się za ręce, opuścili restaurację i pocałowali się na pożegnanie; zresztą w ciągu wieczoru też się całowali, choć w bardzo powściągliwy sposób, zwykle wtedy, gdy jedno z nich powiedziało coś, co było szczególnie miłe dla ucha drugiego.

Nikt nie mógł mieć najmniejszych zastrzeżeń do ich zachowania, zachowywali się skromnie, zgodnie z wymaganiami dobrego wychowania, bardzo powściągliwie.

Nikt, to znaczy ktoś, kto nie był świadom, że każde z nich utrzymuje równoległe jeszcze jeden związek.

Jednak gdy wychodzili do foyer, uśmiechając się do siebie, Barney nie zauważył, że pośród dość hałaśliwego towarzystwa ośmiu osób, które po zakończeniu spektaklu w teatrze przyjechały tu na kolację, znajdują się Gerard i Jess Richmondowie, rodzice Tamary. I że w drugiej taksówce, razem z paroma innymi przyjaciółmi, siedzi Tamara.

ROZDZIAŁ 37

- Cześć, Barney, mówi Tamara. Pomyślałam, że moglibyśmy dziś wieczorem wyskoczyć gdzieś na drinka. Ja stawiam. Nie, tylko my we dwoje. Co? Och, nie, Barney. Myślę, że możesz poświęcić mi pół godziny. To naprawdę bardzo istotne. Wspaniale. Może w Old Aldwych? Wiem, że to kawałek drogi stąd, ale moim zdaniem lepiej spotkać się tam niż gdzieś w pobliżu. Wiesz chyba, co by o nas powiedziano... Coś ty, tylko żartowałam...

W czwartek rano Patrick obudził się o dość wczesnej porze. To znaczy wczesnej jak na niego, co oznaczało parę minut przed szóstą. Spał dość kiepsko, co raczej było normalne, odkąd lekarze odstawili mu proszki nasenne. Te poranne godziny zawsze wydawały się najtrudniejsze; wtedy depresja, którą w ciągu dnia jakoś od siebie odpychał - choć z trudem - spadała na niego jak śmiertelny całun, a obawy, że nigdy nie uda mu się wydobyć ze stanu, w jakim znajdował się obecnie, przykuty do łóżka i bezradny, że nigdy nie będzie znów z Maeve i chłopcami, że nigdy więcej nie zdoła kochać się z Maeve - myśl o tym była najgorsza - wyraźnie przybierały na sile, otaczając go złowieszczym cieniem. Dzięki silnej woli i przy wsparciu szpitalnego kapłana odsunął od siebie myśl o samobójstwie, lecz ta druga możliwość, to znaczy śmierć za życia, wydawała się tylko odrobinę lepsza.

Wyjrzał przez okno w czającą się na zewnątrz ciemność. Gdzie podział się Bóg, kiedy najbardziej potrzebował Jego obecności? Ale gdyby spojrzeć na to z innej strony, można by powiedzieć, że jednak był przy nim... No cóż, takie wyjaśnienie pasowało bardziej do Maeve...

Westchnął; było mu gorąco i strasznie chciało się pić. Może poprosi tę malutką pielęgniarkę - tę, która znalazła go tamtej nocy i którą zdążył już polubić - żeby przyniosła mu kubek herbaty. Bez namysłu pociągnął za dzwonek.

Sue Brown zrobiła mu herbatę i obiecała, że niedługo wróci, ale po drodze musiała załatwić sprawy kilku innych pacjentów, tak więc było już po siódmej, kiedy wróciła do Patricka.

- No dobrze, Patrick, załatwmy to, co trzeba, dobrze? Potem będę mogła podać ci śniadanie. Zacznę od cewnika, potem ładnie cię umyję... Czekaj, niech zobaczę...

Sue Brown była tak skupiona na swoim zadaniu, że nie usłyszała, jak pacjent na moment wstrzymał powietrze, gdy wyciągała cewnik; jednak gdy spróbowała wsunąć świeży, westchnienie się powtórzyło.

- Co tam robisz, Sue? - spytał Patrick. - Wpychasz mi kawałek druta kolczastego, czy jak?

Spojrzała na niego, a potem, nie chcąc pytać wprost, spróbowała pójść okrężną drogą.

- Patrick, czy boli cię, kiedy to robię?

- Nie, nie boli. Ale odczuwam pewien dyskomfort...

Sue Brown na chwilę zamknęła oczy; ta informacja miała - no cóż, mogła mieć - pierwszorzędne znaczenie.

Wysunęła cewnik i ostrożnie położyła na tacy.

- Przepraszam, zdaje się, że o czymś zapomniałam. Za minutkę wrócę, dobrze?

Jo Wales właśnie siedziała nad filiżanką wyjątkowo paskudnej kawy, zastanawiając się nad tym, że skoro wybudowanie szpitala kosztowało ponad miliard funtów, to co komu szkodziło, żeby dorzucić jeszcze pięć setek na przyzwoity ekspres, kiedy do dyżurki wkroczyła Sue Brown. Albo raczej, żeby dokładniej to określić, wpadła jak bomba, która zaraz ma zamiar eksplodować.

- Jo! Jo, ja nie wiem, co robić! Jo, czy mogłabyś pójść ze mną, proszę?

- O co chodzi, Sue?

- O Patricka Connella. On... Właśnie zmieniałam mu cewnik, a on powiedział, że to nie jest zbyt miłe. Tak powiedział, kiedy próbowałam włożyć cewnik do środka. Mówił, że ma wrażenie, jakby to był kawałek kolczastego drutu.

Jo wpatrywała się w nią, czując jak serce zaczyna jej mocniej bić.

- O mój Boże - powiedziała w końcu. - Boże, Sue, to jest dokładnie to, na co wszyscy czekaliśmy! Pozwól, że od razu do niego pójde. Ale... Nie wolno o niczym mu mówić. Zgoda?

- Jasne, że nie - oświadczyła Sue, na wpół urażona. - Właśnie dlatego tu przyszłam. Najpierw chciałam się dowiedzieć, co o tym sądzisz.

Pięć minut później Jo rzuciła Sue promienny uśmiech ponad łóżkiem Patricka, kiedy z kolei ona spróbowała założyć cewnik, a on znów płaczliwie się poskarżył. Wreszcie uśmiechnęła się do niego.

- Wiesz co, Patrick - zaczęła delikatnie. - Wydaje mi się, że mamy dla ciebie dobrą nowinę. Od razu dzwonię do doktora Osborne'a.

Później Patrick powiedział jej, że nigdy dotąd jego skromnych rozmiarów wacek nie przysporzył mu takiej dawki podekscytowania jak wtedy, gdy doktor Osborne zjawił się przy łóżku i najpierw obejrzał, a potem szturchnął jego przyrodzenie.

- A więc, Barney... Na co masz ochotę? Na koktajl? Piwo? Albo może, żeby zaszałec, wypijemy po kieliszku szampana? Żeby uczcić zbliżające się podwójne zaślubiny?

- Poproszę piwo - odparł Barney.

- Doskonale. W takim razie ja wezmę coś bezalkoholowego. Wolę zachować trzeźwą głowę.

- Świetnie.

- No dobrze... - przerwała rozmowę, żeby złożyć zamówienie, a potem oparła się wygodnie i uśmiechając się do niego, z premedytacją skrzyżowała zgrabne, długie nogi. Miała na sobie czerwoną sukienkę i czarne pantofle na bardzo wysokich obcasach; wyglądała nieco... nieco niebezpiecznie.

- A więc o czym chciałaś rozmawiać? - spytał.

- Nie wiem, czy Toby ci wspominał, ale ustaliliśmy nowy termin ślubu. Następny maj.

- Nie, o niczym nie mówił, ale, prawdę powiedziawszy, ostatnio się nie widzieliśmy. Odkąd wrócił do domu...

- Ach, tak. A więc już nie musisz co parę dni ganiać do szpitala. Dobry z ciebie przyjaciel, Barney. To było takie... bezinteresowne.

Wzruszył ramionami.

- Wcale nie miałem nic przeciwko temu. Ostatecznie Toby jest moim najlepszym przyjacielem. On... On mnie potrzebował.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że nie usiłujesz mi sugerować, że ja za mało się starałam, co?
- Nie, oczywiście, że nie. I uważam, że maj to dobry pomysł. Może trochę odległy w czasie, ale...
- Wiem. Jednak abstrahując od innych spraw, będę mogła włożyć do ślubu letnią suknię. No cóż, o takich sprawach też trzeba myśleć. A co z tobą, Barney? Kiedy ty i Amanda zamierzacie uczynić ten decydujący krok?

- Może w przyszłym roku. Jeszcze nie ustalaliśmy szczegółów.
- Pewnie dobrze się stało - odparła z przesłodzonym uśmiechem. Właśnie przyniesiono im drinki.
- Dziękuję - powiedziała do kelnera. - Czy mogę dostać oliwki? Wspaniale.
- Tamaro, co miałaś na myśli, mówiąc „pewnie dobrze”? - zapytał, gdy zostali sami.
- No cóż... No bo wiesz...
- Nie, nie wiem. Będziesz musiała mi to wytłumaczyć. Jestem dość prostym chłopakiem, jak zapewne zdążyłaś się zorientować.
- Barney, moim zdaniem jesteś bardzo zakompleksiony. Naprawdę.
- Z powodu?...
- Skoro udaje ci się utrzymywać dwa związki jednocześnie... Prosty chłopak z pewnością nie umiałby postępować w ten sposób.

Hałas wokół nich przybierał na sile, ale mimo to wydawali się wyizolowani ze wszystkiego, co działo się dookoła, odsunięci od całej reszty; byli tu tylko we dwoje, wpatrzeni w siebie zimnym wzrokiem, pogrążeni w tej niebezpiecznej, zawziętej wymianie zdań.

- Widziałam cię, Barney, w tym całą rzecz. Widziałam, jak w tamten wieczór wychodziłeś ze Staffordu z tą prześliczną, miłą panią doktor. I to właściwie wyjaśnia twoją pełną poświęcenia obecność w szpitalu, dzień w dzień.

- To obrzydliwe, co mówisz - mruknął Barney.
- Nie sądzę. Jeśli jest tu coś obrzydliwego, to wyłącznie to, co zrobiłeś. Puszczasz się z byle kim, oszukując najlepszą dziewczynę pod słońcem, jaką w ogóle mogłeś znaleźć.
- Rozmawiałaś na ten temat z Tobym?
- Nie, z nikim nie rozmawiałam. Na razie... Najpierw chcę usłyszeć twoją wersję.
- Przykro mi, Tamaro, ale nic z tego. Niczego się ode mnie nie dowiesz. Nie mam zamiaru dyskutować z tobą na temat mojego życia osobistego.

- No cóż, może będziesz do tego zmuszony. Chyba że zaczniemy rozmawiać na inny temat.
- To znaczy...
- Zaczynając od tego, z jakiego powodu ty i Toby w dniu wesela tak późno wyjechaliście z domu? Wciąż nie otrzymałam od żadnego z was wyjaśnienia, które by mnie usatysfakcjonowało. Barney, ja naprawdę chcę wiedzieć, jak to było. I jeśli mi nie powiesz, idę stąd prosto do Amandy, zanim będziesz miał szansę wymyślić jakieś usprawiedliwienie.

- Już ci powiedziałem. Toby był chory. Co chwila wymiotował.
- A dlaczego wymiotował?
- Przypuszczalnie złapał jakiegoś wirusa. Zresztą nie wiem.

- Jego rodzice wcale o tym nie wspominali.

- Bo nie wiedzieli, że jest chory. Żaden z nas, a zwłaszcza Toby, nie chciał ich niepokoić.

Na przemian zakładała nogę na nogę, to znów ją zdejmowała, wreszcie odruchowo zaczęła bawić się naszyjnikami. To było wspaniałe cacko, jakaś masa drobnych błyskotek na długim, srebrnym łańcuszku.

- Wiesz, Barney, to brzmi mało wiarygodnie, jeśli o mnie chodzi.

- Więc czemu nie spytasz Toby'ego?

- Pytałam, ale on mówi dokładnie to samo. Że musiał zjeść coś paskudnego. Ale ty i jego rodzice jakimś cudem byliście zdrowi. Poza tym teraz już wiem, że zatrzymała was policja i że to zabrało wam kolejne dwadzieścia albo trzydzieści minut, a mimo to zajechaliście na stację obsługi. Po co, do jasnej cholery? Żeby przyjechać jeszcze później?

- Po prostu Toby znów musiał iść do łazienki.

- Nie, Barney. Jeśli byliście aż tak spóźnieni, to równie dobrze mógł rzygać przez okno. Przykro mi, ale to nie trzyma się kupy. Mam zamiar porozmawiać z Amandą. Jeszcze dziś wieczorem. Tak myślę.

Teraz sprawiała wrażenie całkiem zadowolonej z siebie. Nawet uśmiechała się do niego; najwyraźniej ta cała rozmowa sprawiła jej sporą przyjemność.

- Nie! - zawołał. Wiedział, że musiała usłyszeć w jego głosie panikę i z całych sił starał się ją zatuszować. - Nie, Tamaro. Tylko nie dziś wieczorem. Posłuchaj... Nie chcę, żebyś ty, żeby ktokolwiek poza mną rozmawiał o tym z Amandą. To oczywiście wcale nie znaczy, że nie ma o czym rozmawiać. Proszę cię... Jeśli nie wierzysz w to, co powiedziałem o dniu waszego ślubu, to zapytaj sama Toby'ego. Poproś, żeby potwierdził, że to prawda.

Spojrzała na niego świdrującym wzrokiem, zaciskając przy tym usta.

- W porządku - warknęła. - Daję ci dwadzieścia cztery godziny.

- Porozmawiasz z Tobym?

- O tak, z pewnością. No cóż, to był szalenie zabawny wieczór, prawda? Cześć, Barney.

Wymaszerowała z baru na swoich nieprawdopodobnie zgrabnych nogach, po drodze zbierając rozpuszczoną burzę włosów w ciasny koński ogon. Nie wiadomo dlaczego, ale ten gest w przedziwny sposób skojarzył mu się z walkami na ringu.

ROZDZIAŁ 38

- Linda? Tu Alex.

- Cześć, Alex... - Miała wspaniały głos. Lekko matowy, seksowny i pełen ekspresji. - Wiesz, sobotni wieczór był naprawdę wspaniały.

- Też tak sądzę.

Już siedział w samochodzie, żeby pojechać do domu. Uśmiechnął się w ciemności, czując jak robi mu się przyjemnie - częściowo dlatego, że słyszał jej głos, a częściowo na wspomnienie minionej soboty.

Tym razem wybrali się do teatru na *Chicago*; to była jego propozycja. Nie chciało jej się wierzyć, że jeszcze na tym nie był, co wywołało u niego lekką irytację, bo ostatecznie nie każdy musi spędzać wszystkie wolne wieczory w teatrze, ale potem usłyszał, że ona bardziej niż chętnie pójdzie z nim na to przedstawienie, choć obejrzy je po raz trzeci. Potem wybrali się na kolację i rozmawiali tak długo, że Alex przegapił ostatni pociąg do domu.

- Cholera - powiedział. - Będę musiał wziąć taksówkę. Jeśli uda mi się ją złapać. Albo przenocować w hotelu. Jeśli znajdę coś wolnego.

- Albo... zatrzymać się u mnie - odpowiedziała, a potem w jej ciemnych, piwnych oczach pojawił się szelmowski błysk. - Jeśli się ośmielisz - dokończyła.

Niemal zatkało go z oburzenia, a ona wybuchnęła śmiechem.

- Alex, nie zamierzam narażać cię na kompromitację. Mam bardzo miły, gościnny pokój, i najserdeczniej zapraszam, żebyś z niego skorzystał. I przestań gadać o taksówkach i hotelach; to przecież śmieszne.

W ten oto sposób zawędrował do jej niewiarygodnie modnego mieszkania, w rodzaju tych, jakich nie nosił, to znaczy wypełnionego agresywnymi, nowoczesnymi i na oko potwornie niewygodnymi meblami - choć stały tam także dwie cudownie wielkie, miękkie, białe sofy - oraz z mnóstwem śmiesznych, całkiem niezrozumiałych malowideł i całą masą raczej absurdalnych ozdóbek.

- Czego się napijesz?

- Brandy?

- Może być, jeśli chodzi o mnie.

Wróciła z tacą, nalewając mu całkiem sporą szklaneczkę.

- Dzięki.

Nagle poczuł się niezręcznie. Znów zrobiło się zbyt cicho, jak na jego gust. W popłochu rozejrzył się po pokoju, naprawdę dopieszczonym w każdym detalu, szukając w myślach czegoś, co mógłby powiedzieć.

- Tu jest niesamowicie... porządnie.

- Bo ja jestem niesamowicie porządna. Zbyt porządna, jak mi mówią. Poza tym jestem cholernie pamiętliwa, lubię mieć wszystko pod kontrolą i tak dalej, i tak dalej... A ty?

- Ja jestem strasznie nieporządny. Czy to znaczy, że nie mam kontroli nad niczym?

- Całkiem możliwe. A ty jak sądzisz?

- Nie mam pojęcia. Już sam nie wiem, co sądzić i za kogo się uważać.

- To bardzo smutne, co powiedziałeś - odparła, spoglądając na niego z zadumą.

- Obawiam się, że ostatnio stałem się smutnym, dość niemiłym człowiekiem. Także w szerszym znaczeniu tego słowa. Moja córka bez przerwy mi to wyrzuca.

- A w sensie używania życia?

- No właśnie chodzi o ten sens.

- Nie sądzę, żeby to miało znaczenie. O wiele ważniejsze, czy w danym momencie czujesz się... czy jesteś nieszczęśliwy.

- Owszem - odparł dość gwałtownie. - Można powiedzieć, że jestem całkiem nieszczęśliwy. Od wielu lat.

- Alex, to okropne.

- Nie jest tak źle. Kocham swoją pracę. I kocham swoje dzieci. Ale to nie jest miłe, mieszkać pod jednym dachem z kimś, kto widzi wyłącznie twoje wady... I wiedzieć, że tamta osoba marzy o dniu, kiedy wreszcie się wyprowadzisz.

- Chodzi o twoją żonę, jak przypuszczam.

- Właśnie. Moją wkrótce już była żonę. Teraz staramy się rozwiązać jakoś sprawy mieszkaniowe. A to dość trudne. Wydaje mi się, że już ci o tym mówiłem... Sprzedajemy dom, to tylko kwestia czasu.

- Czy myślisz, że potem poczujesz się lepiej?

- Taką mam nadzieję. Chociaż będę koszmarnie tęsknił za dziećmi.

- Wyobrażam sobie, że nadal będziesz je widywał, prawda?

- Oczywiście. Ale jednak to nie będzie to samo, co mieszkać z nimi. Poza tym martwię się, jak sobie dadzą z tym radę.

- No cóż... Nie znam ich ani niczego o nich nie wiem. Ale życie w nieszczęśliwej, niemiłej rodzinie również nie było dla nich niczym dobrym.

Mówiła energicznym, dość agresywnym tonem, co od razu go zdenerwowało.

- Nie mówiłem, że nasza rodzina była niemiła. Mówiłem wyłącznie o sobie.

- Ależ Alex, jeśli twoje dzieci mają choć ciut wrażliwości, musiały wiedzieć, co się dzieje. I z pewnością czuły się tym zdeprimowane. Osobiście sądzę, że jeśli mają na względzie twoje dobro i dobro swojej mamy, to uznają takie rozwiązanie za najlepsze z możliwych. I świetnie dadzą sobie z tym radę.

- Nie przypuszczam, żebyś miała do czynienia z dużą liczbą nastolatków - odparł. - I sądzę, że tak naprawdę nie wiesz, o czym mówisz. Nazbyt upraszczasz.

Przez chwilę wpatrywała się w niego i nagle oblała się rumieńcem; to go ujęło, ta pierwsza rysa w jej nadmiernej pewności siebie.

- Przepraszam - mruknęła.

Zachował milczenie; czuł się przygnębiony i pokonany, jakby nad tym wspólnie spędzonym wieczorem nagle zawisł jakiś cień. Cisza stawała się coraz cięższa, coraz trudniejsza do zniesienia.

I nagle coś się zmieniło.

- Wybacz mi, Alex, jeśli zrobiłam ci przykrość - odezwała się nieoczekiwanie, co zupełnie go zaskoczyło. - Oczywiście że nie wiem, o czym mówię. - Uśmiechnęła się z lekkim skrępowaniem. - Jestem okropnie

apodyktyczną osobą i nie potrafię sobie z tym poradzić. Przypuszczam, że zdołałabym to przewalczyć, gdybym naprawdę się postarała, ale zanim się zorientuję, że przeholowałam, zwykle jest już za późno. Już kończę tę gadkę, tylko... Tylko chcę jeszcze dodać, że nie spodobała mi się myśl, że przez cały czas czujesz się nieszczęśliwy.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - odparł - ale pozwól, że sam się o siebie zatroszczę.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to dość pompatycznie i odrobinę arogancko.

- Świetnie - odpowiedziała ostro, wyraźnie zirytowana. - Może życzysz sobie kawy? Albo brandy?

- Bardzo proszę.

Tak naprawdę nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie, ale odrzucenie poczęstunku, tak samo jak wcześniejszych wyjaśnień, musiało wydać się bardzo nieuprzejme.

Zniknęła w głębi mieszkania, a on wziął do ręki leżącą na stoliku do kawy książkę na temat sztuki art déco w kinie i nerwowo przerzucił parę kartek. Może wkrótce się przekona, że ta cała znajomość to błąd.

- No dobrze - powiedziała Linda, gdy wróciła do pokoju. - Zaczniemy jeszcze raz. O czym moglibyśmy porozmawiać, żeby było względnie bezpiecznie? Zaproponuj jakiś temat.

- Wolałbym nie.

- Czemu?

- Bo, prawdę mówiąc, trochę się denerwuję, że mógłbym łatwo zanudzić cię na śmierć.

- Zanudzić? Niby w jaki sposób? Uważam, że nawet w przybliżeniu nie jesteś nudny. Przysięgam.

- Dajmy na to, że ci wierzę. To znaczy... Miałem na myśli, że prowadzisz raczej dość fascynujące życie. Chodzisz do teatrów, i tak dalej, podczas gdy ja...

- No właśnie. Jakie jest twoje życie? Czym się zajmujesz? Miałam na myśli taki zwyczajny dzień. Opowiedz mi o sobie.

- Hm, zaglądam ludziom w różne dziwne otwory. Czasem coś tam zszywam. Nie otwory, tylko ludzi, oczywiście. Miewam do czynienia z przedawkowaniem leków, z zatrzymaniem akcji serca, z ranami kłutymi, czasem nawet z czymś zgonem. Ja to kocham i uważam za strasznie interesujące, ale to w żaden sposób nie może się równać z uczęszczaniem na premiery i wyszukiwaniem talentów, prawda?

- Alex, ja na premierach spędzam może dziesięć procent czasu. Reszta to ciężka harówka, możesz mi wierzyć. Muszę rozmawiać z całą masą pretensjonalnych, zarozumiałych głupków i wmawiać im, że całkiem przeciętni aktorzy są niesamowicie utalentowani, a skoro są utalentowani, to warto ich zatrudnić. Muszę też niańczyć aktorów, dowartościowywać ich ego, dopilnować, żeby zgłaszali się na castingi, wysłuchiwać narzekania, porządkować ich sprawy materialne...

- To trochę tak, jakbyś była rodzicem.

- Całkiem możliwe. Wiesz... Chyba już wolałabym zaglądać w te otwory.

- Och, z pewnością nie - roześmiał się. - Wierz mi, że nie. To nie jest nic przyjemnego. No, przynajmniej te, z którymi ludzie lądują na oddziale pomocy doraźnej.

- Powiedz mi... - spytała. - Czy naprawdę miałeś do czynienia z kimś, kto miał w tyłku piłeczkę do golfa?

- Niestety, tak. Poza tym nie masz pojęcia, jakie cuda niektórzy potrafią wyrabiać z węzłem do odkurzacza.

- Żartujesz! No, w sumie to naprawdę jest smutne.

Pochyliła się, żeby nalać brandy do jego szklaneczki; przyłapał się na tym, że bezwstydnie gapi się w jej dekolt. Zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- Przepraszam - mruknął.

- Nie przepraszaj. Nie mam nic przeciwko temu. Gdybym miała, nosiłabym sweterki z golfem.

- Obiecuj mi coś - parsknął śmiechem. - Obiecuj, że nigdy nie przyjdiesz na spotkanie ze mną w bluzeczce z golfem. Wtedy byłoby mi naprawdę smutno!

- Obiecuję.

- Jeśli, oczywiście, w ogóle będziesz chciała spotkać się jeszcze ze mną. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za impertynencję z mojej strony?

- Och, Alex - powiedziała, a w jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Oczywiście, że nie uznam. Nie powinieneś tak nisko się oceniać. Jesteś bardzo atrakcyjnym, seksownym mężczyzną i przyzwyczaj się wreszcie do tej myśli. Jeśli mnie zaprosisz, to oczywiście przyjdę. No i proszę, uzyskałeś ode mnie kolejną obietnicę... Boże, znów zaczynam być apodyktyczna, prawda? A jaka jest twoja żona? Czy ona też narzuca ci swoją wolę?

- Nie... Niezupełnie. Po prostu robi to, na co ma ochotę. Ale mnóstwo żon zachowuje się w ten sposób.

- Naprawdę? Nie wiedziałam. Sam rozumiesz, większość moich przyjaciół nie ma żon.

Nie, pomyślał, jasne, że nie. Nie obracasz się w świecie, w którym żonaci ludzie stanowią większość. Nie masz pojęcia, czym jest małżeństwo. Nic o tym nie wiesz.

- A więc... Bez przerwy walczycie ze sobą?

- Nie. Ja nie walczę.

Spojrzała na niego z zamyśleniem.

- Jestem zaskoczona. Wydawało mi się, że musisz być całkiem niezły w walce. Jesteś... Jesteś dość silną osobowością, mam rację? To znaczy silną emocjonalnie.

- Linda, przecież ty mnie prawie nie znasz.

- Wiem. Ale jakoś potrafię sobie wyobrazić, jak wrzeszczysz i jak się wściekasz.

- Mam wrażenie, że czasami pozwalasz swojej wyobraźni posuwać się za daleko - odparł, znów lekko urażony. - Raczej nie zdarza mi się wrzeszczeć ani wściekać. Przynajmniej nie w domu.

- Ach tak! A w pracy? Z tego, co udało mi się zaobserwować tego dnia w szpitalu, potrafisz być dość... gwałtowny. Założę się, że jesteś jednym z tych okropnych facetów, którzy odpłacają swoim kolegom wet za wet. Mam rację?

Oparła się o poduszki i przyglądała mu się z uśmiechem, ale on się nie uśmiechnął.

- To okropne, co mówisz.

- Alex, przecież to był tylko żart! Posłuchaj, ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Chyba lepiej pójdźmy już spać, co?

- Dobrze.

Wstał z miejsca i nagle zawahał się.

- Może jednak wezwę taksówkę?

- Przestań, to przecież śmieszne. Czemu, na litość boską?

- Bo mam wrażenie, że nie czuję się tu zbyt komfortowo.

- Proszę cię, Alex! Przestań wreszcie uważać się nad sobą - zawołała. - To bardzo niebezpieczne przyzwyczajenie. Nie jesteś jedyną osobą na tym świecie, która ma za sobą nieudane małżeństwo. Inni ludzie też przez to przechodzą i jakoś odnajdują się po tej drugiej stronie. Nawet ci, którzy mają dzieci.

Gapił się na nią i czuł, jak ogarnia go złość.

- Nie sądzę, żebyś była ekspertem w tej dziedzinie - warknął. - Zgodnie z twoimi własnymi słowami, akurat w tym nie potrafiłaś zadbać o siebie.

- Zamknij się wreszcie - prychnęła. - Dobranoc, Alex. Ręcznik leży na twoim łóżku, a nowa szczoteczka do zębów na toaletce. Łazienka jest na końcu korytarza. Tylko... Będziesz tak uprzejmy rano wyjść stąd względnie cicho, dobrze?

To wspomnienie o szczoteczce dokonało dzieła. Nagle uderzyło go własne grubiaństwo i myśl, że przecież Linda okazała się bardzo wspianałomyślna, nie mówiąc o tym, że także troskliwa. Niewielu ludzi wpada na pomysł, żeby trzymać w domu zapasowe szczoteczki do zębów z myślą o niespodziewanych gościach.

- Przepraszam - wykrztusił. - Zachowałem się bardzo nieuprzejmie. A ty jesteś... niezwykle gościnna. To ładnie, że pomyślałaś nawet o szczoteczce do zębów. Bardzo dziękuję. Dobranoc.

Odwrócił się na pięcie i w tym momencie usłyszał coś, co niewątpliwie przypominało zduszony chichot.

- To była najzabawniejsza przemowa, jaką ostatnio zdarzyło mi się słyszeć. Ale dziękuję. Miło mi, że doceniłeś moją gościnność. W twoich oczach mam więc przynajmniej jedną zaletę.

Spojrzał na nią. Trzęsła się od stłumionego śmiechu, zagryzając wargi, a jej piękna twarz promieniała radością.

- Och, wybacz, jeśli znów zraniłam twoje uczucia - powiedziała prędko. - Naprawdę nie chciałam. Po prostu... Po prostu zachciało mi się śmiać, jak zobaczyłam, że znowu robisz z siebie Heathcliffa. Że pograżasz się w myślach nad własnym nieszczęściem.

- Wcale nie robiłem z siebie Heathcliffa - odparł i uśmiechnął się, aczkolwiek przyszło mu to z trudem.

- Ależ tak. Zachowujesz się jak Heathcliff. To znaczy, w życiu. Nie patrz na mnie spode łba. Heathcliff też był bardzo seksowny i wiecznie zachmurzony. Na chodź, chyba możemy rozstać się jak przyjaciele, co?

Podeszła bliżej, wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w usta... Ale to wystarczyło.

Pięć minut później wylądowali w jej łóżku.

- Faktycznie, sobota była naprawdę fantastyczna - powiedziała. - Bardzo ci dziękuję.

- Ja też tak sądzę. Więc kiedy?...

- Och, najszybciej jak to możliwe - odparła. - Oczywiście, jeśli to nie zabrzmiało zbyt apodyktycznie...

- Hm... Trochę tak. Ale postanowiłem nie zwracać na to uwagi. Co powiesz na weekend?

- No to... Piątek, który gładko zamieni się w sobotę? A może znów próbuję rządzić?

- Jasne, że tak. Ale... Wydaje mi się, że jakoś zdołam to przełknąć.

- Może coś zarezerwuję?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Tym razem to ja zarezerwuję, do jasnej cholery. Wiem, jak to się robi. To na razie, Linda.

- Pa, Alex.

Włączył silnik i dość szybko ruszył w stronę domu, uśmiechając się do siebie na myśl o najbliższym weekendzie i o niej. Co prawda była trochę... No, może trochę trudna we współżyciu, ale przynajmniej czuł się tak, jakby naprawdę coś dla niej znaczył. Musiał przyznać, że to bardzo przyjemne uczucie.

Gdy Barney wszedł do domu, natychmiast zauważył leżącą na stole kartkę.

„Wybacz, kochanie, próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale miałeś wyłączony telefon. Zostałam ci wiadomość, ale na wszelki wypadek, gdybyś jej nie dostał, chcę powiedzieć, że poszłam z Nicolą na ten nowy film z Keirą Knightley. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, bo i tak na pewno by ci się nie spodobał. W lodówce zostawiłam ci mnóstwo sałatki. Będę z powrotem gdzieś koło dziesiątej. Kocham cię”.

O Boże, pomyślał Barney. Niech to cholera... No cóż, przynajmniej zyskał trochę czasu.

Może powinien załatwić tę sprawę jeszcze dziś wieczorem. Dalsze okłamywanie Amandy było bardzo nie w porządku. Oszukiwanie także nie, ale jednak kłamstwo było czymś znacznie gorszym. Udawać przez cały czas, uśmiechać się do niej, kiedy wcale nie miał ochoty na uśmiech, zapewniać, że ją kocha, gdy ona mu to mówi, bo tak naprawdę to była jedyna rzecz, jaką wtedy można powiedzieć...

Odwzajemniać jej pocałunki, udawać, że jest zbyt zmęczony, żeby uprawiać seks - to było zbyt okropne. Kiedy się dowie, zniechęci go za to, zniechęci nawet wspomnienia o tym, co on z nią robił.

Tak, dziś wieczorem porozmawia z Amandą. Będzie miał to za sobą.

Nalał sobie piwa i usiadł, żeby pomyśleć o niej - o swojej Amandzie, którą niegdyś tak bardzo kochał...

Przenikliwy dźwięk telefonu przerwał ciszę, przemocą wdzierając się w jego myśli. Kto to mógł być? Kto w dzisiejszych czasach dzwoni na stacjonarny telefon, poza rodzicami, oczywiście...

Bez namysłu podniósł słuchawkę.

* * *

Amanda wróciła do domu dwie godziny później. Słyszał, jak zatrząskuje drzwi taksówki, a potem dobiegł go jej miły, beztroski głos, kiedy zebrała się z taksówkarzem, życząc mu dobrej nocy.

Siedział bez ruchu, myśląc o tym, o czym za chwilę musi jej powiedzieć, i czuł się jak kat, który czeka, aż przyjdzie mu wykonać jego straszliwe zadanie.

Weszła do domu uśmiechnięta, pocałowała go na przywitanie.

- Witaj, skarbie. Ależ to uroczy film. Wiesz, wydaje mi się, że powinien ci się spodobać... Barney... Co się stało? O co chodzi?

- Tak mi przykro, Amando - odezwał się. - Strasznie, okropnie mi przykro. Mam dla ciebie... Niestety, mam dla ciebie złe wieści. Chodzi o twojego ojca, Amando... O Boże, jak strasznie mi przykro! Miał atak serca... On... on nie żyje.

Potem stał, trzymając ją w objęciach, gdy zanosila się szlochom i drżała z rozpacz, i myślał, jak okrutny jest los - podwójnie okrutny, zwłaszcza dla niej, bo zabrał jej ukochanego ojca, ale w małej części okrutny także dla niego, ponieważ skradł mu możliwą do przewidzenia przyszłość, szansę na wyprostowanie własnego życia i prawo do związania się z kobietą, którą naprawdę kochał.

I nienawidził siebie za to, że takie myśli w ogóle narodziły mu się w głowie.

ROZDZIAŁ 39

- Toby?

- Tak, Tamaro?

- Toby, chcę z tobą o czymś porozmawiać.

- Kochanie, jeśli chodzi o termin ślubu, to przyszedł maj w zupełności mi odpowiada.

- Świetnie. Ale nie w tym rzecz. Chcę z tobą pomówić o tamtym ślubie, który nie doszedł do skutku.

- Tak?...

- Toby, ja naprawdę muszę wiedzieć, dlaczego... Dlaczego tak późno wyjechaliście? Głędzisz coś na temat, że byłeś chory, że potem zatrzymała was policja, no a później doszło do katastrofy... Jednak fakt pozostaje faktem, że powinniście byli wyjechać parę godzin wcześniej. Czemu stało się inaczej?

- Czy naprawdę musimy o tym dyskutować?

- Tak, musimy. Bo chociaż bardzo staram się uwierzyć w te bajeczki o twojej rzekomej chorobie, to jednak mi się to nie udaje. A jeśli nie byłeś chory i mimo to nie wyjechaliście o czasie, to w takim razie musi istnieć jakiś inny, ważny powód. Co to było, Toby? Uwierz mi, ja muszę wiedzieć.

Toby spojrzał na nią, upił spory łyk wina z kieliszka, który właśnie trzymał w ręku, a potem wyprostował się na krześle.

- No tak, pewnie będzie lepiej, jak ci powiem. Cały czas miałem nadzieję, że to nie wyjdzie na jaw...

- Co nie wyjdzie na jaw?

- To wszystko... Obawiam się, że to wszystko przez Barneya, Tamaro. On... No, on poprzedniego wieczoru spił się jak świnia. Próbowałem go powstrzymać, ale powtarzał, że to mój ostatni wieczór na wolności i że należy godnie to uczcić. Musiał wlać w siebie większą część dwóch butelek wina i przynajmniej pół butelki whisky. Prawdę mówiąc, później miał spore kłopoty z chodzeniem, ale jakoś udało mi się dowlec go do łóżka. A następnego ranka... Możesz sobie wyobrazić, w jakim był stanie. Rzygał jak kot, kompletnie nie nadawał się do tego, żeby w ogóle usiąść za kierownicą... Po prostu musiałem go zastąpić. W dodatku, co jeszcze bardziej pogrzyżyło go w moich oczach, całkiem wyleciało mu z głowy, żeby poprzedniego dnia zatankować samochód. Właśnie dlatego pojechaliśmy autostradą, bo tamtędy najbliżej było do stacji benzynowej. Powinienem był go zabić... Oczywiście gdyby nie był moim najlepszym przyjacielem. Teraz już wiesz o wszystkim. Strasznie mi przykro, skarbie, naprawdę. Ale... *non mea culpa*.

- Psiakrew, dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej, co? Zamiast wciskać mi jakieś bzdety, że wirus załatwił ci żołądek?

- Och, Tamaro, jak miałem ci powiedzieć? Przecież to mój najlepszy kumpel. Nie mogłem zwać winy na niego, prawda?

- Uważam, że jak najbardziej mogłeś. Żeby trochę poprawić mi nastrój. Właściwie kto jest dla ciebie ważniejszy, Barney czy ja? Czasem wydaje mi się, że jednak Barney.

- Kochanie, ty oczywiście, że ty! Ale sama pomyśl, co dobrego mogło wyniknąć z tego, że bym na niego doniósł? Tylko proszę, nie mów mu, że ci o wszystkim opowiedziałem. Był taki... Taki przerażony. I tak czuje się fatalnie po tym, co zaszło. Niech to zostanie między nami, dobrze? W maju przyszłego roku będziesz panią Weston i cała ta sprawa wyda ci się tylko okropnym snem.

- A teraz, Maeve, proszę, nie śmieję się ze mnie, ale będę zaszczycona, jeśli zgodzisz się zostać moją druhną.

Mary była mocno zaróżowiona, spoglądając na Maeve ponad blatem stolika w kawiarni; tej samej kawiarni, która dwa miesiące wcześniej stała się miejscem ich pierwszego spotkania. Teraz Mary przyjechała odwiedzić Patricka, zaalarmowana przez Maeve cudownymi nowinami o poprawie jego zdrowia.

- To jest jak cud, Mary. Każdego dnia jest odrobinę lepiej. Teraz czuje całą stopę i palce u drugiej. Po prostu nie mogę w to uwierzyć, a on jest bardziej niż szczęśliwy. Ach, Mary... Bardzo chcę być twoją druhną, to dla mnie zaszczyt, ale co z twoją córką? To miejsce przecież należy do niej.

- Obawiam się, że Christine będzie wolała odegrać jak najmniejszą rolę - westchnęła Mary. - Jeśli w ogóle przyjdzie. Wciąż mam nadzieję, że w końcu się z tym pogodzi. Nic, co mówię, nie zmienia jej stosunku do mojego zamążpójścia, za to syn wydaje się szczerze zadowolony. Całą rodziną przyjeżdżają z Kanady specjalnie na ślub. Także mój zięć Gerry jest przychylnie nastawiony, podobnie mój wnuk... Timothy chce poprowadzić mnie do ołtarza. Jest strasznie tym przejęty.

- To cudownie! Tylko pamiętaj, jeśli Christine zmieni zdanie, musisz od razu dać mi o tym znać, a ja się wycofam. Teraz powiedz, jak zamierzasz się ubrać? Będziesz cała na biało?

- No... tak. Czy uważasz, że to bardzo głupie?

- Oczywiście, że nie. To urocze. Zobaczysz, Mary, że będziesz wyglądać prześlicznie.

- Mój strój składa się z dwóch części, z całkiem prostej spódnicy i wyszywanego perełkami kubraczka, naprawdę pięknego. W ręku chcę trzymać malutki bukiet kwiatów... Zastanawiam się nad białymi różami. Co o tym sądzisz?

- Ja na twoim miejscu zdecydowałabym się na różowe - odparła Maeve z zadumą. - Białe całkiem znikną na tle sukni. A co zrobisz z włosami?

- Och, zamierzam włożyć długi welon, oczywiście - oznajmiła Mary.

Obie wybuchnęły śmiechem; dwie kobiety pochłonięte radosnym planowaniem uroczystości ślubnych, co od wieków należało do kobiecych zadań. Nie miało żadnego znaczenia, że narzeczona była trzy razy starsza od swojej druhny i cztery razy od człowieka, który miał poprowadzić ją do ołtarza.

Teraz wszystko może się zdarzyć, myślała Emma; sytuacja zrobiła się naprawdę niebezpieczna. Tamara w każdej chwili mogła opowiedzieć o wszystkim Amandzie... Choć Barney oświadczył, że, jego zdaniem, na pewno zabraknie jej odwagi.

- Uprzedziłem ją, że jeśli piśnie choć jedno słowo, osobiście skrucę jej kark. Mam wrażenie, że mi uwierzyła i że będzie trzymała buzię na kłódkę. Boże, co to za okropna krowa! Brrr, jak ja jej nie znoszę!

Wyglądało na to, że Tamara naprawdę jest paskudną łajzą, więc Emma uważała, że jeśli Toby rzeczywiście jest takim fajnym facetem, za jakiego uważał go Barney, to nie powinien pakować się w małżeństwo z kimś, kto stanowi jego absolutne przeciwieństwo.

Emma sama czuła się dość nieswojo na myśl o Amandzie, choć teraz jej głównym zmartwieniem stało się to, że Barney z konieczności musiał przebywać blisko Amandy: wspierać ją, pocieszać, pomóc przebrnąć przez te okropne dni i okropne wydarzenia - jej matka była zupełnie rozbita, jak mówił - więc w pewnej chwili może poczuć się nieodwracalnie wciągnięty na nowo w ich dawne układy. Żałoba jest potężną bronią; Amanda nie tylko mogła się spodziewać, że Barney będzie w stu procentach obecny w jej życiu, ale też miała do tego pełne prawo.

ROZDZIAŁ 40

- Dzień dobry, tu firma Woodentops.

Głos był dziarski i pewny siebie; bez wątpienia bardziej pasował do jakiegoś dziecięcego programu w telewizji niż do firmy zajmującej się stolarką.

- Dzień dobry. Tu Wydział do spraw Badania Wypadków Drogowych policji z Avon Valley.

- Ach, tak?

Głos nieco stracił poprzednie ożywienie.

- Chcielibyśmy skontaktować się z kierowcą jednego z waszych vanów...

- Mamy ich kilku, więc będą potrzebne pewne szczegóły. Proszę podać mi nazwisko kierowcy, numer samochodu...

- Niestety, nie znamy nazwiska ani numeru. Ale jeden z waszych samochodów był widziany na autostradzie M4 dwudziestego drugiego sierpnia po południu. Na nitce w kierunku Londynu. Czy ta wskazówka w coś pomoże?

- Proszę chwilę zaczekać.

Zapadła cisza; Freeman słyszał w tle, jak stukają klawisze klawiatury komputera.

- Prawdopodobnie chodzi o pana Thompsona, ale nie mam całkowitej pewności, że to był właśnie on. Będziecie musieli z nim porozmawiać. Jak już wspominałam, mamy kilka vanów, więc...

- Czy pan Thompson jest obecny?

- Nie, ale mogę się z nim skontaktować.

- Proszę przekazać mu prośbę, żeby do mnie zadzwonił. Proszę powiedzieć, że chodzi o rutynowe przesłuchanie. Mój numer to...

- Rick, znowu gdzieś pędzisz? Właśnie przed chwilą dzwonił z policji i pytali o ciebie. Lepiej, żebyś nie stracił prawa jazdy, bo jeśli ci zabiorą, wylecisz z roboty. A teraz powiedz, czy to ty jechałeś autostradą dwudziestego drugiego sierpnia po południu? No właśnie, tak myślałam, że to ty...

Cholera! Jak udało im się go wytropić? Oczywiście to nie miało żadnego znaczenia; ostatecznie nie zrobił nic złego. Pewnie uważają, że może dostarczyć im jakichś cennych informacji. Pieprzone gliny, zawsze muszą przesładować Bogu ducha winnych kierowców...

Nim wykręcił numer policji, wprowadził się w stan ekstremalnie sprawiedliwego oburzenia.

- Czy to ta Emma?

Boże! Już prawie zapomniała, jak cudownie jest po prostu słyszeć jego głos.

- Cześć, Barney. Ten Barney. Tak, to ja. Jak... Jak ci leci?

- Trochę ciężko. A co u ciebie?

- Dobrze. Naprawdę wszystko dobrze. Tęsknię za tobą, ale...

- Jak też tęsknię. Cholernie tęsknię. Dziś odbył się pogrzeb. To było okropne. Amanda była niewiarygodnie przygnębiona.

- Naturalnie.

- Ale była też bardzo dzielna i wręcz cudownie pocieszała swoją mamę.

Nie była przekonana, czy chce o tym słuchać.

- Zostajemy tu dzisiaj na noc...

Nie spodobało jej się słowo „my”; budziło skojarzenia, których nie potrafiłaby znieść.

- ... a rano wracam do roboty.

- To dobrze.

- Amanda pewnie przyjedzie za dzień albo dwa. Już i tak zbyt długo nie było jej w pracy.

- Tak, to oczywiste.

- Emma... Ja nie... To znaczy, ja nie mogę... Nie, dopóki...

- Barney, wszystko w porządku. Nawet nie musisz mi tego mówić. Nie możesz się spieszyć. Rozumiem.

- Wiesz co, Emma? Kocham cię.

- Ja...

Nie zdołała dokończyć. Słowa ugrzęzły jej w gardle. I rozłączyła się, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Drugiego dnia prób Georgia przyjechała wcześniej - wystarczająco wcześnie, żeby samej pójść na kawę z Merlinem - i poczuła, że powoli zaczyna czuć się w towarzystwie tych ludzi nieco bardziej komfortowo. Davina powiedziała jej, że wspaniale sobie radzi, Anna także przyjechała, żeby spróbować scenę z Georgią i z babcią. Z Anną pracowało się wręcz cudownie, ponieważ zachowywała się swobodnie, co innym dodawało odwagi... Poza tym zdołała tchnąć w swoją rolę nieco humoru. Georgia ze zdumieniem uświadomiła sobie, że stara się do niej dostroić, co od razu podniosło na wyższy poziom wszystkie sceny z jej udziałem. Ale najlepsze ze wszystkiego zdarzyło się pod koniec dnia - Merlin zaproponował, żeby wyskoczyli gdzieś na drinka, oczywiście, jeśli ona znajdzie czas. Georgia bez trudu znalazła.

Poszli do pubu, który znajdował się przy tej samej ulicy. Nawet już wejście tam wydawało się jej czymś zdumiewającym: miała wrażenie, że wszyscy na nich patrzą i myślą, jaki z niego przystojny facet i jaka z nich piękna para.

- No to jak? Dziś poszło lepiej? Bo wczoraj wydawało mi się, że jesteś bardzo spięta.

- Dziękuję, o wiele lepiej.

- Anna jest wspaniała, prawda? Jej życie to fascynująca historia. Poproś ją, żeby ci kiedyś opowiedziała.

- Okay. - Nagle przyszło jej do głowy coś, co na początek mogło być świetnym tematem do rozmowy. -

Może opowiesz mi coś o sobie, Merlin? Pewnie pracowałeś już przy wielu produkcjach?

- Nie, nie przy tak znów wielu. Mam cholerne szczęście, że się tutaj załapałem. Bryn jest naprawdę świetnym reżyserem. Sama zobaczysz, jak dużo można się nauczyć od kogoś takiego jak on.

- Czy... Czy chodziłeś do szkoły aktorskiej?

- Tak, do LAMDA. Zrobiłem tam dwuletni kurs na stanowisko inspicjenta. Nie pracuję zbyt długo w zawodzie - ostatecznie mam dopiero dwadzieścia sześć lat - i zarabiam naprawdę dziadowskie pieniądze, ale to nie takie ważne. Wciąż muszę mieszkać w domu rodziców. Chociaż jestem dość samowystarczalny, a moi starzy nie wtrącają się do moich spraw.

- A gdzie... Gdzie mieszkasz? - zdecydowała się zapytać, zachęcona tym, że przynajmniej nie mieszkał z dziewczyną.

- W Hampstead. Kawalek za Heath. Tam jest bardzo miło. Czasami, wczesnym rankiem, człowiek ma złudzenie, że mieszka na wsi. No wiesz, słyhać śpiew ptaków, i tak dalej. Mama codziennie pływa w naszych stawach...

- Naprawdę? - spytała, mając nadzieję, że wyszło to tak, jakby świetnie wiedziała, o jakie stawy chodzi.

- Tak. Mama jest naprawdę fajna. Świetnie się z nią dogaduję.

- A twój tata? Czy on także pływa?

- Och, nie. Tata nie pływa. Ogólnie jest dość słabowity. Chociaż latem jeździ do college'u na rowerze. Oczywiście wtedy, kiedy nie pada.

- Do college'u?

- Tak. Tata jest wykładowcą na Uniwersytecie Londyńskim. Zajmuje się polityką historyczną.

- O rany! Musi być strasznie mądry.

- Jest. O Boże, Georgia, fajnie się z tobą rozmawia, ale muszę lecieć. Muszę dostać się do Kensington. Jadę metrem, a ty?

- Ja też. Na Baker Street.

- Fajnie. W takim razie chodźmy razem.

Musiał chyba ją lubić, skoro zaproponował wspólną podróż metrem. Oczywiście tylko troszkę.

Następnego dnia nie pojawił się na planie, ale udało się jej pogadać trochę z Mo. Dzięki kilku niezobowiązującym pytaniom Georgia dowiedziała się co nieco na jego temat.

- Och, Merlin to prawdziwe serdeńko - rozczuła się Mo. - W dodatku jest taki przystojny! Boże, mógłby zachowywać się jak rozpuszczony bachor, a wcale tak nie jest. No, przynajmniej w niewielkim stopniu.

- Wygląda na to, że jego rodzice są dość... zamożni - zauważyła Georgia.

- No tak... dość. Ale przy tym są niewiarygodnymi socjalistami. Oboje należą do zapalonych działaczy Partii Pracy. Jego mama prowadzi w Hampstead antykwariat i sprzedaje całą masę politycznych książek, a oprócz tego zajmuje się wyszukiwaniem sponsorów i innymi tego typu sprawami.

- Ale Merlin... On wydaje się bardzo elegancki w sposobie bycia i w ogóle... Myślałam, że skończył Eton albo coś w tym rodzaju...

- Ależ skąd. Chodził do Holland Park Comp. Strasznie tam rozrabiał i parę razy oberwał solidne lanie, bo grupa naprawdę niegrzecznych dzieciaków doszła do wniosku, że on jest gejem, a rodzice wcale się nie starali, żeby mu pomóc. Ich zasady były o wiele ważniejsze niż syn. Biedny, biedny Merlin. Ale przecież wyszedł na ludzi. Teraz wszyscy go kochają.

- Czyli on nie jest... Prawda? - Georgia starała się nie wyglądać na zaniepokojoną.

- Nie jest kim? Ach, gejem! Pewnie że nie. Prawdę mówiąc, jest pełen wigoru, ten nasz kochany Merlin.
- Dla mnie był bardzo, bardzo miły - odparła Georgia.
- Tak, rzeczywiście, potrafi być bardzo... miły. Chociaż...

Mo popatrzyła na nią i Georgia odniosła wrażenie, że chciała jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie w tym momencie przyjechał Bryn Merrick; był wyraźnie czymś rozdrażniony i zażądał, żeby czym prędzej zaparzyć mu świeżo zmieloną kawę. A potem Davina zażyczyła sobie, żeby przeczytać całą scenę z Georgią i to, co Mo zamierzała powiedzieć, na zawsze pozostało jej słodką tajemnicą.

TLR

CZEŚĆ PIĄTA

NASTĘPNIE

ROZDZIAŁ 41

William wychodził z pubu w Bristolu o dość wczesnej, wieczornej porze, kiedy nieoczekiwanie ujrzał Abi. Ostatnimi czasy unikał tego miejsca jak tylko mógł, ale jeden ze starych przyjaciół, jeszcze z czasów Cirencester, zażyczył sobie, żeby William został drużbą na jego ślubie i zaprosił go razem z pozostałymi świadkami do pubu, żeby przedyskutować przy piwie wszystkie warunki i wymagania, jakie stawia przed nimi udział w ceremonii.

William bardzo starał się dopasować do nastroju chwili - wypił duszkiem zawartość paru kufli, śmiał się do rozpuku z kilku mało fortunnych dowcipów o drużbach i zgodził się, że zeszłotygodniowy Bal Myśliwych należał do wyjątkowo udanych - ale tak naprawdę czuł się przygnębiony jak jeszcze nigdy dotąd. Wirując w takt ogłuszającego rytmu Whippersnappersów, rozglądał się po innych imprezowiczach, starszych i młodszych, ale za to z takim samym DNA - wspólnym dla tego gatunku ludzi, do którego należą myśliwi urządzający sobie pogoń za lisim ogonem; spoglądał na grupę rozbawionych, ograniczonych ludzi, pogrążonych w szaleńczym tańcu, bardzo przywiązanych do swojego beznadziejnego stylu życia, i zastanawiał się, w jaki sposób ma wytrzymać wśród nich przez resztę swoich dni.

Abi szła chodnikiem, uginając się pod ciężarem toreb; pewnie kupiła prezenty na Boże Narodzenie, domyślił się. Jak zawsze była ubrana na czarno - miała czarny, skórzany płaszcz, wysokie do kolan czarne kozaki, czarną futrzaną czapkę... I przeciwsłoneczne okulary, mimo że na zewnątrz było już całkiem ciemno. Zobaczyła go, przez ułamek sekundy udała, że nie poznaje, a potem uśmiechnęła się blado.

- Cześć.

- Cześć, Abi. Co u ciebie słychać?

- Wszystko w porządku. A u ciebie?

- Och... Tak samo. Wszystko dobrze, dziękuję.

Czuł się okropnie i przez moment przemknęło mu przez myśl, że zaraz zwymiotuje albo straci przytomność.

- Byłaś na świątecznych zakupach?

- Tak. Boże, to coś okropnego. Istne pandemonium.

- Gdzie jest twój samochód?

- Kawaleczek dalej. Na parkingu. A co ty tutaj robisz?

- Mój kumpel się żeni i poprosił, żebym był drużbą. Właśnie spotkaliśmy się ze świadkami.

- Naprawdę? Kiedy ten ślub?

- W kwietniu.

- To chyba pora kocenia się owiec, co?

- Nie, nie u nas. U nas owce rodzą wcześniej.

- Naturalnie. W owczarni... - Zerknęła na niego i uśmiechnęła się szelmowsko. - Widzisz, jak dużo pamiętam? A tak naprawdę wcale nie zapomniałam.

O Boże, Boże, Boże! Nie powinna była tego mówić! Do tej pory wszystko było w porządku; on wydawał się dobrej formie, w całkiem dobrej formie, i właśnie chciał iść dalej, wymieniwszy z nią uprzejme słowa powitania. Ale ta nieszczęsna owczarnia...

- Ja też mam tam samochód - powiedział. - Pozwól, że pomogę ci nieść te torby.

- Świetnie. Wielkie dzięki.

Nie było między nimi żadnego napięcia, żadnego niezręcznego milczenia; Abi pytała, jak się miewa, co porabia i czym zajmuje się na farmie w ciągu długich zimowych miesięcy. On już zapomniał, jak bardzo wszystkim się interesowała i jak mu to odpowiadało. To było nadzwyczajne - nadzwyczajne i nadzwyczaj przyjemne.

Samochód Abi stał na poziomie parteru; William nagle uświadomił sobie, że liczył na dłuższy spacer, że miał nadzieję, że może wsiąść do windy i że ich spotkanie potrwa znacznie dłużej.

Otworzyła bagażnik.

- Dziękuję, Williamie. To było bardzo uprzejme z twojej strony.

Bez słowa włożył torby do bagażnika; zatrzasnęła klapę i odwróciła się do niego. Znajomy zapach, zapach jej perfum był tak uderzający, że aż zakreśliło mu się w głowie.

- Miło było cię zobaczyć - powiedziała. - Często myślałam, że fajnie by było cię spotkać. Po prostu po to, żeby... żeby powiedzieć „do widzenia” w bardziej przyjemnych okolicznościach. Ale nie miałam na to specjalnej nadziei. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach, prawda? Albo w książkach. Jakie były szanse na to, że William Grainger, farmer, i Abi Scott, asystentka fotografa, naprawdę wpadną na siebie, ot tak, przez czysty przypadek? Jedna na milion, a pewnie nawet na miliard.

Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

- Do widzenia, Williamie. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam.

- Mnie? Za co? - odparł i przez moment naprawdę nie potrafił wpaść na to, z jakiego powodu go przeprasza.

- Za to, że jestem taka, jaka jestem. No dobrze... - Odwróciła się, podeszła do samochodu i otworzyła drzwiczki. - Uważaj na siebie. Aha, no i życzę ci wesołych świąt.

Wsiadła, zatrzasnęła drzwi i włączyła silnik. William stał obok, niemy i bezradny, nie mogąc zdobyć się na żadne słowo ani działanie. Ona tu była - to nie żadne wspomnienie ani wyobraźnia, ale najprawdziwsza prawda. Była jak zwykle radosna, zabawna, seksowna i interesująca. Interesująca i zupełnie w jego typie. A teraz odjeżdżała - znowu - zostawiając go na pastwę nowego, a raczej starego życia, pustego i monotonnego, w którym nie było na co czekać, chyba tylko na rozrzucanie gnoju albo odwalanie papierkowej roboty, czego szczerze nienawidził.

Wrzuciła pierwszy bieg, odkręciła szybę i posłała mu jeszcze jeden pocałunek.

- Do widzenia - powtórzyła.

Ruszyła z miejsca i William musiał odskoczyć na bok. Jakimś cudem udało mu się uśmiechnąć. Auto powoli wytoczyło się z garażu. Abi odjeżdżała, znów zostawiała go samego, ale tak musiało być, to było jedyne słuszne rozwiązanie. Powinien zwyczajnie czuć się zadowolony, że - jak to powiedziała - mieli okazję porządnie się pożegnać. To było jedyne wyjście. Absolutnie jedyne.

Barney nie mógł uwierzyć, że tak cholernie będzie bolała go świadomość straty Toby'ego. Czasami zdarzało mu się myśleć, że to chyba gorsze niż utrata Emmy. Przynajmniej mógł pójść do niego i porozmawiać o Emmie - z jedyną osobą na całym świecie, której, jak sądził, mógł zaufać, z którą mógł pogadać na każdy temat. Ostatecznie nie można przyznawać się zbyt wielu osobom do swojego szaleństwa.

Czuł się tak, jakby nagle odkrył, że rolex oyster, który dostał od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny, jest jedynie tanią podróbką. Toby, jego najlepszy przyjaciel, któremu bez wahania powierzyłby swoje życie, okazał się właśnie taką tanią podróbką. Barney wciąż nie mógł w to uwierzyć. Albo, co gorsza, nie mógł uwierzyć, że okazał się tak głupi i że pozwolił, żeby Toby tak długo mydlił mu oczy. To także bolało. Przez większość czasu był nieprawdopodobnie wściekły - wściekły na Toby'ego, wściekły na siebie, wściekły na Tamarę.

Wiedział, że do końca życia nie zdoła zapomnieć tamtego wieczoru, kiedy przyjechała specjalnie po to, żeby mu naurągać i nawyzywać od ostatnich łajdaków. W pierwszej chwili pomyślał, że chyba dopadło ją załamanie nerwowe, że to skutek odwołania tego nieszczęsnego ślubu.

Ale potem, gdy nieco się uspokoiła, jakoś udało mu się skłonić ją do powiedzenia, co takiego okropnego zrobił, a kiedy ta straszliwa prawda utorowała sobie drogę do jego świadomości, nagle poczuł się tak paskudnie, że miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

- No i co, Barney - powiedziała - ciekawe, co masz mi do powiedzenia? Czy naprawdę sądziłeś, że uda ci się jakoś wymigać? Że wciśniesz mi takie gówno?

Nie było sensu mówić jej, że to Toby wciskał jej gówno, że to Toby łągał jak pies. Najpierw musiał sam stanąć z nim twarzą w twarz. Powiedział jej po prostu, że bardzo mu przykro, że sprawił jej tak wielką przykrość, najwyraźniej zaszło jakieś straszne nieporozumienie i on zrobi wszystko, żeby jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę. Wreszcie zostawiła go, uprzednio obrzuciwszy paroma przykrymi epitetami; była naprawdę tak wściekła, że Barneyowi niemal zrobiło się jej żal.

Toby ją okłamał. Następnego wieczora Barney pojechał do niego do domu, powiedział państwu Weston, że zabiera ich syna na drinka, a potem zaparkował kilometr od ich domu i postawił sprawę jasno.

- Stary, ona oszalała. Musiała źle zrozumieć to, co jej mówiłem.

- Nie - odparł Barney. - Nie zrozumiała źle. Bardzo, bardzo jasno pamiętała wszystko, co jej mówiłeś. Prawdę powiedziawszy, powtórzyła mi to słowo w słowo. Mogę ci to powtórzyć, jeśli sobie życzysz, tylko nie wydaje mi się, żebym miał ochotę słuchać następnych kłamstw.

Nie mam pojęcia, Toby, dlaczego to zrobiłeś. Cholernie zawiodłem się na tobie.

- Sam siebie nie rozumiem - odparł Toby, a jego głos nagle zabrzmiał dziwnie cicho. - Z tyłoma rzeczami musiałem jakoś dawać sobie radę, z tym całym wypadkiem, z nogą i tak dalej, że pomyślałem, że... że najprościej będzie powiedzieć jej to, co powiedziałem. Strasznie mi przykro, stary... Wciąż czuję się paskudnie, Barney, przez większość czasu noga boli mnie jak cholera, prawie wcale nie śpię...

- Och, z całego serca ci współczuję - zakpił Barney. - Mogę jakoś dać sobie radę z tym, że okłamałeś Tamarę... Na twoim miejscu też bym tak zrobił. Ale nie zniosę, że kłamałeś na mój temat. To obrzydliwe, Toby. Czy jeszcze komuś naplotłeś jakichś bzdur o mnie, o czym chyba powinienem wiedzieć, żeby nie spotkała mnie kolejna przykra niespodzianka? Jeśli nie, to odchodzę.

- Ja... - Toby chciał chyba coś powiedzieć, ale nagle zamilkł. - Nie, Barney. Pewnie, że nie.

- To dobrze. Tylko nie rozumiem, skąd się wzięło to „pewnie, że nie”.

- Barney, ja... Ja bardzo przepraszam. Naprawdę bardzo.

- W porządku. Teraz podrzucę cię do domu. Musisz szybko wymyślić kolejną historyjkę, żeby uraczyć czymś swoją mamusię. Ciekawe, dlaczego mi się zdaje, że przyjdzie ci to bez trudu?

Sam czuł się tak nieszczęśliwy, że rozplakał się rzewnymi łzami, gdy tylko wysadził Toby'ego pod domem jego rodziców. Zaparkował na końcu ulicy i łkał jak mały chłopczyk, a potem powoli ruszył z miejsca i pojechał w stronę Londynu.

Do domu dotarł dobrze po północy; usiadł przy stole i upił się whisky, szczęśliwy, że Amanda spędzała ten wieczór gdzie indziej. Czuł się zdradzony nie tyle przez Toby'ego, ile przez samo życie. To było cholernie nie fair.

I kiedy Emma zadzwoniła dwa tygodnie później i powiedziała, że przemyślała całą sprawę i naprawdę nie sądzi, żeby istniała dla nich jakaś wspólna przyszłość, a już na pewno nie taka, w której nie musieliby skrzywdzić Amandy, najwyraźniej nadal darzonej przez niego głębokim uczuciem, i poprosiła, żeby nie próbował się z nią spierać ani spotykać - ze zdumieniem poczuł, że wcale go to nie zaskoczyło.

Był nieszczęśliwy, zraniony i oszołomiony, ale nie zaskoczony.

- No dobrze - oznajmił Freeman i popukał w stertę leżących przed nim dokumentów. - Chyba wszystko gotowe do wysłania. Tuziny przesłuchań, setki godzin... Ale w mojej opinii nie ma żadnej gwarancji, że sprawa trafi do prokuratora. Tak naprawdę nikogo z przesłuchanych nie można postawić w stan oskarżenia.

- A naszego przyjaciela, pana Thompsona?

- Nie ma szans. Z nim mieliśmy najgorszą robotę i bez wątplenia to właśnie Thompson przyczynił się do tego, że w samochodzie tamtych chłopaków wybuchła opona, ale nigdy nie zdołasz mu tego udowodnić.

- Może przynajmniej w przyszłości będzie odrobinę ostrożniejszy.

- Może. Odrobinę. Przez chwilę. A potem wypnie się na wszystko i znowu będzie jeździł tak jak dawniej. Chciałbym wiedzieć, że gnojek przynajmniej dostał jakiś mandat. No, ale cóż... Powiedzmy, że w tej sytuacji mogliśmy tylko wezwać go na przesłuchanie.

Konstabl Rowe poczuł, że prawie żał mu Freemana; biedak wyglądał tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

Podczas przesłuchania na policji Rick zachowywał się wyzywająco i był w wyraźnie wojowniczym nastroju. Tak, wiózł w samochodzie ładunek drewna; ostatecznie na tym polega jego praca. Nie, absolutnie nie przypomina sobie, żeby jechał w niebezpieczny sposób.

- A to drewno, panie Thompson? Czy było prawidłowo zapakowane?

- Pewnie, że tak.

- I to były nowe deski, tak?

- Tak.

- Nie było w nich na przykład żadnych gwoździ?

- Jasne, że nie.

- No dobrze. Jak więc pan wytłumaczy fakt, że kilkoro świadków widziało, że tylne drzwi pańskiego vana związane były zwykłym kawałkiem sznurka?

- Może rzeczywiście obwiązałem klamki sznurkiem. To chyba nic złego, prawda? I wcale nie oznacza, że drzwiczki nie były prawidłowo zamknięte.

- Więc rozumiem, że jest pan pewien, że żaden kawałek deski, na przykład taki, w którym tkwiły gwoździe, nie wysunął się na jezdnię?

- Tak, całkiem pewien. Już mówiłem, że to było nowe drewno.

Mężczyzna ze składu w pobliżu Stroud dość wyraźnie pamiętał Ricka. Zwłaszcza pamiętał jego żądanie, żeby zabrać od niego stare belki, czemu on sam stanowczo się sprzeciwił. Przypomniawszy sobie także, że potem tenże Thompson poprosił go o kawałek sznurka, żeby związać nim tylne drzwi, choć sznurek był za krótki, by zrobić to porządnie.

Rick został powiadomiony, że będzie powołany na świadka, jeśli odbędzie się proces albo dochodzenie dotyczące wypadku.

- Coś takiego! Przecież nawet nie byłem w pobliżu tej cholernej katastrofy!

- Parę osób straciło życie, panie Thompson - odparł Freeman. - Naszym obowiązkiem jest znaleźć odpowiednie wyjaśnienie, dlaczego tak się stało. Można przypuszczać, że odegrał pan pewną rolę w zdarzeniu, które doprowadziło do śmierci tych ludzi. W odpowiednim czasie odezwiemy się do pana.

- Myślę, że powinienem się na trochę wyprowadzić - powiedział Jonathan. - To do niczego nas nie doprowadzi.

Bez pukania wszedł do gabinetu Laury, gdzie borykała się z jakąś szczególnie niewdzięczną pracą; było już późno, dzieci dawno poszły do łóżek.

- Co do niczego nas nie doprowadzi?

- Taki stan rzeczy. Najwyraźniej nie możesz znieść mojego widoku.

- Czy chcesz powiedzieć, że czujesz się zaskoczony?

- Nie, Lauro. Ale nie możemy tak żyć przez następne czterdzieści lat albo coś koło tego.

- Uwierz mi, że wcale tego nie chcę. Po prostu... Staram się zdecydować, co będzie najlepsze. Dla nas wszystkich.

- Przypuszczam, że masz na myśli raczej dzieci niż siebie czy mnie, tak? - spytał.

- Siebie też. Ale głównie dzieci.

- Dobrze. W takim razie sądzę, że lepiej będzie, jeśli zamiast żyć w tej zatrutej atmosferze...

- Chyba nie chcesz zasugerować, że to ja stwarzam tę zatrutą atmosferę, co? - przerwała mu.

- No cóż, do pewnego stopnia tak. Oczywiście, masz usprawiedliwienie, ale...

- Jonathan, nie wierzę własnym uszom, że powiedziałeś coś podobnego. Nie zrobiłam nic złego. Tylko próbuję... próbuję jakoś sobie poradzić z tym, co ty zrobiłeś. Zdradziłeś mnie, Jonathanie, całkowicie i pod każ-

dym możliwym względem; kłamałeś i okłamywałeś mnie na każdym kroku, zламаłeś wszystkie obietnice, wszystkie małżeńskie przysięgi.

- Lauro, tyle razy już mówiłem, że tego żałuję, że rozpaczliwie tego żałuję... Oddałbym wszystko, co mam, żeby tamto nigdy się nie wydarzyło.

- Och, nie sądzę, żebyś oddał tak zupełnie wszystko. Swoją ceną karierę, pełen uwielbienia zespół, te wszystkie zapatrzone w ciebie pacjentki? A jeśli rzeczywiście jesteś taki zdesperowany, to czemu nie przyszło ci do głowy, jak bardzo niewłaściwe jest to, co robisz, jaką krzywdę wyrządzasz nam i naszemu małżeństwu? Nie, ty pewnie uważałeś, że wolno ci tak postępować, zadawać się z tamtą... Wobec tego albo jesteś zepsuty do szpiku kości - choć, prawdę mówiąc, tak nie uważam - albo w naszym związku czegoś brakowało. Więc nie staraj się niczego mi wyjaśniać, bo nie sądzę, żebym mogła spokojnie to znieść.

Bez trudu spostrzegła, że go zaskoczyła; nie tym, co powiedziała, lecz że w ogóle ośmieliła się robić mu wyrzuty. To nie była Laura, jaką dotąd znał; to nie jego łagodna, wyrozumiała żona. Ale ona też wiedziała, że to nie był dawny Jonathan - kochający, lojalny mąż i ojciec, dla którego rodzina stanowiła centrum istnienia. Szybko i daleko odchodzili od swoich poprzednich wcieleń i nie było wiadomo, w którym momencie ten proces się zakończy, ani gdzie wówczas będą.

- Czyli... W takim razie faktycznie powinienem odejść z domu - powiedział. - Nie ma sensu, żebym tu dłużej tkwił. Wygląda na to, że dzieci też nie mają ze mnie pożytku. Załatwię wszystko tak, żebym mógł je widywać w weekendy, i tak dalej... Wtedy zdecydujemy, co dalej z tym zrobić.

- Dobrze.

Poczuła, że nagle robi się jej słabo.

- Chyba już pójdę do łóżka - oznajmiła, podchodząc do drzwi.

Na schodach coś zaszurało; podniosła wzrok i ujrzała Charliego, który patrzył na nią z góry, a na jego bladej buzi szybko formowały się dwa krwiste rumieńce. Najwyraźniej słyszał każde słowo.

Georgia wciąż była lekko zaskoczona faktem, że oto mieszka u najlepszego przyjaciela Merlina... No, może nie tak zupełnie u niego, lecz raczej w jednym z lokali mieszczących się w należącym do niego domu w Paddington. Zawsze sobie wyobrażała, że będzie dzieliła mieszkanie z gromadą innych dziewczyn, albo chłopaków i dziewczyn, i że wszystko będą robić wspólnie - jeść razem, razem włóczyć się po mieście - a nie że zostanie skazana wyłącznie na siebie, że będzie musiała sama zdobywać na wszystko fundusze, sama sobie gotować, wstawać rano i wychodzić rano z domu. Z początku wszystko to wydawało się jej niesamowite, ale nie miała wyjścia.

Wszystko zaczęło się od kłótni z Lindą, u której się zatrzymała. Linda zachowywała się naprawdę dziwnie; o wiele mniej niż kiedyś interesowała się jej poczynaniami, była wymagająca, krytyczna, potrafiła urządzać awantury o takie głupoty, jak kilka brudnych kubków albo zbyt głośno nastawiona muzyka, i bez przerwy suszyła jej głowę, żeby wreszcie znalazła sobie mieszkanie.

W pewien poniedziałkowy poranek Georgia obejrzała chyba ze sto - no dobrze, przynajmniej dziesięć - pokojów albo mieszkań do wynajęcia, ale wszystkie okazały się wręcz tragiczne. W życiu nie spodziewała się, że znalezienie mieszkania okaże się takim ciężkim zadaniem. Po południu poszła na próbę i Bryn Merrick na nią nakrzyczał, kiedy wciąż myliła się w swojej scenie, więc o szóstej niemal wybiegła stamtąd z płaczem. Za-

lana łzami przyjechała do mieszkania Lindy - tylko po to, żeby się przekonać, że Lindy nie ma. Spędziła więc sama naprawdę przykry wieczór, a potem o dziewiątej przyjechała Linda, w dodatku w paskudnym nastroju, bo jakiś kontrakt został unieważniony, a ona musiała parę godzin męczyć się w towarzystwie prawników.

Georgia zdołała wydusić z siebie parę słów współczucia, i nawet zaparzyła dla Lindy herbatę, ale potem, gdy Linda już usadowiła się na sofie i sięgnęła po pilota, zebrała się na odwagę.

- Lindo, muszę z tobą pomówić.

- Akurat w tej chwili?

- Tak. Raczej tak. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- A jeśli mam?

- To i tak bym chciała.

- No już dobrze. - Linda odłożyła pilota, skrzyżowała ramiona i spojrzała na nią. - O co chodzi?

- No bo... Lindo, to dla mnie strasznie trudne. Ten serial, te próby, to wszystko. Ale głównie Bryn Merrick. On zwyczajnie mnie nie lubi i to od razu wprawia mnie w nerwowy nastrój. Wiesz przecież, że ja wciąż... Wciąż czuję się niezbyt dobrze po tamtym wypadku i wciąż na nowo uświadamiam sobie, co wszyscy myślą na mój temat. I jeszcze ten Frank, on tyle od nas wymaga, a ja dziś kompletnie spieprzyłam swoją scenę, i wszyscy byli tak... tak źle do mnie nastawieni, więc przez całą drogę do domu ryczałam ja bóbr. Może... Może mogłabyś jakoś mi pomóc, pogadać o tym z Brynem, czy jak? A może lepiej, żebym zrezygnowała, niechby poszukali sobie kogo innego do roli Rose... Georgia nigdy nie widziała, żeby Linda aż tak straciła panowanie nad sobą; to się zdarzyło po raz pierwszy. Odstawiła filiżankę, zerwała się z sofy i przez całą szerokość pokoju rzucała jej wściekle spojrzenie.

- Georgia, mnie też jest bardzo ciężko, i powiem ci, co jest przyczyną tego stanu rzeczy. Ty. Ty i twój żaloszny, samolubny stosunek do samej siebie. Dostałaś tę rolę, tę zdumiewającą szansę, żeby zaistnieć w zawodzie, a mimo to od samego początku narzekasz, że to czy tamto ci nie odpowiada. Powiem uczciwie, że gdybym brała udział w tej produkcji, to też bym cię zniechęciła. Nikogo nie interesuje, czy masz za sobą jakieś traumatyczne przeżycia albo wyrzuty sumienia, choć jestem pewna, że początkowo wszyscy ci współczuli. Zostałaś zaangażowana, żeby wykonać konkretną robotę. Dorośnij wreszcie. Życie jest ciężkie, więc spróbuj się do tego przyzwyczaić. I po drodze znajdź sobie wreszcie jakieś miejsce, gdzie mogłabyś mieszkać.

Tej nocy Georgia wcale się nie położyła. Nawet się nie rozebrała. Ogarnięta przerażeniem, siedziała w wygodnym fotelu, który stał w jej pokoju. Wciąż słyszała słowa Lindy; raz po raz przepowiadała je sobie w pamięci, starając się wyłowić z nich sens i uwierzyć, że Linda mogła tak okropnie ją potraktować. Ale w miarę jak mijała noc, w jej głowie coraz donośniej brzęczał cieniutki głosik, który podpowiadał, że Linda miała rację, przynajmniej częściowo. Georgia wciąż uważała, że Linda zachowała się paskudnie i że powinna była zauważyć, że ona potrzebuje odrobiny wsparcia, a nie skopania dupy, ale dopóki nie mogła wynieść się z jej mieszkania i znaleźć czegoś innego... Ktoś zasugerował, żeby spróbowała w YMCA, co swego czasu mocno ją przeraziło, ale z dwojga złego chyba jednak lepiej było mieszkać tam, niż nadal obijać się po mieszkaniu Lindy.

O szóstej rano podniosła się z fotela, spakowała swoje rzeczy, napisała liścik do Lindy, że dłużej nie zamierza wchodzić jej w drogę, a następnie wezwała taksówkę i pojechała prosto do kościoła - do sali, w której

akurat odbywały się próby. Wiedziała, że sprzątaczkę przychodzą o szóstej, ale nie przypuszczała, że o tej porze zostanie tam Merlina.

- Co, ciężka noc? - zagadnął współczującym tonem.

- Nie, a już na pewno nie w tym sensie, o jakim myślisz - wykrztusiła i zalała się łzami.

Merlin okazał się wręcz cudowny; znalazł jej pudełko chusteczek, a potem usiadł obok, objął ramieniem i poprosił, żeby opowiedziała, co się stało. Zrobiła to, ale najpierw musiała wziąć się w garść, bo oto stało się to, o czym marzyła przez ostatnie cztery tygodnie, czyli znalazła się w bliskim fizycznym kontakcie z Merlinem Gerardem, co nie okazało się szczególnie ekscytujące, lecz raczej miłe i dodające otuchy.

Opowiedziała mu o wszystkim, od samego początku.

Merlin zareagował w naprawdę przemyślany sposób; zaczął od tego, że potrafi sobie wyobrazić, jak okropnie musiała czuć się po tej katastrofie i że naprawdę podziela jej uczucia - „to niegodziwe, co wypisują w tych tabloidach” - ale zapewnił, że nikt z zespołu nie brał sobie do serca tych rewelacji.

- Wszyscy bardzo cię lubią, Georgia; Davina wciąż powtarza, że jesteś słodkim stworzeniem, a Bryn potrafi być przykry, ale jest perfekcjonistą i nawet w najmniejszym stopniu nie żałował, że wybrał cię do tej roli. Radzisz sobie naprawdę świetnie. Masz wielki talent, jak zapewne wiesz, i moim zdaniem powinnaś trochę bardziej wierzyć w siebie.

Georgia pociągnęła nosem.

- Wcale nie czuję, żebym miała wielki talent. Nie czuję, żebym w ogóle go miała.

- Ale masz. Teraz muszę już iść; przyjechałem dzisiaj tak wcześnie, żeby nadgonić trochę roboty, a jeśli Mo przyłapie mnie, że siedzę tutaj i gawędzę z tobą, od razu zrobi się zła. Ale... Co robisz dziś wieczorem?

- Nic. - Georgia bardzo starała się uwierzyć, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. - Pewnie będę szukać sobie jakiejś ławki w parku.

- Dlaczego? Ach tak, przecież Linda wyrzuciła cię z domu... Jestem przekonany, że wcale nie o to jej chodziło, choć z drugiej strony, przyda ci się odrobina samodzielności. Ale chyba mogę ci pomóc. Pokręć się tu trochę, jeśli skończysz wcześniej niż ja, a potem pójdziemy gdzieś na drinka i powiem ci, co wymyśliłem.

Szybko cmoknął ją w policzek i zniknął w kuchni. Georgia przez resztę dnia chodziła jak w transie.

Pomoc, o której wspominał Merlin, pojawiła się w postaci jego przyjaciela, chłopaka o imieniu Jazz. Jazz pomagał swojemu ojcu w biznesie budowlanym i w prowadzeniu czegoś, co nazywał swoim imperium nieruchomości, a co sprowadzało się do posiadania dwóch ogromnych, sypiących się kamienic, które znajdowały się przy niewłaściwym końcu Portobello Road.

- Te domy podzielone są na jednopokojowe mieszkania - wyjaśnił Merlin. - I zwykle przynajmniej do paru mieszkań akurat szukają lokatorów. Zaraz do niego zadzwonię.

Jazz powiedział, że owszem, jeden z lokali jest wolny, i żeby Merlin przywiózł Georgię za godzinę albo coś koło tego, to pokaże jej mieszkanie.

Jazz był naprawdę świetnym facetem; od razu się jej spodobał. Wyższy od Merlina i dość przysadzisty, z krótko przyciętymi, czarnymi włosami i oczami jak dwa węgle. Wciąż klepał Merlina po ramieniu, nazywając go starym kumplem, ciągle się z nim droczył, kpił z jego pracy, i parę razy pozwolił sobie na uwagę, że Merlin to cholerna ciota.

- Wybacz moją francuszczyznę - uśmiechnął się szeroko na widok miny Georgii. - Przecież to tylko głupie żarty. Przez wiele lat siedzieliśmy razem w budzie, prawda, koleś? Zawsze myślałem, że jest trochę podobny do mnie, w szkole trochę razem rozrabialiśmy, ale nie martw się, skarbie, o naszym Merlu nie da się powiedzieć złego słowa. No dobrze, to może pójdziemy rzucić okiem na mieszkanie, co?

Mieszkanie było dość ponure; mieściło się na samej górze i składało z połączonych dwóch strychów. Znajdowała się tam gazowa kuchenka i zlew, oddzielony zasłoną od reszty mieszkania, i elektryczny licznik z automatem do monet. Łazienka była piętro niżej; nawet nie było tam brudno, lecz raczej niechlujnie, a przede wszystkim przeraźliwie zimno. Na wannie widniały plamy, a dookoła podstawy kibelka kleiła się podejrzana wilgoć, która wydzielala nieprzyjemny zapach.

Jednak rekompensatą za te niedogodności był wspaniały widok. Co prawda, można go było podziwiać jedynie z małego okienka w wykuszu. Georgii spodobał się też zaokrąglony sufit, który po dwóch stronach niemalże dotykał podłogi. I to, że to mieszkanie mogło należeć wyłącznie do niej. Mogło stać się jej domem. Bez wahania powiedziała, że decyduje się je wynająć.

- Super - odparł Jazz. - Jest twoje. Tuż obok mieszka pewien gość, który udziela się w organizacji charytatywnej. Prawdziwy dobroczyńca. Nie będzie ci sprawiał żadnych kłopotów. Zresztą gdyby coś takiego miało miejsce, wystarczy, że dasz mi znać. Nie przyjmujemy żadnych ordynarnych typków. Mieszkają tu sami mili ludzie, głównie kobiety. Zobaczysz, że będzie całkiem fajnie. I rzeczywiście było.

W miejsce brudnej zasłonki, oddzielającej kuchenną wnękę, Georgia powiesiła bambusowy ekranik, w Ikei kupiła kilka grubych żaluzji i wspaniała, futrzaną narzutę w białym kolorze do przykrycia łóżka i drugą taką samą, żeby zakryć toporny fotel, chyba od razu wyprodukowany z myślą o mieszkaniach do wynajęcia... Poza tym zafundowała sobie konwektorowy grzejnik. Zżerał mnóstwo pieniędzy i nie do końca ogrzewał mieszkanie.

Jednak lubiła to mieszkanie; było tylko jej, jej dom, za który sama płaciła. Nareszcie czuła się niezależna i zadowolona z siebie, i to pomogło jej przetrwać bardzo trudny okres, jakim była dla niej praca w serialu.

Georgia znalazła wielkie wsparcie w przyjaźni, jaką zaoferowała jej Anna.

Anna miała wspaniałe życie; uczyła się klasycznego śpiewu, ale zakochała się w pewnym jazzowym pianiście, który nazywał się Sim Foster, i uciekła z nim w świat. Georgia bez trudu rozumiała, jak to się mogło stać: Anna była osobą niesamowicie czarującą, prezentowała się superatrakcyjnie nawet bez makijażu i wyglądała o wiele młodziej niż na swoje sześćdziesiąt lat. Mówiła, że uwielbia role charakterystyczne. „Im mniej muszę grać samą siebie, tym bardziej mi się to podoba” - powtarzała.

Jej rodzice mieszkali w Surrey i byli przerażeni, że ich ukochana córeczka postanowiła żyć z kimś, kogo pogardliwie określali mianem czarnucha - i to w dodatku bez ślubu - i że razem z nim włóczyła się po świecie, przez piętnaście lat śpiewając jazz w rozmaitych klubach.

- On był fantastycznym facetem, Georgia, i nie tylko do pierwszej kłótni. Uwielbiałam go, i uwielbiałam życie, jakie prowadziliśmy, te wszystkie cudowne, zadymione bary... Boże, jak bardzo tęsknię za takimi barami... Wyobraź sobie, że graliśmy nawet w Nowym Orleanie.

We dwoje odnosili całkiem spore sukcesy, oczywiście nie takie jak Cleo Laine i Johnny Dankworth. „Ale udało nam się wydać jeden album i parę razy zaistnieć w telewizji”.

Potem Sim umarł - „no dobrze, tak naprawdę sam się zabił, bo zażył o jedną dawkę kokainy za dużo” - i Anna wróciła do domu. Musiała stworzyć nowe życie dla siebie i ich córki Lily.

- Wtedy miała zaledwie cztery lata... Musiałam ją jakoś utrzymywać, więc wzięłam się do pozowania, reklamowania różnych dupereli w rozmaitych katalogach, brałam udział w paru reklamówkach w telewizji... I tak jedna rzecz prowadziła do następnej, a ponieważ szczęście mi sprzyjało, w końcu zaczęłam grać... Minęło dwadzieścia lat i oto jestem tu, gdzie jestem.

Lily była w college'u i uczyła się muzyki.

- Gra na klarnecie, ale, moim zdaniem, dość kiepsko, tyle mogę ci powiedzieć. Trochę mi ją przypominasz, Georgia.

Pewnego wieczora Lily zjawiła się na planie, żeby zabrać swoją matkę. Była bardzo ładną, wesołą dziewczyną, więc Georgia uznała to porównanie za raczej pochlebne.

Anna uczyniła wiele, żeby pomóc Georgii opanować nerwy.

- Wiem, jak to jest; chyba ze mną było jeszcze gorzej. Ostatecznie zaczynałam w wieku lat czterdziestu, a nie dwudziestu. Pewnie, że to nie jest łatwe, ale przecież dostałaś tę rolę, więc musisz sobie poradzić, na liłość boską! Wszyscy inni od lat należą do tego klubu, wnieśli tu swój język i swoje zwyczaje, a ty jesteś na zewnątrz i walczysz, żeby wpuścili cię do środka.

Teraz rozpoczęli nagrywanie całości i Georgia doszła do wniosku, że pod pewnymi względami jest to o wiele łatwiejsze niż próby. Przekonała się w końcu, że jej problemy wynikały z braku doświadczenia, a nie z wrogiego nastawienia zespołu, i w konsekwencji nabrała pewności siebie.

Pozostali traktowali ją naprawdę bardzo sympatycznie... Nawet sam Bryn Merrick znalazł czas, żeby przerobić z nią pewne sceny.

Udało jej się także pojednać z Lindą; podczas spotkania Georgia zalała się łzami, Linda także trochę sobie popłakała, a potem oświadczyła, że jest niesamowicie z niej dumna i że sam Bryn Merrick osobiście zadzwonił do niej, żeby powiedzieć, jak znakomicie Georgia sobie radzi, choć on świetnie wie, że to musi być dla niej trudne doświadczenie. Powiedziała, że jest pod wrażeniem, że tak wiele udało się jej osiągnąć i nawet przeprosiła za swoje zachowanie tamtego wieczoru, kiedy poniosły ją nerwy.

- Bardzo cię przepraszam, Georgia, to było paskudne.

- Wszystko w porządku - zawołała Georgia, obejmując ją serdecznym uściskiem. - Dobrze, że tak zrobiłaś, w przeciwnym wypadku pewnie nadal siedziałabym ci na głowie.

A tak naprawdę, nic z tego by nie wyszło, gdyby nie Merlin; czuła, że swoją samodzielność zawdzięcza wyłącznie jemu. Powiedziała mu o tym i nawet zaproponowała, że w dowód wdzięczności zaprasza go na kolację, którą osobiście ugotuje na swojej gazowej kuchence.

Merlin odmówił; poczuła się rozczarowana, choć jego odmowa wcale jej nie zaskoczyła. Ostatecznie obracał się w tak wyśmienitych kręgach towarzyskich, bez przerwy wspominał nazwiska sławnych pisarzy albo artystów, a nawet polityków Partii Pracy, którzy bywali na proszonych kolacjach w domu jego rodziców. W jaki sposób ktoś taki mógłby zadowolić się zwykłym chilli - jej jedynym, jak dotąd, osiągnięciem kulinarnym - ugotowanym w jednopokojowym mieszkanku? Ale nadal odnosił się do niej przyjaźnie, zapraszał po pracy na drinka i prawil komplementy.

Pracę przy filmie często determinowała pogoda; była zima, więc często zdarzały się dni, gdy musieli zostać wewnątrz budynku i w ciągu paru chwil przestawiać się z jednej sceny na drugą. To wymagało też ciągłej zmiany garderoby i było pełnym koszmarem, jeśli chodzi o spójność emocjonalną poszczególnych scen.

Jednak sceny, które odbywały się we wnętrzu domu, wkrótce się skończyły i pewnego listopadowego poranka Georgia musiała pobiec ulicą w samym T-shircie i szortach, kupić lody i, liżąc je, zatrzymać się na chwilę, żeby zamienić parę słów na temat swojej babci z kobietą sprzedającą kwiaty na straganie. Słońce pięknie świeciło, ale wcale nie było ciepło, a ona musiała z pięć razy powtarzać wszystko od początku, bo pomimo wysiłków Merlina, w tle wciąż pojawiały się jakieś samochody. Najwyraźniej to był jeden z tych dni, o którym z góry było wiadomo, że Bryn dostanie napadu złego humoru, chociaż, jak zauważyła później Georgia, kiedy już siedzieli razem z Merlinem w pubie - „na litość boską, on przecież miał na sobie gruby płaszcz, szalik i rękawiczki”.

Nastawienie Merlina do niej wciąż wprawiało ją w zakłopotanie. Był taki miły, tak uważający, i wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście nie miał żadnej stałej przyjaciółki, więc Georgia nic nie mogła poradzić na to, że w głębi serca żywiła słodką nadzieję...

ROZDZIAŁ 42

- Alex, wybierasz się w sobotę na ten ślub?

- Owszem. Maeve uprzedziła lojalnie, że jeśli nie przyjdę, to ona nigdy mi tego nie wybaczy. Czuję się trochę głupio, bo przecież nigdy niczego nie zrobiłem dla pani Bristow, poza tym, że raz czy dwa zamieniłem z nią kilka słów, ale ona podobno powiedziała, że w szpitalu wszyscy traktowali ją fantastycznie, świetnie się nią opiekowali, dlatego bardzo chce, żeby na jej weselu pojawili się jacyś przedstawiciele tej szacownej instytucji... W dodatku Connellowie też się wybierają, w pełnej obsadzie. To zdaje się będzie pierwsze wyjście Patricka, a ona mówi, że świetnie wie, ile dla niego zrobiłem.

- Ja też zostałam zaproszona.

- Naprawdę? Jak miło!

- Tak. Dostałam uroczy liścik od pana Mackenzie, że to będzie drobny symbol jego wdzięczności za to, że tamtego dnia pomogłam mu odnaleźć Mary.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- No cóż... Właściwie wcale mu nie pomogłam, ale to dłuższa historia. Na pewno nie chciałbyś jej słuchać.

- Owszem, chciałbym.

- Ale nie posłuchasz - westchnęła Emma. - Może pojedziemy tam razem?

- Świetny pomysł. Według mnie to będzie zachwycające przeżycie. We dwójkę będziemy się czuć jak para oszustów... Emma... Czy ty dobrze się czujesz?

- Tak, całkiem dobrze. Miło, że się o mnie troszczysz.

- To dobrze. Bo wyglądasz na trochę zmęczoną, to wszystko. Zastanawiałem się, czy przypadkiem...

- Alex, nic mi nie jest.

- Już dobrze.

Ale Emma wcale nie czuła się dobrze; czuła się wręcz okropnie. Wszystko ją bolało - fizycznie i jakimś sposobem także psychicznie... To było coś nadzwyczajnego. Jej skóra zrobiła się wyjątkowo wrażliwa, oczy bez przerwy szczypały, a w dodatku przez cały czas miała wrażenie, że jest potwornie zmęczona, jakby jej kości nagle dwukrotnie zwiększyły swój ciężar. Kiedy pozwalała sobie na myślenie o Barneyu, od razu chciało się jej płakać, ale nawet gdy o nim nie myślała, przygniatał ją straszliwy smutek, który nie ustępował dniem ani nocą. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś poczuje się zwyczajnie, po ludzku szczęśliwa.

Napisała do Luke'a, że bardzo jej przykro, ale popełniła błąd, pozwalając mu mieć złudzenia, że on nadal jest dla niej ważny. Do listu dołączyła otrzymany od niego naszyjnik. Luke od razu zadzwonił, najwyraźniej mocno wyprowadzony z równowagi; prosił, żeby dała sobie trochę czasu na przemyślenie tej sprawy, na rozważenie wszystkiego jeszcze raz; powiedział, że nie wyobraża sobie życia bez niej i że bardzo jej pragnie.

- Ta praca wcale nie jest łatwa, Emmo; prawdę mówiąc, jest o wiele trudniejsza, niż przypuszczałem. Uczepiłem się myśli, że na weekendy będę wracał do domu, żeby cię widywać. Albo, tak jak mówiłem, ty będziesz mnie tu odwiedzała. To naprawdę piękne miasto; przekonasz się, że będziesz świetnie się tutaj bawić.

Jednak Emma nie dała się przekonać. Z uporem powtarzała, że bardzo jej przykro, ale nie widzi możliwości, żeby kiedykolwiek miało się między nimi ułożyć, że ogromnie go lubi i podziwia - za bardzo, żeby pozwolić mu nadal się łudzić, że ona go kocha, gdy tak nie jest.

Początkowo, kiedy Barney powiedział jej o Amandzie i o tym, że muszą przez chwilę wstrzymać się z decyzjami, uważała, że wszystko jest w porządku. Wydawało się, że to dość dobry, i w zasadzie jedyny uczciwy sposób załatwienia tej sprawy. Ale z biegiem czasu stawała się coraz bardziej niespokojna; wyglądało na to, że zakochała się w człowieku, który - wszystko jedno, jak często powtarzał, że i on ją kocha - najwyraźniej był głęboko i trwale związany z inną osobą. Z osobą, z którą, aż do chwili poznania Emmy, miał zamiar spędzić życie i która z rozmaitych względów znowu stała się dla niego ważna. Im częściej Emma myślała o tym, że ma zająć miejsce tej osoby, tym bardziej wydawało się jej to niemożliwe. W jaki sposób jakiś krótki romans, przelotny wybuch namiętności, miałby zastąpić długi, długi czas, jaki tamci spędzili razem?

To był sen na jawie, pełna pokus fantazja - nie dla niej, bo ona była pewna swojej miłości dla Barneya - ale dla niego. Powinna czym prędzej go zostawić, zaprzestać tego syreniego śpiewu, którym zwabia go na skały, o które rozbija się jego niedoszłe małżeństwo.

Przez kilka pierwszych dni na duchu podtrzymywała ją myśl, że podjęła jedyną właściwą decyzję. Czuła się silniejsza, odważniejsza, lepsza niż zazwyczaj. Ale potem dopadł ją smutek, bo zrozumiała, że miała rację. Barney wcale nie próbował się opierać; był bardzo cichy, spokojny i zasmucony, ale wydawał się w pełni akceptować to, co mówiła.

Sprawa została zakończona i to było najstraszniejsze. I choć Emma wiedziała, że to czyste szaleństwo i że powinna czym prędzej uwolnić się od takich myśli, naprawdę nie potrafiła sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś będzie szczęśliwa.

- Barney...

Pracował dziś do późnych godzin i na piętrze panował absolutny spokój. Stała przy jego biurku, jakby nagle spadła z nieba. Od ostatniego starcia Barney nie miał okazji jej widzieć - co w pewien sposób wydawało się zaskakujące, zważywszy na to, że pracowali w tym samym budynku... No cóż, ale przecież pracowało tu przynajmniej pięćset osób.

Ostrożnie podniósł na nią wzrok. Wyglądała jakoś dziwnie, zdenerwowana, blada, bez śladu szminki na ustach, z nieuczesanymi włosami, które luźno opadały na ramiona... Tamara bez makijażu. Musiało wydarzyć się coś naprawdę poważnego.

- Cześć, Tamaro.

- Barney, chciałam... Strasznie trudno mi to powiedzieć... Ja chciałam cię przeprosić.

Nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby rozplynęła się w mroku, pozostawiając na podłodze swoje pantofle i torebkę, jak Zła Czarownica w *Czarnoksiężniku z Oz*. Nie spodziewał się, że słowo „przepraszam” w ogóle istnieje w słowniku Tamary.

- Ja... Ja nie powinnam była tego robić.

- Czego, Tamaro?

- Wrzeszczeć na ciebie. Oskarżać cię o... Och, nie powinnam była robić tego, co zrobiłam. Chodzi o to, że teraz już wiem, że Toby przez cały czas mnie okłamywał. To nie przez ciebie tak strasznie się spóźnił. Zeszłej nocy pojechałam do niego i odbyliśmy długą rozmowę. Zasadniczo rzecz ujmując, Barney, między nami wszystko skończone. Nie będzie... Nie będzie żadnego ślubu. To on jest skończonym gnojkiem, nie ty, Barney. Teraz już o tym wiem.

- Ale... - zaczął, lecz nie pozwoliła mu dokończyć.

- Tak. Zaczęłam się nad wszystkim zastanawiać i... No cóż, doszłam do wniosku, że przecież to ty siedziałeś za kierownicą, kiedy zatrzymała was policja. I że oni kazali ci dmuchać w alkomat.

- Kazali.

- Gdybyś poprzedniego wieczoru rzeczywiście był tak pijany, jak twierdził Toby, to zapewne o tej porze nadal przekraczałyś dopuszczalny limit. Powiedziałam o tym Toby'emu, a potem wzięłam go w krzyżowy ogień pytań. I on... On nagle postanowił się poddać.

- Naprawdę?

- Tak. Opowiedział mi o wszystkim... O tamtej... No wiesz, o tamtej dziewczynie i o reszcie... Powiedziałam mu... Chyba potrafisz sobie wyobrazić, co powiedziałam.

- Tak mi się zdaje.

- Powiedziałam, że nie chcę więcej go widzieć i wyszłam.

- Rozumiem...

- Druga sprawa: nie wiem, jak się układają sprawy pomiędzy tobą i Amandą, ale ona powiada, że byłeś taki cudowny przez ten cały czas, że bez ciebie nigdy nie dałaby rady przetrwać tych okropności... Więc ja... Ja obiecuję, że nigdy o niczym jej nie powiem. Nigdy.

- Dziękuję ci.

- No dobrze... A teraz muszę już iść. Dobranoc, Barney.

- Dobranoc, Tamaro.

Nie czuł kompletnie nic, jedynie wielkie, przytłaczające zmęczenie.

Charlie zrobił się nie do wytrzymania. Był oziębły i opryskliwy w stosunku do ojca i zupełnie przestał okazywać gotowość do współpracy z Laurą; nie chciał przychodzić na posiłki razem z dziewczynkami i zamykał się w swoim pokoju, żeby tam godzinami grać w game boya albo oddawać się swojej nowej pasji, to znaczy malowaniu modeli w grach Warhammer, co czasami przeciągało się do późnej nocy. Kiedy Laura wchodziła do pokoju i mówiła, że czas zgasić światło i pójść do łóżka, tylko wzruszał ramionami, nie racząc nawet odpowiedzieć. Jeżeli sama wyłączyła lampę, zwyczajnie czekał, aż matka zejdzie po schodach na dół i włączał ją ponownie. Rzadko kiedy i byle jak odrabiał zadania domowe, a gdy jego praca wróciła z niskimi ocenami, skwintował to wzruszeniem ramion. Odmówił udziału w bożonarodzeniowym przedstawieniu i przestał pojawiać się na treningach piłki nożnej.

Kiedy Jonathan i Laura wybrali się na wywiadówkę, wychowawca pokazał im uwagi i opinie na temat Charliego, jakie otrzymał od innych nauczycieli. Wszystkie wyglądały przerażająco. Ten uroczy, osiągnący znakomite rezultaty Charlie nagle stał się leniwym wulkonem, nieposłusznym, a nawet wprowadzającym zamęt.

- Hmm... - David Richards wyraźnie czuł się nieswojo. - Zastanawiałem się, czy może ma jakieś kłopoty, o których nic nam nie wiadomo? Wszyscy chłopcy powoli wkraczają w okres dojrzewania, ale w jego wypadku zmiana jest tak ogromna i dokonała się tak nagle, że pomyślałem, że musi być jakieś bezpośrednie wytłumaczenie.

- No cóż... - odezwała się Laura.

- Nie - przerwał Jonathan. - Nie ma żadnych kłopotów. Sam z nim porozmawiam. Najwyraźniej tak dłużej być nie może.

- Tak, masz rację, tak dłużej być nie może - oświadczyła, piorunując go wzrokiem ponad blatem stolika w restauracji, do której poszli, żeby spokojnie porozmawiać, z dala od wyjątkowo czułych uszu Charliego. - Tylko nie bardzo widzę, jak mielibyśmy go przekonać, żeby zachowywał się inaczej. Jest po prostu strasznie zdruzgotany tym, co się stało, i to jest jego sposób, żeby nam o tym powiedzieć.

- Doskonale.

- Co to znaczy „doskonale”?

- Że doskonale rozumiem, że jest nieszczęśliwy. Niestety, tak się składa, że niewiele możemy w tej sprawie zrobić. Tak, wiem, że to moja wina, ale wydaje mi się, że jeśli uświadomimy mu, że w ten sposób niszczy swoje życiowe szanse, może zacząć zachowywać się odrobinę lepiej.

- Mam nadzieję - odparła Laura.

Jednak w głębi duszy nie sądziła, że to możliwe.

- Odpieprz się! - warknął Charlie. - I wsadź sobie gdzieś taką durnowatą gadkę!

- Charlie, nie waż się odzywać do mnie w ten sposób!

- Właśnie że będę, jeśli tylko przyjdzie mi ochota! Jesteś okropny. Paskudny. Zrobiłeś mamie straszne świństwo, sypiając z tamtą dziwką. Jak mogłeś?! Jak mogłeś, skoro mama... jest taka dobra dla ciebie?

- Wiem, że jest dla mnie dobra, Charlie, i bardzo wstydzę się tego, co zrobiłem. Jest mi strasznie, po prostu wstyd i bardzo też żałuję, że musiałeś się o tym dowiedzieć.

- Jak tak strasznie żałujesz, to trzeba było mocniej się zastanowić, zanim wpięprzył się w coś tak paskudnego.

- Charlie... Posłuchaj mnie przez chwilę... Nie proszę cię, żebyś mnie zrozumiał...

- Naprawdę? A mnie się wydawało, że i owszem.

- Nie, wcale nie. Jedyne, co chcę powiedzieć, to że strasznie żałuję i że chciałbym cię prosić...

- O co? O wybaczenie, jak sądzę. Mam ci wybaczyć, że zniszczyłeś naszą rodzinę, że zrujnowałeś życie mamy. Jak mam ci to wybaczyć?

- Nie miałem zamiaru mówić o wybaczeniu. Chciałem tylko błagać cię, żebyś nie niszczył własnego życia i własnych szans, zachowując się tak, jak się zachowujesz. Ja może zrobiłem ze swojego życia bagno, ale ty jeszcze masz wszystko przed sobą, więc nie...

- Gówno mnie obchodzi, jeśli mnie wywałą! Gówno mnie obchodzi, nawet jeśli wyląduję w więzieniu! Nie mogę mieć jedynej rzeczy, na jakiej mi zależy, to znaczy swojej rodziny. Takiej, jaką kiedyś była, bo ty odebrałaś ją nam wszystkim, i to na zawsze! Żałuję, że jesteś moim ojcem! Żałuję, że...

Jonathan odwrócił się i wyszedł z pokoju syna, żeby po chwili zniknąć w swoim gabinecie. Kiedy znacznie później Laura zajrzała tam, żeby powiedzieć mu, że Charlie wciąż jest bardzo zdenerwowany, zobaczyła, że Jonathan także płacze.

Abi czuła, że nigdy nie daruje sobie tego, co zrobiła tamtego wieczoru Jonathanowi; a raczej nie Jonathanowi, który zasłużył sobie na każde upiorne przeżycie, tylko jego rodzinie, która wcale sobie na to nie zasłużyła. Rozważała każdą możliwość wynagrodzenia im tej krzywdy - od napisania do Laury z prośbą o wybaczenie po odszukanie dzieci, żeby powiedzieć im, że ich ojciec to cudowny człowiek i że ona jest po prostu złą, niezadowoloną pacjentką, która bardzo się na niego pogniewała. Niestety, wyglądało na to, że żaden z tych sposobów nie podziała. Krzywda została wyrządzona i już nie da się jej cofnąć. Mogła jedynie mieć nadzieję, że nie będzie większa, zwłaszcza dla dzieci.

Była bardzo podłym człowiekiem, skoro mogła im zrobić coś podobnego. I musi nauczyć się żyć z tą myślą.

Jednak spotkanie z Williamem na nowo wytrąciło ją z równowagi. Oczywiście nie zdołała wyrzucić z pamięci wspomnień o tym, jaki był wspaniały, jak prawdziwie dobry i miły, ale spotkanie twarzą w twarz przypomniało jej o tym w aż nadto jaskrawy sposób. Znów cofnęła się w procesie zdrowienia.

Ale... Przynajmniej postarała się, żeby przestał snuć głupie fantazje na jej temat i zrobiła to w naprawdę przekonujący sposób. To wcale nie było łatwe, ale jednak osiągnęła cel. Wyznała mu, jak bardzo jest zdemoralizowana; wyjawiała, do czego jest zdolna.

Nie dopuściła do tego, żeby choć przez jedną chwilę pomyślał, że może ona wcale nie jest taka zła, może to nie jej wina, może to jej przeżycia wczesnej młodości usprawiedliwiają - do pewnego stopnia - takie zachowanie. Tamtej strasznej nocy powiedziała mu, że ani trochę nie wierzy w te bzdury, że ludzie bywają zli z powodu zła, jakie wcześniej wydarzyło się w ich życiu. William popatrzył na nią tymi wielkimi, piwnymi oczami i prawie roześmiał się jej prosto w nos.

- Abi, jak możesz opowiadać takie rzeczy? Oczywiście, że tak jest. To chyba jasne, że ludzie zmieniają się w zależności od tego, jak im się układa w życiu.

Odparła, że jej zdaniem to zwykły wykręt i na tym zakończyła temat. Zresztą, nie było ważne, co ona powiedziała, ani w co on uwierzył. W tym momencie była zbyt oszalała, by troszczyć się o takie drobiazgi.

Powoli zaczynała czuć się lepiej, odbudowywać jakoś swoje życie. Rozglądała się za nową pracą; przyszło jej do głowy, że może mogłaby zająć się planowaniem imprez... To na pewno lepsze niż zabawiać się ich niszczeniem... Wiedziała, że potrafi to robić i wszystko wskazywało, że sprawiałoby jej to sporą frajdę. (Prawdę mówiąc, pewnego razu zwierzyła się ze swoich planów Williamowi, a on odparł, że to świetny pomysł. Boże, jakże przyjemnie było z nim rozmawiać; zawsze miała wrażenie, że on naprawdę jej słucha i przejmuje się każdym jej słowem).

No trudno, z czasem znów zrobi postępy na drodze ku ozdrowieniu, tego była pewna. Jeśli życie w ogóle czegoś ją nauczyło, to właśnie tego. Tyle że tęskniła za Williamem, okropnie za nim tęskniła. Ale powinna rozpatrywać swoją tęsknotę w kategoriach pokuty za wyrządzone zło - zło, które zafundowała nie tylko Laurze i jej dzieciom, lecz także Williamowi.

William był w takim samym stopniu wytracony z równowagi. W pewnym sensie ich spotkanie było czymś wspaniałym - po raz drugi prawie zostali przyjaciółmi. Ale także na nowo obudziło w nim ono dawne namiętności: czuł się jak nawrócony alkoholik, który pozwolił sobie na ten ostatni, śmiertelnie niebezpieczny łyk i znów osunął się w niedolę nałogu.

Wszystko, co Abi powiedziała mu o sobie, oczywiście było prawdą; okazała się zupełnie inną osobą, niż sądził. Nie owijając niczego w bawełnę, dramatycznie odbiegała od wizerunku osoby, za jaką ją uważał, i bez wątpienia trudno byłoby mu jeszcze kiedyś obdarzyć ją zaufaniem.

Z drugiej jednak strony, w ostatecznym rozrachunku postąpiła z nim uczciwie, była wręcz brutalnie szczerą. Nie oszczędzała się ani trochę, nie wybrała drogi kłamstwa i nie zdecydowała się nadal go oszukiwać. To było odważne. Była odważna, i to niesamowicie odważna. Za tę zaletę William lubił ją i podziwiał. Owszem, trochę uparta, lecz robiła to z wdziękiem. Nie uskarżała się na to czy owo, starała się radzić sobie sama. A on za nią tęsknił... I to strasznie. Pomyślał więc, czemu nie miałby znowu zacząć się z nią spotykać, tym razem bez żadnych iluzji? Czar wciąż jeszcze trwał; powab Abi nie zmienił się ani na jotę. Czy istniał jakiś powód, dla którego nie mógł zaakceptować jej wad i zalet i czerpać przyjemności z jej seksownego, całkowicie niestosownego zachowania, które - jak świetnie wiedział - stanowiło tak znaczącą część jej uroku?

Miotał się od decyzji do decyzji, w tył i w przód, jednocześnie krzątając się wokół codziennych zajęć. Karmił krowy - teraz przeniesione już do zimowej kwatery - naprawiał płoty i żywopłoty, siał ozimą pszenicę, odbierał porody cieląt, razem z leśniczym sprawdzał leśne drogi, dokarmiał ptaki i... prawie co godzinę zmieniał zdanie.

Leżąc nocami w swoim niewiarygodnie niewygodnym łóżku, nękaną całkowicie nieznaną dotąd bezsennością, myślał, że jedyne, czego teraz potrzebuje, to jakiś znak, który pomógłby mu podjąć decyzję. Abi wpadła na niego przypadkowo, najwyraźniej w nikim niezakochana, i wyraźnie ucieszyła się na jego widok, ale czy to można uznać za znak? I czy naprawdę go potrzebował? Niemal na pewno nie.

ROZDZIAŁ 43

Jedynym cieniem, jaki kładł się na dniu wesela Mary, było to, że Christine zdecydowanie odmówiła uczestniczenia w ceremonii, która miała przypieczętować szczęście jej matki.

- Bardzo mi przykro, mamusi - powiedziała, kiedy Mary ją o to prosiła. - Po prostu nie mogę. Czuję, że to by było niewłaściwe, że to brak lojalności w stosunku do taty. I proszę, żebyś mnie nie namawiała, ponieważ nie zmienię zdania. Nie chcę ci niczego utrudniać, tylko... Po prostu czuję się nieswojo, kiedy o tym myślę.

Gerry miał przyjechać, również jej syn Douglas, który specjalnie przyleciał z Kanady razem z żoną Maureen oraz dwojgiem dzieci. Timothy obiecał, że poprowadzi ją do ołtarza i ta perspektywa wynagrodziła jej - no, prawie wynagrodziła - nieobecność Christine. Z Timothyem zawsze łączyły ją serdeczne stosunki. Darzył ją uwielbieniem, zapraszał na swoje urodziny - oczywiście z wyjątkiem tych, gdy kończył „naście” lat - chciał, żeby czekała na niego pod bramą szkoły po pierwszym dniu zajęć, domagał się, żeby przychodziła na trwające bez końca mecze piłki nożnej, w których brał udział, oraz na szkolne przedstawienia, a gdy już opuścił rodzinny dom, przyjeżdżał do niej w odwiedziny przynajmniej raz na dwa tygodnie i prosił, żeby upiekła na jego przyjazd wiejski pasztet, który uważał za najlepszy na świecie.

Tak więc wszyscy oni będą w komplecie; oprócz nich też dzieci Russella, które od razu znalazły dla niej miejsce w swoich sercach - zwłaszcza syn Morton, ale też dziewczęta, Coral i Pearl, okazały się słodkie i miłe.

Jutro otoczy ją krąg przyjaciół, starych i nowych. To będzie cudowny dzień. Jednak... Wciąż bolało, że Christine nie chciała przyjść, a co więcej - wiedziała, że jej odmowa zaboli matkę, a mimo to nie zmieniła zdania.

Już wcześniej złożyli wizytę w Nowym Jorku i Mary spędziła tam cudowny czas. Poznała mnóstwo przyjaciół Russella, uczestniczyła w tak wielu przyjęciach na swoją cześć, że w końcu poczuła się wyczerpana i musiała przez dwa dni odpoczywać w łóżku. Oprócz składania wizyt również zwiedzała, wjechała na szczyt Empire State, gdzie mimo strachu odważyła się spojrzeć w dół - na leżące u jej stóp bajeczne miasto, oślepiające milionami świateł. Piła koktajle w Rainbow Room, pojechała na objazd Circle Line, robiła zakupy w Saks i Bloomingdale, i zażyła przejażdżki powozem po Central Park.

Jednak po pewnym czasie na własne życzenie wróciła do swojego ukochanego domu w Bristolu, gdzie miała pozostać aż do dnia ślubu. Zastanawiała się nad jego sprzedażą, choć sama myśl o tym budziła w niej ogromne przygnębienie. Na szczęście Russell wpadł na pomysł, żeby przepisać dom na Timothy'ego.

- W dzisiejszych czasach dzieciakom jest ciężko, bo kiedy próbują zrobić krok w kierunku posiadania czegoś na własność, nagle się okazuje, że nie dostaną hipoteki, bo mogliby spłacać ją miłością, a nie pieniędzmi. Spróbuj mu to zaproponować; ciekawe, co powie.

Kiedy Mary wyjawiała mu swoje zamiary, Timothy powiedział tylko jedno słowo, takie które składa się z pięciu liter, i natychmiast zarumienił się ze wstydu.

- Przepraszam, babciu... Naprawdę bardzo przepraszam. To jest... niesamowicie fajne! Jesteś najlepszą babcią na świecie!

Christine także zareagowała w dość dziwny sposób; oświadczyła, że wcale nie jest dobrze dla młodych, kiedy wszystko przychodzi im zbyt łatwo, ale Gerry odparł, że gdyby ktoś ułatwił mu pewne sprawy, gdy był młody, to pewnie zaszedłby odrobinę dalej, niż mu się to udało.

Douglas, Maureen i ich dzieci mieszkali razem z nią; to właśnie Douglas miał ją odwiedzić następnego dnia do kościoła w Tadwick. Russell już wcześniej przeprowadził się do Tadwick House, a razem z nim trójka jego dzieci. W pierwszej chwili wszyscy troje zamierzali wynająć pokoje w hotelu, ale Mary błagała, żeby zamieszkali w domu.

- Nienawidzę samej myśli o tym, że dom miałby stać pusty. Będzie cudownie mieć was na miejscu. Nawiasem mówiąc, pani Salter ucieszy się, że będzie miała do roboty co innego niż zaspokajanie zachcianek Russella.

- Ależ, Mary, on i tak jest rozpuszczony jak dziadowski bicz - zauważyła Pearl, a Coral przytaknęła ochoczo.

- Możesz o to obwiniać babcię Mackenzie; uważała, że jej synalek to niemal aniołek, który przypadkiem zstąpił na ziemię.

- Niech niebiosy mają nas w swej opiece, jeśli kiedyś zabłądzimy tam, na górę, i przekonamy, że naprawdę raj zamieszkują ludzie podobni do waszego ojca - odparła Mary.

Potem pospiesznie dodała, że wtedy naprawdę będzie jej bardzo miło... Nigdy nie można być zbyt uprzejmym w stosunku do pasierbów - nawet jeśli mają już swoje lata.

Nadszedł przepiękny grudniowy poranek - świetlisty i złoty, błyszczący od mrozu, który mienił się na żywo płotach i łąkach. Niebo było przejrzyste jasne i zupełnie błękitne.

Goście zaczęli się zjeżdżać o jedenastej trzydziści. Russell czuł się głęboko wzruszony widokiem tak wielu osób, niektórych w naprawdę podeszłym wieku - jak zauważył w rozmowie z córkami, najwyraźniej w swej błogiej nieświadomości nie zwracając uwagi na fakt, że ten epitet znakomicie pasuje także do niego - które przyjęły zaproszenie i odbyły tę naprawdę długą podróż do Somerset w Anglii, jak nazywały to miejsce. Przyjaciele Mary także stawili się w zaskakująco licznym gronie - bez wątplenia ich pokolenie należało do wyjątkowo mocnych i odpornych - i teraz szli w ślad za nimi. Gdy organista zaczął grać i malutki kościółek rozbrzmiał echem przepięknej muzyki, Russell poczuł, jak w gardle rośnie mu niebezpieczny kłęb waty. Nagle chwycił Mortona za rękę i całym ciężarem oparł się na jego ramieniu.

Alex czuł się bardzo dumny, przybywając na uroczystość nie z jedną, lecz z dwiema niezwykle atrakcyjnymi kobietami; przyznał się Emmie, że on i Linda zostali „zwykłymi przyjaciółmi, nic więcej, po prostu raz czy dwa poszliśmy razem coś zjeść”. Jednak mówiąc to, zarumienił się aż po nasadę włosów i uporczywie unikał jej wzroku, więc Emma domyśliła się, że ta przyjaźń może być nieco bardziej zażyła, niż Alex utrzymywał; uprzejmie skinęła głową i odparła, że to musi być bardzo miłe.

Linda zaproponowała, żeby spotkali się w szpitalu, skąd miała ich zabrać swoim mercedesem.

- Wybacz, Alex, ale nie jestem przygotowana, żeby wsiąść do tego twojego grata i obijać sobie kości - oświadczyła.

Mercedes był z rodzaju tych nisko zawieszonych i podczas jazdy mocno kołysał, więc gdy wreszcie dotarli do Tadwick, Emma - która z oczywistych powodów została oddelegowana na tylne siedzenie - z trudem

walczyła z narastającymi mdłościami; musiała przez kilka chwil stać na zewnątrz i głęboko oddychać, zanim odważyła się wejść do kościoła. Miała na sobie czerwoną suknię bez rękawów, etolę z białego futra i czerwone pantofle na wysokich obcasach, jej długie nogi były opalone na złoty brąz i całkiem nagie.

Linda wyglądała oszałamiająco pięknie w jasnoszarej garsonce ze spódnicą do połowy łydek, do połowy niezwykle zgrabnych łydek, pomyślał Alex, przyglądając się im z przyjemnością, gdy Linda szła tuż przed nim wzdłuż nawy kościoła. Potem, sadowiac się w ławce tuż obok niej, przyłapał się na tym, że na myśl o całych jej nogach budzą się w nim całkiem nieodpowiednie, cielesne żądze, więc szybko skoncentrował się na słuchaniu muzyki organowej.

Pan młody wyglądał na starego, wielce szacownego wojaka; dziś Alex po raz pierwszy miał okazję go zobaczyć. Był najwyraźniej wysoki, siedział w pierwszej ławce, wyprostowany jak struna, od czasu do czasu przesuwał dłoń po siwej czuprynie, ze wzrokiem skierowanym wprost przed siebie. Siedzący obok niego mężczyzna - dobrze po sześćdziesiątce - przypuszczalnie był jego synem. Jakie to cudowne, pomyślał Alex, że miłość potrafi tak cudownie rozkwitnąć również w starszym wieku, że tych dwoje starych przecież ludzi z taką determinacją umie celebrować uroczystość swych zaślubin.

Kolejne osoby, które teraz weszły do kościoła i zmierzały wprost do pierwszych rzędów, musiały należeć do rodziny Mary - siwowłosa, dostoyny mężczyzna i młoda, ładna dziewczyna. I jeszcze jeden mężczyzna, szczupły, o wyglądzie montera, który prowadził pod rękę kobietę ubraną w dość elegancki żółty płaszcz i brązową futrzaną czapkę. Za nimi szły dwie mocno umalowane pannice w marynarkach, spodniach i na bardzo wysokich obcasach.

Nagle przy drzwiach zrobiło się jakieś zamieszanie i pojawili się trzech chłopcy, wszyscy w identycznych smokingach; ładni, mali chłopcy o ciemnych, kręconych włosach i błyszczących błękitnych oczach, którzy otaczali popychany przez Georgię wózek z uśmiechniętym od ucha do ucha Patrickiem Connellem. Patrick też miał ciemne włosy i błękitne oczy, ubrany był w elegancki garnitur. Boże, jakie on zrobił postępy, pomyślał z podziwem Alex. Doprawdy, to prawie zasługiwało na miano cudu - Patrick siedział o własnych siłach, nie wymagał przypinania pasami, jego nogi, ukryte w nogawkach nienagannie wyprasowanych spodni, wyraźnie zaczęły nabierać tężyzny. Teraz różnica pomiędzy nimi a mocnymi ramionami i szeroką klatką piersiową Patricka nie wydawała się tak rażąca.

Georgia wyglądała zjawiskowo w mieniającej się, zielonej sukni, również z odsłoniętymi ramionami, z zieloną ozdóbką z piór wpiętą we włosy. Linda nosiła podobne nakrycie głowy; takie coś nazywało się czepekkiem, jak poinformowała go po drodze do kościoła.

Georgia wepchnęła wszystkich trzech chłopców do jednej ławki gdzieś z tyłu kościoła, a następnie, po krótkiej wymianie zdań z Patrickiem, wśliznęła się pomiędzy nich, zapewne po to, żeby w porę zapobiegać wszelkim próbom gadulstwa i chichotów. Patrick zatrzymał wózek tuż obok ich rzędu.

To wspaniały dzień, myślał Patrick, wspaniały dla nas wszystkich; przypominał sobie, jak długą drogę przebył od najczarniejszych dni, które zdarzyły się zaledwie parę miesięcy temu, i jak niemożliwe wydawało się wówczas, że jeszcze kiedykolwiek weźmie udział w weselu, ubrany w modny garnitur, z czystym sumieniem, w doskonałej formie fizycznej... Te rozmyślania przerwał odgłos czyichś kroków i dźwięk organów. Przy drzwiach rozległy się podekscytowane szepty i po chwili Patrick ujrzał narzeczoną, wspartą na ramieniu jakie-

gość młodzieńca, z którego promieniowała duma i radość; za nimi, w najdelikatniejszej sukni z bladoróżowego szyfonu stała piękna Maeve, ukochana żona Patricka.

Ona powinna tutaj być, myślał Gerry. Christine naprawdę powinna była przyjechać. Co za demon ją opętał, że z takim oburzeniem odrzucała myśl o szczęściu matki, a co gorsza, że nie potrafiła zdusić swoich uczuć ani nawet ich ukryć? Bardzo się za nią wstydził i wcale nie był pewien, czy potrafi w ciągu najbliższych dni zwalczyć te negatywne emocje.

- Wstawaj, Gerry - usłyszał syk Lorraine, dziewczyny Tima. Bardzo miło było mieć ją dziś u swego boku. Jak mówiono o takich dziewczynach jak ona? Och, tak, nazywano je cukiereczkami. - Wstań, oni już tu są.

Russell bał się przez moment, że zaraz zemdleje, tak silne były emocje, jakie nim owładnęły. Usłyszał dźwięk organów, trzask otwieranych drzwi i nagle uświadomił sobie, że oto ona idzie ku niemu wzdłuż nawy kościoła, że sześćdziesiąt lat oczekiwania dobiegło końca. To było tak intensywne doświadczenie, że światła w kościele zdawały się przygasać, dźwięki organów tracić na sile. Teraz liczyła się jedynie ona. Szła powoli w jego stronę, aż wreszcie zatrzymała się obok i popatrzyła na niego z uśmiechem. Mary, jego kochany i godny podziwu Malutki Wróbelek, z błękitnymi oczami, które lśniły tak samo jak przed laty, ze słodkim uśmiechem na ustach, była tuż obok. Nieco drżącymi dłońmi podała Maeve swój bukiet.

Mary, wznosząc ku niemu oczy, również widziała w nim tamtego młodego Russella, w którym zakochała się bez pamięci, którego nigdy nie zapomniała. Wcześniej ogarniał ją strach, że się rozplacze - akurat w tym momencie - i że zupełnie się zblądzi, ale teraz, gdy decydująca chwila nadeszła, czuła się silna i mocna, a do tego bezbrzeżnie, niesamowicie szczęśliwa.

Tak właśnie powinno być, myślała Linda; to, na co patrzyła, było prawdziwą miłością, a nie jej marną namiastką, którą znała z własnych doświadczeń. Zastanawiała się, czy właśnie takim uczuciem obdarza siedzącego obok niej mężczyznę, który nagle z niezrozumiałych powodów ścisnął ją za rękę.

Zawsze sądziłem, że miłość właśnie tak powinna wyglądać, myślał w tym czasie Alex. Tylko czy jeszcze kiedyś odważyć się pomyśleć, że ją spotkałem?

Tak właśnie wygląda uczucie, dumiała Emma. Wydawało mi się, że odnalazłam prawdziwą miłość, ale ją straciłam i nie wiem, czy jeszcze kiedyś odnajdę... Ogromna łza - jedna, a potem druga - spłynęła na kartki modlitewnika i przez chwilę wszystko, na co Emma patrzyła, lśniło od łez.

Niespodziewanie Mary wspięła się na palce i pocałowała Russella w policzek. Ten gest był tak serdeczny, tak spontaniczny, że gdzieś w głębi kościoła rozległy się najpierw nieśmiało brawa, ale szybko przybrały na sile, ogarniając cały kościół. Mary odwróciła się, żeby podziękować uśmiechem; wydawało się jej, że widzi, jak drzwi kościoła uchylają się nieco, lecz zaraz odwróciła się do pastora, który właśnie pozdrawiał obecnych, przygotowując się do wygłoszenia tych rozkosznych, dobrze znanych słów. (Choć za obopólnym porozumieniem zgodził się opuścić fragment, który w ich sytuacji mógłby wydawać się absurdalny i całkowicie zbędny, to znaczy ten dotyczący narodzin potomstwa).

Jednak potem zdarzyło się coś naprawdę cudownego; ledwie pastor zdążył wygłosić pierwsze słowa, gdy boczne drzwi kościoła rzeczywiście się otworzyły - każdy słyszał ich skrzypnięcie i odwrócił się, żeby spojrzeć w tamtą stronę - i do środka wsunęła się Christine. Była z gołą głową, w starym, przeciwdeszczowym

płaszczu i grubych butach, w których zwykle wyprowadzała psy, a na jej twarzy trudno było dostrzec inne uczucie poza absolutną determinacją. Mary zauważyła ją kątem oka i jej drobna twarz rozpromieniła się radością, bo oto właśnie nastąpiła jedna z najpiękniejszych chwil, w jakie powinien obfitować ten dzień. Bez namysłu puściła ramię Russella i pobiegła wzdłuż rzędów, żeby otoczyć ramionami swoją córeczkę - swoją ukochaną, odważną, skomplikowaną córeczkę - i obdarzyć ją serdecznym pocałunkiem, a potem zaprowadzić na miejsce w pierwszej ławce, obok Gerry'ego. Teraz z kolei on objął Christine i mocno pocałował.

Od tej pory ceremonia przebiegała bez żadnych odstępstw od ogólnie przyjętych form. Tim z rozjarzonym ze szczęścia spojrzeniem odprowadził Mary do ołtarza. Russell promieniał z zadowolenia aż do chwili, gdy nadeszła pora na złożenie przysięgi. Ledwie wymówił słowa „i przyrzekam, że nie opuszczę cię aż do śmierci”, gdy jego mocny, dźwięczny głos się załamał, a dwie wielkie łzy spłynęły po przystojnej, pooranej zmarszczkami twarzy. Mary ślubowała kochać męża, miłować go i być mu posłuszną, ale w pewnym momencie parsknęła śmiechem i trwało chwilę, nim zdołała odzyskać powagę.

Kiedy wreszcie po ostatnim, uroczystym napomnieniu, że odtąd żaden człowiek nie ma prawa ich rozdzielić, pastor ogłosił ich mężem i żoną i powiedział, żeby Russell pocałował swoją oblubienicę, Russell nie tylko ochoczo wypełnił to polecenie, lecz także zamknął Mary w tak gwałtownym, żarliwym uścisku, jakby się bał, że mimo oficjalnie zawartego małżeństwa znów może ją utracić. Rozległo się bicie dzwonów; wtedy Mary odwróciła się, ujęła Russella pod ramię i razem ruszyli wzdłuż nawy kościoła w stronę drzwi. Mary uśmiechała się w blasku fleszy tuzinów aparatów, machała do gości, posyłała im pocałunki, aż w końcu przy samym wyjściu przytuliła do siebie trzech małych chłopców, którzy wygramolili się z ławki przez ojcowski wózek i popędzili w stronę drzwi, żeby jako pierwsi złożyć jej życzenia.

- Wiesz, byłam już na wielu, wielu ślubach - zwróciła się Maeve do Tima - ale nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z nich był piękniejszy niż ten.

ROZDZIAŁ 44

To Anna wpadła na pomysł, żeby urządzić koncert. Pewnego wieczoru, gdy siedziały w pubie, Georgia zwierzyła się jej, że wciąż od czasu do czasu dręczą ją wyrzuty sumienia, związane z tamtym wypadkiem.

- I broń Boże, nie chodzi mi tylko o Patricka, to znaczy tego kierowcę ciężarówki, choć sama rozumiesz, on ma na utrzymaniu troje małych dzieci i aktualnie jest bez pracy, ale o innych, którzy jeszcze bardziej cierpią. Na przykład o tego człowieka, którego żona zginęła w katastrofie, zostawiając go z małym synkiem; biedak musiał zrezygnować z pracy, żeby się nim zająć. Kilka innych osób zostało bez środków do życia, całkiem bez własnej winy, tak jak ta dziewczyna, która nie może chodzić, a pracowała jako nauczycielka tańca, albo jak ci, którzy przeżyli ciężkie załamanie nerwowe. Kiedy o nich myślę, robi mi się nieswojo. Zwłaszcza że ja mam teraz wspaiały okres w życiu. Coś tu jest nie tak, prawda?

Anna zgodziła się, że bardzo nie tak.

- Chociaż w tym absolutnie nie ma twojej winy, Georgia. Musisz to zrozumieć.

- Wiem, że to nie moja wina, no, może z wyjątkiem tego, że zostawiłam Patricka, ale i tak paskudnie się czuję. Chciałabym, żeby było coś, co mogę dla nich zrobić.

- Na przykład co?

- Sama nie wiem. Jakoś im pomóc. Naprawdę pomóc, w praktyczny sposób.

- Cóż... Może zarabiając dla nich pieniądze? Pomagając im przynajmniej od strony finansowej? Nie patrz na mnie w ten sposób. Czasem całkiem małe rzeczy mogą bardzo pomóc. Kiedyś brałam udział w koncercie, niedużym koncercie, z którego dochód był przeznaczony na zakup specjalnych rowerów dla upośledzonych ruchowo dzieci. To oznaczało, że będą mogły jeździć tak jak ich rówieśnicy. Ale... To tylko taki pomysł.

- Nie patrzę na ciebie w żaden sposób. To znaczy, z wyjątkiem patrzenia z podziwem. Wiesz... To może być naprawdę świetna sprawa... Myślisz, że uda mi się ją przeprowadzić?

- Jeśli będziesz miała trochę osób do pomocy, to myślę, że ci się uda.

Georgia czuła się tak, jakby zaświeciło jej w głowie małe światełko, w którego blasku kurczyły się ciemne, okropne wspomnienia i gnębiące ją poczucie winy. Więc jednak mogła coś zrobić, naprawdę mogła, żeby pomóc tamtym biednym ludziom. To oczywiście nie przywróci im tego, co utracili - nie pomoże uzdrowić uszkodzonych mięśni lub kości ani nie poprawi stanu psychicznego - ale i tak będzie to znacznie więcej niż nic. Zdecydowała, że porozmawia o tym z Lindą.

Linda okazała ostrożny entuzjazm; jej zdaniem to wspaniały pomysł, ale...

- Ale będziesz musiała zabrać się do tego z właściwej strony, Georgia. Zastanów się długo i porządnie, zanim się w to wpakujesz, ponieważ taka idea może łatwo zmienić się w koszmar. Jeśli chcesz założyć organizację dobroczynną, musisz ją zarejestrować, wyznaczyć paru członków zarządu. Wiem, że to brzmi raczej zniechęcająco, bo czeka cię mnóstwo pracy, ale ludzie zwykle są o wiele bardziej skorzy do pomocy, gdy cała sprawa ma wymiar oficjalny, niż gdy kilkoro dzieciaków chce urządzić jakąś imprezę, żeby zebrać trochę kasy na zabawę. W dodatku musisz załatwić to porządnie. Samo znalezienie miejsca może okazać się koszmarnie trudne i ostatecznie wszystko będziesz musiała dopasować właśnie do tego. Nie ma sensu namawiać The Rolling Stones, żeby zagrali, a potem zaproponować im salę prób w Staines. Wybacz, bo wcale nie jest moim zamiarem, żeby cię zniechęcić. Chcę tylko, żebyś nie brała się do czegoś, z czym możesz sobie nie poradzić.

Georgia odparła, że z pewnością sobie poradzi i wcale nie liczy na to, że uda się jej ściągnąć Stonesów. Jednak kilka prób zasięgnięcia informacji ujawniło skalę problemu, jakim było znalezienie odpowiedniego miejsca.

Wynajęcie sali pociągało za sobą ogromne koszty i mogło za jednym zamachem zniweczyć wszelkie nadzieje na jakikolwiek zysk. Koniecznie należało znaleźć jakieś radykalne rozwiązanie.

Linda powiedziała, że wysondowała kilka osób, zna paru niezłych muzyków, a Georgia może włączyć do programu parę scen aktorskich. Kilkoro znajomych wyraziło nawet ostrożne zainteresowanie; Georgia nie chciała na razie prosić nikogo z planu *Moving Away* - miała tam wystarczająco dużo problemów na głowie - ale zamierzała spróbować zaraz po zakończeniu zdjęć. Merlin na pewno znał mnóstwo ludzi z branży muzycznej, tego była pewna.

Teraz już wiedziała, że organizacja takiej imprezy zajmuje sporo czasu; potrzebny był dokładny, długoterminowy plan działania. Ale i tak była nastawiona optymistycznie i nabrała pewności, że powstanie z tego coś dobrego. Powtarzała to tak często, że w końcu Anna nadała jej przezwisko Panna Pytalska.

Emma także należała do osób, z którymi Georgia często rozmawiała na ten temat. Ich przyjaźń narodziła się w zasadzie dopiero na weselu Mary, kiedy obie trochę sobie podpiły i zaczęły wyczyńać jakieś dzikie tańce. Emma orzekła, że to znakomity pomysł i zgodziła się ze zdaniem Lindy, że lepiej zbierać pieniądze specjalnie dla szpitala. Dodała przy tym, że sama raczej będzie mało przydatna, lecz kiedy Georgia oświadczyła, że zamierza utworzyć komitet i ma nadzieję, że Alex zgodzi się do niego przystąpić, Emma zmieniła zdanie i powiedziała, że Georgia może na nią liczyć.

- Oczywiście, jeżeli uważasz, że mogę w czymś pomóc. Ja... No, tak się złożyło, że teraz mam sporo wolnego czasu, więc mogłabym, na przykład, pisać za ciebie listy albo zająć się czymś w tym stylu, jeśli chcesz. Moja mama pracuje w szkole i zawsze ją proszono, żeby brała udział w komitetach zbierających fundusze na jakiś cel. Rzecz jasna, to były małe, lokalne inicjatywy, ale zasady są takie same. Myślę, że mogłaby podrzucić nam parę pomysłów.

Georgia przyznała, że sama zaczyna się zastanawiać nad czymś małym i o lokalnym zasięgu.

- Bez sensu jest mieć nadzieję, że uda się zorganizować wielką imprezę w Londynie. To by kosztowało jakieś koszarne pieniądze, a i tak nigdy nie zdołalibyśmy ściągnąć takich ludzi, jakich nam potrzeba. No bo sama rozumiesz, katastrofa miała zasięg lokalny, szpital także jest szpitalem miejscowym, i to raczej tutejsi ludzie powinni wykazać zainteresowanie. Przecież muszą być jakieś niezłe miejsca w Swindon - które wcale nie jest takie małe - albo na przykład w Reading. Tak czy owak, jeszcze za wcześnie na taką decyzję. Najważniejsze, to pilnować sprawy, jak powiada doktor Pritchard... Chyba zabiorę się do pisania listów.

I Georgia, i Emma były mocno zaintrygowane, jak właściwie wygląda układ pomiędzy Lindą i Alexem, bo po weselu Mary ich związek stał się czymś oczywistym.

- Mówię ci, że ten układ to sprawa niebios - mówiła Georgia. - Bo wiesz, Linda była taka samotna i tak bardzo potrzebowała kogoś bliskiego.

- Naprawdę? Wcale nie wyglądała na osobę samotną i potrzebującą.

- Właśnie na tym polegał jej problem. Mężczyźni boją się takich odważnych i przedsiębiorczych kobiet, zwłaszcza jeśli są przy tym dość atrakcyjne. Na szczęście, w końcu znalazł się ten doktor Pritchard, także samotny, jak mówisz...

- No cóż, przez długi czas był naprawdę nieszczęśliwy. Jego żona jest prawdziwą jędzą. Dosłownie wywaliła go z domu i o ile wiem, chyba sprzedała ten dom, nie pytając go o zdanie. Alex musiał przeprowadzić się do jakiegoś ledwie co wykończonego mieszkanca w Swindon. To przecież wredne. Mimo to udało im się wychować całkiem miłe dzieciaki. Teraz mają po czternaście, piętnaście lat, coś koło tego. Jak, twoim zdaniem, Linda radzi sobie z dziećmi?

- Hmm... Dla mnie była całkiem fajna. Parę razy zdarzyły się poważniejsze awantury, ale zawsze udało nam się jakoś to załatwić.

- Tak, ale ty masz dwadzieścia dwa lata - zauważyła Emma. - Poza tym Linda nie romansuje z twoim tatusiem. Cóż, miejmy nadzieję, że sprawy ułożą się jak najlepiej. Ja bardzo lubię Alexa, naprawdę go lubię.

Jest taki kochany... Dużo szczeka, ale wcale nie gryzie. Ostatnio miałam wrażenie, że wygląda na bardziej zadowolonego z życia. Będzie mi smutno od niego odchodzić.

- A kiedy zamierzasz odejść?

- Och, w styczniu, może w lutym. Zależy od tego, co uda mi się załatwić.

- Lepiej nie wybieraj sobie żadnego szpitala w Szkocji ani gdzieś daleko - poprosiła Georgia. - Przy najmniej dopóki nie uda nam się zrobić tego koncertu.

- Akurat teraz wyjazd do Szkocji wydaje mi się dość pociągający - odparła Emma z głębokim westchnieniem. - Chcę wynieść się jak najdalej od Londynu. To jedyne, na czym tak naprawdę mi zależy.

Nie powiedziała Georgii dlaczego, a ona nie pytała. Widziała, że Emmę coś dręczy, ale ponieważ Emma nie chciała się zwierzać, to zwykle oznaczało - przynajmniej według doświadczeń Georgii - że pewnie rzucił ją jakiś facet. Mężczyźni to skończeni idioci, pomyślała. No bo czy ktoś przy zdrowych zmysłach porzucałby taką śliczną dziewczynę jak Emma?

Dni, kiedy Alex miał humory, jak określała to Emma, i wrzeszczał na wszystkich dookoła, zazwyczaj pokrywały się z dniami, w których na serio martwił się o swój związek z Lindą. Linda była wspaniałą, seksowną i chyba naprawdę troszczyła się o niego; z drugiej jednak strony poprzysiął sobie, że już więcej nie wejdzie w związek z kobietą, która nie rozumie wyzwań i wymagań, jakie stawia przed nim zawód lekarza. Zresztą Linda może i rozumiała, ale raczej nic nie wskazywało na to, żeby były dla niej priorytetem. Gdyby okazało się, że jakaś premiera albo ważne przesłuchanie kolidują z uroczystą kolacją z udziałem innych lekarzy oraz ich żon, kolacja nie miałyby najmniejszych szans. Na przykład, parę razy zdarzyło się im posprzeczać z okazji wycieczki do Afryki Południowej, fundowanej przez jeden z koncernów farmaceutycznych. Linda sama namówiła go, żeby zgodził się na wyjazd, obiecawszy wcześniej, że weźmie udział w „programie dla par małżeńskich” - „nie chce mi się wierzyć, że jeszcze ktoś proponuje takie rzeczy” - po czym nagle oświadczyła, że absolutnie nie pojedzie na wycieczkę łodziami na Robben Island, gdzie przetrzymywany był Nelson Mandela, ani tym bardziej nie wybierze się na „obrzydliwą wyprawę”, jak ją nazwała, do jednej z dzielnic nędzy.

- Nawet nie biorę tego pod uwagę. To okropny pomysł, manifestujący pogardę dla tych biednych ludzi.

- Zdaje mi się, że pamiętam, jak mówiłaś, że ten kraj czerpie sporo korzyści z przemysłu turystycznego.

- Bo tak jest. Tylko nie sądzę, żeby miejska biedota zyskała coś na tym, że będę siedzieć w klimatyzowanym samochodzie i rozglądać się miłosiernym wzrokiem po tych wszystkich nędznych chatkach, w których mieszkają. Nie mam zamiaru tam jechać, Alex, to wszystko.

- Linda, zdaje się, że wybierasz się na wycieczkę z całkiem innym nastawieniem niż to, które mi obiecywałaś na początku. Naprawdę nie wydaje mi się, żeby w takich okolicznościach nasz wyjazd miał jakiś sens, więc może lepiej nigdzie nie jedźmy.

- Opowiadasz bzdury.

- To nie są bzdury. Mówię, że nie podoba mi się to z zasady, że nigdy mi się nie podobało, a ty teraz usiłujesz mnie przekabacić...

- Wcale nie usiłuję cię przekabacić!

- Czyżby? Wydaje mi się, że pamiętam, ile było gadania na temat, jak to nikomu nie pomoże, jeśli będę z ponurą miną szwendał się po Swindon, podczas gdy na moje miejsce pojedzie ktoś inny.

- Stanowczo nie podoba mi się, w jaki sposób usiłujesz przetworzyć wszystko, co do ciebie mówię. W porządku, w takim razie nigdzie nie jedźmy. Nie róbmy niczego przyjemnego. Możesz przecież siedzieć na czterech literach w swoim uroczym mieszkanku i gapić się na własny pępek.

- Chyba rzeczywiście wolałbym siedzieć w domu niż przyglądać się, jak zrażasz do siebie wszystkich, którzy biorą udział w tej wycieczce. Nie tylko tych, którzy nas zapraszają, lecz także inne żony.

- Och, byłabym zachwycona, zrażając do siebie inne żony, jeśli należą do ludzi, którym sprawia radość, że okazują biedakom swoją wyższość za pomocą bonu na żywność...

Po prostu odwrócił się na pięcie i wyszedł, zbyt rozgniewany, żeby przez następną dobę odpowiedzieć na jej dziesięć czy dwanaście telefonów. W końcu wysłała mu SMS: „Całuję. Przepraszam, nie miałam racji. Należy mi się porządne lanie. Jeszcze raz buziaczki”.

Alex odpowiedział, że chętnie wychłosta ją osobiście, i to już w sobotę. To ostatecznie uciszyło burzę. Linda potulnie zgodziła się wziąć udział we wszystkim, co przewidywał program dla małżeństw - nawet w wyjeździe na zakupy, jak zaznaczyła - ale tamta awantura pozostawiła mu w duszy pewien niepokój. Broń Boże nie chodziło o tę głupią wycieczkę, tylko o całą postawę życiową Lindy. Alex zaczynał poważnie się martwić, że Linda nie zamierza być uległą i dodającą otuchy małżonką, a cały incydent był najlepszym tego przykładem.

Poza tym, co z dziećmi? Czy ona sobie z nimi poradzi? Potrzebował porządnej bazy, normalnego domu i przyzwoitej przystani, żeby choć do pewnego stopnia móc rościć sobie prawo do ich czasu i uwagi. Przecież nie może pędzić do Marylebone, żeby ujrzeć damę swego serca, która raczej nie powita go z radością, jeśli będzie włókł za sobą dwójkę nieuchronnie naburmuszonych dzieciaków. Co gorsza, ta dama nawet przez dwa tuziny lat nie zdecyduje się na przeprowadzkę do Swindon.

To nie mogło się udać, a to, że on tak dobrze czuł się w jej towarzystwie i w dodatku przez tak długi czas, samo w sobie było dość przygnębiające.

Szanowny Panie Grainger!

Mam nadzieję, że mi Pan wybaczy, że nagle i niespodziewanie piszę do Pana ten list, ale pewna przyjaciółka zasugerowała mi, że może zechce Pan mi pomóc.

Mam nadzieję, że ten list bez przeszkód dotrze do Pana i że wysyłam go pod właściwy adres. Sprawdzalam w książce telefonicznej, gdzie mieszka niejaki pan Grainger, i Pańska farma zdecydowanie znajduje się we właściwym miejscu, jeśli rozumie Pan, co mam na myśli!

Nazywam się Georgia Linley i jestem tą samą dziewczyną, którą spotkał Pan na terenie swojej posiadłości w dniu katastrofy na M4 w sierpniu zeszłego roku. Potraktował mnie Pan niezwykle uprzejmie i mam nadzieję, że nie okazałam się wówczas niegrzeczna.

Wiem, że tego dnia bardzo Pan wszystkim pomógł. Pozwolił Pan, by na pańskim polu lądował helikopter pogotowia, dostarczał Pan wodę ludziom, którym chciało się pić, i robił wiele innych pożytecznych rzeczy! Mam więc nadzieję, że jest Pan wystarczająco zainteresowany, żeby czytać dalej.

Staram się zorganizować koncert dobroczynny na rzecz ofiar katastrofy i ich rodzin, z których wiele wciąż znajduje się w wielkich tarapatach. Udało mi się uzyskać wsparcie paru osób ze szpitala Świętego Marka w Swindon, dokąd po wypadku zabrano rannych. Bez problemu mogę podać Panu ich nazwiska, jeśli zechce Pan sprawdzić moje listy uwierzytelniające.

Patrick Connell i jego rodzina stali się moimi dobrymi przyjaciółmi. To właśnie on był kierowcą tamtej ciężarówki. Akurat tego dnia zaproponował, że mnie podwiezie do Londynu. Został bardzo ciężko ranny i jak dotąd nie może pracować; jest jedną z tych osób, które pilnie potrzebują pomocy.

Założyliśmy organizację dobroczynną, żeby wszystko załatwiać zgodnie z przepisami i w sposób urzędowy. Jeśli wejdzie Pan na stronę crashconcert.linley.com, będzie Pan mógł się o tym przekonać.

Kilkoro muzyków już wyraziło swoje zainteresowanie - obawiam się, że na razie nikt z grona szczególnie znanych - ale gdy znajdziemy odpowiednie miejsce na koncert, będzie można popchnąć sprawy naprzód, a jak dotąd to właśnie okazało się największą przeszkodą.

Zastanawiam się, czy byłby Pan skłonny ofiarować coś - nawet niewielki wkład - do naszego funduszu założycielskiego; a w swoim czasie, oczywiście, ściągnać na koncert tylu ludzi, ilu się da.

Poza tym szukamy sponsora; każda sugestia, do kogo w tamtym rejonie należy się zwrócić, będzie dla nas ogromnie cenna.

Szczerze oddana

Georgia Linley

William wpatrywał się w list, nie tyle zainteresowany pomocą pannie Linley (choć wyglądało na to, że mocno się zaangażowała i choć przypominał ją sobie jako niezwykle urodziwą dziewczynę) czy nawet tym nieszczęsnym ofiarom wypadku (co bez wątpienia było bardzo dobrym powodem organizacji koncertu) ile zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest to następny mocny kuksaniec ze strony Wszechmogącego, żeby czym prędzej odnowił swój związek z Abi. Jeśli tak, to stanowczo powinien odpowiedzieć, i to jak najszybciej, zanim Wszechmogący zupełnie zrezygnuje z wtrącania się w jego sprawy.

Abi była w pracy, kiedy William zadzwonił.

- Cześć, Abi. Co tam u ciebie? Wszystko w porządku?

- Tak, tak! Dzięki, wszystko okay. A u ciebie?

- Po prostu znakomicie. Wiesz, mam pewien pomysł. Dostałem list...

- No proszę... Jaki? A może to jest list z pomysłem?

- Hmm... Poniekąd.

- Nie wiem, czy zgadnę, Williamie. To film, książka czy sztuka?

- Co?

- To szarada. Bawiłeś się kiedyś w taką zgadywanke?

- Kilka razy. Tak, teraz już rozumiem, co chciałaś powiedzieć. No więc, jaki jest symbol koncertu?

- Nie ma takiego symbolu, Williamie, więc z łaski swojej wykrztuś wreszcie, o co chodzi.

William spełnił jej życzenie.

Trzy dni później Georgia wpadła na plan, gdzie akurat kręcili film. Była bez tchu i mocno zaróżowiona.

- Czy jest Merlin? Albo Anna?

- Anna jest w charakteryzatorni - odparła Mo. - A jeśli chodzi o Merlina, to nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.

Georgia popędziła po schodach do sypialni, która chwilowo służyła za studio charakteryzacji.

- Anno, tylko posłuchaj! To coś niesamowitego, naprawdę niesamowitego! Zdaje się, że znalazłam miejsce na nasz koncert!

ROZDZIAŁ 45

Listy dotarły tuż po Bożym Narodzeniu. Z nich dowiedzieli się, że dziewiętnastego lutego ich obecność w charakterze świadków na rozprawie dotyczącej śmierci Sarah Tomkins, Jennifer Marks i Edwarda Barnes, którzy zginęli w katastrofie samochodowej na autostradzie M4 dwudziestego drugiego sierpnia tego roku, jest absolutnie niezbędna. Podane zostały również szczegóły dotyczące czasu i miejsca rozprawy, a list podpisany został przez pełnomocnika koronera.

- Dzięki Bogu, że nie przynieśli tego przed świętami - westchnęła Maeve. - Na pewno uznałabym to za złą wróżbę. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że nie masz czym się martwić. Choć z drugiej strony... Dobrze będzie mieć to za sobą.

Patrick skinął głową. Czuł, że ma powody do zmartwienia, jakkolwiek wszyscy naokoło zapewniali go, że wypadek w żaden sposób nie zdarzył się z jego winy. Jednak fakt pozostawał faktem - to jego ciężarówka przebiła się przez barierę oddzielającą obie jezdnie, co skończyło się śmiercią trojga ludzi i obrażeniami dziesiątek innych osób, z których część została naprawdę poważnie ranna. Ilekroć Patrick myślał o czekającej go rozprawie, czuł, jak ogarnia go dawny, paniczny strach.

Abi też bała się myśli o rozprawie sądowej, bo ostatecznie pozwoliła sobie na okłamanie policji - choć akurat ta sprawa nie miała nic wspólnego z katastrofą. Wciąż dręczyły ją koszmary senne, że zostaje oskarżona w związku z posiadaniem narkotyków. Posunęła się nawet do tego, by poszukać porady prawnej, ale adwokat powiedział jej, że postawienie jej zarzutów wydaje się wielce nieprawdopodobne, ponieważ nie posiadała narkotyków w czasie, kiedy była przesłuchiwana przez policję, ani również w późniejszym okresie.

Jednak mogła się spodziewać, że będzie jednym z ważniejszych świadków; stanie na tym cholernym podwyższeniu, czy jak to się tam nazywa, i złoży przysięgę, że będzie mówić prawdę, całą prawdę i tylko tę cholerną prawdę. I wtedy nagle wyjdzie na jaw, i to w obecności tych wszystkich ludzi, że za pierwszym razem kłamała jak najęta. Sama myśl o tym wydawała się jej sennym koszmarem.

Przynajmniej dzień Bożego Narodzenia minął szczęśliwie. Zwykle nienawidziła świąt. Miała kilkoro przyjaciół, którzy podobnie jak ona nie umieli się dostosować do otoczenia i żyli pokłóceni ze swoimi rodzinami, więc spędzali ten dzień razem, głównie na wlewaniu w siebie kolejnych drinków, choć też starali się celebrować jakiś wspólny posiłek - paskudne, gotowe dania z M&S albo Tesco. Potem odpalali parę sztucznych ogni, a nawet bawili się w szarady, zanim wieczór ostatecznie rozmiął się na drobne. W sumie jednak Abi zawsze czuła ogromną ulgę, kiedy ten dzień dobiegał końca i gdy nikła presja, aby właśnie tego dnia każdy był częścią wielkiej, szczęśliwej rodziny.

Najlepszą rzeczą, jaka zdarzyła się jej we wszystkie Boże Narodzenia, był SMS od Williama, który nadszedł dokładnie w świąteczną noc.

„Wesołych Świąt! Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, bo ja wręcz przeciwnie. Całuję. William”.

Walczyła ze sobą, żeby nie za bardzo wczytywać się w treść tego SMS-a i nie dopuszczać do siebie myśli, że być może jego święta nie są udane, ponieważ nie spędza ich z nią, a pocałunek jest czymś zwyczajnym, co normalnie dołącza się na końcu do świątecznych życzeń... Jednak bezsprzecznie William myślał o niej - chociażby na tyle, żeby wysłać życzenia. Postarała się jak najszybciej odpisać:

„Tobie też życzę wszystkiego najlepszego. U mnie wszystko dobrze, wielkie dzięki. Miło, że pamiętałeś. Całuję. Abi”.

Najpierw napisała „fajnie”, ale potem zmieniła na „miło”, bo doszła do wniosku, że to zabrzmia serdeczniej.

A teraz, zdumiewającym zrzędzeniem losu, znów miała go zobaczyć, choć z zupełnie innych powodów.

Była nadzwyczaj podekscytowana pomysłem Georgii, żeby urządzić koncert. To właściwie był jej pomysł, żeby zrobić coś w rodzaju wiejskiego festiwalu. Już wcześniej podsuwała Williamowi podobną myśl, gdy rozmawiali o zróżnicowaniu sposobu zarabiania pieniędzy, i William okazał się bardzo podatny na jej sugestie. Naprawdę nie było trudno go przekonać, wręcz zdumiewająco łatwo.

Wszystko wydawało się przeraźliwie skomplikowane - jeśli chodzi o profesjonalne przygotowanie - i Abi wcale nie była pewna, czy uda im się w końcu doprowadzić sprawę do szczęśliwego finału; ale gdyby się udało... Mogłaby przy okazji rozpocząć samodzielną działalność jako organizatorka imprez, a na dodatek dość często widywać się z Williamem.

Pierwsze spotkanie w związku z koncertem było... Tak, było wręcz nadzwyczajne. Jedna wielka płąta nina gwałtownych uczuć. Abi spodziewała się nadmiaru emocji, i to raczej tych przykrych, bo widok Williama musiał sprawić jej ból. Prawdę powiedziawszy, kilka dni wcześniej ogarnęło ją takie przerażenie, że była gotowa wycofać się z całego projektu i skontaktować Williama i Georgię ze swoją przyjaciółką, która zawodowo zajmowała się organizacją imprez. Mimo wszystko ostatecznie postanowiła się nie wycofywać.

Umówili się na spotkanie w pubie w Bristolu w sobotę po południu. Abi przyjechała za wcześnie i spędziła przynajmniej kwadrans w ubikacji, żeby uniknąć krępującego czekania na sali. Bała się, żeby ktoś nie pomyślał, że została wystawiona do wiatru, skoro siedzi samotnie. Kiedy wreszcie wyszła, ujrzała przy stoliku Williama w towarzystwie jakiejś bardzo ładnej, czarnej dziewczyny; ten widok w pierwszej chwili mocno ją wstrząsnął, ale zaraz się zreflektowała, że to pewnie Georgia. Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, wpatrzona w niego jak w obraz, chłonąc go całą sobą, i czuła, jak zalewa ją fala emocji tak gwałtownych, tak bardzo przesyconych żalem, miłością i wciąż świeżymi, intensywnymi wspomnieniami czysto fizycznych doznań, że niemal pozbawiło ją to tchu.

Muszę szybko się pozbierać, pomyślała, i nie traktować tego spotkania inaczej niż w czysto biznesowych kategoriach; po prostu William okazał się na tyle uprzejmy i dobry, że zechciał pomóc im w organizacji przedsięwzięcia, które najwidoczniej obchodziło go równie mocno, jak ją i Georgię.

Kiedy tak stała, on nagle podniósł głowę i zobaczył ją; natychmiast poderwał się z miejsca, jak zawsze prezentując te swoje cholerne, staroświeckie maniere, odsunął krzesło i gestem zaprosił ją, żeby do nich dołączyła.

- Cześć - odezwała się, podchodząc bliżej.

Jej głos zabrzmiał zdumiewająco spokojnie i beznamiętnie, wcale nie słabo ani nie bez tchu, jak się obawiała. Uśmiechnęła się do Williama, przelotnie cmoknęła go w policzek - jak jej się to udało, na litość boską, skoro rozpaczliwie pragnęła całować go bez końca, aż do granic uniesień? - a potem szybko zwróciła się ku Georgii.

- Ty pewnie jesteś Georgia, tak? Cześć, mam na imię Abi.

- Cześć, Abi. Fajnie, że przyszedłaś. William, to znaczy pan Grainger, opowiadał mi mnóstwo o tobie. Już wcześniej zajmowałaś się takimi rzeczami? Podpowiesz mi, jak powinnam się do tego zabrać?

- No cóż... Mam nadzieję, że wszystko się uda pozałatwiać. To bardzo duży projekt, Georgia. Spodziewam się, że jesteś tego świadoma.

- Nie do końca... Jednak jestem gotowa na wiele wysiłku i bardzo, bardzo zdeterminowana.

Uśmiechnęła się do Abi; wyglądała na słodką i uroczą osóbkę, ale także szczerze przejętą swoją misją. To prawdziwa frajda pracować z kimś takim.

- Świetnie. - To wszystko, co Abi powiedziała.

Powoli, w miarę jak dyskutowali o formie koncertu, atmosfera stawała się coraz luźniejsza i bardziej swobodna.

- Kiedyś już proponowałam, żeby zrobić festiwal rockowy, prawda, Williamie? Ale mam wrażenie, że teraz bardziej chodzi wam o jakiś pojedynczy koncert.

Dyskutowali o terminach wykonania konkretnych zadań, o ewentualnych datach imprezy, o tym, jak wiele czasu i solidnego planowania będzie to wymagało, i o tym, że mimo najlepszych na świecie chęci będą potrzebowali o wiele więcej ludzi do pomocy.

- Nie rób takiej przerażonej miny. To przecież impreza charytatywna, więc można ściągnąć paru wolontariuszy. Świetny pomysł, Georgia. Naprawdę jestem pod wrażeniem.

I wcale nie chodziło jej o to, że zacznie pracować razem z Williamem, że będzie mieć nieograniczony dostęp do niego. To nie było żadnym wyrównaniem tamtej sytuacji. Naprawdę.

Georgia poprosiła, żeby Abi dała im parę konkretnych rad.

Abi nie tylko dawała rady, ale robiła znacznie więcej. Pewnie o wiele za dużo, jak potem pomyślała. Kiedy zaczęła kreślić przed nimi projekty zatrudnienia ochroniarzy, konieczność zorganizowania parkingów, zaangażowanie policji i konieczną, jej zdaniem, infrastrukturę, William wydawał się mocno przerażony.

- Dojazd! Abi, na litość boską, przecież nie mogę budować dróg!

- Ale może będziesz do tego zmuszony... Kontrahenci...

- Jacy kontrahenci? - zapytała Georgia.

- Ci, którzy budują scenę, zakładają nagłośnienie i zajmują się także innymi sprawami. Musisz zakładać, że potrzeby będą o wiele większe, niż sądzisz, bo inaczej coś może nie wypalić. Tak czy inaczej, ekipy budowlane i klienci muszą mieć pewność, że nie ugrzęzną w błocie. A pomyśleliście o tym, że, na przykład, może lać deszcz?

- Nie. A jakie to ma znaczenie? - zdziwił się William.

- Och, to zawsze ma znaczenie. Można powiedzieć, że takie zdarzenia są wpisane w projekt.

- No nie - mruknął William.

Georgia popatrzyła na niego z niepokojem i lekko nerwowym tonem oświadczyła, że może w takim razie powinni pozostać przy zorganizowaniu pojedynczego koncertu.

- Na przykład takiego na wolnym powietrzu, w jakiś wieczór następnego lata... To mogłoby być urocze. Abi odparła, że koncert to koncert, nie ma co liczyć wtedy na duże profity.

- Moim zdaniem, festiwal byłby znacznie bardziej ekscytujący. Można liczyć na o wiele większy rozgłos, tak na początek, i na o wiele większe zainteresowanie publiczności. Trzeba pomyśleć o czymś, na co by mogły przyjechać całe rodziny, przyprowadzić dzieci, przytulić się gdzieś na jedną noc, posłuchać kilku różnych zespołów, trochę potańczyć... Ludzie naprawdę uwielbiają takie imprezy. Odbierają je jak coś w rodzaju miniwakacji. W ten sposób możemy ściągnąć nawet parę tysięcy osób. I dzięki temu zarobić sporą kasę. Nawet znane zespoły ograniczają swoje gąże do minimum, jeśli wiedzą, że dochód z koncertu jest przeznaczony na cel dobroczynny. Zresztą, niezależnie od kalibru imprezy, i tak musicie mieć porządną scenę, nagłośnienie i oczywiście mnóstwo kibelków. William, czy naprawdę jesteś gotów zaangażować się w taką rzecz? Czy twoi rodzice zgadzają się na to?

William odparł raczej lekkim tonem, że jakoś zdołał ich namówić; nie wspominał nic o tym, że starannie omijał wszystkie możliwe ukryte znaczenia, że kładł nacisk na fakt, że będzie to koncert charytatywny, co od razu zabrzmiało bardzo pozytywnie. Wiedział, że z pewnością wyrażą sprzeciw wobec pomysłu organizowania festiwalu, bo to im się kojarzy z ogłuszającym hałasem, narkotykami i generalnym plugastwem.

- Nie, są zadowoleni, że to robimy - powiedział.

- To wspaniale. - Abi się uśmiechnęła. - Miejmy nadzieję, że to się nie zmieni, bo potem nie będą mogli tak łatwo się wycofać. A teraz zastanówmy się nad znalezieniem sponsora, potrzebne są nam jakieś realne podstawy finansowe. Trzeba wybrać parę znanych i znaczących osób i zaproponować im, żeby wsparli nas finansowo w zamian za odpowiednią reklamę. Możecie już zacząć myśleć, do kogo należy się zwrócić.

- Co masz na myśli? Jakież stacje telewizyjne albo coś takiego?

- Nie, raczej kogoś, kto związany jest z handlem, na przykład lokalną firmę, która coś produkuje... Ja też muszę się zastanowić. Co o tym sądzicie? Jeszcze jest czas, żeby się wycofać.

Georgia wydała z siebie jakiś pisk. Abi spojrzała na nią. Oczy Georgii lśniły jak gwiazdy, złożyła dłonie. W ciągu nadchodzących miesięcy Abi miała dobrze poznać ten gest.

- Myślę, że wszystko zaczyna się wręcz cudownie! - wykrzyknęła z entuzjazmem. - Zdecydowanie musimy to zrobić. Oczywiście, jeśli William... To znaczy pan Grainger faktycznie chce się zaangażować. No bo rozumiecie, to jest... To jest naprawdę wielkie przedsięwzięcie.

- Proszę, mów mi po imieniu - poprosił William. - Jak ktoś zwraca się do mnie „panie Grainger”, od razu czuję się tak, jakbym był własnym ojcem.

Popatrzył na dwie siedzące przed nim dziewczyny - obie apetyczne i seksowne - o których istnieniu rok temu nie miał pojęcia, i pomyślał, że przez mniej więcej najbliższe pół roku będzie spędzał z nimi mnóstwo czasu. Na samą myśl o tym zakręciło mu się w głowie.

- Jasne, że chcę się zaangażować - powiedział. - To chyba oczywiste.

Dobrze się złożyło, myślała Georgia, że organizowanie koncertu nieco odciągnie ją od innych spraw. Z całkowitym przerażeniem czekała na zapowiedzianą rozprawę w sądzie. Myśl, że będzie musiała zjawić się na

sali sądowej, stanąć twarzą w twarz z tymi wszystkimi ludźmi, z których niektórzy wciąż oplakiwali swoich bliskich, i pod przysięgą opowiedzieć o tym, jak wymknęła się z kabiny, zostawiając w niej Patricka Connella, i jak znikła, zapominając o dostarczeniu dowodów, tak decydujących z jego punktu widzenia, budziła w niej gwałtowne mdłości.

Wiedziała, że nie ma sposobu, żeby się wymigać - proces musiał się odbyć - więc wciąż przeżywała wszystko na nowo, wracając do dręczących ją wyrzutów i poczucia winy.

Zdjęcia do *Moving Away* były prawie na ukończeniu, a pierwszy odcinek miał zostać wyemitowany już wiosną.

Bała się nawet myśleć, że już nie będzie codziennie - mniej lub bardziej, ale zawsze - widywać Merlina. Jego obecność stanowiła w jej życiu ekscytujący element, kiedy rano szykowała się do wyjścia, zastanawiała się, co na siebie włożyć, czy Merlin będzie na planie, czy coś do niej powie... Wciąż się zastanawiała, jakimi uczuciami on ją darzy; w gorszych chwilach wydawało się, że w ogóle jej nie dostrzega, za to w tych dobrych... Dlaczego tak często zapraszał ją na drinka, kiedy wieczorem kończyli zdjęcia, czemu spędzał z nią tyle czasu, z jakiego powodu upewniał się, czy mieszkanie w domu Jazza na pewno jej odpowiada.

Posunął się nawet do tego, że raz czy dwa zaprosił ją do kina, żeby obejrzeć jakieś niewiarygodnie intelektualne zagraniczne filmidła w czymś, co nazywało się „Hampstead Everyman”, a co sam nazywał miejscowym przybytkiem rozrywki. Z tych filmów nie zrozumiała dosłownie niczego, ani trochę się jej nie podobały, choć oczywiście udawała, że jest wręcz przeciwnie. A pewnej cudownej soboty zadzwonił, że wybiera się na świąteczne zakupy do Portobello i może ona ma ochotę też się wybrać, jeśli akurat jest gdzieś w pobliżu? Bardzo podobało się jej chodzenie pomiędzy stoiskami, a gdy skończyli zakupy, Merlin zapytał, czy chciałaby zjeść z nim lunch w Camdean Lock - „nie wierzę, że jeszcze tam nie byłaś, skoro tyle czasu mieszkasz w Londynie” - więc odparła, starając się zachować absolutny spokój, że bardzo chętnie. Usiedli w jednym z barów położonych tuż nad kanałem i wówczas Georgia była przekonana, że to właśnie ten moment, że on zaraz powie, że naprawdę ją lubi... Ale nie powiedział. Mruknął tylko, że zaraz po lunchu musi pędzić.

- Rodzice dziś wieczorem urządzają wielką imprezę. Muszę wracać, żeby im pomóc.

- Czy... Czy to rzeczywiście będzie wielka impreza? - spytała, zastanawiając się w duchu, czy on zamierza ją zaprosić.

- Tak, przyjdzie chyba ze sto osób. Każda inna pani domu postarałaby się o jakąś pomoc, ale nie moja mama, to kłóci się z jej zasadami, podobnie jak zatrudnienie sprzątaczkę, więc od paru tygodni męczy się do upadłego, żeby wszystko było gotowe na czas. Z kolei tata chowa się w swoim gabinecie i udaje, że niczego nie widzi.

- Pewnie przyjdzie do was mnóstwo znanych ludzi, prawda?

- Tak. Mnóstwo takich z rodzaju Beebów, Humphreyowie, Paxman, Benn, pewnie też Millibandsowie, być może Charlie Falconer, za to na pewno nie będzie państwa Blair.

- Boże - westchnęła. - Według mnie to fascynujące, mieć takich znajomych.

- Wcale nie. Jesteś takim słodkim stworzeniem, Georgia. - Uśmiechnął się do niej. - Ani trochę niezepsutym... Zostań taka, jaka jesteś, na litość boską. Nie pozwól się rozpuścić. A teraz muszę lecieć. Trafisz sama z powrotem?

- Tak, jasne. Po drodze jeszcze wstąpię do paru sklepów - powiedziała prędko.

Tak właśnie wyglądał ich związek, nie związek - dwa kroki naprzód, dwa kroki w tył. To było drażniące, frustrujące, wprawiające w zakłopotanie.

Najczęściej tłumaczyła sobie, że to tylko jego styl bycia, że on po prostu lubi czarować i że stąd bierze się to obejmowanie jej przy lada okazji i braterskie pocałunki. Ale mimo to wciąż znajdowała podstawy, by sądzić, że chodzi o coś więcej.

Nigdy nie rozmawiała na temat Merlina z nikim zatrudnionym przy produkcji serialu i robiła to celowo. Nie było mowy, żeby zaryzykowała wystawienie się na pośmiewisko, gdyby tamci się domyślili, że zadurzyła się w nim bez wzajemności. Poza tym z nikim nie była w wystarczającej zażyłości, oczywiście z wyjątkiem Anny.

Próbowała wyciągnąć trochę informacji od Lindy, która zawsze znała wszystkie plotki krążące w ich środowisku, ale Linda odparła wymijająco, że niewiele wie o nim poza tym, że jest niezwykle utalentowany i że wkrótce zostanie pierwszym asystentem reżysera, prawdopodobnie już przy następnej produkcji, nad którą będzie pracował.

- Ale chyba nie zakochałaś się w nim, prawda, skarbie?

- O Boże, oczywiście że nie! - zawołała Georgia.

- To dobrze. Bo jak o nim myślę, to przychodzą mi do głowy dwa słowa: „mały” i „gnojek”.

Georgia zignorowała tę uwagę; to było całkiem w stylu Lindy.

Wkrótce potem tajemnica się wyjaśniła - i to w bardzo bolesny sposób.

Impreza z okazji zakończenia zdjęć odbyła się zaledwie na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Z tej okazji Georgia sprawiła sobie wyszywaną cekinami sukienkę, której w zasadzie prawie nie było, tak była krótka i głęboko wycięta. Do tego pasowały długie, sztuczne rzęsy, ozdabiane brokatem.

Zabawa odbywała się w domu Bryna w Putney - cudownym miejscu, którego przeszklone ściany wychodziły wprost na rzekę. Bryn był niesamowicie hojny i szampan lał się strumieniami, pani Bryn zaś, którą okazała się olśniewająca aktorka o nazwisku Jan Lloyd, błysnęła doskonałą kuchnią. Było to godne uwagi, zwłaszcza dlatego, że ona sama na ten wieczór wyszła z domu.

- Powiedziała, że w takiej imprezie nie powinien uczestniczyć nikt poza tymi, którzy brali udział w produkcji serialu - wyjaśnił z uśmiechem Bryn, zaczynając swoją małą przemowę.

Prawdę mówiąc, jak wyjaśniła Georgii Anna, taka impreza dla kogoś postronnego mogła okazać się mało zabawna. Taki ktoś czułby się strasznie nieswojo, nie rozumiejąc większości dowcipów, które sypały się jak z rękawa, i musiałby bardzo uważać, żeby przypadkiem nie ujawnić zakazanego związku kogoś z obecnych.

Georgia czuła, że przechodzi dziś samą siebie; flirtowała ze wszystkimi dookoła, nie wyłączając Bryna - i Merlina, oczywiście. Zmuszała wszystkich po kolei, żeby z nią tańczyli, bo wiedziała, że większości z nich już nie będzie miała okazji spotkać, i sama bawiła się przy tym znakomicie.

Merlin okazał się fantastycznym tancerzem i wyglądał doprawdy olśniewająco; ubrał się dziś wyłącznie na czarno, w czarne, obcisłe dżinsy, czarny T-shirt i czarną, skórzaną kurtkę. Pomyślała, że pewnie mu gorąco i kilka razy proponowała, żeby ją zdjął, ale on odpowiadał, że lubi tę kurtkę i że lubi, jak mu jest gorąco. Miała nadzieję, że mówiąc to myślał o tym, o czym ona chciała, żeby myślał.

Nagle odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych i Georgia, która przypadkiem znalazła się w holu, otworzyła drzwi. Na progu stała dziewczyna, naprawdę śliczna dziewczyna, wysoka, o długich blond włosach i przepięknych, błękitnych oczach. Miała na sobie króciutką, czarną sukienkę i czarne, sięgające kolan botki na wysokich obcasach. Na widok Georgii uśmiechnęła się z lekką pogardą, a potem przesunęła po niej badawczym spojrzeniem.

- Cześć. Jest tu Merlin? - zapytała.

Georgia odpowiedziała, że owszem i może pójść sama go poszukać - dziewczyna należała do tego typu ludzi, którzy inspirują podobne zachowanie - i już się odwróciła, żeby wrócić do towarzystwa, kiedy w holu pojawił się Bryn.

- Ticky! Kochanie, cóż to za niespodzianka! Merlin wcale nas nie uprzedził.

Dziewczyna pocałowała go na powitanie i wyjaśniła, w czym rzecz.

- On wcale nie wiedział, że dzisiaj przylatuję. Bryn, skarbie, obiecuję, że nie przyszedłam po to, żeby popsuć wam zabawę. Pomyślałam tylko, że mogłabym go porwać na chwilkę.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz psuć, co tylko zechcesz, laleczko. Czekaj, pójde poszukać tego chłopaka.

Merlin i Ticky - kto się tak nazywa, do diabła, i od jakiego imienia to skrót, zastanawiała się Georgia - stanowili parę. Przynajmniej wszystko na to wskazywało. Byli parą od czasów szkoły aktorskiej, tyle tylko, że Ticky, która miała niesamowicie bogatego tatusia, uczyła się teraz w szkole filmowej New York University. Do Londynu przyjeżdżała wyłącznie na wakacje.

Merlin najwyraźniej ją adorował, podobnie jak większość obsady. Davina zarzuciła jej ręce na szyję i oznajmiła, że wygląda wręcz bosko. Rzeczywiście, pomyślała Georgia, poddając się nastrojowi przygnębienia. To była dziewczyna z rodzaju tych, które pojawiają się na okładce „Tattlera” albo nawet „Vogue’a”. Opanowana, absolutnie pewna siebie, niesamowicie szykowna - szybko stała się ośrodkiem zainteresowania.

A kiedy pół godziny później ona i Merlin wychodzili razem, wyglądając jak para wyjęta z reklamy Prady, Georgia usiadła obok Anny.

- Co się stało z twoją zasadą niechodzenia na imprezy po zakończeniu zdjęć? - spytała, starając się zachować zimną krew.

- Według mnie, jeśli coś ci się podoba, to możesz być wszędzie, gdzie tylko zechcesz - odparła Anna, a potem zmierzyła Georgię twardym spojrzeniem. - Posłuchaj, skarbie, mam już dość tej zabawy. Może pojedziesz ze mną? Lila siedzi tam sama i na pewno ucieszy się na twój widok. Poza tym może zdążymy obejrzeć koncert, oczywiście jeżeli w ogóle będzie co oglądać.

- Cudownie - odpowiedziała Georgia. - Dzięki za zaproszenie.

Teraz ogarnął ją paniczny strach, że wszyscy ludzie z produkcji będą śmiać się z niej za jej plecami.

Anna, która najwidoczniej dodała dwa do dwóch, i sprawdziła wynik w taksówce wiozącej je do domu, zapewniła, że nic podobnego nie wchodzi w grę.

- Przysięgam, że nikt nie wspomniał o tym nawet jednym słowem. Uwierz, że nawet ja się nie domyślałam. Naprawdę nieźle to rozegrałaś, Georgia. Po prostu znakomicie. Ja zresztą powiedziałabym, że chwała Bo-

gu, że tak to się skończyło. Żeby tak cię wodzić za nos, ani słowem nie wspominać o jej istnieniu... Ticky! Boże, cóż to za imię!

- Nie, wcale nie! - zaprzeczyła gorąco, a łzy same pociekły jej po policzkach. - On wcale mnie nie oszukiwał, on był po prostu... Był bardzo uprzejmy. Och, Anno, tak strasznie mi przykro. Wiesz, chyba jednak pojedę prosto do domu.

- Dobrze - odpowiedziała Anna. - Nie ma sprawy, doskonale cię rozumiem. Ale proszę, skarbie, uwierz mi, nigdy nie słyszałam żadnej plotki o tobie i o Merlinie. Mówię całkiem szczerze.

W pewnym sensie te słowa dodały Georgii otuchy.

Linda spędziła niewiarygodnie cudowne święta Bożego Narodzenia. Zawsze lubiła nastrój tych świąt, ich rozmach i teatralność, i potrafiła całymi godzinami dekorować swoje mieszkanie. Z przyjemnością chodziła na niezliczone przyjęcia i kupowała całe góry prezentów. W świąteczny dzień jechała do domu Francisa i jego partnera, który był znakomitym kucharzem. W tym roku nic się nie zmieniło - z wyjątkiem tego, że Alex, który spędził dzień ze swoimi dziećmi oraz była już żoną, przyjechał wieczorem, żeby - jak określiła to Linda - przepięprzyć całą noc i gładko wsunąć się w dzień, kiedy rozdaje się prezenty.

Linda sama nie wiedziała, co ma myśleć o swoim związku z Alexem. Pod wieloma względami Alex wydawał się niesamowicie trudny; miewał napady złego humoru, potrafił się wściekać i do przesady lubił analizować własne uczucia, więc to, co Linda uważała za randki, przynajmniej w połowie wypadków kończyło się jakimś totalnym nieporozumieniem. Te mniej istotne rozwiązywali w łóżku, te bardziej zawzięte trwały całymi dniami. Kilka razy, gdy wyszedł od niej, trzasnąwszy drzwiami, postanawiała, że najwyższy czas skończyć ten chory układ, że unieszczęśliwiają się nawzajem i dzwoniła do niego, żeby mu to zakomunikować, a on prawie zawsze zgadzał się, że to święta prawda. Ale potem jakimś sposobem udawało się zażegnać konflikt; on albo ona robili nieśmiałe podchody, właściwie za nic nie przepraszając, umawiali się na spotkanie, a kiedy już do niego dochodziło, przekonywali się obydwoje, że wbrew swojej woli nie mogą nadal zachowywać się jak wrogowie. Wszystko zaczynało się od początku - zabawianie, oczarowywanie, sprawianie sobie nawzajem przyjemności, przytakiwanie, że dali sobie o wiele więcej szczęścia niż ktokolwiek do tej pory. I tak aż do następnej kłótni.

Linda często myślała, że taki związek nie ma przyszłości; był zbyt męczący i wprowadzał w życie element nieustannego niepokoju. Z drugiej strony, ilekroć wyobrażała sobie przyszłość bez Alexa, bez tych intensywnych kolorów, zainteresowania i ciągłych dramatów, wydawało jej się to całkiem niemożliwe.

Doskonale zdawała sobie sprawę, co wywoływało te ciągłe kłótnie; obydwoje byli aroganccy, zawzięci i o wiele za długo brali pod uwagę jedynie własne opinie, nie licząc się z nikim innym. Linda od dawna mieszkała sama i bez przeszkód mogła realizować swoje zachcianki, Alex zaś miał w szpitalu taką pozycję, że bardzo niewiele osób mogło sprzeciwiać się jego woli.

W tych lepszych dniach Linda myślała - bo tak naprawdę należała do osób nadzwyczaj optymistycznie nastawionych do życia - że wszystkie dramaty, namietności i przeszkody, jakie napotykała w tym związku, tak naprawdę przesądzały o jego atrakcyjności. Jednak gdy dopadała ją chandra, widziała jasno, że Alex w żaden sposób nie zaspokajał jej potrzeb - nie było kojącego ciepła ani koleżeństwa, o jakim zawsze marzyła. Jego towarzystwo koilo ją i podnosiło na duchu mniej więcej tak samo jak burza z piorunami. Poza tym Alex obar-

czony był dwojgiem nastoletnich dzieci, których jeszcze nie pozwolił jej poznać, co samo w sobie było dość znaczące i co sprawiało jej niewymowną przykrość, i uprawiał dość wymagający zawód, który zupełnie nie mieścił się w kręgu jej zainteresowań.

Jedyne, co mogła zrobić - albo przynajmniej spróbować zrobić, choć to było całkiem wbrew jej naturze - to czerpać przyjemność z tego związku tak długo, jak tylko się da, jednocześnie nie przestając rozglądać się za kimś bardziej odpowiednim. Kłopot w tym, że Alex, pomimo swoich przerażających wad, ustawił poprzeczkę dość wysoko.

Laura przekonała się, że nienawidzi każdej minuty Bożego Narodzenia. Zawsze uwielbiała te święta, czekała na nie całymi miesiącami, dokładnie planowała zakupy, dekoracje, gotowanie, żeby każdy dostał to, co najbardziej lubił. Wówczas zdarzało się jej myśleć, że jest niesamowitą szczęściarą, skoro może pozwalać sobie na taki ekstrawagancki rozmach; dopiero teraz odkryła, że to nie dawanie prezentów, nie rodzinne świętowanie, nie przyjemność ubierania choinki, ani nawet nie koncert kolęd czy dziecięce party, jakie organizowali razem z Jonathanem, budziły w niej poczucie spełnienia, tylko świadomość, że znajduje się w samym centrum swojej doskonałej, szczęśliwej rodziny. W te święta jednak jej rodzina była nie tylko daleka od doskonałości, ale nawet od zwykłego, ludzkiego szczęścia, ona zaś nie była już ośrodkiem rodzinnego życia. W tym roku wszystkim towarzyszyło wrażenie gorzkiej porażki; dwie małe dziewczynki całymi nocami płakały w swoich łóżeczkach z tęsknoty za tatusiem i błagały, żeby się upewniła, czy tata na pewno przyjdzie do nich w Boże Narodzenie, niewiele większy od nich chłopiec oświadczył, że nienawidzi ojca i że natychmiast wyjdzie z domu, jeśli ojciec się pojawi, a dom był zimną wystawą światełek, błyskotek, choinki i zgromadzonych pod nią prezentów. Laura nie żałowała ogromnych sum na PlayStation i gry Nintendo dla Charliego, na lalki i ładne sukienki dla dziewczynek, i na iPody dla całej trójki. Mieli najwyższą choinkę, największe sztuczne ognie i najbardziej wykwintną kolację; ale chociaż dziewczynki wyraziły radość i powiedziały, że bardzo im się podobają prezenty, a ją kochają, i odśpiewały kolędy z taką samą determinacją, z jaką pomagały jej nakryć do stołu, i chociaż nawet Charlie starał się być uroczy i oznajmił, że PlayStation jest całkiem fajne, a potem z wdziękiem wysłuchiwał niekończących się, okropnych żartów, jakimi raczył go dziadek, i choć po kolacji udało się im zagrać w zgadywanki i w chowanego, to jednak pozostało dręczące uczucie pustki i spowijająca wszystko szarość. Kiedy więc dzieci objęły ją i ucałowały na dobranoc, a następnie ułożyły się w łóżeczkach ze swoimi nowymi książkami, przyciskając do siebie iPody, Laura wiedziała z całą pewnością, że przede wszystkim czują ulgę, że ta cała farsa dobiegła końca i nie muszą już dłużej udawać, że są zadowolone i szczęśliwe.

Kompromis dotyczący wizyt Jonathana wyglądał tak, że Jonathan miał przyjść rankiem w dzień Bożego Narodzenia i dać dzieciom prezenty (podczas gdy Charlie wcisnął się w kąt i stamtąd mierzył go nienawistnym spojrzeniem), a potem odejść, ponieważ „musiał przyjąć na świat parę maluchów”, a później zabrać je w drugi dzień świąt do swojego mieszkania, skąd wieczorem mieli pojechać do Richmond na jakąś pantomimę. Jednak Charlie w ostatniej chwili odmówił wyjazdu, co mocno rozstroiło obydwie dziewczynki, bo potem w teatrze było obok nich to okropne, puste miejsce, które niemal krzyczało, że Charlie też powinien tu być, więc płakały rozpaczliwie przez całą drogę do domu, kiedy Laura przyjechała, żeby je odebrać.

Jonathan, siedząc samotnie w swoim mieszkaniu, rozmyślał nad tym paskudnym, wypełnionym pustką dniem, i w końcu także się rozplakał.

Czekając na dzień rozprawy w sądzie, Barney dosłownie przeżywał koszmar na jawie. Zbierało mu się na wymioty za każdym razem, gdy wyobrażał sobie, jak ktoś zadaje mu pytanie o te nieszczęsne opony i jak on musi odpowiedzieć, że Toby nie pozwolił mu ich sprawdzić. Fakt, że w jednej z opon tkwił gwóźdź, początkowo sprawił mu olbrzymią ulgę, ale teraz wydawał się o wiele mniej istotny. Ostatecznie powinien był upierać się, że musi sprawdzić wszystko, co ma wpływ na bezpieczeństwo jazdy. W tym tkwiło sedno sprawy.

Poza tym wciąż rozmyślał o Emmie - o tym, jak szybko i szczęśliwie zakochali się w sobie i jak wciąż bardzo za nią tęskni. W dodatku tęsknił również za Tobym, pomimo wszystkich niesprzyjających okoliczności. Brakowało mu kumpla, z którym można się pośmiać, któremu można wysyłać dziesiątki głupich maili, z którym można się upić. Toby miał wrócić do pracy zaraz po Bożym Narodzeniu. Na pewno nie raz spotka go w jakimś barze czy innym miejscu, a Amanda zacznie się dopytywać, czemu już się nie widują. Oczywiście wiedziała o Tamarze i o zerwanych zaręczynach i przejęła się tym tak bardzo, że aż jej błękitne oczy wypełniły się łzami.

- Mimo wszystko uważam, że chyba dobrze się stało. Tamara powiedziała mi, że po prostu doszli do wniosku, że już się nie kochają. Prawda, że to okropne?

Rzeczywiście okropne...

Emma spędziła święta, starając się za dużo nie myśleć o tym, co porabia Barney z Amandą w tym wielkim, wiejskim domu, do którego mieli pojechać na święta, i czy w rodzinnym gronie prowadzono rozmowy - Boże Narodzenie sprzyja poruszaniu takich tematów - na temat zaślubin.

Cóż to była za ulga móc wrócić do pracy.

Mary i Russell mieli w tym roku cudowne Boże Narodzenie. Tadwick House został ozdobiony aż do przesady - kolorowe światełka umieszczono w każdym pomieszczeniu, dookoła każdego kominka, owinięto wokół każdej balustrady, a nawet na każdym żywopłocie w pobliżu domu. W holu stanęła olbrzymia choinka, druga w salonie, a pod nią piętrzył się ogromny stos prezentów; w każdym wejściu wisiała jemieszka, ogromne polana płonęły na każdym palenisku, a w domu królowały zmieszane zapachy palącego się drewna i pieczonych smakołyków. Poza tym wszędzie panował cudowny rozgardiasz i cały dom dosłownie tętnił życiem.

W dzień Bożego Narodzenia zjechali nie tylko Christine i Gerry, Douglas i Maureen z dziećmi oraz Timothy z uroczą Lorraine i jej rodzicami, lecz ku zaskoczeniu i radości Mary, pojawiły się także Coral i Pearl, każda ze swoim małżonkiem, i zapytały, czy mogą się przyłączyć, ponieważ angielskie kolędowanie od dawna było ich marzeniem.

Russell także był uszczęśliwiony. Początkowy sprzeciw Christine mocno go zabolął, więc czuł zadowolenie, że jego własne córki okazały się o wiele bardziej wspaniałomyślne i otwarte niż córka Mary. Wciąż było mu trudno zdobyć się na serdeczne przytulenie Christine, zarówno fizycznie, jak emocjonalnie. Christine nie przyszło do głowy, że Russellowi należy się choćby słowo wyjaśnienia, i za każdym razem, gdy spoglądała na jej pogodną, okrągłą buzię, nie mógł się nadziwić, że tak bardzo niepodobna jest do swojej matki.

Pogoda dopisała pod każdym względem; było mroźnie i słonecznie. W pierwszy dzień świąt wszyscy wybrali się do kościoła na poranną mszę, wrócili do domu na obfity lunch - przerwany na wysłuchanie mowy królowej - a potem pojechali się na krótki spacer, po którym odbyło się wręczanie prezentów. Później każdy wycofał się do swojego pokoju, żeby trochę odpocząć, wieczorem zaś wszyscy zgromadzili się ponownie, żeby

trochę pograć w różne gry i przy pianinie śpiewać kolędy. To pianino było bożonarodzeniowym prezentem Russella dla Mary, która zawsze marzyła o własnym instrumencie, odkąd uczyła się grać na fortepianie u swojej babci, gdy jeszcze była małą dziewczynką, choć nigdy nie udało jej się spełnić tego marzenia. Z początku szło jej opornie, ale w czasie gdy wszyscy zasiedli przy sherry, była już wystarczająco biegła, by sprawnie odegrać *Jingle Bells* i *Away in a Manger*. Russell był doskonałym pianistą i wkrótce sam zastąpił ją przy klawiaturze, żeby zakończyć wieczór ozdobną, koncertową wersją *Błękitnej rapsodii*, która przywiodła do łez matkę Lorraine, a także Coral i Pearl.

Towarzystwo rozeszło się do łóżek około dziesiątej, z wyjątkiem Timothy'ego, Lorraine i kanadyjskich kuzynów, którzy chcieli obejrzeć stare filmy z Jamesem Bondem. Christine podeszła do schodów, ale nagle odwróciła się, weszła z powrotem do salonu i cmoknęła Russella w policzek.

- To był cudowny dzień - powiedziała. - Bardzo ci dziękuję, że zaprosiłeś nas na święta. A tak w ogóle to bardzo przepraszam za... Za moje...

No cóż, nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że tutaj jesteś. Dzięki tobie moja mama jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek, to znaczy, oczywiście od śmierci taty.

Russell także ją ucałował, a potem powiedział, że jest dumny, zastępując kogoś takiego jak Donald, kto najwyraźniej posiadał wszystkie cechy prawdziwego dżentelmena.

Później, kiedy już siedzieli na łóżku, Russell schylił się i pocałował Mary.

- Wiesz, Mary, ja naprawdę myślę tak o Donaldzie. Czeka mnie ciężkie zadanie, żeby mu dorównać.

Mary odwzajemniła pocałunek i powiedziała, że całkiem nieźle sobie radzi. Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ 46

Powinna była wcześniej zdać sobie z tego sprawę, to oczywiste; jeśli spierali się tak często i namiętnie wtedy, gdy mieszkali w różnych mieszkaniach - i w dodatku w całkiem różnych miastach, jeśli chodzi o ścisłość - to jaką mogli mieć nadzieję na spokojne współlistnienie, kiedy znaleźli się w tym samym pokoju bez żadnej możliwości ucieczki, chociażby do pracy?

Prawdę mówiąc, początkowo Linda na przekór wszystkiemu miło spędzała czas; konferencja w Kapsztadzie okazała się niebywale ciekawa, poza tym działo się o wiele więcej, niż można było oczekiwać. Spodziewała się, że czekają ją nadzwyczajne nudy, a tymczasem całkiem nieźle się bawiła. Na pewno nie bez znaczenia było to, że szybko została uznana za kogoś w rodzaju gwiazdy, zwłaszcza wśród mężczyzn, i to nie tylko z powodu wyglądu i sposobu ubierania się, lecz z racji swojego zawodu; dla nich była pełną blasku, zajmującą istotą z całkiem innego świata.

W szczególności zaprzyjaźniła się z dwiema osobami - z dość zuchowatym neurochirurgiem, który niegdyś kształcił się na adwokata; powiedział jej, że życie jest zbyt krótkie, by poświęcić je na uprawianie tylko jednej dyscypliny, jak to określił, a potem spytał, z uznaniem ślizgając się błękitnymi oczyma po jej bardzo wyciętym topie z czarnego aksamitu, co zamierzała robić, kiedy była dorastającą dziewczynką. Linda odparła,

że marzyła o karierze erotycznej tancerki, która uprawia swój fach na kolanach klientów, a wtedy on wybuchnął tak donośnym i serdecznym śmiechem, że wszyscy obecni w jadalni odwrócili się, żeby na nich popatrzeć.

Drugim przyjacielem był zatrudniony na część etatu nauczyciel ze szkoły podstawowej o imieniu Martin - mało skomplikowany, lecz zabawny facet, który towarzyszył żonie. Oznajmił, że już zdążył się przyzwyczaić do wyjazdów przeznaczonych dla par małżeńskich.

- Prawdę powiedziawszy, wcale mi to nie przeszkadza. Wszystko mi się tu podoba, oczywiście poza wyjazdami na zakupy. Żony innych mężów są dla mnie bardzo miłe i zwykle jest nas tu więcej, ale jakoś potrafię uporać się z myślą, że jestem tylko ja.

Opowiedział jej, że od zawsze zajmował się dziećmi - od czasu, gdy jego żona, chirurg ortopeda, zaczęła pierwszą pracę jako lekarz konsultant.

- Pomyślałem sobie, czemu nie? Ona zarabia milion razy więcej, niż ja kiedykolwiek zdołałbym zarobić. Czasami się dąsa, jeśli obiad nie jest gotowy na czas, kiedy wróci do domu, ale jakoś daję sobie z tym radę.

Linda się zaśmiała. Może właśnie tego było jej trzeba - męża, który siedzi w domu? Jak by to było cudownie wracać co wieczór do domu, gdzie na stole czeka gotowy obiad, a w kuchni pełna lodówka? Nie wspominając o brudnych rzeczach, podzielonych na te do czyszczenia na sucho i te do prania, oraz o zatrudnieniu sprzątaczkę? Cudowna perspektywa.

Ale cóż, mężowie, którzy godzą się na siedzenie w domu, raczej nie należą do tych obdarzonych sex appealem.

Drugiego dnia programu dla par małżeńskich wjechali kolejką linową na Górę Stołową. Linda razem z Martinem obeszła cały wierzchołek; we dwoje podziwiali widok, chłonąc pełną piersią niemal idealnie czyste powietrze, i uzgodnili, że chętnie we dwójkę urwą się z wizyty na osiedlu biedoty, która przewidziana była następnego dnia.

- Ale Alex uprzedzał mnie, że organizatorzy tego nie lubią - powiedziała.

- Och, raz czy dwa na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu. Zwykle mówię, że właśnie dostałem okres.

Linda parsknęła śmiechem.

- Twój mąż pewnie bez przerwy jeździ na takie imprezy? - spytał.

- Mój partner. Nie jesteśmy małżeństwem. Cóż, jeśli dotrzymasz tajemnicy, to zdradzę ci, że to właściwie mój chłopak. Sprowokowałam go, żeby mnie tu zabrał i zrobił tak, jak chciałam.

- Nikomu nie pisnę ani słówka. Właściwie dlaczego musiałaś go prowokować? Każdy normalny, pełnokrwisty mężczyzna na pewno umiera z chęci, żeby zabrać cię dokądkolwiek. A może jego krew jest w bardziej różowym kolorze, co?

- Nie, ani trochę - zachichotała Linda. - Zresztą... To był taki trochę żart, o tym prowokowaniu. Tak czy inaczej, on nie akceptuje idei takich wyjazdów. Uważa je za coś w rodzaju zakamuflowanej łapówki.

- To dość trafna uwaga. Na szczęście moja szanowna małżonka nie kieruje się w życiu zasadami.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby Martin nie przyprowadził żony - miłej, piegowatej dziewczyny o imieniu Fiona, mówiącej z wyraźnym szkockim akcentem - na spotkanie z Alexem i Lindą przy drinku przed obiadem, i nie powtórzył Alexowi, co Linda mówiła na temat łapówek i że on całkowicie się z nim zgadza.

- Też uważam, że to straszna granda. Ale mimo to czy mamy powody się uskarżać? - spytał.

- Och, ty z pewnością nie - odparła Fiona. - To ja muszę ciężko się napracować, żeby ktoś zaprosił nas na taki wyjazd. Zresztą to, co mówisz, wcale nie jest takie oczywiste.

- Oczywiście, że nie - odparł Alex i spiorunował Lindę wzrokiem.

- Według mnie ten program małżeński to okropna harówka - zauważył Martin. - Razem z Lindą mamy zamiar urwać się z jutrzejszej imprezy, prawda?

- Tak jest. Czeka nas ciężka harówka w spa - odrzekła Linda i zaraz dodała pośpiesznie: - A jak wypadła dzisiejsza sesja?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Fiona. - Było kilka naprawdę interesujących pomysłów, prawda, Alex?

- Owszem. Było dość ciekawie.

- Cóż to, kogo tu widzę? Czy to nasza tancerka erotyczna? Nie pracujesz dzisiaj, ślicznotko?

To był neurochirurg. Linda na powitanie cmoknęła go w policzek.

- Cześć. Jeszcze nie. Zwykle zaczynam dopiero po obiedzie.

- Czekam niecierpliwie. A teraz chodź i ocal moją żonę, dobrze? Opowiedziałem jej o tobie i biedaczka marzy, żeby cię poznać, ale, niestety, przyczepił się do niej jakiś gnom z Działu Badań i Rozwoju. Alex, stary przyjacielu, możesz pożyczyć mi ją na trochę?

- Naturalnie - odparł Alex i uśmiechnął się do neurochirurga.

Linda знаła ten uśmiech. Wiedziała, z jakim trudem się na niego zdobył. Mrugnęła do Alexa, powiedziała, że za chwilę wraca, a potem poszła w ślad za neurochirurgiem na drugą stronę sali.

Pani NS okazała się dość zabawną osobą. Sama była lekarzem, pochodzącą z Irlandii internistką; od razu powiedziała, że jest niesamowicie wdzięczna za ratunek - „Naprawdę myślałam, że zaraz umrę z nudów” - i zapytała Lindę, który z obecnych panów jest jej mężem.

- Ach, tak - odparła, mrużąc oczy, żeby dostrzec osoby znajdujące się po drugiej stronie sali. - Bardzo przystojny. Ma w sobie coś z Heathcliffa.

- Dokładnie to samo pomyślałam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy - powiedziała Linda. - Niestety, podobieństwo na tym się nie kończy. Potrafi być bardzo ponury i humorzasty. Co nie oznacza, że w tej chwili jest w świetnym nastroju. Myślę, że musi być wściekły, ponieważ wykręciłam się z udziału w jutrzejszym programie.

- Chyba się do ciebie przyłączę. Nienawidzę takich pomysłów. Co masz zamiar robić?

- Będę się upiększać w spa.

- Brzmi całkiem nieźle. No to do zobaczenia jutro, być może. Teraz chyba musimy siadać do stołu.

Alex spojrział spode łba, kiedy zajęła miejsce obok niego.

- Linda, jak śmiesz opowiadać ludziom, że uważam takie wyjazdy za rodzaj łapówki. To oburzające.

- Ale przecież tak uważasz. Sam mówiłeś.

- To była całkiem osobista uwaga. Przekazywanie jej dalej to coś w stylu mówienia gospodyni, że nie smakuje ci to, co ugotowała. Nie chce mi się wierzyć, że jesteś do tego stopnia nieobyta towarzysko. Nie mówiąc już o tym, że także nieuprzejma.

- Przepraszam - powiedziała, lekko zaniepokojona jego gniewem. - Prawdę mówiąc, jestem. Naprawdę wszystko mi się tu podoba. Trochę czuję się tak, jakbym z powrotem znalazła się w szkole.

- No cóż, może postaraj się nie zachowywać tak, jakbyś się tam znalazła.

- Och, Alex, przestań wreszcie patrzeć na mnie wilkiem. Już powiedziałam, że cię przepraszam. Powinieneś być zadowolony, że dobrze się bawię.

- Obawiam się, że nie. Albo raczej, że nie podoba mi się sposób, w jaki się bawisz.

- O Boże! - wykrzyknęła, odkładając na bok widelec. - Wiesz, że ty naprawdę jesteś żalnym gnojkiem? Wystarczy, że ktoś sobie zażartuje, a już wylewasz na wszystkich kubły pomyj. Cieszę się, że nie pracuję w tym twoim szpitalu.

- Wiesz doskonale, co miałem na myśli. To bardzo niegrzeczne, organizować taką grupę buntowników. Chciałaś tu przyjechać, więc...

- Odpieprz się! - parsknęła i przeniosła uwagę na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie.

- Może pójdziemy do baru? - powiedziała po chwili, odwracając się z powrotem do Alexa.

- Nie mam ochoty. Jestem zmęczony. Idę na górę. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną.

- Mam bardziej obiecujące zaproszenia - warknęła. - Zobaczymy się później.

Wypiwszy jednego drinka w towarzystwie Martina i jego żony, powiedziała wszystkim „dobranoc” i ruszyła do swojego pokoju. Alex leżał w łóżku i czytał książkę.

- Dobra książka?

- Bardzo.

Zrzuciła ubranie i wsunęła się do pościeli.

- Pozwól, że spróbuję cię od niej oderwać.

Odsunął się nieco, więc bez namysłu wyrwała mu książkę.

- Alex, jesteś taki seksowny, kiedy się gniewasz! Wbrew temu, czego się spodziewała, roześmiał się.

- W takim razie przez większość czasu muszę być seksowny jak diabli.

- Bo jesteś. I nie jestem jedyna, która tak uważa. Rozmawiałam z żoną tego neurochirurga. Od razu zwróciła uwagę, że jesteś niesamowicie seksowny.

- Linda... - westchnął, wyłączając światło i biorąc ją w ramiona. - Strasznie cię przepraszam. Jesteś taką wspaniałomyślną kobietą.

- Ja?

- Tak. Sam nigdy by mi nie powtórzyła, że inna kobieta uważa mnie za atrakcyjnego. Czy znowu będziemy przyjaciółmi?

- Nigdy nie byłam twoim przyjacielem - zauważyła.

Po tym incydencie postarała zachowywać się w bardziej konwencjonalny sposób, tak jak Alex by sobie życzył: jeździła na obowiązkowe wycieczki na zakupy, choć to nie było wielkim poświęceniem, zważywszy na cudowny raj sklepów, w jakie obfitował Kapsztad. Brała też udział w innej większej wyprawie. Wijącą się nadbrzeżną drogą pojechali na Chapman's Peak, niewiarygodnie piękny cypel, wyrzeźbiony w skalistym wybrzeżu, a potem dalej, na Przylądek Dobrej Nadziei.

Wreszcie we dwoje wybrali się na północ, na kilkudniowe safari: pierwszy etap stanowiła podróż Błękitnym Ekspresem do Pretorii, skąd mały prywatny samolot zabrał ich do Parku Narodowego Krugera.

Błękitny Ekspres był pomysłem Lindy, jej osobistym wkładem w tę wycieczkę.

- Jeśli myślisz, że zamierzam tłuc się przez dwie godziny jakimś starym, rozklekotanym samolotem, kiedy mogę przejechać ten sam dystans w absolutnym luksusie w ciągu dwudziestu czterech godzin, to zabrałeś na ten wyjazd niewłaściwą kobietę.

Błękitny Ekspres był zaspokojeniem jej słabości, czystą, starannie obmyślaną przyjemnością, dzięki której, jak sama mówiła, miała szansę poczuć się jak Laureen Bacali w *Morderstwie w Orient Expressie*. Razem z Alexem wynajęli prywatny apartament, składający się z salonu, przekształcanego na noc w sypialnię z ogromnym, podwójnym łóżem, oraz absurdalnie wyrafinowanej łazienki, gdzie w głębokiej wannie można było zażywać gorącej kąpieli i w tym samym czasie podziwiać krajobrazy, co samo w sobie stanowiło uderzające do głowy, seksowne doznanie. Do dyspozycji mieli też prywatnego lokaja; każdy apartament obsługiwał kto inny. Alexowi wcale się to nie podobało, właściwie nic mu się nie podobało, ale Linda postanowiła się tym nie przejmować.

Pierwsza sprzeczka zdarzyła się tuż przed lunchem, kiedy Linda po raz trzeci zabrała się do robienia porządków.

- Linda, na litość boską, przestań wreszcie się miotać! Nie mogę tego znieść!

- No cóż, a ja nie mogę znieść tego rozgardiaszu.

- Usiądź wreszcie i popatrz na te widoki.

Posłusznie usiadła, obserwując niewiarygodnie piękne łańcuchy gór, które przemykały za oknem, i sącząc szklaneczkę doskonałego sancerre. Od razu poczuła, jak humor jej się poprawia. W porze, gdy serwowano lunch, była już całkiem obłaskawiona i natychmiast poinformowała o tym Alexa.

- Wiem, co to znaczy - odparł, uśmiechając się szeroko.

- Naprawdę?

- Tak. Że trochę później wykazesz chęć do pewnej aktywności.

- Jesteś cholernie pewny siebie.

- Przepraszam. Czyżbym się mylił?

- Nie, Alex. - Zamknęła na moment oczy i uśmiechnęła, bo jej ciało przeniknęła fala pożądania, tak intensywnego, aż zakręciło się jej w głowie. - Nie, masz całkowitą rację.

- Dzięki Bogu. A już zaczynałem się bać, że nigdy w życiu nie przyznasz mi racji.

- Wiesz, nie jestem jakoś szczególnie zainteresowana tym, co masz do powiedzenia - mruknęła, sięgając pod stołem, żeby pogłaskać go po udzie. - Przynajmniej nie teraz. O wiele bardziej ciekawi mnie to, co wyrazisz czynami.

- Och... No już dobrze, Linda, przestań, proszę... Nie mogę skupić się na jedzeniu, kiedy mam erekcję.

- Spróbuj - odpowiedziała. - Rzucam ci wyzwanie na dzisiejsze popołudnie.

O wiele, wiele później Linda siedziała w kąpieli z następnym kieliszkiem szampana w dłoni, Alex przysiadł na brzegu wanny i uśmiechnął się do niej.

- To było cudowne.

- Tak! Spójrz, Alex, tam jest stado gnu! Widzisz? Tam! Boże, jak wspaniale siedzieć w wannie, popijać szampana i patrzeć na gnu! Mówiłam ci, że będzie cudownie.

- Miałaś zupełną rację - odparł, sięgając do jej piersi, żeby obrysować kciukiem kształt sutka. - To naprawdę wspaniale. Wszystko jest wspaniale.

- Proszę, proszę, przestań. - Ujęła jego dłoń, podniosła do ust, a potem pozwoliła jej wrócić na poprzednie miejsce. - Wiesz, że nie potrafię ci się oprzeć.

- Myślałem, że to lubisz.

- Uwielbiam! Ale przez to czuję, że będę musiała... O Boże, Alex! Że zaraz będę musiała... To znaczy, że będziemy musieli...

- Co?

- Sam wiesz co.

Wstała, zgarniając do tyłu rude włosy. On także wstał, podniósł ją i postawił na podłodze, a następnie pochylił się i złożył na jej ustach namiętny pocałunek. Linda wolnym ruchem odwiązała pasek jego szlafroka i zaraz sięgnęła do okna, żeby opuścić żaluzje.

Roześmiał się.

- Kto tu ma nas podglądać według ciebie? Stado gnu?

Tak naprawdę kłopoty zaczęły się pierwszej nocy, którą spędzali w domku. Nieogrodzony hotel usytuowany był w samym środku parku i składał się z głównego budynku oraz szeregu bungalowów. Wyposażony w przepiękne meble w stylu kolonialnym, z własnym jacuzzi we własnym małym ogródku i z olbrzymim tarasem, oświetlonym świecami i lampami oliwnymi, ich bungalow był - jak ze szczęściem w głosie zauważyła Linda - czymś, co widuje się w ekskluzywnych magazynach turystycznych.

Obiad podano na zewnątrz, pod gwiazdami, na stołach ustawionych w kształt podkowy dookoła olbrzymiego ogniska; potem odprowadzono ich do domków przez strażnika, uzbrojonego w strzelbę.

- Nigdy nie wychodźcie sami na nocny spacer - uprzedził. - To bardzo niebezpieczne. Proszę pamiętać, że tu nie ma ogrodzenia. Zwierzęta mogą łatwo dostać się na teren i nie są to domowe pszczochy. Są dzikie i mogą zabić. Poza tym zdarzają się węże, bardzo paskudne węże... Śniadanie jest o szóstej. Zapukam o piątej trzydzieści, żeby obudzić was na poranne safari.

- O rany - jęknęła Linda, wchodząc do pokoju oświetlonego miękkim blaskiem świec. - Tak właśnie wyobrażam sobie niebo. Jaki to był cudowny pomysł, Alex. Bardzo, bardzo ci dziękuję. Chociaż raczej nie wstanę o piątej trzydzieści. Ten kawałek mogę sobie darować.

- Linda, musisz jechać! Po to tu jesteśmy, żeby pojechać na safari, zobaczyć dzikie zwierzęta!

- Zgoda, masz rację, ale przecież po południu jest jeszcze jedno, prawda? Wtedy mogę obejrzeć te zwierzęta.

- Powinnaś pojechać na obydwie. To będą całkiem różne safari.

- Alex, ale ja nie chcę jechać, rozumiesz? Na pewno nie jutro z samego rana. Jestem cholernie zmęczona.

- Wiesz, moim zdaniem to trochę żalodne - prychnął.

- Och, przestań się nadymać! To są przecież wakacje, a nie wojskowa musztra.

- Owszem, i to dość drogie wakacje! Spodziewałem się, że zechcesz w pełni je wykorzystać. Spotkało mnie rozczarowanie.

- Ty chyba żartujesz, prawda? Nie, wcale nie... Drogie wakacje, rzeczywiście! Czy ta głupia uwaga miała spowodować, że zmienię zdanie?

- Myślałem, że weźmiesz to pod uwagę.

- Cóż, bardzo mi przykro, że tak bardzo się na mnie zawiodłeś, ale nie spodziewałam się, że będę musiała opłacić swój pobyt tutaj.

- Co? To ohydne, co powiedziałas!

- Ohydne jest to, że mówisz mi, ile cię to kosztowało! Przypomnij mi po powrocie, żebym ci wypisała czek!

- Odpieprz się, dobrze?! Idę do łóżka!

- Świetnie. W takim razie ja wracam do baru. I nie martw się, stać mnie, żeby zapłacić za drinki!

Zadzwoiła po strażnika i wychodząc, mocno trzasnęła drzwiami.

* * *

Rano, gdy się zbudziła, Alexa już nie było. Przewróciwszy się na drugi bok ponownie zapadła w sen; kiedy wrócił, właśnie siedziała w jacuzzi.

- I co? Dobre safari?

- Bardzo dobre.

- Widziałeś coś ciekawego?

- Zwierzęta. Dzikie zwierzęta - odparł sztywno. - Teraz idę na śniadanie. Zobaczymy się później.

Gdy się odwrócił do niej plecami, pokazała mu język. Te plecy z daleka sygnalizowały ogromną wrogość ich właściciela. Prawdę mówiąc, to były najbardziej wyraziste plecy, jakie miała okazję poznać.

Później pogodzili się, zjedli przy basenie lunch i we dwoje wyruszyli na wieczorne safari. Było wręcz cudownie. Linda wcale nie była przygotowana na to, że stado lwów przeszło obok długim, krętym rzędem, blisko land rovera, niemal mogła je dotknąć. Albo gdy minęły ich dwie żyrafy, poruszając się powolnym, pełnym gracji krokiem zawodowych modelek. Trzymały wysoko głowy i zapatrzone gdzieś w horyzont całkowicie ignorowały ich obecność. Nie wiadomo dlaczego, Linda spodziewała się, że dzikie zwierzęta będą w pewnej odległości od nich, nie zaś na wyciągnięcie ręki. Doznania były tak zdumiewające, że następnego dnia bez sprzeciwu poderwała się o piątą trzydziści, w oczekiwaniu na więcej.

Najjaśniejszym punktem tego porannego safari było spotkanie ze słońcą i jej małym; słońciatko urodziło się zaledwie przed paroma dniami, matka obdarzała je pieścizotami i osłaniała swym ciałem przed obcymi.

- Jakie słodkie maleństwo - powiedziała Linda do towarzyszącego im pracownika parku. - Takie delikatne... Ale słonie zawsze są delikatne, prawda?

- Dopóki się czegoś nie przestraszą. Niech mamusia tylko pomyśli, że chce pani skrzywdzić tego małego brzdąca, a od razu zwałą się na panią trzy tony czystej agresji.

Prawdopodobnie Linda była zmęczona i dlatego tego popołudnia pokłócili się w absolutnie dramatyczny sposób. Dopiero wynurzając się ze swego domku na wieczorny obiad - opuściwszy popołudniowe safari - z lekko zażenowanych min swoich sąsiadów domyślili się, że tamci musieli słyszeć każde słowo. Pierwotną

przyczyną kłótni stało się to, że Linda nabawiła się poparzeń słonecznych. Alex powiedział, że musiała postradać zmysły, żeby w południe kłaść się w pełnym słońcu, ona nazwała go starym, nudnym wypierdkiem; odparł, że widział wystarczająco dużo przypadków raka skóry, żeby być ostrożnym; wtedy oskarżyła go, że bez przerwy przesadza i przez to wpędza ją w depresję. Jakoś potem rozmowa zeszła na temat dzieci, gdy Alex bez żenady poinformował ją, że jego zdaniem ona nie ma szans stać się normalną matką, zważywszy na jej całkowity brak odpowiedzialności, co bez namysłu uznała za cios poniżej pasa i za cholernie wstrętą uwagę.

Alex przeprosił ją za wszystko. W pewien sposób pogodzili się i nie zważając na nic, powędrowali na wspólną kolację. Ale później, gdy znów znaleźli się w bungalowie, Linda zadała pytanie, które od tak dawna leżało jej na sercu.

- Tak gwoli ciekawości, Alex... Czemu nigdy nie zgodziłeś się, żebym poznała twoje dzieci?

- Co masz na myśli, mówiąc „nigdy”? - spytał. - Przecież znamy się zaledwie od paru tygodni.

- A naprawdę to raczej od paru miesięcy.

- No dobrze. Ale nie spotykamy się w miarę regularnie. To było nie do przeprowadzenia w praktyce.

- Mam nadzieję, że to jest właściwy powód. Bo wiesz, przyszło mi do głowy, że gdybyś choć w najmniejszym stopniu był mną zainteresowany na poważnie, to na pewno byś się zorientował, jak bardzo chcę je poznać. I żeby one poznały mnie.

- Linda, wiesz chyba, że traktuję cię jak najbardziej serio. Gdyby było inaczej, nie byłoby nas tutaj.

- Ach tak. Może jest nawet gorzej, niż sądziłam. Może boisz się, że one mnie nie zaakceptują?

- Bo pewnie tak właśnie będzie.

- Co takiego? Och, Alex, jak możesz mówić mi coś podobnego? Jesteś...

- Oczywiście miałem na myśli jedynie to, że nie polubią cię, bo nie jesteś ich matką. Z pewnością odniosą się wrogo do każdej mojej nowej dziewczyny.

- A w takim razie co z jej facetem?

- No cóż, z pewnością go nie lubią.

- Myślałam, że razem mieszkają.

- Nie, nie mieszkają. Jego dom jest w Marlow. Sam ma teraz swój własny dom w pobliżu Cirencester.

- Ale widują go, tak?

- Nie mają wyjścia. Po prostu muszą.

- Czemu więc nie muszą widywać mnie?

- Linda, to jakiś absurd. Oczywiście, że wcale nie muszą cię widywać. Zresztą nie żyjemy przecież w stałym związku.

- Mhm, dzięki za szczerość. Jestem zadowolona, że wreszcie wyplułeś to z siebie.

Po tych słowach sięgnęła po kurtkę, otworzyła drzwi i powędrowała w ciemność.

Alex przez kilka minut czekał spokojnie; był pewien, że zaraz wróci. Bar był zamknięty i naprawdę nie było dokąd iść. Poza tym nie odważyłaby się nigdzie ruszyć bez eskorty. Eskorty ze strzelbą.

Pięć minut później poczuł, że ogarnia go coraz większy niepokój. Zaledwie parę miesięcy temu jakiś turysta został mocno poturbowany przez lwa, kiedy wbrew wszelkim zakazom wysiadł z land rovera i podkradł się do lwicy i jej młodych, żeby cyknąć parę fotek. Oboje, lew i lwica, musieli zostać zastrzeleni.

Pamiętał, jak siedzieli z Lindą w samochodzie, słuchając ze śmiertelną powagą opowieści zwiadowcy o tamtym wydarzeniu. A teraz Linda zrobiła coś jeszcze bardziej szalonego - wyszła samotnie w ciemność nocy, narażając nie tylko własne życie, ale także życie tych, którzy będą musieli jej szukać. Co za głupia, uparta, cholernie samolubna baba! Jej arogancja przekraczała wszelkie granice. Skoncentrowana wyłącznie na sobie, do przesady dramatyczna w reakcjach. Zasłużyła na wszystko, co ją spotkało.

Bez namysłu zadzwonił po pomoc.

Od bungalowu odchodziła mała ścieżka; w pewnym miejscu rozwidlała się, zmieniając z jednej strony w szeroką, pełną pyłu szosę, z drugiej zaś w trakt, którymi land rovery wyjeżdżały na safari. Linda czuła, że to może być trochę niebezpieczne, ale zwyczajnie nie wyobrażała sobie, że droga może tak wyglądać. Organizatorzy zawsze przesadzają, mówiąc o niebezpieczeństwach, żeby wszystko wydawało się bardziej ekscytujące, i żeby ludzie nie ryzykowali w głupi sposób. Z pewnością w pobliżu nie ma nic bardziej agresywnego niż zwykła impala.

Pieprzony Alex, myślała z pasją. Boże, jak go nienawidziła! Jak śmiał odzywać się do niej takim protekcyjnym, ojcowskim tonem, a potem mówić, że jego dzieci z pewnością jej nie polubią. To cholernie ją zabolalo. Dzięki Bogu, jutro ta cała impreza dobiega końca i będą mogli spokojnie wrócić do domu. Nagle zorientowała się, że płacze - zarówno z powodu rozczarowania, jakie sprawiła jej ta wycieczka, choć spodziewała się, że miło spędzi czas, jak i bólu, który właśnie jej zadano. Dzięki Bogu, że nie łączył ich żaden poważniejszy związek; mogą rozstać się na lotnisku i już nigdy więcej nie spotkać. Z wyjątkiem szczoteczki do zębów i golarki, które trzymał w jej mieszkaniu, w jej życiu nie zostanie żaden więcej ślad jego obecności. Skurwiel! Cholerny, arogancki, pewny siebie skurwiel! Nienawidziła go z całego serca! Jeszcze...

Nagle się odwróciła; może jednak lepiej nie zapuszczać się za daleko. Było naprawdę bardzo ciemno, poza tym był środek nocy. Cały park rozbrzmiewał różnymi odgłosami, które przedzierały się przez gęsty mrok; przykre dla ucha pokrzykiwania ptaków mieszały się z cmokaniem małp, a od czasu do czasu z dala dobiegało jakieś wycie albo ryk bliżej nieznanego jej zwierzęcia. Coś poruszyło się przy samej ziemi, okropnie blisko miejsca, gdzie się zatrzymała. Aż podskoczyła ze strachu. Czy to mógł być wąż? Nie, oczywiście, że nie. Gdzieś trochę dalej rozległ się szelest, jakby jakieś zwierzę przedzierało się przez zarośla. To na pewno nic niebezpiecznego, pewnie jakiś ptak, ale mimo wszystko... Lepiej zawrócić.

Odwróciła się i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wcześniej, w głębokiej ciemności, zesła z głównego szlaku na jakąś pomniejszą ścieżkę. Wysoka trawa nieprzyjemnie ocierała się o jej łydki. Psiakrew! Co za cholerna głupota! No cóż, przecież nie mogła oddalić się zbytnio od hotelu; szła zaledwie kilka minut. Zerknąwszy na zegarek, przekonała się, że było to prawie dziesięć minut. Przez ten czas można odejść naprawdę spory kawałek. Ale przecież nic się jej nie stało. W ogóle nic się nie stało. Światła hotelu były o, tam... Psiakrew, gdzie się podziały? Ścieżka opadała łagodnie; teraz zamiast iść do przodu musi tylko wracać dokładnie po swoich śladach i zaraz powinna trafić na główną drogę. Wtedy bez trudu zobaczy...

Niech to diabli! Niczego nie udało się jej zobaczyć. Było ciemno choć oko wykol, a jej nawet nie przyszło do głowy, żeby wziąć ze sobą latarkę. To wszystko wina Alexa; tak ją zdenerwował, że nie była w stanie myśleć. Ostrożnie posunęła się o kilka kroków; cholera, czy to było pod górę, czy w dół? Trudno powiedzieć, pagórek był naprawdę niewielki. Równie dobrze mogła wchodzić głębiej w busz, jak iść w kierunku drogi. Nie

potrafiła ocenić tego z całą pewnością. Może należało krzyczeć. Wołać o ratunek. Ale jeśli to zrobi, jeszcze usłyszy ją jakieś zwierzę. Głodne zwierzę... Na przykład takie jak ten lew, który poturbował turystę. Albo ma słońca, która przestraszy się i ruszy do ataku w obronie swojego słońka. Jak powiedział ten strażnik z parku? Trzy tony czystej agresji... A więc nie ma mowy o krzyczeniu. Tylko spokojnie, Linda... Po prostu równym krokiem wracaj w stronę, z której przyszłaś. Sęk w tym, że nie bardzo pamiętała, która to strona.

Zatrzymała się w miejscu, z całych sił próbując zdusić ogarniającą ją panikę. W ustach czuła cholerną suchość, a serce waliło jej jak młotem. Co ma teraz zrobić? Do jasnej cholery, co powinna zrobić?!

- Pojedziemy w kilka osób - powiedział Alexowi pracownik parku. - Skoro nie ma pan pojęcia, dokąd mogła pójść...

Mówił spokojnym, lecz lodowatym tonem. Najwidoczniej był wściekły jak diabli, i, co tu ukrywać, miał ku temu całkiem słuszny powód.

- Tak. Bardzo dziękuję. Ja bardzo... Bardzo przepraszam. Może powinienem z wami pojechać?

- Wykluczone. Nie, niech pan zostanie. Jeśli ona się zjawi, jeśli znajdzie ją pan siedzącą przy basenie albo gdziekolwiek, proszę zawiadomić hotel. Oni skontaktują się z nami przez radio.

- Oczywiście - odparł Alex.

Był najzupełniej pewien, że Linda nie siedzi przy basenie. Ani w barze. Ani nigdzie w pobliżu. Wysła sama w ciemną noc, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Może już napadło ją jakieś zwierzę, a jej piękne, ponętne ciało zostało rozdarte na strzępy... To była jego wina, bo potraktował ją w tak niemiły sposób, tak krytycznie, tak okrutnie. Sam miała rację - rzeczywiście nie był wart tego, by związać się z kimś na poważnie.

Zatrzymał się w progu, w delikatnym świetle padającym z wnętrza pokoju; w subtelnym, słodkim blasku świec, który tak mocno kontrastował z miotającymi nim uczuciami, z tym, co się wydarzyło. Wyteżał słuch, łapiąc dobiegające z oddali odgłosy, ale nie widział ani nie słyszał niczego poza szumem land roverów, którymi odjechali strażnicy. Jezu, wczoraj czy przedwczoraj te lwy były na wyciągnięcie ręki! W kilku innych bungalowach zaświeciło się światło; widział w oknach czyjeś twarze. Ciekawe historie będą mieli do opowiedzenia ci ludzie, kiedy wrócą do domu; o pewnej nieprzystosowanej parze, która wiecznie walczyła ze sobą, zakłócając spokój całego obozu i narażając strażników na niebezpieczeństwo.

W pewnej chwili skamieniał; z ciemności wyraźnie dobiegł pomruk zbliżającego się land rovera. Samochód wtoczył się na dziedziniec i silnik zamilkł. Alex stał w progu, niezdolny do wykonania najlżejszego ruchu, sparaliżowany tak potwornym przerażeniem, jakie chyba mu się jeszcze w życiu nie przydarzyło. Poszukiwania musiały więc zostać odwołane; odnaleziono Lindę, martwą albo mocno okaleczoną; nikomu nie udało się natrafić na jej ślad, więc...

- Wszystko dobrze, Alex. Ona jest z nami. Cała i zdrowa, choć pewnie ten stan nie trwałby już długo. Tam w pobliżu czaiło się coś dużego, to mogło być właściwie każde zwierzę - lampart, lew... Proszę, Linda, nie rób tego więcej; naraziłaś nas na spore ryzyko, podobnie jak samą siebie. Dobranoc.

- Dobranoc.

Twarz Lindy była ściągnięta, ze śladami łez, wykrzywiona strachem i poczuciem winy.

- Boże, ja tak strasznie, strasznie was przepraszam...

- Już w porządku. Dobranoc.

Wyglądało na to, że strażnik ma już dość naszego towarzystwa, pomyślał Alex. No cóż, na jego miejscu pewnie czułbym się tak samo. Jakaś głupia krowa narażała jego życie, żeby odegrać kawałek durnego dramatu. Wziął Lindę pod ramię, wciągnął do środka i zatrzasnął drzwi. I wtedy potrząsnął nią, i to z całej siły. Na jej pobladłej twarzy ujrzął strach, a w oczach oszołomienie.

- Przepraszam, Alex. Bardzo cię przepraszam.

- Ty głupia, bezmyślna, pieprzona kretynko! Jak możesz być tak samolubna, tak cholernie zapatrzona w siebie!

- Sama nie wiem. Przepraszam. Ja... No, po prostu przepraszam.

- Przynajmniej tyle - warknął; nagle przestał nią potrząsać i odsunął od siebie. - Wiesz, że mógłbym...

- Co? Co mógłbyś?

Nagle poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Przytłoczył go jej strach, jej cierpienia, jego ulga... Opadł na łóżko, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa i siedział, patrząc na nią. Nie poruszyła się, tylko stała tam, gdzie ją zostawił, i patrzyła na niego.

- O co chodzi? - powtórzyła.

- Och, Linda... - mruknął po dłuższej chwili milczenia. - Boję się, że cię Kocham. Tylko tyle.

ROZDZIAŁ 47

To było bardzo dziwne uczucie, znów go widywać. Być razem, rozmawiać z nim, śmiać się, robić właściwie wszystko poza... Poza dotykiem. Dotyk wydawał się całkowicie zakazany, choć właściwie tylko tego pragnęła. No cóż, bardziej lub mniej, ale jednak.

Mimo wszystko sama praca z nim to już było coś.

A Georgia... Georgia była wspaniała - trochę niedojrzała, trochę rozpieszczona, ale dowcipna i mądra, bardzo pomocna, pełna pomysłów, chętna do wykonania każdego zadania, gotowa poświęcić temu dowolną ilość godzin. Po prostu stara wyjadaczka.

Wspólnie stworzyli komitet, który odbywał regularne spotkania i za namową Abi wydawał dokładne biuletyny, opisujące każdą minutę.

- Nadanie formalnego kształtu zebraniom jest jedyną metodą, żeby popchnąć sprawy naprzód. Inaczej wszystko kończy się na pieprzeniu bez sensu. Każdy chce przedyskutować swój cudowny pomysł i nigdy nie dochodzi się do żadnych konkretnych.

Członkami komitetu była Abi, która została również przewodniczącą - „tylko dlatego, że już kiedyś zajmowałam się takimi rzeczami” - a także Georgia i William.

Oprócz tego była jeszcze Emma, jako reprezentantka szpitala, oraz przyjaciel Abi o imieniu Fred, który wcześniej pracował przy organizacji dobroczynnych imprez i znał wszystkie tajniki tego biznesu, to znaczy gromadzenia funduszy, sponsoringu i generalnie załatwiania różnych spraw. Powiedział, że może nawet uda mu się znaleźć sponsora. To wszystko robił całkiem za darmo.

Fred nie przypominał osoby, którą ogólnie uznaje się za pracownika organizacji dobroczynnej. Wyglądał raczej na sprzedawcę używanych samochodów, jak zauważyła Abi, przedstawiając go reszcie towarzystwa. Fred z dobrodusznym uśmiechem przyjął ten dający się wyczuć krytycyzm i oświadczył, że sprzedawanie dobroczynności i sprzedawanie samochodów mają ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż ktoś byłby skłonny przypuszczać.

- W obu wypadkach chodzi o nakłonienie ludzi, żeby wydali więcej, niż zamierzali. W pewnym sensie w działalności dobroczynnej jest o wiele łatwiej, ponieważ przemawia się do ludzkich sumień.

Abi zdawała sobie sprawę, że William początkowo sądził, że Fred zaangażował się w ich sprawy, ponieważ ona mu się podobała, ale w rzeczywistości wszystko wyglądało całkiem inaczej: Fred był szczęśliwie niezonatym człowiekiem, jak kiedyś sam to określił, i mieszkał z dziewczyną o uroczej buzi i imieniu Molly. Ich dziecko właśnie było w drodze. Abi poświęciła mnóstwo czasu na pierwszym zebraniu, na które przyprowadziła Freda, żeby wypytać go o Molly, o dziecko i o spodziewany termin rozwiązania.

Ustalili także możliwą datę festiwalu - na ósmy i dziewiąty lipca - ale, jak mówiła Abi, nie było sensu ustalać czegokolwiek na mur beton, dopóki nie sprawdzili, czy zdołają ściągnąć parę zespołów bandowych.

- Takich zespołów są dosłownie tysiące - wyjaśniała. - I wszystkie znajdziemy na MySpace. Oczywiście możemy się ubiegać tylko o te mniej znane, choć byłoby wspaniale ściągnąć choć jeden nieco bardziej znany.

- Tylko czy taki, który ma jakąś pozycję na rynku, zechce do nas przyjechać? - martwiła się Georgia, a Fred odparł, że owszem, jeśli idea trafi im do przekonania, a poza tym to przecież świetna reklama.

- Więc myślisz, że się zgodzą, tak?

- Jasne, że tak - wtrąciła Abi z tupetem. - Te naprawdę znane zespoły obniżają gáže do zera, jeśli wiadomo, że chodzi o cel dobroczynny. Te mniejsze może przyjadą, jeśli pokryjemy koszty, tylko po to, żeby wykorzystać szansę i dać się posłuchać. Musimy po prostu uderzyć parę razy w klawiaturę, Georgia, i wysłać maile do wszystkich agencji. Naturalnie tych, które działają w branży muzycznej, potrzebny nam rock, ale oprócz tego jazz, a nawet trochę muzyki folkowej, ze względu na rodziny...

To William wpadł na naprawdę mądry pomysł.

- Poprzedniego wieczoru rozmawiałem w pubie z pewnym koleśm i opowiedziałem, co chcemy zrobić. Był pod wrażeniem, mówię wam. Otóż, kiedyś trafił na jakiś niewielki festiwal po drugiej stronie Bath; podobno organizatorzy najpierw zrobili tam kilka audycji - play-offów, jak je nazwali - a cała impreza odbywała się w pubach pod hasłem Wojna Bandów. Każdy okręg wystawił parę swoich zespołów, które grały po pubach, i to klienci głosowali, kto będzie zwycięzcą i zostanie wystawiony do dalszego grania. Jego zdaniem to był świetny pomysł, ponieważ każdy, kto głosował, chciał jechać na festiwal i posłuchać swojego bandu. W ten sposób udało się ściągnąć o wiele więcej ludzi, niż się pierwotnie spodziewano.

- To świetny pomysł - orzekła Georgia. - I przy okazji doskonała reklama. Jesteś bardzo mądry, Williamie. No powiedz, Fred, czy to nie jest mądry pomysł?

Fred orzekł, że wręcz znakomity.

- Jedyna wątpliwość, to jak dokonywać selekcji tych zespołów, które będą chciały tu przyjechać? To trochę ryzykowne.

- Nie bardziej ryzykowne, niż gdybyśmy wybierali na MySpace - wtrąciła żwawo Abi. - Oczywiście najpierw ich przesłuchamy, a jeśli trafi się coś wyjątkowo strasznego, to po prostu nie weźmiemy. No nic, trzeba kuć żelazo, póki gorące. Williamie, ty zrobisz listę wsi albo może lepiej małych miejscowości, gdzie funkcjonują naprawdę dobre puby, które twoim zdaniem mogą zechcieć współpracować, a my zajmiemy się wydrukowaniem ulotek. Ja mogę ułożyć treść. O, Boże, gdybyśmy tylko mieli trochę pieniędzy! I jakąś nazwę. Musimy wymyślić nazwę tej imprezy. Georgia, ty masz otwartą głowę, wymyśl coś fajnego!

William cieszył się na myśl, że w tak dużym stopniu przyczynił się do tego, co nazywał sceniczną częścią przedsięwzięcia. Do tej pory wszyscy, łącznie z nim samym, uważali, że jego rola ogranicza się do ściśle praktycznych stron - zapewnienia terenu, znalezienia przedsiębiorców budowlanych, zorganizowania infrastruktury... Koszt doprowadzenia energii elektrycznej oraz zbudowania sceny z amfiteatrem przyprawił o zawrót głowy, ale William miał nadzieję, że jego ojciec nigdy się nie dowie, o jaką kwotę chodziło. Ustalili, że cena biletu wyniesie trzydzieści funtów, a dzieci zapłacą połowę; wydawało się, że to dużo, ale i tak było niczym w porównaniu z ciężkimi tysiącami, jakie musieli znaleźć. W najczarniejszych chwilach William martwił się, że w ogóle nie zarobią żadnych pieniędzy, tylko zostaną z kolosalnymi długami, i na wpół żałował, że nie wycofał się od razu, na samym początku. Ale potem myślał o porywającej radości płynącej z przygotowań, o poczuciu misji, jakie towarzyszyło im wszystkim, o stworzeniu czegoś oryginalnego i wartościowego, i był pewien, że sprawa warta jest zachodu.

Poza tym uczestniczenie w przygotowaniach oznaczało, że mógł często widywać Abi.

Bolesne wspomnienia odeszły w niepamięć i teraz William tęsknił za powrotem do tego, co przedtem było między nimi. Najwyraźniej jednak uczucia Abi znacznie różniły się od jego odczuć; teraz, pracując razem z nią nad organizacją festiwalu i widując ją często w domowych pieleszach, starał się patrzeć na siebie tak, jak ona musiała go postrzegać - jako niebywale solidnego, miłego, trochę nudnawego faceta, którego w pewnym momencie darzyła czymś w rodzaju sympatii, i który sprawdzał się w roli dobrego przyjaciela, ale tak naprawdę nie znajdował się w orbicie jej zainteresowań, jeśli chodzi o bliższe związki.

Laura siedziała w kuchni u matki i zalewała się łzami. Była zupełnie zdesperowana, jeśli chodzi o Charliego. Po wyprowadzce Jonathana wydawał się nieco spokojniejszy, ale jego zachowanie nie poprawiło się ani na jotę. Prawdę mówiąc, wychowawca ze szkoły Charliego stwierdził, że dzieciak pracuje coraz bardziej chaotycznie i nierówno.

- Szczerze mówiąc, pani Gilliatt, wydaje mi się, że w sporym stopniu utracił także umiejętność nawiązywania kontaktów z rówieśnikami.

Próbowała wszystkiego: perswazji, zastraszania, przekupstwa, nawet emocjonalnego szantażu - „zrób to dla mnie, Charlie, nawet jeśli nie chciałeś zrobić dla taty. Tak bardzo się martwię, że zachowujesz się w ten sposób, a życie jest dość... Na razie jest dla mnie dość trudne”.

Uzyskała wymijającą odpowiedź, popartą straszliwie wymownym wzruszeniem ramion. Najwidoczniej Charlie uważał, że matka także ponosi część odpowiedzialności za postęпки ojca.

Sporadycznie wydawało się jej, że zdołała przełamać lody. Pewnej nocy Charlie znalazł ją w salonie, kiedy dziewczynki poszły już spać, jak płakała skulona na sofie. Usiadł obok, otoczył ramionami i zapytał, czy jest coś, co mógłby dla niej zrobić.

- Tak mi przykro, mamusiu... To musi być dla ciebie straszne.

Laura natychmiast powiedziała, że poczułaby się o wiele lepiej, gdyby starał się być dobrym uczniem i powtórzyła, co mówił jego wychowawca. Popelniła błąd.

- Mamo, nie mam nic przeciwko temu, żeby pomagać w domu albo pocieszać dziewczynki, ale nie mogę znowu stać się tamtym małym, grzecznym Charliem. On już odszedł na zawsze. Tata go stąd wyrzucił.

- Charlie, to nie fair! Wobec mnie, ale też wobec ciebie. Bez trudu mógłbyś znów świetnie się uczyć, gdybyś tylko zechciał.

- Tak, ale problem w tym, że nie chcę. Może kiedyś, ale na pewno nie teraz. Teraz nie widzę sensu, żeby się uczyć.

- Nie widzisz sensu? A twoja przyszłość? Charlie, czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

Wzruszył ramionami.

- Szczerze powiedziawszy, nie ma. Ani trochę mnie to nie obchodzi.

- Ach, mamo, już sama nie wiem, co robić - skarżyła się teraz Laura, wydmuchując nos. - On niszczy swoje życie, a ja w żaden sposób nie potrafię przemówić mu do rozsądku.

- Wiesz, skarbie, że nie jestem psychologiem, ale powiedziałabym, że Charlie czuje się odarty z wszelkich iluzji. Idealizował ojca i spotkało go straszne rozczarowanie. Rozczarował się nie tyle Jonathanem, ile jego sposobem życia. Charlie chce spróbować być taki jak ojciec, współzawodniczyć z nim w każdy możliwy sposób, pokazać, jak bardzo nim gardzi.

- Ale to przecież nie ma sensu!

- Myślę, że przekonasz się, że dla Charliego ma. On odrzuca sposób, w jaki ojciec starał się go wychowywać.

- Boże, jakie to wszystko odrażające - westchnęła Laura. - Powiedz mi, mamusiu, co mam teraz robić, bo na razie nie potrafię jasno myśleć.

- Na razie nic, kochanie. Niech płynie czas. Nie masz pojęcia, jak ostatecznie ułożą się wasze sprawy.

- Owszem, mam pojęcie. Jonathan nie wróci, ponieważ ja nie mogłabym znieść, gdyby wrócił. Charlie nie wybaczy Jonathanowi ani w żaden sposób nie zmieni swojego stosunku do niego. Nie bardzo widzę, jak cokolwiek mogłoby się zmienić.

- Laura, na razie nikt tego nie widzi. Ja wiem jedynie tyle, bo przeżyłam na tym świecie kawał czasu, że sprawy zwykle układają się same. Coś się wydarza, ale potem okropne wrażenie mija. Spróbuj być cierpliwa.

- Och, mamusiu, wiesz, o czym często myślę?

- Nie. O czym, kochanie?

- Że gdyby nie ta cholerna katastrofa, wszystko byłoby w porządku. Nigdy bym się nie dowiedziała o istnieniu Abi Scott. To samo by się wypaliło, bo Jonathan wreszcie miałby jej dosyć.

- A może wcale nie.

- No cóż, wielkie dzięki.

- Skarbie, nie zrozum mnie źle. Myślę, że to, co zrobił Jonathan, jest okropne i niewybaczalne. Ledwie mogę znieść, że widzę cię tak strasznie nieszczęśliwą. Jeśli on zechce wrócić, a ty postanowisz mu wybaczyć, to ja choć z trudem, to zaakceptuję. Chciałabym tylko powiedzieć, że czasami mężczyźni wydają się potrzebo-

wać takich... Takich układów męsko-damskich. No dobrze, powiedzenie, że tego potrzebują, jest raczej zbyt górnolotne. Po prostu w pewnym momencie decydują, że coś takiego jest im potrzebne. Takie rzeczy zdarzają się zwłaszcza panom w wieku Jonathana; to jak uchwycenie dawno minionej młodości. Gdyby Jonathan nie spotkał Abi Scott, to spotkałby kogo innego.

- Ale tata nie robił takich rzeczy, prawda?

Laura wpatrzyła się w swoją matkę; przez jeden krótki, króciutki moment zrozumiała, jak czuł się Charlie. Poznała smak zdradzonych ideałów.

- Nie, dzięki Bogu, twój ojciec mnie nie oszukiwał, ale parę moich przyjaciółek musiało znieść tę przykrość. Parę małżeństw jakoś to przetrwało. Prawdę mówiąc, nawet większość z nich. Trwają po dziś. Oczywiście, trzeba było na wiele spraw przymknąć oko, udawać, że się o niczym nie wie.

- Czy... Czy mam rozumieć, że namawiasz mnie, żebym przyjęła go z powrotem?

- Nie, oczywiście, że nie! Chyba że sama tego chcesz. A dla mnie wcale nie byłoby to łatwe, jak już ci powiedziałam. Po prostu mówię, że nie jesteś pierwszą kobietą, która musi ścierpieć taką zniewagę.

- Pewnie, że nie... - Laura zamilkła na chwilę. - Wiesz, on mówił, że właśnie zamierzał zakończyć ten związek. Że to już był koniec.

- Przynajmniej to przemawia na jego korzyść.

- Nie uwierzyłabyś mu chyba, prawda?

- Lauro, ty znasz Jonathana o wiele lepiej niż ja. Jeśli ty mu wierzysz, to ja zawieram twoim osądom. Może byłaś dla niego zbyt doskonała, za dobra? Zwyczajnie... zwyczajnie go zepsułaś.

- Russell, kochanie, czy miałbyś ochotę na spacer?

Mary wsunęła się do salonu, gdzie Russell czytał właśnie „Financial Timesa”. Dał sobie wyperswadować lekturę „Wall Street Journal”, choć codziennie skarżył się, jak bardzo czuje się zawiedziony, i z wielkim zamiłowaniem oddawał się przeglądaniu internetowego wydania „Journala”, ale Mary zauważyła, że mimo to „Financial Times” absorbuje jego uwagę każdego ranka przez przynajmniej półtorej godziny. Prawdę mówiąc, to sprawiło jej ulgę; teraz, gdy już minęło wszelkie podekscytowanie związane ze ślubem i świętami, Russell często bywał niespokojny. Spędzał mnóstwo czasu w internecie, studiował notowania na giełdach, a potem wysyłał instrukcje swojemu brokerowi, żeby kupił to albo sprzedał tamto. I co dzień przez co najmniej godzinę wisiał na telefonie, dyskutując z Mortonem o strategii biznesu. Mary z wrodzoną bystrością umysłu zauważyła, że Morton raczej nie czekał z utęsknieniem na te telefony, i rzeczywiście - po Bożym Narodzeniu powiedział jej, że cudownie było widzieć ojca tak zrelaksowanego i szczęśliwego.

- Wreszcie wydaje się gotowy do tego, żeby trochę popuścić lejce.

- Lejce?

- Tak, w biznesie. Dziesięć lat temu wszyscy spodziewali się, że ojciec odejdzie na emeryturę. Wydałiśmy uroczystą kolację, każdy wygłosił przemówienie, sprezentowaliśmy mu przepiękny, staromodny złoty zegarek - to był taki żart, oczywiście - a on nawet uronił jakąś łzę i osobiście pożegnał się z każdym. W poniedziałek punktualnie o dziewiątej rano znów zasiadł za swoim biurkiem. Naturalnie, od tamtej pory trochę zwolnił tempo, ale ja chciałbym widzieć, jak tata rzeczywiście sobie odpuszcza.

Mary doskonale rozumiała, co Morton miał na myśli - że na kolanach dziękowałby Bogu, gdyby ojciec wreszcie wycofał się z biznesu - więc zapewniła, że ona w zupełności się z nim zgadza i że ma całe mnóstwo najróżniejszych planów na nadchodzący rok.

- Na początek chciałabym pojechać w jakąś podróż. Nie mieliśmy dotąd miesiąca miodowego, a ja nie zamierzam puścić mu tego płazem. Poza tym, zdaje mi się, że Russell ma jakieś plany, żeby z kawałka naszej ziemi utworzyć tutaj coś, co szumnie nazwał „warzywną farmą”. W ten sposób możemy być samowystarczalni.

Morton uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dla mnie to brzmi bombowo. On potrzebuje jakiegoś nowego przedsięwzięcia, choć powinienem cię ostrzec, Mary, że ta warzywna farma szybko może mu się znudzić.

Mary odparła, że nie potrzebuje ostrzeżeń.

- Morton, ten problem jest dość powszechny wśród ludzi, którzy przeszli na emeryturę. Donald lubił obserwować ptaszki; przez całe życie to było jego największą pasją. Marzył, żeby mieć na to swoje hobby więcej czasu, ale po paru miesiącach nawet to go znudziło. Wreszcie zaczęliśmy się uczyć grać w brydża, żeby mógł się skoncentrować na czymś innym.

- Nie próbuj grać z moim ojcem w brydża, Mary - uprzedził Morton. - Staje się strasznie agresywny.

- A czy on interesuje się archeologią? Muszę przyznać, że to zawsze mnie ciekawiło.

Morton zastanawiał się przez chwilę.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że w ciągu najdalej kilku miesięcy świat by usłyszał o paru nowych, zaskakujących wykopaliskach. A jeśli chodzi o dostawców konfekcji dla archeologów, to jak wygląda szycie na zamówienie krótkich spodenek?

- Russell, kochanie, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Pytałam, czy chciałbyś pójść na spacer?

- Nie teraz, Wróbelku. Trochę się niepokoję o pewne aktywa na giełdzie. Zastanawiam się, czy je sprzedać. Jak tylko skończę to czytać, muszę wykoncypować jakiś list do mojego księgowego.

- No cóż, skarbie... W takim razie pójdę sama.

- Mary, wiesz przecież, że nie lubię, jak wychodzisz sama.

- Och, na litość boską - odparła zniecierpliwiona. - Co niby może mi się przytrafić? Myślisz, że jak wyjdę na naszą dróżkę, to od razu napadnie na mnie stado dzików?

- Nie przedrzeźniaj mnie, Wróbelku - odparł, a w jego oczach ujrzała urazę. - Wiesz, że chcę się tobą opiekować.

- Owszem, wiem. Ale potrzebuję trochę się przejść. Czy te aktywa nie mogą poczekać do jutra?

- Może. To znaczy tak. W porządku.

- A teraz, Russell, kochanie - powiedziała, biorąc go pod rękę, gdy przeszli przez bramę na końcu ogrodu i skierowali się w stronę lasu - chciałabym zacząć planować nasz miodowy miesiąc. Nie życzę sobie, żeby mnie to ominęło. Dokąd chciałbyś pojechać?

- Dokądkolwiek, gdzie tylko masz ochotę, Wróbelku. Może do Włoch? Zawsze marzyłem, żeby tam się wybrać i na własne oczy zobaczyć te wszystkie dzieła sztuki. Albo może na Seszele, albo do Wietnamu?

- Russell, nie wydaje mi się, żebym miała chęć na coś tak... ryzykownego.

- Na litość boską, dlaczego nie? - Sprawiał wrażenie mocno zdziwionego. - Powinniśmy zaliczyć te miejsca, póki jeszcze możemy. Zanim się zestarzejemy i zaczniemy się trzymać pewnych przyzwyczajęń.

- Och, Russell. - Wspięła się na palce, żeby go pocałować. - Kocham cię z tak wielu różnych powodów, ale najbardziej chyba dlatego, że uważasz, że nie jesteśmy starzy.

- Oczywiście, że tak uważam. Nie jesteśmy starzy. Jesteśmy wystarczająco młodzi, żeby cieszyć się sobą.

- Tak, naturalnie... Ale naprawdę wolałabym raczej spokojny miodowy miesiąc. Wiesz, nigdy nie byłam nad jeziorami. Tam są piękne widoki, doskonały dojazd... I można robić mnóstwo pieszych wycieczek. Może zastanowisz się nad tym? Tak na teraz, dobrze?

- Jeśli tego sobie życzysz, Wróbelku. Ale na wiosnę musimy pojechać do Włoch, dobrze?

- Obiecuję - powiedziała. - Na wiosnę pojedziemy do Włoch.

Jakoś poszło... Nie całkiem źle, ale również nieszczególnie dobrze, pomyślała Linda. Byli dość uprzejmi, ale ostrożni i wyraźnie starali się zachować dystans. A Alex nagle całkiem się do nich upodobnił: w oczywisty sposób niepokoił się, czy pod jakimś względem nie wypadnie głupio, co chwila wpadał w zmienny nastrój, i w ogóle zachowywał się dość sztywno. A ona czuła się jak na cenzurowanym.

To był jej pomysł, żeby zabrać ich na przedpremierowy pokaz filmu. Oficjalna kolacja mogłaby okazać się niewypałem. Zresztą dokąd mieliby pójść? Gdzieś, gdzie jest swobodnie i bezstresowo, to oczywiście, ale... Czy do restauracji wyższej kategorii, jak Carluccio albo Bluebird, czy raczej do jakiejś miejscowej, mało wyrefinowanej knajpki? W pierwszym wypadku mogliby odnieść wrażenie, że ona za bardzo się stara, w drugim, że chce ich opędzić małym kosztem i że nie zadała sobie zbyt wielkiego trudu. Poza tym taka sytuacja znowu mogłaby okazać się polem minowym, gdzie wszystkie dobre chęci rozbijają się o ciszę przy stole i wystudiowane maniery. Gdyby chodziło o samą Amy, może po prostu pojechałyby razem na zakupy - choć szanująca się piętnastolatka raczej nie wybierze się do sklepów z kimś... Hmm, z kimś dobijającym czterdziestki. Zresztą, na litość boską, dokąd miałyby ją zabrać? I czy kupić mnóstwo różnych rzeczy, przez co Amy mogłaby pomyśleć, że za bardzo jej zależy, czy nie kupić nic i wyjść na ostatnie skąpiradło?

Nie, zakupy nie wchodziły w grę. Zresztą i tak przyjadą razem, całą trójką.

I wtedy nagle dostała bilety na przedpremierowy pokaz nowej komedii, która podobno była niesamowitym hitem - to wydawało się zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe. Przysłano jej dwa bilety, jak zwykle, więc poprosiła o jeszcze dwa. Pokaz został przewidziany o jakiejś dość wczesnej porze w piątkowy wieczór, co tak naprawdę wydawało się wręcz idealnym rozwiązaniem. Potem mogą pójść gdzieś na pizzę - jeśli uda się śmiechem przełamać lody, na co miała nadzieję - a gdyby wszystko skończyło się absolutnym fiaskiem, to zawsze mogą tylko wstąpić na kawę do Starbucksa, a potem Alex zabierze je do domu.

Wybierała strój na ten wieczór z taką udręką, jakby czekała ją audiencja u królowej albo randka z Bradem Pittem. Zresztą każda z tych wersji byłaby łatwiejsza od tego, co ją dziś czeka, myślała. Wreszcie postanowiła włożyć krótką, czarną spódniczkę i białe polo, a do tego skórzaną kurtkę. Każdy rozmiar dekoltu wydawał się złym pomysłem, a choć spódniczka była naprawdę krótka, to jednak całość prezentowała się nie najgorzej. Początkowo zamierzała pójść w lekkich pantofelkach, ale uznała, że nie pasują i wyglądają na wyjąt-

kowo niegustowne, więc z lekką obawą zamieniła je na szpilki od Christiana Louboutina. Na końcu zmyła z paznokci krwistoczerwony lakier i umalowała się znacznie skromniej niż zwykle.

Alex przyprowadził je do jej biura, ponieważ to miejsce wydawało się bezpieczniejszym terenem niż mieszkanie, a przy okazji było tam odrobinę przyjemniej niż w poczekalni w kinie. Poza tym chodziło o jasny sygnał, że ich związek jest odrobinę ważniejszy niż przelotna znajomość, ale nie tak istotny, jak trwały układ.

Weszli do środka z uśmiechem na ustach, wymienili uściski dłoni i grzecznie spytali, jak się miewa. To ją przyjemnie zaskoczyło, podobnie jak ich dość oficjalne stroje, bo spodziewała się dwojga zakapturzonych chuliganów, a tymczasem ujrzała dwójkę ładnych, miłych dzieciaków. Amy zapowiadała się na prawdziwą piękność; miała ciemną karnację, odziedziczoną po Aleksie, gęste, zaczesane do tyłu włosy i dość wyszukany, niespieszny sposób mówienia. Adam był wyrosniętym nad wiek blondynem, chudym jak szczapa, przeraźliwie skrępowanym i z mnóstwem pryszczki. Nosił na zębach aparat, a jego głos co chwila niebezpiecznie się załamywał. Amy od razu ruszyła na obchód biura; oglądała fotografie i wyrażała uprzejme zainteresowanie za każdym razem, gdy ujrzała kogoś znajomego. Adam po prostu klapnął na sofie i zajął się opróżnianiem puszek z colą, starając się nie patrzeć na nikogo.

Podczas jazdy taksówką wszyscy milczeli jak zakłęci. Przyjechali do kina na Wardour Street o pół godziny za wcześnie. Niedobrze, pomyślała Linda. Na szczęście w środku było już kilkoro jej znajomych, więc przedstawiła dzieci, a potem szybko uciekła w bezpieczną przestrzeń biznesowych plotek. Amy sprawiała wrażenie znudzonej, Adam wyglądał na jeszcze bardziej zawstydzonego niż przedtem, a Alex spoglądał na nią ze złością i znów przypominał Heathcliffa.

Film okazał się wielkim sukcesem. Był bardzo śmieszny. Linda siedziała obok Amy, potem Adam, a następnie Alex. Dzieci śmiały się do rozpuku, a po zakończeniu seansu Amy od razu odwróciła się do niej.

- To był superfajny film, bardzo dziękuję - powiedziała. Adam nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Tak, było super, naprawdę super - mruknął.

- A więc... Może ktoś ma ochotę na pizzę? Albo pójdziemy na kawę do Starbucksa, albo gdzie indziej?

Jak tam sobie chcecie, chłopaki.

Chłopaki? Czy naprawdę tak się wyraziła? To było równie żałosne jak zebranie o akceptację w grupie rówieśniczej.

- Pizza? - spytała Amy.

- Jak dla mnie, może być - odparł Adam.

W końcu uzgodnili, że pójdą do Pizza Express; po drodze dzieci szeptały coś między sobą, od czasu do czasu wybuchając chichotem. Ciekawe, co myślą, kombinowała Linda. Może mówią, że ona jest nieokrzesaną prostytutką, albo że jest zwyczajnie żalosna, albo wręcz przeciwnie - choć to mało prawdopodobne - że okazała się całkiem miła? W ich późniejszej wymianie zdań trudno było odnaleźć jakąś wskazówkę.

Zamówili pizzę, a na przystawkę chleb z masłem czosnkowym. Konwersacja nadal kulała i dotyczyła głównie filmu, tego i innych, które ostatnio widzieli. Miała ochotę ich spytać, kim zamierzają zostać, gdy dorosną, ale wiedziała, że ludzie w ich wieku organicznie nie znoszą takich pytań. W związku z tym zapytała o ich plany na najbliższy weekend, a wtedy zgodnie odparli, że nie mają pojęcia.

W końcu zapytała, czy ojciec opowiadał im o Afryce Południowej. Amy odpowiedziała, że tak i wygląda na to, że tam jest całkiem nieźle. Adam mruknął pod nosem, że to chyba superkraj.

Linda zamówiła dla siebie niedużą butelkę wina, ale z nerwów sięgała do niej tak często, że w butelce zaświeciło dno, zanim zdążyli skończyć chleb czosnkowy. Zamówiła następną - „tym razem naprawdę dużą, proszę” - i zaraz zaczęła się zamartwiać, że wezmą ją za alkoholiczkę.

Zapadło długie, nieprzyjemne milczenie; Linda już prawie pozwoliła, żeby trwało w nieskończoność, aż nagle - choć doprawdy trudno byłoby wymyślić gorszy temat - zapytała, czy słyszały już o festiwalu muzycznym, który organizowała Georgia, jedna z jej podopiecznych „na rzecz ofiar tej katastrofy na M4, do której doszło latem zeszłego roku; na pewno ojciec wspominał wam o tym”.

- Och, on opowiada nam o tylu okropnych rzeczach. - Amy uśmiechnęła się do ojca, a potem spojrzała na nią. - Niestety, nie bardzo pamiętamy.

- Rozumiem. No więc Georgia, to znaczy Georgia Linley, bo tak się nazywa, występuje w nowym serialu, którego emisja rozpoczyna się w marcu. Brała udział w tamtej katastrofie i zależało jej, żeby zebrać trochę pieniędzy dla ludzi, którzy zostali wtedy ranni, nie mogą pracować, i tak dalej. A teraz robi to bardziej dla szpitala, w którym pracuje wasz tata.

- Świetnie - odparła Amy. - Czy to właśnie ona, ta czarna dziewczyna na fotografii razem z panią?

- Tak, to ona.

- No więc kiedy jest ten festiwal?

- Och... W lipcu.

- Gdzie?

- Na pewnej farmie, należącej do młodego, miłego człowieka, który nazywa się William Grainger. Jego farma znajduje się tuż przy samej autostradzie i właśnie na tym polu lądowały helikoptery sanitarne.

- Ach tak. Okay.

- Chcecie pojechać? - odezwał się Alex, chyba pierwszy raz od chwili, gdy weszli do restauracji.

- No, może i tak... Jak się nazywa ten festiwal?

- Zdaje się, że jeszcze nie ma nazwy - odpowiedziała Linda. - Chyba nie mogą się dogadać w tej kwestii, przynajmniej takie wieści ostatnio do mnie docierały. Może macie jakiś pomysł? Każda sugestia będzie mile widziana.

- Wielki Boże, jasne, że nie - zawołała Amy. Adam tylko wzruszył ramionami.

* * *

Krótko po tym wyszli z pizzerii; Alex miał odwiedzić je do matki. Sam wciąż jeszcze nie znalazł niczego przyzwoitego do zamieszkania.

- Wielkie dzięki. Byłeś cholernie pomocny - syknęła Linda, kiedy stali na brzegu chodnika, raczej bezskutecznie usiłując przywołać taksówkę.

- Wybacz. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeżeli pozwolę, żebyś przejęła inicjatywę.

- Hmm... Psiakrew, tam jest jedna, przeszło kilometr od nas, i kierowca chyba nas nie widzi.

Bez namysłu wsadziła do ust dwa palce i gwizdnęła przeciągle. Amy i Adam drgnęły, tak ich zaskoczyła, a potem uśmiechnęły się od ucha do ucha. A może naśmiewali się z jej zachowania, pomyślała? Że jest strasznie hałaśliwa, zuchwała i zupełnie niepodobna do miłej macochy, którą powinna być.

- To na razie - powiedziała, wyciągając rękę, żeby po kolei się z nimi pożegnać. - Było mi z wami naprawdę bardzo fajnie. Cieszę się, że film się podobał.

- Do widzenia - powiedziała Amy. - I jeszcze raz wielkie dzięki.

- Do widzenia - powtórzył Adam. - Tak, dzięki.

- Cześć, Linda - dodał Alex.

Na samym końcu pożegnał ją widok dwojga dzieci, które pochylały ku sobie głowy i śmiały się - bez wątpienia z niej - oraz nachmurzona mina Alexa.

Co za klęska, pomyślała. Co za cholerna, stuprocentowa porażka! Teraz on już nigdy się z nią nie ożeni.

Na wpół zasypiała, gdy zabrzączał telefon.

- Cześć! To był Alex.

- O, cześć. Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak. Czuję się znakomicie.

- Wybacz mi, Alex...

- Co mam ci wybaczać, do diabła? Upadłaś na głowę, jak mawiają dzieciaki?

- Co takiego?

- Och, moje słodkie kochanie, jesteś taaaaką fajną babką. To wersja Amy. Owszem, dość miła. To wersja Adama. I masz świetne nogi. To także Adam. I wcale nie jesteś krępująca. To znowu Amy. Ona chce do ciebie przyjechać sama, zdaje się po to, żeby pójść z tobą na zakupy. Podobno masz zajebiste buty. I jebucko gwizdnęłaś na tę taksówkę. Och, Linda, kocham cię!

- Ja też cię kocham - odparła.

Barney miał wrażenie, że to jest całkiem inny wieczór. Ani zły, ani dobry. Po prostu wieczór. Żeby pojechać do domu, zjeść kolację - obowiązkowo; uśmiechać się - często; rozmawiać - ostrożnie; słuchać - jeszcze ostrożniej. Starać się za wiele nie myśleć, za dużo nie wspominać. A przede wszystkim nie patrzeć w przyszłość. Bóg jeden raczy wiedzieć, w jaką przyszłość. Cóż mogło się w niej kryć? Ten dziwaczny, spokojny smutek, ten przyjemny niepokój, to życiowe kłamstwo? Jak to jest żyć z kimś, kto tak bardzo ciebie kocha? I kogo ty także kochasz - wciąż jeszcze. To znaczy, w pewien szczególny sposób. W niespokojny, czuły i wypełniony poczuciem winy sposób.

To była paskudna noc - mokra, zimna i wietrzna. Niósł brązową, papierową torbę z dwiema butelkami wina w środku, ale zanim dotarł do domu, torba zdążyła niepokojąco rozmięknąć. Niósł także kwiaty - kenijskie, dwukolorowe róże, które tak bardzo lubiła. Była akurat środa, a on zawsze kupował jej w środę kwiaty; to był taki na wpół żart, na wpół tradycja. Powiedziała kiedyś, że jeśli on o tym zapomni, to będzie znaczyło, że dzieje się coś niedobrego. No cóż, jak dotąd ani razu nie zdarzyło mu się zapomnieć.

Kiedy wszedł do domu, okazało się, że jej nie ma. To nie było niczym niezwykłym; należała do skrajnie towarzyskich osób i zawsze po pracy wyskakiwała z którąś z przyjaciółek na szybkiego drinka albo wręcz na kolację. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy uprzedziła go, że dziś wraca później.

Wszedł do środka, włożył wino do lodówki, róże do wazonu. Bez przycinania łądyg, za co na pewno dostałby burę, gdyby o tym wiedziała. Zawsze bardzo tego pilnowała.

- Barney, skarbie, to zajmie ci mniej niż minutę, a dzięki temu kwiaty żyją o wiele dłużej. Jesteś leniuszkiem, skarbie.

Zastanowił się, czy Emma także jest zwolenniczką przycinania łądyg, ale doszedł do wniosku, że to raczej mało prawdopodobne... Przestań znowu myśleć o Emmie, Fraser. Po prostu przestań. To ci w niczym nie pomoże.

Przyszło mu do głowy, że może powinien zająć się przygotowaniem kolacji. Zjrzał do lodówki; raczej nie było tam za wiele do jedzenia. No cóż, jeśli ona nie wróci zbyt późno, będą mogli wyskoczyć gdzieś na miasto. No, chyba że już jadła. Najlepiej zadzwonić i przekonać się, co porabia. Będzie ubawiona, a nie zła, jeśli o czymś zapomniał, i powie mu, że jest beznadziejny i że niedługo wraca do domu.

Jej komórka była wyłączona.

Usiadł na kanapie, włączył telewizor i właśnie oglądał koniec wieczornych wiadomości, kiedy z ulicy dobiegł odgłos jej kroków, a potem w zamku zazgrzytał klucz. Na pewno będzie przemoczona, nieszczęśliwa. Zaraz zrobi jej filiżankę herbaty.

Poszedł do kuchni i właśnie nalewał wodę do czajnika, kiedy tam zjrziała. Odwrócił się z uśmiechem i wtedy ujrzał jej twarz. Było w niej coś... Coś dziwnego, stanowczo odbiegającego od normy. Brakowało zwykłego, pogodnego uśmiechu i ciepłego, jasnego spojrzenia. Patrzyła na niego tak, jakby nigdy przedtem go nie widziała.

Barney odstawił czajnik.

Zdjęła z siebie płaszcz, całkiem mokry; wyciągnął rękę, żeby go powiesić.

- Daj spokój - odezwała się. - Dam sobie radę.

Poszedł za nią, gdy odwróciła się i wymaszerowała z kuchni, po drodze byle jak rzucając płaszcz na krzesło - niewiarygodne! - a potem wkroczyła do salonu i usiadła na pierwszym z brzegu krzesle. Barney usiadł naprzeciwko. Wydawało się mu, że to jedyna rzecz, jaką może zrobić.

Przez chwilę panowała cisza, a potem...

- Barney, dlaczego mi nie powiedziałeś? Poczul w żołądku nieprzyjemny skurcz.

- O czym nie powiedziałem?

- Doskonale wiesz, o czym. Widziałam się dzisiaj z Tamarą i ona o wszystkim mi opowiedziała.

Cholerna dziwka! Jak mogła?! Jak śmiała?! Obiecała przecież, tak samo jak on; tak właśnie wychodzi się na zawieraniu paktu z diabłem.

- Tak - powiedział z ociąganiem. - Tak, rozumiem. No cóż, nie powinna tego robić. Nie miała prawa ci mówić. To nie ma z nią nic wspólnego.

- Moim zdaniem trochę ma. Ostatecznie Tamara jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Tak, wiem, ale...

Jak to możliwe, żeby te dwie dziewczyny były najlepszymi przyjaciółkami? Jedna taka dobra, taka niesamowicie słodka i miła, druga zła, przebiegła i okrutna.

- No, ale powiedziała. Czy chciałbyś o tym porozmawiać?

- Jeśli ty chcesz...

- Owszem, chcę. To przecież ma wpływ na nas oboje, zgadza się?

- Tak, Amando, święta racja.

- A więc... Mów.

- Wydaje mi się, że... - Odgarnął włosy do tyłu. - Że chętnie napiłbym się piwa. A ty?

- Za piwo dziękuję. Może kieliszek wina.

Nalał jej ulubione wino, chardonnay. Może nie należało do tych eleganckich, jak Amanda często powtarzała, ale było tak przyjemne, że ktoś troszczyłby się o elegancję? Dla siebie wyjął z lodówki becka.

- No mów, Barney, proszę cię. Muszę wiedzieć, jak to się stało.

O Boże, Boże, Boże! Jak dać sobie radę z tym ciężarem? Popatrzył na nią. Jej urocza twarzyczka o cerze brzoskwini wydawała się bardzo spokojna, ale błękitne oczy wpatrywały się w niego z natężeniem.

- No cóż... - zaczął. - Cóż, to zdarzyło się... To wszystko przez tę katastrofę. To stało się wtedy, kiedy Toby leżał w szpitalu.

- Tak, dokładnie to samo mówiła Tamara. To znaczy, w pewnym sensie to samo.

- Zapomnijmy o tym, co Tamara mówiła, a czego nie, dobrze? Chcę, żebyś dowiedziała się, jak było naprawdę. Ja... Ja nigdy nie chciałem, żeby coś takiego się zdarzyło, Amando. Naprawdę bardzo cię kochałem. I nadal bardzo kocham. Tyle tylko, że... W pewnym sensie to było silniejsze ode mnie.

Milczała; nie odważył się na nią popatrzeć. Wreszcie zdecydowała się przemówić.

- Nie bardzo rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z tamtą sprawą.

- Ach, Amando, oczywiście, że ma!

- No cóż... Mów dalej.

- Wiesz, myślę, że częściowo stało się tak przez to moje wewnętrzne rozdygotanie, które spowodował stan Toby'ego. Pamiętaj, że przepełniało mnie poczucie winy w związku z tą katastrofą. Ona... No cóż, ona pomogła mi się z tym uporać.

- Kto? Tamara?

- Nie, oczywiście, że nie Tamara! Ona. Emma.

- Emma? Zaczekaj, Barney, bo trochę się pogubiłam.

Później wiele razy się zastanawiał, co by było, gdyby wówczas na nią spojrział. Ale nie spojrział.

- Tak, ona jest tam lekarzem. Amando, tak strasznie mi przykro, tak okropnie przykro... Tego dnia, gdy Toby miał operację, ona zachowała się wręcz fantastycznie. Bez niej nie dałbym sobie rady. Oczywiście, gdybyś tam była, to... Ale ciebie nie było.

- Nie, rzeczywiście mnie tam nie było.

Ośmielił się podnieść na nią wzrok i ujrzał, że Amanda nagle zrobiła się biała jak ściana i że siedzi całkiem nieruchomo, tylko jej oczy dziwnie pociemniały.

- No, mów - ponagliła go. Także jej głos brzmiał jakoś nienaturalnie, jakby zabrakło jej tchu.

- A potem... Wtedy wszystko się zaczęło. Mam na myśli nasz związek. Rozwinął się w błyskawicznym tempie. Wiem, że to brzmi trochę... Trochę jak z taniego romansidła, ale wydawało się, że nic nie mogę na to

poradzić. Żadne z nas nie mogło. Tych spotkań było zaledwie kilka, wcale nie tak dużo, ale podjęliśmy decyzję. Cóż, ja... Zamierzałem powiedzieć ci o wszystkim tamtej nocy.

- Jakiej nocy? - zapytała, wolno wymawiając słowa.

- Wtedy, kiedy umarł twój ojciec. Czekałem na ciebie, zadzwoniła twoja matka i oczywiście już nie mogłem... Potem.

- Rozumiem. To było... Bardzo ładnie z twojej strony.

Teraz jej głos nie był już bez tchu; brzmiał bardzo nisko i bardzo ciemno.

- Amanda, wiem, że jestem skończonym gnojkiem. Wiem, że zachowałem się nieładnie. Bardzo nieładnie. Ale... Chciałem zaopiekować się tobą, kiedy byłaś tak strasznie nieszczęśliwa.

- Tak, rozumiem. A co z nią? Z Emmą. Wtedy, kiedy byłem taka strasznie nieszczęśliwa?

- Nie spotykałem się z nią, to chyba oczywiste. Zgodziliśmy się, że to byłoby bardzo niewłaściwe.

- Jak to miło z waszej strony. Przez chwilę milczał.

- Tak czy owak, to już skończone - odezwał się w końcu. - Już wiadomo, ile to było warte. W ostatecznym rozrachunku, chciałem powiedzieć. Ona... To ona skończyła ten związek. Powiedziała, że to nie może dłużej trwać.

- Racja. Zachowała się bardzo szlachetnie.

Znów zapadła cisza. Amanda w popłochu rozglądała się po pokoju, jakby szukając drogi ucieczki, a jej oczy błyszczały od łez. Jednak w głosie nie było słycać płaczu; wciąż był mocny i bardzo spokojny.

- Tak, Barney... To był bardzo szlachetny postępek. Nie sądzę, żeby wcześniej przyszło jej do głowy, że w ogóle nic nie powinno się wydarzyć, skoro ty byłeś zaręczony z kim innym. Albo żeby tobie przyszło to do głowy...

- Amando, ja przecież świetnie o tym wiem. Oczywiście, że to nie powinno było trwać. Nie potrafię tego osądzić ani tym bardziej wytłumaczyć. Po prostu nic nie mogłem poradzić.

- Nie. Zresztą wciąż to powtarzasz. W każdym razie... To już skończone, tak? Czy od tamtej pory widziałeś ją chociaż raz?

- Nie, nie widziałem. I jak ci mówiłem, to już skończone. Ale... Ale to właściwie nie zmieniło tego, co do ciebie czuję. Co czuję teraz.

Znów zapadła cisza. Niemal widział, jak ona zbiera się na odwagę, by dalej zadawać pytania.

- Czyli co czujesz? - spytała w końcu.

- To już nie jest to samo co kiedyś, Amando. Po prostu nie jest. Już czuję inaczej. Kiedyś miałem wrażenie, że nasz związek jest po prostu doskonały, a teraz już nie. Wciąż bardzo cię kocham, ale...

- Och, proszę cię! Więc przez ten cały czas, kiedy byłem taka nieszczęśliwa z powodu śmierci taty i podczas jego pogrzebu, i potem, w Boże Narodzenie, ty wciąż myślałeś o niej, tak?

- No... W pewnym sensie tak. Myślałem o niej, ale... Teraz rozplakała się na dobre.

- Ale to ona skończyła wasz związek, prawda?

- Tak.

- To dobrze o niej świadczy. Przynajmniej ona ma jakieś poczucie dobra i zła. Przypuszczam, że ty pozwoliłbyś, żeby to trwało w nieskończoność, żebyś mógł mieć przyjemność z nas obu... A może ja wcale ci się nie podobałam? Może zostałeś ze mną tylko dlatego, że było ci mnie żal? O Boże, Barney, to coś okropnego.

- Amando, strasznie cię przepraszam. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Wciąż cię kocham. I to bardzo.

- Tak, już to mówiłeś... Ale... Ale mimo to już nie chcesz się ze mną ożenić, prawda?

Zapadło długie, długie milczenie. To była jedna z najtrudniejszych rzeczy, na jakie Barney musiał się zdobyć, lecz jakoś mu się udało.

- Tak. Bardzo żałuję, ale nie chcę.

Kiedy w końcu usłyszał, jak jej samochód rusza spod domu, podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Tamary.

- Ty cholerna suko! - warknął. - Jak mogłaś, jak śmiałaś to zrobić?!

- Co zrobić?

- Psiakrew, doskonale wiesz, co! Wypaplałaś Amandzie o mnie i o Emmie!

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Barney, ja o niczym jej nie powiedziałam. Naprawdę. Przysięgam, że nie powiedziałam.

- Ale... - poczuł, że zbiera mu się na wymioty. - Ona przecież wiedziała. Mówiła, że o wszystkim wie od ciebie.

- Kiedy ja wcale nie rozmawiałam z nią o tobie i Emmie! Powiedziałam tylko o Tobym i o tym, jakie święństwo ci zrobił. Tobie i mnie. To wszystko. Przysięgam ci, że to absolutnie wszystko!

ROZDZIAŁ 48

- Mamusiu, chcę pójść po cukierki i po moje gazetki!

- Daisy, kochanie, jestem strasznie zajęta. Muszę skończyć dla kogoś te plany.

- Ty teraz zawsze jesteś zajęta!

To była prawda; tylko w ten sposób mogła oderwać się od przykrej codzienności.

- Przepraszam, skarbie. Może kiedy skończę... Och nie, potem przychodzi babcia, żeby zabrać was do Muzeum Nauki.

- Znowu? Straszne nudy. - Tym razem odezwał się Charlie.

- Charlie, nie bądź nieuprzejmy. Jeśli nie możesz znaleźć tam nic, co by cię zainteresowało, to bardzo mi ciebie żal.

Wzruszył ramionami.

- I co z tego? Tam są same nudy.

- Ale, mamusiu, ja tak bardzo chcę dostać te gazetki - włączyła się Daisy. - Zwłaszcza „Zwierzęta i ty”.

W tym tygodniu jest darmowy naszyjnik! Mogłabym go włożyć i pokazać babci.

- Córeczko, ja po prostu nie mam czasu.

- Ale tak nie można. Ty nigdy nie masz czasu!

- Tak, kochanie, i bardzo mi przykro z tego powodu. Jak skończę tę pracę, będę trochę swobodniejsza.

Obiecuję.

- Ostatnio mówiłaś tak samo - mruknął Charlie.

- Charlie, czy możesz z łaski swojej przestać mi utrudniać życie?

- Wcale ci nie utrudniam. Zwyczajnie mówię jak jest. Właściwie czemu Daisy nie może dostać tych swoich głupot, jeśli tak jej na tym zależy?

- A może Charlie mógłby zabrać mnie do sklepu? - spytała Daisy.

- Nigdzie z nią nie idę - odparł natychmiast.

- Charlie, to wcale mi nie pomaga.

- No to co? Nie chcę z nią iść; chcę teraz włączyć komputer i trochę pograć.

- Nie będziesz teraz grał na komputerze.

- Czemu nie?

- Bo ja za chwilę będę go potrzebować.

- Jesteś okropnie małostkowa, mamó. A ja i tak nie mam zamiaru iść z nią po jakiś durny komiks.

- To nie jest komiks!

- Owszem, Daisy, jest.

Laura nagle straciła cierpliwość.

- Charlie, przestań być taki trudny. A teraz weź swoją kurtkę i płaszczyk Daisy i zabierz ją do sklepu.

- Nie.

- Nienawidzę cię - zakwiliła Daisy. - Jesteś okropnym bratem!

- Charlie, nie będę dwa razy powtarzać. Jeśli zaraz z nią nie pójdziesz, nie dostaniesz kieszonkowego i nie będziesz miał za co kupować tych swoich gier.

- To zwykły szantaż.

- Guzik mnie to obchodzi. Idź i przynieś kurtki. Aha, Charlie, tylko opiekuj się nią jak należy. Nie zostawiaj jej kilometr z tyłu.

Miała przynajmniej dziesięć minut spokoju. A może jeśli uda się jej skończyć wcześniej, będzie mogła wyskoczyć do nich do Muzeum Nauki, żeby pójść razem na herbatę.

To była trudna praca: bardzo nieciekawe współczesne mieszkanie, którego właściciel zażądał, żeby „nadać mu jakiś charakter, tylko nie za bardzo nowoczesny. Może jakoś tak, żeby zrobiło się tu trochę milej. Zasłony, żadnych żaluzji ani innych tego typu rzeczy. Ale na pewno współcześnie. Nie chcę, żeby wyglądało jak z lat siedemdziesiątych”.

Takie wskazówki były w tym fachu dość powszechne.

Charlie i Daisy szli chodnikiem; Daisy paplała trzy po trzy, a Charlie kopał napotkane po drodze kamienie, całkowicie ignorując jej obecność.

- Charlie, jeśli dostanę kotka, co jest całkiem możliwe, bo mama powiedziała, że nie widzi przeszkód, jak powinnam dać mu na imię?

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że Puchata Łapka to całkiem ładne imię.
- Nie, według mnie zupełnie głupie.
- Wcale nie. Jest słodkie. No dobrze, a ty jak chcesz go nazwać?
- Nie chcę mieć jakiegoś głupiego kotka.
- Kotki wcale nie są głupie.
- Jasne, że są.
- No powiedz. Jakiego zwierzaka chciałbyś mieć?
- Nie chcę żadnego zwierzaka.
- Coś ty, każdy chce.
- Ja nie. Jeśli już, to może boa dusiciela.
- Co to takiego?
- Wąż.
- Wąż?! Charlie, nie możesz mieć węża. Zresztą, gdzie byś go trzymał?
- W swoim pokoju.
- Ale jesteś głupi.

- Och, a ty niby nie. No dobrze, jesteśmy na miejscu. Zaczekam na zewnątrz. Tylko się pospiesz i nie oglądaj żadnych innych komiksów.

- To nie są komiksy. Wzruszył ramionami.

Po chwili wyszła, przyciskając do siebie kilka kolorowych magazynów. W ręczce trzymała torebkę z cukierkami.

- No widzisz, już.

Ruszył przed siebie energicznym krokiem; Daisy musiała niemal biec, żeby za nim nadążyć, i upuściła jedną z gazetek.

- Charlie! Zaczekaj na mnie!
- No to ruszaj się trochę szybciej.
- Nie mogę szybciej. Przez ciebie upuściłam gazetkę.

Zatrzymał się, skrzyżował ramiona i z demonstracyjną cierpliwością czekał, aż wszystko pozbiera.

- Zobacz, tu jest zdjęcie małego kotka? No czy on nie jest słodziutki?
- Nie.

- Owszem, jest. I... Charlie, zaczekaj. Znowu pędzisz jak wariat. Nie mogę za tobą nadążyć.

- No to idź szybciej, zamiast bez przerwy kłapać dziobem.

- Idę szybciej. Och, nie! Popatrz, podarła się okładka, a tam przecież jest mój naszyjnik! Charlie, zaczekaj, proszę!

Ale on nie czekał. Nie widział, jak wiatr porwał pogniecioną okładkę magazynu i jak cisnął ją na środek ulicy i nie widział, jak Daisy bez namysłu rzuciła się za nią. Jedynie usłyszał to, co się wydarzyło: łomot nadjeżdżającego szybko - znacznie szybciej niż zwykle na tej drodze - samochodu, krzyk, pisk hamulców, a potem okropną, przeraźliwą ciszę. Wtedy się odwrócił i ujrzał wykręcony w poprzek jezdni samochód; mężczyznę, a właściwie niemal chłopca, który z wykrzywioną strachem twarzą gramolił się na zewnątrz; i Daisy,

leżącą w strasznym, przerażającym bezruchu tam, gdzie odrzuciła ją siła uderzenia, z buzią skierowaną ku ziemi, z potarganymi długimi blond włosami, wciąż ściskającą w ręczce torebkę pełną cukierków, podczas gdy pastelowe magazyny, pełne fotografii uśmiechniętych, małych dziewczynek, fruwały po całej ulicy, łopocząc kartkami.

Siedzieli we dwoje w izbie przyjęć oddziału ratunkowego, kiedy Jonathan wreszcie przyjechał. Lily i Charlie. Lily rzuciła się prosto w jego objęcia, zalewając się łzami.

- Tatusiu, tatusiu, zrób coś, proszę! Zrób coś, żeby z nią było lepiej, żeby lepiej się poczuła!

Charlie siedział z przygarbionymi plecami, zaciśniętymi dłońmi, z głową dziwnie wciśniętą w ramiona. Na dźwięk ojcowskiego głosu nawet nie podniósł oczu.

Dwa krzesła dalej siedział jakiś młody mężczyzna z gładko wygoloną głową, lekko zielonkawy na twarzy.

- Gdzie mamusia?

- W środku - odparła Lily, kiwając głową w stronę podwójnych drzwi. - Z Daisy.

Jej błękitne oczy były szeroko otwarte z przerażenia.

- Charlie, jak to się stało?

- Ona... Wybiegła na ulicę.

- Rozumiem, na ulicę. Ale dlaczego?

Młody mężczyzna podniósł się z krzesła i podszedł bliżej.

- Czy pan jest ojcem?

- Tak.

- To ja ją potrąciłem.

- Potrącił pan... Samochodem, tak?

- Tak. Ja... Strasznie mi przykro. Ona... Ona po prostu wybiegła wprost pod koła. Nic nie mogłem zrobić, naprawdę nie mogłem. Bardzo przepraszam. Naprawdę bardzo... Ja...

Nagle załamał się i zaczął łkać jak dziecko.

- No już dobrze. - Jonathan czuł, że zimne, profesjonalne opanowanie bierze w nim górę nad emocjami. Ostatecznie nie mogli wszyscy wpaść w histerię. - Proszę wziąć się w garść. W jak... W jakim ona jest stanie? Jakie są obrażenia?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ja... Ja jej nie przejechałem, jeśli o to chciał pan zapytać. Tylko uderzyłem.

- Sanitariusz z ambulansu powiedział, że Daisy ma liczne wewnętrzne obrażenia - odezwał się Charlie.

Jego głos brzmiał ochryple, obco. Nagle pochylił się do przodu i zwymiotował na podłogę.

- Biedny koleś. Nie martw się, stary...

Kobieta o zmęczonej twarzy podeszła bliżej, popatrzyła na wymiociny i westchnęła głęboko.

- Chyba trzeba będzie to posprzątać.

- Tak, trzeba będzie. Może znajdzie pani kogoś, kto mógłby się tym zająć - powiedział Jonathan. - Posłuchaj, Charlie... Idź do łazienki i umyj się trochę. Ja muszę poszukać mamy. I Daisy, oczywiście. Lily, ty zo-

staniesz tutaj. Popatrzcie, przyjechała babcia. Ona z wami zostanie. Witaj, Stella. Czy możesz przynieść trochę wody dla Charliego? Przed chwilą wymiotował.

- Tak, naturalnie... Jak... Co z nią? Jak to się stało?

- Nie wiem, sam dopiero co przyjechałem. Zaraz pójde ich poszukać.

- Nie może pan tam wchodzić - zawołała kobieta siedząca w recepcji, gdy popchnął podwójne drzwi, które wcześniej wskazała mu Lily. - To wejście dla personelu medycznego.

- Jestem lekarzem - odpowiedział i zniknął za drzwiami.

Laura czekała przed oddzieloną kurtyną kabinką; była bardzo blada i bardzo spokojna. Popatrzyła na niego i prawie się uśmiechnęła.

- Cześć.

- Cześć. Co z Daisy?

- Nie wiemy. Ma wewnętrzne obrażenia, to wszystko, co na razie mogą powiedzieć. Teraz jest z nią lekarz.

- Czy jest przytomna?

- Nie.

- Ale była? Już po wypadku?

- Nie... Właściwie nie. No... Może trochę. Trochę tak, a trochę nie. Głównie nie.

- O Boże. Jezu, Laura, jak...

- To moja wina. Naprawdę.

- Twoja?

- Tak. Chciała iść do sklepu po jakieś słodycze, a ja nie miałam czasu.

- Chyba nie poszła sama, co?

- Nie, nie! Poszła z... Z Charliem.

- Z Charliem!

- Tak. Nie patrz na mnie w ten sposób. Wychodziła z nim już wcześniej. Tak samo jak Lily. Kilka razy... Przecież wiesz, że wychodziła, ty pierwszy mówiłeś, że może je zabierać.

To była prawda. Rzeczywiście tak mówił. To był wielki sprawdzian... dla Charliego. Obserwowali go zza bramy, jak ostrożnie i dumnie idzie wzdłuż ulicy, nie odrywając oczu od Lily i wołając ją do siebie, jeśli wyprzedziła go choćby o parę kroków. Wciąż musieli dawać nura za bramę, żeby przypadkiem ich nie zobaczył. Kiedy dzieciaki się zbliżały, oboje z Laurą, zaśmiewając się do łez, pomknęli do domu - Laura do kuchni, a on do swego gabinetu - i udawali, że wcale nie słyszeli, jak tamci weszli do środka.

- Już jesteśmy - zawołał Charlie, a oni udawali, że ich zaskoczył. To były inne czasy. Szczęśliwe, spokojne czasy.

- Wybiegła prosto na ulicę. Podobno upuściła komiks. Jakiś chłopak właśnie jechał samochodem. Pewnie sporo za szybko, jak przypuszczam.

- Tak, on też jest tam, w poczekalni.

- Żeby oddać mu sprawiedliwość, został z nią, kiedy Charlie pobiegł po mnie, a potem upierał się, że pojedzie z nami do szpitala. Moim zdaniem jest całkiem w porządku. To naprawdę miły chłopak, tylko straszliwie wystraszony. Czy mama przyjechała?

- Tak, już tu jest. Charlie właśnie wymiotował.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jest mocno wytrącony z równowagi. Najpierw wpadł w histerię: płakał, prawie krzyczał i nie mogłam go uspokoić, a potem zrobił się strasznie spokojny, zupełnie jakby schował się wewnątrz siebie.

- Co właściwie się stało? To znaczy dlaczego ona wybiegła na tę ulicę?

- Już ci mówiłam. Żeby złapać komiks. Wiatr go porwał.

- Myślałam, że jest bardziej rozsądna.

- Wiem, że tak. Ale Charlie mówił, że strasznie przynudzała - dokładnie tak to ujął - i że wciąż upuszczała różne rzeczy.

- Ten koleś musiał pędzić jak cholera, w przeciwnym razie na pewno by ją zobaczył.

- Wiem, wiem...

Stali na korytarzu, patrząc na siebie: ona ze wzrokiem pełnym obłędu i cała drżąca, on z kamienną twarzą, nieruchomy z przerażenia. Nie potrafili dotrzeć do siebie, pocieszyć się wzajemnie; każde z nich przepełnione było męczarnią, jaką sprawia poczucie winy.

- Tak bardzo, bardzo cię przepraszam, Jonathanie.

- Lauro, to nie była twoja wina.

- Była, sam wiesz, że była... Nie było mnie przy niej.

- Ani mnie - szepnął tak cicho, że prawie niesłyszalnie. Wziął głęboki oddech i odczekał chwilę.

- Co mówi ten chłopak? To znaczy kierowca?

- Mówi, że właściwie nie wie, jak to się stało. Ale powiedział... powiedział...

- Tak?

- Że Charlie biegiem wrócił do samochodu. Wygląda więc na to, że musiał iść daleko z przodu. Nie z nią. Nie obok Daisy. Nie opiekował się nią. Ale...

- O Chryste...

- Tak... Wiesz, Jonathanie, on nie chciał z nią iść. Kłócił się ze mną, mówił, że chce usiąść do komputera, pograć w te nieszczęsne gry. Ja... Ja go zmusiłam. Nie powinnam była go zmuszać. Powinnam była przewidzieć, co może się stać... O Boże!

Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się płaczem.

- Uspokój się. - Jego głos zabrzmiał chrapliwie, nieswojo. - Nie płacz. To niczego nie zmieni. To był zwykły wypadek, a wypadki się zdarzają.

- Nie muszą się zdarzać. One...

Kurtyнка rozsunała się i na korytarz wyszedł lekarz. Za jego plecami mogli dostrzec Daisy, bardzo białą i bardzo nieruchomą, i stojącą obok pielęgniarkę, która sprawdzała jej puls.

- Jestem jej ojcem i jestem lekarzem - powiedział szybko Jonathan. - Jakie jest orzeczenie?

- No cóż, w tej chwili trudno jest coś stwierdzić na pewno. Musimy zrobić tomografię głowy. Sprawdzić, czy są jakieś poważne uszkodzenia czaszki. Z pewnością na razie jest w szoku... W medycznym szoku, ściśle rzecz biorąc. Tylko na wpół świadoma, mocno wyczerpana. Ma bardzo niskie ciśnienie krwi, co wydaje się dość niepokojące, bo wskazuje na możliwość wewnętrznego krwotoku. Poza tym doznała złamania kilku żeber, co z kolei grozi uszkodzeniem wątroby. Albo płuc. Ma złamaną jedną nogę, a także jedną rękę. I myślę, że również miednicę.

- O Boże - wyszeptała Laura. - Moja mała, biedna dziewczynka...

- Oczywiście natychmiast podłączyliśmy kroplówkę. Musimy też zrobić prześwietlenie. I pewnie będzie trzeba ją zaintubować, bo ma pewne kłopoty z oddychaniem. Poprosiłem kolegę, doktora Armstronga, żeby przyszedł ją obejrzeć. Jest naszym głównym specjalistą, jeśli chodzi o klatkę piersiową i płuca. Macie szczęście, bo on w soboty często wyjeżdża na wieś, ale dzisiaj akurat jest na dyżurze telefonicznym.

- Ja go znam - powiedział Jonathan. - Tony Armstrong. Świetny gość - i odwracając się do Laury, dodał: - Naprawdę znakomity.

Młody lekarz popatrzył na niego i wydawało się, że wypowiedzianie słów sprawia mu trudności.

- Obawiam się, że stan dziecka jest naprawdę poważny - powiedział. - Bardzo, bardzo poważny.

ROZDZIAŁ 49

Na oddziale panowała głęboka cisza; wszyscy nazywali to miejsce oddziałem, Oddziałem Intensywnej Terapii, choć tak naprawdę był to długi korytarz z kilkoma parami drzwi. Za każdymi drzwiami leżał ktoś bardzo chory, ktoś, kto potrzebował szczególnej opieki. Jak Daisy. Nie pozwolono mu wejść do sali, w której leżała, ale raz udało mu się tam rzucić okiem, kiedy ojciec stamtąd wychodził; zdążył zauważyć mnóstwo jakichś urządzeń i ekranów. Daisy leżała na wysokim łóżku, z zamkniętymi oczyma... Z jej nosa wychodziła jakaś rurka, która podobno pomagała jej oddychać, jak mówił tata. Włosy Daisy rozsypane były po poduszce.

Charlie czuł się tak przerażony i przybity, że niemal nie wiedział, co z sobą począć. Siedzenie nieruchomo było okropne, ponieważ w głowie kłębiły się myśli o tym, co zrobił... Przed oczyma wciąż przesuwały się rozmaite obrazy, które czasem jakby biegły wstecz. Najpierw Daisy leżała na drodze, a tuż obok stał tamten samochód, potem znów biegła przy nim, prosząc, żeby na nią poczekał, później starała się pokazać mu jakieś zdjęcia w swoim czasopiśmie, następnie wyprzedzała go w bramie, kiedy wychodzili z domu, wołając: „Na razie, mamusiu!”.

Wtedy była w świetnej formie; wtedy jeszcze tego nie zrobił, jeszcze jej nie zabił. Nie sprzeczał się z nią, mówiąc, że jest głupia, nie był coraz bardziej i bardziej na nią zły, nie widział samochodu, nie zobaczył, jak biegła za kartką; wtedy była bezpieczna, bezpiecznie zamknięta w przeszłości, szczęśliwa, roześmiana, pełna życia, życia, życia...

Nagle poczuł się tak okropnie, że musiał wstać i pójść wzdłuż korytarza, byle dalej uciec od tamtych obrazów; wciąż zaglądał do łazienki, bo miał wrażenie, że za chwilę się porzyga, i stał zgięty wpół nad miską klozetową, gapiąc się w nią i rozmyślając, jak ma przetrwać następne pięć minut, nie mówiąc już o reszcie ży-

cia. Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć jakiś sposób, żeby umrzeć razem z nią. Może powinien też wbiec pod samochód? To byłoby właściwe rozwiązanie. I słuszne - swoją śmiercią odkupi jej śmierć. Z pewnością nie da rady zastanawiać się nad tym przez całe lata, a nawet przez jeszcze parę godzin.

Babcia w końcu gdzieś sobie poszła, zabierając Lily. Obydwoje rodzice siedzieli na korytarzu pod drzwiami izolatki. Powiedziano im, że mogą w nocy skorzystać z pokoju dla rodziców, ale obydwójce odmówili. Chcieli być jak najbliżej Daisy.

To było wtedy, kiedy powiedzieli mu, że przecież o wszystkim wiedział; wiedział, że sprawy wyglądają bardzo źle i że całkiem możliwe, że ona umrze. Aż do tamtej chwili zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i oczywiście wiedział, że Daisy została bardzo, bardzo ciężko ranna i że grozi jej niebezpieczeństwo utraty życia, lecz dopiero teraz zobaczył w ich twarzach, usłyszał w ich głosach, że ona naprawdę może umrzeć.

Kazali mu iść razem z Lily, ale odmówił, choć tak naprawdę wcale się z nimi nie spierał - wydawało się, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. Nie przypominał sobie, czy w ogóle cokolwiek powiedział od chwili, gdy się to wydarzyło... Zwyczajnie potrząsnął głową, a potem skrzyżował ramiona i stał w miejscu, czekając, czy odważą się go zmusić, żeby poszedł wbrew własnej woli.

- Kochanie - powiedziała matka. - Lepiej pojedź z babcią, a my zadzwonimy natychmiast, jak tylko coś będzie wiadomo. Obiecuję, że zadzwonimy, nawet jeśli to będzie środek nocy.

Ale on znów pokręcił głową, i to dość gwałtownie, a wtedy ojciec odezwał się cichym głosem:

- Lauro, pozwól mu zostać. Lepiej niech tu zostanie.

Ojciec w ogóle był dla niego bardzo miły - obydwójce byli mili, choć on wolałby, żeby było przeciwnie. Wolałby, żeby obydwójce rzucili się na niego, żeby krzyczeli, żeby go zbili; żeby wyrządzili mu wielką krzywdę, żeby także musiał leżeć na intensywnej terapii, bo wtedy, gdy już go podłączą do tych wszystkich rurek, będzie mógł wyrwać je z siebie, żeby dłużej nie oddychać, nie musieć żyć.

Teraz poszedł do nich znowu, po kolejnej wizycie w toalecie; matka trzymała mocno dłoń ojca, a głowę oparła na jego ramieniu. Przez chwilę myślał, że zasnęła, ale po chwili przekonał się, że po prostu wpatruje się w podłogę.

- Cześć - powiedział ojciec. - Dobrze się czujesz?

Jednak on wciąż nie mógł mówić; tylko skinął głową i usiadł obok matki.

Ojciec postarał się mu wytłumaczyć tyle, ile można było wyjaśnić kilkunastoletniemu chłopcu: Daisy miała tomografię głowy i okazało się, że w jej czaszce jest coś, co nazywa się pęknięciem na linii włosów. Oprócz tego miała uszkodzoną wątrobę, co powodowało wewnętrzny upływ krwi, a to oznaczało, że Daisy musi dostać krew z zewnątrz. Jednak najbardziej niepokojące wydawało się, że złamała również parę żeber i że jedno z nich przebiło płuco, co może spowodować infekcję.

- Jak widzisz, Daisy jest w dość kiepskim stanie, więc może mieć problemy ze zwalczeniem infekcji. Na wszelki wypadek dostaje więc antybiotyki.

Inne obrażenia, czyli złamana noga i ręka, w porównaniu z tamtymi wydawały się błahostką.

Bardziej niż cegokolwiek pragnął teraz powiedzieć im, jak strasznie żałuje tego, co się stało, ale te słowa jakoś nie chciały przecisnąć się przez gardło. Zresztą to było zupełnie bez znaczenia, bo i tak w żaden sposób nie mogło pomóc. Nie mogło przywrócić im Daisy ani sprawić, żeby lepiej się poczuła, poza tym wy-

dawało się zbyt łatwe. „Przepraszam” mówiło się wtedy, kiedy człowiek coś rozlał albo stłukł, albo nie odrobił pracy domowej. Nie wtedy, kiedy zmarnował zdrowie własnej siostry, i to tak bardzo, że może już nigdy nie uda się go naprawić.

Chłopak, który prowadził tamten samochód, wciąż czekał na dole; Charlie niemal mu współczuł. Może faktycznie jechał odrobinę za szybko, ale to nie była jego wina; Daisy zwyczajnie wbiegła prosto pod koła. To była wina Charliego, że nie opiekował się nią jak należy, że nie patrzył, co robi, że nie przewidział, co może zrobić. W końcu się rozplakała - nikt poza nim o tym nie wiedział - bo wyraźnie słyszał łzy w jej cieniutkim głosiku, kiedy wołała, żeby na nią poczekał; myślał wtedy, jak strasznie jest głupia i denerwująca, i że nie zamierza jej ustępować, bo przez to stanie się jeszcze bardziej rozwydrzonym bachorem. To wszystko było wyłącznie jego winą.

Nagle doszedł do wniosku, że nie zniesie tego ani chwili dłużej; jakimś cudem udało mu się wykrztusić parę słów.

- Pójdę się przejść, dobrze?

- Kochanie, nie odchodź albo przynajmniej pozwól, żeby któreś z nas poszło z tobą - powiedziała matka.

Ale on potrząsnął głową na znak, że wszystko jest okay, i ojciec wziął jego stronę.

- Pozwól mu iść, Lauro. Da sobie radę. Charlie, tylko nie wchodź na inne oddziały. Po prostu zejdź do głównego holu i tam pospaceruj, a gdybyś się zgubił, zapytaj kogokolwiek, gdzie jest Oddział Intensywnej Terapii, wskażą ci drogę.

Skinął głową i wstał, a potem dość szybkim krokiem pomaszerował wzdłuż korytarza, aż do windy. Dobrze było odejść stamtąd; czuł się niemal tak, jakby uciekał.

Wszedł do głównej recepcji, a następnie powędrował w kierunku Oddziału Pomocy Doraźnej. Przechodząc przez drzwi, ujrzał tego faceta, Micka, który leżał na trzech zsuniętych krzesłach. Nic mu się nie stało, a mimo to został tu przez ten cały czas.

W pierwszej chwili pomyślał, że Mick śpi, ale on był całkiem przytomny, podobnie jak matka Charliego, i gapił się w sufit. Na jego widok podskoczył jak oparzony i usiadł prosto.

- Co się stało? Czy ona... - zapytał z pośpiechem.

- Nic się nie stało - odparł Charlie. - Ona jest w takim samym stanie jak przedtem. Dokładnie w takim samym.

- Psiakrew - mruknął Mick i znowu się położył, ale zaraz zmienił zdanie. - Wyjdę zapalić fajkę. Gdyby nadeszły jakieś wieści, będę tuż przed głównym wejściem, dobrze?

Charlie skinął głową.

Na moment usiadł na krześle, ale obrazy znów powróciły, więc wielkimi krokami zaczął krążyć po poczekalni, od frontowych drzwi do windy, a kiedy dopadły go również tam, podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz, na miejsce, gdzie podjeżdżały karetki, i dalej, na wysokie latarnie na parkingu, i pomyślał, że może byłoby lepiej, gdyby jednak pobiegł, że może w ten sposób uda mu się uciec. Popędził więc dookoła parkingu, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, klucząc pomiędzy kilkoma stojącymi tam samochodami, aż w końcu zasapał się i usiadł pod ścianą przy drodze, żeby gapić się na pędzące auta, i zastanawiać się, czy starczy mu odwagi,

żeby wbiec pod samochód i w ten sposób mieć to za sobą. W pewnej chwili odwrócił się, żeby spojrzeć na szpital, na trzecie piętro - na oświetlone okno separatki, w której leżała Daisy i prawdopodobnie umierała, a może już nie żyła. Popędził na ukos przez parking. Wtedy zobaczył ojca, jak szedł w jego kierunku, machając ręką i wołając go po imieniu. A więc stało się... Ojciec przyszedł powiedzieć, że wszystko się skończyło, że nie tylko prawie zabił swoją siostrę, ale że faktycznie ją zamordował. Zamknął oczy i czekał, czekał na te straszne słowa. Ale...

- Charlie, czy dobrze się czujesz? - zapytał ojciec. Pokręcił głową i wreszcie udało mu się wykrztusić parę słów:

- Co... co się stało?

- Nic. U Daisy wciąż to samo. Przyszedłem, żeby cię odszukać i upewnić się, że wszystko w porządku.

Nie zasłużył na taką dobroć. To było nie tak, wszystko było nie tak. Dlaczego oni nie są okrutni, tak okrutni jak on był wobec Daisy...

Nagle ojciec położył mu rękę na ramieniu i wtedy coś się stało. Charlie rozplakał się, dość cicho, ale rozpaczliwie.

- Chodź, kolego - powiedział ojciec. - Wejdziemy do środka i sprawdzimy, czy uda się nam znaleźć jakieś fajne miejsce, żeby spokojnie usiąść. Co ty na to?

Nie udało im się znaleźć niczego naprawdę fajnego, ale trafili na kąt obok kaloryfera, a ojciec przyniósł z korytarza dwa krzesła. Usiedli, a wtedy Charliemu zrobiło się słabo. Pochylił się do przodu i złożył głowę na ojcowskich kolanach.

- Biedny, mały chłopiec - szepnął ojciec i po chwili Charlie poczuł jego dłoń, która delikatnie gładziła go po plecach.

Natychmiast usiadł prosto i odepchnął tę dłoń.

- Przestań, przestań być dla mnie taki... taki dobry - wyszeptał przez łzy. - Dlaczego mnie nie uderzysz? No dalej, przylej mi, tylko z całej siły, proszę... Proszę.

I wtedy jakimś sposobem znalazł się w ramionach ojca - gdzie, jak myślał, już nigdy się nie znajdzie - i ukrył twarz na ojcowskiej piersi, szlochając rozpaczliwie i czepiając się go z całej siły, jakby bał się, że ojciec zaraz od niego ucieknie. Nagle zebrał się w garść i podniósł wzrok.

- To była moja wina, tato - powiedział zdecydowanie.

Jednak zamiast odpowiedzieć coś głupiego, co miałoby go pocieszyć, jakby był jakimś opóźnionym w rozwoju głupkiem, ojciec spokojnie odwzajemnił tamto spojrzenie.

- Tak, wiem, że to była twoja wina - odparł.

Te słowa uderzyły go jak smagnięcie batem. Były szokujące, ale jakoś pomogły - uspokoiły, powstrzymały łzy.

- Czy mama... Czy to mama ci powiedziała?

- W pewnym sensie. Oczywiście nie widziała, jak to się stało - bo przecież jej tam nie było - ale Mick opowiedział dokładnie, co zaszło, a potem wystarczyło tylko dodać dwa do dwóch. Nie wszystko jest twoją winą, Charlie. Takie sprawy prawie nigdy nie są winą jednej osoby. Oboje z mamą mieliśmy w tym swój udział, ale... No cóż, pod pewnym względem to była twoja wina. Rozumiem, dlaczego tak źle się teraz czujesz.

- Pod każdym względem - odpowiedział natychmiast. Ulga, że może o tym mówić, że może wyrzucić z siebie te okropne obrazy, sprawiła, że poczuł się nieco lepiej. - Ja... Ja wcale się nią nie opiekowałem. To dlatego tak się stało. Nie ma innych powodów.

- Mów dalej... Nie, zaczekaj chwilkę. - Ojciec sięgnął do kieszeni, wyjął komórkę i zerknął na wyświetlacz. - Wszystko w porządku. Chciałem tylko sprawdzić, czy mama przypadkiem do mnie nie dzwoniła. Przepraszam...

Nacisnął jeden z przycisków w telefonie.

- Cześć. Tak, znalazłem go. Wszystko w porządku. Siedzimy tu na dole, bo chcemy trochę pogadać. Coś nowego? Nie? Okay. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała.

- Myślałem, że w szpitalach nie wolno dzwonić z komórek - zdziwił się Charlie.

- Tobie nie wolno. - Nagle ojciec uśmiechnął się tym swoim dobrym, niemal radosnym uśmiechem. - A jeśli chodzi o mnie, to lepiej, żeby nikt mi nie mówił, że nie wolno. To wszystko.

- Jestem pewien, że nie powiedzą.

- Też jestem pewien. A więc... chcesz mówić dalej?

Charlie skinął głową i poprawił się na krześle. Słowa wolno układały się w zdania, musiał niemal wyciągać je na siłę.

- Daisy strasznie mnie denerwowała. Wkurzyłem się na nią i nic nie mogłem na to poradzić. Wiem, że nie powinienem do tego dopuścić, ale... Mama zmusiła mnie, żebym poszedł z nią do sklepu, chociaż ja chciałem pograć na komputerze. Byłem dla niej okropny, naprawdę okropny. Mówiłem, że jest skończoną idiotką, kiedy gadała coś o kotku, którego chciała dostać.

Urwał, bo przypomniała mu się buzia Daisy, kiedy mówiła o tym kociaku, tak poważna, tak chętna rozmawiać na temat wyboru imienia. Wtedy wszystko było z nią w porządku, wtedy jeszcze czuła się dobrze...

Coś ścisnęło go w gardle; czym prędzej przełknął łzy.

- Już wracaliśmy do domu. Ja szedłem przodem, coraz szybciej i szybciej; ona upuściła te gazetki, tato, a ja nie pomogłem jej ich pozbierać. Nie czekałem na nią. Wiedziałem, że to ją denerwuje. Wiesz przecież, jaka jest Daisy.

- Tak, wiem. Mów dalej.

- I wtedy to się stało. Byłem coraz dalej i dalej od niej, a ona wołała, żebym poczekał, żebym jej pomógł, bo od komiksu oderwała się okładka, ale ja wciąż szedłem, a potem... Potem usłyszałem... Usłyszałem ten samochód...

- Więc niczego nie widziałeś?

- Nie, i nie wiem dlaczego, ponieważ to wszystko działo się naprawdę powoli.

- Wypadki zwykle dzieją się powoli. Albo tak nam się wydaje.

- Po prostu usłyszałem pisk hamulców i krzyk Daisy, i odwróciłem się, i ona tam leżała... Na drodze. Jak...

Zamierzał powiedzieć „jak nieżywa”, ale nie mógł, więc znów zaczął płakać, i znów rzucił się w ramiona ojca i wtulił się w niego.

- Tak strasznie tego żałuję, tatusiu - powtarzał w kółko. - Tak strasznie żałuję...

W końcu się uspokoił, podniósł głowę i czekał. Czekał na jakieś słowa, na okropne, przerażające, gniewne słowa. Albo, co gorsza, na jakieś głupie pocieszenie, że nic nie mógł na to poradzić. Ale nie usłyszał żadnych słów. Nie usłyszał niczego. Tylko ciszę. Ojciec po prostu patrzył przed siebie, a jego oczy były smutniejsze niż kiedykolwiek. Wreszcie spojrzał na Charliego i powiedział:

- Synu, wszyscy popełniamy błędy. Niektóre nie mają większego znaczenia, niektóre są straszliwe w skutkach. Straszliwe błędy to te, które unieszczęśliwiają innych. Błędy, za które dalibyśmy wszystko, dosłownie wszystko, żeby ich nie popełnić. Żeby cofnąć to, co się stało. Ale... Nie możemy niczego cofnąć. Ja popełniłem taki błąd, jak wiesz. Ty też popełniłeś. Obydwa były z rodzaju tych poważnych, których nie można cofnąć. W tym cała rzecz. One są nie do odrobienia. Cokolwiek zrobisz, nie znikną, nie odejdą w niepamięć. A więc jedyna rzecz, jaka ci pozostała, to nauczyć się z nimi żyć. I starać się najlepiej, jak potrafisz. Nie możesz niczego wynagrodzić, ale możesz zostawić to za sobą. Co nie jest łatwe, ale... No cóż, naprawdę nie jest łatwe.

Zamilkł znowu. Charlie siedział, patrząc na niego; jego łkania ucichły, podobnie jak dziwnym sposobem uspokoiły się szarpące nim uczucia. Po chwili Jonathan objął go ramieniem i przyciągnął bliżej, a Charlie rozluźnił się zupełnie i przytulił głowę do jego piersi.

- Kocham cię, Charlie - powiedział Jonathan. - Bardzo cię kocham.

Po dłuższym czasie Charlie ze zdumieniem usłyszał swój głos - bardzo cichy, zupełnie jakby należał do kogoś innego.

- Ja też cię kocham, tato.

- O Boże! To straszne!

- Co takiego?

Sylvie oderwała wzrok od ekranu telewizora. Abi siedziała przy stole, wpatrując się w rozłożoną przed nią gazetę i była blada jak ściana.

- To... O Boże, jakie to okropne! Ja... Sylvie, spójrz tylko na to. No, spójrz!

Sylvie spojrzała na mały akapit, umieszczony tuż obok artykułu na temat kolejnego polityka, który został przyłapany na braniu łapówek. „Dziecko bohaterskiego lekarza w śpiączce” brzmiał tytuł, a pod spodem: „Daisy Gilliatt, siedmioletnia córka znanego ginekologa Jonathana Gilliatta, okrzykniętego bohaterem po katastrofie na M4, do której doszło w sierpniu zeszłego roku, została potrącona przez samochód i obecnie przebywa na Oddziale Intensywnej Terapii. Jej rodzice oraz starszy brat przez całą noc nie odstępowali od łóżka dziewczynki. Niestety, nikt z personelu medycznego szpitala nie mógł wypowiedzieć się na ten temat. Nasz korespondent donosi...”.

- O rany - westchnęła Sylvie. - To naprawdę smutne.

- Sylvie, ja nie wiem, co powinnam teraz zrobić.

- O co ci chodzi? Zresztą, co mogłabyś zrobić?

- Jak powiedziałam, sama nie wiem. Ale powinnam coś zrobić, nie uważasz?

- Nie. Na przykład co?

- Och... Jeszcze nie wiem. Zadzwoń do niego, może wysłać kwiaty tej nieszczęsnej matce.

- Abi, czy ci rozum odjęło? Czy naprawdę uważasz, że ta biedna kobieta poczuje się lepiej, jeśli dostanie od ciebie kwiaty? Nie chcę cię urazić, ale prawdopodobnie to tylko pogorszyłoby jej samopoczucie.

- Tak, tak... Pewnie masz rację... Zresztą ja też tak sędzę. Tylko wiesz, czuję... Trudno mi to określić. Poznałam te dzieci, jak zapewne pamiętasz...

- Tak, pamiętam. I rozumiem, że możesz być przybita. Ale naprawdę nie przypuszczam, żebyś mogła cokolwiek zrobić w tej sprawie.

- Nie, myślę, że nie...

- Zresztą on chyba wcale się nie ucieszy, jeśli ni z tego, ni z owego, nagle dostanie od ciebie wiadomość.

- Pewnie nie. Jasne, masz stuprocentową rację. Cholera jasna! Sylvie, kiedy wreszcie to się skończy?

- A o czym mówisz?

- Mówię, że to wciąż nie daje o sobie zapomnieć. Ta cholerna katastrofa.

- Nie bardzo rozumiem, co wspólnego ma z tamtą katastrofą to biedne dziecko, przejechane przez samochód. Albo z tobą, jeśli akurat myślałaś o sobie.

- No cóż... Może i ma. Może fakt, że ona odkryła prawdę o moim istnieniu, sprawił, że przestała się tak bardzo troszczyć o swoje dzieci? Nie patrz na mnie w ten sposób, Sylvie. Dobrze wiesz, że to całkiem prawdopodobne.

- Oczywiście, że całkiem nieprawdopodobne. Matki tak się nie zachowują, jeśli chcesz wiedzieć. Wypełniają swoje obowiązki, żeby nie wiem co. Kiedy mój wujek uciekł z tą lafiryndą z jego firmy, ciotka Cath nie zaczęła nagle pozwalać swoim dzieciom, żeby włóczyły się z Bóg wie kim i robiły, co im się żywnie podobało. Jeśli już, to stała się wobec nich jeszcze bardziej surowa. Przestań się za to winić, Abi.

- Okay, spróbuję. Ale...

- Abi!

- Wybacz. Posłuchaj, dziś po południu mamy tu zebranie naszego komitetu. Może chcesz gdzieś wyjść albo coś takiego?

- Nie, raczej zostanę, jeśli ci to nie przeszkadza. Nie będę wam wchodzić w drogę. Poza tym sprawia mi przyjemność widok tego seksownego farmera.

- Tak, no dobrze... W każdym razie możesz się wtrącać, kiedy tylko przyjdzie ci ochota. Może wpadnie ci do głowy jakiś ciekawy pomysł? Potrzebujemy ciekawych pomysłów. Psiakrew, za dwa tygodnie jest ta cholerna rozprawa. Zakładając, że ta dziewczynka... No, że nie poczuje się lepiej... Jak Jonathan da sobie z tym radę?

Sylvie westchnęła.

- Nie mam pojęcia, Abi. Ale to nie jest twój problem, jeśli mam być szczerą. Chcesz croissanta?

- Pierwsze czterdzieści osiem godzin mają decydujące znaczenie. - Pediatria spojrzał na Jonathana. - Jeśli je przetrzyma, będziemy mieć powody do optymizmu.

- A teraz? Minęły dwadzieścia cztery godziny. Jaki jest jej stan?

- No cóż... W zasadzie się nie zmienił. Ciśnienie krwi trochę podskoczyło, co jest dobrym objawem. Zdecydowanie wychodzi ze śpiączki. Dziś rano parę razy się ocknęła, jak mówiła mi siostra. To znakomicie. Te

pęknięcia nie są istotne, oczywiście poza tym, że jedno z żeber przebiło płuco, Szczerze mówiąc, w tej chwili naszym największym zmartwieniem jest możliwość infekcji. Niestety, gorączka nieco wzrosła.

- Jak bardzo?

- Niewiele. Tylko do trzydziestu dziewięciu stopni.

Starał się mówić z przesadną lekkością, ale Jonathan i tak się skrzywił.

- Trzydzieści dziewięć to sporo.

- Wcale nie.

- Owszem. Ona wciąż jest na antybiotykach, zgadza się?

- Oczywiście. Posłuchaj... Czy widziałeś ją dzisiaj rano?

- Jasne, że tak.

- I według ciebie jak ona wygląda?

- Źle - przyznał Jonathan. - Jeśli mam być szczery.

Laura stała przy łóżku, patrząc na swoją córeczkę. Na swoją śliczną, słodką, malutką córeczkę o pogodnym usposobieniu, która teraz została sprowadzona do postaci nieruchomego, białego duszka, którego funkcje życiowe przejęły stojące w pokoju urządzenia. Łatwo było lekarzom powtarzać, że istotne dla życia wskaźniki są całkiem dobre, że wstrząs, jakiego doznała, był oczywiście bardzo poważny, ale daleki od śmiertelnego, że złamanie kończyn nie ma większego znaczenia. Fakt pozostawał faktem - została poważnie ranna, w jej drobne, szczupłe ciało uderzyło pół tony rozpędzonego metalu, jej mała czaszka pękła, płuco zostało przebite, a teraz dołączyła się jeszcze rosnąca gorączka... Lekarze rozmawiali o obłożeniu jej lodem; Laura wiedziała, co to znaczy. To znaczy, że wzrost temperatury był bardzo poważny. Poza tym widać było, że ona wciąż cierpi, bo poruszała się niespokojnie, stale odwracając głowę, przez to jej włosy splątały się w niewygodny kłęb, więc Laura spytała, czy może je jakoś związać, ale to wcale nie było proste. Daisy wydawała się świadoma tego, że coś jej przeszkadza i próbowała odepchnąć to coi zdrową ręką.

Laura pragnęła bardziej niż czegokolwiek zamknąć ją w ramionach, zamknąć w bezpiecznych objęciach, tak jak zwykle, kiedy Daisy przychodziła ze swoimi małymi kłopotami, drobnymi dziecięcymi zmartwieniami, a ostatnio z tymi poważniejszymi; marzyła, by jej powiedzieć: „Wszystko w porządku, skarbie. Mamusia jest tutaj, mamusia zajmie się tobą, mamusia bardzo cię kocha”. Jednak teraz nie mogła się nią opiekować i nieważne, jak bardzo ją kochała. Jej wysiłki nie miały absolutnie żadnego znaczenia; wręcz przeciwnie, gdyby teraz chciała ją przytulić, dla Daisy oznaczałoby to wyrok śmierci. Przy życiu trzymały ją jedynie te urządzenia - zimne, bezduszne, wydajne urządzenia, które pomagały jej oddychać, nawadniały ciało, tłumiły ból, wskazywały, kiedy przyspiesza puls, a kiedy spada ciśnienie krwi.

Nienawidziła tych maszyn, choć wiedziała, że powinna być wdzięczna, że istnieją. Wolałaby, żeby Daisy sama mogła jej powiedzieć, że coś ją boli, że jest jej gorąco, że źle się czuje; nie chciała, żeby zabraniano jej wykonywania obowiązków matki, żeby wciąż powtarzano, że musi stać gdzieś z tyłu, być cicho, czekać i nie przeszkadzać. To było nie w porządku, niezgodnie z naturalną kolejną rzeczy... Ale też dobrze wiedziała, że bez tych maszyn, bez wiedzy lekarzy i podziwu godnej siły lekarstw, do tej pory Daisy z pewnością by umarła.

Jonathan wszedł do izolatki, przez chwilę obserwował ją, jak stoi obok Daisy, a potem objął ramieniem.

- W porządku?

- Tak. Ze mną wszystko w porządku. A jak tam Charlie?

- Zasnął w pokoju dla rodziców. Nie mogę zostać tutaj długo, bo obiecałem, że będę tam, kiedy się obudzi.

- Jak on się czuje?

- Och... Sama wiesz. Biedny, mały chłopiec.

Zachowanie Jonathana było naprawdę zadziwiające: nie tylko okazywał jej współczucie i z całej siły starał się ją wspierać, ale był też spokojny, stanowczy i absolutnie nie robił jej żadnych wyrzutów. Kiedy mówiła, że strasznie żałuje, bo wie, że nie powinna była wysłać Daisy z Charliem, odparł, że to nonsens, że miała rację, że wiele razy tak robili i że dzieci nie można trzymać pod kloszem.

- Ale one powinny być trzymane pod kloszem - odpowiedziała i nagle łzy pociekły jej po policzkach. - Powinniśmy je trzymać pod kloszem. Właśnie tak, bo tam byłyby bezpieczne, tam by im nic nie groziło.

- I wyrosłyby na życiowe niemoty, które nie potrafią o siebie zadbać.

- Przynajmniej miałyby szansę, żeby wyrosnąć - odszepnęła, a on nie znalazł w sobie dość siły, żeby coś na to odpowiedzieć.

- Co u Lily? - spytała chwilę później.

- Wszystko w porządku. Twoja mama jest taka dobra. Pytała, czy ma ją tu przywieźć, czy chcę, żeby zabrała Charliego i czy przywieźć nam coś do jedzenia.

- A ty jak uważasz? Powinna przywieźć Lily?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Chyba że ona sama będzie chciała przyjechać. Twoja mama mówiła, że lepiej, żeby została z nią w domu. Oglądają filmy. Oczywiście, jeżeli...

- Nie! Nie mów tego!

Wiedziała, co miał na myśli. Jeśli stan Daisy się pogorszy, jeśli będą musieli się z nią pożegnać, to Lily także powinna być razem z nimi.

- W porządku. No cóż, myślę, że na dzisiaj wystarczy. Wszyscy świetnie się spisali.

Boże, cóż to za wysiłek. Jak cholernie trudno było jej skupić się na sprawach dotyczących tego niefortunnego festiwalu, podczas gdy tamta mała, biedna dziewczynka...

- Więc jak, ustaliśmy ostateczną datę?

- No jasne. I terminy naszych play-offów. Jak przypuszczam, w kwestii sponsora nie ma żadnych nowin, co, Fred?

- Nie, nie ma. Szkoda. Zdaje się, że ich interesują tylko znane imprezy, o których od razu jest głośno.

- A lokalne z pewnością do takich nie należą, tak?

- No... Raczej nie...

- Fred, czyżbyś wcale nie próbował gadać z żadną z miejscowych firm? Georgia, a ty?

- Nie... Właściwie to nie.

- No jasne, bo niby po co, do cholery?! Jezu, myślałam, że zdejmiecie z nas ten ciężar, ale widzę, że się przeliczyłam. Pewnie sama będę musiała zająć się tą sprawą, podobnie jak całą resztą.

- Abi - odezwała się Georgia. - Jestem pewna, że Fred starał się jak mógł. Wszyscy się staramy, ale jak wiesz, każdy z nas ma swoje zajęcia...

- Ty nie.

- Wielkie dzięki. Owszem, mam, jeśli chcesz wiedzieć. W tym tygodniu odwaliłam trzy przesłuchania. Wiem, że to był mój pomysł, ale zdaje się, że wszystkich zaczyna to za bardzo przytłaczać. Uważaliśmy, że to pójdzie łatwo. Może powinniśmy jeszcze raz przemyśleć...

- Nie - przerwała Abi. - Przepraszam, nie powinnam była tracić zimnej krwi. Wybacz, Fred.

- W porządku. Miałaś rację, powinienem był bardziej się postarać.

- Nie, ty i tak masz mnóstwo spraw na głowie. Wezmę to na siebie.

- No... Jeśli potrafisz wyciągnąć parę asów z rękawa...

- Z pewnością.

- Jeśli mogę, to chętnie bym już sobie poszedł. W ten weekend mam w domu mnóstwo rzeczy do załatwienia.

- Jasne, idź. Jeszcze raz przepraszam. Po prostu... Po prostu jestem czymś zmartwiona, to wszystko.

- Odprowadzę cię - powiedziała Sylvie, wstając z krzesła. - Georgia, William, może macie ochotę na kawę?

- Ja też muszę pędzić - odparła Georgia. - Obiecałam mamie, że dziś wieczorem przyjadę do domu. Dzięki wam wszystkim, wielkie dzięki. Fred, zaczekaj na mnie.

Pewnie znów zacznie go przepraszać w jej imieniu, pomyślała Abi, i ta myśl wydała się jej irytująca.

- Chętnie napiję się kawy, Sylvie - odpowiedział William, uśmiechając się do niej.

Widać, że wpadła mu w oko, pomyślała Abi. A także, że stara się mu przypodobać. To także wydało się jej lekko irytujące.

- A ja chętnie napiję się wina - wtrąciła cierpko. - O rany... - Zerknęła na Williama. - Jestem pokazową idiotką, co?

- Nie sądzę, żeby można było cię pokazywać - zauważył. - Przynajmniej nie na tych wystawach, na które jeżdżę.

- Nie żartuj. Właśnie że tak. Nie powinnam była robić Fredowi wyrzutów.

- Może nie. Czemu jesteś taka przygnębiona?

- Och... To bez znaczenia.

Rodzina Gilliattów z pewnością była ostatnim tematem, jaki William chciałby poruszyć. Z pewnością nie życzył sobie przypominania tamtych spraw.

- Najwyraźniej jednak to ma znaczenie. No dalej, Abi! Powiedz mi, o co chodzi.

- Ja... Chodzi o to... O Boże, Williamie, jedna z tych małych córeczek Jonathana Gilliatta została potrącona przez samochód. Leży w szpitalu, na Oddziale Intensywnej Terapii.

- To bardzo smutne.

- Wiem. Gorzej niż smutne. To coś strasznego. Oni nie zasłużyli sobie na to, prawda?

- Pewnie nie. Niestety, życie nie polega na tym, że człowiek dostaje to, na co akurat zasłużył, mam rację?

Zamilkł na chwilę.

- Skąd... Jak się dowiedziałas? - dorzucił z wyraźnym trudem.

Jezu, on najwyraźniej uważa, że ja wciąż mam kontakt z Jonathanem, pomyślała. Psiakrew, to coś okropnego! Nie wolno mu tak myśleć, nie, nie...

- Przeczytałam w gazecie - odpowiedziała pośpiesznie. - Dzisiaj rano. Spojrzała prosto w jego wielkie, piwne oczy i ujrzała w nich zastanowienie, a może nawet powątpiewanie.

- Williamie, przysięgam, że od tamtego wieczoru ani razu nie zdarzyło mi się rozmawiać z Jonathanem. Przecież nie możesz myśleć, że jest inaczej.

- Nie. Oczywiście, że nie.

Jednak nie sprawiał wrażenia całkiem przekonanego.

- Popatrz - powiedziała, sięgając po gazetę. - Tutaj o tym piszą. Widzisz? Proszę, musisz mi uwierzyć!

- Ja... Ja ci wierzę - mruknął. - Oczywiście, że ci wierzę. Tylko... To są wiadomości z wczoraj. Jak ona dzisiaj się czuje?

- Nie wiem - odparła. - Skąd miałabym wiedzieć?

- Mogłabyś zadzwonić do szpitala.

- Przecież nawet nie wiem, w którym szpitalu ona leży! Zresztą i tak niczego mi nie powiedzą; nigdy nie mówią, chyba że jest się kimś z rodziny.

- No tak, pewnie nie.

Zdenerwowanie i jego wyraźna nieufność, połączona z niepokojem i poczuciem winy, w końcu ją pokonały i Abi załapała się łzami.

- Tak strasznie mi z tym źle - łkała. - Tak okropnie źle.

- Ale dlaczego?

- Jak to dlaczego? Bo może to, co zrobiłam - romansując z Jonathanem, przyjeżdżając tamtego wieczora do niego do domu - jednak w jakiś sposób przyczyniło się do tego nieszczęścia! Nie wiem. Może ta mała była rozstrojona, może jej matka żyje w jakimś stresie i nie zaopiekowała się nią tak, jak należy.

- Abi, Abi... - Obszedł dookoła stół, aż znalazł się obok miejsca, gdzie siedziała, i dość niezręcznie położył jej rękę na ramieniu. - Nie możesz wciąż się obwiniać o coś, co zrobiłaś albo nie zrobiłaś tamtej rodzinie. Ostatecznie minęło już trochę czasu.

- Tak, wiem, wiem! - wykrzyknęła, podnosząc na niego wzrok.

Spróbowała się uśmiechnąć i jednocześnie wycierała wierzchem dłoni nos. Sylvie weszła z drinkami na tacy; nagle zatrzymała się, wyraźnie zmieszana.

- Dzięki - odezwał się William, natychmiast cofając rękę. - Proszę, Abi, weź chusteczkę.

- Nie, nie trzeba - odparła. - W kuchni stoi całe pudełko. Przepraszam na chwilę.

- Ależ proszę. - William nagle uśmiechnął się od ucha do ucha. - Wcale nie wyjąłem tej chusteczki z krowiego zadka ani z żadnego równie uroczego miejsca, jeśli akurat o to ci chodzi. Wychodząc z domu, wyjąłem ją z szuflady. Tam, gdzie włożyła ją moja matka.

- Twoja matka rozpieszcza cię, to oczywiste - powiedziała Sylvie. - Abi, muszę już lecieć. Zobaczmy się później.

- Okay. Cześć! Williamie... - odezwała się Abi, gdy tylko drzwi się za nią zamknęły. - Czy ty naprawdę sądzisz, że ja wciąż utrzymuję kontakty z Jonathanem?

- Nie - odpowiedział i tym razem zdołał się uśmiechnąć. - Nie, przypuszczam, że nie. Ale nie mogę przestać się zastanawiać... Wiesz, czasem przychodzi mi do głowy taka myśl...

- Powtarzam, że nic podobnego nie miało miejsca. Przysięgam, że nie. Wciąż nienawidzę tego drania. Tylko... Tylko czuję się źle na myśl o krzywdzie, jaką wyrządziłam tej małej dziewczynce. I Laurze.

- Oczywiście... Masz rację. Wiesz, muszę już iść, bo czeka mnie dojenie krów. I muszę przygotować paszę dla owiec.

- Owiec?

- Tak. Mniej więcej o tej porze roku musimy je przebadać. Sprawdzić, ile będzie jagniąt.

- Sam je badasz?

- Tak.

- Jak? Czy tak, jak ciężarne kobiety?

- Bardzo podobnie. Oczywiście nie zmuszam ich, żeby kładły się na plecach, chociaż...

- Chociaż co?

- Chociaż potem oddzielamy te, które są w potrójnej ciąży albo w bliźniaczej, od tych, które noszą pojedyncze płody.

- Czemu?

- Żeby dopasować rodzaj pożywienia. Te, które są w ciąży mnogiej, dostają bardziej treściwą paszę.

- Jak mądrze.

- Tak naprawdę to zwyczajny, zdrowy rozsądek.

- Tak sędzę. Wielkie dzięki Williamie, że przyjechałeś. To taki kawał drogi.

Kawał drogi, pomyślał, włączając silnik ciężarówki. Ach, gdyby tylko wiedziała...

- O mój Boże! Abi, czyś ty upadła na głowę, czy jak?

- Co masz na myśli?

- Williama, oczywiście. To naprawdę właściwy facet, mam rację?

- Tak... Ale o co ci chodzi?

- Wciąż ma bzika na twoim punkcie. To rzuca się w oczy.

- Sylvie, nie bądź głupia. Przecież on nigdy niczego takiego nie mówi ani nie robi.

- Doprawdy, Abi, nie wiem, co ci się stało. Ostatnio zrobiłaś się strasznie tępa. On może niczego nie okazywać, ale mimo wszystko dokładnie wiadomo, czego chce. Koniec kropka. To widać, i już.

- Naprawdę tak uważasz?

- Jasne, na litość boską! Widziałam przecież, jak wczoraj wieczorem cię obejmował.

- Tylko dlatego, że płakałam.

- Czemu płakałaś?

- Och... Z powodu tej dziewczynki.

- To musiało być miłe dla Williama, że widział, jak wciąż oplakujesz tę sprawę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wydaje mi się, żeby sprawiło mu przyjemność, że aż tak bardzo myślisz o tamtym gnojku. To znaczy o nim i o sobie.

- Nie - wycodziła powoli Abi, przypominając sobie pełną urazy minę Williama. - Nie sędzę, żeby mu się to spodobało. Ale to jeszcze nie znaczy, że on wciąż... No, że wciąż mu się podobam.

- To tylko pogorszyło sprawę - odparła Sylvie. - On może stracić resztki dobrego mniemania o tobie, nie uważasz?

- Obawiam się, że masz rację... Tak. Cholera! Co to za popieprzone układy. Wciąż jeszcze...

- Panie Gilliatt! Czy może pan tutaj przyjść? Szybko! A więc stało się. Daisy umiera. Albo już umarła.

Wszedł do środka i bardzo cicho zamknął za sobą drzwi. Daisy leżała bez ruchu, najwyraźniej pogrążona we śnie. Była bardzo blada, a na jej buzi gościł wyraz niezwykłego spokoju. Z pewnością, z pewnością nie mogła... Nie mogła odejść w taki sposób, bez pożegnania się z nim, bez pozostawienia mu choćby chwili, żeby mógł wysłać ją w drogę ze słowami miłości. Wyjątkowej miłości. Dla niego wciąż była malutkim dzieckiem; myślał o niej tak, jakby miała trzy albo cztery latka.

- Nie jestem dzidzią - odpowiadała zazwyczaj, nie kryjąc oburzenia. - Nie traktuj mnie jak niemowlaka. Mam siedem lat.

Odpowiadała zazwyczaj, odpowiadała zazwyczaj...

Już nigdy nie skończy ośmiu lat, nigdy nie dorośnie, nie zmieni się. Na zawsze pozostanie w jego pamięci taka jak teraz. Daisy, którą tak bardzo kochał, i która jego bardzo kochała...

- Mój tatuś - mówiła, podkreślając słowo „mój”. - Mój własny tatuś.

Tatuś, który ją także zdradził; zdradził ją, jej siostrę, jej brata, jej mamusię... Jak mógł tak postąpić? Zawieść ich wszystkich w tak okropny sposób, roztrzaskać w proch ich poczucie bezpieczeństwa, zawieść pokładaną w nim ufność?

- O Boże - wyszeptał i po raz pierwszy od chwili, gdy się to wydarzyło, jego spokój się załamał.

Pod powiekami poczuł łzy - piekące, gorące łzy - a w jego gardle wezbrał szloch. Wysunął się naprzód, chwycił jej rękę, która nie była już gorąca, nie była nawet chłodna, odgarnął do tyłu zmierzwione włosy.

- Panie Gilliatt, ona...

- Tak, tak, wiem - odparł.

Poczuł, jak samotna łza kapnęła na ich ręce, na ich złączone ręce. Już nigdy nie będzie trzymał w swojej dłoni tej rączki, tej małej, ufnej rączki, kiedy pozwalała mu się prowadzić; już nie będzie więcej biegać razem z nią, podskakiwać. Uwielbiała podskakiwać, od razu zaczynała chichotać. Podrywał ją z ziemi, robiąc przy tym wielkie susy i tak samo jak ona zaśmiewając się do rozpuku...

- Wiem przecież. Rozumiem.

- Niczego pan nie rozumie. Jej stan się poprawił. Naprawdę się poprawił. Temperatura spadła, ustąpił niepokój... Właśnie mam zamiar zadzwonić do doktora Armstronga, żeby porozmawiać o zaprzestaniu intubacji.

- O Boże. Wielki Boże. Ja...

Teraz rozplakał się na dobre; pochylony nad Daisy obsypywał pocałunkami jej policzki, rączki i znów policzki.

- Zostań tutaj, skarbie - powiedział, zupełnie jakby mogła zrobić cokolwiek innego, a potem wszedł, żeby odszukać Laurę i Charliego, którzy czekali w pokoju dla rodziców.

Laura podniosła głowę, gdy stanął w progu, i ujrzała jego zalaną łzami twarz. Przez moment przemknęła jej przez głowę ta sama myśl, co jemu, lecz zaraz zobaczyła, że on uśmiecha się radośnie, a nawet śmieje, choć jednocześnie płacze.

- Czy ona... - spytała tylko.

- Tak, tak, nasza córka miewa się lepiej! - zawołał. - Wszystko w porządku. Temperatura spadła! Charlie, chodź tutaj, chłopcze, i uściśnij mnie. Twoja siostra lepiej się czuje, twoja siostra wyzdrowieje!

Stali tam we troje, ciasno objęci, na przemian płacząc i śmiejąc się, złączeni nie tylko fizycznie, lecz zjednoczeni we wspólnej uldze, radości i miłości do tej maleńkiej, lecz jakże drogiej im istotki, o której myśleli, że utracili ją na zawsze, a która jakimś cudem - zrządzeniem Boskiego miłosierdzia albo za sprawą nauki, albo dzięki jej małemu, upartemu „ja” i być może także modlitwom całej ich trójki - bezpiecznie została im oddana po raz wtóry.

ROZDZIAŁ 50

Barney był potwornie przygnębiony. Mógł przestać kochać Amandę, ale wciąż za nią tęsknił. Brakowało mu jej słodyczy i rozwagi, troski, jaką mu okazywała i pewnego ładu i porządku, jakie wprowadzała w ich codzienny byt. Była tak sprawna i skuteczna - prowadziła dom i planowała całe wspólne życie, zawsze uśmiechnięta i optymistycznie nastawiona do świata. Rozpraszała jego stresy, kiedy czuł się zbyt przybity pracą, i zawsze potrafiła w porę wystąpić z jakimś nowym pomysłem dotyczącym wspólnych wakacji, weekendu czy choćby wieczornej imprezy.

Wyprowadził się z ich wspólnego domu i zamieszkał w niewielkim mieszkaniu, jego życie stopniowo zmieniało się w pełen melancholii chaos. Nie miał ochoty z nikim się spotykać; nie mógł przecież zwracać sobie głowy gotowaniem dla siebie albo choćby podzieleniem rzeczy do prania, więc wydawał fortunę na nowe koszule, podczas gdy w łazience rosła sterta brudów; upranie ich wydawało się o wiele trudniejszym zadaniem niż zakupy cholernych ilości nowych ciuchów. Zresztą nie chodziło wyłącznie o Amandę; chodziło także o Toby'ego. Za jednym zamachem utracił oboje najbliższych przyjaciół, a inni nie wydawali się wari, żeby na nich marnować czas. Potrzeba było zbyt wielu wyjaśnień, zbyt dużego wysiłku. Barney po prostu dryfował bez celu przez życie, pracując przez absurdalnie długie godziny... i obawiając się dochodzenia w sprawie katastrofy. Będzie składał zeznania pod przysięgą, a więc musi szczegółowo opowiedzieć, co się stało z oponą, a co gorsza, na pewno w sądzie spotka się twarzą w twarz z Tobym. Jakkolwiek nie miał już żadnych złudzeń co do uczciwości swego dawnego przyjaciela, to jednak wcale nie pragnął widzieć, jak jego reputacja wali się w gruzy, więc zamierzał umożliwić mu prawne zadośćuczynienie.

No cóż, zdecydowanie to nie był najlepszy czas...

Teraz spędzał długie godziny na zastanawianiu się, co porabia Emma. Może wróciła do dawnego chłopaka, co było dość bolesne... Albo może związała się z kimś innym, co boleło jeszcze bardziej. Albo nie była z nikim, co okazywało się najbardziej bolesne ze wszystkiego. Oczywiście Emma nie miała pojęcia, że jego narzeczeństwo z Amandą dobiegło końca, a jemu coś w rodzaju dumy nie pozwalało przyznać się, że został sam.

Ostatecznie to ona zakończyła ich związek; to ona doszła do wniosku, że ten układ nie ma racji bytu i to ona nie chciała czekać, aż Amanda będzie gotowa znieść prawdę o swoich zerwanych zaręczynach. Właściwie nie mógł mieć jej tego za złe; do pewnego stopnia sam ustawił ją w pozycji dublerki, a ona najwyraźniej zdecydowała, że taka rola jej nie odpowiada. Jaka jest więc cena miłości, pytał Barney, przypominając sobie tych parę burzliwych tygodni, gdy świat się zmieniał, a on razem z nim; kiedy spoglądał na swój związek, który miał trwać przez całe życie, i widział, jak wiele mu brakuje do doskonałości; kiedy zaangażował się w inny układ, w którym, jak się zdaje, nie brakowało niczego.

Alex został wezwany na świadka w procesie w sprawie katastrofy. Między nim a Lindą ustalili się niepewny pokój, albo, zdaniem Alexa, raczej stan wyciszzonej wojny. Nie zanosilo się przecież na to, by ich związek kiedykolwiek miał stać się oazą spokoju: nadal kłócili się o każdy drobiazg, współzawodniczyli ze sobą w każdej sprawie, walczyli zaciekle, żeby potem się pojednać i cieszyć się sobą zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, i to z namietnością, która wciąż na nowo ich zaskakiwała. Ostatnia bitwa dotyczyła tego, gdzie zamieszkają. Najpierw uzgodnili, że chcą zamieszkać razem - i to była łatwiejsza część przedsięwzięcia, bo to, gdzie powinien znajdować się ich wspólny dom, wydawało się wręcz niemożliwe do ustalenia. Linda nie zamierzała osiedlić się w Swindon, Alex zaś nie planował przeprowadzki na północny zachód. Rozmaite proponowane lokalizacje, jak Windsor, Beaconsfield, a nawet Ealing, zostały szczegółowo zbadane, a potem odrzucone, jako zbyt podmiejskie, za dalekie albo zwyczajnie okropne. Obecnie Alex znajdował się na etapie oglądania domów w Gloucestershire i Wiltshire, gdzie przynajmniej mogli spędzać razem weekendy. To był kompromis i jak wszystkie kompromisy, daleki od doskonałości, bo usiłował pogodzić ich sprzeczne interesy.

Linda także wybierała się na rozprawę, częściowo po to, by wspierać Alexa - choć utrzymywał, że to bardzo miłe, ale całkiem nieuzasadnione, ponieważ on w swoim życiu uczestniczył w tysiącach cholernie nieprzyjemnych spraw - ale głównie z powodu Georgii. Georgia odchodziła od zmysłów z przerażenia, że będzie musiała na nowo przeżywać tamten koszmar, a jej zachowanie, które nadal określała jako skrajne tchórzostwo, stanie się publicznie znane. Nocami dręczyły ją koszmary; nie mogła jeść, chodziła wciąż poirytowana i skłonna do płaczu, co w jej wypadku nie było niczym niezwykłym, jak zauważyła Linda w rozmowie z Alexem.

Jedyną dobrą rzeczą było to, że dostała rolę w następnej produkcji. Co prawda, tym razem nie chodziło o nic szczególnego - chyba już nigdy nie trafi jej się tak doskonale pasująca do jej osobowości rola jak w *Moving Away* - ale w sumie była to dość miła komedyjka o trójce przyjaciół, dwóch dziewczynach i chłopaku, którzy mieszkają razem i których rzekomo łączy jedynie platoniczna przyjaźń. Tymczasem obie dziewczyny po cichu podkochują się w chłopaku, on zaś kocha się - tak samo beznadziejnie i tak samo w tajemnicy - w kimś całkiem innym.

- Co za wspaniały scenariusz - orzekła Linda. - Odrobinę przypomina *Tchórze w Boże Narodzenie*. Masz szczęście, dziewczyno.

Dopiero gdy Georgia poszła na wstępne spotkanie ekipy, przekonała się, że pierwszym asystentem reżysera jest nie kto inny, tylko Merlin Gerard we własnej osobie...

- Cześć, Georgia. Miło znów cię widzieć. I miło znów razem pracować.

- Tak... Jasne, naprawdę wspaniale - odparła, myśląc, że, dzięki Bogu, dzięki Bogu! nie dała mu poznać, jak mocno ją zranił, jak bardzo czuła się oszukana. - Eee... Jak tam Ticky?

- Dzięki, zupełnie dobrze. Wróciła do Nowego Jorku, oczywiście.

- Oczywiście...

- Chcesz wieczorem wyskoczyć gdzieś na drinka?

- Przykro mi, Merlin, ale nie mogę. Nie dzisiaj. Może innym razem. Nawet zdobyła się na to, żeby się uśmiechnąć.

Nigdy nie była z siebie bardziej dumna jak właśnie w tej chwili.

- Jesteś prawdziwą gwiazdą - orzekła Lila, kiedy później Georgia opowiedziała jej o wszystkim.

Lila właśnie niedawno została jej najlepszą przyjaciółką. Spędzały razem mnóstwo czasu, chodziły na zakupy, do kina, a nawet do nocnych klubów, kiedy mogły sobie na to pozwolić. Czasami zagłębiały się do klubów jazzowych - Lila i Anna wprowadziły Georgię w świat jazzu i Georgia była lekko zaskoczona, jak bardzo jej się to spodobało - ale głównie rozmawiały na różne tematy i te rozmowy przeciągały się czasem długo w noc.

- Taaak, byłam całkiem zadowolona z siebie. Merlin sprawiał wrażenie dość... dość zaskoczonego.

- I dobrze, bo właśnie to mu się należało. Ale... Rozumiem, że on wciąż ci się podoba, tak?

- Och, tak - westchnęła Georgia. - I to bardzo.

Anna zgodziła się - z pewną dozą zdenerwowania, ale i wyraźną radością - że ona i Lila zagrają na festiwalu organizowanym przez Georgię. Abi sądziła, że powinni włączyć do koncertu również któregoś z muzyków jazzowych, i wtedy Georgia - która wciąż obdarzała Abi swoistym podziwem - niezobowiązująco zauważyła, że zna kogoś, kto niegdyś grał naprawdę wielki jazz. Abi nigdy nie słyszała nazwiska Sima Fostera, ale gdy w pracy wspomniała o nim pewnemu fanowi tej muzyki, była zaskoczona jego pełną entuzjazmu reakcją.

- Mój Boże, Abi, on był jednym z największych! Niektóre z jego wczesnych nagrań to absolutna klasyka. I ona także była fantastyczna, miała naprawdę wspaniały głos. Każdy, kto cokolwiek wie o jazzie, dałby wiele za to, żeby posłuchać jej na żywo. Nawet bez niego. Oboje są legendą jazzu.

Abi pokornie wróciła więc do Georgii i poprosiła, aby namówiła legendę jazzu do występu na ich festiwalu.

Teraz żyła w ciągłym strachu przed rozprawą w sądzie; kuliła się na samą myśl, że na sali sądowej będzie mowa o jej związku z Jonathanem - zwłaszcza wobec faktu, że okłamała śledczych, kiedy po raz pierwszy składała zeznania. Trudno było przewidzieć, co z tego wyniknie; w najczarniejszych chwilach Abi wyobrażała sobie siebie w więzieniu, a w najlepszym razie, że będzie notowana.

Któregoś razu William starał się ją pocieszyć, ale robił to bez przekonania, i potem Abi stanowczo odmawiała rozmów na ten temat. William też chciał to mieć za sobą, bo myśl o przebywaniu w tej samej sali sądowej co Jonathan Gilliatt wydawała się mu wyjątkowo mało atrakcyjna.

Daisy wróciła do domu; była teraz krucha i bardzo wychudzona, poruszała się po domu z wielkim trudem, ale z równie wielką determinacją. Musiała używać kuli, żeby kuśtykać po domu. Pokój dzienny zamieniono w jej sypialnię, do której przeniesiono wszystkie zabawki, żeby nie musiała wchodzić po schodach.

Na szczęście wydawało się, że nie dotknęła jej żadna emocjonalna trauma, co było charakterystyczne dla dzieci w jej wieku; nie zdarzało się, żeby dręczyły ją nocne koszmary albo by w jakikolwiek sposób okazywała niepokój. Najbardziej martwiła się myślą, że zrobiła coś, co było zakazane, więc w kółko powtarzała, że

bardzo przeprasza, że wybiegła na jezdnię, i że już nigdy w życiu nie zrobi czegoś podobnego. Laura w sekrecie podjęła decyzję, że Daisy w ogóle nigdy nie wyjdzie bez odpowiedniej eskorty, a już na pewno przez bardzo długi czas.

To Lily była osobą, którą cała ta sprawa dotknęła chyba najbardziej; nagle znalazła się poza granicami ogólnego zainteresowania, które teraz koncentrowało się na jej siostrze. Najpierw cieszyła się, gdy Daisy przestało grozić niebezpieczeństwo, a jeszcze bardziej, gdy siostra wróciła do domu, lecz teraz każdego dnia kłóciła się z nią zawzięcie i żądała, by również na nią spływała obfitość prezentów, którymi Daisy była obsypywana nie tylko przez rodziców i dziadków, ale również przez kolegów ze szkoły i przez sąsiadów. Kiedy jej odmawiano, zanosila się histerycznym płaczem.

Charlie, który jakby wydorósł po wypadku, radził jej, żeby się zamknęła i że powinna się cieszyć, że wciąż ma siostrę, z którą może się kłócić, albo cierpliwie próbował zainteresować je jakąś grą. Początkowo nalegał, żeby pozwolono mu nie chodzić do szkoły, dopóki Daisy zupełnie nie wyzdrowieje, ale po dwóch tygodniach odgrywania roli dobrego brata uznał, że jednak zdecydowanie woli szkołę. Jonathan i Laura, którzy z pewnym niepokojem przyjęli przemianę syna w nieomal świętego, mogli wreszcie odetchnąć z ulgą.

Jonathan wrócił do domu. Zrobił to na wyraźne błaganie Charliego i prośby dziewczynek, którym Laura nie mogła odmówić. Zresztą tak naprawdę wcale nie chciała odmawiać. Jednak nawet biorąc pod uwagę przyływ pozytywnych emocji w stosunku do Jonathana, których doświadczyła w szpitalu, wcale nie była pewna, czy w najmniejszym choćby stopniu czuje się gotowa, by znów zacząć wspólne życie, ani nawet czy taki dzień w ogóle kiedyś nadejdzie. Kiedy poziom adrenaliny opadł, bo Daisy zaczęła wracać do zdrowia, wzbierająca powoli acz nieuchronnie fala gniewu i urazy znów wypełniła jej serce, i to ją poruszyło. W pierwszych chwilach po wypadku myślała, że jeśli uda jej się odzyskać córkę, to już nigdy nie będzie żywić urazy do nikogo; teraz z przerażeniem przekonała się, że wciąż pamięta o romansie Jonathana z Abi Scott, i że ta sprawa nadal budzi w niej negatywne emocje.

Kiedy potworny strach nieco przybladł, kiedy wrócili do domu - nareszcie wrócili do domu - co wiązało się z koniecznością spędzania przy łóżku Daisy długich dni, wszystko zaczęło się od początku. Laura patrzyła na Jonathana, jak śmieje się i żartuje z Charliem, jak przedrzeźnia Lily albo jak siedzi przy Daisy i czyta jej jakąś bajeczkę, korzystała z jego pomocy w zakupach i załatwianiu szkolnych spraw - w tym celu specjalnie wziął okolicznościowy urlop - kiedy znów odgrywał rolę doskonałego męża i czulego ojca, i czasami łapała się na tym, że nienawidzi go z całej duszy. Potem nawet wspomnienie o tak niegodnych myślach sprawiało, że oburzała się sama na siebie.

Walczyła, żeby pozbyć się urazy; stale przypominała sobie o jego odwadze i czułości podczas tamtych okropnych dni w szpitalu, gdy Daisy balansowała na krawędzi życia i śmierci; częściej niż kiedykolwiek powtarzała sobie, że zasłużył na jej wspaniałomyślność i przebaczenie... Ale mimo to jego zdrada wciąż stała jej przed oczyma, podobnie jak tanie kłamstwa, do których okazał się zdolny, i sposób, w jaki pozwolił Abi Scott wejść w sam środek ich małżeństwa.

Sama myśl o współżyciu z nim wydawała się odrażająca; Laura nie potrafiła wyobrazić sobie, by jeszcze kiedykolwiek było to możliwe. W ich sypialni na wieki zagnieździła się trzecia osoba, i nie był to jakiś niewyraźny cień, ale ktoś, kogo miała okazję zobaczyć, usłyszeć, poczuć - wciąż prześladował ją tamten ciężki,

przesycony słodyczą zapach perfum - i ujrzeć, jak tamta kobieta rozkołysanym krokiem idzie przez pokój, żeby wycisnąć na ustach Jonathana gorący pocałunek.

Zresztą Jonathan wcale nie sugerował, że ma ochotę wrócić do ich wspólnego łóżka; bez słowa sypiał w pokoju gościnnym, jakby sam uważał, że to odpowiednie miejsce dla niego. Jednak pewnego wieczoru, o dosyć późnej porze, kiedy we dwoje siedzieli w salonie, czytając książki, i ona powiedziała w pewnej chwili, że jest zmęczona i że idzie spać, on podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej.

- Idź, kochanie. Wyglądasz na wykończoną. Może podać ci drinka do łóżka?

W dawnych czasach często to robił - kiedy była szczególnie zmęczona, przynosił jej do łóżka grog z whisky. Rzadko pijała mocny alkohol, ale ten jakoś wyjątkowo polubiła; połączenie whisky i ciepłego mleka nigdy jej nie zawiodło, jeśli chodzi o szybkie zasypianie. Ale wtedy z jakiegoś powodu wydało jej się to nie do zniesienia, zupełnie jakby Jonathan chciał w ten sposób wyprzeć się teraźniejszości i wrócić w przeszłość, kiedy jego obecność była źródłem komfortu, nie cierpienia, pewności, nie obawy... Bez namysłu poderwała się z miejsca.

- Wielkie dzięki, ale nie. Potrafię sama się obsłużyć - odparła tonem, w którym pobrzmiwał chłód i niechęć.

Podniósł na nią wzrok, a jego oczy były pełne zdumienia, a nawet wyrzutu.

- Dobrze, skarbie. Ale propozycja nadal jest aktualna.

Wtedy znienacka coś w niej pękło, tak po prostu nagle poczuła, że nie może dłużej powstrzymać swojego gniewu i wściekłości.

- Jonathan, bądź tak uprzejmy nie zwracać się do mnie w ten sposób.

To było wszystko, co powiedziała, ale zrobiła to w tak nieprzyjemny, niemal ordynarny sposób, że musiał jakoś zareagować.

- Przepraszam - rzekł lodowatym tonem, ciężkim od tłumionej złości. - Nie zdawałem sobie sprawy, że wciąż tak bardzo jesteś przeciwko mnie.

- Naprawdę? - parsknęła. - Nie zdawałeś sobie sprawy? A co ty właściwie sobie wyobrażasz, co?! Że zapomniałam o... O tym, co zrobiłeś, o twoich kłamstwach, i o tym, jak mnie zdradziłeś, jak zdradziłeś nas wszystkich?

- Nie - odparł. - Oczywiście, że nie... Ale myślałem, że może... że uda się nam ruszyć z miejsca. Że przynajmniej będziesz mogła mnie zaakceptować, jeśli nie wybaczyć.

- Jonathan, jak mogłeś w ogóle o tym myśleć? Mam cię zaakceptować! Zaakceptować fakt, że wolałeś ją niż mnie!

- Wcale jej nie wolałem - odparł ze znużeniem. - Tu nie chodzi o żadne porównanie. Ona była... No cóż, była tym, czym była. To nie miało nic wspólnego z tobą. Kocham ciebie.

- Och, proszę cię! Więc ty mnie kochasz! Tak bardzo, że nawet poszedłeś pieprzyć się z kimś innym! I to bynajmniej nie raz, bo raz jakoś może dałoby się znieść, ale wiele razy. Mało tego. Nie tylko się z nią pieprzyłeś, ale spałeś z nią, naprawdę z nią spałeś! Leżałeś przy niej przez całą noc, budziłeś się u jej boku. Kłamałeś bez zmrużenia oka, żeby móc to robić. Jak mogłeś, Jonathanie? Jak w ogóle mogłeś okazać się zdolny do czegoś tak podłego?

- Ja... Nie wiem - powiedział. - Naprawdę nie wiem. To było coś w rodzaju... szaleństwa. Wiem, wszyscy niewierni mężowie powtarzają to samo, ale taka jest prawda; to było tak, jakbym nagle stał się kimś innym. Nie przestałem cię kochać, Lauro, ani na chwilę nie przestałem cię kochać... To była jakaś chciwość, żeby uchwycić coś, o czym wiedziałem, że jest zakazane. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz, chociaż...

- Nie - warknęła. - Masz rację, wcale nie rozumiem. Oczywiście, że nie rozumiem. Ostatecznie mogłeś jej pożądać, ale fakt pozostaje faktem, że nie mogłeś jej pragnąć, nie odrzucając wcześniej mnie. Tak to widzę, niestety. Jako odrzucenie mojej osoby, i wszystkiego, co mogłam dla ciebie zrobić, co mogłam ci ofiarować. Poczułam się taka... wybrakowana, niepełnowartościowa.

- Niepełnowartościowa? W czym? - zapytał, a miał przy tym tak zdumioną minę, że prawie się uśmiechnęła.

- W ocenie samej siebie, Jonathanie. Wiem... - zająknęła się, ale dzielnie wzięła oddech i zaczęła jeszcze raz. - Wiem, że nie jestem szczególnie seksowna. Doskonale o tym wiem. To znaczy, oczywiście lubię seks...

- Dlaczego powiedziałaś „oczywiście”? - wtrącił. - Jak wiesz, lubienie seksu nie jest czymś obowiązkowym.

- Co masz na myśli? - zdumiała się. - Oczywiście, że jest! To część małżeństwa, część miłości, jaką darzy się drugą osobę...

- Więc naprawdę uważałaś, że to sposób na okazywanie mi, że mnie kochasz?

- Jasne, że tak! - Teraz prawie krzyczała. - Oczywiście, że tak! Ja tak to pojmuję. Dla mnie było to takie cenne; należało tylko do nas, do nikogo innego, i było czymś, czym mogliśmy się dzielić! A teraz tego już nie ma; teraz to należy do niej, bo ona to sobie wzięła, albo raczej ty jej to dałeś, z własnej woli. Tamto uczucie odeszło, odeszło na zawsze, i już nic nie może nam go zwrócić.

Jonathan pogrzyżył się w absolutnym milczeniu, spoglądał na żonę, a w jego oczach był przeraźliwy smutek. Wreszcie zdecydował się odezwać.

- No cóż, wygląda na to, że wszystko wyjaśniliśmy. Rozumiem, że nie możemy być ze sobą jak przedtem, prawda?

- Nie - odparła zdecydowanym tonem. - Nie możemy. Już nigdy, nigdy!

- No to... W takim razie może znów powinienem się wyprowadzić. Ale najpierw chcę ci coś powiedzieć. Po prostu muszę. Chcę powiedzieć, że naprawdę cię kochałem. Bardzo, bardzo mocno. I że nadal bardzo cię Kocham. Jesteś najważniejszą częścią mojego życia i ośrodkiem naszej rodziny. Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez ciebie, Lauro. Och, to nie jest jakaś idiotyczna groźba, że popełnię samobójstwo; to prawda. Oczywiście, będę żył nadal, ale to życie zasadniczo się zmieni. Będę zagubiony. Będę żalonym, beznadziejnym, do niczego nienadającym się facetem.

- Przestań się wygłupiać. Na pewno sobie poradzisz. Wciąż jesteś tym odnoszącym sukcesy, atrakcyjnym, cudownym Jonathanem Gilliattem.

- To nieprawda. Jestem tym, kim jestem tylko dlatego, że mam ciebie. Wiesz, bez ciebie tracę spokój, zaufanie do siebie, nawet umiejętność oceny sytuacji. Wielki Boże, to zdarzało się nawet teraz, kiedy mieszkałem osobno przez parę tygodni. Wciąż byłem roztrzęsiony, pytałem innych o zdanie i robiłem to, co mi mówili,

zamiast tego, o czym wiedziałem, że powinienem zrobić. Już nawet nie jestem pewien, co jest dobre, właściwe... Ostatnio zdarzyło mi się popełnić straszny błąd - nie mówiłem ci o tym, bo zresztą co to mogło cię obchodzić, przecież sam powinienem myśleć, biorąc pod uwagę okoliczności - ale przeoczyłem, ale przeoczyłem, że powinna owinęła się wokół główki... Wiesz, co to oznacza?

- Że dziecko mogło się udusić?

- Właśnie. Jak często musiałem cię zanudzać tymi technicznymi szczegółami... Tak czy owak, dziecko o mały włos nie umarło; mogło też dojść do uszkodzenia mózgu. A ja to przeoczyłem, ponieważ byłem taki niešťśliwy, taki... zagubiony. Owszem, zasłużyłem sobie na to, jak bez wątpienia zaraz powiesz. Ale... No cóż, sama widzisz, do jakiego stopnia jestem od ciebie zależny. Bez ciebie jestem nikim, Lauro. Absolutnie nikim.

Laura milczała.

- Mówię wyłącznie o sprawach zawodowych, ale to oczywiście rozciąga się na wszystkie inne aspekty życia. Ten uroczy, atrakcyjny Jonathan Gilliatt, jak go nazywasz, okazuje się żalonym zerem, kiedy zostaje sam.

- To bardzo wzruszające, co mówisz, ale skoro jestem dla ciebie taka ważna, czemu ryzykowałeś, że mnie stracisz? Czemu wdałeś się w romans z inną kobietą? Wybacz, ale jedno jakoś nie pasuje mi do drugiego.

- Wiem... Oczywiście, że zrobiłem to, co zrobiłem. To było jakieś szaleństwo. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się zrobić coś takiego i nigdy mi się nie zdarzy. I wiem, że mi nie wierzysz, kiedy mówię ci, że tamta sprawa była zakończona, że skończyłem ją dokładnie tamtego dnia, taka jest prawda. Ale... Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się, Lauro, w tym twoim znakomicie kontrolowanym i wypełnionym samymi pięknymi postępkami życiu, że zrobiłaś coś, co było niewłaściwe? Albo niebezpieczne? Czy nigdy nie kusilo cię, żeby odrzucić wszelkie konwenanse i zachować się wbrew narzuconym ci regułom? Och, nie mam na myśli roman-su, ale... No, nie wiem, na przykład, że wydałaś za dużo pieniędzy i potem mnie okłamałaś, albo jednego dnia odpuściłaś sobie gotowanie, kupując dzieciom gotowe danie, albo poszłaś do łóżka czy na ploty z przyjaciółkami, zamiast zrobić jakąś robotę czy pomóc dzieciom w odrabianiu prac domowych, albo...

- Nie - odpowiedziała po dłuższym namyśle. - Nigdy.

- No widzisz - odparł i prawie się uśmiechnął. - Może udało się nam dotrzeć do sedna sprawy.

- Co masz na myśli?

- Jedynie to, że... że ciężko jest być twoim mężem.

- Jonathanie, poświęciłam ci całe swoje życie! Robiłam to, co chciałeś, szłam tam, gdzie sobie życzyłeś, żebym poszła... Powiedziałabym, że raczej to mnie było ciężko, nie tobie.

- Może i tak - odparł. - Ale to chyba, jak sądzę, jest powodem, dla którego wplątałem się w ten romans z Abi Scott. Staram się być teraz absolutnie szczerzy. Bo widzisz, ona przez większość czasu wcale nie była chodzącym aniołkiem. Nie była doskonała. Z pewnością była gorsza ode mnie. Abi jest zachłanna i niemoralna, i w dodatku kłamie jak najęta, niemal przez cały czas; nie musiałem się starać, żeby jej dorównać. Muszę zresztą przyznać, że traktowałem ją w dość paskudny sposób.

- Och, czyżby? Serce mi krwawi na myśl o tej biedaczce. Jakże mi jej szkoda!

- Mnie jest jej szkoda, jeśli mam być szczerzy. Po tej katastrofie powinienem był okazać jej pewne względy. Dla niej także było to traumatyczne przeżycie, coś okropnego... A co ja zrobiłem? Byłem tak cholernie przerażony, że dowiesz się prawdy o nas, że zacząłem jej grozić...

- Co takiego? - Laura była oszołomiona tym, co usłyszała.

- Tak, zacząłem jej grozić. Powiedziałem, że jeśli nie będzie się trzymać mojej wersji, że jest tylko koleżanką z pracy, to opowiem na policji o jej uzależnieniu od narkotyków. Musisz przyznać, że to nie było miłe zachowanie.

- Nie. Właściwie nie, choć...

- Zrobiłem to ze względu na ciebie. Byłem przerażony jak cholera, że się dowiesz, i bynajmniej nie chodziło mi o to, że byłabyś wściekła, choć miałabyś do tego pełne prawo, ale że to bardzo cię zrani. Dlatego zacząłem ją terroryzować. Gnębiłem ją bez miłosierdzia. Jak na ironię wygląda na to, że gdybym był dla niej odrobinę miłszy, to ona prawdopodobnie nie wpadłaby na pomysł, żeby zjawić się na naszym przyjęciu tamtego wieczoru. Na imprezie z okazji moich urodzin. Zachowałem się jak ostatni gnojek. Jestem ostatnim gnojkiem. O Boże.

Popatrzył na nią i ujrzała w jego oczach łzy. Otarł je wierzchem dłoni.

- Wiesz, Jonathanie - powiedziała. - Nie mogę być kimś, kim nie jestem. Jestem sobą. Nie potrafię stać się leniwa albo rozrzutna, ani zacząć zaniedbywać dzieci. Tak więc nie musiałeś w niczym mi dorównywać, jak byleś uprzejmy się wyrazić. Chyba że oszalałeś i opowiadasz bzdury, które mają cię usprawiedliwić.

- Może masz rację - odparł. - Ale to nie są bzdury. Każdy tak cholernie mi zazdrości. Albo zazdrościł. „Cholerny szczęściarz”, mówili koledzy. Jest mężem Laury, chciałbym, żeby moja żona była bardziej podobna do Laury. Wielki Boże, Mark wiecznie głądził coś na ten temat. Opowiadał, że Serena nie odpuszcza mu dosłownie w niczym i że ty jesteś taka cudowna. Czy pamiętasz taką piosenkę: „Ona jest tylko ptaszkiem zamkniętym w złotej klatce”? Właśnie tak się czułem - jak ptak zamknięty w pozłacanej klatce - więc wymknąłem się z niej. Tylko raz, do wszystkich diabłów, jeden, jedyny raz. Albo przynajmniej tak wtedy myślałem. Los schwytał mnie w sidła, zatrzasnął za mną drzwi i teraz już nigdy nie będę mógł wrócić do tamtej klatki, i zasłużyłem sobie na to.

Nie odpowiedziała, rozważając w myślach sens tego, co mówił. Wreszcie wstał i zatrzymał się tuż przed nią, żeby zajrzeć jej głęboko w oczy.

- To chyba ma być coś w rodzaju usprawiedliwienia. Uwierz mi, że nigdy dotąd niczego bardziej nie żałowałem. Oddałbym wszystko, co mam, poza tobą i dziećmi, żeby to zmienić. Ale nie mogę tego zmienić. Jak powiedziałem Charliemu, kiedy byliśmy w szpitalu, teraz muszę żyć z tym, co zrobiłem. Nie mam alternatywy. Wiem, że to kiepskie usprawiedliwienie, ale...

- Nie - odparła. - Wcale nie.

- Nie martw się, Lauro, ja odejdę. Albo jeśli wolisz, zostanę ze względu na dzieci i dalej będziemy udawać. Nie jestem pewien, czy zniosłyby to, że tracą mnie po raz drugi. Nie uważaj tego za emocjonalny szantaż. To fakt. Obiecuję, że nie będę o nic cię prosił, o nic. A kiedy dzieci podrosną, będziemy mogli się rozwieść. To będzie zależało tylko od ciebie. Jak sobie zażyczysz. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. Proszę tylko o jedno: żebyś spróbowała uwierzyć, jak bardzo cię kocham.

- Spróbuję - odrzekła pod długim, długim czasie. - Naprawdę spróbuję, i... Nie odchodź, Jonathanie. Masz rację, dla dzieci byłoby to nie do zniesienia.

Nie była pewna, czy ona sama by to zniosła, ale nie czuła się gotowa, żeby powiedzieć to głośno.

ROZDZIAŁ 51

Michael Andrews zawsze powtarzał, że uprzejmość jest najbardziej istotną cechą koronera. I doprawdy, nigdy nie spotkał takiego, który by nie mógł się nią poszczycić. Uprzejmość i cierpliwa grzeczność była ważna dla wszystkich zainteresowanych: dla krewnych ofiar, wciąż pogrążonych w żałobie i często rozczarowanych, że nie będzie śledztwa kryminalnego, żeby mogli otrzymać zadośćuczynienie za śmierć swoich bliskich lub przynajmniej dowiedzieć się prawdy; dla policji, pracującej w pocie czoła, by ustalić rzeczywisty przebieg wypadków, wygłoszone oświadczenie, jakkolwiek zwykle dość nudnawe, zawsze musiało zostać wysłuchane do końca, żeby ich ciężka praca mogła być właściwie oceniona; dla świadków, często przygnębionych i zawsze zdenerwowanych; i oczywiście dla pracowników biura koronera, którzy zadawali sobie mnóstwo trudu, żeby swoją obecnością uspokajać ludzi i mieć pewność, że całe postępowanie przebiegnie gładko i tak szybko jak tylko to możliwe.

Śledztwo dotyczące śmierci ofiar katastrofy na autostradzie M4 z sierpnia ubiegłego roku, które miał przeprowadzić w następnym tygodniu, zapowiadało się na, być może, nawet pełne dwa dni. Zginęły trzy osoby, i było mnóstwo świadków do przesłuchania, bo katastrofa należała do tych złożonych i swego czasu było o niej dość głośno. Z pewnością śledztwo będzie wymagało z jego strony sporego wysiłku, więc musi się do niego starannie przygotować.

A ponieważ dochodzenie musiało objąć tak wiele osób, należało przeprowadzić je w jednej z sal w sądzie okręgowym, nie zaś w żadnym pokoju konferencyjnym. Ludzie tak woleli; czuli wtedy, że śmierć ich bliskich uznana zostaje za coś istotnego, że nadaje się jej odpowiednie dostojeństwo. Zupełnie inną sprawą było to, że świadkowie mieli możliwość wysłuchania zeznań innych świadków. To zapewniało wszystkim poczucie większej otwartości i bezstronności i oznaczało, że każdy mógł w jasny sposób wytłumaczyć pozostałym swój udział sprawie.

Oczywiście, konieczna była obecność kilku prawników, ze względu na warunki ubezpieczenia, oraz paru lekarzy. Jeden z nich, doktor Jonathan Gilliatt, miał składać zeznania dwojakiego rodzaju: jako osoba prywatna, bezpośrednio zaangażowana w katastrofę, oraz jako lekarz, który na miejscu wypadku miał możliwość profesjonalnie ocenić stan osób poszkodowanych, jak również stwierdzić zgon każdej z trzech ofiar.

Może byłoby przesadą utrzymywać, że Michael Andrews z niecierpliwością czekał na to dochodzenie - mimo wszystko było zbyt wyczerpujące i smutne - ale wiele wskazywało, że będzie ono jednym z tych, które w sekrecie nazywał „miarką” - posłuży mu ona do ocenienia innych i dokonania porównań.

Jego żona Susan przygotowała się psychicznie do samotnie spędzonego weekendu.

- Proszę wstać.

Michael Andrews bardzo lubił tę chwilę, gdy wkraczał na salę sądową - nie z powodu poczucia własnej wielkości, ale dlatego, że był to dowód uznania jego władzy, a poprzez jego osobę - władzy sądu.

Zasiadł na wysokim podeście, ustawionym w sali obrad, w otoczeniu swojego sekretarza oraz jednego z urzędników z biura koronera. Publiczność siedziała przed nim, na krzesłach ustawionych jak w amfiteatrze. Stolik dla świadków, nieco wyeksponowany i wyposażony w mikrofon oraz egzemplarz Biblii, znajdował się po jego lewej stronie.

Zaczął w ten sam sposób, jak zawsze: witając każdego i tłumacząc cel dochodzenia.

- Zebraliśmy się tu, by znaleźć odpowiedź na cztery pytania: kim były ofiary wypadku, oraz kiedy, gdzie i w jaki sposób doszło do ich śmierci. Nie jesteśmy tu po to, żeby osądzać czyjaś winę, więc skutkiem dzisiejszej rozprawy nie będzie wniesienie oskarżenia przeciw komukolwiek.

Zatrzymał się na chwilę.

- Odpowiedź na trzy z czterech pytań wydaje się względnie prosta. Czwarta, to znaczy ustalenie przyczyn śmierci, jest głównym celem tego śledztwa. Rodziny mogą zadawać związane ze sprawą pytania, jeśli takie będzie ich życzenie.

Rodziny ofiar, siedzące obok siebie na specjalnie wyznaczonych miejscach, spojrzały po sobie z niepokojem, a następnie zaczęły nerwowo rozglądać się dookoła. Wiedział z doświadczenia, że prawdopodobnie przynajmniej jedna z nich będzie zadawać pytania, i że będą to pytania skierowane do patologa. Przypuszczał nie znał także treści pierwszego pytania: czy ofiary przed śmiercią bardzo cierpiały?

Wymienił nazwiska tragicznie zmarłych i w skrócie opisał ich wiek, stan cywilny, miejsce zamieszkania. Wymienił wszystkich po kolei: młodą dziewczynę Sarę Tomkins, kierowcę minibusa Edwarda Barnes, oraz młodą matkę Jennifer Marks.

Następnie wezwał patologa, doktora Paula Jacksona ze szpitala Świętego Marka, który przeprowadzał sekcję, i poprosił go o złożenie przysięgi. Ludzie odnosili się z szacunkiem do składania przysięgi; głośno i wyraźnie powtarzali każde słowo. Poza tym, jak wiedział, przysięga miała uspokajający wpływ na krewnych: była zapewnieniem, że nikt nie będzie kłamać ani mówić wymijająco i że w końcu usłyszą, co dokładnie stało się przyczyną śmierci tych, których kochali.

Doktor Jackson rozpoczął składanie zeznań - podawał poruszające fakty, opisaną do przesady dokładną przyczynę zgonu każdej z ofiar. Matka młodej dziewczyny rozplakała się, jej mąż zaś kilka razy głośno wydmuchał nos. Andrews zapytał, czy ktoś ma jakieś pytania. Wtedy odezwała się żona kierowcy minibusa - kobieta w średnim wieku, bardzo blada i z twarzą naznaczoną wyczerpaniem.

- Chciałam zadać tylko jedno pytanie... Doktorze - zwróciła się do patologa - czy w pańskiej opinii mój mąż bardzo cierpiał?

- Myślę, że mogę dać zdecydowaną odpowiedź w tej kwestii - odparł doktor Jackson. - Nie. Według mojej profesjonalnej oceny żadne z nich nie cierpiało. Wszyscy umarli natychmiast.

- Dziękuję panu - odpowiedziała kobieta.

Inni popatrzyli po sobie i na ich twarzach pojawiło się coś w rodzaju bladego uśmiechu.

- Właśnie zamierzałam zapytać o to samo - odezwała się matka Sary drżącym z emocji głosem. - Ale zastanawiam się, czy ten, kto znalazł moją córkę - chyba to także był lekarz - mógłby potwierdzić pańskie słowa.

- Do tego przejdziemy nieco później - odparł Andrews. - Będzie pani mogła swobodnie porozmawiać z rzeczonym dżentelmenem, który istotnie jest lekarzem.

W relacji przedstawionej przez policję krótko opisano przeszłość każdej z ofiar, oraz to, w jaki sposób i dlaczego znaleźli się na tej drodze tamtego popołudnia. Relacja obfitowała w nic nieznaczące frazesy, jak: „oddana, kochająca matka”, „pełna życia, lubiana, mądra córka” czy „kochający i wspaniały dziadek”. Andrews nienawidził tych sformułowań, ale one wydawały się absolutnie nieodzowne; właśnie takie rzeczy ludzie mówili, składając zeznania na policji, poza tym w każdym wypadku miało to kojący wpływ na zrozpaczone rodziny.

W następnej kolejności wezwany został doktor Alexander Pritchard, lekarz pracujący na Oddziale Pomocy Doraźnej w szpitalu Świętego Marka; jego zadaniem było opisać medyczne procedury, jakie zostały - o ile w ogóle - zastosowane w wypadku każdej z ofiar. Pritchard, który podobnie jak patolog, najwyraźniej uczestniczył już wcześniej w wielu podobnych procesach, wyrażał się jasno i w równie taktowny sposób: żadnych zabiegów nie przeprowadzono, ponieważ w chwili przyjazdu ambulansu wszystkie ofiary już nie żyły. Dodał, że również jego zdaniem śmierć wszystkich trzech osób nastąpiła natychmiast.

Miły facet, pomyślał Andrews; taki prawdziwy doktor w dawnym, starym stylu.

Machina procesowa ruszyła pełną parą.

Każdy otrzymał spory zestaw fotografii miejsca katastrofy, zrobionych pod każdym możliwym kątem, włącznie z uczestniczącymi w zajściu pojazdami oraz starannie zaznaczonymi trajektoriami. Inspektor Greg Dixon szczegółowo opisał przebieg zdarzenia; mówił, że większość ludzi zachowała spokój oraz opanowanie, i że szczególne względy należą się obecnemu na miejscu „doktorowi Jonathanowi Gilliattowi, który przez wiele godzin niestrudzenie pracował wśród rannych; poza tym otoczył opieką ciężarną, u której zaczął się przedwczesny poród, zajmując się nią i nadzorując jej stan aż do chwili przybycia ambulansu. Oprócz tego z podziwu godną odwagą wspinał się do kabiny ciężarówki, aby wyłączyć pracujący silnik”.

Andrews poprosił o przedstawienie ustaleń Wydziału Śledczego; jak zwykle okazało się kompleksowe i wysoce techniczne. Najwyraźniej przyczyną całego nieszczęścia była śruba od koła, która roztrzaskała przednią szybę ciężarówki. Była tam również godna uwagi wzmianka o samochodzie znajdującym się na drugim miejscu za ciężarówką, bo właśnie najprawdopodobniej w nim doszło do wybuchu opony, co spowodowało dalsze poważne następstwa. W tym wypadku winowajcą okazał się duży zardzewiały gwóźdź, tkwiący w jednej z opon, który z pewnością przyczynił się do jej pęknięcia, a być może nawet był tego jedynym powodem.

Wreszcie Michael Andrews wezwał sierżanta Freemana, by przedstawił dowody zgromadzone przez policję. Freeman cieszył się jego sympatią i poważaniem; wiele razy miał okazję słuchać przygotowanych przez niego podsumowań. Co prawda, Freeman cierpiał na całkowity brak poczucia humoru i miał dość wysokie mniemanie o sobie, ale był również nadzwyczaj dokładny, niewiarygodnie pracowity i potrafił niezwykle przejrzyście przedstawiać to, co udało mu się ustalić. Jego wywód trwał prawie pół godziny; pod koniec Andrews był już porządnie zmęczony, choć dopiero dochodziła jedenasta. Koncentracja, której zwykle wymagały

takie skomplikowane sprawy, dość szybko wyczerpywała jego siły, choć ten fakt zawsze budził w nim zdziwienie. Ogłosił więc piętnastominutową przerwę i z ulgą schronił się w ciszę własnego gabinetu, gdzie wkrótce któryś z jego pracowników dostarczył duży kubek słodkiej, mocnej kawy. Czasami Andrews niepokoił się, że w wieku pięćdziesięciu lat zaczyna być trochę za stary na takie rozrywki, ale zaraz potem przypominał sobie, że tak samo męczył się, gdy był trzydziestoletnim młodzieniaszkiem.

Patrick Connell musiał być kiedyś naprawdę potężnym mężczyzną, myślał Andrews, obserwując go, jak zbliżał się do stanowiska dla świadków. Teraz nadal był wysoki, lecz kruchy, i szedł z trudem, opierając się na dwóch laskach. Andrews czym prędzej spytał, czy może świadek wolałby usiąść, i tak złożyć zeznania, ale Connell odparł, woli stać. Jednak w połowie przesłuchania okazało się to zbyt wyczerpujące; Connell zmuszony był się poddać i poprosić o krzesło.

- Teraz, panie Connell, proszę opowiedzieć nam to, co pan pamięta, jeśli może pan coś sobie przypomnieć. Wiemy, że po wypadku cierpiał pan na zanik pamięci, ale wszystko, co zdoła pan sobie przypomnieć, jest niezwykle ważne.

Zeznania Connella były pełne zawahań, nawet pewnych nieścisłości. Tak naprawdę nic nie pamiętał z tego, co działo się po wypadku, zanim dotarł do szpitala, a także bardzo niewiele z pierwszych dni pobytu na oddziale. Pamięć wracała, ale tylko częściowo.

- Sir, to był dla mnie bardzo trudny okres.

- Oczywiście. Mam pytanie, czy bezpośrednio przed wypadkiem czuł się pan senny? W pańskim oświadczeniu znajduje się wzmianka o tym, że zasięgał pan porady swojego lekarza w związku ze skłonnością do odczuwania senności w czasie jazdy. Proszę pamiętać, że składa pan zeznanie pod przysięgą.

Connell zawahał się; niemal czuł, jak wśród prawników narasta napięcie.

- Tak, sir, rzeczywiście byłem senny. Mniej więcej pół godziny wcześniej. Ale zatrzymałem się na kawę i zjadłem trochę słodczy - takich żelków dla dzieci, bo one zawsze w podobnych sytuacjach mi pomagały, choć może dla pana zabrzmiało to nieco dziwnie. Bezpośrednio przed katastrofą rozmawiałem z moją pasażerką, sir. Pamiętam to bardzo dokładnie.

Patrick na nowo odzyskał pewność siebie; z przekonaniem opisywał swoją jazdę, ostrożną i zgodną z ograniczeniami prędkości, oraz inne pojazdy znajdujące się na drodze, między innymi jaguara.

- Zdecydowanie wysforował się naprzód, ale jechał naprawdę porządnie, jeśli mam być szczerzy.

- Miło mi to słyszeć. I niech mi będzie wolno wyrazić moją radość, panie Connell, że udało się panu odzyskać zdrowie. Może pan odejść.

- Dziękuję, sir.

Jako następnego świadka Andrews wezwał pasażerkę Connella; podniósł wzrok, gdy wchodziła na podium, i ujrzał delikatne, uroczne stworzenie. Dziewczyna najwyraźniej była śmiertelnie przerażona, więc z wyjątkową ostrożnością poprosił o złożenie przysięgi. Widział, jak drży jej ręka, gdy podnosiła ją do przysięgi, i zastanawiał się, jakim świadkiem zaraz się okaże.

Okazała się wręcz doskonałym świadkiem; spokojnie i wyraźnie opisywała, jak w jednej chwili wszystko wydawało się w zupełnym porządku nikt nie pędził jak szalony, nikt nikomu nie zajeżdżał drogi, a w drugiej nagle coś roztrzaskało im szybę, która natychmiast pokryła się siateczką drobniuteńkich pęknięć.

- To było przerażające. Zupełnie jakby człowiek znalazł się w gęstej mgle. A potem jakimś cudem zatrzymaliśmy się i zobaczyłam, że jesteśmy w samym środku tego... tego chaosu, który zapanował.

- Jak długo to trwało, zanim poczuła pani, że ciężarówka skręca w poprzek pasów na autostradzie?

- Och... Wydawało się, że wszystko dzieje się tak powoli. Zupełnie jakby to trwało kilka godzin, choć sądzę, że tak naprawdę nie mogło upłynąć więcej niż... no, może dziesięć sekund. A później dość szybko dotarł do mnie te okropny huk, przeraźliwe trąbienie, wrzaski... Nagle poczułam, że się zatrzymaliśmy.

- Dobrze. Nie sądzę, żebyśmy musieli omawiać następne parę minut. Pani zeznania są bardzo jasne, choć to musiało być traumatyczne przeżycie.

Nagle poczuł się zmuszony - choć przywiodła go do tego zarówno własna ciekawość, jak i profesjonalny obowiązek - zapytać ją, dlaczego uciekła z miejsca wypadku.

- Nie wiem - odpowiedziała po prostu. - Naprawdę chciałabym wiedzieć, tym bardziej, że strasznie się tego wstydę. Niestety, nie potrafię tego wytłumaczyć, naprawdę nie potrafię. Przypuszczam, że wpadłam w panikę. Przypominam sobie, jak myślałam, że jeśli stamtąd odejdę, jeśli wydostanę się z tego piekła, to wszystko będzie w porządku - nikt się nie dowie, że w ogóle tam byłam. Chciałam... chciałam tak zwyczajnie zapomnieć o tym. To było takie straszne, ci ranni ludzie dookoła, Patrick... To znaczy pan Connell... Te wszystkie rozbite auta, krzyk i płacz... Czułam, że... że po prostu muszę stamtąd uciec.

- Jak pani zeznała, szła pani dość długo, aż w końcu zatrzymała pani następną ciężarówkę, żeby wrócić do domu, do Cardiff?

- Tak. A potem w jakiś sposób zdołałam samą siebie przekonać, że tak naprawdę to wszystko wcale się nie wydarzyło. Albo raczej że mnie tam nie było, że nie mam z tym nic wspólnego. Im więcej czasu mijało, tym bardziej niemożliwe wydawało mi się, żebym mogła się przyznać. Aż do chwili, gdy w prasie pojawiły się te okropne bzdury, że Patrick, to znaczy pan Connell, zasnął za kierownicą.

Rozpłakała się. Michael Andrews czekał przez chwilę, a potem przemówił z wyrozumiałością.

- Proszę się nie denerwować, panno Linley. Wszyscy popełniamy błędy i robimy rzeczy, które później trudno wytłumaczyć. Jestem pewien, że pan i pani Connell są ogromnie wdzięczni, że w ogóle opowiedziała pani prawdziwą wersję wydarzeń.

- Tak, bardzo panu dziękuję. Teraz jesteśmy przyjaciółmi. Ale to tylko dzięki nim, bo okazali się tacy skłonni do wybaczenia.

Andrews poczuł, że ta dziewczyna trafiła mu do serca. Podziękował za oświadczenie, a później zapytał, czy dostała tę rolę, na przesłuchanie do której wtedy jechała. Czasami robił takie rzeczy - wkraczał w sferę prywatną albo starał się okazać niefrasobliwość, żeby jakoś rozładować atmosferę. Georgia powiedziała, że tak, i że na wiosnę serial zostanie wyemitowany w Channel Four.

- Muszę pani powiedzieć, panno Linley, że w normalnych warunkach na sali sądowej nie wolno niczego reklamować - odparł. - Jednak dzisiaj zrobię dla pani wyjątek.

Wreszcie Andrews wysłuchał zeznania Jacka Bryanta, właściciela jaguara. Nie mógł sobie przypomnieć, kogo mu on przypomina, a potem nagle doznał olśnienia: po prostu Bryant był do złudzenia podobny do Nigela Haversa, w serialu *The Charmer* - ten sam gładki sposób ubierania się, takie same przesadnie śmiałe

manieri, nabyte w szkołach publicznych. Andrews prawie poczuł do niego antypatię, kiedy zaskoczyły go pierwsze słowa Bryanta, wypowiedziane tuż po złożeniu przysięgi.

- Czuję się wręcz okropnie w związku z tą sprawą. Po prostu strasznie. Można powiedzieć, że to nie-szczęście stało się z mojej winy.

- Panie Bryant - wszedł mu w słowo Andrews. - Tak jak mówiłem na początku, nie jesteśmy tu po to, by przesądzać o czyjejś winie, ale by ustalić, co rzeczywiście się wydarzyło. Usłyszeliśmy, że jedna ze śrub z koła pańskiego samochodu odpadła i roztrzaskała szybę w kabinie ciężarówki pana Connella. Czy umiałby pan wytłumaczyć, jak mogło do tego dojść?

- Nie. Niestety, naprawdę nie potrafię. Przed wyjazdem dokręcałem bardzo dokładnie wszystkie śruby. Mój mechanik może to potwierdzić. Jechałem do Szkocji, całkiem spory kawał drogi, żeby tam trochę postrzełać, więc zależało mi, żeby wszystko sprawdzić pod kątem bezpieczeństwa tak dokładnie, jak tylko to możliwe.

- Ach, tak... Rozumiem, że wcale nie jechał pan z nadmierną prędkością?

- Ależ skąd! Zdecydowanie nie. Odrobina ryzyka to piękna rzecz, ale nie z tym samochodem. Jest piękny, ale w obecnych czasach daleko mu do najszybszych. Moja limuzyna to dostojna stara dama, która najlepsze czasy ma już za sobą.

W każdym śledztwie w końcu następuje punkt zwrotny - tym razem okazała się nim opinia ekspertów z policyjnego Wydziału Śledczego.

- Rzecz w tym, że mógł pan za mocno dokręcić te śruby. Jeden ruch za daleko i można łatwo uszkodzić gwint. Według naszej opinii właśnie to się wydarzyło, co stwierdziliśmy po przebadaniu wozu.

Andrews popatrzył na Bryanta - ulga prawie zwała go z nóg - a następnie odwrócił się w stronę rodzin ofiar. To była jedna z tych spraw, które bolały najmocniej - fatalny zbieg okoliczności, który jednak nadal mieścił się w kategoriach nieszczęśliwego wypadku; działanie, które w swojej konsekwencji okazało się zabójcze, choć zrobione w dobrej wierze. Nie był więc zaskoczony, gdy spostrzegł, jak wyprostowują się w siedzeniach, ich twarze ściągają się bólem, a matka młodej dziewczyny zalewa się łzami.

Poranna sesja toczyła się nadal. Andrews wysłuchał zeznań złożonych przez Williama Graingera, młodego farmera, którego pole graniczyło z autostradą M4. Były przejrzyste, zwięzłe i bardzo użyteczne. Potem nadeszła pora na bardzo przykre i ogromnie bolesne wyjaśnienia męża, którego żona zginęła, pozostawiając go z maleńkim dzieckiem. Kiedy wreszcie nadszedł czas na przerwę na lunch, Andrews miał wrażenie, że nie jest jedynym na tej sali, któremu taka przerwa jest potrzebna.

Po południu miejsce dla świadków zajął Jonathan Gilliatt; wygląda na klasycznego gogusia, pomyślał Andrews, nawet jeśli wyszedł na bohatera. Na pewno okaże się mocno zadufany w sobie, a swoje oświadczenie przedstawi w nienaganny sposób.

Jednakże mylił się, i to w obu wypadkach.

Gilliatt był skrupowany, nerwowy, nie potrafił w jasny sposób określić, co właściwie widział, aż w końcu przyznał - raz za razem wycierając spocone czoło - że on i jego pasażerka tuż przed wypadkiem pogrążeni byli w dość „gorącej wymianie zdań”.

- Czy na tyle gorącej, że mogła rozproszyć pańską uwagę? - spytał Andrews.

Gilliatt potwierdził i dodał, że bardzo mu wstyd, że sobie na to pozwolił.

- No tak, to raczej niewskazane na zatłoczonej autostradzie. Dobrze, że jechał pan po wewnętrznym pasie. Rozumiem, że swoją pasażerkę poznał pan na jakimś spotkaniu biznesowym, tak?

- Tak, spotkaliśmy się dzięki naszej pracy.

Ostrożna odpowiedź, pomyślał Andrews. Czy należałoby dalej dążyć ten temat? Nie, to raczej nie miało związku ze sprawą.

- Kolejne pytanie: rozumiem, że rozmawiał pan przez telefon? To chyba musiało jeszcze bardziej pana rozpraszać.

- Tak jest, rozmawiałem przez telefon. Ale bardzo, bardzo krótko.

- Czy nie posiada pan w samochodzie systemu głośnomówiącego?

- Nie, w tym samochodzie, którym jechałem, nie ma takiego urządzenia. To znaczy, właściwie jest, ale nie działa, jak należy. Moje auto jest nowe, ale niemal od początku miałem w nim problemy z systemem łączności. GPS też nie działa prawidłowo. Wiem, że nie powinienem był odbierać telefonu, ale byłem pewien, że to dzwoni moja żona; już wcześniej starała się do mnie dodzwonić i wiedziałem, że będzie się niepokoić. Poza tym musiałem skontaktować się z moją kliniką na Harley Street.

- Rozumiem. Ale pan jechał niepotrzebnie zbyt wolno. Dlaczego?

- No cóż, jak już mówiłem, parę minut wcześniej rozpuściła się burza. Warunki na drodze były naprawdę paskudne, byłem zmęczony i wydaje mi się, że jakoś ogólnie czułem się podenerwowany.

- A potem?

- Potem, jak zaznaczyłem w swoim zeznaniu, w pewnej chwili zorientowałem się, że ciężarówka skręca w poprzek drogi i że to może być bardzo niebezpieczne. Rzuciłem telefon na podłogę i... Uświadomiłem sobie, że zatrzymuję się na poboczu i że... że jakieś sto metrów za mną dzieje się coś strasznego.

- Wtedy wysiadł pan i poszedł sprawdzić, co można zrobić?

- Tak.

- No cóż, zachował się pan bardzo profesjonalnie. Teraz chciałbym zapytać pana o ofiary i o pańskie bez wątpienia doskonałe starania, jeśli chodzi o pomoc rannym. Wydaje mi się, że kiedy skończę pana przesłuchiwać, niektórzy z krewnych ofiar będą chcieli zadać panu parę pytań. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie.

- Teraz chciałbym wezwać Abigail Scott. Miss Scott, proszę złożyć przysięgę. Jednak najpierw wysłuchamy pani zeznań złożonych przed sierżantem Freemanem...

Niezła laska, pomyślał Andrews. Bardzo atrakcyjna i bardzo, bardzo seksowna. Mało prawdopodobne, żeby jej układ z Gilliattem był czysto zawodowy.

- Miss Scott, była pani w samochodzie razem z panem Gilliattem. Czy mogłaby pani dodać coś do oświadczenia pana Gilliatta albo potwierdzić, że nie ma żadnych wątpliwości, że żaden pojazd nie zajeżdżał drogi ciężarówce prowadzonej przez pana Connella, co mogło zmusić go do nagłego skręcenia w bok.

- Nie. Wszystko już zostało powiedziane. Widziałam dokładnie całe zajście i wydaje mi się, że wszyscy jechali ostrożnie i zgodnie z przepisami.

- Włącznie z panem Gilliattem?

- Tak. Pan Gilliatt jechał naprawdę bardzo ostrożnie.

- Ale on sam przyznał, że nie był skupiony, że on i pani prowadziliście... ożywioną dyskusję.

- Tak. Rzeczywiście się pokłóciliśmy, ale to nie spowodowało, że nagle zaczął źle prowadzić. On jest doskonałym kierowcą i zawsze jeździ bardzo ostrożnie.

- Wniosuję stąd, że już wcześniej miała pani okazję jechać samochodem prowadzonym przez pana Gilliatta, tak?

- Tak... Tak było.

- Można przypuszczać, że zdarzało się tak przy okazji wypełniania waszych wspólnych obowiązków służbowych?

Zapadła głęboka cisza; można by rzec, że odgłos szpilki upuszczonej na podłogę zabrzmiałby w tej cisi donośnie jak grzmot.

- Nie... To znaczy, nie zawsze... - brzmiała odpowiedź. Andrews czuł, jak wszyscy obecni wstrzymują oddech.

- Czyli państwa znajomość nie ograniczała się do całkowicie zawodowych spraw? Czy właśnie to usiłuje nam pani powiedzieć? Proszę pamiętać, że zeznaje pani pod przysięgą.

- Tak... To znaczy, chciałam powiedzieć, że tak. Ja... Ja bardzo lubiłam pana Gilliatta. Przez pewien czas.

- Rozumiem, miss Scott. Chciałbym się ograniczyć do spraw związanych z naszym postępowaniem.

- Oczywiście.

- Powróćmy do owej ożywionej wymiany zdań. Czy dotyczyła spraw natury osobistej? Pytam wyłącznie dlatego, że to mogło być czynnikiem mocno rozpraszającym uwagę kierowcy.

- Owszem, rzeczywiście chodziło o sprawy osobiste. Pan Gilliatt powiedział mi, że uważa, że nie możemy kontynuować naszej... Naszej przyjaźni.

- A pani?

- Ja byłam bardzo... bardzo rozczarowana. Dlatego zaczęłam się z nim kłócić.

- Czy to właśnie pani zwyciężyła w tej kłótni?

- Nie, niestety... Wszelkie moje wysiłki dotyczące kontynuowania naszego związku okazały się bezowocne. Pan Gilliatt jasno dał mi to do zrozumienia.

- Waszego związku? Wydawało mi się, że wasze stosunki określała pani mianem przyjaźni? A może dla pani to jedno i to samo?

- Wcale nie - odpowiedziała.

Jej spojrzenie napotkało oczy Andrews'a; było w nim coś, co bez wahania mógł uznać za bezczelność.

- Przypuszczam, że pan pomyślałby, że to coś więcej niż zwykła przyjaźń - dodała.

- No cóż, nie będziemy zajmować się zgłębianiem prawdziwej natury państwa związku - odparł Andrews, świadomy, że cały sąd pragnie czegoś dokładnie odwrotnego. - Jednak wciąż jest pani przekonana, że wasza rozmowa w żaden sposób nie spowodowała dekoncentracji pana Gilliatta, jeśli chodzi o bezpieczne prowadzenie auta?

- Tak, jestem zupełnie pewna.

- A może pani sama była tak rozproszona, że nie zauważyła czegoś nieodpowiedniego bądź niebezpiecznego?

- Jestem przekonana, że nic takiego nie miało miejsca.

- W jaki sposób wróciła pani do domu? To znaczy, już po katastrofie. Czy pan Gilliatt odwiózł panią?

- Nie, oczywiście, że nie! Powiedziałam panu przecież, co się stało. Nasz związek dobiegł końca. A co do mnie, wyszło jakoś tak, że musiałam otoczyć opieką kilku małych chłopców, którzy jechali minibusem. Pojechałam z jednym z nich do szpitala, bo biedak miał atak astmy. Pamiętam, że nazywał się Shaun... Był naprawdę dzielnym chłopcem. Sama jako dziecko cierpiałam na astmę, więc wiem, jak należy pomóc.

- No cóż, miss Scott... Dziękuję, że zdecydowała się pani na szczerość...

To było bardzo pomocne i zapewniam, że wszyscy to doceniają. Dziękuję. Może pani odejść.

Andrews rozejrzał się po sali. Jeśli w istocie było to coś w rodzaju przedstawienia - a rozprawy w sądzie często przypominają spektakle teatralne - to najwyższy czas na antrakt. Ogłosił kolejną przerwę. Z determinacją starał się ograniczyć tę rozprawę do jednego dnia.

Wysłuchał oświadczenia młodego małżeństwa. Ich dziecko na skutek tego wypadku urodziło się przedwcześnie. Oboje wydali mu się nieco irytujący, choć sam nie wiedział dlaczego. A potem powiedział, że chciałby wysłuchać wersji Toby'ego Westona - narzeczonego, który nie dojechał na swój ślub, ponieważ w następstwie wybuchu opony jego auto uległo wypadkowi.

- Jednak najpierw, panie Weston, chcielibyśmy przekonać się, co zeznał pan podczas przesłuchania przez policję. Sierżancie Freeman...

Weston wstał z krzesła. Przystojny, młody koleś, pomyślał Andrews, raczej uprzejmy i dobrze ubrany. Bez wątplenia miał za sobą ciężki okres, o mały włos nie stracił nogi. No i przegapił własne wesele. I znów na scenę wkroczył Los - nieubłagany, nieprzewidywalny Los.

- Czy mógłbym coś powiedzieć? - odezwał się Weston.

- Oczywiście, panie Weston. Co tylko pan zechce. Ale najpierw złoży pan przysięgę, potem wysłuchamy pańskiego zeznania. Sierżancie...

- Tak, ale...

- Sierżancie Freeman, proszę odczytać zeznania.

Freeman odchrząknął i zaczął odczytywać zeznanie; była tam wzmianka o nieprawdopodobnym pośpiechu, żeby na czas zdążyć do kościoła, o różnych sprawach, które spowodowały opóźnienie. I o tym, że Weston chciał sprawdzić ciśnienie w oponach, bo wydawało mu się, że jedna zrobiła się miękka.

- „Ale pan Fraser, mój świadek, przekonał mnie, że to niepotrzebna strata czasu i że powinniśmy jak najszybciej jechać w dalszą drogę...”.

W tym momencie młody człowiek energicznie poderwał się z krzesła.

- Ale... Ja... To nie tak... - zawołał, czerwony jak burak i wyraźnie przejęty.

Andrews podniósł rękę.

- Pańska kolej niebawem nadejdzie - wyjaśnił. - I to ja zdecyduję kiedy. Proszę usiąść i z łaski swojej nie przerywać postępowania. Przypominam, że znajduje się pan przed obliczem sądu i że zobowiązany jest pan do okazywania odpowiedniego szacunku. Sierżancie Freeman, proszę kontynuować.

Sierżant Freeman zrobił, co do niego należało; potem Weston stanął na miejscu dla świadków i złożył przysięgę. Andrews obserwował go z zainteresowaniem. Czyżby szykowało się następne odkrycie starannie dotąd skrywanych emocji?

- Teraz, panie Weston, może zechciałby pan rozpocząć od tego, co chciał pan nam wcześniej powiedzieć.

- Tak... No bo... Chodzi o to, że moje zeznanie nie było całkowicie szczere.

- Naprawdę? - W głosie Andrews'a pobrzmiwało niewinne niedowierzanie.

- No tak... Rzecz w tym, że... że ten fragment o oponach trochę mija się z prawdą. Ja... Kiedy składałem zeznania przed inspektorem, nie czułem się jeszcze całkiem dobrze. Właściwie czułem się źle. Strasznie cierpiałem, miałem wysoką temperaturę, bo jakaś infekcja zaatakowała tę chorą nogę... Lekarze myśleli... Myśleli, że trzeba ją będzie amputować. To wszystko było bardzo traumatyczne. Byłem mocno wytrącony z równowagi.

- Jestem pewien, że tak. To całkiem zrozumiałe. Mam nadzieję, że do tej pory pańska noga zdołała odzyskać sprawność.

- Tak, bardzo panu dziękuję. W każdym razie nie powinienem powiedzieć, że Barney - to znaczy, pan Fraser - zdołał mnie przekonać, że nie należy sprawdzać ciśnienia w oponach. To ja domagałem się, żebyśmy natychmiast ruszyli jak najprędzej. Parę minut wcześniej zadzwonił do mnie mój przyszły teść i muszę przyznać, że był dość natarczywy. Po prostu czułem... Czułem, że musimy szybko dojechać na ten ślub, choćby nie wiem co. Pan Fraser bardzo niepokoił się stanem opon i był bardzo zmartwiony, że ich nie sprawdziliśmy... Ja bardzo przepraszam za to całe zamieszanie. Naprawdę ogromnie mi przykro.

- No cóż, panie Weston - odezwał się Andrews. - Bardzo panu dziękuję. Oczywiście, dotarła do nas opinia Wydziału Śledczego, że, ich zdaniem, przyczyną wybuchu opony był tkwiący w niej gwóźdź, więc sądzę, że nie powinien pan dłużej martwić się tą sprawą. Jednak dokładność w zeznaniach jest, rzecz jasna, bardzo istotna, jak zapewne pan wie, pomyłki powodują tylko wydłużenie czasu śledztwa, a w niektórych wypadkach mogą nawet wpływać na jego wyniki. To wielka szkoda, gdy przy składaniu zeznań brakuje ścisłości. Celowe wprowadzanie organów śledczych w błąd może nawet zostać uznane za przestępstwo. Czy chce pan wniesić jeszcze inne poprawki?

- Nie, nie mam nic więcej do dodania.

- Dobrze. W takim razie możemy kontynuować.

W dalszej części zeznań Westona nie było już nic dramatycznego.

Wezwano Frasera, niedoszłego świadka na ślubie pana Westona, który wcześniej w dość oczywisty sposób wydawał się mocno strapiiony, tym razem sprawiał wrażenie oszołomionego i spiętego. Przez dłuższy czas jąkał się w odpowiedziach, aż w końcu nieoczekiwanie opowiedział o swoich wyrzutach sumienia, że jako jeden z nielicznych wyszedł z wypadku bez zadrapania, podczas gdy tylu ludzi dookoła zostało tak strasznie poszkodowanych.

- Do dzisiejszego dnia ta sprawa nie daje mi spokoju. Dobrze, że w szpitalu jedna z lekarek okazała się wspaniałą osobą; powiedziała mi, że takie uczucia są całkiem normalne i pomogła mi się uporać z tym przeklętym poczuciem winy człowieka, który przeżył katastrofę.

- Miło mi to słyszeć, panie Fraser. Niech mi będzie wolno nadmienić, że w takim przypadku wyrzuty sumienia rzeczywiście są dość powszechnie spotykane. To oznacza, że nie powinien pan w żadnym razie obarczać się winą za ten wypadek. Zresztą, jak już wiemy... - poszukał wzrokiem Toby'ego Westona - ...chciał pan zachować się właściwie i sprawdzić opony, bo miał pan wątpliwości. Pańskie poczucie winy stopniowo będzie coraz słabsze. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Potem nastąpiły dalsze zeznania; Andrews musiał wysłuchać oświadczenia pewnego podejrzanego typu. Gość kierował białym vanem i to właśnie z jego auta wypadły deski z gwoździami, prosto pod koła nadjeżdżających samochodów. Andrews wypytywał go dokładnie, w jaki sposób mogło dojść do tak poważnego niedopatrzania. Oczywiście nie chodziło o obarczenie go winą, jak zaraz wyjaśnił, bo nadal można było z dużym prawdopodobieństwem określić, kto jest winien.

W końcu na miejscu dla świadków zjawiała się starsza pani - bardzo niespokojna starsza pani, która na samym wstępie oświadczyła, że w niewielkim stopniu ponosi odpowiedzialność za całe zdarzenie, ponieważ zmusiła pana Westona do czekania, kiedy chciał zapłacić za benzynę.

- Czuję się wręcz okropnie z tego powodu. Wciąż myślę, jak źle wtedy postąpiłam. On prosił, żeby go przepuścić, ponieważ strasznie się spieszył, ja zaś z niewiadomych powodów kazałam mu czekać, aż nadejdzie jego kolej. Kto wie, gdybym zachowała się inaczej, może ci młodzi ludzie uniknęliby wypadku i zdążyli na czas do kościoła... Chciałabym ich przeprosić.

Dość niespokojnym wzrokiem spozjrzała na wspomnianych młodych ludzi.

- Pani Mackenzie, naprawdę nie sędzę, że powinna pani czuć się źle z tego powodu - rzekł delikatnie Michael Andrews. - Byłaby to tak niewielka różnica w czasie, że...

- Tak, tak, ale takie różnice mogą mieć zasadnicze znaczenie, nie sądzi pan? Jestem pewna, że zna pan ten stary wiersz o gwoździu, który wypadł z końskiej podkowy?

- Właściwie... Nie sędzę - zająknął się Andrews.

- Ach, tak...

Koroner zamarł w pełnym napięcia oczekiwaniu, więc mówiła dalej:

- No cóż, to brzmi mniej więcej tak: Z braku jednego gwoździa koń stracił podkowę; z braku podkowy ucierpiał koń; z braku konia jeździec był bezradny; z braku jeźdźca przegrano bitwę; w wyniku przegranej bitwy utracono królestwo, a wszystko przez jeden gwoździec. Kto wie? Może to ja byłam takim gwoździem? Jeśli pójdzie pan tym tropem...

- No cóż... Można tak sądzić. Ale moim zdaniem nawet konkretny gwoździec nie zatrzymałby ich w drodze na ślub. Mimo wszystko pani myśl jest bardzo interesująca. Dziękuję, pani Mackenzie. Może pani odejść.

Wybiła piąta po południu, kiedy Andrews wstał, żeby wygłosić orzeczenie, podsumowujące dzisiejsze przesłuchania. Sam był zaskoczony, że ta rozprawa okazała się tak pozytywnym doświadczeniem. Była długa, wyczerpująca, chwilami niezwykle smutna, ale w pewnym wymiarze podnosząca na duchu - dzięki odwadze okazywanej przez rodziny ofiar, a także przez niektórych świadków, oraz dzięki ogólnej klarowności przedstawionych dowodów. Jej przebieg był satysfakcjonujący również dla prowadzącego - nie zakradł się żaden chaos w zeznania, nie przedstawiono wykluczających się wzajemnie dowodów, nikt nie próbował się usprawiedliwiać. Oczywiście, z wyjątkiem tego okropnego typu, który jechał białym vanem.

Słowem, to była jedna z tych rzadkich spraw, gdy przyczyną tragedii okazał się zwykły przypadek, oczywisty, co mogło stanowić pewną pociechę dla rodzin ofiar.

Andrews zwrócił się właśnie do nich, mówiąc, jakie to smutne, że życie ich bliskich tak nagle dobiegło końca.

- Każde życie, nie tylko osób młodych, jest cenne; nikt nie ma prawa porównywać ani określać miary ludzkiego cierpienia i poczucia straty. Pan Barnes z pewnością mógł cieszyć się z bliskiego przejścia na emeryturę, Sara Tomkins miała przed sobą całe życie, a rodzina Marksów utraciła żonę i matkę. Jestem pewien, że mogę w imieniu wszystkich tu obecnych oświadczyć, że sercem jesteśmy z wami. Wypadki to straszna sprawa: w jednej chwili wydaje się, że wszystko mamy pod kontrolą, a już w następnej tę kontrolę bezpowrotnie tracimy. Władzę nad nami przejmuje Przeznaczenie i cały świat na zawsze ulega zmianie. Nikt nie przewiduje, że właśnie jemu zdarzy się wypadek, ale wypadki się zdarzają... Słyszeliśmy, że tego konkretnego popołudnia nawierzchnia była bardzo zdradliwa, ponieważ po upalnej, gorącej pogodzie nagle nadeszła gwałtowna burza. Słyszeliśmy zgodne zeznania, że nikt nie zauważył kogokolwiek, kto jechałby nieostrożnie albo niebezpiecznie. Słyszeliśmy, że owa nieszczęsna śruba odpadła z koła jaguara należącego do pana Bryanta nie z powodu zaniedbania, lecz jeśli już, to z nadmiaru starań. Słyszeliśmy, że pan Connell prowadził ciężarówkę z wielką skrupulatnością. Słyszeliśmy o wielu przykładach odważnego i bezinteresownego działania. W szczególny sposób chciałbym wyrazić uznanie panu Gilliattowi, jak również służbom ratunkowym i personelowi medycznemu ze szpitala Świętego Marka w Swindon. I chciałbym podziękować niektórym świadkom, że wykazali dość odwagi, by wystąpić z pewnymi sprostowaniami, choć nie było im łatwo.

- W tych dniach wiele mówi się o zjawisku burzy doskonałej, czyli o łączeniu się pewnych zjawisk atmosferycznych, które osobno nie są ani śmiertelnie niebezpieczne, ani nawet groźne, ale ich kombinacja może stanowić poważne zagrożenie. Bez trudu udało mi się znaleźć analogię pomiędzy zjawiskiem burzy doskonałej a wypadkiem, do którego doszło. Zupełnie jakby siły natury zmówiły się, gdzie i kiedy ma to nastąpić. Następstwo łańcucha zdarzeń, jak w tym starym wierszyku, który przypomniała nam pani Mackenzie. Łatwo jest powiedzieć „gdyby”... Gdyby pan Weston wyjechał ze stacji benzynowej parę minut wcześniej, gdyby nie było kolejki do kasy, gdyby tamta burza zdarzyła się w innym momencie... Można by tak wymieniać w nieskończoność, ale i tak w końcu musimy uświadomić sobie fakt, że żadna z tych rzeczy nie zdarzyła się w oderwaniu od innych. One następowały w pewnym ciągu, co w konsekwencji doprowadziło do tragedii. Przeto ogłaszam jedyny wyrok, który wydaje mi się słuszny, że w tym wypadku winą należy obarczyć jedynie nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

ROZDZIAŁ 52

Abi dumnym krokiem wyszła z budynku sądu, choć czuła się absurdalnie bliska łez. Ukradkiem zerknęła za siebie; nigdzie ani śladu Williama. Cholera! Tym razem pewnie na dobre wytrąciła go z równowagi. Raz jeszcze wyciągnęła na światło dzienne tamte brudne sprawy, mniej lub bardziej jasno dała do zrozumienia, że to ona ściagała Jonathana Gilliatta, choć do tej pory zaklinała się na wszystkie świętości, że to on zabiegał o jej względy.

Mimo wszystko nie wątpiła, że postąpiła we właściwy sposób. Jej oświadczenie było - w pewien zawołany sposób - publicznym zadośćuczynieniem, które była winna Laurze. Nie z powodu romansu z Jonathanem, choć cholernie żałowała tego ze względu na samą siebie, ale za to, co zrobiła tamtego pamiętnego wieczoru, podczas urodzinowej imprezy. Składanie zeznań okazało się naprawdę bardzo trudne, na pewne pytania musiała odpowiadać z zaskoczenia, ale nie pozwoliła sobie na ani jedno kłamliwe słowo.

Wróciwszy na swoje miejsce, uświadomiła sobie dwie rzeczy - po pierwsze, że William odwrócił się do niej plecami, i to tak wymownie, jak tylko potrafił, a po drugie, że Laura patrzyła prosto na nią, a jej spojrzenie, które napotkało spojrzenie Abi, było bardzo spokojne i pozbawione wrogości. Co prawda, nie okrasiała go uśmiechem, ale brak wrogiego nastawienia od razu dał się zauważyć. W jej oczach było coś na kształt wdzięczności i Abi wiedziała, co to oznacza. Laura odebrała wiadomość. Dostała potwierdzenie, że Jonathan naprawdę chciał owego dnia zakończyć ich romans.

W końcu jakoś zdołała naprawić zło, które wyrządziła Laurze. Mogła wreszcie uznać ten rozdział za zamknięty.

- Abi!

To był William. Jego twarz pociemniała z wściekłości. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim gniewie. Zawsze był opanowany, tak doskonale grzeczny...

- Tak, Williamie?

- Właściwie o co ci chodziło, do kurwy nędzy?!

Boże... Nigdy dotąd nie przeklinał. Przynajmniej ona nie słyszała w jego ustach prawdziwych, pełno-krwistych przekleństw.

- Nie mogę tutaj o tym rozmawiać.

- No to będziesz musiała cholernie prędko porozmawiać o tym gdzie indziej.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Bo ja chcę, żebyś mi odpowiedziała na pewne pytania!

- Jakie pytania?

- Och, na litość boską!

- Nie sądzę, żeby Pan Bóg miał z tym coś wspólnego. Williamie, proszę cię, zostaw mnie w spokoju. Na pewno musisz wydoić krowy albo rzucić okiem na jakieś zwierzęta...

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojego auta. Abi patrzyła, jak wsiada do land rovera i rusza z impetem. Widziała jego pustą, zaciętą twarz i z całych sił walczyła, żeby się nie rozpłakać.

A potem nagle uświadomiła sobie, co ją samą zaskoczyło, że musi porozmawiać z Williamem, spróbować mu coś wytłumaczyć, wreszcie powiedzieć - choć to całkiem beznadziejna sprawa - że bardzo go kocha. Nie mogła pozwolić, by te słowa pozostały niewypowiedziane. Skoro dziś już upokorzyła się wobec jednego mężczyzny, i to w obliczu tłumy na sali sądowej, równie dobrze może zrobić to dla drugiego, tym razem całkiem prywatnie.

Barney pomyślał, że chyba nigdy nie zdoła zapomnieć, jak opuszczał dziś budynek sądu - samotny jak palec. Chyba w całym swoim życiu nie czuł równie mocno, że jest zupełnie sam. Popatrzył na Toby'ego, który wsiadał do samochodu w towarzystwie jakiegoś faceta, wyglądającego na kierowcę; łajdak wciąż unikał jego spojrzenia, podobnie jak wtedy, gdy umykał z sali rozpraw. Pieprzony tchórz, w dodatku cholerny gnojek! Na samą myśl o tym dupku chciało mu się rzygać. Nadal czuł się upokorzony i wystrychnięty na dudka. Zgoda, w końcu Toby postąpił jak należy, ale nadal gotów był postawić Barneya pod ścianą, byle tylko ocalić własną cenną skórę. Najlepszy przyjaciel, psiakrew! Przyjaciel na całe życie. Barney wciąż nie mógł uwierzyć, że to tak się skończyło.

Ujrzał Abi, jak wsiadała do swojego auta. To nadzwyczajne, co powiedziała dziś w sądzie. W pewien sposób upokorzyła się przed wszystkimi, co świadczyło, że jest niesamowicie odważna. W dodatku seksowna jak wszyscy diabli. Ten Gilliatt musiał być cholernie opanowanym gościem, że odrzucił awanse takiej laski. Jego urocza blond żoneczka - dość tradycyjna, taka trochę w stylu Amandy - także wyglądała na taką, która jest całkiem niezła w swoim fachu. To znaczy w fachu żony, rzecz jasna... Amanda pewnie też byłaby taka... Ona...

- Cześć, miło cię widzieć. Ty jesteś Barney, tak? Co słychać?

Przed nim stał Mark Collins, chirurg, który tamtego dnia operował nogę Toby'ego. To było w innych czasach, w innym życiu... Wtedy, gdy miał tak dużo. Teraz nie zostało mu już nic.

- Cześć. Wszystko gra.

Nie chciało mu się z nim gadać. Prawdę mówiąc, z nikim nie chciało mu się gadać. I już nigdy nie będzie mu się chciało. Ale jakoś zdołał się uśmiechnąć i ucisnąć wyciągniętą ku sobie rękę.

- Widziałem tego twojego kumpla, Toby'ego. Całkiem niezłe chodzi.

- Tak, całkiem niezłe - skwitował krótko Barney.

- Czy to jego wesele już się odbyło? Zastanawiałem się nad tym któregoś dnia i myślałem, czy was tu zobaczę.

- Nie - powiedział Barney. - Nie odbyło się. Zostało odwołane. Tak całkiem i na zawsze.

- Rozumiem...

Widział, że Collins jest tak zaskoczony, że niemal zapomniał języka w gębie.

- Och, strasznie mi przykro... - wyjąkał po chwili. - A co z tobą? Czy ty także zrezygnowałeś z ożenku?

- Prawdę mówiąc, tak. Mój związek też się rozpadł.

- Rozumiem...

Collins wydawał się bardzo zakłopotany. Biedny skurczybyk! Myślał, że czeka go przyjemna pogawędka, a tu nagle wpakował się w sam środek czegoś, co przypominało odcinek kiepskiej opery mydlanej.

- Eee... Jak się miewa Emma? - odważył się zapytać Barney.

Sam był zaskoczony, że się na to zdobył, choć tak strasznie obawiał się usłyszeć odpowiedź.

- Och, doskonale. Z tego, co wiem, zamierza przenieść się na nowe terytorium, jak tylko uda jej się wszystko pozalátwiać.

- Naprawdę? A konkretnie dokąd? Może do Mediolanu?

- Co? Nie, Mediolan to już zamierzchła historia. Po prostu Emma szuka nowej pracy i jest niesamowicie podekscytowana pewną propozycją, która nadeszła ze Szkocji. Choć nie wiem, na jakim to jest etapie.

- Wspaniale. To znaczy, mam nadzieję, że dostanie tę robotę. Pozdrów ją... Właściwie... przypomnij jej o mnie, jeśli możesz.

- Jasne, Barney. Oczywiście, że przypomnę... Muszę już lecieć. Doktor Pritchard czeka na mnie. W każdym razie fajnie było cię spotkać.

- Ja też się cieszę... Pamiętaj, żebyś koniecznie ją pozdrowił.

- Zrobię to. Na razie! I już go nie było.

Co to miało znaczyć? Jak należy rozumieć, że „Mediolan to już zamierzchła historia”? Że związek z tamtym chłopakiem należy do przeszłości? A może... Może jedynie tyle, że on już nie przebywa w Mediolanie? Może jednak powinien do niej zadzwonić. Ale jeśli wciąż jest dziewczyną Luke'a? No cóż, chyba jego pozdrowienia dość jasno powinny jej dać do zrozumienia, że... że o niej nie zapomniał. Tak jakby mógł zapomnieć. Gdyby potrafił to sobie nakazać, po prostu zgrabnie pozbyć się tego czegoś, położyć kres, odrzucić precz...

Odrzucić precz coś, co stało się częścią ciebie, co zapuściło w tobie korzenie? Co oplóło twoje wspomnienia, splątało się z uczuciami, na zawsze zmieniło twój sposób postrzegania świata?

Gdyby tylko...

Wsiadł do samochodu i skierował się w stronę M4. Tej M4, na której tak wiele aspektów jego życia na zawsze uległo zmianie. Odtąd dźwięk tego słowa będzie w nim budził poczucie absolutnej rozpacz.

- Jak tam, kochanie? Miałaś dobry dzień?

Susan Andrews właśnie robiła marmoladę; ich dom promieniował ciepłem, zapachem smażonych owoców i serdecznością. Michael Andrews znów poczuł się tak, jak często czuł się po dniu spędzonym na słuchaniu smutnych opowieści o czyimś zmarnowanym życiu - że jest nadzwyczajnym szczęściarzem.

- Tak... Tak, raczej dobry. Tak mi się zdaje.

- Ale trudny?

- Nie, tak naprawdę wcale nie... Akurat tutaj było zupełnie oczywiste, co się wydarzyło. Chociaż tak, pod paroma względami ten dzień mnie zaskoczył. Niektórzy ludzie okazują się przy takich okazjach absolutnie nadzwyczajni. Zawsze to powtarzam, prawda?

- Tak, skarbie.

- Są dzielni i tchórzliwi, szaleni i mądrzy, lekkomyślni i ostrożni, a wszystko w jednym i tym samym czasie. To naprawdę nie do uwierzenia.

Susan Andrews popatrzyła na męża. Wyglądał na mocno zmęczonego.

- Chodź do kuchni, napijemy się herbaty - powiedziała. - Opowiesz mi o wszystkim.

Emma starała się nie myśleć przez cały dzień o toczącej się rozprawie, ale najpierw Alex, a potem Mark po powrocie przyszli prosto do niej, żeby podzielić się wrażeniami. Wymieniali rozmaite osoby, które

brały udział w katastrofie i były obecne na sali, w szczególności pamiętając o Patricku Connellu i oczywiście o Tobym.

- Zabawny z niego koleś, naprawdę - oświadczył Mark. - W jego zeznaniu pojawiły się jakieś nieścisłości, więc strasznie się nadymał. Ach, i oczywiście był tam ten twój przyjaciel.

- Mój przyjaciel? Kogo masz na myśli? - spytała.

- No wiesz przecież! Tego przystojniaczka, który miał być świadkiem. Przyprowadziłaś go na salę operacyjną w dniu, kiedy kroilem nogę Westona.

- Ach, on... No cóż, należało się spodziewać, że tam będzie.

- Miły facet - przyznał Mark, a potem jednym tchem nadmienił, że nie tylko wesele Toby'ego nie doszło do skutku, lecz również zaręczyny Barneya... Dodał, że Barney prosił, żeby serdecznie ją od niego pozdrowić. To zabolalo tak mocno, że Emma ledwie zdołała się opanować. Udając, że ma pilną robotę, czym prędzej uciekła do łazienki, żeby tam porządnie się wypłakać.

Więc Barney zerwał z Amandą, ale nawet nie próbował się z nią skontaktować. Ze wszystkich możliwych etapów odrzucenia ten wydawał się absolutnie ostateczny. Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Gdzie się podziało to niezwykle szczęście, ta natychmiastowa bliskość, ta całkowita pewność, że są sobie przeznaczeni? W porządku, ich związek nie trwał zbyt długo; wcale nie musiał trwać. To było jak pokaz sztucznych ogni; zaczęło się znikąd, i nagle ogarnęło wszystko - masywne, wybuchowe, zadziwiające, niemożliwe do zignorowania... A teraz... Co z tego pozostało? Nędzna petarda, która nie odpaliła; puste, żalosalne memento olśniewającego pokazu.

Teraz wiedziała z całkowitą pewnością, że Barney jej nie chciał. Gdyby chciał, toby zadzwonił. Nie było żadnego powodu, dla którego nie mógłby tego uczynić. Ot, była dla niego tylko przelotną miłośką, dobrą rozrywką - naprawdę niezłą, ale niczym więcej. Zaangażowanie było udawane, miłość z gruntu fałszywa. Pewnie teraz Barney gonił już za inną dobrze wychowaną i przyzwoitą panią, która bardziej pasowała do jego stylu życia.

Mogłaby poczuć się urażona, gdyby nie czuła się tak bardzo nieszczęśliwa. Zresztą może na to jeszcze przyjdzie czas, pomyślała z nadzieją. Na razie zachowywała się tak jak dziewczyny, którymi zawsze gardziła: czepiając się złudzeń miłości, nie potrafiła całkowicie się od nich oderwać. Emma, on odszedł. Skończ z tym wreszcie.

Ale nie skończyła. Nie potrafiła skończyć...

Abi przyjechała na farmę parę minut po szóstej. W oknach paliło się światło i mogła zobaczyć panią Grainger, jak krząta się po kuchni, a potem, schylona nad stołem, bez wątplenia przygotowywała jedną ze swoich wspaniałych potraw. William często opowiadał, co jedli na lunch albo obiad; był wielkim miłośnikiem domowego jedzenia. No cóż, jego matka najwyraźniej była znakomitą kucharką. Wspaniale. William nigdy nie będzie musiał przyzwyczajać się do tego, co ona mogłaby mu ugotować - spaghetti bolognese (zwykle przypalone), kotlety jagnięce (zawsze przypalone), sałatka z makaronu (co prawda nie przypalona, ale naprawdę bez smaku). Po dzisiejszym dniu William nie zechce mieć z nią nic wspólnego; pewnie nawet wycofa się z udziału w festiwalu, więc będą musieli znaleźć nową lokalizację, co Georgię wpędzi w chorobę psychiczną, i...

- Tak?

- Dzień dobry, pani Grainger.

Pochłonięta myśleniem o Williamie niemal nie zauważyła, że wysiadła z auta i zastukała do drzwi.

- Miss Scott?

- Tak, to ja. Bardzo przepraszam...

- Och, wszystko w porządku. Ale jeśli chciała się pani zobaczyć z Williamem, to obawiam się, że ma pani pecha. Wyszedł, żeby zrobić coś na farmie.

- Po ciemku?

- No cóż... Pewnie poszedł do jednego z budynków. Razem z ojcem.

- Rozumiem... Więc gdzie są, w mleczarni? A może w magazynie ze zbożem, czy może gdzie indziej?

- Tak sędzę.

- Ale nie wie pani dokładnie?

- Niestety, nie potrafię powiedzieć.

- Czy wie pani, kiedy mogą wrócić?

- Nie mam pojęcia. Jak zapewne zdążyła się pani zorientować... (Boże, cóż to za bezczelna baba, pomyślała Abi) ...praca na farmie nie trwa od dziewiątej do piątej po południu. Myślę, że najlepiej będzie, jak wróci pani do domu, a ja powiem Williamowi, że pani dzwoniła. Wtedy będzie mógł skontaktować się z panią w najbardziej dogodnym dla siebie czasie.

- Pani Grainger, ja naprawdę chcę się z nim zobaczyć.

- O, w to akurat nie wątpię.

Popchnęła drzwi, żeby je zamknąć, ale Abi zdążyła wsadzić nogę do środka.

- Proszę, niech mi pani powie, gdzie on jest! Naprawdę nie zajmę mu dużo czasu!

- Miss Scott, ja po prostu nie wiem...

W tym momencie przed dom zajechała stara, poobijana furgonetka. Wysiadł z niej pan Grainger.

Abi od razu wiedziała, że to on, choć do tej pory nie miała okazji go poznać. Po prostu wyglądał dokładnie tak jak William, albo tak, jak William mógłby wyglądać za trzydzieści parę lat. Kiedy ruszyła w jego stronę, popatrzył na nią z niezdecydowaniem.

- Dobry wieczór. Czy pan Grainger?

- Owszem. Dobry wieczór.

- Szukam Williama. Jestem jego koleżanką. Abi Scott. Być może William wspominał o mnie?

- Ach, tak! Pani jest tą młodą damą, która organizuje koncert. Jak idą przygotowania?

- Dziękuję, całkiem nieźle. Bardzo, bardzo się cieszymy, że ta impreza odbędzie się właśnie tutaj. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajdę Williama?

- Tak. Jest w biurze przy owczarni. Przed chwilą go tam zostawiłem, żeby skończył rachunki. Chce pani, żebym zadzwonił i sprawdził, czy przypadkiem gdzieś nie wyszedł?

- Eee... Chyba nie trzeba. Bardzo dziękuję. Wiem, gdzie to jest. Po prostu tam pojedę, żeby zamienić z nim parę słów, oczywiście, jeśli to panu nie przeszkadza.

- Bynajmniej. Chce pani tam jechać tym swoim eleganckim samochodem? Oj, chyba nie wyjdzie mu to na dobre.

Uśmiechnął się do niej i Abi pomyślała, że wydaje się całkiem sympatyczny. Na litość boską, jak on wytrzymuje z tą okropną, wredną staruchą?

- Na pewno da sobie radę. Bardzo panu dziękuję, panie Grainger. I pani także, pani Grainger - zawołała w stronę stojącej w drzwiach postaci. - Bardzo mi pani pomogła.

Pani Grainger odwróciła się i bez słowa weszła do domu. Mąż ruszył za nią.

- Sprawia miłe wrażenie - powiedział. - To bardzo przystojna dziewczyna, nie sądzisz? Zupełnie nie w tym typie, który zwykle podoba się Williamowi. Jak ci się zdaje, czy oni nadal kręcą ze sobą?

- Trudno powiedzieć - mruknęła pani Grainger.

Właśnie zabierała się do pieczenia chleba; miesiła ciasto z niezwykłą dla niej energią, niemal ze złością, pomyślał jej mąż.

Abi jechała pełną dróżką w stronę owczarni. Przez ten czas, gdy spotykała się z Williamem w domku numer jeden, zdążyła dość dokładnie poznać rozkład farmy.

Zrobiło się już całkiem ciemno, więc włączyła reflektory na pełną moc. Spod kół wciąż umykały przestraszone króliki, dlatego bez przerwy musiała hamować, żeby któregoś przypadkiem nie rozjechać. Williama zawsze to śmieszyło, pomyślała; kiedyś powiedział jej, że razem z bratem wyjeżdżali dżipem w nocy na pola, włączali długie światła, a potem strzelali do zaskoczonych królików, które w przerażeniu zastygały w blasku reflektorów.

- Co za okrucieństwo - zawołała wtedy z oburzeniem. - Jak mogliście! One są takie miłe...

- Abi, króliki są strasznymi szkodnikami - odpowiedział poważnie. - Jeśli człowiek nie panuje nad nimi, potrafią pożreć olbrzymie ilości zboża. Poza tym można z nich zrobić pyszny gulasz.

Jakieś inne małe zwierzę przemknęło tuż przed maską samochodu - Bóg jeden wie, co to było - a potem na dróżkę wytoczył się jeź. Zatrzymał się na samym środku, więc Abi musiała wyłączyć światła i cierpliwie poczekać, aż ucieknie w trawę. Nagle o przednią szybę niemal otarł się sporych rozmiarów ptak. Pewnie sowa, pomyślała. Za pierwszym razem, kiedy William pokazał jej sowę, była zdziwiona, jak wielka jest rozpiętość jej skrzydeł.

Tak wiele się przy nim nauczyła.

Wreszcie dotarła do owczarni. Biura znajdowały się na samym końcu, więc William nie miał szans jej zobaczyć, choć mógł usłyszeć nadjeżdżający samochód. Pewnie pomyślał, że wraca ojciec. Wyłączyła światła i wysiadła; natychmiast otuliła ją gęsta cisza. Z boku zahukała sowa - może nawet ta sama? - a z pobliskiego żywopłotu doleciał jakiś szelest. Sięgnęła po torebkę; czy to nie absurdalne, że zabrała ze sobą torebkę? William często dokuczał jej z powodu tej torebki, ale ona nosiła w środku komórkę i klucze; łatwiej było mieć je razem niż pilnować każdego z osobna. Postawiła pierwszy krok i od razu poczuła pod nogami coś miękkiego... Psiakrew, to nie błoto! Cholera jasna! Wdepnęła prosto w krowie łajno. W nikłym świetle, padającym od strony owczarni, mogła wszystko dokładnie obejrzyć - okrągłą, całkiem sporą kupkę gówna, i swój wysoki but na obcasie - nowy, drogi - zanurzony głęboko w gęstej, śmierdzącej brei... Przez chwilę stała bez ruchu, a potem pomyślała, że to wydarzenie ma symboliczny wymiar, bo ostatecznie sama także ugrzęzła w niezłym gównie.

Powoli wyciągnęła nogę i ostrożnie ruszyła w stronę budynku, uważając, żeby nie trafić na następną bombę. Krowy zwykle tędy nie chodziły, bo ta droga znajdowała się poza ich terytorium, więc może po prostu

wydostały się z pastwiska, na które wcześniej je zaprowadzono? Tylko... Abi zawsze sądziła, że o tej porze roku krowy trzymane są w oborze.

Bez dalszych przygód dotarła do drzwi, otworzyła je i zajrzała do środka. Wewnątrz było całkiem pusto, bo czas kocenia owiec jeszcze nie nadszedł, i bardzo cicho. Zamknęła za sobą drzwi i na paluszkach ruszyła w kierunku podświetlonych drzwi do pomieszczenia biurowego, w którym siedział William.

Gdy położyła rękę na klamce, nagle ogarnęło ją przerażenie. A jeśli obrzuci ją obelgami, zacznie na nią wrzeszczeć... Albo ją uderzy... Jeśli tak postąpi, nie będzie mogła mieć mu tego za złe. Potem przyszło jej do głowy, że tego typu zachowanie zupełnie nie licuje z jego łagodnym charakterem; zresztą, cokolwiek się wydarzy, ona i tak nie może poczuć się gorzej niż teraz. Zadowolenie na myśl o własnej szlachetności, które obudziło się w niej po zeznaniach w sądzie, zdążyło rozwiać się bez śladu. Teraz czuła się nieszczęśliwa i bardzo niepewna siebie.

Ostrożnie uchyliła drzwi. William siedział przy biurku, odwrócony do niej plecami. Chyba nawet nie usłyszał, jak wchodziła, bo był całkowicie pochłonięty przeglądaniem stosu jakichś formularzy; w pewnej chwili westchnął ciężko i odsunął je na bok, a następnie przecesał palcami włosy.

- Cześć... - odezwała się cicho. - Cześć, Williamie...

Podskoczył jak oparzony i w mgnieniu oka okręcił się na krześle; pomyślała, że wygląda na całkowicie porażonego. Nie zdziwionego, tylko właśnie porażonego. Może nawet przerażonego, jeśli już miała być całkiem szczerą.

- Cześć - powtórzyła.

- Cześć...

Jego głos był matowy, bezbarwny.

- Przyszłam... Przyszłam, żeby się z tobą zobaczyć.

- Widzę.

- Chciałam... Chciałam porozmawiać.

- Naprawdę nie wydaje mi się, żebyśmy mieli o czym rozmawiać.

- Owszem, Williamie. Mamy o czym.

- Nie, Abi, właśnie że nie! Mam już po uszy wysłuchiwanie twoich kłamstw, wymówek i fałszywych trosk! Bądź tak łaskawa i wyjdź stąd, dobrze? Jestem bardzo zajęty.

- Nie. Nie pójdę, dopóki nie powiem ci tego, co mam do powiedzenia.

- Ale nie rozumiem, po co masz w ogóle cokolwiek mówić. I tak ci raczej nie uwierzę.

- Możesz chociaż... spróbować...

Spojrzała w dół, na swój bucik. Widok był ohydny: zielonobrazowe krowie łajno zaczęło już obsychać, pokrywając paskudną skorupą brzegi miękko wyprawionej skóry.

- Umm... Czy masz tu kawałek papieru toaletowego albo coś w tym stylu? Albo może pójdę do toalety.

- Po co?

- Wlazłam w krowie łajno. Tuż przed wejściem.

- Tak?

W jego tonie zabrzmiał kompletny brak zainteresowania. Abi poczuła ukłucie paniki.

- Tak. Sama byłam zdziwiona. Bo kiedyś chyba mówiłeś, że o tej porze roku trzymacie krowy w oborze.

- Kilka sztuk trzymamy na dworze przez całą zimę. W ramach eksperymentu. Żeby zobaczyć, czy się uda...

Nagle urwał.

- Czy co się uda?

- Abi, ty przecież wcale nie interesujesz się krowami. Ani życiem na farmie. Ani mną, jeśli już do tego doszliśmy. Zwłaszcza moja osoba guzik cię obchodzi. To tylko cholerne udawanie, a ja nie umiem sobie z tym poradzić. Teraz idź do łazienki, wyczyść ten cholerny but, a potem zabieraj się stąd. Bardzo proszę.

No cóż, to zabrzmiało dość kategorycznie. Sprawa się wyjaśniła. Tym razem spieprzyła wszystko, aż do końca... Trudno nawet sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby przedrzeć się przez ten mur obojętności. Braku zaufania... Faktycznie, lepiej stąd odejść. Ale przynajmniej próbowała. Zdobyła się na działanie.

Poszła do łazienki, zdjęła but, usiadła na sedesie, i zaczęła go wycierać papierem. Czowała się słaba i bezradna. Jej oczy wypełniły się łzami. Boże, ale ze mnie idiotka, pomyślała. Głupia, żałosna, beznadziejna idiotka. Przecież on w końcu musiał ją zniechęcić. Naprawdę zniechęcić. Teraz musiała jedynie wycofać się, zachowując resztki godności. Godność... Cenny drobiazg, którego pozbyła się tego samego ranka podczas rozprawy w sądzie, oznajmiając wszem wobec: „Tak jest; to ja miałam ochotę na tego mężczyznę. Na tego żonatego mężczyznę. To ja za nim biegałam, chociaż on wcale mnie nie chciał”. Wszyscy musieli mieć niezły ubaw...

Wstała i weszła do biura. William najwyraźniej znów zagłębił się w treść leżących przed nim dokumentów, bo nawet nie podniósł głowy.

- Niech tak będzie - odezwała się. - Bądź zdrow, Williamie... Bardzo... Bardzo tego żałuję.

- Jestem pewien, że tak - odpowiedział sztywno, a potem nagle coś w nim pękło. - Na litość boską, czemu powiedziałaś dziś to wszystko? Dlaczego? W dodatku przed tymi obcymi ludźmi! Przede mną, jakbyś chciała mnie w to wrobić, mówiąc każdemu, że... Że chciałaś, żeby to trwało... Że zamierzałaś ciągnąć ten gówniany układ, i to po tym wszystkim, co on ci zrobił! Kochasz go jeszcze, czy co? Niczego nie rozumiem...

- O Boże - powiedziała. - Nie, pewnie, że go nie kocham. Nienawidzę go z całego serca. Chętnie bym popatrzyła, jak ktoś wieszka go za jaja.

- To dlaczego?...

- Williamie, to bardzo skomplikowane. Zawsze czułam się fatalnie na myśl o tym, co zrobiłam tamtego wieczoru. Dobrze wiesz, o czym mówię. To nie była jej wina, to znaczy Laury. Mówisz, że przeze mnie ta sprawa nie dawała ci spokoju; a co ja zrobiłam Laurze? I jej dzieciom? To było naprawdę okropne. I nagle dziś pomyślałam... Po prostu przyszło mi do głowy, że jest pewien sposób, dzięki któremu może choć trochę uda mi się naprawić to, co zepsułam. Że muszę dać Laurze do zrozumienia, że jej podły, niegodziwy mężulek - do prawdy nie wiem, jak ona może z nim wytrzymać po tym, co zrobił - ...że on naprawdę tamtego dnia chciał ze mną zerwać. Że chciał się mnie pozbyć. Że nasz romans właśnie się zakończył. Ja... Ja czułam, że jestem jej to winna. To wcale nie było takie łatwe - dodała szybko.

- Skąd mam wiedzieć, że to prawda? - zachnął się. Nieprzyjemny, ostry wyraz wykrzywił jego twarz; ta twarz z pewnością nie należała do uprzejmego, delikatnego Williama.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie był rodzaj... Powiedzmy, rodzaj wezwania, żeby ściągnąć go z powrotem? Żeby znów zaczął o tobie myśleć? Abi, poczęstowałaś mnie taką ilością kłamstw na temat tego faceta, na temat waszego związku. Czy naprawdę spodziewasz się, że jeszcze w cokolwiek uwierzę? Potem wciskałaś mi jakieś bzdury o tym, jak fatalnie się czujesz z powodu tamtego dzieciaka i czy, moim zdaniem, powinnaś tam zadzwonić. Na litość boską, zadzwonić do niego! Dręczyłaś mnie opowieściami, jak przeraża cię myśl o dzisiejszej rozprawie... Psiakrew, to trwało w nieskończoność. A ty wydawałaś się nie mieć bladego pojęcia, jak to okropnie boli, jakie to dla mnie przykre... Zawsze byłaś tylko ty, ty, ty! A tak mimochodem, dzisiaj nie wyglądałaś na bardzo przestraszoną, wręcz przeciwnie; byłaś bardzo spokojna i opanowana. Powiedziałbym, że niemal sprawiało ci to radość. Byłaś gwiazdą przedstawienia.

- To straszne, co mówisz.

- Straszne było zrobić coś podobnego. A teraz już odejdz, z łaski swojej. Zostaw mnie samego.

Przeszła już niemal całą długość owczarni, postukując obcasami o kamienną podłogę, kiedy nagle stanęła jak wryta. Psiakość, w biurze została jej torebka. Ale głupio wyszło. Teraz będzie musiała wrócić, wejść do biura, znów stanąć twarzą w twarz z Williamem, zmierzyć się z jego niechęcią do niej, z jego posępną, przytłaczającą wrogością. Coś okropnego. Właściwie mogłaby zostawić tę torebkę, ale w środku zostały kluczyki od auta,

Bez nich nie zdoła dotrzeć do domu. Na paluszkach, najciszej jak to możliwe, zawróciła w stronę biura i ostrożnie nacisnęła klamkę.

- Przepraszam - powiedziała. - Williamie, bardzo przepraszam, ale...

Zamilkła, bo okazało się, że William już nie zajmuje się dokumentami, że siedzi z głową ukrytą w splecionych na biurku rękach; popatrzył na nią, i wtedy zobaczyła, że płacze.

- Och, Williamie... - szepnęła, czując że łzy zamazują jej pole widzenia. Przysunęła się do niego, pochyliła i lekko dotknęła dłonią jego ramienia. - Williamie, ja...

- Przestań - powiedział i odwrócił się w drugą stronę, żeby nie mogła dostrzec jego twarzy. - Nie dotykaj mnie.

- Ale...

- Nie! Oszaleję, jeśli to zrobisz.

- W porządku.

Bardzo wolno, niemal z ociąganiem, cofnęła się i już miała odejść, ale wtedy on nagle złapał ją za rękę i przytrzymał, spoglądając na tę rękę ze zdumieniem, jakby zastanawiał się, skąd w ogóle tam się wzięła. Odwrócił ją, dłonią do góry, pochylił się niżej i przywarł do niej ustami; przez chwilę całował ją słodko i bardzo czule, a potem...

- Chryste... - wyszeptał. - Boże, Abi, kim ty jesteś?

Wtedy podniosła ku sobie jego głowę i wpiła się w jego usta desperackim, namiętym pocałunkiem; ogarnięta szaleństwem rozgniatała wargami jego wargi, jęcząc i niemal płacząc z obudzonego nagle pożądania, a potem usiadła mu okrakiem na kolanach, on zaś podciągnął do góry jej sweterek i jego usta znalazły się na jej

piersiach, liżąc je, drażniąc i wywołując lawinę rozkosznych dreszczy. Po chwili uniosła się, jednym szarpnięciem pozbyła się spódnicy i majteczek, i znów go dosiadła, a on bez wahania wbił się w jej ciało, wzbudzając ogromne, palące fale pełnej słodczy przemocy, i przyjemność tak potężną, że niemal graniczącą z bólem, i tak dogłębną, że wydawała się wręcz niemożliwa do zniesienia. Szczytowanie nadeszło tak prędko, że było to aż zdumiewające, choć czuła, że on także w ciągu tych paru chwil zdołał osiągnąć orgazm. Potem oparł głowę na jej piersi i oboje trwali tak jeszcze przez długi, długi czas, który zdawał się nie mieć końca. Wreszcie poczuła, jak on wzdycha - raz, a później drugi.

- Nie powinienem był tego robić - powiedział przytłumionym głosem. - Wybacz.

- Owszem, powinieneś! Było cudownie, niesamowicie przyjemnie! Tak długo na to czekałam...

- Tak długo? - zdziwił się. - Przecież nie mogłaś...

- Mogłam, mogłam - zawołała. - I to tak bardzo, że ledwo mogłam wytrzymać. Chciałam tego za każdym razem, kiedy cię widziałam, i...

- Więc ty także! - wykrzyknął i nagle wybuchnął tym swoim cudownie radosnym chichotem. - To takie... Takie okropnie głupie...

- Co miałaś na myśli, że ja także? Chyba nie chciałeś powiedzieć, że ty też miałaś na mnie ochotę?

- Owszem - odparł. - I to wielką ochotę, ty durna krowo.

- Nie nazywaj mnie durną krową!

- A dlaczego nie? To przecież komplement. Wiesz chyba, jak bardzo kocham moje dziewczynki.

- Rzeczywiście. No dobrze, mów dalej.

- Abi, to doprowadzało mnie do szału. Pożądałem cię jak cholera, ale myślałem, że ty mnie nie chcesz, że uważasz mnie za... za... Właściwie nie potrafiłem określić, za kogo mnie uważasz. Za głupka, który wiecznie przegrywa, jak przypuszczam.

- Za głupka?! Jak mogłeś myśleć w ten sposób...

- A niby dlaczego nie. I tak myślałem. A dzisiaj...

- Wielki Boże! - zawołała. - Williamie, tak strasznie mi przykro z powodu dzisiejszego dnia. Ja naprawdę...

- Przestań to powtarzać, bardzo cię proszę! Pozwól, niech ten dzisiejszy ranek wreszcie przeminie. Proszę. To mnie tak denerwuje, jeszcze nawet teraz. Nie chciałbym...

- Dobrze. Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Coś okropnego, oczywiście, pod pewnym względem... Nie wiem, co z tym począć, więc postanowiłam, że ci powiem, tak po prostu.

- Jezu - jęknął i wyraz jego twarzy natychmiast uległ zmianie. Teraz pojawiła się ostrożność i coś, co niemal przypominało przestraszenie. - Abi, w twoim życiu jest jakiś mężczyzna, tak? Czy właśnie to...

- Jakiś mężczyzna?! Że też coś takiego w ogóle mogło ci przyjść do głowy? Nigdy nie będzie nikogo innego - ani teraz, ani kiedykolwiek. Kocham cię, Williamie. Tylko to chciałam ci powiedzieć. Ja... Ja po prostu cię kocham.

- Ty... Co takiego?

W jego głosie zabrzmiał tak dziwny ton, takie niedowierzanie graniczące z przerażeniem, że sama poczuła się przestraszona, ale już nie było odwrotu. Musiała mówić dalej, upewnić się, że on dobrze ją zrozumiał, bo tylko wtedy będą mogli uczynić krok w jakimś kierunku - wszystko jedno w jakim.

- Powiedziałam, że cię kocham, i że nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. Nie obchodzi mnie, że nie chcesz o tym słyszeć. Kocham cię, Williamie. Bardzo, bardzo cię kocham. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo. Ale jeśli mnie już nie chcesz - nie mogę cię winić, jeśli tak jest - to przysięgam, że już nigdy nie zbliżę się do ciebie. Masz na to moje słowo.

- Psiakrew, lepiej nie przysięgaj - powiedział poważnie.

Serce w niej zamarło; poczuła nieznośny ciężar w piersi i wielkie rozczarowanie.

- Już więcej nie będę - obiecała. - Ja tylko...

- Nie, do jasnej cholery - przerwał jej. - Ja miałem na myśli jedynie to, żebyś nie przysięgała, że więcej się do mnie nie zbliżysz. Czy myślisz, że ja chcę cię stracić, ty głupia, okropnie głupia kretynko? Czy uważasz, że ja cię nie chcę?

- No bo... Ja przecież...

- Abi, powiedz to jeszcze raz. Mów to bez przerwy. Nie mogę się dość nasłuchać...

- Dobrze. - Natychmiast się rozchmurzyła. - Bardzo proszę, Williamie. Kocham cię. Naprawdę cię kocham. Wcześniej nigdy nikomu tego nie mówiłam, z wyjątkiem mojego tatusia. Och, i może tego chłopaka, o którym kiedyś ci wspominałam - tego, który...

- Zamknij się wreszcie - jęknął. - Nie mam zamiaru słuchać o żadnych twoich chłopakach.

- Przepraszam, ja tylko starałam się być szczerą. Tak całkiem i do końca szczerą. Kocham cię, Williamie, kocham cię od tamtego pierwszego dnia, jak sądzę, tyle że...

- Przecież nie mogłaś mnie wtedy kochać - odparł, wpatrując się w nią uważnie.

- Ale tak było. Jeśli masz na myśli to, jak się zachowywałam, to... Po prostu byłam piekielnie głupia. Zresztą chyba o tym wiesz. Ale nie zważaj na to, tylko uwierz, że naprawdę cię kocham. Kocham w tobie wszystko. To, w jaki sposób patrzysz, jak rozmawiasz i jak się śmiejesz, i kocham uprawiać z tobą seks... Bardzo, bardzo kocham... Tak po prostu... Och, nie śmiej się, Williamie. Nie kpij sobie ze mnie. To wcale nie jest śmieszne, raczej żalodne, naprawdę, kiedy siedzę tu całkiem nago i mówię ci takie rzeczy, a ty nie dalej jak pół godziny temu całkiem jasno dałeś mi do zrozumienia, że ani trochę mnie nie lubisz.

- To chyba jasne, że cię nie lubię - powiedział z niecierpliwością. - Bo cię kocham, Abi. Naprawdę kocham. Teraz już nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Właśnie dlatego byłem taki nieszczęśliwy i potraktowałem cię dość... dość wrogo. Ja... Och, do diabła, nie sądzisz, że najwyższy czas, żebyś ze mnie zesłała? Ciarki łożą mi po nodze.

- Ty... Ty też mnie kochasz?

- Przecież przed chwilą ci to powiedziałem. Wiesz chyba, że jestem dość prostym chłopakiem. Nie wdaję się w żadne skomplikowane sprawy.

Abi wstała. Czuła się bardzo dziwnie. Dziwnie i słabo.

- Okay, przepraszam za te ciarki. Może... Może przeniesiemy się na tapczan? A może moglibyśmy... Dlaczego się śmiejesz, Williamie? Nie rozumiem, co cię tak śmieszy.

- Ty - odparł. - Szkoda, że sama siebie nie widzisz.

- Wielkie dzięki.

- Ależ proszę. Goła od pasa w dół, z wyjątkiem butów na obcasach, z których jeden jest cały w krowim łajnie. Jednym słowem, strój bardzo stosowny do okoliczności, doprawdy.

Spojrzała na siebie i uśmiechnęła się.

- Nic dziwnego, że zaczyna mi być zimno - powiedziała.

- Wyglądasz, jakbyś już zmarzła. Chodź... - Podeszedł do drzwi i zdjął z haka wielką, zieloną płachtę. - Okryjemy się tym oboje.

- Co to jest? Wygląda jak płaszcz przeciwdeszczowy.

- Bo to jest płaszcz przeciwdeszczowy. Używamy go do... Zresztą, wszystko jedno. Nie chcę cię zniechęcić.

- Ale on śmierdzi.

- Tak, podobnie jak ja, przynajmniej przez większość czasu. Nie zawsze jestem świeżo wykąpany i ogolony, jak wiesz. Będziesz musiała się przyzwyczaić do różnych zapachów. Oczywiście, jeśli zamierzasz zostać żoną farmera.

- Co takiego?!

- Żoną farmera. Bo ja nie zamierzam porzucać swojego życiowego powołania. Nawet dla ciebie.

- Powiedziałeś żoną?

- Tak powiedziałem. Wydaje mi się, że to najlepsze rozwiązanie. Chyba że ty uważasz inaczej.

- Williamie... Williamie, ale ja przecież nie potrafię gotować.

- No to się nauczysz.

- I strasznie mi żal tych biednych królików.

- Będziesz musiała jakoś to przeboleć.

- I lisów.

- Z tym także na pewno sobie poradzisz.

- Nie jestem szykowną, elegancką dziewczyną.

- To dobrze.

- Och, Williamie, to będzie cudownie wyjść za ciebie za męża. Naprawdę, naprawdę cudownie!

- Dla mnie to też coś cudownego. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko. - Naprawdę cudownego. A teraz może moglibyśmy... Wydaje mi się, że... No tak, ktoś tutaj idzie. Ktoś wszedł do owczarni. Mmm... Cześć, mamó.

W progu stanęła pani Grainger, ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy, zarzucony na głowę szal i zielone kalosze. Popatrzyła na Abi - na jej nagość, na potargane włosy, na rozmazany makijaż i buty na wysokim obcasie, wymazane krowim łajnem.

- Cześć, Williamie - odpowiedziała.

- Mamó, mam dla ciebie wspaniałą nowinę. Abi właśnie zgodziła się wyjść za mnie za męża.

Tak właśnie wygląda szczęście, pomyślała Mary, uśmiechając się do Russella: przytulny pokój, grube zasłony, które oddzielają człowieka od zimnej nocy, wielki dzbanek jaśminowej herbaty na półce nad komin-

kiem, trzaskające na palenisku drwa, koncert Haydna w radiu - czy raczej w jakimś najnowszej generacji urządzeniu nagłaśniającym, który zainstalował tu jej mąż - nowy jedwab na obicia ścienne, leżący na jej stoliku do szycia, i Russell, który z ukontentowaniem małymi łykami popijał swojego bourbona, przeglądając jednocześnie broszurki z biur podróży, żeby zaplanować ich wiosenną podróż do słonecznej Italii. A przy rozgrzanym kominku dwa najnowsze nabytki do wspólnego gospodarstwa: zwinięte w kłębek i drzemiące rozkosznie perskie kociaki.

Jakże była szczęśliwa, jak szczęśliwi byli obydwój, że tak wiele zostało im dane w tak późnym wieku, i że pod żadnym względem nie spotkało ich rozczarowanie.

- Tak świetnie sobie dziś poradziłaś, Wróbelku. Teraz żałuję, że tam nie poszedłem, bo byłbym z ciebie bardzo dumny.

- Och, nie bądź śmieszny, nie ma z czego być dumnym.

- Tak mówisz, a Georgia powiedziała, że wyrecytowałaś przed sędzią stary dziecięcy wierszyk.

- To był koroner.

- Przepraszam najmocniej. Oczywiście, że koroner.

- Na litość boską, z jakiego powodu Georgia w ogóle z tobą rozmawiała?

- Mówiła, że podobno powiedziałaś jej, że byłem zmęczony, co ją zaniepokoiło. Wiesz, Wróbelku, ludzie naprawdę zaczną myśleć, że jestem jakimś inwalidą albo zniedołężniałym staruszkim, jeśli wciąż będziesz opowiadać im takie rzeczy.

- Jak ktokolwiek mógłby pomyśleć, że jesteś zniedołężniałym staruszkim, skoro wyglądasz tak kwitnąco i młodo? - Mary podeszła do męża i cmoknęła go w czubek głowy. - Ale tego wierszyka nie wyrecytowałam słowo w słowo.

- Georgia powiedziała, że tak.

- Zgoda, może tak. W każdym razie, koronerowi chyba się to spodobało, bo zacytował fragment w końcowym oświadczeniu, które zresztą było bardzo udane. Powiedziałam, że mam wyrzuty sumienia, bo nie przepuściłam w kolejce tamtego młodzieńca - chodzi o pana młodego - koroner zaś, który okazał się bardzo miłym, dobrze wychowanym człowiekiem, uspokoił mnie, że nie powinnam się zadręczać, bo to pewnie nie miało żadnego znaczenia... Mimo wszystko uważam, że jednak mogło mieć znaczenie, ale... Wiesz, Russell, ten koroner był naprawdę świetny w swoim fachu; wszyscy wychodzili stamtąd w znacznie lepszym nastroju, niż przyszli, nawet biedne rodziny tych, którzy zginęli.

- To dobrze. Georgia też była w lepszym nastroju?

- W znacznie lepszym. Potraktował ją w bardzo delikatny sposób.

- To dobrze. Wygląda na to, że to fajny gość.

- Rzeczywiście fajny.

- To była najwyraźniej dobra robota. Och, mój kochany Wróbelku, powiedz mi, czy niczego nie żałujesz?

- Czy nie żałuję? - spytała ze zdumieniem. - Oczywiście, że nie. Jeśli już, to tego, że nie połączyliśmy się wcześniej... Ale wtedy to było całkiem niemożliwe, prawda?

- Nie, jeśli wszystko miało się rozegrać wedle twoich reguł gry. Gdyby to zależało ode mnie, teraz byłibyśmy ze sobą sześćdziesiąt lat zamiast sześciu miesięcy.

- Wiem, wiem... Ale mimo to czuję, że postąpiliśmy właściwie.

Uśmiechnęła się, patrząc w ogień. Na początku wojny miała siedemnaście lat, Donald dziewiętnaście. Zakochała się w nim bez pamięci i gdyby wówczas ktoś powiedział jej, że zakocha się w kimś innym, toby mu nie uwierzyła. Pewnie by powiedziała, że jej serce jest już zajęte, a przyszłość z góry ustalona. Ale mimo to nie zdołała się oprzeć urokowi Russella i teraz postanowiła mu o tym powiedzieć.

- Jednak oparłaś się, Wróbelku, prawda? Doskonale potrafiłaś okiełznać moje zapędy.

- No tak. Chociaż bardziej chodziło mi o... O dochowanie wierności Donaldowi, jak mi się zdaje. Był taki moment, że niewiele brakowało, abym zmieniła zamiar, ale potem, jak wiesz...

- Wiem. Nadeszły listy.

Listy od Donalda, który siedział w obozie dla jeńców wojennych we Włoszech, i pisał, że przy życiu trzyma go jedynie świadomość, że ona gdzieś tam jest i na niego czeka...

- Tak. Nie mogłam przecież sprawić mu zawodu, prawda?

- Nie wierzę, że byłabyś do tego zdolna. Nie ktoś taki jak ty.

- Zresztą ostatecznie okazało się, że byłam szczęśliwa, i ty też byłeś szczęśliwy. A teraz mamy siebie. Te ostatnie miesiące były naprawdę urocze. Po tak długim czekaniu. Warto było czekać.

- Naprawdę warto... A teraz, Mary, chciałbym wiedzieć, czy masz ochotę pojechać najpierw do Rzymu, a potem do Florencji, czy raczej odwrotnie? Pamiętaj, że przedtem musimy spędzić jeden miesiąc w Nowym Jorku. Mocno się napracuję, więc później należy mi się przyzwoity odpoczynek. Może powinniśmy wynająć jakąś willę na wzgórzach toskańskich, żeby mieć bazę i stamtąd bez pośpiechu robić sobie wycieczki, dokąd tylko nam się spodoba... Moglibyśmy wynająć kierowcę. Albo pojechać pociągiem z jednego miasta do drugiego. To może być piękna podróż.

- Moim zdaniem, każda wersja będzie urocza. Czy naprawdę będziesz musiał siedzieć w Nowym Jorku przez cały miesiąc i zabijać się pracą? Jestem pewna, że Morton doskonale sobie poradzi, nawet jeśli będziesz tam krócej...

- Mary, na początku kwietnia jest zaplanowane wielkie zebranie akcjonariuszy. Moja obecność tam ma zasadnicze znaczenie i musimy się do niego dobrze przygotować.

- Russell kochanie, ale może ty jednak nie musisz. Ostatnio jesteś taki przemęczony, nawet mieszkając tu na wsi...

- To wyłącznie dlatego, że o mało nie złapałem grypy. Normalnie nigdy nie bywam zmęczony, jak dobrze wiesz.

- Oczywiście, że nie, skarbie... Myślę, że ta willa to doskonały pomysł. Chociaż...

- Tak? - Russell uśmiechnął się do niej. - Powoli zaczynam poznawać to twoje „chociaż”.

- No wiesz, kochanie, możemy po prostu zostać tutaj. Wiosna w Anglii jest naprawdę urocza, a ja nie potrafię wyobrazić sobie nic przyjemniejszego niż siedzenie w ogrodzie, wspólne spacerowanie i... I to wszystko, co możemy robić wspólnie. Na przykład możemy słuchać ptaków, wiosną tak ślicznie śpiewają, i... Och, chciałam ci już wcześniej powiedzieć; wydaje mi się, że drozdy założyły gniazdo na jabłonce. Widziałam, jak pan drozd

albo pani drozdowa latały tam i z powrotem, znosząc małe gałązki... Poza tym musimy przypilnować te nasze niedobre kociaki; nie chcemy przecież żadnych tragedii... Potem możemy patrzeć, jak z cebulek wyrastają kwiaty... Nigdy nie wiadomo, co gdzie wyrośnie, więc to może okazać się bardzo ekscytujące... Później zakwitną drzewa w sadzie, i... Ale oczywiście, jeżeli nastawiłeś się na wyjazd do Włoch, to...

- Chyba już się nastawiłem, kochany Wróbelku. Jeszcze mamy przed sobą mnóstwo lat, żeby cieszyć się wiosną w Anglii, a ja tak bardzo chcę pojechać razem z tobą do Włoch. Ja...

Mary właśnie schylała się nad swoimi jedwabiami, oddzielając niebieskie od zielonych; nie patrzyła na Russella, więc nie widziała, jak jego twarz nagle się zmieniła i jak uderzył się w pierś. Nie dostrzegła przerażenia w jego oczach ani nie zauważyła, jak wolno zapadł się w głąb krzesła. Jedyne, co do niej dotarło, to dziwny dźwięk, na wpół przypominający płacz, a na wpół sapanie. Gdy poderwała się z miejsca, on już tracił przytomność, więc nigdy nie dowiedziała się, czy docierało do niego, że ona kołysze w ramionach jego głowę i szepcze mu do ucha, że bardzo, ale to bardzo go kocha.

ROZDZIAŁ 53

To był udar; masywny wylew krwi do mózgu, jak jej powiedzieli. Gdyby Russell kiedykolwiek wyzdrowiał, byłby sparaliżowany i prawdopodobnie nie mógłby mówić. Ani się uśmiechać, myślała Mary; już nie będzie miała okazji ujrzeć tego cudownego, inteligentnego i kochanego uśmiechu, olśniewających, błękitnych oczu, gęstych, białych jak mleko włosów, starannie wypielęgnowanych dłoni, dumnie wyprostowanych pleców. Na zawsze przeminął prędko, zdecydowany krok, energiczne odwracanie głowy, zwyczaj zapominania o całym świecie, gdy siedział w bibliotece, pożerając książkę za książką, przyzwyczajenie do absurdalnie starannego składania różnych rzeczy, na przykład papierowych serwetek, szalika czy egzemplarza „Wall Street Journal”. Jakże często dokuczała mu z tego powodu. Sposób, w jaki wybuchał śmiechem - najpierw powoli, niemal z oporami, a potem odrzucając w tył głowę, gdy całym sercem oddawał się radości, zabawie, żartom...

Już nie usłyszy jego głosu, wcale nie głębokiego, właściwie nawet dość wysokiego, lecz niezwykle jasnego w brzmieniu, gdy wołał ją po sto razy dziennie, ponieważ lubił wiedzieć, gdzie jest i co porabia, choć wcale nie chodziło o to, by wciąż jej towarzyszyć, lecz raczej, by szybko ją odnaleźć gdyby zaszła taka potrzeba.

- Gdzie jesteś, Wróbelku? - wołał z holu, kuchni czy swojego gabinetu, ona zaś odpowiadała, czasem ze zniecierpliwieniem, ponieważ lubiła robić to, co akurat sprawiało jej przyjemność.

Boże, ile bym dała, żeby on teraz mnie zawołał, żeby kazał mi się odezwać, myślała, wracając pierwszego dnia ze szpitala do domu, do tego ciepłego, wypełnionego martwą ciszą domu. Teraz mogła pójść, dokąd tylko zechciała - z pokoju do pokoju, z domu do ogrodu i poza ogród... Nikogo to nie obchodziło, nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Russell umarł spokojnie i najwyraźniej bez cierpień, dokładnie w dwadzieścia cztery godziny później, w obecności Mary, która trzymała go za rękę; ponad wszystko miała nadzieję, że był świadomy jej obecności. Pielęgniarki zapewniały ją, że tak było.

Siedziała przy nim nieustannie.

- W dzisiejszych czasach tacy ludzie już się nie rodzą - zauważyła jedna z pielęgniarek, spoglądając na małą, wyprostowaną jak struna postać Mary, na jej wzrok utkwiony w twarzy Russella, i doprawdy miała rację, jak orzekł pewien doktor.

Ich pokolenie rzeczywiście było wyjątkowe; miało odwagę spoglądać przez sześć długich lat na zło, które wyrządzał im okrutny wróg, lecz mimo to pozostało nieugięte, wspaniałe, wrażliwe, skore do radości.

Gdy w końcu zmogło ją zmęczenie, namawiali ją, żeby się przespała, ale ona za nic nie chciała opuścić pokoju, w którym leżał Russell, więc przyniesiono dla niej łóżko, żeby mogła być przy nim. Spała niespokojnie, zrywając się co godzinę, by sprawdzić, czy on nie odszedł; bała się tego tak bardzo, że niechętnie wychodziła nawet do łazienki.

- On nie odejście bez ciebie, Mary - zapewniała pielęgniarka oddziałowa. - Poczeka, aż wrócisz; oni zawsze tak robią, dają słowo.

Ale Mary jej nie wierzyła i za każdym razem, gdy wymykała się z pokoju, wracała dręczona wyrzutami sumienia, że w tej najczarniejszej godzinie ich wspólnego życia nie zajmowała się mężem jak należy.

Ktoś powiedział jej, że zmysł słuchu zamiera jako ostatni, więc od czasu do czasu starała się przemawiać do niego; mówiła, jak bardzo go kocha, jak szczęśliwa była u jego boku, jak cudowne było te kilka miesięcy, które spędzili razem.

- Pojadę do Włoch, mój ukochany... Pojadę nawet bez ciebie. Będę patrzyła twoimi oczyma na te wszystkie cuda, bo wiem, że tak sobie życzyłeś... A potem zobaczę, jak rozkwita wiosenny ogród, jak w sadzie jabłonie obsypują się kwiatami, a kiedy dzieci drożdów wylecą z gniazda, będę wiedziała, że część twojej duszy pozostała tutaj na zawsze.

Co jakiś czas jego palce zaciskały się na jej dłoni, a wtedy sztywniała, bo wydawało jej się, że on do niej wraca. Raz miała wrażenie, że próbuje przemówić; innym razem na wpeł się uśmiechnął. Ale w końcu opuścił ją na zawsze; długo, długo oddawał ostatnie tchnienie, aż wreszcie poczuła, i nikt nie musiał o tym jej mówić, że znów została sama - sama w tym pokoju i sama na świecie.

Naturalnie wszystkie jego dzieci natychmiast przyjechały; były pogrążone w głębokiej żałobie, ale zgodnie powtarzały, że w tym wypadku śmierć jest prawdziwym błogosławieństwem, bo wiadomo, że Russell z pewnością bardzo by się zmienił, i że jego życie stałoby się godne pożalowania. Poza tym na szczęście nie cierpiał; śmierć okazała się szybka, tak miłosiernie szybka... Mary słuchała tych słów, cierpliwie kiwała głową, uśmiechała się, czasami płakała, lecz w głębi serca myślała, że to był ich ojciec, nie ich mąż; że już od dawna nie był centrum świata żadnego z nich. Im łatwiej było to mówić.

Dzieci Mary również przyjechały; Christine skruszona i najwyraźniej bardzo smutna, Douglas zaszkwany, a Tim i Lorraine bardzo, bardzo zmartwieni. Całą gromadą zebrali się przy niej i zapewniali o swojej miłości, lecz żadne z nich nie potrafiło jej pocieszyć, uleczyć rany, jaka powstała w jej sercu.

Powtarzała sobie, że zaledwie rok temu Russell był dla niej tylko autorem listów i miłym wspomnieniem z przeszłości. Wtedy to całkiem ją zadowalało, więc będzie musiało wystarczyć i teraz. Ale to nie była prawda, bo od tamtej pory wiele się zmieniło; miłość, hojność i energia Russella na powrót obudziły w niej chęć do życia, a nawet otworzyły przed nią całkiem nowe perspektywy. Przyzwyczała się do jego głosu, który

przemawiał do niej w ciemności, do jego obecności w łóżku, do uśmiechu, jakim ją witał z samego rana, do pocałunku na dobranoc, do jego widoku przy stole, do ramienia, na którym mogła się oprzeć podczas spaceru. Nauczyła się czerpać radość z ciągłych pomysłów i sugestii, sprzeczek i pojednań, ze świadomości, że jest kochana i doceniana.

Pogrzeb był skromny, jedynie w gronie rodziny - z wyjątkiem Connellów, którzy właściwie stali się rodziną - i w tym samym malutkim kościółku, w którym odbyły się ich zaślubiny. Maeve myślała, że chyba nie zniesie widoku Mary, stojącej samotnie obok pokrytej kwiatami trumny, kiedy zaledwie przed trzema miesiącami stała w tym samym miejscu w charakterze szczęśliwej oblubienicy Russella. Mary była dzielna, bardzo dzielna zapłakała tylko raz, kiedy do środka wnoszono trumnę - ale zaraz się pozbierała i dotrwała do końca uroczystości.

Morton mówił o mądrym i cudownym ojcu, który był dla niego całym światem; później przemawiał Tim - w zwięzłych słowach o nowym dziadku, który tak niedawno pojawił się w jego życiu, ale którego nauczył się kochać i szanować.

- ...i który uczynił moją babcię szczęśliwą kobietą. Nam nigdy nie wydawali się starzy; uważaliśmy ich za cudowną parę, która wreszcie się odnalazła i rozpoczęła nowe życie. Zawsze będziemy go wspominać i w jego zastępstwie opiekować się babcią.

A potem Russell po raz ostatni opuścił kościół i został pochowany na małym, przykościelnym cmentarzyku. Mary stała, spoglądając w głąb grobu, i sprawiała wrażenie całkiem opanowanej, nawet wtedy, gdy trzeba było rzucić na trumnę garść ziemi. Szybko odeszła z cmentarza, wspierając się na ramieniu Tima. Przy niesiony przez nią bukiet kwiatów włożono do grobu, razem z krótkim, wruszającym liścikiem: „Russell, dziękuję ci za wszystko. Kocham cię”.

Morton został z nią parę dni, Coral i Pearl nieco dłużej, bo ponad tydzień; Mary była zadowolona z ich towarzystwa, lecz jeszcze bardziej cieszyła się, kiedy wyjechali. Chciała mieć dom tylko dla siebie, żeby przeżywać żałobę i dogłębnie zbadać własne uczucia. Dom wydawał się teraz bardzo duży, bardzo pusty i bardzo milczący, ale w każdym pokoju dawało się wyczuć obecność Russella.

Jednym z najtrudniejszych zadań było spakowanie jego ubrań, które zajmowały ogromną garderobę: przechowywał tam dosłownie tuziny garniturów - więcej, niż Donald zdążył kupić przez całe życie, myślała Mary - a oprócz tego marynarki, spodnie, koszule... Szuflady wypełnione były po brzegi krawatami, swetrami, paskami i piżamami z jedwabiu, bez których Russell nie potrafiłby zasnąć, jak mówił. Weszła tam pewnego popołudnia, i patrzyła na należące do niego rzeczy, przypominała sobie, jak razem je kupowali - przynajmniej niektóre - jak Russell w nich chodził, zastanawiając się, od czego zacząć porządkowanie i czego pozbyć się w pierwszej kolejności... A potem uznała, że w ogóle nie musi niczego zaczynać. Ostatecznie rzeczy Russella mogły tu leżeć tak długo, jak długo jej to odpowiadało.

Tę samą zasadę zastosowała w przypadku gabinetu i znajdujących się tam bezsensownych gadżetów, z których część ledwie parę razy była używana, większość zaś w żaden sposób nie mogła się jej przydać. W końcu zadzwoniła do Timothy'ego i powiedziała, żeby przyjechał i zabrał to, na co będzie miał ochotę. Resztę zatrzymała.

To także było częścią Russella, ta nadmierna obfitość rzeczy... Dlatego stała się teraz częścią jej samej.

Codzienna rutyna okazała się wielce pomocna; Mary rano chodziła na spacer, wieczorami oglądała telewizję w towarzystwie pary kociaków - co także było dla niej źródłem pociechy - i zdobywała się na wysiłek, by obejrzeć przynajmniej część ogromnej kolekcji filmów na DVD, którą Russell sprowadził do domu, mówiąc, że będą się jej podobały; popołudniami grywała na pianinie, które było ostatnim podarunkiem, jaki od niego otrzymała. Kontakt z instrumentem uspokajał ją bardziej niż cokolwiek innego, więc znalazła nauczycielkę, pełną entuzjazmu sześćdziesięcioletnią Genevieve, która przyjeżdżała do niej dwa razy w tygodniu, sprawdzała, czego Mary nie potrafi, a potem układała dość forsowny program utworów i wprawek. Co więcej - jeśli Mary nie poświęciła dość czasu na ćwiczenie, Genevieve nie pocieszała jej, że to nie ma znaczenia, tylko groziła, że jeśli do następnej lekcji nie nastąpi poprawa, ona zrezygnuje z prowadzenia zajęć. Zapisła Mary na egzamin z fortepianu trzeciego stopnia (pierwszy i drugi stopień Mary zaliczyła jako dziecko) i zamówiła bilety na parę koncertów w Bath, na które miały wybrać się razem, żeby Mary „posłuchała, jak to się powinno grać”.

Mary, choć często płakała w czasie gry, czuła też, że to zajęcie pomaga jej bardziej, niż byłaby skłonna uwierzyć.

Bliscy zachowywali się wobec niej bardzo serdecznie: Tim i Lorraine zaglądali raz w tygodniu, zazwyczaj wieczorem, czasami w weekend, a Christine przyjeżdżała nawet dwa razy - raz, żeby zabrać matkę na targ, gdzie jak wiedziała, Mary bardzo lubiła jeździć, a drugi, żeby zjeść z nią lunch u siebie w domu. Pewnego dnia postanowiła wytłumaczyć się ze swojej wrogości wobec Russella, ale Mary ją powstrzymała.

- Kochanie, przyjechałaś na nasz ślub i to było cudowne; potem ty i Russell staliście się przyjaciółmi, więc nie chcę dłużej rozmawiać na ten temat.

Wszyscy powtarzali jej, że zachowuje się bardzo dzielnie; wtedy Mary myślała, że powinni widzieć ją nocami, jak wypłakuje swoje żale, a czasem nawet z rozpaczą zanosi się łkaniem.

Inni także składali jej wizyty; Georgia była tak wstrząśnięta i płakała tak bardzo, gdy Tim do niej zadzwonił - na weselu zawiązała się między nimi głęboka przyjaźń, wzbudzająca zazdrość Lorraine - że jej matka przestraszyła się, że dotknęło ją jakieś straszne nieszczęście.

- Bo to jest straszne - zawodziła Georgia. - Russell umarł, a ja właśnie wybierałam się do nich z wizytą, i to w następnym tygodniu! A teraz już nigdy go nie zobaczę. Nie mogę znieść tej myśli!

- Nie zobaczysz go już nigdy, Georgia, ale Mary też go nigdy nie zobaczy. To właśnie jej przytrafiło się coś strasznego i myślę, że to przede wszystkim ona ma prawo uważać, że tego nie zniesie. Lepiej odwiedź ją, dotrzyмай jej towarzystwa, opowiedz o swoim życiu, wyciągnij na spacer - właśnie to możesz teraz dla niej zrobić.

- Wiesz, Jack - powiedziała potem do męża, wzdychając ciężko. - Czasami mam wrażenie, że Georgia zatrzymała się w rozwoju na etapie sześciolatniego dziecka.

Zgodnie z sugestią matki Georgia zatelefonowała do Mary. Mary odpowiedziała, że jeśli przyjedzie pociągiem, to ona wyśle po nią samochód na stację w Bath. Georgia nie chciała sprawiać kłopotu, więc podziękowała i wsiadła do autobusu, który dwa razy dziennie kursuje do Tadwick, w związku z czym przyjechała spóźniona o półtorej godziny. Mary była już pewna, że Georgia w ogóle nie przyjedzie; próbowała pocieszyć się grą na fortepianie, co okazało się dość szczęśliwym pomysłem, ponieważ Georgia wygrzebała ze zbiorów

Russella jakiś stary zeszyt z piosenkami i spędziły bardzo udane popołudnie - Georgia śpiewała, Mary jej akompaniowała.

- No dobrze - powiedziała Georgia, kiedy obie poczuły się zmęczone. - Możemy odhaczyć *Oklahomę* i *My Fair Lady*. W następnym tygodniu bierzemy się do *Annie Get Your Gun* i *Carousel*. Jak sądzisz, poradziła-byś sobie ze Scottem Joplinem? To prawdziwa frajda!

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się Mary. - Ale, kochanie, w następnym tygodniu pozwól, że przyślę po ciebie samochód. Będziemy miały więcej czasu; może uda się jeszcze pójść na spacer?

Wizyta Georgii bardzo poprawiła Mary nastrój; stanowczo zażądała żeby zabrać ją na koncert.

- Naprawdę? Wielkie nieba, Mary! To byłoby... Po prostu cudownie! - odparła Georgia z lekkim powątpiewaniem. - Ale wiesz... Tam będzie dosyć głośno... Właściwie nawet bardzo głośno... Poza tym będzie tłum ludzi.

- No to świetnie. Uwielbiam, jak jest głośno i jak dookoła kręcą się ludzie. Tim i Lorraine na pewno się mną zajmą, a może poproszę o to Connellów? Przypuszczam, że też przyjadą. Nie zostanę długo i na pewno nie piszę się na nocleg pod namiotem, ale bardzo chciałabym tam być.

- Wiesz, jesteś absolutnie fajną osobą - odparła Georgia i cmoknęła ją w policzek.

Dwa dni później nadszedł list od Mary, a w środku był czek na tysiąc funtów.

„Mówiłaś, że szukacie sponsora, który mógłby wesprzeć wasz festiwal. Może te pieniądze nie zrobią wam wielkiej różnicy, ale a nuż przydadzą się na wydrukowanie plakatów albo coś w tym stylu. Wiem, że Russell na pewno chciałby ci pomóc. On tak bardzo kochał młodych ludzi, podobnie jak ja, i zawsze starał się ich wspierać. Prawdę mówiąc, wyobrażał sobie, że ma talent do śpiewania i tańca jednocześnie, więc mogłabyś dostać więcej niż to, na co liczyłaś. Proszę, przekaz to swojemu komitetowi jako znak mojego zainteresowania; bardzo mi przyjemnie, że mogę się zaangażować, choćby w tak skromnej formie”.

- Cholera! - zawołała Abi, kiedy Georgia jej o tym powiedziała. - Tysiąc pieprzonych funciaków! Cholera!

Georgia czuła, że to nie jest odpowiedź, jakiej Mary mogła się spodziewać, ale pomyślała, że na pewno doceniłaby jej szczerść.

Kolejną osobą, która ku wielkiej radości Mary przyjechała w odwiedziny, była Emma. Wieść o śmierci Russella mocno ją przygnębiła.

„Nigdy w życiu nie zapomnę, jak spotkaliśmy się tamtego wieczoru w Dorchester - pisała w liście do Mary. - Pomyślałam wtedy, że to bardzo przystojny facet. To był dla mnie zaszczyt, że mogłam uczestniczyć w waszym weselu. Jeśli chcesz, żebym do ciebie zajrzała, proszę, daj mi znać. Jeśli nie, po prostu szczerze odpowiedz”.

Mary odpisała Emmie, że miło będzie znów ją zobaczyć.

„Jeśli masz ochotę, przyjedź do mnie na lunch, kiedy będziesz mogła. Tak bardzo chciałabym się z tobą spotkać”.

Emma przywiozła wielki bukiet żonkili i zmartwiła się, kiedy ujrzała, że cały podjazd po obu stronach jest obsadzony właśnie tymi kwiatami.

- To zupełnie jak wozic węgiel do Newcastle.

- Wcale nie - odparła Mary, biorąc od niej żonkile i prowadząc do kuchni, gdzie pani Salter już szykowała wielki, biały dzbanek. - Nienawidzę ich zrywać, bo tak szybko więdną, więc cudownie będzie wstawić do wazonu te, które przywiozłaś.

- Powiedzmy... - zauważyła Emma lekko wąpiącym tonem. - W takim razie bardzo się cieszę. Wielki Boże, ależ cudowny zapach!

- Masz na myśli żonkile, kochanie? Nigdy nie mogłam doszukać się w nich szczególnego zapachu.

- Nie, nie, mam na myśli chleb! Pani piecze chleb, prawda? - dodała, zwracając się do pani Salter.

- Tak jest.

- Moja mama zazwyczaj piekła chleb, kiedy wszyscy zjeżdżaliśmy się do domu - powiedziała Emma. - Sama nigdy nie piekłam, choć częściowo wiem, jak to się robi. Tylko że nigdy nie mam na to czasu.

- Czasu zawsze starczy, gdy będzie pani miała swoją własną rodzinę - zauważyła pani Salter.

Emma skinęła głową i uśmiechnęła się uprzejmie; prawdopodobieństwo, że ten problem w najbliższym czasie zacznie jej dotyczyć wydawało się tak niewielkie, że wręcz można nie brać go pod uwagę; jedyna osoba, która wchodziła w rachubę jako potencjalna głowa owej rodziny, w najmniejszym stopniu nie troszczyła się o jej uczucia, ona zaś nie miała ani siły, ani energii, by rozejrzeć się za kimś innym. Cholerny Barney! Niech go diabli wezmą! Czula się tak, jakby rzucił na nią czar, odbierając zdolność do nawiązania normalnych seksualnych i emocjonalnych więzi. Musi w końcu o nim zapomnieć. Po prostu musi.

Mary zaproponowała, żeby po lunchu pospacerowały po ogrodzie.

- Trochę się spodziewałam, że ujrzę cię na tej rozprawie - powiedziała, biorąc Emmę pod rękę.

- Och... Ja w zasadzie nie miałam z tym nic wspólnego.

- Był doktor Pritchard. Jego zeznanie było wręcz znakomite, tak doskonale wyważone... Cóż to za uroczy człowiek.

- Tak, bardzo sympatyczny. Wiesz, że jest szczęśliwy z Lindą? To ta pani, która przyjechała z nim na twoje... Twoje...

Zawahała się, wyraźnie pełna obaw, żeby nie wzbudzić w starszej pani niepotrzebnych emocji.

Mary uśmiechnęła się i pogłaskała ją po ramieniu.

- Na moje wesele. Emmo, nic nie uszczęśliwia mnie tak bardzo, jak myśl o tamtym dniu. Nic. Piękne wspomnienia to wspaniała sprawa.

- Tak, rzeczywiście - odparła Emma i odruchowo westchnęła, myśląc przy tym, jak bardzo jest samolubna. - Przepraszam.

- Kochanie, czy masz jakieś zmartwienia? Wyglądasz na zmęczoną.

- Nie, nie, wszystko jest okay, naprawdę! Cóż... Może jestem trochę zmęczona. Praca na Oddziale Pomocy Doraźnej jest dość ciężka, a przez cały zeszły tydzień miałam nocne dyżury. Musi minąć trochę czasu, zanim po czymś takim człowiek wróci do formy.

- Jestem pewna, że tak. Zastanawiam się, czy miałaś wieści od Georgii i od tych dwóch młodych ludzi. Narzeczoną nazywał się pan Weston, jeśli dobrze pamiętam, a jego świadek Barnaby jakoś tam...

- Fraser?

- Tak jest! Oczywiście obydwaj też tam byli. I dobrze, bo dzięki temu mogłam jakoś się przed nimi usprawiedliwić, co uważałam za swój obowiązek. Zawsze czułam, że to ja ich zatrzymałam, bo jak wiesz, nie zgodziłam się przepuścić pana Westona w kolejce do kasy. Potem Barnaby wyraził uznanie dla pewnej osoby i myślę, że mogło chodzić o ciebie.

- O mnie?!

- Tak, skarbie. Oczywiście to wcale nie znaczy, że mam rację, ale on mówił o kimś z personelu medycznego szpitala, kto pomógł mu uporać się z poczuciem winy, że akurat on wyszedł z tej całej katastrofy bez jednego zadrapania. Wydaje mi się, że jest jakieś wyrażenie na tego typu przypadłość...

- Tak, jest. To się nazywa poczucie winy ocalonego.

- No właśnie. A później Georgia powiedziała, że tak cudownie się z nią obchodziłaś, że byłaś taka uprzejma i cierpliwa.

- Ale chwileczkę! - Emma poczuła, że oblewa się rumieńcem. - Pamiętasz może, co dokładnie powiedział?

- Czekaj, niech się zastanowię... Tak naprawdę to niewiele więcej. Ale wydaje mi się, że pomyślałam, że to ty, ponieważ użył słowa „ona”. „Ona bardzo mi pomogła”, tak powiedział.

- No cóż, może wcale nie chodziło o mnie. Ja... To znaczy... O Boże!

W jednej chwili zalała ją fala wspomnień - przypomniała sobie te pierwsze rozmowy z Barneyem, podczas których starała się go pocieszyć i natchnąć dobrą myślą co do stanu zdrowia przyjaciela, i tamten rozstrzygający dzień operacji Toby'ego, kiedy wszystko się zaczęło...

Nagle jej oczy wypełniły się łzami.

- Przestań, proszę! Nie wolno płakać! - Mary spoglądała na nią z troską. - Albo raczej płacz, ile masz ochotę, zawsze uważałam, że łzy bardzo nam pomagają, tylko potem opowiedz mi o wszystkim, co cię dręczy. Może wrócimy już do środka, co? Pani Salter usmażyła trochę placuszków z jęczmiennej mąki; na pewno są pyszne...

- Lepiej, żebym za często nie przyjeżdżała tu w odwiedziny, bo wkrótce stanę się tak wielka jak ten dom. - Emma uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie sądzę, kochanie, żeby ci to groziło... Ale jeżeli naprawdę boisz się przytyć, to następnym razem dostaniesz szklankę wody i kilka suchych biskwitów. A teraz chodź, najwyższy czas wracać; jeśli chcesz, mogę pożyczyć ci chusteczkę do nosa, jest całkiem czysta.

- To takie strasznie głupie - płakała Emma. - To znaczy, dlaczego nie mogę o nim zapomnieć i ruszyć dalej?

- Pewnie dlatego, że sprawa nie została we właściwy sposób zakończona - odpowiedziała ostrożnie Mary. - Rozeszliście się z myślą, że to trwało zaledwie parę tygodni, ale że bardzo się kochacie...

- Że bardzo się kochamy? On z pewnością wcale mnie nie kocha.

- Skąd wiesz?

- Mary, przecież gdyby mnie kochał, próbowałby skontaktować się ze mną. Wie, że już nie jestem z Luke'em. To mój poprzedni chłopak, z którym byłam tamtego wieczora w Dorchester. A ja wiem, że on rozstał

się z Amandą. Więc... Jeśli chciałby się ze mną spotkać, na pewno by zadzwonił. Albo próbował skontaktować się w jakiś inny sposób.

- Może on myśli dokładnie tak jak ty. Dlaczego nie odezwałaś się, skoro wiesz, że z Amandą wszystko skończone?

- On nie wie, że ja wiem.

- Wydawało mi się, jak mówiłaś, że powiedział o tym temu twojemu koledze lekarzowi?

- No... Tak.

- A więc?

- Mary, mogłabym przecież wyjść na straszną idiotkę! A jeśli tam już jest ktoś inny?

- Czy to naprawdę ma znaczenie? Aż tak wielkie znaczenie? Zresztą człowiek robi w życiu o wiele gorsze rzeczy.

Emma się zastanowiła.

- Może nie ma znaczenia. Ale to ryzykowne.

- Emmo, większość wartościowych spraw wymaga ryzyka. Jak wiesz, sporo ryzykowałam, spotykając się z Russellem po tylu, tylu latach. To mogło wszystko zepsuć, zepsuć nasze cudowne wspomnienia. Mogło być po prostu okropnie... Ale zdecydowałam, że jednak warto. Zadzwon do Barneya, dobrze ci radzę. Najgorsze, co może cię spotkać, to że dowiesz się, że już cię nie kocha - wtedy będziesz to wiedziała na pewno. I zrobi ci się trochę głupio. Ale przynajmniej będziesz mogła ruszyć z miejsca.

- Tak, Mary, ale od tamtej pory minęło już czasu! Upłynęły całe miesiące, odkąd się spotkaliśmy. Jeśli nawet mnie lubił, to do tego czasu z pewnością mu przeszło.

- Moja droga - zauważyła delikatnie Mary. - Russell o mnie nie zapomniał ani nie przeboleł naszego rozstania, podobnie jak ja. Czekaliśmy na siebie ponad sześćdziesiąt lat... Miłość potrafi przetrwać, jak wiesz. Nawet całą wieczność, jeśli tak trzeba.

ROZDZIAŁ 54

To było zdumiewające. Wciąż nie mogła w to uwierzyć: że związała się z nim całkiem na poważnie, widuje go przez cały czas, sypia z nim... To wydawało się wręcz niemożliwe. A jednak...

Cała sprawa zaczęła się na dobre w dzień po rozprawie w sądzie. Zaprosił ją na drinka - znowu - a kiedy powiedziała, że nie ma czasu, odparł, że bardzo mu zależy, że chociaż na chwilę...

- Georgia, chcę się dowiedzieć, jak ci wczoraj poszło. Przez cały dzień o tobie myślałem.

Poczuła się wzruszona tym, że tak się o nią troszczył.

- No cóż... W porządku. Chodźmy na jednego szybkiego drinka. I dziękuję za zaproszenie.

Próby odbywały się w centrum Chiswick, więc zabrał ją do baru przy High Road - nie do zwykłego pubu - i nalegał, że postawi jej koktajl. Była przyjemnie zaskoczona, lecz starała się nie przypisywać temu zbyt wielkiego znaczenia. Może teraz, kiedy został pierwszym asystentem, po prostu miał więcej pieniędzy?

Opowiedziała mu o śledztwie, nie pomijając żadnego szczegółu; ryzykowała, że go znudzi, ale postanowiła nie zawracać sobie tym głowy. Dobrze było z kimś pogadać, a jej już nie zależało, żeby wywrzeć na Merlinie piorunujące wrażenie.

- To może paraliżować, takie przeżywanie wszystkiego jeszcze raz, w dodatku publicznie - powiedział.

- Co za okropne doświadczenie.

- Owszem, zwłaszcza, gdy musiałam wyjaśniać, dlaczego... No, dlaczego stamtąd związałam. Ale wiesz, w sumie to okazało się najlepsze ze wszystkiego, bo teraz naprawdę czuję, że wreszcie mam to za sobą.

- No cóż... To dobrze dla ciebie - powiedział, a potem dodał z takim zawstydzeniem, na jakie mógł zdobyć się ktoś pokroju Merlina: - Wiesz co, Georgia... Uważam, że jesteś wspaniałą dziewczyną.

- Och, na litość boską - odparła, lekko poirytowana taką przesadną pochwałą. - Nic podobnego. Jestem słaba, nieudolna i bojaźliwa. Ze wszystkich ludzi akurat ty wiesz o tym najlepiej. Pamiętasz, jak płakałam i marudziłam przy którymś odcinku *Moving Away*, że wszyscy mnie nienawidzą i że na pewno nie poradzę sobie z tą rolą? Naprawdę, Merlin, daleko mi do wspaniałości.

- Ale chyba mam prawo wyrazić swoją opinię. - Uśmiechnął się do niej. - Masz ochotę na powtórkę?

- No... Właściwie czemu nie?

Kiedy wrócił, wzięła głęboki oddech i zdobyła się na odwagę.

- A co słyhać u Ticky?

- Wszystko w porządku. Świetnie sobie radzi. Naprawdę świetnie.

- To dobrze.

Odniosła wrażenie, że gdzieś tam w tle pozostało niedopowiedziane „ale”; nawet nie śmiała snuć przypuszczeń, czego mogło dotyczyć.

- Tak, świetnie. Doskonale jej idzie w Nowym Jorku... Ale... Wreszcie nadeszła ta chwila.

- Ale ona... I ja... Cóż, już nie jesteśmy razem.

- Nie jesteście razem... Och, Merlin, jakże mi przykro. Bardzo przykro!

Miał tak nieszczęśliwą minę, że naprawdę zrobiło jej się go żal. Nawet w najmniejszym stopniu nie czuła się zadowolona. Chociaż... Może w bardzo malutkim...

- Tak, sama wiesz, że cholernie trudno jest utrzymywać związek na odległość, zwłaszcza na różnych kontynentach. To po prostu... Po prostu w pewnym momencie przestało się nam udawać.

Jeśli komukolwiek przestało się udawać, to z pewnością tą osobą była Ticky, pomyślała Georgia. Na pewno nie Merlin. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Westchnął ciężko.

- Oczywiście bardzo za nią tęsknię. Tęsknię jak diabli. Chociaż... Tak naprawdę nigdy nie byliśmy razem. Właściwie nie... Więc w zasadzie to żadna nowość.

- A ja przypuszczam, że jednak spora nowość - odparła Georgia i znów powtórzyła, że bardzo jej przykro.

- Jesteś taka słodka - odpowiedział. - I taka miła. Jesteś bardzo sympatyczną osobą, Georgia.

Na chwilę zamilkł, a potem dodał:

- Mam nadzieję, że w czasie, gdy kręciliśmy *Moving Away*, nie miałas wrażenia, że ja... No, wiesz, że próbuję cię podrywać. To znaczy, wcale cię nie podrywałem. Naprawdę lubiłem przebywać w twoim towarzystwie i miałem nadzieję, że choć trochę ci pomagam. Ale po tym party pomyślałem, że może...

- Ależ Merlin, oczywiście, że nie! - zawołała, a kiedy ich oczy się spotkały, w jej wzroku kryło się absolutne zaskoczenie. - Nic podobnego! Byłam taka szczęśliwa, że mam obok cudownego przyjaciela. Naprawdę cudownego. Kogoś w rodzaju starszego brata, że tak powiem. Ale... Chryste Panie, taka myśl nawet nie przeszła mi przez głowę.

Jeśli kiedykolwiek dostanę Oscara, pomyślała, to na pewno nie za to, że zagram coś lepiej niż dzisiaj.

W niedługim czasie Merlin postanowił zaangażować się w organizację festiwalu. Od początku uważał, że to wspaniały pomysł, i był naprawdę zafascynowany tym, co do tej pory udało im się osiągnąć. Przy okazji wyszło na jaw, że zna mnóstwo zespołów, w których grają jego przyjaciele - „to znaczy, w większości niezwiązani żadnymi kontraktami, ale...”.

- Właśnie szukamy takich, co nie są związani kontraktami, chociaż mamy nadzieję, że uda się też znaleźć parę zespołów, które zagrają podczas imprez towarzyszących, które organizujemy. Muszę przyznać, że nasze ulotki wywołały niezły odzew...

- Tak, z tymi ulotkami to był całkiem mądry pomysł.

- Prawda, że tak? Ale wciąż potrzebujemy kogoś z pierwszych stron gazet... Czy znasz kogokolwiek, kogo choć w przybliżeniu można uznać za osobę znaną?

Merlin zastanawiał się chwilę.

- Możliwe. Sprawdź, co da się zrobić.

Trzy dni później Georgia zadzwoniła do Abi.

- Abi, Abi, nigdy w to nie uwierzysz, ale mamy BroadBand! Mogą zagrać ósmego! Więc możemy utworzyć stronę www i nadać bieg...

- O rany! O mój Boże! BroadBand?! Jak, jakim cudem...

- Wiesz, chyba sprawdziło się to powiedzenie - beztriosko wtrąciła Georgia - nieważne, co umiesz, ważne, kogo znasz.

Merlin przyszedł na następne zebranie komitetu. Abi początkowo odniosła się do niego bardzo podejrzliwie - prawdę mówiąc, powiedziała Georgii, że jej zdaniem facet sprawia wrażenie kompletnego palanta. Georgia w dość nieprzekonywujący sposób starała się go bronić.

- Wcale nie jest taki, Abi! Jest słodki i bardzo miły. Naprawdę.

- Według mnie wcale nie jest ani słodki, ani miły, skoro odnosi się do ciebie w taki sposób.

- Nie, nie! Ty niczego nie rozumiesz. On wcale się do mnie nie odnosi źle, a już na pewno nie tak, jak myślisz. Naprawdę chce nam pomóc, sam mi o tym powiedział i przeprosił, jeśli poczułam, że... No, sama wiesz...

- Że próbował się tobą zabawić?

- Ale się nie zabawił. Zawsze zachowywał się jak dżentelmen, słowo honoru! Zawsze! Nigdy niczego mi nie sugerował...

- Ja tam nigdy nie lubiłam dżentelmenów - zauważyła Abi.

- Ale wychodzisz za mąż za jednego z nich, co?

Abi przez chwilę milczała, a potem uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Tak. Przynajmniej tak sądzę. Boże, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Wiesz, Georgia, on kupił mi najcudowniejszą na świecie suknię... Teraz jest u krawcowej, żeby dopasowała ją do mojej figury. Jest naprawdę przepiękna. Zwracam ci uwagę, że będę najgorszą żoną farmera, jaka kiedykolwiek istniała. Nie znam się na gospodarstwie i Bóg jeden wie, jak się dogadam z teściami. Zwłaszcza z tą wstrętną babą.

- Abi, w problemach z teściową możesz liczyć na moje wsparcie. Prawdę mówiąc, w problemach z czymkolwiek na tej planecie. Jestem pewna, że świetnie sobie poradzisz.

Abi w końcu polubiła Merlina; potrafił ją rozśmieszyć i z pewnością wiedział mnóstwo na temat organizacji festiwalu.

- Moi rodzice mieli zwyczaj zabierać mnie co roku na festiwal do Glastonbury. Uwielbiałem tam jeździć. To było coś w rodzaju raju dla dzieci, wszędzie było pełno błota, ale nikt nie zaganiał mnie do kąpieli. Czy pomyśleliście o czymś, co można zaproponować dzieciakom?

- Na przykład o czym?

- Choćby o malowaniu twarzy albo splataniu jakichś ozdób, albo innych tego typu rzeczach... To zawsze poprawia atmosferę, no i przy okazji można zarobić dodatkowe pieniądze.

- Nie, nikt na to nie wpadł, a to naprawdę świetny pomysł.

- Poza tym możecie sprzedawać namioty, oczywiście takie małe, i jakieś nieprzemakalne peleryny, i inne drobiazgi.

- Tak... Pamiętam, jak ktoś wspominał o kocach... - mruknęła Abi.

- Owszem, koce są absolutnie niezbędne. Nie wiem, co sądzicie na temat jedzenia, ale w zeszłym roku wybrałem się do Reading, i tam mieli taki wielki garnek z paellą, która perkotała na ogniu, a klienci podchodzili i dostawali po pełnej miseczce, co było jakąś alternatywą dla hamburgerów, i to naprawdę cieszyło się wielkim powodzeniem. Aha, przypomniało mi się coś jeszcze: możecie zrobić CD z nagraniami z festiwalu. To wcale nie musi dużo kosztować, naprawdę; mam koleś, który zajmuje się takimi rzeczami. Zresztą ty też go znasz, Georgia. To Jazz.

- Och, naprawdę? Jazz to świetny chłopak - powiedziała Georgia do Abi. - Na pewno go polubisz. To właściciel domu, w którym mieszkam.

- Płyty CD to znakomity pomysł - orzekła Abi, skrobiąc coś zawzięcie. - Jesteś prawdziwym skarbem, Merlin. Masz same dobre pomysły.

- Co sądzisz na temat Merlina? - spytała później Williama.

- Moim zdaniem, jest w porządku. Może odrobinę zbyt zniewieściały. Nie za bardzo spodobały mi się te jego bransoletki.

- Tak... Może lubi skakać na obie strony.

- Co to znaczy? - Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

Abi przez chwilę wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, a potem pochyliła się, żeby złożyć na jego ustach pocałunek.

- Williamie - szepnęła. - Tak bardzo cię kocham. Jesteś taki... No, taki cudowny.

William od razu się poddał.

Po tym wydarzeniu sprawy nabrały tempa. Merlin odwiózł Georgię do Londynu, zaprosił do knajpki, a potem do klubu. Kiedy taksówka zatrzymała się przed jej domem, pocałował ją na dobranoc - całkiem niewinnie.

- Georgia, czy nadal postrzegasz mnie tylko jako starszego brata?

- Oczywiście.

- W porządku. W takim razie dobranoc.

- Dobranoc, Merlin. Jeszcze raz dziękuję. Nie tylko za wieczór, ale za to, że w ogóle dziś przyjechałeś.

- Nie ma sprawy. Widzimy się w poniedziałek.

- Tak, w poniedziałek.

To nie było łatwe. To wcale nie było łatwe.

Poniedziałkowe próby przeciągnęły się aż do późnych godzin. Georgia była bliska rozpaczy; czuła, że gra fatalnie.

- Komedia to strasznie trudna rzecz - skarżyła się Merlinowi. - Zupełnie różna od tego, co robiłam do tej pory. Czuję się tak, jakbym znów zaczynała od samego początku.

- Uważam, że świetnie ci idzie. No chodź, pójdziemy coś zjeść.

Poszli do Pizza Express. Georgia bez wielkiego przekonania dziubała widelcem swoją porcję lasagne.

- No, dalej - ponaglał ją. - Rozchmurz się wreszcie. Naprawdę doskonale sobie radzisz. Mówię szczerą prawdę.

- Naprawdę tak uważasz?

- Naprawdę. Powiem ci, kto sobie nie radzi. Milly.

- Nie mów?

Milly Buchanan grała rolę tej drugiej dziewczyny.

- Tak. To z nią mamy problem, nie z tobą. To przez nią czujesz się tak, jakbyś była głównianą aktorką.

- Och! No... Może... Ona trochę... trochę przesadza, jeśli chodzi o styl gry.

- Właśnie. Kreuje rolę tak, jakby grała w *Romeo i Julii*. Z tym jest bardzo trudno się uporać. Ale wydaje mi się, że Bryn się na nią zawziął. Kiedy wychodziliśmy, widziałem, jak z nią rozmawiał. Wyglądało to na dość zasadniczą rozmowę.

- Mmm... Może. Wiesz, nagle zrobiłam się głodna.

- Świetnie. Starszy brat bierze się do roboty. - Podniósł swój kieliszek w geście toastu. - Za twoją karierę, Georgia. Przekonasz się, że osiągniesz sam szczyt.

Spojrzała na niego uważnie. Miał na sobie biały T-shirt i niebieskie dżinsy, z twarzy nie zniknęła jeszcze opalenizna po rodzinnych wakacjach spędzonych na stoku narciarskim. Cóż, wyglądał... Wyglądał oszałamiająco.

- Tak - odpowiedziała z trudem. - Naprawdę jesteś cudownym starszym bratem.

Merlin odstawił kieliszek i przez chwilę wpatrywał się w nią intensywnie. Przesuwał po niej wzrokiem, a ona usiłowała sprawiać wrażenie całkiem opanowanej.

- Muszę ci coś wyznać - odezwał się w końcu. - Możesz mi potem powiedzieć, żebym spływał, jeśli ci się spodoba.

- Tak?

- Wiesz, ja patrzę na ciebie w całkiem inny sposób... W ogóle nie jak na siostrę...

- Nie?

- Nie, w najmniejszym stopniu. Prawdę mówiąc, uważam, że jesteś niesamowicie piękna.

Georgia gapiała się na niego bez słowa. Potem wstała, obeszła stół dookoła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Merlin... - wyszeptała, obdarzając go kilkoma pocałunkami. Najpierw całowała go w policzek, potem w czoło, aż wreszcie jak szalona wpiła się w jego usta. - Nigdzie nie spływaj, proszę cię. I nie mów przepraszam. Ja...

- Chodź, wynosimy się stąd - powiedział.

Powiedziała, że chce pojechać do siebie, woli to, chociaż on zaproponował, że zabierze ją do swojego mieszkania.

- Jestem całkiem niezależny, a zresztą oni i tak nie mają nic przeciwko temu. To część ich religii...

- Nie, nie! Tam nie czułabym się szczęśliwa.

- A ja koniecznie chcę, żebyś właśnie tak się czuła - oznajmił. - Chodź, jedziemy.

Wracając do domu, czuła, jak znów ogarnia ją nerwowość. On był pewnie bardzo doświadczony, tymczasem ona wręcz przeciwnie. Jak nic, dojdzie do wniosku, że jest nudna i że się rozczarował... W dodatku rano nie posłała łóżka. Na pewno pomyśli, że jest zwykłą flądą; poza tym włożyła dziś zwykłe, stare majtki, a on pewnie jest przyzwyczajony do bielizny, którą Ticky nosiła w *Wyzywającej agentce*...

Wszystkie obawy okazały się bezpodstawne. Najwyraźniej wcale nie uważał jej za nudną; prawdę mówiąc, był zaskakująco... bezpośredni, co przyjęła z ulgą. Z pewnością też nie zdążył nawet zauważyć rozrzuconej bezładnie pościeli, bo w łóżku znaleźli się dosłownie w parę sekund po tym, jak zatrzasnął drzwi. Jeśli chodzi o majtki, to zerwał je dość bezceremonialnie; ładniejszą bieliznę musiałyby spisać na straty.

W rzeczywistości wszystko udało się wręcz cudownie, zupełnie jakby byli gotowi i czekali na siebie, doskonale dobrani i dopasowani pod każdym względem...

- Wiesz, to było niesamowite - powiedział do niej później, zanurzając twarz w jej włosach. - Tak bardzo tego pragnąłem.

Miała nadzieję, że nie mówi tego wszystkim swoim dziewczętom.

Teraz dręczyła ją zupełnie inna sprawa: w jaki sposób ktoś taki jak on mógł się w niej zakochać - tak natychmiast i bez pamięci. Ten Merlin Gerard, taki wspaniały, taki seksowny, taki... wyrafinowany. Merlin, który przyzwyczajony był do dziewczyn pokroju Ticky; dlaczego chciał zaangażować się w związek z kimś takim jak ona?

Po paru dniach i nocach, kiedy nieco nabrała pewności siebie, zebrała się na odwagę, żeby go o to zapytać. Uśmiechnął się, pocałował ją w czubek głowy i podciągnął się wyżej na poduszce.

- Georgia, moim zdaniem jesteś stuprocentowo wspaniałą i seksowną dziewczyną. Zawsze tak uważałem. Jesteś niezwykła, niepowtarzalna. Od pierwszej chwili, gdy tylko cię ujrzałem, poczułem drgnienie w sercu.

- Merlin!

Jej zdaniem zabrzmiało to stanowczo zbyt teatralnie.

- Owszem, tak. Ale...

- Ale wtedy byłeś z Ticky.

- Właśnie. A teraz mam ciebie. Mojego własnego ptaszka o ciemnych piórkach. Czy zaśpiewasz dla mnie jeszcze raz, zanim pójdziemy spać?

Georgia postarała się zdusić niesmak, powtarzając sobie w duchu, że to miało być... no, po prostu poetyckie, a potem uśmiechnęła się promiennie, usiadła na nim okrakiem i ścisnęła go nogami.

- Uwielbiam twoją niespożytą energię - powiedział. - Jest wręcz zdumiewająca.

Kiedy zasypiali, trzymał głowę na jej piersi.

Rano wpadł Jazz, który właśnie robił obchód budynku, żeby - jak to określił - sprawdzić, gdzie ciekną krany i w którym lokalu trzeba przepchać kibel.

- Ach - powiedział na widok kumpla. - Jak miło. Tak myślałem, że to może się tak skończyć. Merlin, ty stary pedale, jak ty to robisz, że zawsze udaje ci się złowić najładniejsze sztuki? Georgia, kochanie, gdybyś miała z nim jakieś kłopoty, wal prosto do mnie, okay?

Zaśmiała się i odparła, że natychmiast. Uwielbiała Jazza i jego poczucie humoru.

Teraz, trzy tygodnie później, ledwie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedyś życie mogło wyglądać inaczej. Wszystko układało się wręcz cudownie. Bez wątpienia była najradośniejszą i najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Emma ostatecznie nie dostała posady w Glasgow. Prawie z płaczem poszła do Alexa.

- To już drugi raz. Zaczynam się czuć jak ofiara losu.

- Moja droga, zczekaj, aż zaczniesz się starać o pracę konsultanta. Dopiero wtedy będziesz wiedziała, co to znaczy czuć się jak ofiara losu. Osobiście zaliczyłem dziewięć spotkań, zanim udało mi się załapać robotę w tym szpitalu. To było coś koszmarnego. Wchodzisz tam i za każdym razem widzisz te same gęby, z kilkoma niewielkimi zmianami, i zawsze robotę dostaje koleś, który najmniej ci się podobał; właśnie on zostaje wezwany do sali konferencyjnej, podczas gdy ty oraz wszyscy pozostali siedzicie jak banda kretynów, a potem na pożegnanie ściskacie sobie dłonie, zapewniając, że tak naprawdę wcale nie zależało wam na tej pracy, i z podwiniętym ogonem wracasz do swojego szpitala. Wiesz, miałem specjalną koszulę, którą wkładałem tylko na te spotkania; pod koniec była mocno podniszczona.

- Wielkie dzięki za dobre słowo - odparła Emma. - A tak przy okazji, właśnie nadszedł mój czas powrotu z podwiniętym ogonem... Czy mogę tu zostać, Alex?

- Oczywiście, że możesz. Nic nie sprawi mi większej przyjemności. Och, przepraszam... Pewnie nie chcesz tego słuchać.

- W pewnym sensie chcę. Dzięki. Po drodze będzie jeszcze sporo posad, o które będę mogła się ubiegać, ale...

- Emma, w położnictwie najgorsze jest to, że to cholernie popularna dyscyplina. Zawsze będzie tam mnóstwo roboty, ale także mnóstwo ludzi, którzy zechcą ją zdobyć. W końcu na pewno uda ci się coś załatwić,

mogę ci to obiecać, a na razie pomyśl, że jesteś fantastycznym członkiem naszego zespołu. Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz.

No cóż, przynajmniej wciąż miała pracę. Chociaż poza pracą nie miała już niczego.

- Barney! Cześć, skarbie! Co u ciebie słychać?

- W porządku, dzięki. A u ciebie?

- Też całkiem nieźle. Wpadłam, żeby zaprosić cię na moją pożegnalną imprezę.

- Pożegnalną imprezę? To chyba coś nagłego?

- Wcale nie, po prostu dawno nie mieliśmy okazji pogadać. Tu już odrobiłam swoją działkę, a za dwa tygodnie zaczynam pracę w Darwood. W tej samej branży. Ale najpierw chcę sobie zrobić małą przerwę.

- Tak?

- Tak. My, to znaczy ja i Micky, wyjeżdżamy na dziesięć dni na Barbados.

- Micky?

- Tak, znów się zaręczyłam. Mój narzeczony nazywa się Micky Burne Proctor. Pobieramy się latem. To trochę jak déjà vu, ale przynajmniej włożę inną sukienkę. Myślę, że to by mogło mi przynieść pecha, gdybym włożyła tę samą, co wtedy... Ale poza tym... To samo miejsce, ten sam kościół, nawet ta sama pora dnia... Tak myślę. Mama i ja właśnie opracowujemy wszystkie szczegóły. W każdym razie spotykamy się w piątek wieczorem, szóstego, w „Terminusie”. Mam nadzieję, że będziesz mógł przyjść.

Dziewczyna nie marnuje czasu, to trzeba jej przyznać, pomyślał Barney z uczuciem niechętnego podziwu. Pewnie przeżyłaby nawet pożar połączony z huraganem... W dodatku wychodzi z tego nietknięta. I nadal bardzo atrakcyjna. Micky Burne Proctor? Zdaje się, że w zeszłym roku był na liście najbogatszych w „Sunday Times”. Chyba ten chłoptaş działa w jakichś funduszach inwestycyjnych wysokiego ryzyka. Cóż, to na pewno lepsza partia niż Toby.

Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego koniecznie chciała, żeby przyszedł na jej pożegnalną imprezę. Chociaż... Może być niezła zabawa. Ostatnio nie miał zbyt wiele okazji do zabawy. Ciekawe, czy Toby wie? I czy w ogóle go to obchodzi.

- Trzymajmy się porządku! Georgia, ty zaczynasz.

- No dobrze. Wszystkie imprezy towarzyszące idą doskonale. Już mamy trzech zwycięzców z trzech pubów. Jeden zespół jest naprawdę fantastyczny. Nazywa się Literate. Nie sądzę, żeby jeszcze długo działali bez żadnej umowy z agentem. Ach, jest też jeden super folk band. Będzie też mnóstwo różnych stoisk dla dzieciaków: malowanie twarzy, wyszywanie, mała karuzela, zamek do skakania... Właściwie udało się załatwić wszystko, o czym rozmawialiśmy. Jacyś faceci zaproponowali, że poprowadzą stoisko z nakryciami głowy. Podobno w Glastonbury szły jak woda.

- Z jakimi znów nakryciami głowy? - zapytała Abi.

- Och, z jakimi tylko chcesz! Bejsbolówki, filcowe, berety, reggae, przeciwsłoneczne kapelusiki dla dzieci... Aha, i pewne naprawdę miłe dziewczyny chcą ustawić stoisko kosmetyczne, to znaczy będą tam robić makijaż, masaże i tego typu zabiegi. Co o tym sądzicie?

- Mmm... - zastanowiła się Abi. - Nie, raczej nie. To nie pasuje do formy rodzinnego pikniku. Ale te czapki to niezły pomysł. A co z pelerynkami?

- Tak, takie stoisko też jest w planie. Merlin powiada, że to absolutnie niezbędne. Prawda, Merlinie?

- No.

- Och, mam nadzieję, że nie będzie padać - zawołała Emma.

- Będzie - odparła Abi. - Najlepiej od razu się z tym pogodzić. Wtedy każda poprawa pogody będzie dla nas bonusem. Mało tego, czasem można wyciągnąć z tego jakieś korzyści.

- Co masz na myśli?

- Pewien facet, którego niedawno poznałam, jeden ze znajomych Williama, organizował festiwal na swoim terenie. Impreza trwała dwa dni i przez dwa dni lało jak z cebra, aż w końcu ludzie zaczęli uciekać do samochodów, porzucając swoje brudne, zabłocone stroje gdzie popadnie. Ten chłopak mówił, że niektóre z nich były naprawdę fajne. Jego żona uprała te ciuchy ze trzy razy, a potem je nosili. Tak samo ich dzieciaki.

- Świetnie. W takim razie módlmy się o deszcz.

- Kto jest odpowiedzialny za śmieci? - spytał Merlin.

- Chyba ja - powiedziała Abi. - To należy do obowiązków zarządcy terenu.

- Upewnij się, że masz mnóstwo, naprawdę mnóstwo koszu i worków. Dwa razy tyle, ile planowałam.

- O tak, bardzo proszę - przyłączył się William.

Nagle ujrzał niezliczone ilości śmieci na swoich polach i już wyobrażał sobie, co powie ojciec na ten temat.

- Okay, okay!

- Będziesz potrzebować ludzi, którzy zajmą się tylko tym - zauważył Merlin. - To naprawdę ważne. Aha, jeszcze toalety... Abi, czy to też twoja działka?

- Tak, jestem królową kibli.

- Czy możemy nie ustawiać tych paskudnych pisuarów, gdzie człowiek stoi naprzeciw innych facetów i stara się na nich nie patrzeć, i wszyscy sikają do takiego otworu na samym środku?

- To dosyć śmieszne. Zobaczą, co da się zrobić. Jak wyglądamy z zamówieniami na bilety, Georgia?

- Na razie nie mamy zbyt wielu zamówień. Strona internetowa dopiero ruszyła i działa zaledwie od paru tygodni. Ale jest mnóstwo wejść.

- Super. Są jakieś reakcje na nazwę?

- Żadnych. Właściwie tylko ze strony mojej mamy. Ona uważa, że nazwa jest wspaniała. Zdaje się, że kiedyś, jeszcze w latach siedemdziesiątych, miała taki adapter, który nazywał się „W dobrym towarzystwie”.

- No, po prostu świetnie. Dokładnie takiego skojarzenia było nam trzeba. Żeby podobało się mamom. O rany! Może lepiej to zmienić?

- Nie, niczego nie zmieniamy - zaprotestował Merlin. - To znakomita nazwa.

- No jasne, akurat ty powinieneś oceniać, skoro sam to wymyśliłeś - wtrąciła Georgia.

- Zamknij się. Jakiś sprzeciw? Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

- Okay. W takim razie wszystko ustalone - oznajmiła Abi. - Scena, zasilanie, nagłośnienie, woda... Czy ktoś pomyślał o paleniu ognisk?

- Nie robimy żadnych ognisk - zaproponował twardo William.

- A grill?

- W żadnym razie.

- William! Ludzie uwielbiają ogniska i grille. Zwłaszcza rodziny z dziećmi.

- W takim razie... jeszcze o tym pomyślę.

- Super. Mamy licencję na sprzedaż alkoholu; policja będzie na miejscu. Załatwiłam w St. John, żeby ustawili namiot, w którym będą udzielać pierwszej pomocy.

- Świetnie wszystko załatwiłaś - powiedziała Georgia, uśmiechając się do niej. - A ochrona?

- Rozmawiałam z dwiema firmami. Obie są bardzo drogie.

- Musicie mieć ochronę - zawołał Merlin. - Ktoś musi pilnować, żeby nie było kłopotów z narkotykami.

- Wiem przecież. Wiem. Powiedziałam tylko, że to spory wydatek. A teraz zastanówmy się, co zrobić z tym tysiącem funtów od naszej cudownej pani Mackenzie? Wydać wszystko na reklamę czy rozdzielić i włożyć po trochu do każdego garnka?

- Moim zdaniem, rozdzielić - odezwał się William. - Na wypadek, gdyby nie udało się zdobyć więcej pieniędzy.

- Wiesz, Williamie, ty czasem jesteś jak promyczek słońca - zauważyła z irytacją Georgia.

Georgia była bardzo podekscytowana. *Moving Away* nadawano na antenie od trzech tygodni i machina reklamowa ruszyła pełną parą. Oczywiście najbardziej pożądanymi osobami byli Davina i Bryn Merrick. Piękna, uśmiechnięta twarz Daviny pojawiała się dosłownie wszędzie, ale i Georgia do tej pory zdążyła udzielić dwóch wywiadów - jednego dla dodatku o sztuce w „Daily News”, a drugiego dla czasopisma „You”. W obydwu została określona jako jedna z nowych twarzy letniego sezonu. Była tym szczerze zdziwiona, bo nie sądziła, że ktokolwiek zwróci na nią uwagę. Ten wywiad w „You” dość dokładnie przedstawiał jej sylwetkę; padały osobiste pytania o sprawę adopcji, o jej białych rodziców, o to, czy to było dla niej trudne i jak sobie z tym poradziła. W końcu nieuchronnie wypłynęła kwestia katastrofy. Georgię bardzo to zdenerwowało, ale Linda uznała za fantastyczne to, że dwa razy znalazła się na łamach popularnej prasy.

- Zaczynają o tobie mówić; większość ludzi z branży na twoim etapie dałaby wszystko, żeby zyskać taki rozgłos.

Wersji na DVD jeszcze nie wydano; Georgia strasznie się tego obawiała, bo wtedy każdy będzie mógł się przekonać, że jest naprawdę fatalną aktorką. Chociaż dziewczyna z „You”, której udało się wyłudzić jeden egzemplarz, powiedziała, że Georgia wypadła „oszałamiająco dobrze”. Ale co taka dziewczyna mogła wiedzieć?

Spotkanie dobiegło końca i wszyscy opuścili mieszkanie. Abi spojrzała na Williama i uśmiechnęła się.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham... Jesteś zajęta?

- Niespecjalnie. A ty?

- Mam wolną godzinkę albo coś koło tego.

- Świetnie.

- Gdzie Sylvie?

- Wyszła na całą noc. Ma randkę z panem Perv.

- To dobrze. Może w takim razie?...

- Tak. Ale najpierw chcę ci coś pokazać.

- Będzie mi bardzo miło.

- Nie, nie - zawołała Abi. - Chodzi o ciuchy, które mam zamiar włożyć w piątek.

- Czy nie możesz pokazać mi później?

- Nie. A nuż ten widok strasznie cię podnieci, w sumie nigdy nic nie wiadomo. Choć, prawdę mówiąc, mam nadzieję, że nie. Daj mi pięć minut.

- Okay, ale nie więcej.

- Wystarczy, obiecuję. Wróciła po dziesięciu minutach.

- I co? Jak wyglądam?

- Cholera!

- O co chodzi? Nie podoba ci się?

- Nie bardzo... Wyglądasz w tym jak nie ty.

- Właśnie o to mi chodziło.

- Abi, najlepiej bądź sobą. Pokochałem cię taką, jaka jesteś.

- Wiem, ale...

Wyszła do przedpokoju, stanęła przed wysokim lustrem i krytycznym wzrokiem obrzuciła swoje odbicie. William miał rację. To nie była ona. Ale mimo to wyglądała całkiem nieźle w szarych, obcisłych spodniach i różowym, zawijanym dookoła talii sweterku. No i oczywiście w butach na wysokim obcasie. Co do makijażu... Był raczej skromny, pomyślała. Szare cienie, szary eyeliner, niewielka ilość tuszu, połyskująca różowa szminka. Włosy ściągnęła do tyłu i związała w koński ogon.

Wróciła do Williama.

- Moim zdaniem, wyglądam naprawdę dobrze.

- Owszem, wyglądasz. Ale to nie ty. Tak jak powiedziałem. Dlaczego chcesz ukryć swoje prawdziwe „ja”?

- Pomyślałam, że taki strój będzie bardziej odpowiedni. W czymś takim bardziej przypominam ten rodzaj dziewczyn, jakie lubią twoi rodzice. Które aprobują.

- Och, na to już chyba odrobinę za późno.

- Nigdy nie jest za późno. To moje motto.

- Abi, zapominasz, że moja matka już widziała cię nagusienką, jak Pan Bóg cię stworzył. W dodatku dwa razy.

- Wcale nie byłam nago. Zawsze miałam na sobie przynajmniej buty. Williamie, przestań. Próbuję raz w życiu zachować się jak dama, a ty mi mówisz, że to nie ma sensu!

- Nie chcę żadnej damy. Chcę ciebie.

- Akurat w tym wypadku nie chodzi o ciebie. Zresztą, wszystko jedno, i tak w piątek włożę to, co sobie zaplanowałam.

- W porządku... Ale teraz zdejmij to z siebie. Proszę...

W piątek byli zaproszeni na kolację przez rodziców Williama. To nie był wieczór, na który ktokolwiek czekałby z niecierpliwością. No, być może poza ojcem Williama.

ROZDZIAŁ 55

- Więc... To już dziś, prawda?

- Tak. Boję się jak cholera.

- Przestań się wygłupiać. Czy ty w ogóle kiedykolwiek czegoś się bałaś?

- Boję się pani Grainger. Albo raczej tego, że wyprowadzę ją z równowagi.

- Wiesz, Abi, myślałam, że akurat w tej dziedzinie masz spore osiągnięcia.

- Hmm... Być może. Ale dziś zależy mi, żeby wszystko poszło dobrze. Ona jest bardzo dobrą kobietą, jak mówi William.

- To ładnie z jej strony.

- Georgia, twoje uwagi wcale mi nie pomagają. Podobno pani Grainger powiedziała, że zastanawia się, czy nie wynająć nam tego domku numer jeden, żebyśmy mogli w nim zamieszkać.

- No, czyli jeszcze ładniej...

- Wiesz, ten domek jest dla nich źródłem całkiem niezłych dochodów.

- Tak samo jak William.

- Też tak sądzę. W każdym razie, na pewno będzie super. Ten domek jest naprawdę przyjemny. Oczywiście, wymaga odświeżenia, ale są tam trzy sypialnie.

- Jedna dla was, druga dla dzieci, trzecia dla niej...

- Och, przestań! Nie, mam zamiar wykorzystać ten pokój na biuro, kiedy już ruszę ze swoją firmą. W dzisiejszych czasach nie ma znaczenia, gdzie pracujesz, prawda? Mogę sama jeździć na spotkania z klientami, oni wcale nie muszą do mnie przyjeżdżać. Naprawdę jestem mocno podekscytowana samą myślą o tym.

- Więc nie będziecie mieszkać na progu jej domu? Tak dosłownie?

- No... W pewnym sensie. Ale ten domek znajduje się w sporej odległości od głównego budynku. Tuż przy samym końcu dróżki. Mam nadzieję, że nie będziemy się o siebie potykać. A teraz posłuchaj, po co do ciebie zadzwoniłam: widziałaś dzisiejsze wydanie „Mail”?

- Nie. Dlaczego pytasz? Na komórce wyświetliły mi się dwa nieodebrane połączenia od Lindy. Myślisz, że o to jej chodziło? Właśnie miałam do niej dzwonić.

- Być może. W środku jest naprawdę fajny artykuł na temat *Moving Away*. Napisali tam, że to fantastyczny serial i że śmiało można go uznać za najlepsze dzieło Franka od wielu lat.

- Och, naprawdę?

- Tak. I jest jeszcze wzmianka o młodej, znakomicie zapowiadającej się aktorce, Georgii Linley.

- Napisali, że zrobiła z siebie skończoną idiotkę i że zepsuła cały film?

- Tak, coś w tym guście... Ale potem napisali, że twoja kreacja była... czekaj... No tak, nadzwyczajna. I że jesteś... Momencik... „rzadko spotykanym talentem, świeżą, obiecującą indywidualnością”. I że „w jednym momencie śmieszna, w następnym wzruszająca do łez, sama jedna przykuwa uwagę widza”.

- O mój Boże... O Boże!

- Tak, tak! Po prostu świetnie. Georgia, ty chyba nie płaczesz, prawda? No wiesz, to coś fantastycznego.

Piątek. Jej szczęśliwy dzień. Piątki zawsze były najlepszymi dniami. Właśnie w piątek poznała Barneya... Jeśli można powiedzieć, że to przyniosło jej szczęście. I Luke'a także poznała w piątek, jeśli chodzi o ścisłość. I zdała końcowe egzaminy. I z wyróżnieniem zaliczyła egzamin piątego stopnia z tańca...

A więc dziś był odpowiedni dzień na takie sprawy. Dziś spróbuje to załatwić. Może najpierw... Tak, to dobry pomysł. Najpierw napisze do niego SMS. Taka forma będzie o wiele mniej kłopotliwa dla nich obojga. Ciekawe, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? On może go po prostu zignorować albo wysłać jakąś niezobowiązującą odpowiedź, na przykład: „Miło, że się odezwałaś”. Nie będzie musiał walczyć ze sobą, żeby znaleźć odpowiednie słowa, ani udawać zadowolonego, że zadzwoniła. Ona też nie będzie musiała udawać, silić się na obojętność, jakby całkiem przypadkiem wpadło jej do głowy, żeby do niego zadzwonić. Tak, właśnie tak robi, kiedy będzie jechała na wieczorne spotkanie albo gdy zostanie sama w swoim pokoju w szpitalu. Mark i paru innych kolegów zaprosili ją na curry. A może napisze wtedy, gdy wypije kilka drinków. Ostatecznie nic tak nie rozluźnia jak odrobina alkoholu...

Abi poszła do fryzjera, żeby umyć głowę i wysuszyć włosy tak, żeby zaczesać je gładko do tyłu, jak to robią eleganckie dziewczęta. Potem wróciła do domu, przebrała się i wyruszyła z odpowiednim wyprzedzeniem, żeby punktualnie zjawić się na miejscu i jeszcze mieć dość czasu na opanowanie nerwów. Nawet posunęła się do tego, że kupiła flakonik delikatnych perfum, zupełnie różnych od tych, jakich zwykle używała.

Zrobiła też manicure, ale bez kolorowego lakieru, pozostawiając paznokcie naturalne i lekko błyszczące. Dziś wieczorem William nie będzie musiał się jej wstydić.

Powiedział, żeby przyjechała na siódmą trzydzieści.

- Wtedy będziemy jeszcze mieć czas na małego drinka. Mama lubi, żeby wszyscy siadali do stołu punktualnie o ósmej.

Oparła się pokusie, żeby zadać mu pytanie, co się stanie, jeśli punktualnie o ósmej ktoś z domowników nie będzie głodny? Dziś wieczorem świat ujrzy całkiem nową Abi. Albo raczej ujrzą ją państwo Grainger. Zresztą, kto wie? Może zapragnie pozostać taka na zawsze?

Przeczytała od deski do deski cały „Telegraph”, który walał się w biurze, żeby móc prowadzić inteligentną rozmowę, nawet o polityce, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie, nie da się wciągnąć w pogawędkę na jakies kompletnie obce jej tematy, żeby nie podpaść. Wracając od fryzjera włączyła czwarty program radia, żeby posłuchać premiera; Boże, ależ to było nudne! Jak normalni ludzie mogą pasjonować się czymś takim?

Wyjechała z Bristolu o szóstej; dzięki temu powinna spokojnie zdążyć na czas.

- Cześć, Barney! Miło cię widzieć. Wejdz, proszę. Jestem pewna, że znasz tutaj prawie wszystkich... Micky, kochanie, czy znasz Barneya Frasera? Pracuje w BMK, w dziale towarowym.

- Nie wydaje mi się. Cześć, Barney.

Micky Burne Proctor powitał Barneya lodowatym uśmiechem. Chryste, co za stereotypowy gość, pomyślał Barney - wymowa z charakterystycznym przeciąganiem zgłosek, zaczesane do tyłu blond włosy, niebieskie oczy i koszula w różowo-szare pasy, bez krawata, a do tego niesamowicie dopasowana do figury, ciemna marynarka... Ciekawe, ile milionów jest wart ten gość? No cóż, właściwie miliardów, sądząc z tamtej listy. Podobno samej pensji z dodatkami zgarnia ponad milion rocznie. Dobra robota, Tamara.

- Cześć - odpowiedział. - Moje gratulacje.

- Dzięki. Super.

- Słyszałem, że wybieracie się na Barbados.

- Owszem. Choć właściwie nie na Barbados, tylko na jedną z tych małych wysepek położonych wzdłuż wybrzeża, którą niedawno kupiłem. Powinniśmy świetnie się tam bawić. Zresztą Tamara potrzebuje trochę odpocząć; ma za sobą dość trudny okres.

- Rzeczywiście - zgodził się Barney.

- No cóż, miło było cię poznać. Mam nadzieję, że wpadniesz do nas z wizytą, kiedy już zamieszkamy w naszym domu.

Jasne. Prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek otrzyma zaproszenie do domu państwa Burne Proctor było mniej więcej takie jak to, że będzie gościem angielskiej królowej. Albo nawet mniejsze.

Rozejrzył się po barze. Pomieszczenie było naprawdę ogromne, bardzo, bardzo długie, urządzone w staromodnym stylu, pełne brązu i szkła. Boże, ależ tu straszny hałas! Chyba się starzeję, skoro takie rzeczy zaczynają mi przeszkadzać, pomyślał. Tamara miała rację; znał tutaj prawie wszystkich. Zresztą, cóż w tym dziwnego, skoro pracowali w tej samej firmie? Było mnóstwo ładnych dziewczyn, co było dość miłe. Wszystkie wyglądały niemal identycznie - długie włosy, długie nogi, ciemne kostiumy i pantofle na wysokich obcasach. Jedną z cech Emmy było to, że wyróżniała się z tłumu. Owszem, miała długie włosy i długie nogi, ale było w niej coś indywidualnego. Mówiła szybko i dość wysokim głosem, nigdy nie przeciągała zgłosek, a gdy się uśmiechnęła... Boże, gdy się uśmiechnęła, mogła rozjaśnić całe centrum Londynu. A jej nosek i śmieszny sposób, w jaki się marszczył, gdy jego właścicielka wybuchała niepohamowanym śmiechem... Boże, jak bardzo kochał ten nosek.

Kurczę, Barney, przestań myśleć o tej dziewczynie i wreszcie do niej zadzwoń. No, dalej! Zróbcie to wreszcie, chłopie. Jeśli się okaże, że ona nic już do ciebie nie czuje, będziesz mógł wreszcie przestać się ludzić. Idź i... Cholera! Zostawił na biurku swój telefon. Nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło. Przenigdy. Lepiej będzie, jeśli tam wróci i go zabierze. Wtedy...

- Ach to ty, Barney! Fajnie, że znów się spotykamy. Znasz Saszę, prawda? Tak myślałam, że znasz. Sasza załatwił sobie w Dubaju niewiarygodnie fajną fuchę. Jak się masz, stary draniu? Chodź i opowiedz nam, co u ciebie słychać.

Wyglądało na to, że telefon będzie musiał poczekać.

Napisała SMS; teraz pozostało tylko go wysłać. Zrobi to trochę później, kiedy zbierze się na odwagę...

Napisała go, siedząc w autobusie. „Cześć, Barney! Jak się miewasz? Myślałam o tobie i przyszło mi do głowy, że może moglibyśmy kiedyś się spotkać. Na małą pogawędkę. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miał wolną chwilę. Emma”.

Dodała dwa całusy, a potem prędko je skasowała, powtarzając cały proces mniej więcej sześć razy. Akurat w tym momencie całusy były obecne.

W jej myśli wdarł się przenikliwy dzwonek telefonu. Aż podskoczyła; czy to możliwe, że w chwili roz-targnienia już wysłała SMS i Barney właśnie do niej dzwonił? Nie bądź śmieszna, Emma, chyba masz alzhe- imera.

- Emma? Tu Mark. Posłuchaj, jesteśmy w całkiem innym miejscu, nie u tych Hindusów. To tajska knajpka, tuż przy tej olbrzymiej galerii handlowej. Może być? Super, w takim razie weź coś do pisania...

Emma szybko naskrobała adres na jakiejś karteczce, a potem znów gapiała się na tekst SMS-a, na zmianę dodając i kasując całusy.

Na razie wszystko było jak należy. Nawet zajechała do myjni, żeby nieco odświeżyć samochód. To z pewnością rozśmieszyłoby Williama, który nie zawracał sobie głowy takimi głupstwami jak mycie samochodów. Traktował je jak gówno. Inaczej niż traktory, bo o nie zawsze bardzo się troszczył, zupełnie jakby były którąś z jego krów. Z jego dziewczynek, jak je nazywał.

Ten ich związek to naprawdę zabawna rzecz, myślała. Wszyscy znajomi wydawali się mocno zmieszani, kiedy prawda wyszła na jaw; widziała ich reakcję. Nawet Sylvie, która zawsze rozwodziła się nad tym, jaki William jest zdolny i porządny.

- Abi, przecież nie możesz wyjść za niego - przekonywała. - Nie macie ze sobą absolutnie nic wspólnego. Co będziesz robiła wieczorami? Gadała do jakiejś owcy, czy jak?

Abi pomyślała, że osobiście nie ma nic przeciwko temu. Naprawdę nie dostrzegała problemu w tym, że pochodzi z całkiem innego środowiska niż William. Dzięki temu życie mogło być jeszcze bardziej interesujące. Zresztą tak naprawdę wiele ich łączyło. Bawiły ich te same rzeczy, ci sami ludzie budzili w nich sympatię. Nawet polubiła jego przyjaciół, którzy też byli farmerami, a oni zdawali się lubić ją. Poza tym William uwielbiał ludzi takich jak Georgia. Zresztą Abi uważała sprawy związane z rolnictwem za szalenie ciekawe. Intrygowała ją niezmienna kolejność zachodzących w ciągu roku procesów, narodzin i odchodzenie zwierząt, jak określał to William, i cały ściśle określony plan, od wiosny do jesieni: najpierw należało posiać ziarno, potem nadchodziła pora żniw, a później wszystko zaczynało się od początku. To było takie... uporządkowane, myślała. Uporządkowane i wielce satysfakcjonujące.

Abi nie należała do szczególnie wybrednych. Nie miała nic przeciwko bałaganowi i różnym zapachom - może z wyjątkiem kisonki, to było rzeczywiście obrzydliwe - i naprawdę lubiła zwierzęta. Zwłaszcza krowy. Były takie zabawne z tymi wielkimi, zaciekawionymi pyskami i oczyma, w których zawsze można było dostrzec uprzejmość. Lubiała ich spokojny, rozkołysany sposób chodzenia. Kilka tygodni wcześniej przypadkiem znalazła się w oborze podczas porodu cielęcia i uznała, że to coś cudownego; na zewnątrz wyśliznęło się małe stworzenie, mokre, kędzierzawe i zdezorientowane. Matka od razu przesunęła po nim wielkim, szorstkim ozorem, a po oborze rozszedł się gorący, słodkawy zapach. William wyjawiał jej wtedy, że to nie zawsze tak wygląda; czasami cielę nie wyślizguje się samo i trzeba je wyciągnąć siłą, często w bardzo brutalny sposób. Tym razem miała szczęście, powiedział. Obiecał, że zabierze ją do owczarni w noc, kiedy będą się rodziły małe owieczki.

- Spodoba ci się - obiecał. - Zawsze jest przy tym tyle zamieszania i hałasu. Wyskakują jedna po drugiej, zupełnie jak z taśmy produkcyjnej; ledwie zdążysz odebrać jedno, kiedy w drodze jest już następne. A gdy tylko wyjdą i staną na swoich małych, niepewnych nóżkach, od razu szukają mleka i... Nie patrz na mnie znacząco, nie będziemy mieć czasu na cokolwiek innego... To znaczy na nic, co dotyczy tylko nas dwojga. Zobaczysz sama, ile przy tym jest roboty. Na pewno nie będziesz mogła tylko stać z boku i beczynnienie się przyglądać.

Abi była zdumiona, ile owiec przypada na jednego barana.

- Jeden baran potrafi obsłużyć pięćdziesiąt owiec. Jakoś tak, mniej więcej.

- Chyba nawet ty nie dałbyś rady, prawda, Williamie? - spytała figlarnie.

- Och, sam nie wiem. Po paru dniach mogłabyś się zdziwić.

Rozmawiali na temat własnego potomstwa; oboje lubili dzieci i chcieli mieć kilkoro.

- Ale nie teraz - zastrzegła Abi. - Chcę wreszcie założyć własną firmę i trochę ją rozkręcić.

- W porządku, mogę poczekać. Chociaż niezbyt długo. Pamiętaj, Abi, że wychodzisz za mąż za niezbyt młodego faceta.

Już zapomniała, ile ma lat; był od niej starszy o całą dekadę. Wydawało się, że to całkiem sporo.

William z zupełną swobodą traktował sprawę jej pracy; mówił, że to właśnie dzięki temu wydała mu się tak interesująca i że woli, żeby nie szwendała się po domu ze znudzoną miną, jeśli ma ochotę czymś się zajmować.

- Możesz nawet pracować, kiedy już będziemy mieli dzieci, gdybyś miała ochotę. Mnie to pasuje. Tylko nie spodziewaj się, że będę ci pomagał, dobrze? Farmerzy nie należą do nowoczesnych mężczyzn.

Odparła, że nowocześni mężczyźni nigdy nie wzbudzali w niej sympatii; zawsze wydawali jej się trochę podejrzani.

- Jedyne, czego chcę, to żeby karmić piersią własne dzieci. Fuj!

- Może sherry, Abi?

Ona to robi celowo, pomyślała Abi. Chyba musi wiedzieć, że młodzi ludzie nie pijają takich świństw. Ledwo umoczyła wargi w kieliszku; wydawało jej się, że zapamięta na zawsze ten paskudny smak.

Pani Grainger rozplywała się w uprzejmościach, kiedy Abi weszła do mieszkania; widocznie jej przebranie jako dobrze urodzonej i dobrze wychowanej panienki zrobiło swoje.

- Jak miło panią widzieć - zawołała. - William, weź płaszcz Miss Scott.

- Proszę mi mówić Abi - powiedziała Abi, myśląc, jakie to dziwne słyszeć słowa „Miss Scott” z ust kobiety, która widziała ją nago, i to dwukrotnie.

- Bardzo dobrze... Abi - odparła pani Grainger, a w tym czasie pan Grainger z zapalem potrząsał jej ręką i mówił, że bardzo się cieszy z tych odwiedzin.

Abi uznała, że to uroczy człowiek i że teraz już wie, po kim William odziedziczył swój wdzięk.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała nam za złe, jeśli do stołu usiądziemy w kuchni - odezwała się pani Grainger. - To całkiem zwyczajna, mało wyszukana kolacja i przypuszczam, że William cię o tym uprzedził. Musisz mi wybaczyć, ale w tym tygodniu byłam strasznie zajęta. Chodźmy najpierw do salonu, żeby wypić po kieliszeczku czegoś mocniejszego.

Na litość boską, co miało znaczyć, że to „całkiem zwyczajna kolacja”?

Salon okazał się tym samym pokojem, w którym Abi siedziała pierwszego dnia po katastrofie, czekając na przybycie Williama. Teraz prezentował się o wiele lepiej, kiedy William podpalił leżące na olbrzymim palenisku kominka drwa, ale ogień, mimo wyraźnych starań, w niewielkim tylko stopniu wpływał na panującą w środku temperaturę. Abi klapnęła na krzesło najbliższym kominka, ale po chwili odsunęła się nieco, bo w porę przypomniała sobie, że eleganccy ludzie nie zachowują się w ten sposób. Wydawało się, że właściciele są

przyzwyczajeni do życia w chłodzie; z jakiegoś powodu uważali - przynajmniej starsza generacja, jak się zdaje - że centralne ogrzewanie to coś zbyt ordynarnego. No cóż, na pewno domek numer jeden jest identyczny pod tym względem.

- Gratulujemy wam obydwójgu - odezwał się pan Grainger. - To dla nas ogromna radość.

Uśmiechnął się do niej i Abi mogłaby przysiąc, że mrugnął szelmowsko. Pewnie słyszał o przygodach, jakie miała z nią jego żona.

- Tak, to bardzo... miłe - dodała pani Grainger.

„Miłe” było najwidoczniej wszystkim, na co mogła się zdobyć, ale trzeba przyznać, że naprawdę bardzo się starała.

- Czy wolno wiedzieć, kiedy zamierzacie nałożyć sobie te szlachetne więzy? - spytał pan Grainger. - W tej kwestii William wypowiada się dość wymijająco.

- Och... Obydwoje wypowiadamy się dość wymijająco, jak sędzę - odparła Abi. - Pewnie wtedy, kiedy William nie będzie aż tak zajęty.

- Obawiam się, że możesz czekać w nieskończoność - zauważyła pani Grainger. - Praca na farmie nie ma końca, jak niebawem się przekonasz.

- Hmm... No tak...

Spojrzała na Williama, szukając u niego pomocy, ale on patrzył na nią tylko i uśmiechał się głupekowato.

- Tak naprawdę nie chcemy przeciągać tej sprawy - odezwał się w końcu. - Nie mogę się doczekać, kiedy Abi zamieszka tutaj, a nie kawał drogi stąd.

- Ach, tak - powiedziała pani Grainger. - Nie wiem, Abi, czy William ci wspominał, że zamierzamy oddać wam jeden z domków, żebyście mogli tam zamieszkać.

- Tak, oczywiście, powiedział mi o tym. To faj... to cudowna propozycja. Bardzo dziękuję.

- Mam nadzieję, że będzie wam tam wygodnie. Oczywiście, musieliśmy wycofać ten domek z naszej oferty. Są rodziny, które co roku przyjeżdżają do nas na wakacje. Będą pewnie zmartwieni, kiedy się dowiedzą, że nie możemy im go wynająć.

Co za niezwykły obyczaj, mówić o takich rzeczach przyszłej synowej. Boże, cóż to za dziwna kobieta. Czy naprawdę warto to robić? Warto mieszkać tuż obok niej?

Ale potem spojrzała na Williama, który uśmiechał się do niej, na wpół leżąc na swoim krześle, ubrany z okazji dzisiejszej kolacji w czyste dżinsy i podejrzanie nowe buty, i już wiedziała, że mimo wszystko warto.

- Musisz opowiedzieć nam o swojej pracy - powiedziała pani Grainger. - Nie bardzo rozumiem, czym się właściwie zajmujesz. William mówił, zdaje się, że masz coś wspólnego z fotografią...

- No cóż... W pewnym sensie. Ale teraz mam nadzieję, że uda mi się założyć swoją własną firmę.

- Także związaną z fotografią?

- Nie, z organizacją różnych imprez. To znaczy, głównie dla firm. Chodzi o rozmaite konferencje i tak dalej.

- Czy opłaca ci się startować w całkiem nowej branży? - spytała pani Grainger. Jej mina świadczyła o tym, że naprawdę jest mocno zaintrygowana. - Mam na myśli, że kiedy już wyjdiesz za mąż, będziesz potrzebna tu, żeby pomagać Williamowi.

- No... Nie jestem pewna... Bezradnie spojrzała na Williama.

- Oczywiście, że tak! - zawołała pani Grainger. - Kiedy dziewczyna wychodzi za farmera, bierze ślub także z jego farmą.

- Abi może zorganizować dla nas jakieś polowanie - oświadczył pan Grainger i tym razem Abi była zupełnie pewna, że puścił do niej oko.

- Ja... Ja w ogóle nie znam się na polowaniach. Przynajmniej na razie. Jestem pewna, że William może mnie czegoś nauczyć.

- Nie będziesz nigdzie chodziła ze strzelbą - oznajmiła stanowczo pani Grainger. - Żony tego nie robią, przynajmniej większość z nich. No chyba że zajmiesz się podwożeniem.

Podwożeniem? Ale co miałyby podwieźć? Może któregoś z farmerów? Owszem, było paru takich, którzy dość jej się podobałi.

- Chodzi o lunch, kawę, tego typu rzeczy... Ja... ja... - Pani Grainger wyraźnie miała kłopoty ze znalezieniem odpowiednich słów. W końcu jej się udało. - Twoja pomoc bardzo się przyda. To ciężka praca i powoli zaczyna być zbyt męcząca dla kogoś takiego jak ja.

Tym razem zdobyła się na coś w rodzaju uśmiechu. Abi z determinacją odpowiedziała jej tym samym.

- Chętnie pomogę, tylko uprzedzam, że nie jestem nadzwyczajną kucharką - powiedziała ostrożnie. - Ale jestem pewna, że może pani mną pokierować.

- Rzeczywiście. Melanie potrafiła przygotować doskonały lunch, prawda, Williamie? Pamiętam, jak raz byłam chora, bez słowa protestu przygotowała lunch dla dwudziestu ośmiu osób. Melanie była jedną z poprzednich dziewczyn Williama - wyjaśniła, zwracając się do Abi.

W porządku, ty stara wiedźmo. A więc jednak między nami wojna. I to pomimo tych cholernych, niskich obcasów. Psiakrew, mogła sobie oszczędzić wydawania pieniędzy.

- Mam nadzieję, że sobie z tym poradzimy.

To było ustępstwo. I to spore ustępstwo. No cóż, przynajmniej próbowała.

- Jeszcze sherry, Abi? - spytał pan Grainger.

- Bardzo dziękuję. A potem z przyjemnością zjem tę mało wyszukaną kolację.

Nie mogła tego zrobić. Po prostu nie mogła. Wyjdzie na żalną idiotkę, a on poczuje się mocno zakłopotany. To śmieszny, całkiem chybiony pomysł. Szybko skasowała tekst, wyłączyła telefon i weszła do restauracji.

Boże, powinien wreszcie stąd wyjść. Wypił za dużo jak na swoje możliwości. No i został stanowczo za długo. Początkowo zamierzał wyjść najdalej za pół godziny, a teraz była... Boże, prawie dziewięć!

Musi tylko jeszcze odzyskać swój telefon i...

- Barney! Och, Barney, będzie mi ciebie brakowało!

Ramiona Tamary owinięły się dookoła jego szyi i poczuł na policzku jej usta. Owionął go duszny, mocny zapach perfum.

- Cóż... Ja też będę za tobą tęsknił. Ale na szczęście Darwood nie leży w innym kraju, więc jestem pewien, że od czasu do czasu będziemy się spotykać.

- Tak, oczywiście. No sam powiedz, czy Micky nie jest słodki? Prawda, że mam szczęście?

- Jasne, że tak - odparł Barney. - I on także ma szczęście - dorzucił sumiennie.

Nagle zobaczył siebie tak, jak ona musiała go widzieć - jako raczej żaloszny i niezbyt udany relikwiarz ich dawnego życia. Gdy tymczasem ona... Ona zdołała uporządkować swoje sprawy; przyjrzała się własnemu życiu, stanowczo je odrzuciła i zbudowała nowe, dające o wiele więcej satysfakcji. Ta doskonale wychowana, pełna seksapilu i zwycięska pod każdym względem Tamara.

- Jak miło z twojej strony, że to mówisz. Teraz wydaje mi się, jakby to wszystko dokładnie zaplanowano. Pomyśl tylko, gdyby nie ta katastrofa, ja i Toby bylibyśmy teraz starym małżeństwem.

- Rzeczywiście.

- A ty mógłbyś być mężem Amandy.

- Być może.

- A... Emma? Jesteście ze sobą?

- Nie.

- Nie? Dlaczego nie? Myślałam, że właśnie dlatego...

- To źle myślałaś - odparł porywczo.

- Barney, co się stało? No mów, przecież możesz mi opowiedzieć.

- Ja...

Chryste, jakże mógł powiedzieć właśnie jej - Tamarze, najmniej odpowiedniej osobie ze wszystkich ludzi na świecie - o swoim złamanym sercu? To zdecydowanie nie był wyświechtany melodramat, pomyślał; naprawdę czuł się tak, jakby serce pękło mu na połowę. Och nie, raczej jakby było już martwe i starte na proch. Ale wtedy...

- To była straszna pomyłka - powiedział wreszcie. - My... Doszedłem do wniosku, że to był błąd.

- Pod jakim względem?

Tamara rozejrzała się dookoła i wzięła go za rękę.

- Chodź, Barney, wyjdziemy na zewnątrz. Tu jest tak głośno, że prawie cię nie słyszę.

- Ale...

- Proszę cię, będę nalegała. Zdaje się, że to dość ważne.

Na zewnątrz, w chłodnym powietrzu, cierpliwie słuchała, jak w skrócie opowiadał jej o tym, co się wydarzyło, a spojrzenie jej ciemnych oczu nie odrywało się od jego twarzy.

- Barney, bezwzględnie powinieneś do niej zadzwonić - oznajmiła natychmiast, kiedy skończył.

- Niby dlaczego, na litość boską? To przecież ona zerwała.

- Tylko dlatego, że uważała, że wciąż jesteś z Amandą.

- Nie!

- Tak!

- Ale... - przez moment przeżuwał to, co usłyszał, ale potem potrząsnął głową. - No dobrze, ale teraz już wie, że mój związek z Amandą się rozpadł. Tak więc mogła do mnie zadzwonić.

- Och, Barney, proszę cię! Dziewczyny nie dzwonią w takich sprawach! To przywilej chłopaków. Czy ona jest z kimś?

- Nie wydaje mi się. Nie, zdecydowanie nie. Przynajmniej...

- Na litość boską, co ty robisz najlepszego? Posłuchaj, nie masz nic do stracenia. Prawda? To głupota, co robisz w tej chwili. Po prostu wyjmij telefon i zadzwoń do niej. To takie jasne, takie cholernie oczywiste. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tego nie zrobiłeś. W każdym razie lepiej będzie jeśli wrócę do środka. Jeszcze Micky pomyśli, że postanowiłam z tobą uciec.

- Nie sądzę - odparł Barney. - Z takim nieudacznikiem jak ja?

- Nie jesteś nieudacznikiem. Jesteś wspaniałym facetem. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, ale od wielu lat bardzo, bardzo mi się podobałeś. Gdybyś to ty pierwszy zaprosił mnie na randkę, z pewnością wolałabym wyjść za ciebie niż za Toby'ego. Zresztą chyba dobrze się stało; przeze mnie twoje życie zmieniłoby się w pasmo nieszczęść. Żegnaj, kochanie. I pamiętaj, zadzwoń do niej. W przeciwnym razie ja załatwię to za ciebie.

- Nie masz jej numeru - powiedział.

Teraz uśmiechał się, myśląc, jak bardzo się mylił co do tej dziewczyny. No, przynajmniej częściowo.

- Mogę przecież zadzwonić do szpitala, prawda? I naprawdę mam zamiar to zrobić. Obiecuj, że zadzwonisz.

- Obiecuję. - Pochylił się i przelotnie musnął ustami jej policzek. - Dzięki, Tamaro. I dziękuję za zaproszenie na imprezę. Życzę wspaniałego wesela.

- Och, na pewno będzie wspaniałe.

Tak jest, będzie wspaniałe. Tamara miała wszystko, czego zapragnęła. Ale ona wiedziała, jak to zdobyć. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Jedzenie było świetne, to musiała przyznać. Znakomita zapiekanka z kurczaka, a przedtem cieniutkie plastry łososia. Na deser mus z agrestu i tłusta, gęsta śmietana. Jeśli tak wyglądała całkiem zwyczajna, prosta kolacja, to co musiało stać na stole podczas jakiejś uroczystości? Jeżeli William zdążył się przyzwyczaić do tego rodzaju jedzenia, to pewnie dość często będzie wyskakiwał z ich małego domku, żeby przekąsić coś u mamusi.

Wino także okazało się całkiem niezłe, a pan Grainger narobił wiele szumu, żeby najpierw spróbowała, bo musi upewnić się, że jej smakuje, chociaż... Boże! Tylko jedna butelka wina na ich czworo! Szybko opróżniła dwa małe kieliszki, a potem znacząco podnosiła go do ust i wymownie spoglądała to na kieliszek, to na Williama, ale on przemyślnie ignorował jej błagalne spojrzenia. I to na więcej niż jeden sposób; wdał się w dyskusję z ojcem na temat plonów genetycznie modyfikowanych roślin i czy warto się zastanawiać nad wszczęciem jakiegoś tam procesu.

W końcu, gdy po raz dziesiąty podnosiła do ust pusty kieliszek, pani Grainger zauważyła, o co chodzi.

- Abi, może podać ci coś bezalkoholowego? Pomyślałam, że skoro prowadzisz auto, to...

- Och... - Abi popatrzyła na Williama. - Szczerze mówiąc, myślałam... To znaczy, wydawało mi się, że zostanę u państwa na noc.

- Naprawdę? Williamie, wolałabym, żebyś był tak uprzejmy wspomnieć o tym wcześniej - odparła pani Grainger. - Mogłabym przygotować gościnną sypialnię.

Abi czekała, aż William coś powie - coś, co by wskazywało, że żadna gościnną sypialnia nie wchodzi w rachubę, ale on tylko uśmiechnął się z zażenowaniem, podał jej butelkę czerwonego wina, którą dotąd dzielił między siebie i ojca, i jak gdyby nigdy nic powrócił do dyskusji.

Abi nalała sobie do pełna, uśmiechając się do pani Grainger, i myślała intensywnie, o czym na litość boską mogłaby z nią porozmawiać. Skończyło się na tym, że po prostu siedziała i jadła, przy okazji dowiadując się mnóstwa ciekawych rzeczy na temat uprawy roślin genetycznie modyfikowanych.

Na piętrze, gdzie mieścił się dział handlowy, panowała niesamowita cisza. Rzadko widywał biuro w takim stanie. Wypełnione ciemnymi ekranami komputerów i milczącymi telefonami pomieszczenia zionęły pustką.

Szybko podszedł do swojego biurka; telefon leżał na blacie. Nic dziwnego, nie należał do szczególnie nowoczesnych ani wyrafinowanych. Ostatnio zamówił sobie egzemplarz z najnowszej generacji iPhone'a, ale musiało upłynąć parę dni, zanim mu go przyślą.

Przez chwilę wpatrywał się w aparat, słysząc w głowie głos Tamary: „To głupota, że jeszcze do niej nie zadzwoniłeś”.

Przewinął kilka numerów w książce telefonicznej, aż trafił na jej nazwisko; nabrał potężny haust powietrza, jakby czekał go jakiś niesamowity fizyczny wysiłek i szybko nacisnął przycisk wybierający połączenie. I słuchał. Słuchał z zapartym tchem, aż odezwie się jej głos. Jej uroczy, zawsze lekko zdyszany głos.

I w końcu się odezwał. „Cześć, tu Emma. Przepraszam, ale nie mogę odebrać telefonu. Zostaw wiadomość, a wkrótce się odezwę”.

Cholera. Tego się nie spodziewał. Choć właściwie, czemu nie? Czy naprawdę myślał, że ona siedzi i cierpliwie czeka, aż on raczy zadzwonić? Może wyszła gdzieś albo pojechała do pracy. Tak, ta druga możliwość wydawała się całkiem realna; Emma po prostu była w szpitalu. Wybrał numer centrali i poprosił o połączenie z dyżurką lekarzy na Oddziale Pomocy Doraźnej. W słuchawce odezwał się kobiecy, mocno znużony głos.

- Tu Oddział Pomocy Doraźnej.

- Dobry wieczór - odparł Barney. - Czy... Czy zastałem doktor King? Doktor Emmę King?

- Nie, dziś wieczorem nie ma jej w szpitalu.

- Ach, tak... A jutro? Czy jutro też ma wolne?

- Nie jestem pewna. Czy chce pan, żebym to sprawdziła?

Nie, pomyślał. Oczywiście, że nie. Ale przecież właśnie o to prosi.

- Gdyby pani była tak uprzejma...

- Proszę zaczekać.

Nie wracała przez długi, bardzo długi czas. Wreszcie usłyszał jej głos.

- Tak, doktor King jest na dyżurze jutro od szóstej rano.

- Dobrze. Eee... To znaczy, dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Teraz czuł się całkiem inaczej niż przedtem. Pełen energii i na pełnych obrotach.

Przez chwilę siedział i myślał. Jeśli jutro Emma musi być w pracy o szóstej rano, to najprawdopodobniej o tej porze jest nie gdzie indziej, tylko we własnym mieszkaniu. W tej ponurej, ciasnej dziupli, gdzie miał okazję spędzić kilka niezapomnianych godzin. W porządku, pojedzie do niej. Teraz, zaraz... Nie, może lepiej nie; wypił dziś stanowczo za dużo. Nie szkodzi. Pojedzie pociągiem, a potem weźmie taksówkę. To całkiem proste, prawda? A jeśli... jeśli ona powie, żeby się wynosił, to... Właściwie nie miał pojęcia, co wtedy robi. Najlepiej teraz się nad tym nie zastanawiać. Żyć obecną chwilą, tak jak robiła Tamara. Ciekawe, że ze wszystkich ludzi na świecie to właśnie ona udzieliła mu tej cennej rady. Doprawdy, prawdziwa ironia losu.

Znów zadzwonił do Emmy, ale telefon nadal był wyłączony. Jednak tym razem zostawił wiadomość.

- Emma, to ja. Jadę do ciebie, do Swindon. To wszystko.

Szybko opuścił budynek i wezwał taksówkę.

- A teraz, Abigail, musisz wreszcie opowiedzieć nam o tym koncercie. - Pan Grainger najwyraźniej doszedł do wniosku, że on i William już zbyt długo dyskutują o tych modyfikowanych genetycznie roślinach. - Już nie możemy się doczekać, prawda, kochanie?

Spojrzał na żonę, odpowiedziała mu kwaśnym uśmiechem.

- To ma się odbyć w lipcu? Zdaje się, że ósmego, tak?

- I dziewiątego - dopowiedziała Abi.

- Dziewiątego także? Więc planujecie dwie imprezy?

- Nie. - Abi z osłupieniem spojrzała na Williama. - Nasz koncert potrwa dwa dni. To coś... coś w rodzaju muzycznego festiwalu. Ludzie będą tu przez cały czas, będą nocować...

- O, nie! - zawołała pani Grainger. - To niemożliwe! William drgnął i popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Co masz na myśli, mamó, mówiąc, że to niemożliwe?

- Dokładnie to, co powiedziałam. Ja... To znaczy, my nie możemy się zgodzić, żeby jacyś obcy kocowali na naszej farmie. To śmieszne. Nie miałam pojęcia, że planujecie coś takiego. Ludzie zaczną włamywać się do naszych domków, przestraszą zwierzęta, wypuszczą je na drogę... To całkiem prawdopodobne, że tak właśnie będzie. Peter, czy ty zdawałeś sobie sprawę, co tu może się wydarzyć?

- Nie... W zasadzie nie - przyznał pan Grainger. Miał bardzo niepewną minę.

- Tato! - zawołał William. - No powiedz, że tak! Mówiłem ci przecież!

- Być może... W zasadzie nie pamiętam.

- Wszystko jedno, czy pamiętasz, czy nie, ja nie mam zamiaru na to pozwolić - oświadczyła pani Grainger. - Ten koncert musi zostać odwołany.

- Nie możemy go odwołać - odparła szybko Abi. - Nie teraz.

- Słucham?

- Powiedziałam, że nie możemy go odwołać. Bilety już zostały sprzedane, zespoły zamówione, strona internetowa działa... Tak czy inaczej, ludzie tu przyjadą.

- To odrażające - oświadczyła pani Grainger. - Po prostu odrażające. Będziecie musieli przyjąć zwrot biletów i skasować tę stronę www... Mój Boże, nigdy nie spotkałam się z czymś tak... despotycznym. Albo tak niegrzecznym - dodała.

- Mamo!

- No cóż, mówię jak jest.

- Proszę się nie niepokoić... - odezwała się Abi pojednawczym tonem, usiłując choć trochę złagodzić atmosferę. - Nie będzie żadnych włamań ani problemów z wypuszczaniem cieląt z zagrody, bo wynajęliśmy bardzo dobrą firmę, która zapewni ochronę...

- Firma, która zapewni ochronę! A kto wam na to pozwolił, jeśli wolno zapytać?! Przykro mi, ale dla mnie to całkiem niepojęte i zdecydowanie odmawiam wyrażenia zgody na cokolwiek z tego, co planujecie. Byłam przeciwna nawet wtedy, gdy sądziłam, że chodzi o jakiś niewielki koncert, bo i tak bałam się, że sprawy mogą wymknąć się spod kontroli. A cóż dopiero, gdy chcecie tu robić jakieś obozowisko! Na naszym terenie! W dodatku z zespołami!

Jej ton jasno wskazywał, jakie to budzi w niej skojarzenia.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zaraz pojawią się narkotyki, a pewnie i noże czy coś w tym rodzaju, czego absolutnie sobie nie życzę.

- Wszyscy będą przeszukiwani pod kątem narkotyków i noży - zauważyła Abi.

- Nie będzie takiej potrzeby, ponieważ impreza po prostu się nie odbędzie. Przykro mi, jeśli na początku mylnie coś zrozumiałaś, ale zapewniam cię, że ja również zostałam wprowadzona w błąd. Williamie, jestem zdumiona twoim zachowaniem.

Williamie, zrób coś, błagała w myślach Abi. Postaraj się jej przeciwstawić, spróbuj podjąć walkę. Ale on nie ruszył się z miejsca. Siedział z nieszczęśliwą miną i rumienił się, nerwowo przesuwał dłoń po włosach.

Wtedy wstała i energicznie odsunęła krzesło; zazgrzytało paskudnie o podłogę, ale jej sprawiło to przyjemność. Nie zaszczyciwszy Williama nawet jednym spojrzeniem, bez słowa opuściła dom państwa Grainger.

- Wiesz... chyba już pójdę - powiedziała Emma.

Wieczór zmienił się w ciężką harówkę; głowa bolała ją jak diabli i teraz marzyła jedynie o tym, żeby znaleźć się w swoim mieszkaniu. Chciała zostać zupełnie sama. Znowu.

- Przepraszam... Po prostu czuję się wykończona. Mam za sobą ciężki tydzień, a jutro muszę być w pracy o szóstej. O szóstej rano.

- Och, ty imprezowa marudo - zawołał Mark. - W porządku, doskonale cię rozumiemy. Chcesz, żeby zamówić ci taksówkę?

- Nie, nie ma potrzeby. - Wstała z miejsca. - Pojadę autobusem.

- Emma, nie pojedziesz żadnym autobusem. O tej porze w nocy Swindon nie jest najprzyjemniejszym miejscem dla samotnej kobiety. Pozwól, że ja to załatwię. Skończ drinka... - Spojrzał na nią. - Czy wystarczy, jeśli taksówka będzie za jakieś pół godziny?

- W porządku.

Pomyślała, że autobus mógłby dojechać szybciej, ale była zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

Abi płakała tak mocno, że niemal nic nie widziała; zatrzymała auto przy końcu ulicy i siedziała tam chyba przez całe wieki, jak się jej zdawało, na przemian łkając żałośnie i usiłując wziąć się w garść. Jak on mógł zachować się w tak żalosny sposób, jak ostatni tchórz? Jak mógł?! Dzięki Bogu, że w porę odkryła, co to

za facet! To byłoby okropne, gdyby posunęła się o krok dalej i naprawdę wyszła za niego za męż. Sylvie miała rację; poślubiając Williama, jednocześnie poślubiłaby jego mamusię. Takie rzeczy nigdy, przenigdy nie wychodzą człowiekowi na dobre.

Boże, co za babsztyl! A jest taka dlatego, że jej się na to pozwala, i to właśnie wydaje się najgorsze. William i jego ojciec zwyczajnie pozwalali, żeby wszystko uchodziło jej na sucho. Najwyraźniej obaj cholernie się jej boją. Te wszystkie odważne słowa, jakie padły z ust Williama, nie miały żadnego znaczenia. On był... Był...

Nagle zorientowała się, że tuż za nią zatrzymuje się jakiś samochód i błyska światłami. Chwilę później ktoś wysiadł. William. Biegł w jej stronę, więc odkręciła szybę i wytknęła głowę na zewnątrz. Dopiero teraz dotarło do niej, że leje jak z cebra.

- Odpieprz się! Po prostu odpieprz się ode mnie! Jesteś zwykłym mięczakiem i tchórzem, i nigdy, przenigdy nie chcę cię widzieć! Wynocha!

- Abi, ja...

- Nie, zamknij się i spadaj. Nie mogę uwierzyć, że zachowałeś się w taki sposób! Że pozwoliłeś jej tak się zachować. To było nędzne. Żalotne. Jadę do domu i pamiętaj, że nie życzę sobie więcej cię oglądać. Syneczek mamusi! Trzydziestoczteroletni chłopczyk! Rzygać mi się chce!

- Abi, proszę, posłuchaj mnie! Tylko przez jedną sekundę. Przepraszam cię. Strasznie cię przepraszam. To moja wina i...

- To nie twoja wina, że ona jest taka... taka niegrzeczna, podła i snobistyczna. Znam ten rodzaj ludzi. Uważa, że jestem prostą dziewczyną, więc może traktować mnie, jak jej się podoba. Cóż, może faktycznie jestem prostą dziewczyną - bardzo prostą, jeśli mam być szczerą - ale to ja będę decydować o tym, jak pozwalam się traktować, nie ona. A teraz, Williamie, bądź tak miły i zejdź mi z drogi. Chcę jechać do domu. Przynajmniej nikt nie będzie mnie zmuszał, żebym spała w gościnnym pokoju.

- Nie, oczywiście, że nikt nie będzie cię zmuszał.

- Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Nie. Będziesz dziś spać w tym małym domku. Razem ze mną. Czy to ci odpowiada?

- Nie wierzę ci, ani trochę. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy tego chcę.

- Ależ owszem, chcesz. Właśnie tak jej powiedziałem. I powiedziałem jeszcze, że zachowała się niewiarygodnie niegrzecznie w stosunku do ciebie i że ma cię za to przeprosić. Powiedziałem też, że odwołanie festiwalu nie wchodzi w rachubę i że jeśli spróbuje nam przeszkodzić, to ja odejdę. Odejdę z domu, opuszczę farmę...

- Wiesz przecież, że nie możesz tego zrobić - zaprotestowała. - Kochasz tę farmę.

- Wiem. Ale nie tak bardzo jak ciebie, Abi. Naprawdę tak uważam. To nie są tylko puste słowa.

- Ale... Co będziesz robił?

- Nie wiem. Może zacznę pomagać ci w tej firmie organizującej imprezy?

- Według mnie, byłbyś okropnym pracownikiem - odparła. - Naprawdę okropnym.

- Dzięki. No cóż, zawsze mogę gdzieś wyjechać i zajmować się cudzą farmą, prawda? Abi, tak strasznie mi przykro. Ja... wydaje mi się, że myśmy się trochę przyzwyczaili do niej i po prostu... Po prostu pozwalali-

śmy jej zachowywać się tak, jak chciała, byle tylko mieć święty spokój. Kiedy próbowałem zwrócić na to uwagę, było jeszcze gorzej. Zresztą ona tak naprawdę wcale nie jest taka zła; miele ozorem bez opamiętania, ale stara się nikomu nie robić krzywdy. Natomiast dziś wieczorem zachowała się okropnie. Tak strasznie się wstydziłem. Za nią i za siebie. Wyszło na to, że jestem słaby. Wiem, że tak wyszło. Ale uparcie trzymałem się nadziei, że ona nie dowie się, jak naprawdę będzie wyglądał nasz festiwal, aż będzie za późno, żeby cokolwiek zmieniać.

- Williamie - odezwała się Abi. - Tak naprawdę nigdy nie byłoby za późno. Mogłaby wyrzucić stąd na zbity pysk wszystkich, nawet wtedy, kiedy zespoły zaczęłyby już grać, a ja musiałabym uznać jej wyższość. Twoja matka potrafi być naprawdę groźna. Powinna była zaangażować się w politykę. Jako kolejne wcielenie pani Thatcher.

- No cóż... Może. Ale proszę cię, Abi, wróć. Tak strasznie żałuję. Bardzo cię kocham i nie mogę znów cię utracić. Proszę...

Zawahała się, a potem spojrzała na niego i rozjaśniła się uśmiechem. Szerokim, szczerym, szczęśliwym uśmiechem.

- Okay - powiedziała. - Wygrałeś. Udało ci się mnie przekonać. Chociaż osobiście nie sądzę, żeby to była ostatnia bitwa, jaką przyjdzie nam z nią stoczyć. Ale w porządku, Williamie. Psiakrew, wiesz, ja też cię kocham. Strasznie mokiensz, kochanie.

- Zamknij samochód - powiedział. - Odwiozę cię do domku. Mam przy sobie klucz.

- Dobrze.

Kiedy znaleźli się w środku, spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko.

- Mówiłem ci, że te ciuchy to nie był najlepszy pomysł. Wypadłabyś o wiele lepiej, gdybyś włożyła to, co zwykle. Uważam, że powinnaś je zdjąć. Zacznijmy od tych beznadziejnych spodni...

W ten sposób, kiedy pani Grainger z pełnym determinacji uśmiechem na ustach przyjechała do domku numer jeden, przywożąc zmianę czystej pościeli oraz termos z gorącą kawą, zastała Abi siedzącą na schodach, nagą od pasa w dół, i Williama, który ostrożnie zdejmował jej buty na płaskim obcasie, jednocześnie z czułością całując palce u jej stóp.

Ostatecznie taksówka zajechała dopiero po czterdziestu minutach. Jak zwykle, pomyślała Emma. Dlaczego taksówkarze zawsze robią to samo, najbezpieczniej kłamiąc w żywe oczy, że przyjechaliby wcześniej, gdyby tylko było to możliwe? Zdążyła dopić swojego drinka, a nawet wyszła do przedsionka restauracji i tam czekała obok mokrych płaszczy i parasolek. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek dotąd czuła się aż tak nieszczęśliwa. A ostatnimi czasy zdarzało się to stosunkowo często. Boże, na dobre zaczęła osuwać się w otchłań nieszczęścia. Co się z nią stało? Gdzie się podziała ta pełna energii, uśmiechnięta, zadowolona z życia Emma? Może i dobrze się stało; przypuszczalnie zaczynała być już odrobinę denerwująca.

Taksówka chyba jechała jakąś okrężną trasą; rachunek na liczniku rósł w zawrotnym tempie. Będzie musiała za tę przyjemność zapłacić parę tysięcy. No dobrze, kilkadziesiąt funtów.

- Czy wie pan, gdzie jest Rosemary Garden? - spytała w końcu. - Obok Rosemary Park.

Ale kierowca zdawał się jej nie słyszeć. Po prostu dalej gadał przez telefon, mając na głowie słuchawki - po polsku, o ile zdążyła się zorientować. A może po bułgarsku? Albo po czesku? Pewnie w ogóle nie znał

angielskiego. Teraz wywiezie ją w całkiem obce miejsce, którego ona wcale nie zna, zaś rachunek będzie tak oszałamiający, że zabraknie jej pieniędzy, i...

- Jesteśmy na miejscu. Pięćdziesiąt funtów.

- Pięćdziesiąt?!

- Nie, pięćdziesiąt. Jeden i pięć.

- Och... Piętnaście.

- No przecież właśnie tak powiedziałem. Pięćdziesiąt.

- W porządku.

Odliczyła szesnaście funtów i wysiadła. Psiakrew, deszcz zdążył zmienić się w ulewę. Na ulicy stał jakiś samochód, a siedząca tyłem osoba czytała coś przy włączonym wewnętrznym świetle. Pewnie na kogoś czeka, pomyślała.

Czym prędzej pomknęła w kierunku domu, wbiegła do środka i zatrzasnęła drzwi. Wydawało jej się, że słyszy za sobą czyjeś kroki, ale nie miała ochoty sprawdzać, kto to. Założyła łańcuch i odwróciła się plecami.

I wtedy odezwał się dzwonek. Zignorowała ten dźwięk, ale dzwonek zabrzączał ponownie. Naprawdę nie chciała sprawdzać, kto przyszedł. Nie o tej porze. Ale... Może zamknęła drzwi wejściowe i teraz ktoś z innego mieszkania nie mógł wydostać się na zewnątrz?

- Kto tam? - zawołała w końcu.

Przez chwilę na korytarzu panowała cisza.

- Barney - usłyszała odpowiedź.

Tyle razy przeżywała tę chwilę w swojej wyobraźni, w mniej lub bardziej wyrazistych snach, że w pierwszej chwili przypuszczała, że to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Czekala, bojąc się choćby dotknąć łańcucha i uchylić drzwi, bo jeśli to zrobi, zbudzi się ze snu, albo okaże się, że tam nikogo nie ma.

- Emma! Proszę, otwórz drzwi. Proszę!

To chyba on! Boże, to naprawdę on! W przedpokoju wisiało wielkie lustro, więc czym prędzej zerknęła na swoje odbicie i przekonała się, że wygląda po prostu okropnie. Była blada, makijaż zdążył się rozmazać, a mokre włosy zwisały w nieapetycznych strąkach. W takim stanie nie mogła pokazać się Barneyowi... Jeśli to rzeczywiście on.

W panice pogrzebała w torebce, wyciągnęła grzebień i szybko przesunęła nim po włosach. Mokłą chusteczką wytarła oczy, ale efekt był taki, że makijaż rozmazał się jeszcze bardziej, więc polizała chusteczkę i potarła mocniej, jednocześnie w popłochu rozglądając się za kufierkiem do makijażu...

- Emma, na litość boską, otwórz, proszę?!

- Przepraszam! Już otwieram!

Musiała to zrobić, musiała otworzyć drzwi. Wszystko jedno, jak wyglądała. I zrobiła to - ostrożnie odczepiła łańcuch, rzuciła okiem przez szparę między drzwiami i futryną...

- To ty. Prawda, że to ty?

- No jasne, że ja. Kto by stał na tym deszczu, błagając, żebyś wpuściła go do środka?

Niezgrabnie grzebała przy łańcuchu; przez jeden okropny moment miała wrażenie, że się zaciął, w końcu zdołała go wyciągnąć. I otworzyć drzwi. I...

- Cześć, Emma.

Zamilkł, a potem dodał parę słów, po których poznała, że to rzeczywiście on.

- Cześć, Emma. Czy to ta Emma? Czy wszystko w porządku? Wpatrywał się w nią - bardzo, bardzo intensywnie.

- W porządku. Cześć, Barney. Ten Barney. Wejdz... Wejdz, proszę.

Wszedł. Stała bez ruchu, patrząc na niego, próbując zrozumieć znaczenie tej sceny, kiedy on, nieco rozczochrany, zatrzymał się tuż przed nią i przyglądał się jej bez cienia uśmiechu na ustach.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jestem - powiedział w końcu i wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia.

Ona także wyciągnęła rękę i bez sensu ujęła jego dłoń, żeby mocno nią potrząsnąć. Nagle parsknęła śmiechem.

- O Boże! - zawołała, cofając się. - Strasznie cię przepraszam. Och, Barney, Barney... Dlaczego tu przyszedłeś?

- Przyszedłem, bo Tamara kazała mi przyjść.

- Tamara! No to teraz już wiem, że śnię.

- Nie - powiedział. - Wcale nie śnisz.

- Musisz mi to wytłumaczyć.

- Nie ma sprawy.

- A więc? - Kątem oka dostrzegła w lustrze swoją twarz. - Wybacz, że tak okropnie wyglądam.

- Wcale nie wyglądasz okropnie. Dla mnie jesteś piękna. Absolutnie piękna.

To wszystko wciąż wydawało się nierealne.

- Wiesz, nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Ja też.

- Tak bardzo starałem się o tobie zapomnieć. I nie mogłem.

- Ja też nie mogłam...

- Tak strasznie chciałem do ciebie zadzwonić, dowiedzieć się, co słyhać... I nie potrafiłem.

- Tak jak ja... Nawet wtedy, kiedy już wiedziałam, że między tobą i Amandą wszystko skończone.

- Tak się bałem, że ty... Że ty...

- Wiem - odparła z prostotą. - Wiem, czego się bałeś. Tak samo było ze mną. Bałeś się, że już przebolełam tamtą sprawę, że mam kogoś innego.

- Widzisz... - Przynął się o krok i ujął pasemko jej włosów i okręcił je parę razy dookoła palca. Zauważyła, że na jego twarzy nareszcie pojawił się uśmiech. - Widzisz, jakie to było głupie z mojej strony? Jakie głupie...

- Ze strony nas obojga - dopowiedziała. - Ale byliśmy głupi. Zupełnie, jakby to było możliwe.

- Rzeczywiście.

- A więc... Co się wydarzyło?

- To, co powiedziałem. Tamara kazała mi zadzwonić, więc postanowiłem posłuchać.

- Od kiedy robisz to, co każe Tamara?

- Od dzisiejszego wieczoru. Ona jest moją nową, bardzo bliską przyjaciółką. Naprawdę.

- Mary też mi mówiła, że powinnam zadzwonić. Tyle że ja jestem zbyt pryncypialna. Wciąż się bałam, że wyjdę na idiotkę.

- Kim jest Mary, na litość boską?

- Och, Barney, przecież wiesz. To ta starsza pani, która brała udział w katastrofie. Opowiadałam ci, że właśnie spotkała się ze swoim dawnym przyjacielem, jeszcze z czasów wojny. To było takie niesamowicie piękne.

- A, to ten człowiek, którego poznałeś w restauracji. Tak... - Wpatrywał się w nią i stał bez ruchu, jakby jej widok zupełnie go oszołomił. - Kocham cię, Emmo. Nic na to nie poradzę, że tak bardzo cię kocham. Co było takie piękne? O czym mówiłaś?

- Ja też cię kocham. Sama nie mogę w to uwierzyć. Mówiłam, że takie piękne było to, że Mary poradziła mi do ciebie zadzwonić, nawiązać kontakt... A teraz coś smutnego; Russell nie żyje. Biedaczka już dwukrotnie została wdową.

- Biedna Mary. Biedny Russell.

- Tak...

- Powiedz mi, proszę, co ci mówiła?

- Mówiła, że powinnam do ciebie zadzwonić. Ale ja odpowiedziałam, że pewnie do tej pory o mnie zapomniałaś, minęło już tyle czasu... A ona odparła, że nic podobnego. I że Russell nie zapomniał o niej, chociaż od ich rozstania minęło ponad sześćdziesiąt lat. Prawda, że to zdumiewające?

- No cóż, panno Emmo King - odparł. - Nie dam się prześcignąć w miłości. Nie potrafiłbym o tobie zapomnieć, nawet gdybym nie widział cię przez... Powiedzmy, przez siedemdziesiąt lat. Co ty na to?

- Będziemy wtedy oboje tak starzy, że nie ma mowy, żebyś jeszcze mnie pamiętał.

- Po prostu trzymałbym się tej myśli - odparł. - Czekałbym cierpliwie, gdybym wiedział, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. Że pewnego dnia się spotkamy. Mógłbym czekać.

- Ale... Chyba nie będziesz musiał.

- Nie i dzięki Bogu, że nie. Będziesz tuż obok. I mam nadzieję, że tak już zostanie przez te całe siedemdziesiąt lat. Kocham cię, Emmo. Nie chcę już nigdy spędzić choćby jednej godziny bez ciebie.

- No raczej będziesz musiał. Od czasu do czasu. Na przykład, kiedy siedzisz w banku, a ja bawię się w doktora... Ale potem...

- Potem wszystko będzie w porządku. Tak bardzo w porządku. I wiesz co, moja śliczna, moja kochana Emmo?

- Nie. A co?

- Że nie wyglądasz wystarczająco poważnie na lekarza.

EPILOG

Abi obudził szmer padającego deszczu - i to nie było przelotnego deszczyku, tylko porządnej, gwałtownej ulewy. Takiej, co to rozmywa drogi, wiąże w błocie koła samochodów, moczy na wylot namioty, gasi grille i rozmywa pogodny nastrój ludzi... No cóż, sama przecież mówiła, że na pewno będzie padać. Ale mówiła to po to, że jeśli wystarczająco dosadnie wyrazi na głos swoje obawy, jej przecucia się nie sprawdzą. To był błąd. Sprawdziły się co do joty.

Ale deszczyk w Glastonbury nikomu jeszcze nie zrobił krzywdy. Zresztą Glastonbury było... Po prostu było Glastonbury. Ludzie przyszliby nawet wtedy, gdyby zaczął padać śnieg. Tylko po to, żeby później móc powiedzieć, że tam byli. Festiwal „W Dobrym Towarzystwie” jeszcze nie zdążył zyskać rozgłosu, bo miał się odbyć pierwszy raz. Pierwszy i jedyny, gdyby zależało to od starszej pani Grainger. Młodsza pani Grainger miała w stosunku do niego dość ambitne plany.

Abi była młodszą panią Grainger zaledwie od trzech miesięcy. Od trzech całkiem niezłych miesięcy. Pobrali się z Williamem pewnego kapryśnego, kwietniowego dnia, kiedy w jednej chwili świeciło słońce, a za moment na niebie gromadziły się chmury. Wkraczali do Urzędu Stanu Cywilnego, zostawiając za sobą złowroźnie ciemny świat, a gdy wyszli stamtąd godzinę później, na błękitnym niebie świeciło promienne słońce. Zdaniem Georgii to była najwspanialsza zapowiedź ich wspólnego życia.

Oboje z Williamem uważali, że nie ma sensu odkładać w nieskończoność małżeństwa, skoro absolutnie nie było na co czekać. Nie było żadnych komplikacji rodzinnych - szczególnie ze strony rodziny Abi. Abi wcale nie pragnęła wystawnego wesela, jak mówiła. Nie zależało jej, by w białej, podobnej do wielkiej bezy krynolinie kroczyć wzdłuż kościelnej nawy - tak naprawdę nie miała zamiaru zjawić się tam w czymkolwiek. Od dawna była zagorzałą ateistką i jak powiadała, wierzyła jedynie w Williama i swoją miłość do niego. Powtórzyła te słowa podczas wygłoszonego w czasie uroczystości przemówienia - sama nalegała, że chce coś powiedzieć - co przyniosło taki skutek, że z wyjątkiem paru osób, po których można się było tego spodziewać, reszta obecnych na sali miała wilgotne oczy.

Mówiła, że chętnie urządzi jakieś fajne przyjęcie, ale na tyle kameralne, żeby mogła zatańczyć z każdym z gości. Mieli razem z Williamem nieduże grono wspólnych znajomych, a nie chciała zapraszać nikogo, kto nie potrafił zrozumieć, co właściwie ich łączy.

W sumie zebrało się około trzydziestu osób - przyjechali na późny lunch i na tańce, które urządzono w sali hotelu Royal Crescent w Bath. Pan Grainger uparł się, że sam pokryje wszystkie koszty. Co prawda Abi wolą zapłacić, żeby nie mieć żadnych zobowiązań wobec państwa Grainger, ale William zdołał ją przekonać.

- Pozwól mu to zrobić - tłumaczył. - On chce w ten sposób wynagrodzić ci zachowanie mojej matki.

Oczywiście Sylvie także przyjechała, ze swoim nowym chłopakiem. Nazywał się Alan Wallis i pracował w męskim dziale Marks & Spencer. Kiedy Abi go poznała, poradziła Sylvie, żeby dobrze sprawdziła, bo ten facet zdecydowanie wygląda na geja, ale Sylvie zapewniła ją, że jest wręcz przeciwnie. Znakomicie dawał sobie radę we wspomnianej dziedzinie, a prawdę mówiąc, czasami bywał tak wymagający, że Sylvie opadała z sił. Abi, w przyływie szatańskiego humoru, namówiła go, żeby poszedł i zaprosił do tańca jej teściową, ale

zaraz wyszło na jaw, że Alan Wallis ma nienaganne maniery i że ukończył kurs tańca, więc w najbardziej profesjonalny sposób prowadził panią Grainger po całej sali; później ktoś słyszał, jak mówiła Williamowi, że to uroczy młody człowiek i że odbyli niezwykle interesującą dyskusję na temat wzrostów i spadków cen akcji Marks & Spencer oraz możliwych przyczyn takiego stanu rzeczy.

Z kolei pan Grainger dotrzymywał towarzystwa Sylvie.

- Może urządzi sobie *une maison à quatre* - żartowała Abi w rozmowie z Williamem. - To rozwiązałyby nam mnóstwo problemów.

Przyjechali także brat i siostra Williama, oraz ich rodziny. Abi od razu polubiła Martina, który, co prawda, z wyglądu nie był podobny do Williama, ale za to miał jeszcze bardziej ugodowy charakter. Z kolei siostra okazała się przerażającą istotą i w Abi obudziło się coś na kształt współczucia dla nieszczęsnej pani Grainger, kiedy przekonała się, że córka stale robi jej afronty, w czym może liczyć na nieustanne wsparcie ze strony swojego męża.

Georgia także tam była, podobnie jak Merlin; Abi zauważyła, że Georgia odnosi się do niego dość chłodno. Z kolei Merlin był w doskonałym nastroju i wciąż obsypywał obecnych wyszukаныmi komplementami. Powiedział Abi, że wygląda tak oszalamiająco, że na jej widok serce w nim zamarło; William usłyszał od niego, że jest najszczęśliwszym facetem w całym wszechświecie - co dość mocno zdenerwowało Georgię - a Sylvie dowiedziała się, że tańczy niemal jak anioł. Wreszcie Georgia odciągnęła go na bok i warknęła, żeby przestał się zachowywać tak, jakby stał przed - albo za - kamerą. To sprawiło mu wyraźną przykrość, ale na szczęście Sylvie, która miała już dość towarzystwa pana Graingera, wzięła na siebie obowiązek pocieszania go, co jeszcze bardziej zezłościło Georgię.

Emma i Barney przyjechali razem. Teraz byli już oficjalnie zaręczeni, więc Emma nosiła na palcu kamień niemal tak wielki, jak ten w pierścionku Abi. W tajemnicy zwierzyła się jej, że oddałaby wszystko za ciche i skromne wesele, ale matka od razu wpadła w wir przygotowań, jej aktywność w skali od zera do dziesięciu, na której mierzy się koszmarnie zachowanie mamusiek narzeczonych, oscylowała w granicach jedenastu i pół.

- W pewien sposób to trochę tak, jak w twoim wypadku. Barney i jego rodzina to szalenie elegancyjny ludzie, moi rodzice wręcz przeciwnie, więc mam niedobre przeczucie, że to wszystko skończy się łzami.

Abi poradziła, żeby w tym wypadku pozwoliła się porwać Barneyowi, albo zwyczajnie uciekła z nim i wzięła ślub gdzieś na plaży, lecz Emma odparła, że nie może wyrządzić takiej przykrości swojej matce. A może zależało jej, jak podejrzewała Abi, żeby przejść wzdłuż kościelnej nawy w sukience w kształcie bezy.

William zaprosił także kilku swoich przyjaciół, którzy podobnie jak on zajmowali się rolnictwem. Ich żony były wesołymi, hożymi dziewczętami, które miały dość siły, żeby tańczyć jeszcze długo po tym, jak cała reszta zrezygnowała z płaśów na parkiecie. Abi zaprosiła niewielkie grono - składające się dokładnie z trzech osób - swoich dawnych, tych lepiej zachowujących się przyjaciółek, które mogły uchodzić za ozdobę towarzystwa i po których można było mniej lub bardziej spodziewać się, że się nie upiją ani nie porzygają, nie będą też próbowały przemycić żadnych narkotyków.

- Wiesz, kochanie - zwierzyła się później Williamowi, kiedy późną nocą rozbierali się w swoim apartamencie w hotelu Radisson Edwardian na Heathrow, przed odlotem o szóstej rano na Barbados. - Wszystko wy-

glądało dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Goście byli zadowoleni, doskonale zgadzali się ze sobą, i nawet twoja matka przez większość czasu chyba się uśmiechała.

William z roztargnioną miną pokiwał głową. Ze zdumieniem przyglądał się zbyt kownemu wyposażeniu hotelu, z jego ogromnym atrium, marmurowymi posadzkami i kolumnami, z bujnymi palmami i lustrami w połączeniach ramach... Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

- Prawdę mówiąc, tylko trzy razy zdarzyło mi się wyjechać z domu - przyznał. - Dwa razy z babcią do Flinton i raz z tatą na ryby do Szkocji.

Abi odparła, że pomyśli, jak można nadrobić ten brak.

Miesiąc miodowy udał się fantastycznie. Zatrzymali się w hotelu Glitton Bay i robili to wszystko, czym zajmują się turyści: uprawiali parasailing, surfowali, pływali z delfinami i co wieczór tańczyli na dyskoteci na coraz to innej pięknej plaży. A potem wrócili do domu, do rzeczywistości, która czekała na nich w domku numer jeden.

Prawdę mówiąc, Abi była tam całkiem szczęśliwa. Absorbowały ją sprawy związane z założeniem własnej firmy, z organizacją festiwalu, z nauką konnej jazdy - w czym okazała się pojętną uczennicą.

- Niedługo będziemy musieli wypuścić cię na przejażdżkę z naszymi psami gończymi... Z obydwoma - mówił pan Grainger, mrugając do niej jak zwykle.

Poza tym Abi uczyła się gotować. Po kilku tygodniach niezbyt udanych prób przygotowania czegoś ambitnego dała za wygraną i zadowoliła się ciągłym pieczeniem olbrzymich sztuk mięsa, co szło jej dość łatwo i czym mogła zaspokoić wilczy apetyt Williama. Pani Grainger przeważnie zostawiała ją samej sobie, od czasu do czasu tylko zjawiając się w domku numer jeden z jakimś smakowitym pasztetem, puddingiem, sosem korzeniowym czy słoikami dżemów.

- Wiem, że masz mnóstwo pracy, więc może ci się to przyda - mówiła.

Abi szybko nauczyła się być jej wdzięczna za każdy podarunek. Wiedziała, co prawda, że pani Grainger robi to nie całkiem ze szczerego serca, co częściowo pozostawało w sprzeczności z jej własnymi wysiłkami, jakie wkładała w poprawę stosunków, jednak z drugiej strony musiała przyznać, że każda rzecz przyniesiona przez panią Grainger smakuje wyśmienicie.

I tak oto nadszedł poranek dnia festiwalu; okazało się, że sprzedano trzy tysiące biletów.

- Trzy tysiące! Nie mogę w to uwierzyć! - wołała Georgia. - To niewiarygodne!

Abi odparła, że to wciąż za mało; potrzebowali sprzedać dwa razy tyle, żeby można było mówić o zarobieniu godnych pieniędzy. Poza tym w kwestii wynagrodzenia dla zespołów nadal przekraczali zaplanowany budżet.

- Ale powinno się udać upchnąć trochę biletów w sam dzień festiwalu... Oczywiście, dopóki nie okaże się, że leje jak z cebra.

- Sama mówiłaś, że na pewno będzie padać - przypomniała Georgia. - Teraz nie próbuj się z tego wykręcić.

Najlepsze ze wszystkiego wydawało się to, że bank BKM, w którym pracował Barney, zgodził się zostać sponsorem imprezy.

- Choć obawiam się, że to będzie dość skromna sumka - uprzedził Barney. - Dziesięć tysięcy dolców, tak na odczepnego, ale mam nadzieję, że to trochę wam pomoże. Ale oni też chcą coś z tego mieć, to znaczy musicie wymienić ich w reklamie i tak dalej... Mój szef powiedział, że jeśli będzie ładny dzień, to sam się wybierze i przywiezie ze sobą paru znajomych.

Abi odparła, że dziesięć patyków to wcale nie jest skromna suma i że osobiście postara się podziękować szefowi Barneya, najpiękniej jak potrafi.

- Może lepiej nie - powiedział. - On jest gejem.

Abi wstała, włożyła dżinsy, kalosze i sztormiak, i w takim stroju pojechała na miejsce, gdzie miała odbyć się impreza.

- Boże, czy ktokolwiek przypuszczał, że zobaczy mnie żywą w czymś takim - powiedziała do Georgii. - Ale trzeba przyznać, że na deszcz to najlepszy ubiór.

Dochodziła siódma, ale wszędzie kręciło się już mnóstwo ludzi. Ze szczytu wzgórza spojrziała na swoje dzieło - na przemianę małej, żyznej doliny w coś całkowicie innego, i ogarnęła ją mieszanina trwogi i dumy, mniej więcej w równych proporcjach. Stado krów przy łagodnych protestach przegoniono gdzie indziej już tydzień temu, wyrugowało je konkurencyjne stado hałaśliwych ciężarówek, potężne przewody z prądem, wysokie łuki z oświetleniem, schludne rzędy przenośnych toalet i pryszniców. W samym centrum ustawiono połyskliwą czerwono-żółtą arenę, nad nią łopotał wielki napis: „W Dobrym Towarzystwie”. Nad sceną umieszczono baterię reflektorów; raczej przypadkowo dobrany zestaw mikrofonów i sprzętu nagłaśniającego stał z boku, razem z klawiszami i perkusją, czekając, aż muzycni mistrzowie doprowadzą je do porządku. Był tam także nieliczący z resztą instrumentów fortepian, o którym wiedziała, że należy do zaprzyjaźnionej z Georgią piosenkarki jazzowej, Anny, oraz do jej córki; po obu jego stronach umieszczono dwa wielkie ekrany. Abi zaparkowała samochód przy bocznym wejściu; tuż za bramką stały dwie przenośne kabiny, służące jako garderoby. Rosie, kierownik sceny, machnęła jej ręką na powitanie i podbiegła, naciągając na głowę kaptur kurtki.

- Cześć, Abi. Piękna pogoda, nie ma co.

- Cholerny pech, prawda?

- Och, nie martw się. Widziałam już gorsze rzeczy. Czekaj, będzie ci to potrzebne...

Owinęła talię Abi paskiem zielonego, połyskującego plastiku.

- Rola Pani Farmer nie zaprowadzi cię dziś daleko. Zielony jest dla osób takich jak my i dla członków zespołów, żółty dla tych, którzy zajmują się straganami, czerwony dla klientów. Nie zdejmuj tego pod żadnym pozorem, cokolwiek będziesz robić. To znak dla ochrony. Już przyjechali; są w tym drugim domku.

- Okay, dzięki. A ty? O której tu byłaś?

- O czwartej - odparła Rosie pogodnie. - Jeszcze tyle było do zrobienia.

- O czwartej! - wykrzyknęła Abi. - Mam nadzieję, że nie będziemy musieli zapłacić ci za nadgodziny.

- Oczywiście, że tak. No przestań, przecież żartowałam. Teraz najbardziej martwię się o komisję z Ochrony Zdrowia. Wiem, że wybierają się tutaj z ostatnią inspekcją mniej więcej na godzinę przedtem, nim zaczną grać pierwszy zespół...

- No właśnie.

- Zadzwonili do mnie wczoraj późno wieczorem, że trochę mogą się spóźnić, bo mają inną imprezę po drugiej stronie M4. To okropne. Mogą opóźnić całą imprezę o wiele godzin, jeśli znajdą jakiś kabel, który im się nie spodoba, albo cokolwiek innego...

- Tak, kumpel Williama, który organizuje co roku takie imprezy, opowiadał nam, że kiedyś przytrzymał go aż do dziesiątej trzydzieści. O Boże. Myślisz, że przyjedzie ich tu wystarczająco dużo, żeby szybko obejść cały teren?

- Nie - przyznała Rosie. - I... Och, zobacz, przywieźli jedzenie! Kazałam im przyjechać o dowolnej porze, byle po siódmej. Deszcz wcale im nie przeszkadza. Dzięki temu mają szansę więcej sprzedać.

Mała armada ciągnących naczepy ciężarówek zmierzała prosto w ich kierunku.

- O rany, muszę pędzić, powiedziec im, gdzie mogą zaparkować. Wciąż jesteś zadowolona z tego, co udało się załatwić?

- Jasne - odparła Abi.

Zastanawiała się, co porabia teraz pani Grainger i wysyłała ku niebu krótką, lecz żarliwą modlitwę o jakąś gwałtowną, aczkolwiek niegroźną chorobę, która na kilka godzin mogła zwalić ją z nóg. Potem podeszła do jakiejś zdesperowanej dziewczyny stojącej przy wejściu, która powiedziała, że jest odpowiedzialna za coś, co określiła jako zestaw karuzeli dla dzieci i że ma kłopoty. Jedna z ciężarówek przez przypadek wjechała na teren farmy i teraz nie ma jak zawrócić, a pewna niezycziwa kobieta nie pozwoliła przesunąć swojego land rovera, a to przecież mogłoby bardzo ułatwić zadanie... No cóż, nie ma co liczyć na gwałtowne choroby, pomyślała Abi, i powiedziała dziewczynie, żeby poszła za nią w górę ścieżki.

Emma i Barney przyjechali o jedenastej, dokładnie w chwili, gdy wielki, biały van ugrzązł w błocie.

- No i co teraz zrobimy? - zawodziła Abi. - Ten dureń na dobre zablokował drogę, a jeszcze nie mamy połowy stoisk, i w dodatku...

- Abi, nie jestem farmerem... - przerwał jej Barney - ...ale wydaje mi się, że traktor migiem da sobie z tym radę. Gdzie jest William?

- Próbuje załatwić jakiś problem z doprowadzeniem prądu. Najwidoczniej dostaliśmy za mały przydział, a teraz usiłują nam wmówić... Tam, proszę spojrzeć...

- Pójdę go poprosić - powiedział Barney. Wrócił po chwili, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- William nie może oderwać się od tego, co akurat robi, ale jeśli ściągnę jego tatę albo waszego pomocnika od krów, to oni przyprowadzą traktor. Gdzie mogę znaleźć któregoś z nich?

- Nie mam pojęcia, gdzie się podział tata. Może dusi mamę, mam taką nadzieję. A ten chłopak, nawiasem mówiąc, ma na imię Toby, na pewno jest w oborze. Jedna z krów zaczęła się cielić i zdaje się, że zaszły jakieś komplikacje. Z tego, co wiem, właśnie wezwali weterynarza. On nie może zostawić jej nawet na chwilę, nie mówiąc o przyprowadzeniu tu jakiegoś głupiego traktora. O Boże!

- Ja potrafię prowadzić traktor - oznajmił nieoczekiwanie Barney. - Oczywiście, jeśli William nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Boże, sama nie wiem. On kocha te pieprzone traktory. O wiele bardziej niż mnie.

- Wiesz, gdzie stoją?

- Jeden parkuje przed owczarnią. Widziałam go, idąc tutaj.

- Zostaw to mnie. W razie czego gniew Williama spadnie na mnie.

- Ale, Barney... Psiakrew! Co to za koszmar! Czy ty naprawdę umiesz jeździć na traktorze? Nie przesadzasz?

- Naprawdę umiem. Chodziłem do szkoły z pewnym koleśkiem, którego tata miał farmę. Ilekroć u niego byłem, jeździliśmy traktorami po całym gospodarstwie.

- Ale...

- Abi, jestem pewna, że Barney nie mówiłby, że potrafi prowadzić traktor, gdyby było inaczej - wtrąciła Emma. - To cholernie mądry facet.

- Tak, okay, ale...

- Posłuchaj, musimy coś z tym zrobić, i to szybko - przerwał jej Barney.

Machnął ręką w kierunku vana; kierowca zdążył się już wygramolić na zewnątrz i właśnie w najlepsze klócił się z jednym z ochroniarzy, wyzywając go od cholernych pedałów. Ochroniarz wyciągnął zza paska radio i na zmianę gadał do nadajnika albo wrzeszczał na kierowcę.

- Okay, zaraz cię tam podwiozę. Emma, zostań tutaj i wymyśl jakieś kłamstwo na użytek Williama, gdyby przypadkiem się zjawił.

- Chętnie - odparła Emma pogodnie.

Emma baczny wzrokiem rozejrzała się dookoła. Wszystko - oczywiście poza tkwiącym w błocie vanem - wydawało się nadzwyczaj sprawnie zorganizowane.

Przyczepy z jedzeniem stały już na swoich miejscach, a zza podciągniętych wysoko żaluzji widać było napisy w stylu: „Najlepsze hamburgery” albo „Chrupiące frytki”. Kilka dziewczyn pilnowało paru karuzeli, wsadzając chętne do zabawy dzieciaki. Dwa ustawione obok siebie namioty w kolorze tęczy zapraszały do malowania twarzy i nauki wyplatania koszyków z wierzbowych witek. Ktoś obdarzony niezłym poczuciem humoru umieścił wielki, napełniony gorącym powietrzem balon z napisem „W Dobrym Towarzystwie” tuż nad przenośnymi toaletami. Rozstawiono właśnie namiot, gdzie ulokowała się pomoc medyczna ze szpitala Świętego Jana. Jakaś dziewczyna z chłopakiem montowali pod drewnianym daszkiem wielkiego grilla, znajdująca się tuż obok tabliczka głosiła: „Paella. Naprawdę największe porcje!”. Przy wejściu dla publiczności ustawiała się, co prawda niedługa, ale zdeterminowana kolejka chętnych do wzięcia udziału w imprezie.

Wszyscy zdawali się dokładnie wiedzieć, co do nich należy, i każdy świetnie dawał sobie radę. Powietrze trzeszczało od rozmów prowadzonych przez walkie-talkie, od katarynek zamontowanych na karuzelach i okazjonalnych wybuchów muzyki rockowej, kiedy ktoś wpadł na pomysł, że należy sprawdzić system nagłośnienia. Z każdą chwilą robiło się coraz ciasniej - pojawiały się kolejne vany, kolejne namioty, kolejne kolory i kolejne stoiska. To było zdumiewające, zupełnie jakby ktoś montował fragmenty jakiejś olbrzymiej układanki. Boże, ta Abi naprawdę była niesamowitą osobą. Zdołała po mistrzowsku zorganizować wszystko, bez cienia hysterii, jaką wносиła na przykład Georgia - po prostu wzięła się do roboty i zrobiła, co należało. William był prawdziwym szczęściarzem, że na nią trafił; miała nadzieję, że on o tym wie.

- Och... William! - zawołała w pewnej chwili, bo zorientowała się, że on stoi tuż za nią. - Cześć!

- Cześć, Emmo. Czy wszystko w porządku? Abi pewnie poszła po Teda, tak?

- Tak... Tak mi się zdaje.

- Super. Wybacz, że nie mogę się tobą zająć, ale jeśli masz ochotę na kawę, w przyczepie naszej kierowniczkii jest czajnik i cała reszta.

- Dziękuję Williamie, nie musisz się mną zajmować. Dam sobie radę. Czy udało się jakoś załatwić ten problem z zasilaniem?

- Nie, na razie nie. W dodatku ten van narobił bałaganu. Boże, gdyby tylko ten cholerny deszcz na chwilę przestał padać...

- Wydaje mi się, że przestaje. No, zobacz. Wyraźnie zelżał, teraz to już właściwie coś w rodzaju mżawki, prawda?

- Niestety nie - westchnął, spoglądając na ciemne, ponure niebo. - Och, świetnie, nareszcie jedzie Ted. Hej, to nie Ted... To Barney! Do diabła, co mu strzeliło do łba, żeby wsiąść na mój traktor?! Barney, ty dumny palancie, wynoś się stamtąd, do jasnej cholery! Zaraz coś rozwalisz!

- Odpieprz się, William - wrzasnęła Abi, starając się przekrzyczeć hałas. - Barney świetnie sobie radzi! A ty lepiej pędź do obory; cielak nie daje się wyciągnąć i weterynarz potrzebuje pomocy!

- Gdzie jest Ted, do diabła?!

- Musiał się zająć innym cielakiem. Jedź tam, Williamie. Na litość boską, jedźże wreszcie!

William z rykiem silnika popędził land roverem w górę drogi, ale w ostatniej chwili zdążył jeszcze odwrócić się do Barneya.

- Fraser, nogi z dupy ci powyrywam, jeśli uszkodzisz mi traktor!

- Widzisz - Abi z szerokim uśmiechem popatrzyła na Emmę. - Można całe wieki czekać na cielaka, a potem rodzą się wszystkie naraz.

- Moim zdaniem, mogłyby wybrać sobie inny dzień - zauważyła Emma. - To straszna nierozwaga z ich strony. Muszą przecież wiedzieć, co tu się dzieje... Abi, czy zgodzisz się ze mną, że deszcz wyraźnie zelżał? Już prawie nie pada.

- Mmm... Nie jestem tego pewna - mruknęła Abi. - Wielkie nieba! Dobry, stary Barney! Ależ on cuda wyczynia z tą kupą żelastwa. Mam nadzieję, że z krową wszystko w porządku. W zeszłym tygodniu jedną straciliśmy i absolutnie nie możemy pozwolić sobie na stratę następnej.

Emma spojrzała na nią z podziwem; jej zachwyt rósł z każdą chwilą.

- Czy to ty jesteś Abi? Przysłała mnie tutaj ochrona.

Przed nimi stała jakaś dziewczyna, ubrana w całkiem nieodpowiednie czerwone sandały na wysokim obcasie i nieskazitelnie białe spodnie.

- Jestem Tessa Standish, z Wiltshire Radio.

- Och... Mój Boże. Tak, świetnie... Mówili mi, że może pani przyjedzie... Może podejdziemy bliżej sceny? Czy ma pani jakieś inne buty?

- Nie. To głupio, ale nie spodziewałam się, że przyjadę do was z samego rana.

- Wie pani co? - powiedziała Abi. - Po drodze będziemy mijać stoisko z kaloszami. Ma pani niepowtarzalną szansę zostać naszą pierwszą klientką... Proszę spojrzeć. Może te w kolorze tęczy? A może w kropki? Albo takie, jakie nosi się na polowaniach?

Georgia tuż przed godziną pierwszą jechała autostradą M4, kiedy usłyszała w radiu głos Tessy Standish.

- Nadajemy dla państwa prosto z festiwalu „W Dobrym Towarzystwie”, muzycznej imprezy wzorowanej na „Paget's Farm”, która odbywa się tuż obok autostrady M4 w pobliżu Bridbourne. Jeśli zastanawiacie się, czy tu przyjechać, powinniście wpaść choćby ze względu na poczęstunek. Wszystko wygląda fantastycznie, jest niewiarygodnie dużo stoisk, są wspaniałe zespoły, które tu wystąpią, pragnę nadmienić, że spora ich część to zespoły z najbliższej okolicy, jest znakomita baza noclegowa, wiele rozrywek dla dzieci i wręcz zdumiewająca oprawa wszystkiego, coś w rodzaju naturalnego amfiteatru... Proszę nie zniechęcać się pogodą, ponieważ tutaj deszcz właściwie przestaje już padać, a nawet od czasu do czasu przez chmury przebija się słońce. Głównym punktem programu jest występ zespołu BroadBand, przewidziany mniej więcej o ósmej, ale jest też mnóstwo innych, poczynając od bandu folkowego o nazwie... Jak oni się nazywają? Ach tak, Slowmo. Zagrają o trzeciej. Pamiętajcie, że ten festiwal jest imprezą charytatywną, a jego celem jest zebranie funduszy na pomoc ofiarom katastrofy, jaka zdarzyła się na M4 w sierpniu zeszłego roku, oraz dla szpitala Świętego Marka w Swindon. Tak więc, przyjeżdżając tutaj, przyczynicie się do dobrej sprawy...

Psiakrew, niedobrze, że zjawi się tam tak późno. Chciała przyjechać z samego rana, okazać się użyteczna, ale drugi asystent pracujący przy produkcji nowego filmu niespodziewanie zadzwonił do niej i powiedział, że do nakręcenia jednej ze scen potrzebny jest deszcz, i że deszcz właśnie był uprzejmy się rozpadać, więc niech się jak najszybciej pofatyguje na plan. Tak więc musiała się pofatygować.

Ostatnie trzy miesiące, odkąd *Moving Away* pojawiło się na ekranie państwowej telewizji, były najbardziej zdumiewającymi w jej dotychczasowym życiu. Otrzymała entuzjastyczne recenzje, w których została okrzyknięta przez rozmaitych krytyków „niewiarygodnym, nowym talentem”, który zabłysnął „bliską ideału interpretacją”, będąc przy tym „subtelnie wzruszającą aktorką o znakomitej intuicji”.

- Nic nie rozumiem - powiedziała do Lindy. - Wiem, że wcale nie byłam aż tak dobra. Jeszcze nie dostałam hysia na swoim punkcie.

- Może, lecz rzecz w tym, kochanie, że kamera cię uwielbia. To dotyczy nie tylko modelek, o których wciąż się słyszy; są aktorzy, do których ta zasada także się stosuje. Jeśli ktoś odnajdzie w twojej kreacji więcej niż ty sama, to może ten ktoś ma rację, a nie ty. Uczciwie mówiąc, Georgia, a pamiętaj, że zawsze byłam jedną z twoich największych fanek, zupełnie nie rozumiem, czemu przychodzisz tutaj z takimi uwagami. Jesteś aktorką filmową, jaka trafia się raz na milion, i powinnaś postem dziękować za to Bogu... Tylko nie przybiegaj do mnie za chwilę, żeby powiedzieć, że musisz w Stratfordzie zagrać Julię, bo bez tego nie czujesz się spełniona.

- Oczywiście, że nie przybiegnę.

- Skarbie, byłabyś zdumiona, ile dziewczyn tak robi. Po prostu ciesz się tym, co masz. To naprawdę coś wspaniałego.

Twarz Georgii pojawiała się teraz wszędzie: oprócz stron poświęconych sztuce, „Vogue” zaproponowało jej sesję zdjęciową promującą modę, poza tym wystąpiła w niedzielnym wydaniu „Timesa” w dziale poświęconym modzie oraz w „Guardianie”, w rozkładówce ze zbliżeniami, dołączonej do ukazującej się w poniedziałek wkładki o modzie. Bez przerwy też udzielała wywiadów, dzięki czemu parę razy udało się jej prześcignąć informacje na temat festiwalu. A co najważniejsze, dostała rolę w nowym serialu BBC, który miał być kręcony na jesieni, a zaraz potem propozycję wystąpienia w filmie, w ekranowej adaptacji powieści, której ak-

cja rozgrywała się na tle tego, co w reklamach określano mianem „Anglii Margaret Thatcher”, choć ona naprawdę nie potrafiła pojąć, czym tamta Anglia różni się od współczesnej Wielkiej Brytanii. Jej matka niechybnie by wiedziała, o co chodzi. Najważniejsze, że film zapowiadał się świetnie, ona zaś dostała całkiem dużą rolę.

Wyprowadziła się z wynajętego pokoju w domu Jazza i w Clapham kupiła własne, malutkie mieszkanie; z TopShopu oraz TK Maxx wracała z tonami ciuchów, a nawet szarpnęła się na parę sukienek od Stelli McCartney - na specjalne okazje. Sprawiała sobie także nowe auto Mini. Po zakończeniu zdjęć do serialu postanowili razem z Merlinem wybrać się na tydzień wakacji do Tajlandii. Życie troszkę się zmieniło, jak zauważyła w rozmowie z Abi.

- Ale nadal denerwuję się każdym głupstwem i jestem wiecznie niepewna swego, jak jakaś...

- ...wariatka? - odpowiedziała Abi z szerokim uśmiechem.

- Strasznie chciałabym być taka fajna jak ty, Abi, taka opanowana i pozbierana. Ale nie sądzę, żeby to kiedykolwiek mi się zdarzyło. Może potrzebuję męża?

Abi odparła, że jej zdaniem mąż jest ostatnią rzeczą, jakiej Georgii teraz trzeba.

- Kto by to wytrzymał teraz, kiedy jesteś taka sławna? No, chyba że znalazłabyś sobie kogoś takiego jak ty. A zresztą, co z Merlinem? Co ci się w nim nie podoba?

Georgia westchnęła i nic nie odpowiedziała.

- Wydaje mi się, że coś nie gra - zauważyła Abi. - Co się stało? Jakies kłopoty w raju?

- W raju?

- Tak. Merlin powiedział mi kiedyś, że być z tobą to jak być w raju. Pomyślałam, że to słodkie i takie miłe...

- No cóż, wcale nie - parsknęła Georgia. - Nie znoszę, kiedy opowiada takie bzdury.

- Ja tam nie miałabym nic przeciwko temu. Najlepsze, na co zdobył się William, to zapewnienie, że życie układa mu się o wiele lepiej, odkąd się ze mną ożenił, choć pewnie w tym tygodniu już nie jest tego taki pewien.

- Tak, ale on mówi to, co naprawdę myśli. Merlin wręcz przeciwnie.

- Skąd wiesz?

- Och... Bo to wszystko takie banalne. Mogłabym przysiąc, że ćwiczę przed lustrem. Poza tym jest taaki próżny. Nie wiem, Abi... Wolałabym raczej mieć obok siebie kogoś tak uroczego i stałego jak William. Chciałabym być żoną farmera.

Abi wybuchnęła śmiechem.

- Georgia, nie możesz wyjść za farmera. Zapłakałabyś się z żalu na śmierć. Z powodu tych cudnych jałgiatek, które jadą na targ, albo biednych, małych byczków...

- Dlaczego? Co się z nimi dzieje?

- Nie mam zamiaru ci mówić - odpowiedziała Abi.

Georgia poczuła się zaintrygowana i zapytała o to w rozmowie z Williamem, a potem - tak jak Abi przewidywała - długo zalewała się łzami na myśl o tych biedactwach, które jadą na targ, żeby potem zamienić się w cielęcinę.

Tak czy owak, wyglądało na to, że festiwal będzie ogromnym sukcesem. Około południa odebrała pełen ostrożnego optymizmu telefon od Abi, która powiedziała, że przed bramami tworzą się „olbrzymie kolejki”.

- Właśnie jechałam drogą i dokładnie wszystko widziałam! Olbrzymia kolejka ludzi, rozciągnięta pomiędzy polami kukurydzy, która sięga aż do granicy farmy. Przyjeżdżaj wreszcie, Georgio Linley, masz huk roboty do zrobienia. A gdzie się podziewa twoja przyjaciółka?

- Chyba jest już na miejscu - odparła Georgia. - Rozmawiałam z nimi mniej więcej przed godziną. Były gdzieś w okolicach Swindon, jak mi się zdaje. Mam nadzieję, że nie przytrafiło im się nic złego.

- Nie, nie mówię o nich. One już są i jest naprawdę świetnie. Zdołaliśmy jakoś zareklamować ich występ w radiu i teraz mamy tu parę facetów z brodami i w prehistorycznych sandałach, którzy mówią, że wciąż nie mogą uwierzyć, że za chwilę posłuchają żony i córki Sima Fostera. Wszyscy strasznie się cieszą. Nie, ja pytałam o tego kolesia od płyt CD. Jak dotąd nie dał znaku życia.

- Och, Jazz! On przyjeżdża razem z Merlinem. O ile wiem, zjawią się jakieś dwadzieścia minut po mnie.

Anna i Lila zagrały półgodzinny program dokładnie o szóstej; Lila na saksofonie, Anna na fortepianie. Ich występ okazał się wielką atrakcją zarówno dla tych, których Abi określała mianem szarej masy, jak i sporego grona fanatyków.

- To dodaje nam splendoru, taka piękna historia, którą można wykorzystać w reklamie, łącznie z twoją osobą, tymi serialami telewizyjnymi, i tak dalej... Sim, to znaczy jej mąż, był swego czasu naprawdę wielki; sprawdziłam w Google'ach. Cudownie się składa, że będziemy mogli o tym wspomnieć. A Lila jest naprawdę wspaniała, prawda?

Georgia przyjechała akurat wtedy, gdy słońce przedarło się przez chmury. Zaparkowała samochód na szczycie wzgórza i z uśmiechem spojrzała w dół. Niebo było niezbyt niebieskie, ale na szczęście ciemne chmury odpłynęły, a na polach zaczęto wznosić namioty. Były ich setki i wydawało się, że szczelnie wypełniają przeznaczony na kemping teren; zdaje się, że Abi była w błędzie i że trzeba będzie udostępnić drugie pole... Namioty mieniły się różnymi kolorami, małe w kształcie igloo przeznaczone były dla par, większe dla rodzin z dziećmi. Słyszała łomot tysięcy młotków, wbijających gwoździe w ziemię, śmiechy i krzyki dzieci biegających dookoła, nawoływania dorosłych, dźwięki katarynek przy kręcących się karuzelach... Wszystko było takie uroczne, takie przyjemne; ich sen stawał się rzeczywistością, co wydawało się niemal nie do uwierzenia. Kilka osób już zapaliło ogień pod grillami, więc w wilgotnym powietrzu płynął aromatyczny dym. Po drugiej stronie doliny ciągnęła się niemająca końca kolejka chętnych do wejścia, czekająca cierpliwie w słonecznym blasku na swoją kolej.

- Cześć, skarbie. Jak sobie radzisz?

- Och, Jazz. Jak miło, że jesteś. Zdaje się, że całkiem nieźle.

- Rzeczywiście, fajnie to wygląda. Twoja kumpelka odwalila kawał dobrej roboty.

- Widziałeś ją? Martwiła się, że możesz się spóźnić.

- Tak, Meri został, żeby z nią pogadać. I z jakąś ptaszynką w takich białych spodniach. Ta dziewczyna miała przy sobie mikrofon. No, sama wiesz, jak to jest; wystarczy pokazać Merlinowi mikrofon i już dostaje

fioła, mam rację? To znaczy, on jest superfacetem, ale niczego nie kocha nawet w połowie tak bardzo, jak siebie i własnego głosu. Rozumiem, Georgia, że jesteście teraz w stałym układzie, co?

- Nie! - zawołała Georgia i poczuła się przerażona własną gwałtowną reakcją. - Nie, my jesteśmy... sam pewnie wiesz.

- Tak, chyba wiem... Muszę przyznać, że Merlin zrobił olbrzymi postęp. Kiedy porówna się ciebie z jego ostatnią panienką...

- Wydawało mi się, że lubisz Ticky - zdumiała się Georgia.

- Bynajmniej, skarbie. Ona była taką typową laseczką, co to chodzi w futrze, ale nie nosi majtek. Zupełnie nie w moim typie.

- A jaki jest twój typ? - spytała Georgia.

Nie wiadomo dlaczego poczuła się zaciekawiona.

- To zależy. Po prostu, kiedy kogoś spotykam, od razu wiem. Spójrz na naszego starego Merla, jak ciężko pracuje na polu. Ten chłopak rzeczywiście uwielbia świeżutką publiczność.

Spojrzała; faktycznie, Jazz miał rację. Merlin krążył między namiotami, zagadując do ludzi. Wyglądał zdumiewająco dobrze - czyli jak zawsze - w nowiutkich džinsach, brązowych butach do konnej jazdy i w białej koszuli bez kołnierzyka. Był jej ukochaniem, więc musi częściej go doceniać i przestać się uskarżać, że ją irytuje.

Zaparkowała samochód i poszła odszukać Annę i Lilę. Anna siedziała obok sceny, sprawdzając, czy wszystko działa jak należy.

- Wspaniały instrument - powiedziała na widok Georgii. - Japoński sprzęt. Dokładnie to, na co miałam nadzieję. I naprawdę świetnie nagłośniony. Lila właśnie wymiotowała po raz czwarty. Trema zżera ją bardziej, niż przypuszczałam.

- Och, biedne maleństwo... - To był Merlin. - Nie ma nic gorszego niż trema. Na pewno zaraz się pozbiera. Pójdę z nią pogadać i zobaczę, co się da zrobić.

- To w niczym nie pomoże - powiedziała Georgia do Anny, kiedy Merlin odszedł. - Wystarczy, żeby zaczął gadać, a znowu robi się jej niedobrze. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Nagle zorientowała się, że właśnie złamała postanowienie, że będzie dla niego milsza. Jak mogła tak się zachowywać? Zaledwie sześć miesięcy temu dałaby się zabić, byle tylko mieć Merlina obok siebie i móc mówić, że to jej chłopak. Co się z nią dzieje, na litość boską?

Lila chwiejnym krokiem wytoczyła się z za sceny. Najwyraźniej przed chwilą wyszła z toalety, chyba więc Merlinowi nie udało się jej znaleźć.

- Mamo, nie dam rady.

- Oczywiście, że dasz - odezwała się Georgia, obejmując ją ramieniem. - Chodź, pójdziemy pogadać z Merlinem.

Merlin siedział na ziemi i popijał wodę z butelki, częstując nią jakąś dziewczynkę w długiej spódnicy, kaloszach i patchworkowym kapeluszu, z wymalowaną na czole tęczę.

- Cześć, Georgia, Lila... To jest Milly. To już czwarty festiwal w tym roku, na jaki przyjechała.

- Coś takiego! - zdumiała się Georgia. - To naprawdę imponujące. Cześć, Milly. Dobrze się bawisz?

- Jasne.

- Podoba mi się twój kapelusz.

- Mama mi go kupiła. O, na tamtym straganie. - Wskazała ręką kierunek. - Ona ma taki sam.

- Bardzo ładny.

Georgia uśmiechnęła się do mamy Milly, ładnej, ciemnowłosej dziewczyny, która miała na głowie identyczny kapelusz jak jej córeczka.

- Chcę, żebyście wiedziały, że ten stragan z kapeluszami to był mój pomysł.

- Naprawdę świetny, gratuluję - odezwała się mama Milly.

- Prawda, że jest uroczy?

- Och, nawet bardzo. Jesteśmy fankami takich festiwali. Zawsze mam wrażenie, że przyjechałam na coś w rodzaju miniwakacji. Żadnego przymusu, dużo wolności dla dzieciaków, a tu w dodatku w takim pięknym miejscu. Nigdy dotąd tu nie byliśmy.

- Pewnie dlatego, że nigdy dotąd nie było tu żadnej imprezy tego typu - odparła Georgia. - Wiem, co masz na myśli, gdy mówisz o tych festiwalach. Że wszyscy jesteśmy razem i że należymy do tego samego rodzaju ludzi, że nikt z nikim się nie kłóci i wszystko jest fajnie.

- Naprawdę fajnie! Słuchaj, wyglądasz znajomo. Czy myśmy się już gdzieś spotkały?

- Eee... Nie sędzę - odparła Georgia.

Te drobne oznaki jej popularności, które z początku były tak ekscytujące, szybko stały się ciężarem. Zawsze myślała, jakie to będzie wspaniałe, gdy stanie się rozpoznawalna, bo dzięki temu poczuje się kimś ważnym, ale to wkrótce okazało się niewiarygodnie nudne. Każdy zadawał jej te same pytania - na temat pracy, rozmaitych osób biorących udział w konkretnej produkcji, w jaki sposób została aktorką, a jeśli pytającymi byli młodzi ludzie, często interesowali się, czy, jej zdaniem, oni też mogliby spróbować swoich sił w tym fachu.

Bezradnie spojrzała na Merlina, szukając u niego pomocy, ale on stał obok Lily i wydawał się całkiem pochłonięty rozmową. Z jakiegoś powodu strasznie ją to zdenerwowało.

- Gdzie jest wasz namiot? - zwróciła się do Anny. - Mogłabym rozstawić się gdzieś w pobliżu.

- O, tak, skarbie.

- Georgia!

To była Abi. Wyglądała fantastycznie w dżinsowych szortach, różowych kaloszach i różowym T-shircie.

- I co, prawda, że świetnie nam idzie? Posłuchaj, potrzebuję, żebyś przyszła porozmawiać z tą irytującą babą z radia. Ona koniecznie chce przeprowadzić z tobą wywiad.

- Naprawdę muszę?

- Tak, psiarew, musisz! Georgia, na razie nic dzisiaj nie zrobiłaś. Emma jest tu od wielu godzin, tak samo jak Barney. Naprawdę mogłabyś mi...

- Już dobrze, dobrze! Wiesz przecież, że pracowałam.

- Tak, wiem. Mówiłaś mi o tym przynajmniej sześć razy. No dalej, ona jest tam. To ta dziewczucha w kaloszach koloru tęczy. Tylko szybko, bo pierwszy zespół zaczyna grać za dziesięć minut - przynajmniej mam nadzieję, że zaczyna, o ile ci z Ochrony Zdrowia skończą tę swoją cholerną inspekcję.

- No spójrz, czy to nie wygląda uroczo? - zawołała Linda, biorąc Alexa pod rękę. - Jak dobrze, że wreszcie przestało padać. I jak ładnie pachną te grille, i... Ojej, co to jest? Już wiem, to wata cukrowa! Ach, uwielbiam ten zapach. Amy, kochanie, pójdz i kup dla wszystkich po wacie na patyku, dobrze?

- Jasne.

- Może jednak nie dla wszystkich - odparł Alex. - Ja nie znoszę tego świństwa. Zresztą taka ilość cukru na pewno nie wyjdzie ci na zdrowie.

- Tata, strasznie marudzisz.

- Pomyślałam dokładnie to samo - powiedziała Linda. - Mnie wszystko wydaje się cudowne. Nawet ta muzyka nie jest taka zła.

- Jest w porządku, jeśli ktoś lubi folk - mruknęła Amy. - No, ale jeszcze jest dość wcześnie, nie? Potem na pewno będzie coś lepszego. Wciąż nie chce mi się wierzyć, że udało im się ściągnąć tu BroadBand... Wiecie, chyba pójdę poszukać moich kumpelek. Na pewno są tutaj. I jeszcze...

- Cześć, Linda. - To była Abi. - Miło, że przyjechaliście, choć pewnie to nie jest to, co lubisz najbardziej, jak sądzę.

- A dlaczego tak uważasz? - obruszyła się Linda. - Jestem weteranką festiwalu w Reading i wciąż jeszcze mam w domu bransoletkę z pierwszego festiwalu.

- Naprawdę? Świetnie. A ty zapewne jesteś Amy, prawda? Dobrze się bawisz?

- Na razie raczej średnio - odpowiedziała za nią Linda. - Ale Amy właśnie chciała się przejść i poszukać swoich koleżanek.

- Tak. I powiedziałam Lindzie, że nie chce mi się wierzyć, że Broad-Band zgodzili się zagrać.

- Mnie też się nie chce w to wierzyć, Amy. Wiesz, okazało się, że to całkiem fajni ludzie.

- Naprawdę?

- Jasne. Bardzo życzliwi, skorzy do pogawędki... Wiesz, co ci powiem? Jeśli przyjdiesz i znajdziesz mnie jakieś dwadzieścia minut przed ich występem, oczywiście, jeśli nadal będę wśród żywych, to postaram się załatwić ci miejsce w jednym z pierwszych rzędów. Może potem uda ci się nawet zamienić z nimi parę słów. Powiedzieli, że wcale im się nie śpieszy.

- O, Boże! - Amy zaróżowiła się jak piwonia. - To byłoby zbyt piękne!

- Pewnie! Przyrowadź swoje koleżanki. Ja będę z tyłu sceny; mamy tam coś w rodzaju bazy.

- O rany... To do zobaczenia później. Kurczę, jak fajnie!

- Myślę, że chyba zrobiłaś na niej wrażenie - zaśmiała się Linda. - A to wcale nie jest łatwe, prawda, Alex?

- Nie, raczej cholernie trudne.

- Strasznie się cieszę, Alex, że jednak zdecydowałeś się przyjechać - powiedziała Abi. - Naprawdę się cieszę.

- No wiesz, Abi, częściowo jestem tu z powodu szpitala... Oczywiście, że chciałem przyjechać. Jestem zachwycony i wdzięczny za zaproszenie. Nie będziemy nocować pod namiotem, ale...

- Owszem, chętnie byśmy zanocowali, gdyby to zależało ode mnie - wtrąciła Linda.

- Wierutne kłamstwo - prychnął Alex. - Abi, to właśnie ta kobieta mówiła, że za żadne skarby nie wejdziesz do namiotu.

- To wcale nie jest kłamstwo. Uwielbiam kempingi. Oczywiście przy takich okazjach.

- No cóż... Jeszcze zostało sporo namiotów do wykupienia - zauważyła Abi.

- Naprawdę?

- A jakże. Spójrz tam. Na przykład ten kosztuje tylko piętnaście funtów.

- Hmm, może go weźmiemy - mruknęła Linda. - W sumie nigdy nic nie wiadomo.

- Proszę bardzo. Rozgośćcie się. O rany, muszę pędzić. Idą ci nudziarze z Ochrony Zdrowia. Módlcie się, żeby tym razem wszystko im pasowało. Już mieliśmy dziś jedno potknięcie; co prawda pozwolili nam wystartować, ale uprzedzili, że wrócą i sprawdzą, czy ich uwagi zostały uwzględnione, bo jeśli nie, przerwą imprezę. Oczywiście zrobiliśmy, co tylko sobie życzyli, ale jednak... No to na razie.

- Wspaniała dziewczyna - zauważył Alex, spoglądając za nią z uznaniem.

- Rzeczywiście wspaniała. Jak sądzisz, czy dobrze bym wyglądała w takich szortach i kaloszach?

- Możliwe. Albo może nie. Chyba nie zamierzasz kupować tego namiotu, co?

- Owszem, mam. Dlaczego nie?

- Ale z ciebie cholerna hipokrytka! Najpierw robisz zamieszanie, żeby koniecznie zamówić hotel...

- Wcale nie jestem hipokrytką! Jestem spontaniczna, to wszystko. Po prostu nagle uznałam, że to raczej żalosne i... Strasznie typowe dla ludzi w średnim wieku, żeby w takich okolicznościach jechać do hotelu.

- No cóż, wszystko się zgadza. Jesteśmy w średnim wieku.

- Być może ty. Ja nie. A jeśli wolno mi coś powiedzieć, to zachowujesz się gorzej niż facet w średnim wieku. Po prostu jak typowy staruch.

- Wielkie dzięki. W takim razie ja ci powiem, że dziś wieczorem będziesz spać w tym namiocie sama.

- Fajowo, jak powiedziałaaby twoja córka.

- Och, jak tutaj miło!

- Prawda? Mary, czy przypadkiem nie jest ci zimno? Maeve spojrzała na nią z z troskaniem.

- A dlaczego ma mi być zimno? Przecież świeci piękne słończko.

Siedzieli na rozkładanych krzeselkach mniej więcej w połowie wzgórza, zwróceni twarzami do areny, opatuleni w ciepłe koce, bo dzień chylił się już ku zachodowi. Od pola namiotowego oddzielał ich niewielki metalowy płotek. Scena znajdowała się na samym dole. Zupełnie jakby mieli własną lożę w amfiteatrze, jak zauważyła Mary.

- Donald czułby się szczęśliwy, gdy tu był - dodała. - Zawsze uwielbiał muzykę folkową.

- A Russell?

- Och, Russell podziwiałby te dwie dziewczyny. Były naprawdę bardzo, bardzo dobre. Wiesz, słyszałam parę razy na żywo męża tej starszej. Był jednym z najlepszych jazzmanów swojego pokolenia. Pamiętam pewien wieczór w klubie Ronniego Scotta, kiedy on grał. Strasznie chciałam i tam iść, ale Donald nie czuł się dobrze. Miał skłonność do chorób płucnych.

To pewnie skutek długiego przebywania w obozie dla jeńców wojennych.

- Nie miałam pojęcia, że był w obozie.

- No, tak... We Włoszech. Trzymali go tam ponad rok. Warunki były fatalne, ciągle nie dojadali, a w zimie strasznie marzli. Kiedy wreszcie wrócił do domu, wydawał się jakiś taki skurczony, sama skóra i kości, i w dodatku dokuczał mu okropny kaszel... Ale jakoś udało się nam go odkarmić, a lekarz powiedział, że powinien spędzać maksymalnie dużo czasu na świeżym powietrzu. Więc kupiliśmy działkę i muszę przyznać, że to bardzo mu pomogło. Uprawa ogródka potrafi zdziałać cuda.

- Boże, ale to były czasy - westchnęła Maeve. - Moim dziadkom udało się wyjść z tego obronną ręką, jak mi się zdaje. Dziadek był za stary, żeby mogli go wziąć do wojska.

- Tak, faktycznie było dość ciężko. Ale to nas uodporniło na różne przeciwności losu.

- No właśnie. A ty, w innej sytuacji, nigdy nie spotkałabyś Russella.

- To prawda. I ominęłoby mnie tyle szczęścia. Och, Georgia, kochanie! Jak się cieszę, że cię widzę!

- Abi powiedziała mi, że tu jesteście. - Georgia schyliła się i cmoknęła Mary w policzek. - I jak, miło spędzacie czas?

- Bardzo. Prawda, Maeve?

- A chłopcy? Gdzie się podziewają?

- Czwartym czy piątym raz poszli pokręcić się na karuzeli - odparła Maeve. - Poza tym kazali pomalować sobie buzie, a Liamowi udało się upleść całkiem zgrabny koszyk. To prawdziwy sukces, Georgia. Serdecznie wam gratuluję.

- Ja wcale się nie napracowałam. Właściwie to Abi wszystko zorganizowała. Czy Tim też gdzieś tu jest?

- Owszem - powiedziała Mary. - To on i Lorraine przywieźli mnie tutaj. Oboje powiedzieli, że to cudowna impreza.

- Macie miejsca na głównej trybunie, co?

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się Maeve. - Właśnie chciałyśmy otworzyć termos z herbatą. Masz ochotę się poczęstować, Georgia?

- Och, nie, bardzo dziękuję. Byłoby mi miło, ale obiecałam Abi, że zaraz do niej wrócę. Przyjechała ekipa z jakiejś stacji telewizyjnej, jak widzicie, postaraliśmy się o odpowiednią reklamę, i chcą koniecznie... No cóż, chcą...

- Nagrać kawałek z tobą, jak sądzę - dokończyła Mary. - Oczywiście. Jesteś gwiazdą festiwalu.

- Mary, nie przesadzaj. Tutaj naprawdę jest mnóstwo gwiazd. Na przykład niektórzy bardzo znani muzycy. Ja przy nich to małe piwo.

- Jakoś mi się nie wydaje - uśmiechnęła się Mary. - W przeciwieństwie do ciebie, bardzo niewielu z nich miało okazję pojawić się na ekranie telewizji, w dodatku w najlepszym czasie antenowym. Taka jestem dumna z ciebie, skarbie.

- Bardzo dziękuję. Posłuchajcie, wrócę do was trochę później, dobrze? Jak długo zamierzacie tu zostać?

- Przynajmniej godzinę. Potem pewnie ruszymy do domu. Wszyscy wybierają się na noc do Tadwick.

- Wiesz, Patrick ma nową pracę...

- Naprawdę? Tak się cieszę. Nie wiedziałam.

- Tak, jest kierownikiem biura w firmie transportowej - oznajmiła Maeve. - A co najlepsze, jego biuro znajduje się w Reading. Teraz Mary przyjeżdża do nas prawie w każdy weekend, żeby pomóc albo przypilnować dzieciaki. Wtedy ja i Patrick od czasu do czasu możemy wyskoczyć na godzinkę lub dwie.

- To cudownie. Tak się cieszę. Posłuchajcie, muszę lecieć, bo Abi kiwa do mnie ręką. Później jeszcze do was przyjdę, obiecuję.

- Nie zwracaj sobie głowy, kochanie. I tak masz mnóstwo roboty.

- Wiesz, chyba pójdę poszukać chłopców - powiedziała Maeve. - Ani chybi zrobi im się niedobrze, jeśli jeszcze raz wsiądą na karuzelę, zwłaszcza po tych wszystkich hamburgerach i cukrowej wacie. Patrick nie potrafi im niczego odmówić. Niedługo wracam, Mary.

- Nie musisz się spieszyć - odparła Mary. - Mnie jest tu całkiem dobrze.

Rzeczywiście było jej dobrze. Siedziała w złotawym blasku zachodzącego słońca, przypatrując się mijającym ją rodzinom, uśmiechniętym ludziom, trzymającym się za ręce, młodym parom, złączonym w czułym uścisku, i małej, staromodnej karuzeli, która kręciła się niezamieszanie; od czasu do czasu zwracała spojrzenie na scenę i małe figurki ludzi, którzy grali tam swoją muzykę obok powiększonych swoich postaci, widocznych na ustawionych po bokach ekranach. Patrzyła na setki namiotów, wtulonych w zieloną trawę i na dymiące tu i ówdzie grille. Po wieczornym lipcowym niebie płynęło kilka chmur, pomalowanych w prążki przez promienie zachodzącego słońca. Nagle Mary ogarnęło uczucie głębokiej wdzięczności na myśl, jak wiele błogosławieństw spłynęło na nią podczas jej długiego, w większości dość jednostajnego życia; kochała i w zamian była tak bardzo kochana, doświadczyła ogromnego szczęścia, pomimo smutków, które zmuszona była znosić. Trudno oczekiwać czegoś więcej ponad to, co miała teraz; mogła przebywać w pięknym miejscu, w otoczeniu ludzi, którzy ją kochali i troszczyli się o nią, pełna wspomnień, cudownych, wspaniałych wspomnień... Żadne z nich nie było gorzkie, niemiłe, skażone złością czy gniewem. Gdyby obaj jej mężowie - obu bardzo kochała i z każdym była szczęśliwa - mogli teraz dowiedzieć się o jej szczęściu, z pewnością byłiby uradowani. W pewnej chwili, kiedy tak spoglądała na ciemniejące niebo i zmierzch, który właśnie zapadał nad ziemią, ogarnęło ją trudne do wytłumaczenia przeczucie, że obaj są teraz obok niej.

Laura siedziała na sofie razem z Daisy i oglądały wieczorne wydanie wiadomości. Nagle jej uwagę zwróciły słowa prowadzącego program spikera.

„A teraz, kiedy wreszcie - jak się zdaje - nastąpi pogoda bardziej pasująca do obecnej pory roku, i wygląda na to, że zostanie z nami przez najbliższych kilka dni, chciałabym zaprosić państwa do odwiedzenia jednego z bardziej znaczących wydarzeń tegorocznego lata, jakim bez wątpienia stał się pewien festiwal muzyczny. To dość szczególny festiwal, stworzony z myślą o celu charytatywnym, jakim jest pomoc ofiarom zeszłorocznej katastrofy na autostradzie M4 oraz zebranie funduszy dla szpitala, który udzielał pomocy poszkodowanym. Impreza jest owocem wysiłku dwóch osób, Abi Grainger oraz Georgii Linley, które też uczestniczyły w katastrofie, jakkolwiek same nie odniosły obrażeń. Być może pamiętają państwo Georgię z mroźnego krew w żyłach serialu *Moving Away*, nadawanego wiosną na Channel Four. To właśnie ona i Abi wymyśliły tę imprezę, zaplanowały i dziś doprowadziły do jej realizacji. Co ciekawe, imprezy odbywają się na farmie Williama Graingera, na którego polu w sierpniu zeszłego roku lądowały helikoptery ratunkowe, niosące pomoc rannym, a William przed trzema miesiącami poślubił poznaną wówczas Abi. Czy wszystko się zgadza, Abi?

A więc to ona, myślała Laura, czekając, aż obudzą się w niej wszystkie paskudne, złe uczucia, jakie miała dla tej pięknej, seksownej dziewczyny - pomimo jej wielkoduszności podczas wystąpienia przed sądem. Teraz ta dziewczyna, ubrana w szorty i T-shirt, uśmiechała się do kamery, przytulając się do ramienia męża.

- Tak, to wszystko prawda - powiedziała. - Ale nic nie wyszłoby z naszych zamiarów, gdyby nie wspaniałomyślność Williama oraz jego rodziców, którzy pozwolili nam wykorzystać swoje pola.

- Wyobrażam sobie, że to wszystko może wydawać się dość stresujące dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do podobnych imprez - ciągnął przeprowadzający wywiad dziennikarz, młody, wyraźnie onieśmielony mężczyzna, który z jakichś powodów ubrał się od stóp do głów na czarno.

- Och, to było bardzo stresujące dla nas wszystkich i nieważne, czy ktoś jest do tego przyzwyczajony, czy nie. Włącznie z krowami Williama. Ale na szczęście wszystko wypadło wręcz fantastycznie - zarobiliśmy chacie... to znaczy bardzo duże pieniądze na cel charytatywny, a lada chwila na naszej estradzie pojawi się wspaniały, ekscytujący zespół... A więc... Przed państwem BroadBand! A jeśli ktoś akurat znalazł się w pobliżu, to jeszcze nie jest za późno. Proszę przyjeżdżać i przyłączyć się do nas. Zapraszamy! Dziękuję bardzo.

Śmieszne, ale Laura wcale nie poczuła się zła, ogarnęła ją ulga na myśl, że wreszcie się skończyło to całe nieszczęście i smutek; nawet z pewnym podziwem pomyślała o młodej pani Grainger, która z powodzeniem potrafiła zmienić tragedię w coś, co przynajmniej nosiło znamiona sukcesu.

- Hej, to wygląda na całkiem fajną zabawę - zauważyła Daisy, spoglądając z zadumą na kamerę, która teraz przesuwiała się wśród rozbawionego tłumu, zatrzymując się na dziwnie odzianych postaciach młodych ludzi, na wrózkach, aniołach i zakonnicach, tańczących w półmroku, na sylwetkach rozbawionych dzieci, wpadających i wypadających z namiotów, na dymiących grillach... - Zobacz, tam przyjechały całe rodziny. I nawet są fajerwerki, widzisz? Ja też chcę pojechać na taki festiwal, mamusiu. Naprawdę chcę.

- Pojedziemy, kochanie. Razem. Ja też mam na to ochotę.

To był Jonathan. Bezszelestnie wszedł do pokoju i zatrzymał się obok sofy, z ręką opartą na ramieniu Laury.

- Jeśli mamusia zechce... - dodał.

- Mamusia zechce - odpowiedziała Laura, nie patrząc na niego. - Może nie na ten konkretny, ale...

- Nie - powiedział. - Na pewno nie na ten. Pochylił się i musnął ustami jej włosy.

- Wszystko w porządku?

- Tak, w porządku.

Nagle przyszło jej do głowy, że rzeczywiście w końcu wszystko jest w porządku.

- Wykonałaś świetną robotę, Abi.

Abi odwróciła się; za jej plecami stał Jazz, ten cholernie seksowny przyjaciel Merlina. Nie miała pojęcia, jak do tego doszło, że ci dwaj zostali przyjaciółmi. Trudno było wyobrazić dwóch bardziej różniących się od siebie ludzi, chociaż z drugiej strony, słyszała też takie opinie o sobie i Williamie...

- Dziękuję. Muszę przyznać, że jestem dość zadowolona. Chociaż to był pomysł Georgii, jak zapewne wiesz.

- Wiem. Ta Georgia to prawdziwe cacuszko. O wiele za dobra dla kogoś takiego jak Merlin. Wciąż jej to powtarzam.

- Naprawdę?

- Jasne, wiesz, jak to jest. Ten facet przede wszystkim kocha samego siebie. Ja nawet całkiem go lubię, mogę powiedzieć, że to jeden z moich najlepszych przyjaciół, ale on w bardzo niewielkim stopniu potrafi się zaangażować... Jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

- Chyba... chyba wiem - odparła ostrożnie Abi. - Ale i tak jest słodki.

- Jasne, że jest. Tylko... Wiesz sama, jak to działa, co? Poza tym facet jest w porządku.

- Hmm... Jak idzie nagrywanie CD?

- Super, skarbie. Sid, mój mały braciszek, ma oko na wszystko. Albo raczej ucho. Może faktycznie lepiej pójść i sprawdzić, co robi. Zobaczymy się później.

- Cholera! Spójrz tylko!

To była Georgia. Jej drobna buzia marszczyła się jak do płaczu.

- Co znowu?

- Spójrz na nich. Na Merlina i Lilę. Od cholernie dawna tańczą tylko ze sobą...

- Więc?

- Co on sobie myśli? Przecież jest moim chłopakiem, nie?!

- No to co? - Abi wzruszyła ramionami. - Od tygodni nic nie robisz, tylko narzekasz na niego. Zresztą on jedynie z nią tańczy, na litość boską.

- Och, wiem. Strasznie przepraszam. Chyba jestem trochę... No, zmęczona i splątana. W ostatnim czasie wciąż się kłócimy i to bardzo mnie smuci... - Westchnęła. - Abi, co ze mną jest nie tak? Z nikim nie potrafię ułożyć sobie życia. Nawet z kimś tak miłym jak Merlin.

- Nie wiem, czemu upierasz się, że to ma być właśnie on - odparła Abi. - Z tego, co wiem, pół kraju kocha się w tobie.

- Przestań się wygłupiać!

- Wcale się nie wygłupiam. To święta prawda. Jesteś sławna; a jeśli się nie mylę, zawsze o tym marzyłaś. Masz przed sobą niewiarygodną karierę. Pewnie niedługo trafisz do Hollywood...

- Och, już dobrze...

- Ależ tak. Wiesz, co z tobą jest nie w porządku, Georgia? Po prostu za dużo chcesz. Chcesz mieć sławę, odnieść sukces, i tak dalej. I powoli zaczynasz to mieć. Więc czemu przez chwilę nie skupisz się właśnie na tym? Zapomnij o niebiańskiej miłości. Przecież nie musisz wychodzić za Merlina, na litość boską. Po prostu postaraj się cieszyć tym, że jesteście razem. A potem... Zostaw sprawy własnemu biegowi. Ja tak zrobiłam.

- Pewnie masz rację - odparła Georgia z ociąganiem i westchnęła. - Chociaż czuję, że mam za sobą długą drogę. Zakochałam się w Merlinie od pierwszego wejrzenia.

- Owszem. Musiałaś zajmować się tyloma gównianymi sprawami, żeby odnieść sukces; postaraj się wycisnąć z tego tyle, ile zdołasz. Pamiętaj, że to może nie trwać wiecznie. Potem sama siebie będziesz kłąć, że nie wykorzystałaś tego do końca.

- Tak, tak wiem, że masz rację. Wybacz, Abi. Strasznie cierpię, czyli tak jak zwykle.

- No cóż, za to cię kochamy. - Abi uśmiechnęła się szeroko. - Zresztą wszyscy zdążyli się już do tego przyzwyczaić. O, Jazz! I jak, wszystko dobrze?

- Taaa... Sid świetnie sobie radzi. To wspaniały wieczór, Abi. Należą ci się gratulacje. Georgia, czy miałabyś ochotę zatańczyć ze mną?

- I to wielką!

- No to w porządku... Tylko pamiętaj, że tańczę jak ostatnia noga.

- Jestem pewna, że nie.

- Ależ tak, kochanie. Robię to zupełnie inaczej niż nasz wspaniały

Meri. Znam swoje ograniczenia. Ale to nie znaczy, że taniec nie sprawia mi przyjemności. No dobrze, chodź.

Miał rację, myślała Abi, uśmiechając się pod nosem, gdy patrzyła, jak odchodzili. Jazz jest zabójczo seksowny, zabawny, fajny i nie jest ani odrobinę zapatrzony w siebie, jak Merlin. Ktoś taki o wiele bardziej pasuje do Georgii. Psiakrew, znów starała się uporządkować życie Georgii. A Ona nie może się ustatkować; jest przecież typową artystyczną duszą, nieodgadnioną i nieprzewidywalną. Musi sama odnaleźć własną drogę. I odnajdzie. Na pewno odnajdzie.

- No dobrze - powiedziała Linda. - Mam namiot.

- Nie masz.

- A właśnie, że mam. Popatrz, kosztował tylko piętnaście funtów, tak jak mówiła Abi. Gdzie go rozstawimy?

- Tu nigdzie nie ma już miejsca. Gdziekolwiek się ruszysz, będziesz mogła słyszeć, jak sapią inni. Linda, daj sobie spokój. Jedźmy do hotelu.

- Nie ma mowy. Właśnie przeżywam przygodę. My przeżywamy przygodę.

- Och, na litość boską! Muzyka, jeśli w ogóle można to tak nazwać, jest wręcz okropna, poza tym robi się zimno, a ja jestem zmęczony...

- Okay. W takim razie jedź. Mnie to nie przeszkadza.

- Nie możesz przecież zostać tu sama - zauważył Alex z lekką irytacją w głosie.

- Owszem, mogę. Nic mi się stanie.

- Linda, na pewno nie zostaniesz tutaj sama.

- No cóż, ja się nigdzie nie wybieram.

- Psiakość! Przestań być taka cholernie... konfliktowa.

- Wcale nie jestem konfliktowa. Po prostu staram się nasiąknąć atmosferą imprezy. Zresztą ty też powinieneś spróbować, biorąc pod uwagę, jak wiele korzyści będzie miał z tego twój szpital. Jesteś strasznym nudziarzem, Alex. Potrafisz zepsuć każdą przyjemność.

- Wielkie dzięki za szczerłość.

Czekał na nią całkiem niedaleko od miejsca, gdzie siedziała Mary, na zboczu niewielkiego wzniesienia. Usadowił się na trawie i ze złością patrzył w dół, na arenę.

- Wiesz, czasami się zastanawiam, czy to wszystko jest tego warte.

- Co masz na myśli, do diabła?

- Widujemy się zaledwie dwa razy w tygodniu, czasami nawet rzadziej, w przypadkowe wieczory, a kiedy już się spotkamy, walczymy o każde głupstwo. Gdzie tu jest miejsce na przyjemność?

- Ja... Nie wiem. Co usiłujesz zasugerować?

- Trudno to uznać za idealną egzystencję, takie przebywanie ze sobą wyłącznie w weekendy. Może powinniśmy spróbować jeszcze raz znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy zamieszkać. Albo nawet... Zakończyć sprawę.

- Naprawdę właśnie tego chcesz? Zakończyć sprawę? Głos Lindy zadrżał lekko.

Popatrzył na nią, wyciągnął rękę i objął palcami jej dłoń.

- Nie, oczywiście, że nie. Za bardzo cię kocham. Ale... Musisz przyznać, że na razie nie wychodzi nam najlepiej, co?

Zapadła długa cisza. Wreszcie Linda zdecydowała się ją przerwać.

- Tak... Może faktycznie nie najlepiej... Wiesz, Alex...

- Tak?

- Ja... Prawdę mówiąc, pomyślałam, że właściwie mogłabym... przeprowadzić się kawałek dalej. Na przykład do Windsoru.

- Nienawidzę Windsoru. W Maidenhead było całkiem fajnie.

- A ja nie znoszę Maidenhead.

- No cóż, cudownie, że tak od razu udało nam się coś ustalić. Ale... Dlaczego tak nagle o tym pomyślałaś?

- No bo wiesz... Wydaje mi się, że mogłabym prowadzić agencję nawet wtedy, gdybym dwa dni w tygodniu spędzała gdzieś dalej... To znaczy, zawsze mogłabym przecież dojeżdżać na spotkania. No i utrzymywać działalność biura. Co o tym myślisz?

- Myślę, że to by było wspaniale. Ale ja w to nie wierzę. Zupełnie jakby Cherie Blair albo lady Thatcher nieoczekiwanie oznajmiły, że miejsce kobiety jest w domu.

- Nie porównuj mnie z żadną z tych okropnych bab.

- Wybacz, kochanie.

- Tak czy owak, uważam, że jednak powinienes. Powinienes uwierzyć.

- Co to ma znaczyć?

- Ja... No cóż, dziś rano zrobiło mi się strasznie niedobrze.

- Och, moje biedactwo. Musisz być naprawdę skonana.

- I dzień wcześniej też. I przed dwoma dniami.

- O rany. - Zaczął grzebać w ich koszyku na piknik. - Jestem pewien, że została nam jakaś resztką wina.

- Alex! Wy, lekarze, wszyscy jesteście tacy sami! Czy nie słyszałeś, co powiedziałam?

- Oczywiście, że słyszałem. Powiedziałaś, że dziś rano złapały cię mdłości.

- Tak, i że to samo było wczoraj i przedwczoraj.

- Więc...

- Na litość boską! Więc myślę... Że może jestem w ciąży. No cóż, prawdę mówiąc, właściwie jestem tego pewna.

- Że co?

- Alex, przecież chyba nie ogłuchłeś. Powiedziałam, że jestem w ciąży.

- O mój Boże! - Gapił się na nią, a jego twarz zastygła w grymasie przerażenia. - Boże, Linda... Moja kochana...

Nagle wyciągnął rękę i pogłodził ją po policzku. Bardzo, ale to bardzo delikatnie.

- Jak do tego doszło?

- Pewnie w całkiem zwykły sposób, jak sądzę.

- Tak, ale przecież...

- Pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu miałam kłopoty z żołądkiem? Widocznie to zniweczyło działanie pigułki.

- O, mój Boże!

- Co, bardzo się cieszysz?

- Nie - odparł. - Wcale się nie cieszę.

- No cóż...

- Jestem zachwycony. Totalnie, całkowicie szaleję ze szczęścia! To cudowna wiadomość. Zdumiewająca. A ty co o tym sądzisz?

- Ja... ja jestem umiarkowanie zachwycona. Trochę zadumana. Sama nie wiem, jak dam sobie radę.

- Tak samo, jak dajesz sobie radę ze wszystkim innym, to znaczy... Znakomicie! Och, Linda. Jestem taki... Taki...

Urwał nagle i wydawało się, że jest bliski łez. Uśmiechnęła się do niego, a potem pochyliła w jego stronę, żeby go pocałować.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony.

- Zadowolony? To za mało powiedziane! A tak w ogóle, jak się czujesz?

- Świetnie. Z wyjątkiem rana, jak zapewne jutro zobaczysz. No i jestem trochę zmęczona. Ale tylko trochę.

- Musimy pojechać prosto do hotelu.

- Alex, ja nie chcę jechać do hotelu. Chcę zostać tutaj, w tym namiocie... Z tobą.

- Nie bądź śmieszna.

- Proszę - powiedziała i nawet w tych ciemnościach zobaczył, że jej oczy lśnią niezwykłym blaskiem. - Proszę. Przynajmniej na trochę. Ale ty możesz jechać, Alex. Choć namawiam cię, żebyś się odważył.

- No cóż, Abi, wygląda na to, że odniosłaś prawdziwy sukces. To był Peter Grainger. Stał obok i uśmiechał się do niej.

- Przyjmij wyrazy uznania. Zorganizowanie czegoś na taką skalę to strasznie trudne przedsięwzięcie, a ty poradziłaś sobie po mistrzowsku. Jak dotąd nie ma żadnych problemów, co?

- Na razie nie, na szczęście. Ale lepiej nie zapeszyć sprawy.

- Och, mam do ciebie całkowite zaufanie. Do ciebie i twoich porządków. Muszę przyznać, że miałem pewne wątpliwości, ale na szczęście okazało się, że byłem w błędzie. Gdzie jest William?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałam go już całe wieki. A gdzie... Hmm... Pauline?

Nazywanie pani Grainger po imieniu wciąż przychodziło jej z trudem.

- Niestety, obawiam się, że w łóżku. Zdaje się, że coś zjadła i dostała torsji. I... No nic, jestem pewien, że jutro będzie się czuła znacznie lepiej.

- To okropne - odparła Abi. - Ogromnie mi przykro.

Przypomniała sobie o modlitwach, jakie wznosiła nie dalej jak dziś rano, i pomyślała, że być może Pan Bóg, w którego tak uparcie nie chciała wierzyć, specjalnie wysłał do łóżka panią Grainger, aby dać jej nieomylny znak, że jednak istnieje.

- Tak, ale wiesz... Nie sądzę, żeby jej się to wszystko podobało. Na pewno czułaby się zobowiązana, żeby tu przyjść i osobiście przekonać się, jak ci idzie. Potem zaczęłyby się denerwować każdym drobiazgiem.

- Może masz rację. Ale i tak przeszkadza jej hałas.

- Och, wcale nie. To zabawne, ale w domu ledwie co słychać. Chyba dlatego, że dźwięk odbija się od drzew. Zresztą nie wiem. Nieważne, jutro Pauline na pewno będzie w lepszej formie, nie musisz się o nią martwić. A teraz... Co prawda, nie bardzo lubię akurat ten rodzaj muzyki, ale mam nadzieję, że zechcesz ze mną zatańczyć.

William, który niebawem zjawił się z pobliżu parkietu, był zdumiony widokiem ojca, który w niemal zupełnej ciemności pisał z Abi. Wywijął jakiegoś szalonego twista, do którego ludzie z jego pokolenia wydawali się szczególnie przywiązani, wymachując rękoma jak ogarnięty szaleństwem kurczak skrzydełkami, Abi zaś ledwie się poruszała, kołysząc biodrami z umiarem i nieznacznie wyginając się w takt muzyki. Trzymała w ręku zapalone zimne ognie, które na tle ciemnego nieba tworzyły jakieś niesamowite, fantastyczne wzory. Boże, ja naprawdę ją kocham, pomyślał William. Bardzo ją kocham.

Później we dwoje wspięli się na pagórek na tyłach areny i usiedli tam, żeby posłuchać muzyki, przeplatanej śmiechami, krzykami, a nawet od czasu do czasu płaczem jakiegoś dziecka. Małeńkie ogniki grilli, porzucane po całym polu namiotowym, połyskiwały w ciemności jak robaczki świętojańskie, bajeczne smugi światła omiatały okoliczne wzgórza, a ponad tym wszystkim wznosił się księżyc, który usłużnie pisał się po nieboskłonie, budząc ze snu leżące na jego szlaku gwiazdy.

- Wiesz, cielaczek w końcu się urodził - powiedział w pewnej chwili William. - Przez to całe zamieszanie zapomniałem ci wcześniej powiedzieć. To mała jałówka.

- Świetnie. Powinniśmy dać jej na imię Festival.

- Abi! Zachowujesz się, jakbyś sama była Bambi. Wiesz przecież, że nie bawimy się w nadawanie ciałom imion.

- Ależ ja jestem Bambi. Właściwie dlaczego nie mogę być? Tylko ten jeden raz, Williamie. To przecież szczególny dzień. Jeden z najlepszych.

- No już dobrze...

Przez chwilę oboje nic nie mówili.

- Wiesz, masz rację - odezwał się w końcu William. - To jeden z najlepszych dni. Właśnie myślałem...

- Wiem, myślałam o tym samym - przerwała mu. - O tamtym okropnym, naprawdę okropnym dniu, kiedy zdarzyła się ta straszna rzecz. A teraz... Spójrz tylko. Na przekór wszystkiemu nastał dobry czas. A może nawet właśnie dlatego. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że najlepszy, jaki się wydarzył.

- Tak - zgodził się, obejmując ją ramieniem. - Można zaryzykować. Albo uznać, że rzeczywiście jest najlepszy. Chodźmy stąd, pani Grainger. Chodźmy zatańczyć. A później możemy pójść do domu i wreszcie zdjąć te szorty.

TLR